

Deirdre Purcell

# Wszystko przez tancerza

*Falling for a Dancer*

Przełożyła Ryszarda Jaworska

*Mojemu ojcu — Billowi*

## PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękuję następującym osobom:

Na Béara: Jerry'emu i June Harringtonom, Joe'emu Kelly, doktorowi Colinowi Gleesonowi, sierżantowi Williemu Gleesonowi, doktorowi Aidanowi McCarthy'emu oraz Johnowi L. Sullivanowi.

W Dublinie: Robertowi Carrickfordowi, Christopherowi i Glynis Cassonom, Jimowi Cantwellowi, Pat Brennan oraz moim rodzicom, Maureen i Billowi Purcellom.

Dziękuję również Jimmy'emu O'Mahoneyowi z hotelu Eccles w Glengarriff, Rayowi Hennessy'emu z Bantry oraz archidiakonowi Cathalowi McCarthy'emu z Rush.

Fionie Murray i Shane Price z „Computing Workshop” przy ulicy Lombard, a także Adrianowi Wecklerowi za pomoc w badaniach, kiedy czas naglił.

Dziękuję memu wydawcy — Jane Wood, oraz Hazel, Charlesowi i Treasie, a w szczególności Felicity Rubinstein, której nadziei chyba nie zawiodłam.

Jestem wdzięczna również Kevinowi, Adrianowi i Simonowi, dzięki którym całe przedsięwzięcie mogło się toczyć.

## ROZDZIAŁ 1

— Przepraszam państwa, mamy problem z pompą paliwową. Muszę się skontaktować z Maryborough, zaraz wracam — oznajmił zatroskany kierowca i zniknął w drzwiach.

Pasażerowie jęknęli. Większość ponownie wysiadła; część weszła do pubu Sheerana, a część pozostała na ścieżce. Autobusy kursujące między Dublinem a Cork zawsze miały postój w Durrow. Nic nie wskazywało na awarię, kiedy się zatrzymywali, lecz tym razem po dwudziestu minutach przerwy kierowca w żaden sposób nie mógł uruchomić samochodu.

— Warto się ruszać? Masz ochotę na lemoniadę albo coś?

Ton, jakim Elizabeth Sullivan zadała to pytanie, jasno dawał do zrozumienia, że jest bardzo zmęczona i wcale nie ma ochoty nigdzie wychodzić. Ida jednak zerwała się i wyciągnęła torebkę spod fotela.

— Chodźmy rozprostować nogi! Taki piękny dzień! Przejdziemy się po trawie i zobaczymy, co się dzieje w tym wielkim namiocie.

Jej temperament przerażał Elizabeth. Przyjaźniła się z Idą od lat, ale dopiero podczas tej wycieczki na pokazy koni do Dublina — prezent od rodziców Elizabeth z okazji dziewiętnastych urodzin — odczuła na własnej skórze jej energię i zapał do działania. Kiedy chodziły do szkoły, nie miały okazji do przebywania razem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Od momentu przyjazdu do stolicy Ida narzucała tempo, które nadwerężyłoby wytrzymałość maratończyka. Rodzice Elizabeth umieścili je w hotelu Shelbourne, w samym centrum życia towarzyskiego w czasie pokazów koni. Ponieważ obie rodziny miały w Dublinie krewnych i znajomych, dziewczęta zaopatrzone w długą listę adresów i telefonów. Ida potraktowała wszystkie z należytą powagą, więc czas upływał im na nie kończących się lunchach, herbatkach, przyjęciach i balach.

Bezustanne ploteczki nudziły Elizabeth. Kiedy tylko wyrwanie się spod pieczy rodziców przestało być nowością, ze zdziwieniem odkryła, że z trudem znosi te wakacje. Teraz też zacisnęła zęby i zmusiła się, żeby podążyć za Idą, która popędziła wzdłuż przejścia, jakby tydzień dopiero co się zaczął.

— Och, chyba jest jeszcze większy upał niż pięć minut temu.

Ida wypadła na rozgrzaną drogę i żwawo ruszyła przed siebie. Elizabeth wlokła się parę metrów z tyłu. Zdawało jej się, że ma kamienie zamiast nóg. Ida zaczekała na nią na skraju trawnika i wzięła ją pod ramię.

— No chodź, marudo! Nie zapomnij powiedzieć rodzicom, jak dobrze się bawiliśmy i jak jestem im wdzięczna za to że...

Elizabeth ledwie słuchała. Nauczyła się poświęcać Idzie tylko część uwagi, resztę skupiając na czymś spokojniejszym, na przykład na podziwianiu widoków. Chociaż wiele razy przejeżdżała przez Durrow autobusem albo samochodem z rodzicami, nie doceniła dotąd urody tego miejsca. Dzięki szerokim trawnikom i okazałym domom, staremu zajazdowi Bianconiego i wysokim, kamiennym murom Castledurrow sprawiało wrażenie schludnego i przestronnego. Wyróżniało się spośród okolicznych miasteczek, których wąskie i kręte uliczki przypominały nierówne zęby. Wilgotne powietrze nasycone zapachem świeżo ściętej trawy i spokojne sierpniowe niedzielne popołudnie przywodziły na myśl powieści Jane Austen. Nagle Ida szturchnęła ją w bok.

— Znowu mnie nie słuchasz!

Elizabeth wróciła do rzeczywistości.

— Przepraszam. Co mówiłaś?

— Pytałam, czy słyszałaś o tych aktorach.

— Zbliżyły się do burego namiotu z wystrzępionymi chorągiewkami. Daszek nad wejściem zdobiły świeżo namalowane bliźniacze maski tragedii i komedii. Czerwony napis umieszczony powyżej głosił: „Trupa Wędrowna Viviana Mellorsa, Anglia, Irlandia i Wspólnota”, przy czym słowo Irlandia zaznaczono jaskrawą zielenią.

— Nie, nie sędzę, ale w tym roku przyjechało tu chyba bardzo wielu aktorów z Anglii — powiedziała z wahaniem.

— A ta sztuka?

Ida wskazała na plakat wiszący przy wejściu do namiotu. Elizabeth przyjrzała się wykaligrafowanym literom:

*DZISIAJ! O ÓSMEJ TRZYDZIEŚCI!*  
*Wspaniale, urozmaicone przedstawienie,*  
*pełnoaktowa sztuka oraz skecze.*  
*Powtórka na żądanie publiczności!*  
*Pełna humoru komedia pana Diona Boucicaulta*  
*„Conn Shaughraun”,*  
*najnowsza, napisana współcześnie, specjalnie na bieżący*  
*rok 1937,*  
*z efektami specjalnymi, po raz pierwszy w Irlandii.*  
*Pełna obsada aktorska.*  
*Występują:*  
*pan Vivian Mellors jako Shaughraun*  
*(rola, która wstrząsnęła całą Irlandią i wzruszyła wiele*  
*koronowanych głów),*  
*w pozostałych rolach:*  
*pan George Gallaher jako dzielny kapitan Molyneaux,*  
*pani Lydia Smythe–Mellors jako piękna Arte O’Neal*  
*oraz*  
*panna Claudette Latimer*  
*jako jej pociągająca kuzynka Claire Ffolliott*  
*ponadto*  
*Roddy,*  
*nowa psia gwiazda Durrow,*  
*jako pies Strzepak*

Na końcu doczepiono jeszcze informację: *Gwarantujemy, że sztuka nie zawiera wulgaryzmów.*

— Słyszałam o Shaughraunie... — rzekła Elizabeth — ale nigdy go nie widziałam.

— O czym to jest?

— Przecież ci mówię, że nie widziałam — odparła ze źle skrywaną irytacją. — Coś o armii brytyjskiej w Irlandii, zdaje mi się.

Myśl Idy pozęglowała w innym kierunku.

— Hej! Skoro o armii mowa, to co naprawdę myślałaś, kiedy pan DeValera\* paradował na pokazie? Ile lat mamy go jeszcze znosić?

---

\* Eamon DeValera, przewodniczący Sinn Fein, założyciel Fianna Fail, w latach 1932–37 premier Irlandii (przyp. tłum.).

Polityka nie interesowała Elizabeth, więc wołała nie wdawać się w dyskusje.

— Czy nie powinniśmy już być w autobusie? Kierowca obiecał, że zaraz wróci — dodała niepewnie.

Rodziny Elizabeth i Idy walczyły po przeciwnych stronach podczas zakończonej piętnaście lat temu wojny domowej. W zeszłym tygodniu dziewczęta kilkakrotnie posprzeczały się na temat wybrania DeValery na kolejną kadencję. Tym razem Elizabeth miała szczęście; Ida wciąż wpatrywała się w plakat.

— Hmm... chyba masz rację — powiedziała. — Uwielbiam teatr. Szkoda, że nie możemy zostać i tego obejrzieć.

— Zanoszą się na to, że będziemy mogli. — Elizabeth była przerażona perspektywą kolejnych dwudziestu czterech godzin z pełną wigoru przyjaciółką. — Jeżeli rzeczywiście trzeba będzie zostać, to ja idę wcześniej spać — oświadczyła zdecydowanie.

— Nie martw się. Kierowca na pewno zaraz to naprawi. Zajrzyjmy do środka.

Ida odsunęła płótno zasłaniające drzwi, a Elizabeth, ciężko wdychając, podążyła za nią. Szczelnie zasnurowana wewnętrzna zasłona nie pozwalała nic dojrzeć.

— Mogę paniom w czymś pomóc? — Na dźwięk głębokiego męskiego głosu obie podskoczyły przestraszone.

Nawet Ida na moment zamilkła, gdy zobaczyła mężczyznę stojącego za nimi. Elizabeth, smukła, a do tego w butach na wysokich obcasach, nie sięgała mu nawet do ramienia. Miał ponad dwa metry wzrostu. Nosił jasny garnitur o oryginalnym kroju i szeroki, zielony krawat z wyszytą palmą.

— Przedstawienie zaczyna się dopiero o ósmej trzydzieści — ciągnął, jakby był nieświadomy wrażenia, jakie wywiera — ale będę zaszczycony, jeśli pozwolą się panie oprowadzić.

— Dz—dziękujemy. — Ida odzyskała głos. — Niestety będziemy tu tylko przez chwilę. O, tam stoi nasz autobus.

— Hmm... — aktor położył dłoń na sercu i zadeklamował:

*... Wielka zagadko przeznaczenia,  
Któż pojmie sens twego zjawienia  
Lub pozna twoje zamierzenia...*

— Charles Lamb — wyjaśnił, rozbawiony ich zaskoczeniem. Wetknął kciuki w szlufki spodni, pokazując przy tym pocerowaną kamizelkę i dodał normalnym tonem:

— Na pewno panie nie zostaną?

— Nie sądzę, panie... — urwała Ida, zerkając ponownie na tablicę — Mellors?

— Niestety nie. Jeszcze nie doszedłem do szefostwa, ale nie tracę nadziei. George Gallaher, do usług.

Skłonił się. Elizabeth zauważyła, że uroda i wdzięk aktora robią na Idzie równie wielkie wrażenie jak na niej samej. Nigdy przedtem nie spotkała tak wspaniałego mężczyzny. Odchrząknęła.

— Pan gra w tej sztuce kapitana?

— Tak, i to w sposób doprawdy niezrównany. Jaka szkoda, że nie zobaczy mnie pani, panno...?

— Sullivan. Elizabeth Sullivan. A to moja przyjaciółka, Ida Healy. Mieszkamy w Cork.

— Ach tak, Cork — westchnął. — Nad cudowną rzeką Lee. Znam dobrze to miejsce. Stamtąd pochodzą najpiękniejsze kobiety Irlandii.

Obdarzył je uśmiechem. Zakłopotana Elizabeth usiłowała odgadnąć jego wiek. Nie miał widocznych zmarszczek, ale był tak pewny siebie, że chyba przekroczył już czterdziestkę. Również jego akcent brzmiał osobiście.

— Pan nie jest Irlandczykiem?

— Nie lubi pani Irlandczyków?

Spojrzał na nią tak bezczelnie, że zrobiło jej się gorąco.

— Jeśli chodzi o ścisłość, jestem Szkotem. Ale już drugi sezon spędzam w Irlandii. Wspaniałe miejsce. Uwielbiam tutejszy porter, nie wspominając o kobietach.

Jego oczy miały odcień błękitu wpadającego w fiolet. Zdawał się świetnie bawić. Pachniał mieszanką wody kolońskiej i starych ubrań, zupełnie jak apteka w dzień świąteczny. Kiedy mówił, wszystko zdawało się blednąć: stary namiot, trawa, a nawet słońce. Ku zdumieniu Elizabeth, zniknęła także Ida.

Jednocześnie ogarnęło ją niedorzeczne zadowolenie, że włożyła dziś rano „lepszą” sukienkę z żółtego chińskiego jedwabiu. Przyjaciółka szturchnęła ją w ramię.

— Bardzo nam było przyjemnie pana poznać, panie Gallaher — mówiła Ida sztucznie podniesionym głosem — ale niestety musimy już wracać do autobusu.

Elizabeth zmieszała się jeszcze bardziej. Zdała sobie sprawę, że Ida zaczęła się irytować, bo wyczuła, iż jest ignorowana. Aktor posłał Elizabeth czarujący uśmiech.

— Jaka szkoda, że musicie panie jechać. Tak bardzo bym chciał, żebyście mogły mnie zobaczyć dziś wieczorem.

Szelmowsko strzelił oczami i zanim Elizabeth zdołała odpowiedzieć, rzucił uwodzicielskie spojrzenie Idzie.

— Przynajmniej pozwólcie panie, że je odprowadzę.

Elizabeth, która zawsze uważała się za osobę trzeźwą i rozsądną, była oczarowana jak dziecko, chociaż świetnie zdawała sobie sprawę, że to tylko pozory. Nigdy w życiu nie spotkała równie fascynującej osoby o tak swobodnym obejściu. Właśnie miała go wziąć pod ramię, kiedy poczuła, że Ida ciągnie ją do tyłu.

— Dziękuję, to nie będzie potrzebne.

— Ależ panno Ido! — rzucił karcąco. — Pełno tutaj zbójów. Czy nigdy nie słyszała pani o Rozpruwaczu z Durrow?

Rozbroił ją.

— Na miłość boską, panie Gallaher!

Był niepokromiony. Uśmiechał się jak mały chłopiec, pewien pobłażliwości swoich rodziców.

— No cóż, pójdziemy?

Ida jak zahipnotyzowana wzięła go pod rękę.

— Z której części Szkocji pan pochodzi?

Elizabeth ucieszyła się słysząc niepewny głos przyjaciółki; potrzebowała trochę czasu, żeby ukryć własne zmieszanie.

— Z Glasgow.

— Ale nie ma pan szkockiego akcentu. — Ida odzyskała już równowagę.

Szli przez trawnik, podtrzymując zdawkową konwersację. Nagle Elizabeth zauważyła, że dzieje się z nią coś niewiarygodnego. Aktor przyciskał jej łokieć coraz mocniej. W końcu musiała iść tak blisko, że ocierali się biodrami, a jego ramię dotykało jej piersi. Rzuciła okiem na Idę, ale ożywiony wyraz twarzy przyjaciółki jasno dowodził, że niczego podobnego nie doświadcza. Od autobusu dzieliło ich tylko trzydzieści metrów. Elizabeth pomyślała, że powinna się uwolnić. Błądła i czerwieniała, nie wiedząc, co począć. Kiedy doszli na miejsce, Gallaher nie puścił jej ramienia, ale jego uścisk zelżał tak gwałtownie, że prawie się zachwiała.

— Oto jesteśmy! I zdaje się, że tylko my — mówił spokojnie, przyglądając się autobusowi, tak jakby bliski, fizyczny kontakt z poznaną pięć minut temu dziewczyną był nieodłączną częścią niedzielnego spaceru. Przez ramię rzucił okiem na pub Sheerana. — Wasi towarzysze podróży najwyraźniej uznali to za dar niebios.

Znów spojrzął na Elizabeth i mrugnął. Ciągle czuła mrowienie w piersi. Chwiejnym krokiem próbowała wejść do autobusu, ale ją powstrzymał.

— Zaraz, nie będzie pani przecież siedzieć sama w tym gruchocie w taki piękny dzień i w tak miłym towarzystwie.

— Świetny pomysł! — zawołała Ida. — Chodźmy się czegoś napić.

— Do pubu? Ależ to niemożliwe! — zaprotestowała wstrząśnięta Elizabeth.

Ida doskonale wiedziała o nieoficjalnym, ale przestrzegającym podziale płci w takich miejscach. Kobiety, jeżeli w ogóle były tolerowane, przebywały w oddzielnych salonikach dla pań.

— Dajcie spokój! — aktor uśmiechnął się szelmowsko. — Chodźmy we trójkę na drinka. Zszokujemy trochę poczciwych mieszkańców Durrow. Cóż to szkodzi? W najgorszym wypadku wezmą nas na języki, a przecież za parę minut stąd wyjeżdżacie. Obchodzi was tak bardzo, co ludzie mówią?

Elizabeth odzyskała głos.

— Ale co z panem? Przecież pan występuje tutaj dziś wieczorem.

— Aktorzy to straceńcy, każdy o tym wie. A poza tym — ciągnął wesoło — mam specjalną dyspensę. Wszyscy mnie kochają. Wybaczone by mi nawet morderstwo.

Wziął ją za rękę i skłonił głowę, wpatrując się prosto w jej oczy.

— Czy pani także mnie kocha, panno Elizabeth?

— Och, daj spokój, Beth. Nie psuj zabawy — wtrąciła się Ida. — Pan ma rację. Koniec końców, jaki znów skandal możemy wywołać? Dzięki Bogu mamy rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy, a nie średniowiecze. Nawet jeśli będą o nas mówić, to co z tego? Ma pan słuszość, nie znamy tych ludzi, pewnie i tak nigdy więcej ich nie zobaczymy.

Jednak w ostatniej chwili, kiedy z Idą na czele już mieli wejść do pubu, Elizabeth opuściła odwagę.

— Przepraszam — szepnęła przepychając się koło George'a Gallahera z powrotem na ulicę. — Idźcie sami. Ja... ja jestem bardzo zmęczona. Chyba po prostu pójdę usiąść w autobusie.

Ku jej zakłopotaniu Gallaher natychmiast zawrócił i podążył za nią.

— Masz rację, Elizabeth. Jest zbyt pięknie na dworze, żeby siedzieć w tym zatęchłym pubie. Co robimy?

Z łatwością przyłączył się do ich towarzystwa. Elizabeth zauważyła kierowcę z jakimś mężczyzną, spieszących w ich kierunku. Nie wiedziała, czy czuje ulgę czy rozczarowanie.

— Poczekajmy — zaproponowała. — Ciekawe, co powie.

Mężczyzną towarzyszącym kierowcy był miejscowy kowal. Zdjął zaraz świąteczną marynarkę i przystąpił do pracy. Pozostali pasażerowie pojedynczo i parami wychodzili z pubu i przyłączali się do Elizabeth, Idy i George'a obserwujących zmagania kowala z silnikiem. Kiedy liczba zebranych stała się dostatecznie duża, Gallaher, dotąd zdawałoby się całkowicie pochłonięty postęпами pracy pod maską autobusu, wyprostował się w całej okazałości.

— Dzień dobry, panie i panowie — zaczął tak głośno, że kilka osób cofnęło się z przestrachem. — Jesteśmy trupą aktorską Viviana Mellorsa. Być może pewnego dnia zawitamy także do waszego miasta — ciągnął dźwięcznym głosem, nie zważając na zaskoczone miny.

Z kieszeni kamizelki wyciągnął niedbale plik ulotek i zaczął je rozdawać.

— Być może, na nasze szczęście, dobry Bóg zesłał was tu, byście mogli spędzić z nami dzisiejszy wieczór. Ja na przykład, szanowna pani — tu skłonił się starszej kobiecie w czarnym



płaszczu — gram w naszej sztuce rolę kapitana Molyneux. Staram się o rękę pewnej panienki i z godnością noszę mundur.

Mrugnął do niej tak niespodziewanie, że wybuchnęła nerwowym śmiechem. Cofnął się, żeby wszyscy go widzieli.

— Ponadto, ponieważ dziś jest niedziela i to już ostatni występ w Durrow, główna nagroda na naszej loterii wynosi całe dziesięć funtów. Panie i panowie, dopomóżcie swemu szczęściu.

Patrząc na przedstawienie, jakie George Gallaher urządził dla pasażerów, Elizabeth gorąco pragnęła, żeby autobusu nie dało się naprawić. Jak większość jej przyjaciółek flirtowała z chłopcami w Cork i Crosshaven, gdzie jeździła z rodzicami na wakacje. Nie doświadczyła jednak nigdy podobnych uczuć. Od wczesnego dzieciństwa była przesądna, więc również teraz przebiegała wzrokiem ulicę w poszukiwaniu odpowiedniego omenu. Pojawił się w postaci kierowcy, który zwrócił się do zebranych.

— Niestety, mam złe wieści — powiedział. — Myślałem, że uda nam się coś prowizorycznie naprawić, ale wydaje się, że nic z tego.

Elizabeth zauważyła, że stojący za nim kowal wyciera ręce w szmatę i potakuje.

— Skontaktowałem się z Maryborough, ale dodatkowy autobus też nie nadaje się do użytku. Usiłują sprowadzić dla nas części zapasowe, ale wygląda na to, że trzeba będzie wziąć inny wóz z Dublina. Niestety, dziś niedziela, więc przy najlepszych chęciach minie parę dobrych godzin, zanim będzie można ruszyć.

— O której odchodzi pociąg? — zapytał jeden z pasażerów.

— Ten z Maryborough już państwu uciekł — odpowiedział kowal za kierowcę. — Jest jeszcze osobowy, który zatrzymuje się w Attanah około siódmej.

Ludzie zaczęli użalać się nad sobą, a George Gallaher uniósł rękę, mówiąc:

— Panie i panowie, proszę o uwagę! Może w zaistniałej sytuacji warto rozważyć nocleg w jednym z tutejszych przytulnych domów i ukoronowanie wieczoru spektaklem teatralnym?

— Niektórzy muszą pracować — odrzekł młody człowiek.

— Skoro los tak chce, nawet monarcha musi być posłuszny.

Gallaher wykonał tak szeroki gest, że stracił kapelusz z głowy pani po prawej stronie. Większość zebranych nie wykazywała specjalnego zainteresowania ani losem, ani sztuką. Dyskutowali z kierowcą o tym, jak najwygodniej dostać się do domu. George się poddał. Wzruszył ramionami i spojrzął na Elizabeth i Idę tak, jakby tylko one dorównywały mu smakiem i umiały docenić rzadki dar, jaki oferował.

Ustalono w końcu, że należy wezwać miejscową taksówkę, która zawiezie po kolei wszystkich pasażerów na stację w Attanah. Kowal zaofiarował się ją sprowadzić, a zebrani zaczęli kolejną dyskusję, tym razem w kwestii, kto za ową usługę powinien zapłacić. George odciągnął Idę i Elizabeth na bok.

— Panie zostają, prawda? Jutro z pewnością przyjedzie drugi autobus.

— Co o tym sądzisz?

Wbrew temu, co myślała ledwie pół godziny temu, Elizabeth miała nadzieję, że zapał Idy do przygód jeszcze się nie wyczerpał.

— Och, sama nie wiem. — Ida grała na zwłokę. — Jak na przykład chcesz zawiadomić rodziców? Na pewno będą odchodzić od zmysłów, jeśli nie wrócimy dziś wieczorem.

— Osoby podróżujące tą trasą z pewnością nawykły do awarii i opóźnień. Czy rodzice pań mają telefon? — George Gallaher najwyraźniej wziął ich sprawy w swoje ręce. Elizabeth poczuła się jak Alicja pod wodzą Białego Królika.

— Tak, mają — powiedziała słabo.

— Wspaniale — ucieszył się. — Zaprowadzę panie na pocztę. Owszem, jest niedziela, ale dobrze znam naczelniczkę.

Znowu mrugnął do Elizabeth.

— Tylko pomyśl, Ido — mówiła Elizabeth szybko, usiłując ukryć przed przyjaciółką, jak ważne stało się dla niej pozostanie w Durrow — jeszcze jeden wolny dzień! To będzie idealna wymówka. Nikt nie może nas winić.

Wiedziała, że Ida nie znosi swojej pracy ekspedientki w jednym ze sklepów w Cork.

— Jak to, już nie jesteś zmęczona? — Ida nie chciała niczego ułatwiać.

— Jakoś nie.

Ku własnemu zdumieniu nie mijają się wcale z prawdą. Czują się pełna energii, rozbudzona i nade wszystko świadoma słodko-kwaśnego zapachu mężczyzny, stojącego tuż za nią.

— Zatem ustalone.

George odciągnął je od grupy perorującej nad niedociągnięciami Przedsiębiorstwa Autobusowego Catherwood.

— Pod warunkiem że uda nam się znaleźć przyzwoitą kwaterę — powiedziała Ida ostrzegawczo.

Rozczapierzył palce na guzikach kamizelki.

— Panno Ido, z ręką na sercu, proszę mi zaufać. Nigdy nie naraziłbym na niewygodę dwu tak pięknych dziewcząt.

— Och, niech już pan da spokój! — fuknęła Ida, ale na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Nie miały dużo bagażu, więc wystarczyło wrócić do autobusu i zdjąć z półki walizki. Kierowniczka poczty, wyraźnie pod wpływem uroku George'a, zgodziła się pomóc przy połączeniach telefonicznych. Niestety, ani jednych, ani drugich rodziców nie zastali w domu.

— Takie piękne popołudnie — zauważył Gallaher beztrósco — że na pewno wyszli na świeże powietrze. Spróbujemy później.

Odwiedzili kilka miejscowych gospodyń, by wreszcie wybrać solidny, dwupiętrowy dom naprzeciwko bram zamkowych. Budynek ten miał, zdaniem George'a, jedną nieocenioną zaletę, mianowicie było go widać z namiotu teatralnego. Właścicielka nie okazała zbytniego entuzjazmu.

— Będą panie chciały myć włosy?

— Pani Cahill woli gościć mężczyzn — wyjaśnił George. — Musi nosić wodę z pompy, więc z aktorkami niezbyt jej wygodnie. Te panie nie są z naszego zespołu, droga pani. Znalazły się tu nieoczekiwanie z powodu awarii autobusu.

Obdarzył ją promiennym uśmiechem.

— No, dobrze — odpowiedziała, robiąc im przejście w ciasnym korytarzu.

— Zarezerwuję dla was bilety. *A bientôt!*

Na odchodnym ucałował je na francuską modłę: w oba policzki. Kiedy nachylił się do Elizabeth, udało mu się przeciągnąć ręką po jej karku, pod włosami. Dostała gęsiej skórki.

— Jesteś piękna — szepnął jej do ucha tak cicho, że może tylko jej się zdawało.

Kiedy mu się przyjrzała, wydawał się łagodny i nieprzenikniony.

— Do zobaczenia wieczorem, moje panie. Nie uciekajcie zaraz po przedstawieniu, tylko poczekajcie na mnie przed namiotem.

Uśmiechnął się na pożegnanie, odwrócił i odszedł.

Elizabeth ruszyła za gospodynią do parterowego pokoju, pachnącego lawendą i woskiem. Stało tam mosiężne łóżko z pierzyną, umywalka i mahoniowa toaletka. Wszystko lśniło czystością, a cienisty chłód zadziałał jak orzeźwiający deszcz na rozpalone policzki Elizabeth.

Kiedy właścicielka wreszcie zostawiła je same, Elizabeth postawiła torbę, zdjęła sukienkę i zawiesiła ją starannie na oparciu krzesła. Rzuciła okiem na Idę, która przemierzała pokój,

dotykając i przestawiając bibeloty: — komplet fajek na półeczce, parę pekińczyków koło aspidistry na parapecie, porcelanową lampę oliwną — zupełnie, jakby przebierała towary na straganie. Elizabeth nie miała ochoty, rozmawiać teraz z Idą o George'u Gallaherze.

— Jestem taka zmęczona — powiedziała. — Chyba się położę na trochę.

Zdjęła brokatową narzutę, wsunęła się pod pierzynę i odwróciła twarzą do ściany.

Ida odstawiła pekińczyka na półeczkę przy biurku.

— Ja się nie zmęczyłam. Pójdę jeszcze na spacer, dobrze? Spróbuję znów zatelefonować.

— Dobrze — wymamrotała Elizabeth, udając, że już zasypia, ale gdy tylko drzwi zamknęły się za Idą, przekreśliła się na wznak.

Wydarzenia ostatniej godziny przesuwały się po niskim suficie: George Gallaher, jego fiołkowe oczy, a nade wszystko wspomnienie jak dotknął ramieniem jej piersi i palcami musnął włosy...

Chociaż z drugiej strony jego włosy, gęste i dłuższe, niż nakazywała moda, miały podejrzaną odcień rudawego brązu. Czyżby je farbował? I te postrzępione łaty przy guzikach. Białe, staroświecki garnitur, krawat w palmy i pocerowana kamizelka — cóż, nie był typem mężczyzny, którego można by przyprowadzić do biura ojcowskiego przy South Mail. Świadomie próbowała ostudzić podniecenie, ale pobudzone zmysły nie słuchały woli.

Podświetlone słońcem, koronkowe zasłony tłumili dźwięki z zewnątrz. Odgłosy pompy przed domem i cichych rozmów sąsiadów przy wtórze wody lejącej się do wiader, chrząkanie prosiąt na podwórzu i gdakanie kur były stonowane i kojące. Wsłuchując się w nie, Elizabeth usiłowała się uspokoić. Odwróciła się na bok i próbowała zasnąć, przywołując na myśl swój własny obraz jako trzeźwej i opanowanej pomocnicy sekretarki w biurze ojca.

Kiedy Ida wróciła, Elizabeth nie mogła skupić się na niczym, prócz bliskiego spotkania z Gallaherem. Nie chcąc tego okazać, przeciągnęła się, jakby dopiero co się obudziła i zapytała z uśmiechem:

— Jak tam? Znów jakieś przygody?

Spacer poprawił jej humor.

— Wiesz przecież, jak wygląda niedzielne popołudnie na zabitej prowincji. Gdyby nie ci aktorzy, byłoby tu jak w trumnie. Za to dodzwoniłam się do rodziców. Tata obiecał, że zawiadomi twoich. Ta naczelniczka to poczciwa dusza.

— Och, dzięki, że to za mnie załatwiłaś.

— Proszę bardzo.

Ida otworzyła torbę i zaczęła w niej szperać.

— Spotkałaś jeszcze kogoś z nich? To znaczy, aktorów?

Elizabeth bardzo starała się, żeby jej głos brzmiał naturalnie. Ida przysiadła na łóżku.

— Nie, ale widziałam dwoje z daleka, mężczyznę i kobietę. Przedziwne. Wiesz przecież, jak dziś okropnie gorąco i duszno.

— Mmm... — Elizabeth udała, że ziewa.

— A ta kobieta paradowała po ulicy w etoli z lisów!

— Paradowała?

— Wiesz, co mam na myśli. I oni weszli do pubu.

— Niech im będzie na zdrowie. Zegarek mi stanął.

Zegarek, prezent od rodziców na osiemnaste urodziny, chodził wprawdzie całkiem dobrze, ale wołała zmienić temat. Ida zdjęła buty i masowała sobie stopy.

— Dochodzi siódma. Nie jesteś głodna?

— Nie, za duży upał. Chyba się już zacznę myć i szykować. To znaczy, przygotuję się do wyjścia na to przedstawienie.

Elizabeth zsunęła się z łóżka, podeszła do umywalki i lejąc wodę, starała się narobić jak najwięcej hałasu.

## ROZDZIAŁ 2

Godzinę później Elizabeth stała z Idą na ścieżce okalającej wysokie mury zamku. Zauważyła, że senna atmosfera miasteczka nieco się ożywiła. Na trawniku dzieci bawiły się w kotka i myszkę, a nieopodal przechadzała się grupka mężczyzn. Po drugiej stronie ulicy dyskutowało kilka osób. Dwieście metrów dalej, na przeciwnym krańcu trawnika przeciętego szosą do Cork, ustawiono już połę nad wejściem, ale aktorów jeszcze nie było widać.

— Ciekawe, czy udało się zreperować autobus.

Elizabeth czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, ale za wszelką cenę starała się nad tym panować.

— Chodźmy zobaczyć — zgodziła się Ida.

Widok autobusu stojącego za rogiem zirytował ją na nowo.

— Ciekawe, czy tylko my jedne zdecydowałyśmy się zostać. Hej! Zobacz! Dokąd biegną te wszystkie dzieci?

Elizabeth dosłyszała ciche odgłosy muzyki dochodzące z uliczki, którą właśnie opuściły. Zawróciły. Za rogiem zobaczyły pochód rozpoczynający występ trupy Viviana Mellorsa. Na przedzie szła dziewczyna grająca na akordeonie. Na wolno sunącej ciężarówce jechało pianino, przy którym siedziała kobieta z włosami w odcieniu jaskrawej czerwieni, jakiej używa się do znaczenia sprzętu przeciwpożarowego. Jej wargi i policzki płonęły, na nagich, tłustych ramionach połyskiwało mnóstwo bransoletek, zaś szyję i dekolt oplatała etola z lisów. Obok niej, na stołeczku, siedział niski, korpulentny mężczyzna w białej koszuli z długimi rękawami, w obcisłych spodniach przepasanych granatową szarfą z satyny. Zdawało się, że opiera się o kule.

Za ciężarówką maszerowało dwóch chłopców w przebraniach żołnierzy, a tuż za nimi kroczyła dostojna para. Elizabeth sądziła, że byli to pan Vivian Mellors i diwa trupy. Pan Mellors dobrze trzymał się rytmu marsza. Nosił kostium, w którym równie dobrze mógł grać postać z Szekspira, jak i księdza. Choć na ulicy nie było wielu gapiów, wciąż machał ręką, jakby na prawo i lewo rozdawał błogosławieństwa. Kobieta u jego boku nawet nie próbowała iść do taktu, tylko sunęła jak na kółeczkach, unosząc spódnicę, aby chronić ją przed kurzem. Miała włosy upięte pod siateczką. W chyłym się ku zachodowi słońcu jej długa suknia błyszczała klejnotami i cekinami.

W następnej kolejności szedł Roddy, nowa psia gwiazda Durrow, czyli mały, zapasiony szpic, dyszący na końcu smyczy trzymanej przez puchnącą z dumy właścicielkę.

Suknie następnych dwóch dziewczyn, choć trochę skromniejsze niż kreacja pierwszej damy, również mieniły się i połyskiwały. Jedna panna była wysoka i ładna, ale druga miała zeza. Obie uśmiechały się dzielnie maszerując i do wtóru uderzały w ozdobione serpentynami tamburyny.

Oczywiście uwaga Elizabeth skupiła się na osobie zamykającej pochód. George Gallaher kroczył powoli i uroczyście, a z jego szerokich ramion zwieszał się ciężki, aksamitny płaszcz. Miał przyklejone bujne sztuczne wąsy. Szpada u boku i guziki czerwonego munduru lśniły metalicznie, a nad napoleońskim kapeluszem powiewało wspaniałe strusie pióro. Podobny przepych Elizabeth widziała dotąd tylko raz, pięć lat temu, obserwując biskupów zgromadzonych na Kongresie Eucharystycznym w Dublinie.

— O, Boże — westchnęła obok niej Ida. — Popatrz...

Gallaher zauważył je, gdy tylko się z nimi zrównał: uniósł kapelusz i uśmiechnął się szeroko. Elizabeth przeraziło to wyróżnienie z tłumu. Nie śmiała nawet rozejrzeć się dookoła, żeby

zobaczyć, jakie wywołało reakcje. Z drugiej strony aktor wywarł na niej tak silne wrażenie, że nie próbowała nawet protestować, kiedy Ida pociągnęła ją, żeby wraz z tłumem podążyć za procesją.

Czterdzieści minut później, przy szczelnie wypełnionej widowni, rozpoczęto przedstawienie kilkoma jednoaktówkami, które poprzedzały właściwą sztukę. Napięcie Elizabeth rosło.

Musiała przyznać, że program był bardzo urozmaicony. Mężczyzna ze szczudłem — nie miał jednej nogi — okazał się tenorem o silnym, choć mało subtelnym głosie. Dziewczyna z akordeonem grała popularne piosenki. Pod koniec występu, nagrodzonego rześzystymi brawami, zaczęła szkocką melodię, a na maleńką scenę wkroczył uroczyście George Gallaher.

Zamienił wytworny mundur na kilt. Ułożył przed sobą parę skrzyżowanych mieczy i wykonał wokół nich taniec z rękoma uniesionymi na wysokość ramion. Więcej w tym było euforii niż kunsztu, a zwisający sufit namiotu zmuszał go do tańczenia z pochyloną głową. Ze swego miejsca w jednym z ostatnich rzędów, Elizabeth widziała tylko jego podskakujący tors w samej koszuli, co żywo przypominało jej o bliskim, fizycznym kontakcie sprzed kilku godzin. Serce waliło jej z bolesną siłą.

Jak we śnie oglądała następne punkty programu: zonglującą akordeonistkę, pieśni spirituals w wykonaniu dwu dziewcząt z poczerwionymi twarzami i jeszcze jedną melodię neapolitańską zaśpiewaną przez tenora. Następnie pierwsza dama przedstawiła „Różę z Mooncoin” a sam Vivian Mellors wyrecytował dźwięcznie „Groźnego Dana McGrew”.

Po raz drugi George Gallaher wszedł na scenę w finale, gdy cały zespół odśpiewał „Emira Abdula A Bul Bula” Percy’ego Frencha. Górował nad innymi wzrostem, ale jego głos ginął, zagłuszony przez silnego tenora.

Podczas krótkiej przerwy popędzana przez Idę (Pomyśl tylko, Beth, dziesięć funtów!) Elizabeth kupiła garść biletów na loterię. Wreszcie kurtyna się podniosła.

Publiczność dobrze знаła „Conna Shaughrauna”. Dopingowali bohatera–patriotę, wygwizdali czarne charaktery, zachwycali się, gdy dziewczęta okrążyły mitycznymi, irlandzkimi pierścieniami George’a, czyli bardzo angielskiego kapitana Molyneaux. Kiedy na scenę wskoczył Conn, niosący Tattersa Roddiego, burzliwe oklaski nie pozwoliły mu powiedzieć słowa przez dobrą minutę.

Nawet dla niezbyt doświadczonego oka Elizabeth stało się jasne, że choć niewątpliwie imponujący w postawie, George Gallaher był beznadziejnym aktorem. Gwoli uczciwości trzeba dodać, że także nikt inny, a zwłaszcza tenor, grający zdrajcę Harveya Duffa, nie zdobyłby żadnej nagrody, choć mieli w sobie sporo entuzjazmu i szczerości. Gallaher natomiast pięknie modulował głos i przybierał wyszukane pozy, ale naturalności nie miał za grosz.

Elizabeth poczuła ulgę. Przedtem, chociaż nie chciała się do tego przyznać, zadawała sobie pytanie, dlaczego ktoś tak utalentowany podróżuje po miasteczkach Irlandii ze skleconą naprędce trupą, zamiast występować na scenach Dublina czy nawet Londynu. Przez moment podejrzewała nawet, że może jego kryminalna przeszłość każe mu się ukrywać na prowincji. Jego zupełnie niewłaściwe, choć pełne gracji ruchy dowiodły jednak, że jest tylko przystojnym dyletantem.

Zakończona sztuka — nawiasem mówiąc, okrojono ją do pięćdziesięciu minut — została nagrodzona burzliwymi oklaskami.

— No i co o tym sądzisz? — Ida szturchnęła przyjaciółkę, kiedy czekały na finałowy „skecz”.

— Myślę, że było bardzo dobre — zawahała się. — Moim zdaniem Vivian Mellors świetnie zagrał Conna, a ta kobieta w roli Arte O’Neil...

— Tak — przerwała Ida — ale co sądzisz o naszym znajomym, George’u Gallaherze?

Elizabeth udała, że przypatruje się uważnie deskom w podłodze.

— No, w porządku. Nie jest najlepszym aktorem.

Ku jej uldze George nie występował w finale, slapstickowej komedyjce pełnej lokalnych aluzji, która bardzo spodobała się publiczności. Kiedy było po wszystkim, Elizabeth nie miała ochoty czekać na loterię. Powiedziała, że chce odetchnąć świeżym powietrzem.

— Ja zostaję. Przydałoby mi się dziesięć funtów. Daj mi swoje losy. Zobaczymy się na dworze, dobrze?

Na zewnątrz nie było prawie nikogo, nie licząc paru pechowców, którym zabrakło sześciu pensów na bilet. Krążyli dookoła, starając się przynajmniej usłyszeć to, czego nie mogli zobaczyć. Teraz nie musieli się zbytnio wysilać, bo podczas sprzedaży „ostatnich” losów na loterię, tenor zabisował arią „O sole mio”. Jego donośny głos towarzyszył Elizabeth idącej po ciemnej trawie.

Spod unieruchomionego autobusu wyskoczył kot. Patrzyła, jak pędzi przez drogę i znika w dziurze próchniejącej bramy. Oparła się o chłodny metal, gorączkowo próbując się uspokoić.

Nigdy więcej go nie zobaczysz... Jak ktoś taki może wydawać ci się interesujący? — rozmyślała. On po prostu się tobą bawi... Pewnie robi to samo w każdym irlandzkim mieście...

Piosenka się skończyła. Kiedy zamarły oklaski, Elizabeth usłyszała inne dźwięki, dochodzące z uśpionych domów i podwórek: szczekanie psa, gdakanie kur sadowiących się na grzędach, rzenie konia.

Nie było księżycy. Niebo usiane gwiazdami błyszczało jak kielich odwrócony nad dachami i kominami miasteczka. Na jego jaśniejącym tle warowna brama i mury zamku robiły wrażenie wygrawerowanej dekoracji teatralnej. Podobnie wyglądały zarysy domów, zaznaczone gdzieś kwadratem rozświetlonego okna.

Najlepsza dekoracja nie oddałaby jednak wiejskich zapachów. Choć urodzona i wychowana w Cork, Elizabeth potrafiła rozróżnić aromat irlandzkiego małego miasteczka; trawa, nawóz, siano, konie, lampy parafinowe, kurze odchody i ostry żwir, którym utwardzano drogi — wszystko to razem pachniało słodkawo.

Ani na chwilę nie przestała spoglądać w stronę teatru...

Dostrzegła Gallahera, kiedy tylko poły namiotu uniosły się nad wychodzącą publicznością. Przebrał się już i niósł pod pachą mundur, płaszcz i kapelusz. Ruszył przez trawnik. Nagle zatrzymał się i spojrzał w jej kierunku. Serce w niej zamarło. Zauważył ją?

Widocznie tak, bo zaczął iść w jej kierunku.

— Witam ponownie — powiedział. — Widziałem panią i jej przyjaciółkę. Podobał się wam występ?

— O—ogromnie — zająknęła się Elizabeth. — Dziękujemy za bilety.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Ale, ale, gdzie panna Ida?

Rozejrzał się.

— Została na loterii. Ja... mnie było za gorąco.

Czuła, że plecie byle co i miała ochotę się kopnąć.

— Był pan bardzo dobry — dodała głośnie. — Ja... my... ogromnie podobał nam się pański występ.

— Podobał się też wielu koronowanym głowom w Europie — powiedział z tak jawną ironią, że mogła się tylko uśmiechnąć. — Proszę spojrzeć, jaki piękny wieczór. Nie miałyby pani ochoty na przechadzkę?

— Oczywiście — odrzekła. — Zaraz pójde po...

Ujął ją za rękę i nachylił się.

— Tylko my dwoje. Wystarczy tych papużek nierozłączek.

Mundur czuć było starzyzną jeszcze bardziej niż popołudniowy garnitur, za to jego oddech pachniał miętą.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ida jest bardzo miła i lubię ją, ale to pani mnie pociąga.

Radość i panika walczyły w Elizabeth.

— N—no nie wiem, jak...

— Jak jej to powiedzieć? Proszę zostawić to mnie.

— Nie o to mi chodziło.

— Więc o co, Elizabeth?

Nad jego ramieniem widziała tłum wypełniający trawnik. Za sekundę pojawi się Ida. To, co chciała powiedzieć, zdawało się jej dziecinne i głupie, ot, automatyczne pytanie, dlaczego ktoś taki jak on miałby się nią interesować.

— Elizabeth — odezwał się znowu. — Co chciała pani powiedzieć?

— Ż—że z przyjemnością poszłabym się przejść... — urwała, gdy przed oczami mignęła jej rozwścieczona twarz Idy. — Na krótki spacer — dodała z determinacją.

— Cudownie. Tak dziś ciepło, że możemy pójść nad rzekę. Proszę tu zaczekać, znajdę Idę i jej powiem.

— Drżąc z niepokoju, Elizabeth patrzyła, jak omijał ludzi na trawniku, zatrzymując się czasem, by przyjąć gratulacje. Dojrzała Idę przed George'em. Przyjaciółka stała przed rozświetlonym wejściem do namiotu, rozglądając się na prawo i lewo. Wyraźnie jej szukała. Elizabeth wsunęła się w cień za autobusem jak złodziej. Wreszcie zobaczyła, jak George podchodzi do Idy. Rozmawiali przez chwilę, która zdawała jej się wiecznością. Elizabeth czuła, że nogi się pod nią uginają, kiedy Ida zwróciła głowę w jej kierunku. Odwróciła się zaraz, a Elizabeth skarciła się w duchu:

Przeستاń! Ona nawet nie pomyślałaby o tobie w takiej sytuacji.

Nagle Gallaher objął Idę ramieniem i ruszyli w jej kierunku. Przez moment myślała, że podejda do niej i zrobiła nawet krok do przodu, ale zatrzymali się. George pocałował Idę w policzek i ta, nie spojrzawszy nawet w stronę Elizabeth, poszła w stronę domu, w którym się zatrzymały.

— Co jej pan powiedział?

Pozwoliła mu wziąć się za rękę i pociągnąć wzdłuż krańca trawnika.

— Powiedziałem, że będziemy mieli romans. Dobry wieczór.

Odkłonił się jednemu z przechodniów.

— Niemożliwe!

— Masz rację. Powiedziałem jej, że się w niej zakochałem i nie mogę się doczekać, kiedy się z nią zobaczę, ale najpierw muszę się ciebie pozbyć.

— Panie Gallaher, proszę, co pan naprawdę jej powiedział?

— Dobry wieczór! — spokojny jak jacht pod pełnymi żaglami George odpowiedział na ciekawe spojrzenia grupki obywateli Durrow, kiedy prowadził Elizabeth po placu przed sklepionym mostem, prawie na końcu miasteczka. — O co pani pytała?

— Och, proszę się ze mną nie droczyć. Co jej pan powiedział?

— Piękny wieczór, nieprawdaż?

— Beztrosko uchylił kapelusza przed dwoma młodymi ludźmi, stojącymi na przęśle mostu, którzy porzucili kontemplację rzeki, by na nich popatrzeć.

Wąska ścieżka na drugim brzegu wiła się na skraju pól, parę metrów nad wodą. Z miejsca, w którym stali, Elizabeth dojrzała dwie pary kochanków, którzy usadowili się na brzegu, tuż poniżej ścieżki. Przerazona wyrwała rękę spod ramienia Gallahera. Więc przyprowadził ją tu po to, żeby zrobić z niej publiczne widowisko? Gallaher ujął jej rękę i umieścił na poprzednim miejscu.

— Spokojnie. Jakież to okropne. Niektórzy ludzie nie mają cienia przyzwoitości.

Spojrzała na niego ostro, ale nie mogła dostrzec, czy z niej żartuje.

— Ależ, ja nie miałam na myśli...

— Oczywiście, że miałas. I masz rację. Chodź ze mną.



Szli ścieżką, z dala od miasta. Cisza, jaka między nimi zapanowała, przerywana tylko szuraniem nóg o suchą ziemię, zdawała się Elizabeth podobna do kamienia rzuconego w głęboką wodę. Nie mogła jednak wymyślić żadnej neutralnej uwagi.

Wydawało się, że Gallaherowi to nie przeszkadza. Zeszli ze ścieżki i zbliżyli się do dziwnego, kamiennego pomnika, skierowanego w rozgwieżdżone niebo jak stępiona igła.

— Wiem, że ma zbyt okrągłe kształty i nie za bardzo przypomina obelisk, niemniej jednak nim jest.

Obrócił ją twarzą ku pomnikowi, a sam upuścił mundur i objął ją od tyłu ramionami.

— Halo — szepnął.

Elizabeth stała sztywno w jego objęciach. Myślała, że zaraz eksploduje z napięcia.

— Rozumiem. Co to dokładnie jest?

— Zdaje się, że stoi tu, by upamiętnić śmierć pewnej dziewczyny podczas polowania.

Podniósł ciężki płaszcz i owinąwszy go wokół niej, przyciągnął ją do siebie.

— Mówią, że ona przychodzi straszyć w miejscu, w którym umarła — powiedział grobowym szeptem. — Podobno pojawia się cała w bieli.

— A—aha — uwięziona w płaszczu Elizabeth nie śmiała drgnąć. Wiedziała, że zaraz ją pocałuje. Pilnowała się, żeby nie oblizywać warg. Zaskoczył ją, biorąc ją na ręce i niosąc jak dziecko przez trawę w stronę bliźniaczych jesionów. Niepewna, co robić, leżała sztywno w jego ramionach, a chłodne guziki tarły jej policzek.

— Elizabeth — powiedział, kiedy postawił ją na ziemi — spójrz na mnie.

Twarz okrywał mu cień, ale dojrzała blask jego oczu, kiedy pochylił się, by ją pocałować.

Pocałunek był delikatny, a jego wargi miękkie i łagodne. Nie przedłużył go ani nie wymuszał odwzajemnienia. Odchylił się, by na nią popatrzeć.

— Jesteś piękna. Piękny, żółty kwiatusek — jego głos brzmiał poważnie i czule.

Rozpostarł na ziemi płaszcz między pniami zrosniętych jesionów.

— Chodź, usiądź koło mnie, nie bój się.

Usiadł i pogładził miejsce obok siebie. Jej napięcie sięgało zenitu, zarówno z lęku, jak i... oczekiwania. Uważała, że teraz nie może się już wycofać, nie tracąc twarzy. Przyciągnął ją do siebie, kiedy usiadła. Oparł się plecami o drzewo, z jej głową na piersi.

— Elizabeth, Elizabeth — pieścił głosem to słowo i palcami przeczesywał jej włosy na karku. — Nigdy ich nie ścinaj — szeptał jej do ucha. — W tym świetle wyglądają delikatnie i lśniaco jak płynne srebro.

— Są... są trochę za gęste.

Jej jasnozłote włosy miały lekko rudy odcień i nie dawały się w żaden sposób kręcić ani układać. Czowała, że pod wpływem jego dotyku jeżą się na karku.

— To profanacja.

Całowała się już wielokrotnie przedtem, ale wszystkie poprzednie kontakty z chłopcami były pospieszne i niezdarne. Nie powodowały też takich fantastycznych i odkrywczych doznań.

Kiedy dotykał jej włosów, powoli uspokoiła się. Ujął w dłonie jej twarz i pocałował znowu; dłużej niż za pierwszym razem i nieco bardziej natarczywie, ale z taką słodyczą, że wargi same jej się rozchyliły. Musnął językiem wewnątrz jej ust.

— Elizabeth, najśłodsze stworzenie.

Pocałował ją w szyję, a potem delikatnie, jak skrzydłem motyla, muskał językiem skórę tuż za jej uchem. Plecy Elizabeth wygięły się w łuk i zanurzyła palce w jego gęstych włosach. Za nic nie chciałaby, żeby przestał.

Zsunął głowę z pnia drzewa. Leżał teraz na wznak i patrzył na nią.

— Nie przeszkadza ci to? — szepnął.

Oszołomiona, równie wystraszona jak podniecona, potrząsnęła głową.

— Jesteś pewna?

— Tak.

— W takim razie teraz ty mnie pocałuj, Elizabeth.

Kiedy pochyliła się nad nim, nie dotykał jej, odpowiadając tylko ustami. Nagle, bez ostrzeżenia złapał ją wpół i przeniósł na siebie obejmując jedną ręką jej talię, a drugą plecy.

— Och — jęknęła, zaskoczona.

Natychmiast rozluźnił uścisk i znów głaskał ją jedną ręką po karku.

— Nie bój się, nic się nie stanie. Nie przytrafi ci się nic złego. Chcę cię tylko całować. Pocałuj mnie jeszcze, Elizabeth...

Po chwili przyłgnęła do niego wargami i kiedy znów objął ją mocno, nie opierała się. Poczowała, jak mimo grubej marynarki i płaszcza jego ciepło przenika przez cienką, żółtą sukienkę.

— Tak, właśnie tak — mruczał między pocałunkami. — Prawda że dobrze? Nic strasznego, wszystko ciche i spokojne.

Wodził powoli palcami po kontrafałdzie na plecach sukienki, kreśląc wzdłuż kręgosłupa delikatne linie. Zawsze zatrzymywał się przy tali.

— Sprawia ci to przyjemność?

— Tak — szepnęła z zamkniętymi oczami.

— Poluzujmy więc trochę pasek i będzie jeszcze lepiej.

Czując, że chyba nie powinna, uniosła się, żeby zrobić mu dostęp do sprzączki. Rozpiął ją, błyskawicznie wysunął pasek ze szlufek i położył obok na ziemi.

— Nie lepiej tak? Chodź do mnie...

Znów ułożył ją sobie na piersi i hipnotycznym ruchem palców masował każdy cal kręgosłupa, coraz niżej i niżej, od nasady szyi do samego dołu.

— Będziemy robić tylko to, co sprawia ci przyjemność, Elizabeth. Podoba ci się to?

— Tak — szepnęła, wstydzając się przyznać, jak bardzo.

Teraz leżeli twarzą w twarz; umościł ją wygodnie na swoim ramieniu. Lewą ręką muskał od niechcienia jej plecy, a później, uważnie patrząc w oczy, delikatnie uniosł jej spódnicę i zaczął gładzić nogę, opiętą w pończochę.

— Nic, czego byś nie chciała, Elizabeth — szepnął. — Pamiętaj o tym.

Skinęła głową i ukryła twarz w marynarce na jego ramieniu. Nie pojmowała, jak to w ogóle możliwe, ale sposób, w jaki dotykał jej nogi, sprawiał jej chyba jeszcze większą przyjemność niż masaż pleców. Wciąż z niezwykłą delikatnością głaskał ją po udzie, wodząc ręką coraz to wyżej, póki nie dotarł do skrawka nagiej skóry między pończochą a majtkami.

— Ojej, a cóż my tu mamy — zdziwił się z szerokim uśmiechem — prawdziwa skóra!

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przeniósł dłoń z powrotem na jedwabną pończoszkę.

— Nie szkodzi.

Skandaliczne słowa wymknęły jej się, zanim jeszcze zdała sobie sprawę, że przyszły jej na myśl.

— Jesteś pewna?

Opuszkami palców pieścił kawałek nagiego ciała tak, jakby było skorupką jajka. Znowu skinęła głową ukrytą w połach marynarki i nagle poczuła pstryknięcie rozpinanej podwiązki.

— O! A jak to się stało? — zapytał żartobliwie. — Mam zapiąć z powrotem?

— Jeśli chcesz...

— A czego ty chcesz?

— Nie musisz zapinać. Nie przeszkadza mi.

— Ptak nigdy by nie fruwał z jednym skrzydłem, prawda? Nie warto mieć tylko jednej...  
Dobrze?

— Elizabeth poczuła, jak jego palce szukają drugiej podwiązki. Wreszcie i ta puściła, a uwolniona pończocha zsunęła się do pół uda. Ściągnął ją aż do kolana i wrócił do głaskania.

— Tak jest dużo lepiej, prawda? Masz piękne nogi, nie powinnaś ich ukrywać nawet pod jedwabiem. Może zdejmujemy i drugą?

Usiadła i zsunęła obie pończochy. Palce jej drżały.

— Elizabeth — szeptał — nie denerwuj się, proszę. Chcę tylko sprawić ci przyjemność. To wszystko. Masz...

Podniósł się, rozpiął marynarkę i zawinął w nią Elizabeth. Zrobił to stanowczo, lecz delikatnie, jakby była ptakiem, a jej uwięzione ramiona — skrzydłami. Kołysał ją.

— Tak, właśnie tak. Dobrze ci? Właśnie tak, mój mały, żółty kwiatuszku.

Pocałował ją w czubek głowy. Niemal bezwiednie ramiona Elizabeth objęły go za szyję. Poszukała go wargami. Pocałowali się namiętniej niż poprzednio, a jego język śmiało poruszał się w jej ustach. Uniósł ją znowu. Siedziała mu teraz na udach, ściskając kolanami. Zdjął ręce z jej pleców i wsunął pod sukienkę. Objął jej pośladki.

— Dobrze ci? Wygodnie?

Zamknęła oczy i pocałowała go, a kiedy poczuła, że włożył palce za gumkę jej majtek i zaczął zsuwać, nie zrobiła nic, by temu zapobiec. Miał wielkie dłonie i Elizabeth czuła, że przykrywa ją całkowicie, kiedy najpierw ugniatał jej biodra i pupę, a potem wodził nimi to tu, to tam, w każdym miejscu rozpalając ogień. Dotykał jej boków i pleców, ramion i piersi, tak że po krótkiej chwili nie mogła złapać tchu i przywarła do niego, jakby był źródłem tlenu. Kiedy zepchnął ją z siebie i rozciągnął na plecach, tak boleśnie odczuła rozdzielenie, że aż się skuliła. Delikatnie wyprostował jej kolana, żeby tym łatwiej rozpiąć jej sukienkę. Pomogła mu ściągnąć ją z ramion, sama zaś zsunęła ramiączka halki i stanika. Obnażył jej piersi i objął je dłońmi.

— Piękne — szepnęła, trzymając je przez moment, zanim pochylił się, by przesunąć językiem po wgłębieniu między nimi.

Potem okrył je drobnymi pocałunkami, ściskając zębami wezbrane sutki. Przyjemność, jaką odczuwała Elizabeth, graniczyła niemal z bólem. Wstał zwinnie. Matczynym gestem uniósł jej pupę i jednym, błyskawicznym ruchem ściągnął z niej majtki. Zanim zdążyła zareagować, znów całował jej piersi, lecz tym razem dreszcze przeszywające jej ciało brały się również z nieznanego dotąd doznań: jego palce ślizgały się w kremowej wydzielinie miejsca, które jej matka nazywała „tam na dole”.

— O, Boże — krzyknęła z bólu, przyjemności i wstydu. To przekraczało jej wytrzymałość.

— Cii... — uspokajał ją, ale nie przestał. — Cicho, przestaniemy, kiedy tylko zechcesz.

Chociaż miała zamknięte oczy, wyczuła, że zmienił pozycję: był teraz tuż nad nią. Słyszała, że oddychał szybciej.

— O, Boże!

Zasłoniła ręką oczy, jakby chcąc odparować nadchodzący cios. Poruszał palcami coraz szybciej, równocześnie jak wąż suwając językiem wzdłuż jej szyi i piersi.

— Chcesz, żebym przestał, kochanie? Powiedz, jeśli chcesz, żebym przestał.

— Nie, nie — prawie płakała.

— Rozsuń trochę nogi...

Poczuła, jak zdradzieckie uda rozsuwają się niemal wbrew jej woli.

— Moje małe kochanie — szepnęła ochryple — jeszcze trochę szerzej...

Usłuchała. To, co robił, coraz bardziej ją rozpalało. Pocałował ją w usta i kiedy oddawała pocałunek poczuła, jak jego palce zostają zastąpione czymś grubym, chłodnym i suchym.

— Proszę! — krzyknęła.

— Powiedziałem, że nie zrobię niczego, czego nie będziesz chciała.

Jego piękny głos załamywał się. Oddychał ciężko.

— Nie, wszystko dobrze. Tylko ja...

— Wiem. Będę bardzo, bardzo delikatny... Jesteś taka piękna. — Klęczał między jej rozsuniętymi kolanami i zamknął jej usta pocałunkiem. Kiedy poczuła, że napiera mocniej, przywarła do niego.

— Chcę, chcę, ale tak się boję...

— Nie bój się, nie ma czego, moje małe słodkie — chanie. Pomógł sobie ręką.

— Jesteś cudowna. To normalne, że się denerwujesz za pierwszym razem, ale jesteś cudowna, jesteś...

Zaskomlała, kiedy dostał się do środka. Znieruchomiał.

— Teraz wszystko będzie dobrze, nie bój się, nie będzie bolało. Pocałuj mnie!

Kiedy oddawała pocałunki, jej namiętność wróciła. Jęknęła, gdy uniósł się, by pocałować jej piersi.

— Sprawiam ci ból? — znowu znieruchomiał.

— Nie, wszystko w porządku.

— Dobrze, moje kochanie, świetnie dajesz sobie radę.

Zaczął się poruszać i chociaż trochę bolało, przyłączyła się do niego, wciąż szybciej i szybciej. Nagle sztywniał jak deska. Otworzyła oczy, kiedy wycofał się z niej i zatrząsł cały. Po raz pierwszy opuścił się na nią całym ciężarem, tak że ledwie mogła oddychać. Tuliła go mocno. Jego ciałem wstrząsały spazmy a gorący płyn pokrył jej brzuch, tuż pod uniesioną halką i sukienką.

Kręciło jej się w głowie: wszystko stało się tak nagle, co ma teraz robić? Pełne wyrzutu twarze Idy, matki, sióstr zakonnych, które ostrzegały ją przed takimi rzeczami — wszystko przesuwało się przed nią, kiedy szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w koronkę z liści na tle gwiazd ponad głową George'a Gallahera.

Poczuła, że się uspokoił, i pogłaskała go; zdawało jej się, że tak powinna postąpić. Zsunął się z niej i przez parę chwil leżał obok, ciężko oddychając. Bardzo chciała się okryć, ale bała się, że go obrazi.

— Nic ci nie jest, Elizabeth? — zapytał, nie patrząc na nią.

— Nie.

Teraz chciało jej się płakać. Wyjął z kieszeni zmiętoszoną chusteczkę i, opierając się na łokciu, wytarł z czułością jej brzuch.

— Powinienem może zapytać, czy było ci dobrze, ale wiem, że to nie bardzo możliwe. Nie bolało cię przynajmniej? Nic cię nie boli? Tutaj?

Delikatnie dotknął jej między nogami.

— Troszeczkę.

Oczy miała pełne łez i odwróciła głowę. To nie był ból, tylko raczej nagłość, z jaką wszystko nastąpiło i raptowny koniec. I niepewność. Elizabeth nie umiała tego określić, ale uczucie opanowało ją i rosło z szybkością błyskawicy.

— Zaczekaj chwilę.

Podniósł się i poprawiając spodnie zniknął jej na moment z oczu. Leżała bez ruchu, bo wciąż zdawało jej się, że inaczej wyda się niegrzeczna. Wrócił z chusteczką ociekającą wodą.

— Zamoczyłem ją w rzece — wyjaśnił, klękając przed nią. — Proszę — delikatnie umieścił chusteczkę między nogami Elizabeth. Zadrżała przy zetknięciu z zimną wodą, ale poczuła się czysto i dobrze.

— Następnym razem będzie lepiej, a potem jeszcze lepiej, obiecuję.

Skończył ją myć, a potem wyrzucił chusteczkę w krzaki. Delikatnie nakrył ją sukienką i pocałował w policzek.

— Jesteś urodzona do tego, będziesz to uwielbiać. Poczekaj tylko, a zobaczysz.

Nie mogła już powstrzymać łez.

— Przepraszam — wyjąkała, upokorzona swoim brakiem doświadczenia.

Przyciągnął ją do siebie i utulił.

— Chodź tu, chodź tu. Nie płacz, co się dzieje? Nie płacz, proszę. Jeżeli się martwisz, że mogłaś zajść w ciążę, to całkiem niepotrzebnie. Bardzo uważałem.

Tej możliwości nie brała pod uwagę. Podwójnie przerażona patrzyła na niego załzawionymi oczyma. Opacznie ją zrozumiał.

— Wycofałem się w porę — wyjaśnił, ujmując ją za rękę. To się nazywa *coitus interruptus*.

Elizabeth poczuła, że nie ma nic do stracenia.

— Nie o to chodzi — powiedziała. — Tylko o to, że ty teraz odejdziesz. Zrobiłam to z tobą, oddałam ci się, a ty... — a ty odejdziesz.

Łzy znowu napłynęły. Poglądził ją po policzku.

— Czekaj cię jeszcze wiele wspaniałych chwil, Elizabeth, i nawet o mnie nie wspomnisz. Obiecuję, nawet nie wspomnisz. Taki stary łajdak jak ja. Jesteś młoda i piękna.

Kołysał ją, a łzy wstydu i niedosytu paliły jej twarz. Opanowała się po chwili.

— Już w porządku — wymamrotała.

— Dzielna dziewczynka — pocałował ją. — No, rozchmurz się, spójrz na wszystko od jaśniejszej strony.

Odsunął ją trochę od siebie i zaczął zapinać guziki sukienki.

— Teraz masz okazję powiedzieć mi, co naprawdę myślałaś o moim występie. Na przykład mój taniec. Na pewno taniec z mieczami zrobił na tobie duże wrażenie. Wspaniały, prawda? Powiedz szczerze.

Jego dobry humor był zaraźliwy i do tego zrobił taką minę, że wybuchnęła śmiechem.

— No...

— Czy sądzisz, że mam przyszłość w balecie?

— Bez wątpienia.

Elizabeth wytarła oczy. Zerwał się na nogi.

— Chodź, zatańczmy!

— Co, tutaj?

— Czemu nie? Prywatny, zielony parkiet Pana Boga.

Wyciągnął ramiona. Rozbawiona Elizabeth wstała i wygładziła sukienkę.

— Madame! — powiedział stukając obcasami i wziął ją w ramiona. — Raz–dwa–trzy, raz–dwa–trzy.

Przy cichym wtórze rzeki wyprowadził ją w powolnym walcu spod drzew na otwartą łąkę. Wieczorny występ ze skrzyżowanymi mieczami nie oddał sprawiedliwości tanecznym umiejętnościom George'a Gallahera. Z szelestem zataczali szerokie koło. Prowadził ją z takim wyczuciem, jakby z góry wyczuwał jej ruchy. Kiedy ją korygował, zdawało się, że okleja kostki jej dłoni i rzeźbi jej kręgosłup tak, aby złała się z nim w jedno. Taniec stał się naturalny jak oddychanie. Sukienka niczym ciepłe mleko ocierała się o jej gołe nogi.

Rozkoszując się tym, Elizabeth powoli zapomniwała o niecodziennym otoczeniu. Zawsze uwielbiała tańczyć. Teraz zamknęła oczy i pozwoliła się unosić jak mgiełka nad chłodną, wilgotną trawą. W ramionach George'a czuła się zwiewną wróżką z ilustracji książek Mabel Lucy Atwell, które kochała jako dziecko. Gallaher zanucił:

...słodkiej Alice niebieską sukienkę  
Z pierwszego spotkania pamiętam...

Ta stara melodia przywiodła jej na myśl pewne zdarzenie z dzieciństwa, dawno zapomniane w zakamarkach pamięci. Obudziwszy się pewnej nocy, wydostała się z łóżeczka i powędrowała na dół, szukając pocieszenia. Ciągnąc za sobą Thumpera, swoją szmacianą lalkę, przebyła bezkresną przestrzeń zimnego, ciemnego korytarza i, słysząc muzykę, otworzyła drzwi salonu. Przy pianinie siedziała matka, ubrana w zwiewną, niebieską sukienkę, a zasłuchany ojciec siedział na pufie u jej stóp. Kiedy ją zobaczyli, podnieśli się i podbiegli z otwartymi ramionami...

Oprócz tego gorzko-słodkiego wspomnienia nie pamiętała nic więcej, ale teraz, rozemocjonowana, musiała znów wtulić twarz w marynarkę George'a, żeby ukryć napływające łzy. Gallaher w odpowiedzi zniżył głos jeszcze bardziej, aż piosenka zmieniła się w jej uszach w szereg przydźwięków; przypadkowe tony dalekich organów. Zwolnił się też krok walca, a George tulił ją, jakby była figurką z chińskiej porcelany.

Piosenka zamilkła, ale jeszcze przez kilka sekund stali objęci. Potem odsunął się i spojrzał na nią z góry.

— Słodkiej Elizabeth żółta sukienka... — powiedział. — Będziesz o mnie pamiętać?

Niemal uwierzyła, że posmutniał. Ale wiedziała swoje i postanawiając nie płakać więcej, oderwała się od niego i udała, że przygląda się domowi po drugiej stronie rzeki. Podeszedł i stanął koło niej, opierając sobie jej głowę na piersi.

— Teraz jest tu szkoła zakonna Castledurrow — powiedział wesoło i Elizabeth starała się podzielić jego nastrój. — Mam nadzieję, że żadna z dobrych siostrzyczek nie patrzy na nas teraz i nie wyobraża sobie, że biała dama znalazła towarzysza.

— Zobaczę cię jeszcze kiedyś?

Nie chciała więcej żartów i słowa wyrwały jej się, nim zdążyła pomyśleć.

— *Malesz* — powiedział cicho. — To po arabsku. Znaczy „jeśli Allah zechce”.

— A ty chcesz?

Elizabeth słuchała swego głosu, jakby mówił ktoś obcy.

— Jestem nomadem. Nic ze mnie dobrego. Nie rozpaczaj za mną.

Nie znalazła w nim śladu aktorskiej maski, kiedy ujął dłońmi jej twarz. Przygarnął ją i pocałował z czułością.

— Jestem dla ciebie za stary. Młode kobiety potrzebują młodych mężczyzn. Ale naprawdę cieszę się, że to ja spędziłem z tobą tę noc. To, co zrobiliśmy, było piękne. Nigdy nie pozwól nikomu, by wmawiał ci coś innego. Mam tylko nadzieję, że zapamiętasz moją delikatność i nie będziesz się więcej bać. Przyjemność to rzecz dozwolona. Mężczyźnie i kobiecie wolno się kochać, Elizabeth.

## ROZDZIAŁ 3

Przez następne siedem tygodni od spotkania z George'em Gallaherem, Elizabeth poznała niemal na pamięć zarówno „Conna Shaughrauna”, jak „Morderstwo w czerwonej stodole”, „Wschodnią Lynne”, „Gazową lampę”, „Lilię z Kilarney” i wiele innych sztuk i melodramatów z repertuaru Trupy Objazdowej Viviana Mellorsa.

Zapoznała się również z rozkładem jazdy i niedociągnięciami każdej linii autobusowej w Munster. Wbrew jawnemu niezadowoleniu rodziców w każdy weekend jeździła tam, gdzie aktualnie znajdowała się trupa: do Kilkenny, Waterford, Tepperary i wreszcie do samego hrabstwa Cork. W Middleton wygrała nawet drugą nagrodę na loterii i wydała dwa funty na prezent dla Gallahera: małą kasetkę podróżną z zestawem buteleczek z cynowymi nakrętkami, na jego pomady i wody kolońskie.

Nie tylko rodzice wyrażali dezaprobatę. Z początku także Ida próbowała wyperswadować Elizabeth tę wariacką namiętność. Po owej pamiętnej nocy trzeba było dobrych paru dni, żeby wróciła między nimi dawna przyjaźń. Po kilku tygodniach Ida wyznała, że choć Gallaher odrzucił ją w sposób ogromnie ujmujący, wzbudził w niej wściekłą zazdrość. Podczas ich dwuminutowej rozmowy George dał jej do zrozumienia, że nie dokonuje wyboru między nią a przyjaciółką, lecz jedynie apeluje do niej jak jeden światowiec do drugiego. Szalenie jej tym pochlebił. Nie mogła protestować, żeby nie wyjść na prowincjuszkę.

Trzeba przyznać, że przez jakiś czas nawet Gallaher próbował zniechęcić Elizabeth, choć robił to bez przekonania.

Gdy zobaczył ją w namiocie w kolejny sobotni wieczór, stanął jak wryty. Poszli „porozmawiać”, jednak skończyło się na tym, że przemycił ją do swojej przyczepy. Tak właśnie zaczął się pierwszy romans w życiu Elizabeth.

Przez siedem czarownych tygodni nie potrzebowała snu i niewiele jadła. Tryskała energią — nawet pracownicy w biurze jej ojca zauważyli, że robota pali jej się w rękach. Również poza pracą musiało emanować z niej coś niezwykłego, bo chłopcy na posyłki, urzędnicy, sprzedawcy, nawet listonosz, słowem wszyscy mężczyźni od siedemnastego do sześćdziesiątego roku życia, zalecali się do niej bez ogródek.

Teraz, podczas ostatniego przedstawienia w Mallow, siedziała w ostatnim rzędzie, ściskając pożegnalny prezent: parę spinek do mankietów z wygrawerowanymi maskami tragedii i komedii. Wstydziała się trochę dawać mu coś tak banalnego, ale przeszukała całe Cork, poświęcając na to wszystkie przerwy obiadowe zeszłego tygodnia i nie znalazła nic oryginalniejszego.

Jakie to ma znaczenie — pomyślała i ogarnęła ją fala gorczy.

Niebawem i tak wszystko dobrnie do fatalnego końca. George Gallaher wraca do Anglii i Bóg raczy wiedzieć, kiedy się znów zobaczą.

Padał deszcz i bębniące krople oddalały zgromadzonych od świata na zewnątrz. Elizabeth rozglądała się dookoła starając się zachować w pamięci wszystkie szczegóły tej nocy.

Wpatrywała się w wiązania namiotu, maszty, maleńką scenę ledwie parę centymetrów nad drewnianą podłogą, kolorowe reflektory, żywe barwy kurtyny, wirującą kulę, która rzucała refleksy świetlne na twarze widzów, niewygodne, składane ławki i pojedynczy rząd krzeseł na przedzie dla kleru i miejscowych notabli; uróżowane policzki aktorek, a nawet wybrzuszoną łatę na płótnie tuż nad jej głową. Zapamiętywała dźwięki: donośne, śpiewne głosy aktorów, rozstrojone pianino, mokry kaszel siedzącego obok mężczyzny. Także zapach silnika Diesla napędzającego

prądnicę, kulek na mole i zleżającego płótna. Przez mokre ubrania i ciepło ściśniętych ludzi w namiocie zrobiło się równie wilgotno jak na dworze.

Na scenę wkroczył kapitan Molyneaux i wszystkie niewieście serca zabiły szybciej. Elizabeth nie mogła się już skupić. Ida, nadając mu przezwisko „Wspaniały George”, wiedziała, co mówi.

Widząc go po raz ostatni na scenie, poczuła, jak rozrywa ją duma, zazdrość i rozpacz. Inne kobiety mogły patrzeć i marzyć do woli, ale ten mężczyzna należał do niej. Spędzą razem dzisiejszą noc. Dostała gęsiej skórki na samą myśl o tym, co będą robić, ale smuciła się, że nazajutrz musi go utracić.

To prawda, George nigdy niczego nie obiecywał. Wręcz przeciwnie, starał się uchodzić w jej oczach za jak najmniej atrakcyjnego. Na przykład powiedział jej kiedyś, że ma pięćdziesiąt lat, nigdy nie wspominał o przyszłości ani o żadnym życiu poza teatrem. Ona z kolei, bojąc się odpowiedzi, nigdy nie pytała.

Z początku beztrudnie podejdzie reszty trupy (wszyscy zdawali się akceptować weekendową towarzyszkę George<sup>^</sup> bez komentarzy) sprawiło, że niemal uwierzyła, że wie normalne życie. Kochanie się odczuwała jako coś tak naturalnego i właściwego, że aż zadziwiła samą siebie. Nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia. Odkryła nawet, że bardziej od tego, co robi, zawstydza ją zupełna obojętność na grzech śmiertelny, jakim obarczała swoją duszę. Mówiła sobie beztrudnie, że postępuje całkiem niewinnie.

Mimo to podczas niedzielnych mszy świętych przestała chodzić do komunii. Spowiedź bez zamiaru zadośćuczynienia nie miała sensu, a Elizabeth zamierzała kochać się z George'em tak długo, jak się da. W jego obecności wszystkie wątpliwości zniknęły i liczyło się tylko to, że istniał. Miłość stała się jedynym sakramentem.

Teraz nadchodził czas rozliczeń. Zacisnęła palce na pudełku ze spinkami.

Wstała z miejsca, gdy tylko sztuka się skończyła. George nie występował w finałowej humoresce i choć musiał wrócić na loterię, obiecał jej, że spędzą razem każdą wolną chwilę.

Elizabeth знаła już zasady pracy trupy. Wychodząc z nią tamtej nocy, George naraził się Mellorsowi. Każdy członek zespołu, niezależnie od pozycji na liście płac, miał obowiązek brania udziału we wszystkich czynnościach: od stawiania namiotu, noszenia dekoracji, pakowania i rozładunku przez sprzedaż biletów i reklamę, aż po cerowanie płótna i sprzątanie. Pochlebilo jej, że ryzykował dla niej pracę, ale uznała, że więcej nie powinien tego robić. Teraz sama włączała się do pomocy.

Na dworze padało coraz bardziej, więc otworzyła parasolkę. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, odsunęła się od trójkąta światła padającego od wejścia. Wtuliła się w połę namiotu. Miała przed sobą płaskie pole i las po drugiej stronie drogi do oddalonego o milę miasteczka. Na tle przygłuszonej muzyki i śmiechów, czarne drzewa z naprzeciwka zdawały się sunąć ku niej nad szosą. Wzdrygnęła się i opuściła parasolkę tak, żeby widzieć tylko pręty i napięte płótno.

— Halo! Czy wystarczająco mokro dla pani?

— Nie jestem żabą — odparła odruchowo. — Och, George! — Upuściła parasolkę i zarzuciła mu rękę na szyję.

— Hola! — zaprotestował, uciekając z jej objęć. — Schowajmy się gdzieś. Tam!

Wskazał na pojazdy trupy, zaparkowane na polu, dziesięć metrów dalej. Podniósł parasolkę i osłonił Elizabeth przed deszczem.

— Chodź!

W połowie drogi pośliznęła się na krowim placku, ale złapał ją w porę.

— Tutaj, szybko! — Otworzył drzwi ciężarówki i pomógł jej wsiąść. Posunęła się, by zrobić mu miejsce.

— No — zatrzasnął drzwi — tak lepiej.



Uśmiechali się do siebie przez moment, ale Elizabeth nie mogła już dłużej udawać. Jego bliskość zwiększyła tylko poczucie żalu. Spuściła oczy; nie chciała, żeby ją widział w takim stanie. Przeszło jej przez myśl, że wolałaby nigdy go nie spotkać, niż cierpieć tak jak teraz.

— Wszystko w porządku?

Ujął ją pod brodę. Skinęła nie podnosząc oczu.

— Nie bardzo? Co się dzieje?

Zezłościła się bezsensownie.

— Jeszcze się pytasz?!

— Słuchaj, znałaś zasady. Nie mogę...

— Znałaś, znałaś...

Rzuciła mu wściekle spojrzenie, ale zaraz spokorniała.

— Och, George, przepraszam, przepraszam... Proszę cię, już sama nie wiem, co mówię. Oczywiście, że znałam. Od samego początku. Tylko tak bardzo bym chciała...

Oplotła go ramionami i zamilkła. Czego by chciała? Żeby zabrał ją ze sobą? Może nawet się z nią ożenił? Chciałaby rzucić pracę i włączyć się po Wyspach Brytyjskich za wędrowną trupą? Nie wiedziała nawet, co George Gallaher robi zimą.

— Czego byś chciała, Elizabeth?

— Żeby nie było tak jak teraz. Jesteś całym moim życiem.

Znów zaczęła szlochać mu w rękaw.

— Ależ nie, kochanie. Jestem tylko pierwszą częścią twojego życia. Podniecającego i cudownego jak ty.

Odsunęła się, na nowo rozgniewana.

— Skończcie wreszcie z tymi wielkimi słowami. Choć raz w życiu mów normalnie, a nie tak... tak...

— Jak? — spytał po chwili. — Jak? Wyduś to z siebie.

Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy się klóć. Spojrzała na niego z przerażeniem.

— Trzeci raz pytam: jak? Dotąd podobało ci się to, co mówię.

— Tak, to prawda...

Zauważyła, że deszcz pada w dwugłosie: inaczej uderza o szybę, a inaczej w dach.

— Przepraszam, George, bardzo przepraszam.

Uśmiechnął się.

— Jesteś przewrażliwiona. To zrozumiałe zważywszy na to, że ostatnio masz tak bliski kontakt ze sztuką przez duże S.

Zauważyła, że George uważnie jej się przygląda, więc dumnie podniosła głowę.

— Rzeczywiście — powiedziała najłżejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć. — Szczególnie, jeśli weźmiemy pod uwagę kreacje gwiazdy.

— Sądzę, że wspominasz o panu Mellorsie?

— Nie, mówię o niejakim panu Gallaherze.

Z trudem udało mu się skłonić w ciasnej szoferce.

— No tak. Podobnego zdania było...

— ...wiele koronowanych głów w Europie — dokończyła. Przetarła szybę, próbując coś dojrzeć przez strumienie deszczu.

— Czy wiesz, że święty Patryk założył się z Panem Bogiem, że Irlandia zatonie siedem lat przed resztą świata? Może się właśnie zaczęło.

Rzuciła na niego okiem. Uśmiechnął się, więc niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

— A ty wiedziałaś — odrzekł, podejmując grę — że Vivian Mellors naprawdę nazywa się Sid Thornberry?

— Nie wiedziałam, ale mnie to nie dziwi.

Wziął ją w ramiona

— Chodź tu, głupiutkie małe stworzenie.

— Nie jestem głupia!

— A ja nie mam pięćdziesięciu lat.

— Co? Powiedziałeś, że masz.

— Tylko po to, żeby cię zniechęcić, obronić przed sobą. Widzisz, naprawdę jestem zdolny do wyższych uczuć. Jeśli pamiętasz, powiedziałem tylko, że dobijam do pięćdziesiątki. To, że faktycznie mam pięćdziesiąt, dośpiewałaś sobie sama.

— No, dobrze. To ile masz lat? — Elizabeth poczuła odrobinę nadziei. Może jednak miał zamiar poprosić, żeby z nim została.

— Czterdzieści sześć.

Umościła się wygodniej na jego ramieniu, trawiąc tę informację. Jej nadzieja zgasła.

— Wobec tego nie jesteś stary — powiedziała powoli. — Czemu mi o tym mówisz? Co to za różnica?

— Jestem dwa razy starszy od ciebie — szepnął jej we włosy. — Ponad dwa razy. Chcę być z tobą szczerzy.

— To nie wszystko, prawda?

Instynkt ostrzegł ją, że jeszcze coś na nią czeka.

— Co masz na myśli?

— Przestań udawać, George, nie mamy czasu. Nie chodzi tylko o twój wiek. Znowu mnie ostrzegasz.

— Tak?

— Tak.

Czekała.

— Nic podobnego. Wymyślasz sobie.

Próbował rozciągnąć jej dekolt sukienki, żeby pocałować ją w ramię, ale go odtrąciła.

— George, powiedziałeś, że chcesz być szczerzy.

Odsunęła się. Przyjrzał się jej przez moment, a potem odwrócił wzrok.

— Nie doceniałem cię.

— Powiedz mi, George, na miłość boską. Zaslługuję na to.

— Sama zgadniesz, jeśli się dobrze zastanowisz.

— Chcę to usłyszeć od ciebie.

W ciszy, która zapanowała między nimi, deszcz huczał jak werbel. Elizabeth usłyszała też inny dźwięk, podobny do syku, jakby powietrze znad jego głowy rozwinęło się i podpełzło owinąć jej szyję. Czekala, obserwując walkę malującą się na jego twarzy. W końcu odezwał się, niemal niegrzecznie:

— Jadę do Ameryki, Elizabeth. Na zawsze. Do Hollywood, żeby spróbować dostać się do filmu. W Anglii też pojawiają się nowe możliwości. Wiesz, że BBC zaczęło nadawać także dźwięk w tej nowej technice telewizyjnej?

Wpatrywała się w niego, doskonale zdając sobie sprawę, że George improwizuje. Z całą pewnością miał zamiar powiedzieć coś innego. Jedno zdawało się jasne: to pożegnanie. Harmonijne dotąd dźwięki deszczu przemieniły się w kakofonię. Bezwiednie odsunęła się od niego tak daleko, że aż klamka wbiła jej się w plecy.

Godność. Musi zachować się z godnością.

— Cóż, gratuluję — powiedziała. — Wspaniały pomysł. Życzę ci powodzenia z całego serca.

— Elizabeth, posłuchaj, przykro mi.

Próbował przyciągnąć ją do siebie, ale bez skutku. Spojrzała mu przez ramię.

— Mnie także jest przykro. Spójrz, przedstawienie się skończyło, ludzie wychodzą.

— Niech wychodzą. Musimy porozmawiać.

Tym razem dała się wziąć w ramiona, uległa jak wosk.

— To nie ma żadnego wpływu na wszystko, co było między nami przez ostatnie parę tygodni — mówił. — Musisz mi wierzyć, Elizabeth. Robiliśmy coś bardzo specjalnego.

Elizabeth odsunęła się. Jej głos brzmiał niemal zupełnie obojętnie, kiedy grzebała po kieszeniach.

— A, przy okazji... to dla ciebie...

Wziął pudełeczko, ale nawet nie rzucił na nie okiem.

— Elizabeth.

— Tak?

Powstrzymywała rosnący gniew.

— Czy możesz spojrzeć na tę sytuację z mojego punktu widzenia?

— Oczywiście. Wyjeżdżasz, nie powiedziałeś mi nic, nie mam prawa wiedzieć. Czuję się jak ostatnia idiotka. To wszystko.

— Nie, to nie tak. Daj mi rękę...

— Nie!

Jej gwałtowność przestraszyła go trochę, ale zdecydowanym ruchem zdjął jej zaciśniętą dłoń z kierownicy.

— Co się zmieniło? Ja jestem taki sam, ty jesteś taka sama...

— Co się zmieniło?! Chyba żartujesz.

Jego bezczelność prawie ją śmieszyła.

— Naprawdę wydawało ci się, że możemy to ciągnąć? Może nawet się pobrać? — mówił dalej nie zbity z tropu. — Pomyśl tylko Elizabeth, jakie życie miałybyś ze mną?

— Takie samo, jak każda inna żona aktora.

Podwójnie wstrząśnięta gwałtownie przetarła oczy, żeby się nie rozplakać. Przyłapał ją na tym, że faktycznie miała jakieś nadzieje na przyszłość.

— Kiepski żart, Elizabeth.

Kiedy spojrzała na niego pytająco, wyjaśnił:

— Sarkazm, to do ciebie niepodobne.

Zawrzała gniewem. Wyrwała mu dłoń i złapała za klamkę.

— Idę stąd.

Klamka z trzaskiem urwała się i została jej w ręku. Patrzyła na nią, a wielkie nie skrywane łzy upokorzenia spływały jej po policzkach. Czegóż się spodziewała? Od początku wiedziała przecież, że po sezonie George wyjedzie z Irlandii i dotąd udawało jej się podchodzić do sprawy na trzeźwo.

Wcale nie — cichy głosik sęczył się jak trucizna gdzieś z tyłu głowy. — Zawsze miałaś nadzieję, że wszystko będzie trwać.

— Dzięki składajmy Bogu za to, że stworzył stare gruchoty — powiedział George, łagodnie wyjmując jej klamkę z ręki. — Teraz jesteś moim więźniem. Chodź, pocałuj mnie. Wybaczysz mi, Elizabeth? Tak bardzo cię pragnąłem, ale bałem się, że uciekniesz ode mnie, jeśli poznasz prawdę. Nie chciałem psuć tego cudownego lata. Dasz mi buziaka? Nie chcę, żebyś się złościła.

To powiedz, że zabierzesz mnie ze sobą. — Ugryzła się w język, zanim wymknęły jej się te słowa.

— Odczep się.

Odepchnęła go bezlitośnie, nie wiedząc, czy bardziej wścieka się na niego, czy na siebie. Przez moment patrzył na nią ze spokojem. Potem przyjrzał się trzymanej w ręku kłamce i położył ją na siedzeniu między nimi.

— Jestem tylko sobą kochanie. Niczego ci nie obiecywałem, przecież pamiętasz.

*...bowiem także przyczyną twego uwielbienia  
Staną się kiedyś nawet moje niestałości,  
Skądże cię ukochać umiałbym tak mocno,  
Gdybym nad wszystko samej nie cenił miłości...*

Łatwość, z jaką przytaczał cytaty, sprawiła, że ze wściekłości zrobiło jej się ciemno przed oczami.

— Jeszcze jedno: jesteś trywialny. Masz coś do powiedzenia na każdą okazję, ale to tylko słowa. Skąd ich tyle bierzesz? Pewnie siedzisz nocami i uczysz się tej poezji Szekspira...

— Gwoli ścisłości: Richarda Lovelace'a...

— Nie obchodzi mnie, czyje to jest! — krzyknęła. — Może być nawet Huna Attyli! Zamknij się, zamknij...

Pozwolił jej płakać przez kilka minut, a potem dotknął jej ramienia. Odtrąciła go, ale nie ustąpił. Broniła się uporczywie, lecz kiedy zaczął gładzić ją po karku, złagodniała.

Przechesował jej włosy palcami tak? samo jak pierwszej nocy pod zamkiem Castledurrow.

— Moja dziewczynka — mruczał. — Nie psujmy tych ostatnich paru godzin.

Odgarnął jej włosy i dotknął językiem wrażliwej skóry za uchem. Poczuli, że wbrew jej intencjom złość ustępuje pożądaniu.

— Och, George — szepnęła — co ja teraz pocznę?

— Zostaw ten problem na jutro — powiedział. — Ta noc jest nasza. Żyj terazniejszością, Elizabeth, bo nic innego do ciebie nie należy. Ja też spróbuję.

Nadstawiła policzek do pocałunku.

— Tak mi ciężko.

— Mnie nie jest łatwiej, wiesz o tym — pocałował ją czule. — Mogę otworzyć swój prezent?

— To nic takiego, spinki do mankietów.

Rozdarł papier i obejrzał zawartość.

— Wspaniale, naprawdę śliczne.

Odskoczyli od siebie, bo drzwi szoferki otworzyły się gwałtownie. Pianista nie okazał zakłopotania na ich widok; zmrużył tylko oczy.

— Loteria się zaczyna.

— Dobrze. Zaraz przyjdę, Elizabeth.

Otworzył drzwi i podnosząc kołnierz wyskoczył z ciężarówki. Czarna ściana deszczu przesłoniła go natychmiast. Elizabeth poczuła się jeszcze bardziej samotna. Próbowała się uspokoić, myśleć logicznie, a nie poprzez emocje: nie miała prawa tak go potraktować. Wszystko, co powiedział, zgadzało się z prawdą: byli jak statki mijające się nocą, przydarzył im się wakacyjny romans. Teraz trzeba zachować się rozsądnie, jak na dorosłą przystało.

W następnej sekundzie cały rozsądek wyparował. Przesiadła się na opuszczone przez niego miejsce: było jeszcze ciepłe. Zamknęła oczy. Jego zapach unosił się w powietrzu, tłumiąc woń metalu, skaju i smarów. Usiadła na dłoniach, żeby lepiej czuć ciepło i wdychała zapach głęboko aż do płuc.

Natrafiła na coś nogą. Walizka. Wiedząc, że nie powinna, wyciągnęła ją na siedzenie i otworzyła zatraski. Leżał tam byle jak upchany kostium. Wyjęła płaszcz, wytrzeptała go i złożyła

starannie. To samo zrobiła z marynarką, spodniami, szarfą i pasem podtrzymującym szpadę. Pod ubraniami znalazła maleńką podróżną walizeczkę, którą od niej dostał, zgniecione pudełko cygar, perukę, pastę do butów, gumę do żucia, szczoteczki do zębów, wyciory do fajek i wypalone zapalki. Otworzyła dużą okrągłą puszkę i zanurzyła palec w białym mazidle przypominającym smalec. Zaintrygowana przytknęła palec do nosa: pachniało słodkawo.

— Złapałem cię na gorącym uczynku! — drzwi otworzyły się i Gallaher wskoczył do środka. — Jeśli jesteś ciekawa, to trzymasz olej kokosowy — mówił wesoło; zupełnie nie zirytowało go to, że grzebała mu w rzeczach.

— Nie spodziewałam się ciebie tak szybko.

— Widzę — nadal się uśmiechał. — Nie potrzebowali mnie. Większość biletów udało się sprzedać, zanim przyszedłem. Ostatni wieczór — wielka nagroda. Całe dwanaście funtów.

Właśnie skończyli przepakowywać walizkę, kiedy dołączył do nich pianista.

— Okropna noc, co? Zróbcie trochę miejsca.

Szamotał się chwilę z drzwiami bez klamki, ale w końcu dał sobie radę i zapalił silnik.

— Jedzicie do pubu? — zapytał wesoło, kiedy ciężarówka dygocząc obudziła się do życia. — Wszyscy idą.

— Nie wiem.

Elizabeth spojrzała na Gallahera.

— Jak chcecie — pianista wzruszył ramionami. — Ta fura trafi do każdego pubu jak po sznurku.

Był jedynym Irlandczykiem w zespole. Został wynajęty nie tyle dla swej wątpliwej muzykalności, ile ze względu na posiadaną ciężarówkę, gdyż pierwszy pojazd trupy odmówił współpracy tydzień po przyjeździe do Irlandii.

— Jasne, że pojedziemy, prawda Elizabeth?

Gallaher objął ją ramieniem. Umościła się na nim z przyjemnością, ale jego gotowość zirytowała ją na nowo. Statek do Liverpoolu opuszczał Cork nazajutrz po południu, więc chyba teraz bardziej niż kiedykolwiek powinno mu zależeć na spędzeniu z nią każdej minuty. Poza tym po raz pierwszy nie trzeba było pakować się pośpiesznie tuż po przedstawieniu, gdyż wszystko przełożono na jutro rano.

Wpatrywała się w dwa stożki światła przenikające deszcz przed maską ciężarówki. Znow się w niej zagotowało. On o niczym nie chce wiedzieć. Dla niego był to tylko romans. Nie pozwalał się osiąść nawet na jedną noc.

Teraz musi pić piwo, którego sobie nawarzyła. Co najwyżej może wykorzystać każdy łaskawie rzucony okruszek ciepła.

Wyczuł jej rozterkę i szepnął:

— Dobrze się czujesz?

Wdzięczna, że skrzypiące wycieraczki uniemożliwiają rozmowę, skinęła tylko głową: doprawdy, znakomicie.

Godzinę później, jako część kółka adoracji Viviana Mellorsa, z mięśniami twarzy bolącymi od ciągłych uśmiechów, pociągnęła George'a za rękaw.

— Możemy niedługo wyjść?

— Oczywiście, za parę minut.

Pogłaskał ją po ramieniu. Sącząc swoją lemoniadę (podczas bierzmowania zobowiązała się nie pić alkoholu do dwudziestego pierwszego roku życia) obserwowała, jak parę minut zamienia się w dwie godziny, a zarciki i atmosfera robią się coraz bardziej nieprzyjemne.

— Czy nie powinni niedługo zamykać? — zapytała, korzystając z zakończenia jednej z tasiemcowych dykteryjek Mellorsa. — Już po północy.

— Cicho, kochanie — odszepnął. — Pójdziemy za parę minut, obiecuję.

Dochodziła pierwsza, gdy właściciel wyprosił ich wreszcie wśród żartów na temat utraty licencji. Niemal cudem przestało padać. Wciąż było chłodno, a księżyc świecił wysoko na jasnym niebie. Większość zespołu ruszyła do wynajętych kwater lub swoich wozów. Gallaher zarezerwował pokój w hotelu. Lekko pijany przytulił ją do siebie, kiedy przemierzali puste ulice.

— Cichy księżyc pośród spokojnego nieba... Oj, zapomniałem, że nie lubimy cytatów.

Teraz, gdy wreszcie miała go dla siebie, postanowiła nie dopuścić, żeby rychłe rozstanie czy niedawna kłótnia przeszkodziły im tej nocy. Przyciągnęła go i pocałowała w głowę.

— Cytuj sobie Biblię, Szekspira, a nawet Viviana Mellorsa! Cytaty to muzyka dla moich uszu.

W jednej z tych rzadkich chwil, w których udaje nam się porzucić własne ciało, Elizabeth ujrzała i usłyszała siebie jak obcą osobę. Zobaczyła, jak bardzo zmieniło ją te siedem tygodni. Nie była tą samą Elizabeth Sullivan, która ledwie dwa miesiące temu wybrała się ze swą przyjaciółką na pokazy koni w Dublinie. Tamta Elizabeth nigdy nie ośmieliłaby się pierwsza pocałować mężczyzny, żądać czegokolwiek, choćby tylko dwuznacznie, ani prosić o wyjście z pubu.

Gallaher odwzajemnił pocałunek. Jego oddech przyjemnie pachniał chmielem.

— Moja dziewczynka.

Elizabeth po raz pierwszy miała udawać mężatkę, więc żeby ułatwić jej zadanie, George zameldował ich w hotelu jeszcze po południu. Mimo to musiała wziąć głęboki oddech, żeby uspokoić skurcze żołądka na widok nocnego stróża otwierającego drzwi. Zmierzając do małżeńskiej sypialni, trzymała wysoko głowę, ale sądziła, że jej grzeszna dusza i tak została przejrzana na wylot.

Rzuciła się na łóżko, gdy tylko Gallaher zamknął drzwi.

— Nie chcę tego robić nigdy więcej!

Zdała sobie sprawę, że pewnie i tak nie będzie po temu okazji. Odwróciła się na plecy i spojrzała na niego.

— Będę za tobą tęsknić.

— Ja także.

Natychmiast położył się koło niej, obsypując jej twarz i szyję pocałunkami. Nagle usiadł.

— Zimno tu. Rozbierzmy się i połóżmy pod kołdrę.

Ogarnęło ją rozczarowanie. Chciała, żeby ta ostatnia noc stworzyła ceremonię, rytuał, który będzie mogła zapamiętać na całe życie. Po raz pierwszy znaleźli się w prawdziwej sypialni i wyobrażała sobie, że wzajemnie powoli się rozbiorą, ofiarując swe ciała na wspólnej uczcie, jak w najśmielszych fantazjach.

Ugryzła się jednak w język, zrzuciła ubranie i położyła się pod kołdrę, obok ciepłego ciała Gallahera. Przytulił ją, a potem uniósł się na łokciu i popatrzył na nią nieprzeniknionymi, fiołkowymi oczami.

— Zmieniłaś się.

— Jak?

Musiała być ostrożna, nie chciała znów sama ukreć na siebie bicza. Otarł się o jej nagie ramię.

— Nie wiem, trudno wyjaśnić. Wyglądasz na starszą, bardziej pewną siebie.

— Wiem. Dużo wydarzyło się przez ostatnie siedem tygodni. Podoba ci się ta zmiana?

Uspokojona pocałowała go, wsuwając mu język w usta.

— Wszystko mi się w tobie podoba.

Odchylił koc i objął ustami jej pierś. Wessał sutek tak mocno, że aż krzyknęła z zaskoczenia i bólu. Zaczęli grę wstępną i Elizabeth wyłączyła umysł, postanawiając żyć każdą mijającą chwilą. W tym łóżku nie miała przeszłości ani przyszłości. Owinęła się jak wąż wokół jego masywnego ciała. Odsunął się zdziwiony.

— Co się z tobą stało?

— Co masz na myśli?

— To coś nowego, Elizabeth. Chyba uczeń przerasta nauczyciela.

— Czyżbyś był rozczarowany? — spytała wyzywająco, próbując wykorzystać jego zaskoczenie dla swej własnej gry. — Dobrze mnie uczyłeś, mistrzu.

Zacisnęła mu nogi wokół pasa, ale wciąż nie reagował, wpatrując się w nią jak w trudne hasło w krzyżówce.

— Byłaś z kim innym?

— Co?

— Byłaś?

— Oczywiście, że nie, George.

— Zmieniłaś się.

— Już to powiedziałeś.

Wpatrywał się w nią. Nie odwracała wzroku wiedząc, że nie ma nic do stracenia. Zdawało się, że nawet coś zyskała, bo po chwili ją pocałował.

— Przepraszam, nie powinienem był tak mówić.

— Owszem, nie powinieneś.

Po raz pierwszy rozkosz nie przychodziła z łatwością. Jakaś jej część patrzyła z zewnątrz, jak zawzięcie rywalizują w braniu i dawaniu przyjemności.

Kiedy Elizabeth poczuła, że George zbliża się do końca, znieruchomiała.

— George?

— Tak? — zatrzymał się i czuła, że drży w jej wnętrzu.

— Nie wychodź. Chcę, żebyś dzisiaj skończył we mnie.

— Czy to bezpieczne?

— Tak.

Elizabeth nie miała pojęcia, czy jest bezpiecznie, czy nie. Takie informacje trudno zdobyć. Wiedziała jedynie, że nienawidzi brutalnego przerywania stosunku i chciała, chociaż raz, zakosztować prawdziwego końca. Pocałował ją mocno.

— Skoro jesteś pewna...

Przywarła do niego, by towarzyszyć mu w drodze na szczyt. Skończył tłumiąc krzyk. Przez chwilę poruszał się jeszcze gwałtownie, tak że i ją przeszedł dreszcz. Głaskała go, gdy się uspokajał, wodząc dłonią po spoconych plecach. Rozczarowała się trochę, bo cały akt sprawił jej niewiele przyjemności, ale mimo to cieszyła się z niego.

George uniósł się i popatrzył na nią.

— A ty?

— Ze mną wszystko w porządku.

— Teraz twoja kolej, Elizabeth.

— Naprawdę w porządku.

— Cii... zaufaj mi — wysunął się z niej. — Teraz rozchyl ręce i nogi. Nie dotykaj mnie w ogóle — rozłożył ją delikatnie. — Zamknij oczy i pozwól mi działać.

Jej pancerz ochronny sprzed kilku minut rozkruszył się. Leżała obnażona i bezbronna, robiąc to, o co prosił. Zajął się nią i wkrótce jej uległość przemieniła się w drżące podniecenie. Pragnęła go, ale za każdym razem, gdy ścisnęła jego palce nogami, przywracał ją stanowczo do poprzedniej pozycji.

— Nie, nie, jeszcze nie, zaufaj mi. Czuj mnie tylko, poczuj mnie tutaj... nie, nie otwieraj oczu...

Przez skórę czuła, że i on się podnieca. Kiedy wsunął się w nią, zmusiła się, by na niego nie spojrzeć, tylko nadal wznosiła się na krawędziach własnych odczuć. Na początku poruszał się

delikatnie, później, wraz z jej podnieceniem, gwałtowniej i spieszniej. Nagle, bez ostrzeżenia, wysoko w jej podbrzuszu, rozpalone pociski wybuchły jeden za drugim. W ostatniej chwili przypomniała sobie, gdzie jest i na siłę powstrzymała krzyk niespodziewanej rozkoszy.

Jego orgazm dołączył się w chwilę później i dygotali objęci aż do wyciszenia.

Szczęście, niedola, żal, miłość i nienawiść spotęgowane zmieszaniem sprawiły, że puściły wszystkie tamy i ku swemu przerażeniu Elizabeth zanosła się łkaniem.

— Przepraszam — szlochała. — Przepraszam, nie wiem, co się dzieje. Było cudownie, nie wiem, dlaczego płaczę.

— Oczywiście.

Przyciągnął ją do siebie i przytulił, a bliskość jego wielkiego ciała ukoila jej spazmy. Po raz drugi w ciągu ostatnich kilku godzin pozwolił jej się wypłakać.

— Już wszystko dobrze, cicho, cicho...

— Plecy mnie bołą.

Absurdalność tego stwierdzenia sprawiła, że zaśmiała się przez łzy i przywarła do niego.

— O, Boże, jak to musiało dziwnie zabrzmieć.

Wcale się z niej nie śmiał.

— Cii... To naturalne. Całe napięcie wychodzi z twoich mięśni. Cicho, cicho, moje stworzonko.

Uspokoila się wreszcie i odsunęła trochę od niego. Zauważyła, że patrzył na nią z triumfalną miną.

— Wyglądasz jak kot, który dobrał się do śmietanki — powiedziała przecierając oczy i zaśmiała się już prawie normalnie.

— W końcu udało mi się, prawda?

Położył otwartą dłoń na jej brzuchu. Znowu ogarnęła ją fala nieśmiałości.

— Nie wiedziałam, że to tak wygląda — szepnęła.

— Skąd miałaś wiedzieć, przecież spotkałaś mnie dopiero siedem tygodni temu.

— Och, bądź cicho!

Uśmiechnęła się jednak na jego przechwałki. Czowała się lekka i wolna jak ptak.

Wodził leniwie palcem po jej brzuchu, a ona przeciągała się rozkosznie i po raz pierwszy uważniej przyjrzała się otoczeniu. Wszystko w pokoju miało odcień brązu: dywan w jasnobrązowe kwadraty, beżowa tapeta w czerwono-brązowe paski, gładkie, brązowe zasłony, mahoniowa toaleta i szafa, nawet łóżko przykryte złotobrązową narzutą.

— Brązowa garsoniera — powiedziała chichocząc z własnego dowcipu, który zdawał jej się tak samo oryginalny jak jej samopoczucie.

Była przekonana, że jeszcze nikt na świecie nie czuł się tak jak ona. Gallaher ziewnął i uśmiechnął się.

— Gdybym tylko... — zaczął, ale się rozmyślił.

— Gdyby tylko — powtórzyła — gdyby ty tylko...

Wciąż rozkosznie szybowała, ocierając mu się o szyję.

— Co z tego? To nie czas na gdybanie. Założmy, założmy, że dwóch facetów zamarzło, jeden umarł. Ilu zostało?

— Przestań, łaskoczesz mnie. O co tu chodzi?

Złapał ją, ale oboje byli spoceni, więc mu się wysliznęła. Dała mu sójkę w bok.

— To zagadka, chłopcze. Założmy, założmy...

— Poddaję się!

Zaśmiała się.

— Nie możesz się poddać. No, ilu zostało?

— Jeden?



— Ani jeden, bo przecież tylko zakładaliśmy!

Łzy już dawno obeschły i Elizabeth zachowywała się coraz frywolniej.

— O, Boże! Myślisz, że uprawiając seks stracę rozum?

Otrzeźwiała.

— Przepraszam, przerwałam ci. Mówiłeś „gdybym tylko...”

— Nic takiego, nieważne.

— No powiedz — namawiała. — Nie mamy dużo czasu.

— Mówię ci, to tylko głupia myśl. Chodźmy spać. Oczy mi się zamykają. Widzisz, co ze mną robisz?

Próbował ją pocałować, ale nagle zrobiła się podejrzliwa. Znów słyszała ten dziwny syk, jakby powietrze uchodziło z niego i owijało się wokół jej szyi. Zanosilo się na coś ważnego.

— Powiedz!

— Elizabeth — zawahał się. — Chciałem...

— Leżała bez ruchu. Pragnęła krzykiem zmusić go do przejścia do sedna sprawy, ale czuła, że jeśli się odezwie, to wszystko zaprzepaści. Na dole ktoś trzasnął drzwiami, aż zadrżały zasłony.

— Chciałbym móc zabrać cię ze sobą. Do Hollywood.

Ścisnęło ją w żołądku, ale nie drgnęła. Wiedziała, że chodzi o coś jeszcze, ale nie umiała tego rozszyfrować. George zasłonił oczy łokciem i znać było, że podejmuje jakąś decyzję. Nie mogła tego znieść, ale rozumiała, że nie wolno go ponaglać. Odkrył twarz. Wszystkie brązy pokoju i fioletowe cienie poczerniały, a on gapił się w sufit. Pocałowała go w szyję, żeby ukryć panikę.

— Zacznijmy od początku — zawołała. — Powiedziałeś „gdybym tylko”, gdybyś tylko co?

Brutalnie ucinając, odwrócił się do niej plecami.

— Jestem żonaty.

## ROZDZIAŁ 4

Cudzołóstwo, cudzołożnik, cudzołożnica... słowa pojawiały się w takt skrzywienia wycieraczek autobusu jadącego do Cork. Elizabeth znajdowała pociechę w deszczu, który po pogodnej nocy padał od samego rana. Przetarła szybę. Za oknem wezbrała rzeka Lee, a liście zwisały się żałośnie z drzew podmiejskich dzielnic. Dojeżdżali do miasta.

Co ma powiedzieć rodzicom? Na pewno nie prawdę:

„Cześć, mamó. Wiesz, miałas rację, ostrzegając mnie przed nim. Ma żonę. A ja jestem głupia”.

Autobus wtoczył się na dworzec. Elizabeth wysiadła, otworzyła parasolkę i powlokła się wyszlizganymi ulicami w stronę biura ojca przy South Mall. Mała walizeczka ciążyła coraz bardziej. Elizabeth czuła się stara, co najmniej stuletnia. Była mocno spóźniona, nawet bardziej niż w poprzednie poniedziałki, bo z powodu ulewnego deszczu autobus miał spore opóźnienie. Tłumy śpieszących do pracy rowerzystów i pieszych już się przerzedziły.

Cudownie — pomyślała z wściekłością. — Tylko tego mi trzeba...

Szła, a przez głowę, niczym w latarni magicznej, przewijały jej się zdarzenia ostatnich ośmiu godzin.

Po strasznym wyznaniu Gallahera wyskoczyła z łóżka. Chciała uciekać, ale potem przeważył rozsądek: dokąd miałyby pójść w Mallow o drugiej nad ranem?

Wyciągnęła z torby nocną koszulę i założywszy ją, zwinęła się w kłębek na brązowym fotelu. Zaczęła się trząść ze złości, strachu i płataniny uczuć, których wołała nie analizować. Rozpaczliwe pytania zaprzętały jej głowę: dlaczego wcześniej jej nie powiedział? Dlaczego teraz?

Potem również: kim jest jego żona? Jak się nazywa? Ile ma lat? Czy jest piękna? Jedyne, o co naprawdę zapytała:

— Zabierasz żonę do Hollywood?

— Nie.

Nie ruszył się z łóżka i unikał jej wzroku.

— Dlaczego? — drążyła.

Uważała, że i tak dzielnie się trzyma w tej sytuacji. Przynajmniej zmusiła go, by na nią spojrzął.

— Ona nie chce jechać. Woli zostać z dziećmi.

Teraz przyglądał się uważnie narzucie. Jęknęła. Jej drzenie zdawało się udzielać ścianom, podłodze i meblom. Zemdliło ją.

— Muszę iść do toalety — wystękała i rzuciła się ku drzwiom.

Łazienka znajdowała się na końcu małego korytarzyka i Elizabeth ledwie zdążyła dobiec do umywalki. Wymiotowała tak długo, aż zaschło jej w gardle. Dygocząc osunęła się na zimne linoleum. Oparła policzek o brzeg wanny i zdawało jej się, że twarz ma chłodniejszą niż emalia; była bardzo blada.

Nie ruszała się przez parę minut. Zimny pot ściekał jej po twarzy, między piersiami i po plecach. Stopniowo dotarł do niej zapach dusznego pomieszczenia: odrażająca woń wymiotów pomieszana z potem i rybim zapachem seksu. Pomyślała, że póki życia, zapach ten będzie jej się kojarzył ze zdradą i krzywdą. Podniosła głowę słysząc jakiś dźwięk. Wielka sylwetka Gallahera wypełniła drzwi, przesłaniając przyćmione światło z korytarza.

— Dobrze się czujesz?

Nie miała siły odpowiedzieć, skinęła tylko głową. Wszedł i pomógł jej wstać.

— Na pewno nic ci nie jest? Może wezwać lekarza?

Prawie się roześmiała. Tak, panie doktorze, mam nudności, bo mój kochanek właśnie mi oznajmił, że ma żonę i dzieci. Straciła jego rękę.

— Nic mi nie jest. Zostaw mnie na moment, George, dobrze? Muszę się obmyć.

— Skoro tak...

Niezgrabnie wycofał się z łazienki, jak perszeron niepewny oczekiwań swego jeźdźca. Elizabeth zatrzasnęła drzwi i podkręciła gazową lampę. Oczyszczywszy umywalkę, weszła do wanny. Nie obchodziło ją, czy szum wody kogoś obudzi. Nie miała mydła ani gąbki, więc posługiwała się zimną wodą jak stopionym śniegiem. Polewała się drżąc z zimna. Tortura sprawiała jej przyjemność — karała się w ten sposób za bycie taką idiotką.

Wracając do pokoju, czuła się nieco lepiej, przynajmniej na ciele. Gallaher leżał w łóżku i wpatrywał się w nią spod wspaniałych, krzaczastych brwi. Elizabeth pomaszzerowała na swoją stronę.

— Zimno mi, muszę się tu położyć, przepraszam.

Poczekala, żeby zrobił jej miejsce. Odsunęła go stanowczo, kiedy próbował ją objąć. Usiłował ją przekonywać, używał całego swego wdzięku, by skleić resztki ich związku, ale Elizabeth, leżąc jak głaz na samym skraju łóżka, pozostała niewzruszona. W końcu, za piętnaście trzecia, odwrócił się i zasnął.

Dla Elizabeth reszta nocy upłynęła zamglona bólem. Nie mogła i nie chciała płakać. Bez ruchu patrzyła, jak szczelina między zasłonami szarzała, zbladła, aż wreszcie same zasłony zapłonęły złotem, by zgasnąć po chwili z nadejściem deszczu. Poruszyła się tylko, gdy skurcz złapał ją w stopę.

O wpół do ósmej wysunęła się z łóżka. Choć jedna jej cząstka rozpaczliwie pragnęła zostać, znów go pocałować, kochać się i jeszcze przez parę godzin zapomnieć o wszystkim, przeważała potrzeba samotności. Musiała uciec jak najdalej od George'a Gallahera.

— Elizabeth, słuchaj...

Obudził się, gdy zakładała sukienkę. Stała do niego plecami i nawet się nie odwróciła.

— Przestań, George. Przestań, proszę.

— Gdybyś tylko pozwoliła mi wyjaśnić...

— To zupełnie zbyteczne. Naprawdę nie potrzeba. Jedyne, czego pragnęła, to zachować godność. Skończyła się ubierać i naciągała pończochy.

— Źle postąpiłeś, nie mówiąc mi, ale też rzeczywiście nigdy niczego nie obiecywałeś. Pomyliłam się, teraz muszę za to zapłacić.

— Pożegnajmy się przynajmniej. Nie możemy zostać przyjaciółmi? Naprawdę...

Odwróciła się w jego stronę. Ból w piersi spotęgował się, ale musiała być uczciwa.

— Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie ma większego sensu zaprzyjaźniać się z kimś, kogo się więcej nie zobaczy, prawda?

Wyglądało, że chciał odpowiedzieć, ale powstrzymała go ruchem ręki. Potem udawała, że szuka pod łóżkiem pantofli. Wyprostowała się i spostrzegła, że zmienił się na twarzy, ale nie miała ochoty przedłużać swojej męki i dowiadywać się, o co chodzi.

— Nie martw się, George. Jestem już duża.

— Nie moglibyśmy chociaż wymienić się adresami?

— Po co? Zresztą, wiesz już, gdzie ty i twoja... twoja rodzina... — głos jej się załamał — gdzie ty i twoja rodzina zamieszkacie w Hollywood?

— Powiedziałem ci, że oni nie jadą. Mogłabyś chociaż podać mi swój, to przyślę ci pocztówkę, jak się już urządzę.

Przyglądał jej się uważnie. Elizabeth wcisnęła nocną koszulę do walizki. Rozejrzała się.

— Nie, nie sędzę, George. No cóż, to chyba wszystko. Pójdę już, nie mogę spóźnić się na autobus.

Mallow leżało jedynie dwadzieścia mil od Cork i transport był nie najgorszy. Dochodziła ósma.

— Chodź tu, proszę cię...

Miał miękki, błagalny głos. Wyciągnął ku niej ramiona i na chwilę zachwiała się w swych postanowieniach. Nagle wiatr cisnął deszczem o szybę, wskazując Elizabeth drogę ucieczki.

— Okropny poranek — powiedziała, a zwyczajność tych słów napawała ją grozą. — Wiesz, jak wloką się stare autobusy, kiedy tak pada. Nie chcę się spóźnić do pracy.

— Skoro tak...

Położył się z powrotem i zamknął oczy. Zawahała się. Potem zrobiła coś absolutnie nie na miejscu: upuściwszy torbę na podłogę, podbiegła do niego, ujęła jego głowę i ucałowała przelotnie w usta.

— Kocham cię, George.

Zanim zdążył zareagować, podniosła torbę i wyszła z pokoju. Biegła długim korytarzem, a torba objęła się o kremowe, odrapane ściany.

Teraz, idąc ulicami Cork do biura swego ojca, płonęła ze wstydu przez ten okropny wyskok. Przez wszystkie tygodnie ich związku nie użyli ani razu słowa miłość.

Wiatr szarpał drutami parasolki jak żaglowcem na wrogim morzu. Brnęła z opuszczoną głową. W końcu, z przemoczonymi nogami i włosami zamienionymi w ociekające wodą strąki, doszła do imponującego budynku, w którym mieściła się praktyka St Johna Sullivana. Ku jej nieopisanej uldze ojciec, o dziwo, także się spóźnił. Elizabeth pracowała jako ktoś w rodzaju asystentki dwóch sekretarek, które siedziały już wygodnie przy herbacie i papierach.

— Dzień dobry.

Przywitały ją bez nagany ani zainteresowania, kiedy przepraszając za spóźnienie, wieszła płaszcz i stawiała parasolkę koło kaloryfera.

Umeblowanie kwadratowego, wysokiego pomieszczenia, kupione przez matkę Elizabeth na wyprzedazy, utrzymane było w staromodnym stylu. Sześć olbrzymich biurek, każde z mahoniowym wieszakiem i osobną szafką, oddawało wyobrażenie Corinne na temat majestatu prawa. Ściągnięte taśmami brązowe zasłony z aksamitu przysłaniały dwa wielkie okna wychodzące na ulicę. Przy jednej ścianie stała lakierowana szafka na kartotekę, dwie inne zastawiono półkami pełnymi książek.

Biurko Elizabeth znajdowało się w kącie przy oknie, ale dzisiaj niewiele wpadało przez nie światła. Chociaż kaloryfery pracowały hałaśliwie, w powietrzu unosiła się wilgoć i chłód. Jeden z grzejników przeciekał i krople wody spadały na metalową podstawkę.

Elizabeth wzdrygnęła się otwierając maszynę do pisania, ale zrobiła dobrą minę do złej gry. Praca. To jedyna ucieczka. Użyje pracy jako panaceum na George'a Gallahera — na jego gierki i pozy. Przysunęła dokumenty „do zrobienia” i stuknęła w underwooda, jakby ją kto gonił. Wgryzła się już dobrze w stos, kiedy nadszedł jej ojciec.

— Dzień dobry wszystkim.

St John Sullivan na próżno usiłował ukrywać zaokrąglony brzusek w dobrze skrojonych garniturach. Nosił zegarki z dewizką i za duże koszule. Ciężko pracował, a jego pedantyczność zjednywała mu szacunek klientów, partnerów i kręgów opiniotwórczych w mieście.

— Dzień dobry — odpowiedzieli chórem urzędnicy i sekretarki.

— Dzień dobry, tato.

Elizabeth nie podniosła wzroku znad papierów.

— Paskudny ranek, prawda?

Ojciec wysupłał się z płaszczem. Elizabeth wyczuła, że na nią patrzy.

St John Sullivan szczylił się tym, że wszystkich swoich podwładnych traktuje jednakowo i bardzo rzadko zajmował się w biurze sprawami domowymi, jednak tego ranka zrobił wyjątek.

— Przy okazji, Elizabeth — rzucił przechodząc obok niej do swego gabinetu, którego drzwi wpasowano sprytnie między półki z książkami — twoja matka potrzebuje dziś pomocy podczas przyjęcia brydżowego.

— Dobrze, tato.

Pisała dalej. Polecenie wydano przyjaznym tonem, ale z wyraźnym podtekstem: nie było cię w domu przez cały weekend, więc wieczorem lepiej rób, co ci każą.

Kiedy drzwi zamknęły się za ojcem, czytane papiery zamazały jej się przed oczami. Wygrzebała chusteczkę z torebki i wydmuchała nos.

— Przepraszam, to ta paskudna pogoda — powiedziała w przestrzeń. — Chyba łapię katar.

Rodzice nie potrzebowali się więcej niepokoić. W obecnym stanie ducha miała szczerzy zamiar spędzać w domu wszystkie noce przez najbliższe dziesięć lat.

Zamiar nie całkiem się powiódł, ponieważ przed Bożym Narodzeniem Elizabeth odkryła, że jest w ciąży. Podejrzała to od początku grudnia, ale nikomu nie mogła się zwierzyć. Wreszcie po paru bezsennych nocach targana przerażeniem zebrała się na odwagę i trzynastego grudnia, w piątek, oznajmiła, że nazajutrz wyjeżdża do Dublina po sprawunki. Naprawdę miała zamiar zobaczyć się z lekarzem, który nie znałby ani jej, ani jej rodziny.

— Czego brakuje sklepom w Cork?

Matka Elizabeth, córka jednego z miejscowych magnatów kupieckich, żywiła źle skrywaną niechęć do stolicy i zawsze unikała wyjazdów jak mogła. Siedziały właśnie we dwie (ojciec jadł kolację z klientem na mieście) w obszernej, wygodnej kuchni domu w Blackrock, na bogatym przedmieściu. Corinne Sullivan zebrała talerze i wstała od stołu. Wiotka i krucha jak córka, ubierała się ze smakiem i odwiedzała najlepszego fryzjera w Cork. Elizabeth nie lubiła jej martwić.

Corinne rzadko podnosiła głos, jednak zawsze miało się wrażenie, że to, co mówi, zawiera jakiś podtekst. Spędzając weekendy z Gallaherem, Elizabeth pierwszy raz poważnie przeciwstawiła się woli matki. Udało jej się wytrwać tylko dlatego, że nie powstrzymałoby jej nic na świecie.

Po nieudanej próbie perswazji Corinne nie poruszała więcej tego tematu, a Elizabeth mimo bezbrzeżnej radości, jaka ją wtedy rozpieszczała, nie była w stanie patrzeć matce w oczy.

Corinne zaniósła talerze do zlewu, a resztki jedzenia wrzuciła do misek dwóch spanieli.

— Prawie nie tknęłaś obiadu — mówiła. — Co się ostatnio z tobą dzieje, Beth? Nie powinnaś tak tracić na wadze. To nieładnie wygląda.

Atrakcyjność stała wysoko na jej liście kobiecych cech.

— Maeve zostawiła nam góry chleba i puddingu maślanego, zjesz trochę?

Maeve była ich kucharką. Właśnie miała wychodne.

— Oczywiście. Jagnięcina była przepyszna, mamó. Po prostu ostatnio jakoś nie mam ochoty na mięso.

Elizabeth chciała jej sprawić przyjemność.

— Wszystko z umiarem — odrzekła matka i przyniosła pudding.

Elizabeth za wszelką cenę starała się zjeść swoją porcję, okazując odpowiedni zapał, ale żołądek skurczył jej się jak suszona śliwka i wysiłki nie na wiele się zdały. Żuła energicznie, choć pudding żadnego żucia nie wymagał.

— Wspaniale.

— Nie przesadzaj — powiedziała matka i nagle zmieniła temat. — Co zamierzasz kupić w Dublinie?

Elizabeth posłała jej krzywe spojrzenie: czy to własne nieczyste sumienie, czy pytanie rzeczywiście zawierało jakiś podtekst? Opanowana twarz Corinne nie zdradzała jednak nic niepokojącego. Elizabeth przełknęła jeszcze jedną porcję puddingu.

— No wiesz, prezenty gwiazdkowe i tak dalej. A przy okazji, co chciałabyś dostać?

— Cokolwiek, kochanie. Znasz mnie przecież. W końcu intencja najbardziej się liczy.

Corinne odsunęła talerz z nie dokończonym puddingiem. Elizabeth uśmiechnęła się smutno. Wiedziała, że rodzaj prezentu — i miejsce zakupu — znaczyły dla matki dużo więcej niż intencje.

— Wobec tego zrobię ci niespodziankę.

— Będzie mi bardzo miło. Herbaty?

Piły w milczeniu. Kuchnia znajdowała się na tyłach domu w suterenie biegnącej wzdłuż całego budynku, z oknami na ogród. Dochodziła dopiero siódma, a już cały ogród skrzył się od szronu. Wewnątrz kojące ciepło promieniowało z olejowego pieca pod ścianą; stary, prawie czternastoletni kot, przesypany przy nim resztki swego życia.

— Czy w Dublinie, z łaski swojej, mogłabyś pójść do Bewleya? — matka poprawiała porcelanową filiżankę na spodku. — Maeve tak lubi ten ich keks...

Elizabeth nie miała wątpliwości, że jest w ten subtelny sposób badana, czy na pewno jedzie do Dublina, a nie włóczy się za Gallaherem po kraju. Kiedy skończyły się jej weekendowe wyprawy, ani Corinne, ani St John nie wypytywali o jej zamiary względem George'a, mimo to wiedziała, że wciąż dyskretnie ją obserwują.

— Keks? — powtórzyła. — W porządku.

Coś podkusiło ją, żeby dodać:

— Rzecz jasna, jeśli starczy mi czasu.

Matka nie miała prawa tak jej nie dowierzać! Po chwili dotarło do niej, że niestety dała wszelkie po temu powody, podniosła się z krzesła.

— Oczywiście, mamo. Kupię trzy keksy, dwa dla Maeve i jeden dla nas, dobrze?

— Dziękuję, Elizabeth, dobra z ciebie dziewczynka.

Elizabeth z ulgą uciekła do pokoju.

Następnego dnia sto sześćdziesiąt mil podróży ciągnęło jej się bez końca, mimo że jechała ekspresem. Dotarła na miejsce w porze lunchu.

Późnym popołudniem wyszła od Bewleya przy ulicy Westmoreland ściskając trzy keksy owocowe. Ruszyła z powrotem w stronę nabrzeża i stacji kolejowej, mając wciąż pod dostatkiem czasu, by złapać pociąg do domu. Kiedy minął stres związany z wizytą u doktora, poczuła się ogromnie znużona.

Wszystko poszło nadspodziewanie gładko. Lekarz okazał się bystry i rzeczowy, podczas badania nazywał ją panią Sullivan i jeżeli ślubna obrączka od Woolwortha wzbudziła w nim jakiegokolwiek podejrzenia, to o nich nie wspomniał. Obiecał, że wyniki testu ciążowego będą gotowe najpóźniej w przyszły czwartek.

Zapał zmrok. Na zamglonej ulicy przed kawiarnią zebrał się tłum gapiów w świątecznych humorach, przysłuchując się parze grajków: mężczyźni z twarzą tak ogorzałą, że mógł mieć równie dobrze trzydzieści pięć, jak i sześćdziesiąt pięć lat i chłopcu z czarnymi od brudu, gołymi nogami.

Mężczyzna dmuchał w blaszany gwizdek, a chłopiec śpiewał kolędę „Adeste Fideles” wysokim, przenikliwym głosem. Śpiewał szybko, jakby chciał mieć to już za sobą i przeskakiwał do taktu z nogi na nogę. Skończywszy objął się ramionami, żeby opanować drżenie: w bożonarodzeniowym chłodziu miał na sobie tylko krótkie spodnie i zszarganą bluzę nałożoną na cienką koszulę.

Tłum wrzucał półpensówki i farthingi do czapek na ziemi. Elizabeth wyciągnęła banknot dziesięcioszylingowy, ale zamiast do czapki, szybko wepchnęła go w rękę zaskoczonemu dziecku. Zanim zdążyło zareagować, banknot zniknął w dłoni mężczyzny. Nie czekała, żeby zobaczyć, jak się sprawy potoczą. Odeszła spiesznie, przepychając się przez zbiegowisko.

Nie wolno płakać, nie wolno.

„Jeszcze tylko pięć dni — powtarzała sobie dzielnie. — Za pięć dni będziesz wiedziała najgorsze”.

W głębi duszy wiedziała, że najgorsze nastąpi, ale pozwoliła sobie na maleńki promyczek nadziei.

Przy moście Connel skręciła w Aston Quay. Musiała iść środkiem ulicy, żeby uniknąć żebraków. Z przyjemnością opuści Dublin. Aż trudno uwierzyć, że ledwie parę miesięcy temu bawiła się tu z Idą. Teraz stolica ogłuszała ją i dusiła: kłęby węglowego dymu i spalin tłumiły nawet smród rzeki Liffey.

Rowerzyści i piesi pędzili dokądś bezustannie, hałasowały samochody i ciężkie wozy dostawcze, zaprzężone w konie, a nad wszystkim górowały dzwonki i brzęk tramwajów, które chwiały się na zakrętach i żeglowały wśród zgiełku niczym królewskie barki.

Elizabeth zatrzymała się parę metrów dalej, przed wystawą McBirneya. Nad głową, na wysokości górnych pięter, elektryczne żarówki tworzyły sylwetkę Świętego Mikołaja w saniach. Mgła przyćmiła go i otoczyła niewyraźną poświatą. Żarówki syczały i brzęczały alarmująco.

Dekorator wystawy przeszedł samego siebie: przystrojona jodła naturalnej wielkości i dziesiątki kolorowych paczek zajęły całe okno, w innych krzykliwa czerwień i zieleń mieszała się z bielą i jasną, szkocką kratą. Zestawy czerwonych i zielonych swetrów otoczono dopasowanymi kolorem skarpetkami, a w rękawy starannie powtykano rękawiczki. Szale w kratkę i wstążki do włosów zwinięto nad zielonymi i czerwonymi sukienkami, a jakby tego było mało, dookoła porozrzucano świąteczne gałązki i kłęby waty.

Klienci wchodzili i wychodzili, z rękami pełnymi paczek i papierowych toreb; matki odciągały dzieci od wystawy; mężczyzna, który wypił ciut za dużo, podparł się o ścianę. Wszystko wyglądało bez troski i niewinnie.

Cokolwiek się stanie, nawet jeżeli jakimś cudem nie jest w ciąży, nigdy więcej nie pozwoli sobie na bez troskę.

Gdyby ludzie wiedzieli, co szykuje dla nich los, może bardziej doceniliby dobre chwile.

Natychmiast jednak odsunęła od siebie te płaczliwe rozważania. Jeżeli chce mieć jakiegokolwiek szanse na przyszłość, nie stać jej na luksus uzalania się nad sobą.

Powietrze, które mgła przyniosła znad rzeki, szczypało w policzki i piekło w oczy, więc Elizabeth z ulgą weszła do ciepłego sklepu. Przez następne pół godziny kupowała pospiesznie i bez większego namysłu: butelkę perfum dla matki, fajkę dla ojca, ranne pantofle dla Maeve. Jej rodzina była niewielka, a grono przyjaciół znacznie stopniało przez ostatnie dwa lata od opuszczenia szkoły. Dorzuciła koronkowy kołnierzyk dla Idy, kilka jaskrawych wstążek doskonałych dla paru innych krewnych. Tuż przy wyjściu rzucił jej się w oczy mały kraciasty kocyk, który pod wpływem impulsu kupiła dla Belli, wiekowej kotki.

Jakie znaczenie mają teraz prezenty — dumiała idąc na stację.

Aż nadto dobrze wiedziała, jakiej oczekiwać reakcji, gdy oznajmi im, że jest w ciąży.

Wyglądało na to, że świąteczne ożywienie kończy się przy moście Halfpenny; dalej nabrzeża były ciche i niemal opuszczone. Po rzece sunęła barka, pyrkocząc cicho; jej światło robiło w mgle niesamowite wrażenie.

Elizabeth doszła aż do franciszkańskiego kościoła Adama i Ewy przy Merchants Quay. Prawie bezwiednie pokonała cztery stopnie wiodące do drewnianych drzwi, ale zawahała się przed

wejściem. Stara kobieta w czerni, z głową owiniętą grubym szalem, przekułykała obok i Elizabeth przepuściła ją odruchowo. Przytrzymując drzwi, starszka obejrzała się:

— Wchodzisz czy nie, moje dziecko?

Elizabeth uznała to za omen.

— Tak, dziękuję — odparła i podążyła za starszą panią do przedsionka kościoła.

Weszła przez kruchtę do jednej z naw. Panował tam półmrok i cisza. Mgielka unosząca się w powietrzu tłumiała szuranie nóg, przekładanie koralików różańca i kaszel.

Ponieważ była to sobota przed Bożym Narodzeniem spowiednicy pracowali na pełnych obrotach. Kilka osób odbywało Drogę Krzyżową, której stacje wykonano z niezwyklej białoniebieskiej ceramiki. Cztery konfesjonały na prawo od Elizabeth były zajęte. Przyjrzała się imionom: ojciec Leonard, ojciec Victor, ojciec Bernardine i ojciec Livius. Wybrała Liviusa, gdyż stała do niego najdłuższa kolejka, co wskazywało, że cieszył się reputacją łagodnego.

Wybór okazał się trafny — kolejka poruszała się najszybciej ze wszystkich. Po dziesięciu minutach przed Elizabeth zostało tylko pięć osób. Wpadła w panikę. Nie przemyślała, co chce powiedzieć, ale nie mogła teraz wstać i wyjść; wszyscy odgadliby, że stchórzyła i zaczęli dociekać, jakież to ohydny grzech ma na sumieniu. Już tylko czworo. Może udać, że źle się poczuła? Ktoś zakończył spowiedź i kolejka przesunęła się o jedno krzesło. Za późno. Była trzecia.

Potem druga...

Usłyszała, jak zamyka się skrzydło konfesjonału, co znaczyło, że zaraz kolej na nią.

Boże — modliła się — pomóż mi.

Przypomniała sobie, że popełniając grzech śmiertelny, odwróciła się przeciw od Niego.

Z gulą w żołądku zamknęła za sobą drzwi konfesjonału i uklękła na twardym klęczniku. Czuliła się zagrożona, ogarnięta klaustrofobią, jakby w powietrzu maleńkiego pomieszczenia, wdychanym i ogrzewanym przez tyłu innych ludzi, zabrakło już tlenu. Krew pulsowała jej w uszach. Z drugiej strony konfesjonału słyszała mamrotany akt skruchy i syczące „s” odpowiedzi księdza. Cała konstrukcja zatrzęsała się, gdy penitent wstał i odsunęła się krata od strony Elizabeth.

— Wysłuchaj mnie, ojcze, albowiem zgrzeszyłam... — zamarła.

Nie mogła przypomnieć sobie formułki, mówiącej o tym, kiedy ostatni raz była u spowiedzi. Nie przygotowała się. Nie wiedziała. Nie miała pojęcia, jakimi słowami opisać swój grzech.

Przez kratę widziała niewyraźnie profil franciszkanina. Coś zamajaczyło i poczuła, że odwrócił się do niej.

— Przepraszam, ojcze.

— Jak dawno, córko? — spytał wyraźnie wymawiając słowa, lecz ściszym głosem, dającym pewność, że nic nie dotrze do niepożądanych uszu.

Elizabeth myślała gorączkowo.

— Nie pamiętam, ojcze — szepnęła. — Kiedyś w lecie.

— Nie obawiaj się, córko. Przyszłaś tutaj teraz. Czym zgrzeszyłaś?

— Ja... bardzo trudno mi o tym mówić, ojcze.

Spodziewała się najgorszego.

— Pozwól, że ci pomogę. Czy ma to związek z miłością cielesną?

— Tak, ojcze.

Poczerwieniła w ciemnościach.

— Rozumiem. Pan wybaczył Marii Magdalenie, więc również i tobie...

— Chyba jestem w ciąży — wyrzuciła z siebie.

— I nie jesteś zamężna?

— Nie.

— Zareczona? — kiedy nie odpowiadała, dodał: — Czy masz możliwość wyjść za mąż?



Znów czekał na odpowiedź, ale Elizabeth głos zamarł w gardle.

— Rozumiem — rzekł franciszkanin. — Czy kochasz tego człowieka, córko?

— N—nie wiem. Zdawało mi się, że tak, ale teraz nie wiem...

To wyznanie zabrzmiało potwornie. Po raz pierwszy przyznała się do tego, nawet sama przed sobą.

— Kochałam go, ojczcie — rzuciła z rozpaczą — wtedy gdy...

— Czy rodzina ci pomoże? I ten mężczyzna?

— Być może. Nikt jeszcze o tym nie wie, nikomu nie powiedziałam.

— Najpierw musisz zawiadomić rodzinę. Może cię zaskoczyć, w jaki sposób zareagują. Jednak nawet gdy okażą się bezlitośni, pamiętaj, że jako chrześcijanka powinnaś ich kochać. Teraz twoim głównym zadaniem jest troska o to maleńkie dziecko, które nosisz. To dziecko jest dla ciebie najważniejszą osobą w życiu, na całym świecie. Proś Boga — i Najświętszą Maryję o pomoc. Oni cię nie zawiodą. Ja zaś codziennie będę modlił się za ciebie do świętego Franciszka. Miej odwagę. Dziecko ci ją da. Pamiętaj, że wielką będzie radość w niebie, kiedy je urodzisz, więc i ty się raduj. Jeśli zaufasz Bogu, dziecko da ci siłę, pociechę i radość do końca twoich dni. Czy coś jeszcze?

— Nie, ojczcie.

— Idź w pokoju, córko. Nie zapominaj, że nigdy nie jesteś sama, nawet jeśli tak ci się zdaje. Za pokutę zmówisz „Magnificat”. Zwróć uwagę na słowa, które wypowiesz. Teraz zmów akt skruchy. Witaj na nowo w Bożej rodzinie.

Kiedy mamrotała dobrze znane słowa o żalu za grzechy, stała się rzecz niezwykła: poczuła, jak robi się coraz lżejsza, zmienia się w powietrze. Chciała śpiewać, wyłamać kratę dzielącą ją od starego człowieka i uściskać go.

Zdała sobie sprawę, że skończył już udzielać rozgrzeszenia.

— Dziękuję, ojczcie — szepnęła i ledwie powstrzymała się od powtarzania jak refrenu wesołej piosenki: dziękuję, dziękuję, dziękuję — dziękuję.

— Dziękuję, córko. Do widzenia. Niech Bóg pobłogosławi tobie i twemu dziecku.

Krata się zasunęła i ojciec Livius zwrócił się do następnego penitenta.

Chociaż główna nawa kościoła tonęła w półmroku, obładowana pakunkami Elizabeth zmrużyła oczy, wychodząc z konfesjonału. Lampka przed Najświętszym Sakramentem płonęła jak sztuczne ognie, a podtrzymujące ją łańcuchy błyszcząły jak złoto. Nawet ubrania dublińskich biedaków straciły swą zgrzebność i wypełniały teraz kościół paletą barw.

Na próżno próbowała otrzeźwieć, wytłumaczyć sobie, że to wariactwo zachowywać się tak, jakby wszystkie problemy właśnie się skończyły, ale nie mogła powstrzymać radości. Krew krążyła w niej jak wezbrana rzeka, gotowa wystąpić z brzegów.

Uklękła, aby odmówić pokutę, ale po pierwszych słowach: „Wielbi dusza moja Pana...” nie potrafiła przypomnieć sobie reszty. Wiedziała, że modlitwę z łatwością znajdzie w domu, w mszalniku lub „Książce dla dzieci Maryi”. Zmówiła krótkie „Zdrowaś Mario”, przyklękła przed ołtarzem i wyszła.

Na dworze zapadła noc i mgła zgęstniała. Elizabeth owinęła szalem twarz i trzymając się blisko domów szła lewą stroną bulwarów w stronę stacji. Nie sposób było dojrzeć nic na odległość paru metrów. Miasto stało się niewidzialne, istniejące tylko gdzieś na obrzeżach wyobraźni. Od czasu do czasu jakiś człowiek, niczym bezpłciowa, pozbawiona kształtu masa, wynurzał się i równie szybko znikał. Klaskanie kopyt albo warkot silnika materializowało się nagle w postaci pędzącego owalu światła. Samotność podkreślała tylko lekkość Elizabeth. Zdawało jej się, że potrafi wyjść zwycięsko z każdej sytuacji. Dlaczego wcześniej nie poszła do spowiedzi?

Jeżeli tak odczuwało się powrót do stanu łaski — myślała radośnie — to wręcz warto popełnić śmiertelny grzech.

Błogostan nie opuszczał jej niemal do samego Cork.

Pociąg, buchając parą, odjeżdżał ze stacji w Limerick Junction. Kiedy nabierał szybkości, Elizabeth, siedząca sama w przedziale, otworzyła okno na całą szerokość. Wychyliła się i wdychała mroźne, ostre powietrze. Tutaj, z dala od miasta, nie było śladu mgły spowijającej Dublin. Niebo lśniło gwiazdami, a księżyc świecił tak jasno, że można było dostrzec zarysy żywopłotów, puste pola, a nawet cień pociągu w rowach.

Nie zwracając uwagi na wyciskające łzy zimno, Elizabeth stała w oknie, dopóki pociąg nie wszedł w zakręt i nie doleciał do niej ciepły powiew sadzy z lokomotywy. Cofnęła się i zasunęła szybę. Okazało się, że nie jest już sama w przedziale. Naprzeciw niej siedziała kobieta z dwojgiem dzieci.

Uśmiechnęła się na powitanie, ale nie mając ochoty na rozmowę, wyciągnęła z torby z zakupami tygodnik dla kobiet, który otworzyła na artykule po tytule: „Jak najlepiej zaprezentować urodę”. Dyskretnie obserwowała swoją sąsiadkę. Jedno z dzieci, półtoraroczna dziewczynka, mazała się, dopóki matka nie wyciągnęła z torby maleńkiego kocyka. Wręczyła go dziecku. Uspokoilo się natychmiast, wepchnęło sobie róg kocyka do buzi i od razu zamknęło oczy. Kobieta rzuciła Elizabeth porozumiewawcze spojrzenie.

Elizabeth uśmiechnęła się, ale serce jej zamarło. Tak wygląda wychowanie dzieci: pieluchy, płacz i bezsenne noce. Euforia, jakiej doświadczyła po rozmowie z księdzem, wydała jej się teraz bezdennie głupia; ot, granie na sentymentach jeszcze bardziej dziecinnych niż ssanie kocyka. Rozzłościła się teraz na siebie i franciszkanina, który podle ofiarował jej fałszywą radość.

Pustelnikowi i zakonnikowi żyjącemu w celibacie, bezpiecznemu w kokonie konfesjonau łatwo mówić o odwadze i małych dzieciach. Co on wie?

Kiedy pociąg zajechał do Cork, Elizabeth była jeszcze bardziej załamana niż kiedykolwiek przedtem. Zresztą kto słyszał o zadawaniu „Magnificat” za pokutę?

Późnym wieczorem odkryła, że nie ma „Magnificat” w swoim mszalniku. Zbyt zabobonna, by zaniechać pokuty, zaczęła więc szukać „Książeczki dla dzieci Maryi”, co nie było łatwe, gdyż w jej rzeczach panował zwykły rozgardiasz.

Sama zdecydowała, że chce urządzić sypialnię na strychu. Maeve stanowczo odmówiła wspinania się „po tych wszystkich schodach” podczas sprzątanania domu, więc pokój pograżył się stopniowo w wiecznym bałaganie. Tylko kostiumiki i wykrochmalone bluzki do pracy wisiały w jako takim porządku na wieszakach na rurze zajmującej jedną ścianę. Reszta bezładnie rozrzuconych rzeczy pokrywała kije do hokeja na trawie, rakiety tenisowe, pierwszą maszynę do pisania, albumy z fotografiami, stare misie i lalki, nawet grzbiet konia na biegunach. Elizabeth nie lubiła się z niczym rozstawać.

Dźwięki z pozostałej części domu dochodziły tu tylko w formie echa. Przeniosła się tu nie tylko z chęci odosobnienia, lecz również z powodu wielkości pokoju i świetlików w dachu. W swej samotni miała widok na cały wszechświat. W upalne lato otwierała szeroko okienka wyobrażając sobie, że śpi pod gołym niebem

Poza łóżkiem najbardziej rzucały się w oczy falujące stosy książek. Zgromadziła tu wszystkie, jakie kiedykolwiek dostała: bezładnie ustawione na półkach pod ścianami, zaścieniające meble, a nawet wystające spod łóżka. Grzebała teraz wśród nich, a jej wściekłość rosła z minuty na minutę. Od początku nie miała przekonania do zadanej pokuty i niechęć stawała się coraz większa. Zaczęła żałować, że w ogóle poszła do spowiedzi. Zachowała się jak idiotka, słuchając tego franciszkanina. Owszem, potrzebowała odwagi, ale żadne głupie modlitwy w tym nie pomogą.

— Gdzie to jest? — mamrotała.

Wtem wpadł jej w oko stos starych, szkolnych książek. Przekopała się przez niego i znalazła mały, zakurzony tom z naddartym grzbietem.

— W porządku — powiedziała do siebie i odnalazszy właściwą stronę zaczęła czytać:  
*Wielbi dusza moja Pana...*

Przypomniała sobie słowa księdza, żeby zastanawiać się nad każdym przeczytanym słowem. Przeszła na kolanach pokój i przybrała modlitewną postawę przy łóżku.

*...i rozradował się duch mój w Bogu, moim zbawcy, bo wejrzał na uniżoność służebnicy swojej. Oto bowiem odtąd błogosławioną zwać mnie będą wszystkie pokolenia...*

Żołądek podszedł jej do gardła. Ojciec Livius zrobił jej jakiś dziwny dowcip albo rzeczywiście wiedział, co mówi. Nie pamiętała, że „Magnificat” jest odpowiedzią „Matki Boskiej” na wiadomość o tym, że zaszła w ciążę.

Powoli, z niedowierzaniem, czytała dalej bezgłośnie:

*...Bo wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny i święte jest imię jego. A miłosierdzie jego z pokolenia w pokolenie nad tymi, którzy się go boją. Okazał moc ramieniem swoim, rozproszył pysznych z zamysłów ich serc. Strącił władców z tronów, a wywyższył poniżonych. Łaknących nasycił dobrami, a bogaczy odprawił z niczym. Ujął się za Izraelem, sługą swoim, pomny na miłosierdzie, jak powiedział do ojców naszych, do Abrahama i potomstwa jego na wieki.\**

— Amen — szepnęła.

Przeczytała modlitwę jeszcze raz, pełna skupienia. Pieśń napelniła ją dogłębną akceptacją i radością; teraz czuła się spokojna i pusta. Wstała i zaczęła się rozbierać.

Zgasiła światło i położyła się na plecach, wpatrując się w niebo nad głową. Zamrożona szyba przypominająca watę cukrową lśniła w świetle księżyca. Może nie ma potrzeby zamartwiać się i smucić? Może lekarz obwieści jej pomyślne nowiny? Maleńkie światełko nadziei zatrzepotało i znikło. Była w ciąży, wiedziała o tym. Nie ma odwrotu.

Z wielką jasnością umysłu postanowiła nie wymigiwać się od tego, co miało nastąpić, ani nie oszukiwać się więcej. Zawodzenia ani tchórzostwo nic nie pomogą. Trzeba szukać dobrych stron, mówiła sobie. Bez względu na to, co się stanie, nic nie może być gorsze niż to, co przytrafiło się matce Jezusa dwadzieścia wieków temu. Jak matka Marii zareagowała na wieść, że jej szesnastoletnia, niezamężna córka nie tylko była w ciąży, ale też zaszła w nią za sprawą jakiejś tajemniczej osmozy? I spróbujcie coś takiego wyjaśnić! Elizabeth uśmiechnęła się ponuro, odwracając się na bok

Tak czy inaczej — pomyślała tuż przed zaśnięciem — nikt mnie nie zastrzeli.

---

\* za Biblią, wydaną przez Towarzystwo Biblijne w Polsce, 1995

## ROZDZIAŁ 5

Jasne, że nikt jej nie zastrzelił, choć przez następne dwa tygodnie wielokrotnie sobie tego życzyła. Strasznie chciała się komuś zwierzyć, ale Ida, najpewniejsza kandydatka, porzuciła swoją nudną pracę i wyjechała do Ameryki szukać lepszych możliwości. Pisywały do siebie, ale coś powstrzymywało Elizabeth od przelania wiadomości na papier. Słowa napisane czarno na białym, wydawałyby się zbyt prawdziwe i nieodwołalne.

Wiedziała, że telefon do lekarza w nadchodzący czwartek będzie zwykłą formalnością, ale wciąż pozwalała sobie na odrobinę nadziei. Nadzieja przetrwała aż do czwartku rano, kiedy obudziła ją sroka wydziobująca kit z okienka w dachu. Elizabeth zrobiła wszystko, by odczynić zły urok: spluwała, zasalutowała złowróbnemu ptaszysku, mówiąc głośno „dzień dobry”, ale w głębi duszy wiedziała, że marnuje czas.

Jakoś przeżyła ten dzień i odczekawszy, aż wszyscy opuszczą biuro, wykręciła dubliński numer.

— Zgadza się — powiedział doktor, podając nawet przybliżoną datę porodu. — Jak sądzę, znajdzie się pani teraz pod opieką swego lekarza w Cork?

— Tak.

Nie miało znaczenia, jak bardzo się przygotowywała. Wiadomość ją zdruzgotała. Rzeczowy ton doktora nie zdradził ironii.

— Gratuluję, pani Sullivan.

— Dziękuję.

— Drżącą ręką odłożyła słuchawkę. Odruchowo spojrzała na drzwi, za którymi ciągle pracował St John. Jak, na miłość Boską, miała zawiadomić jego i matkę?

Był tam teraz. Chwila równie dobra jak każda inna. Wspomniała ojca Liviusa i jego zalecenia: bez względu na trudności...

— Dobrze, święty Franciszku czy jak cię tam zwą — szepnęła. — Teraz masz szansę. Zobaczymy, na co cię stać...

Jednak przed ciężkimi, mahoniowymi drzwiami ogarnęła ją panika. Ledwie mogła oddychać. Nie, nie da rady powiedzieć ojcu. Ani komukolwiek. Złapała płaszcz i kapelusz i uciekła z biura.

Następny dzień również upłynął jej w bólu i niepewności. Praca przychodziła jej z trudem. Miała takie problemy z koncentracją, że dopiero co przeczytane instrukcje wylatywały jej z głowy i musiała zaczynać od nowa. W obliczu okropnych wydarzeń pompatyczny język prawniczych dokumentów wydawał się kompletnie bez znaczenia i większego sensu. Walczyła ze sobą, aby rozumieć, co jej dyktowano lub co przepisuje, ale ciągle przegrywała.

Zrobiła jedno postanowienie: nie zepsuje rodzicom Bożego Narodzenia. Sama przez całe święta wiła się między nadzieją i rozpaczą.

Na pewno poroni, to się często zdarzało.

Nie, nie ona. Jej przytrafiały się same złe rzeczy. Zamkną ją w Domu Magdalenek razem z innymi nieszczęsnymi wyrzutkami z całego hrabstwa.

Ta rzecz w środku ciągle rosła. Elizabeth nie myślała o tym inaczej, jak o złośliwej, obcej narośli. W nocy, patrząc w niebo wyobrażała to sobie w postaci pijawki wczepionej we wnętrzości.

Jak mogła być tak głupia, żeby sądzić, że kocha tego człowieka? Jednak pomimo całego przerażenia, wszystkiego, co się wydarzyło i co dopiero miało nadejść, wspomnienie i rozkosz aktu seksualnego nie zmniejszały się; wśród ciemnej nocy wciąż nawiedzały umysł i ciało. Kochała go,

kochała. Za moment serce wypełniało się obrzydzeniem. Nienawidziła go. Jak mogła mu pozwolić się dotknąć?

Podczas jednej z tych bezsennych nocy postanowiła odnaleźć George'a Gallahera. W końcu to również jego problem. Następnego ranka uświadomiła sobie jednak, że nie ma pojęcia, gdzie go szukać, nawet jeśli nie wyjechał do Ameryki. I szczerze mówiąc uważała, że nie ma prawa dodawać cierpień jego biednej żonie.

Stopniowo opanowało ją coś w rodzaju rozpaczliwego stoicyzmu.

W rezultacie konfrontacja z rodzicami, przeprowadzona w Nowy Rok, nie przypominała opery dramatycznej, lecz dzieło dużo mniejszego kalibru, podczas którego jej matka ciągle wzdychała i uroniła parę łez, a ojca zamurowało.

Cork było za małym miasteczkiem, by wizytę u ginekologa dało się utrzymać w sekrecie, więc dwa dni później Elizabeth udała się z matką do Dublina na konsultację, która potwierdziła jedynie diagnozę pierwszego lekarza. Przez cały dzień, podczas podróży i badania, Corinne ani razu nie spojrzała córce w oczy.

Przez następny tydzień cały dom pokryła nierealna błonka i wszyscy, nie wyłączając gosposi, która natychmiast zorientowała się, o co chodzi, udawali, że życie toczy się zwykłą koleją. Elizabeth czuła jednak, że pod powierzchnią wzbiera coś potwornego, czekając na właściwy moment, żeby wessać ją do środka. Najgorsze były pory posiłków: ciepła kuchnia, w której spędziła takie szczęśliwe dzieciństwo zamieniła się w salę tortur, gdzie zamykano ją w klatce niewypowiedzianych zarzutów.

Dwa tygodnie po Nowym Roku wezwano ją do salonu. Gdy otwierała drzwi, ponownie poczuła tchnienie powietrza na szyi, co zwykle zwiastowało ważne wydarzenia. Jej rodzice stali sztywno i nieruchomo po obu stronach marmurowego kominka. Na sofie siedział mężczyzna, którego w pierwszym momencie nie poznała, lecz nie śmiała się przyglądać.

— Wejdz, Elizabeth — powiedział ojciec uroczystym tonem prawnika. — Czy znasz ojca Younga? — wskazał na gościa.

Ksiądz pochodzący z Bantry, portu rybackiego w West Cork, był znajomym ojca z polowań. Elizabeth nie widziała go od wielu lat. Nie rozpoznała go również dlatego, że owinięty wokół szyi gruby, wełniany szal zasłaniał koloratkę.

— Och, tak, przypominam sobie. Proszę mi wybaczyć. Jak się ksiądz miewa? Nie widziałam księdza od lat.

Zauważyła, że głos jej drży, więc jeszcze bardziej naprężyła ramiona, a potem przeszła przez pokój z ręką wyciągniętą jak lanca. Wstał i poważnie uściśnął jej dłoń, jakby chcąc dać do zrozumienia, że nie jest to zwykłe, dawne powitanie.

— Tak, Elizabeth, od lat — powiedział. — Bardzo wyrosłaś.

Znów zaległa cisza. St John podszedł do drugiej sofy.

— Usiądźmy.

Elizabeth, czując się jak aktorka w jednej ze sztuk wędrownego trupy Viviana Mellorsa, wcisnęła się w róg kanapy, by odsunąć się jak najdalej od księdza.

Choć okna smagał porywisty, styczniowy wiatr zrobiło jej się goręcej niż podczas najupalniejszego dnia lata. Ksiądz! W rodzinie było ich kilku, gościli też czasami podczas uroczystych obiadów. Poza tym jednak władze kościelne wzywano tylko w najdrastyczniejszych przypadkach. Nadszedł dzień sądu.

Ojciec odchrząknął.

— Elizabeth — zaczął, lecz jego córka nie podnosiła wzroku. — Powierzylimy nasze troski ojcu Youngowi, wiedząc, że jest wcieleniem dyskrecji. Ani jedno słowo i żadna decyzja nie wyjdzie poza te cztery ściany. Jasne?

Skinęła głową.

— Elizabeth, twoja matka i ja przemyśleliśmy wszystkie możliwe rozwiązania.

Już się pojawił, niemal go widziała. Potwór, którego tak bardzo się bała, nadchodził z głębin.

— Wiesz, że pragniemy tylko twego dobra.

Na przekór pompatycznym tonom, twarz ojca znaczyła troska. Zrobiło jej się go żal. Siebie również. Chciała mu powiedzieć, że to wszystko pomyłka, żeby się nie martwili, bo ona po prostu pójdzie i utopi się w Lee. Spojrzała na matkę, ale Corinne utkwiała wzrok w kominku, jakby sprawy toczące się tuż przed nią wcale jej nie dotyczyły. W takich chwilach Elizabeth zdawało się, że rozumie, dlaczego jest jedynaczką: często dziwiła się, jak jej wybredna, chłodna matka zmusiła się, by choć raz pójść z ojcem do łóżka...

Ta gorzka myśl pomogła jej powstrzymać łzy.

Siedziała sztywno, a ojciec znów odchrząknął. Założył ręce, lecz ten gest, znamionujący pewność siebie, klócił się z nabiegłymi krwią policzkami. Powiedział pospiesznie:

— Nie będę marnował czasu wymieniając je wszystkie. Jesteś inteligentną dziewczyną i z pewnością sama też o nich myślałaś. W rezultacie uważam, wszyscy uważamy, Beth, że najlepszym rozwiązaniem jest, byś jak najszybciej wyszła za mąż.

Zamurowało ją. W najgorszych snach nie przewidziała takiego obrotu spraw.

— Ale... ale to niemożliwe, tato!

Ksiądz złączył palce.

— Dlaczego, Elizabeth?

— Bo, bo po prostu nie mogę. Ten człowiek, to znaczy George, jest... jest...

— Już żonaty — dokończył ksiądz łagodnie. — Wiemy o tym. Chodzi nam o poślubienie dobrego człowieka mieszkającego niedaleko stąd. Niezbyt daleko stąd — poprawił się.

— Co to znaczy: niezbyt daleko?

Dobre maniery nakazywały jej stłumić narastającą wściekłość.

— Północne Cork. To samo hrabstwo, co umożliwi ci przyjazdy do domu. W odwiedzinach.

— I wybraliście już kandydata, tak?! Wszyscy razem?

Ledwie się hamując, wodziła wzrokiem po zgromadzonej trójce. Corinne wciąż wpatrywała się w ogień.

— Przynajmniej przemyśl to, kochanie — powiedziała.

Elizabeth wzięła głęboki oddech.

— A co wy na to, że już przemyślałam i odpowiedź brzmi nie?

Znów się rozejrzała, ale nikt nie patrzył jej w oczy. Wstała.

— Przypuśćmy, że urodzę dziecko tutaj, w tym domu?

Znała odpowiedź z góry. Nie musiała jej słyszeć. Wystarczyło popatrzeć, jak wszyscy unikali jej wzroku. Przewidzieli, że może tak zareagować.

Ksiądz przejął inicjatywę, potwierdzając jej przypuszczenia, że wszystko z góry ukartowano.

— To nie będzie możliwe — odrzekł, stając przed nią. Chcę ci coś pokazać.

Wyjął z kieszeni fotografię i wcisnął Elizabeth do zaciśniętej ręki.

— Spójrz — namawiał — przynajmniej popatrz.

Zrozpaczona szukała pomocy. Zwieszona głowa ojca i zmieniona twarz, pozbawiona koloru, palce matki wczepione w suknię: nie było do kogo się uciekać.

Godność. Stary rytm werbla w podstawie czaszki. Godność. Godność. Odwróciła się od księdza i podeszła do okna.

Drogę przed domem obsadzono drzewami, teraz nagimi, z gałęziami jak rozczapierzone palce, szarpane wiatrem. Dwoje młodych ludzi siłowało się z wichurą na ścieżce, łapiąc kapelusze i siebie nawzajem. Elizabeth przyglądała się, jak odwracają się i idą tyłem z rozwianymi szalikami.

Zwykły niedzielny spacer. Powstrzymywane łzy zapiekły ją w oczy. Godność. Musi zachować się z godnością.

Uniosła powoli fotografię i przyjrzała się jej, co ksiądz natychmiast zauważył.

— To wdowiec, Elizabeth. Przyzwoity człowiek.

Fotografię zrobiono w atelier. Dwie małe dziewczynki siedziały w niewielkim fotelu. Mężczyzna, zapewne ich ojciec, stał za nimi, trzymając na ręku dziesięcio- lub jedenastomiesięczne niemowlę, obok niego jeszcze jedna dziewczynka, siedmio-, może ośmioletnia. Dzieci w fotelu były młodsze. Elizabeth oceniła je na pięć i sześć lat. Czuli, że ksiądz się jej przygląda.

— Ma farmę w północnym Cork, na półwyspie Béara — powiedział — w miasteczku Lahersheen, między miejscowościami Eyeries i Ardroom.

Nazwy brzmiały dziwacznie, niemal pogańsko. Béara to jak inny kraj. Mimo szybkości i niezawodności pociągów podróż tam zajmowała tyle czasu, ile wyprawa z Cork do Dublina. Elizabeth była już kilka razy z rodzicami w Bantry, a raz odwiedziła przyjaciółkę w letnisku Crookhaven na półwyspie Mizen, ale nigdy nie zapuszczała się równie daleko.

Nie miała pojęcia, co robić ani powiedzieć, przyglądała się więc dalej fotografii. Dziewczynki miały na sobie fartuszki i sztywne kokardy w prostych włosach, niemowlęciu założono czepek z falbanką.

Mężczyzna ubrany był w garnitur. Włosy wysmarował jakimś tłuszczem, a sztywny kołnierzyk chyba go uwierał. Właściwie wszyscy wyglądali sztywno, wpatrując się uroczyście w obiektyw: bez wątpienia z tej okazji założyli nowe lub najlepsze ubrania. Elizabeth zakłuło serce: te małe dziewczynki były sierotami. Sądząc po wieku najmłodszego dziecka straciły matkę bardzo niedawno.

A mężczyzna? Był szczupły, średniego wzrostu, zdaniem Elizabeth niższy niż przeciętna. Przypatrywała się wąskiej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi i wielkim rękoma, w których trzymał niemowlę. Nie umiała wyobrazić sobie jego charakteru.

Ten obcy człowiek miałby zostać jej mężem?

— Chyba sobie żartujecie.

Ostatecznym gestem oddała fotografię księdzu.

— Nie oczekujemy natychmiastowej decyzji, Elizabeth — ciągnął ksiądz nie zmieszany. — Chcemy tylko, żebyś to przemyślała.

— My? Co znaczy „my”, jeśli wolno spytać?

Gniew Elizabeth znalazł wreszcie ujście. Wzrokiem poszukała wsparcia rodziców, ale Corinne wciąż wpatrywała się w ogień, a ojciec oparł rękę na skroni, chcąc zasłonić rozpacz.

— Twoi rodzice są co do tego *ad idem* — powtórzył ksiądz. — Poprosili mnie o pomoc, gdyż mam trochę doświadczenia w takich sprawach. Zgadzasz się, że nie możesz postąpić tak, jak to przed chwilą sugerowałaś, prawda Elizabeth? Nie możesz na serio proponować, że zostaniesz w tym domu i urodzisz dziecko urągając boskim prawom i okrywając hańbą swych rodziców wobec całego miasta?

Elizabeth precyzyjnie się koło niego i stanęła przed ojcem.

— Wstydzisz się, tato? Wstydzisz się mnie?

Spojrzał na nią rozdierająco.

— Nie wstydzę się ciebie, Elizabeth, ale nie wiem, co robić.

— Nie możesz stanąć w mojej obronie?

— Twoja matka... praktyka... — zamilkł żałośnie.

— A ty, mamó? — Elizabeth zwróciła się do Corinne. — Co z tobą? Wstydzisz się?

Corinne uśmiechnęła się słabo i strzepnęła kurz z oparcia kanapy.

— Oczywiście, że nie wstydzę się ciebie osobiście, Elizabeth, ale ostrzegaliśmy cię przed aktorami i temu podobnymi. Och, jakież to wszystko przykre...

— A cóż do tego mają aktorzy? Do dziecka potrzeba dwojga, mamó. Też miałam coś do powiedzenia, wiesz? Tak się składa, że nawet całkiem dużo.

Poczuła absurdalną potrzebę obrony George'a i ukarania matki, chciała ukarać ich wszystkich.

— Oszczędź nam szczegółów, Beth. Miej choć trochę dobrego smaku.

Bolesny wyraz twarzy matki wydał się Elizabeth niemal śmieszny.

— Wiesz, mamó, twoje wygodne rozwiązanie dla naszego małego problemu się nie uda. Nie wyjdę za tego człowieka dla twojej wygody i koniec.

Bez jednego spojrzenia wypadła z pokoju.

Uległa już w następną niedzielę. Przez ten tydzień ksiądz przychodził jeszcze dwukrotnie: za pierwszym razem Elizabeth w ogóle nie chciała z nim mówić, zamykając się w swoim podniebnym azylu, ale drugiego nie mogła uniknąć, bo przez zaskoczenie stanął w drzwiach salonu i zablokował wyjście. Przez pięć minut musiała wysłuchiwać jego perswazji, że poślubienie wdowca z Béara będzie najlepszym rozwiązaniem dla niej, dla rodziców, a nawet dla dziecka.

— Pomyśl też o tych czterech małych dziewczynkach dodał pod koniec. — Cztery małe dziewczynki potrzebujące matki. Bóg stworzył wspaniałą szansę z twojej niesławy. Pobłogosławi ci, jeśli z tej okazji skorzystasz.

Elizabeth udało się wyrwać i uciec po schodach na bezpieczne poddasze. Bóg ją prześladował. Szczuto Go na nią. Najpierw franciszkanin, a teraz ten gorliwy wiejski ksiądz.

Odwaga. Musi mocno trzymać w ryzach swoją słabnącą odwagę.

W piątek i sobotę miała pierwsze poranne mdłości. Gdy w niedzielę na świątecznym obiedzie po raz trzeci pojawił się ksiądz, była już zbyt zmęczona, słaba i przygnębiona, by dłużej stawiać opór. Nie tylko źle się czuła, ale na dokładkę poprzedniego dnia poszła pod Dom Magdalenek, gdzie okryte niesławą kobiety rodziły poczęte w grzechu potomstwo.

Stała po drugiej stronie ulicy przez dobre pięć minut, starając się sobie wyobrazić, jak też wygląda życie wewnątrz, jednak ani nikt nie przekroczył masywnej bramy, ani niczyja twarz nie pojawiła się w oknie. Budynek rozciągał się jak ogromne cielsko na skraju miasta, niweczając jakiegokolwiek nadzieje.

Elizabeth zauważyła, że zaczynają się jej przyglądać, więc ruszyła przed siebie. Widok tego okropnego miejsca ugruntował w niej przekonanie, że nie ma ucieczki.

Mimo to kiedy podczas posiłku ksiądz nawiązał do wdowca z Béara, ostatni raz próbowała szukać pomocy rodziców.

— Tato? Mamó?

— Na miłość boską, nie proponowalibyśmy tego, gdyby to nie było najlepsze rozwiązanie. Jedyne rozwiązanie.

Po zwykłej niepewności Corinne nie zostało ani śladu. Ojciec był łagodniejszy.

— Beth, co innego możemy zrobić? Wierz mi, gdyby tylko się dało...

Elizabeth wpatrywała się w niego przez chwilę. Chciała, by mówił dalej, by powiedział, że zmienił zdanie, że pozwala jej zostać, ale on utkwiał już wzrok w talerzu. Wyrzała przez okno na szary, zaniedbany ogród, skąpany w marznącej mżawce. Styczeń wyprał z kolorów grządki warzyw i ziół, trawnik był nierówny i zapuszczony, a jabłonie i liściaste krzewy wyginały się jak stare szkielety.

Elizabeth też czuła się zmęczona i słaba. Nie miała nawet siły rozejrzeć się za przychylnym znakiem.

— Jak się nazywa? — zapytała. — W jakim jest wieku?

— Neeley Scollard — odpowiedział ksiądz. — Ma czterdzieści jeden lat.



\* \* \*

— Za sprawą ojca Younga zapowiedzi ogłoszono w Bantry, zaś cichy ślub odbył się pewnego popołudnia przy garstce świadków.

Ida Healy, którą nostalgia przygnała z Ameryki, bezskutecznie namawiała Elizabeth na ucieczkę z domu do Dublinu lub nawet Londynu, wreszcie niechętnie przyjęła rolę druhny. Nie poddała się jednak nawet przed drzwiami kościoła:

— Jeszcze nie jest za późno, Beth — szeptała. — Wciąż możemy zawrócić i uciec.

Elizabeth potrząsnęła głową. Odkąd zgodziła się poślubić Neeleya Scollarda, żyła jak w transie. Oto kara za złe uczynki. Była głupia i samolubna, teraz nadszedł czas wyrównania rachunków i nie ma na to rady.

Nie interesowało ją, w co ubierze się do ślubu. W magazynie Casha chodziła obojętnie koło wieszaków ze strojami, pozwalając matce samej wybrać najodpowiedniejsze rzeczy.

Corinne źle zrozumiała wyraz twarzy Elizabeth.

— Cóż, kochanie, nie bardzo wypada, żebyś wystąpiła w bieli, prawda?

Elizabeth nawet nie siliła się na odpowiedź. Wskazała na gołębio szary kostium z jedwabiu.

— Może być ten.

— A może żółty?

Na liście przyjemności Corinne zakupy plasowały się tuż po brydżu.

— Jak chcesz, mamo. Naprawdę nic mnie to nie obchodzi.

— Och, na miłość boską, Beth, weź się w garść i skup choć przez chwilę.

Corinne zmusiła ją do przymierzenia obydwu kostiumów i chętnie przyniosłaby więcej, gdyby Elizabeth nie uparła się, że szary nadzwyczaj przypadł jej do gustu. Później bez słowa zaakceptowała mały, zabawny kapelusik wybrany przez matkę do kompletu.

Dygotała wchodząc na dziedziniec kościoła z Idą i ojcem. Pomyślała, że jedwab to nie najlepszy materiał na luty w Cork.

— Zastanów się, Beth, zastanów — szeptała jej wciąż do ucha Ida. — Pomogłabym ci. Przecież nawet nie znasz tego człowieka.

— Proszę, Ido, zróbmy to i niech już będzie po wszystkim.

Elizabeth ujęła ojca pod ramię i weszła do kościoła przed przyjaciółką. Ich kroki niosły się echem po glinianej podłodze. Neeley Scollard obejrzał się na nich z pierwszej ławki i stanął w przejściu, a tuż za nim podążył jeszcze jakiś mężczyzna. Ojciec Young już nadchodził z zakrystii.

Maeve w ostatniej chwili wykręciła się od uczestniczenia w ceremonii, tłumacząc się katarem, więc jedyną osobą w kościele była Corinne. Stała rezolutnie w pierwszej ławce po drugiej stronie od Neeleya. W turkusowym wełnianym płaszczu i odpowiednio dobranym kapelusiku z akwamarynowymi piórkami wyglądała w tym ponurym otoczeniu jak egzotyczny klejnot.

Przez całą długość nawy Elizabeth wyczuwała niemy protest Idy. Wszystkie postanowienia i oszołomienie zniknęły, gdy ojciec ścisnął ją za ramię.

— Dobrze się czujesz, Beth?

— Świetnie, tato. Zamrugła powiekami.

Neeley Scollard włożył wiele wysiłku w swój wygląd: prążkowany garnitur (granatowy lub ciemnobrązowy; trudno to było określić w półmroku kościoła), wyglansowane brązowe buty i koszulę tak białą i sztywną od krochmalu, że aż zaskrzypiała, gdy Elizabeth dotknęła jego ramienia.

Rzuciła mu krótki, niewyraźny uśmiech i skupiła wzrok na księdzu. Czuli się tak, jakby znów zmagali się z wichurą owego dnia, gdy po raz ostatni wróciła od Gallahera.

Nie odprawiano mszy, więc ceremonia odbyła się bardzo szybko. Ksiądz pytał ją przedtem, czy ma jakieś specjalne życzenia. Pod wpływem impulsu poprosiła o odczytanie „Magnificat”. Zdawało jej się, że w ten sposób dodaje ceremonii coś od siebie; prywatny gest, który nie ma nic wspólnego ze ślubem, lecz dotyczy tej rzeczy (wciąż nie umiała nazwać tego dzieckiem) w jej wnętrzu, okoliczności poczęcia i euforii, jakiej doznała po spowiedzi w kościele Adama i Ewy.

Z obrączką Neeleya Scollarda na palcu powtarzała za księdzem:

*Wielbi dusza moja Pana i rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim, bo wejrzał na uniżoność służebnicy swojej. Oto bowiem błogosławioną zwać mnie będą wszystkie pokolenia, bo wielkie rzeczy uczynił mi wszechmocny...*

Słowa płynęły. Choć niezbyt to pasowało do pospiesznego ślubu z człowiekiem, którego nie tylko nie kochała, ale nawet nie znała, Elizabeth czuła się wyróżniona i dzielna, jak bohaterka dramatu.

*...jak powiedział do ojców naszych, do Abrahama i potomstwa jego na wieki... Amen.*

Wtórując „Glorii”, która potem nastąpiła, zrozumiała przyczyny swojej prośby: stanowiła część łańcucha pamięci. Każde przekazanie nasienia było triumfem, jeszcze jednym ogniwem. Miłość fizyczna stanowiła dar życia równie naturalny dla ludzi, co dla roślin i zwierząt. Zanim spotkała George’a Gallahera, uważała seks za przedmiot szeptów i śmiechów otoczony zakazami i niebezpieczeństwami. George pokazał jej, że boskie zamierzenia różniły się od takich wyobrażeń.

Elizabeth nie żałowała kochania się z nim ani tego, że okazał się tak dobrym nauczycielem. Naprawdę czuła, że zwyciężyła, wygrała coś, czego nikt jej nie odbierze.

Amen. Modlitwa zakończyła ceremonię.

Elizabeth uśmiechnęła się do Neeleya po złożeniu podpisów.

— Chodź — powiedziała biorąc go pod rękę — okropnie zimno. Nie mogę doczekać się, aż wyjdziemy z kościoła i pójdziemy zjeść coś gorącego.

Zarumienił się i poczuła, jak cały się trzęsie. Ogarnęło ją współczucie.

Przed ślubem widziała się z nim tylko raz. Odległość dzieląca obydwie domy uniemożliwiła wizyty, więc spotkanie zaaranżowano w Glengarriff, małej miejscowości wypoczynkowej u zbiegu półwyspów Béara i Iveragh, w hotelu Eccles.

Z tamtego surrealistycznego dnia Elizabeth zachowała tylko wspomnienie uścisku mokrej ręki Neeleya”. Przyszły mąż okazał się uprzejmy, wyższy, niż to sugerowała fotografia, lekko łysiejący. Mimo nieśmiałości ogromnie pragnął zrobić dobre wrażenie, co Elizabeth tłumaczyła sobie tym, że będąc wdowcem z czwórką dzieci musi się czymś wykazać...

Jej uczucie nierealności zwiększał jeszcze jego trudny do zrozumienia akcent. Jak u większości ludzi z północnego Cork słowa wyskakiwały z ust Neeleya jak kule z pistoletu maszynowego Vickersa, który Elizabeth widziała kiedyś podczas parady wojskowej.

Dumając nad sobą i swoim losem, przeoczyła fakt, że Neeleyowi Scollardowi również nie było łatwo. Idąc koło niego, uświadomiła sobie po raz pierwszy, że poślubiła prawdziwego człowieka. Do tej pory przypominał jej papierowe postacie, które wycinała czasem z kolorowych magazynów i ustawiała dookoła pokoju, by wypełnić luki w życiu towarzyskim jedynaczki.

Cóż, Neeley to nie George Gallaher, uznała, ale za to jest istotą ludzką z krwi i kości. Zgoda, dużo starszy, niebogaty i niezbyt ujmujący, obciążony gromadką dzieci i domem na końcu świata, ale prawdziwy, tak prawdziwy jak ich małżeństwo. Perspektywa spędzenia z nim reszty życia przerażała ją, ale zarazem rzucała wyzwanie. Musi temu sprostać, jeśli jej życie ma jeszcze cokolwiek znaczyć.

Miała zamiar podołać.

— Słuchaj — szepnęła kiedy wyszli z kościoła — nie traćmy wiele czasu na jedzenie. Niech się już to wszystko skończy.

— Jasne. — Neeley patrzył na nią niepewnie.

Garstka zebranych stała bez słowa na kościelnym dziedzińcu wśród uderzeń wiatru znad szarego morza. Ponieważ nikt nie kwapił się do działania, Elizabeth pociągnęła Neeleya za rękaw i poszła w stronę gospody, w której czekał na nich posiłek.

Śniadanie weselne, a raczej lunch, trwało krótko. Wszyscy czuli się niezręcznie. Ojciec chciał ruszać w drogę powrotną przed zapadnięciem zmroku. Elizabeth i Neeley zaś mieli spędzić noc poślubną w hotelu, w którym spotkali się pierwszy raz, w Glengarriff, dobre półtorej godziny drogi powozem wynajętym przez Scollarda i jego przyjaciela.

Nie wznoszono toastów. Podczas gdy St John nerwowo opowiadał anegdotę z życia prawników w Cork, Ida nieśmiało uniosła filiżankę.

— Przepraszam, że byłam taka podła — szepnęła. — Wiesz, że życzę ci jak najlepiej. Koniec końców on nie wydaje się taki zły.

— Nie — odszepnęła Elizabeth. — Mogło być dużo gorzej. Dzięki.

— Napiszesz do mnie?

— Oczywiście. A ty musisz przyjechać do nas w odwiedziny.

— Jak tylko będę mogła. Obiecuję.

Elizabeth zauważyła, że historyjka ojca dobiegła końca i zapanowała cisza. Odwróciła się od Idy.

— Trzeba ruszać w drogę, prawda?

St John odsunął krzesło jak na dźwięk pistoletu startowego.

— Gdzie się podział kelner? — powiedział nieco za głośno i żeby pokryć zmieszanie zaczął ostentacyjnie grzebać w wewnętrznej kieszeni marynarki w poszukiwaniu portfela.

— Nie rób zamieszania, St John.

W głosie Corinne brzmiało znużenie.

— Na litość boską, Corinne, nie robię zamieszania. Nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebni, prawda? — zwrócił się porozumiewawczo do zięcia.

Elizabeth widziała, jak trzęsą mu się ręce. Ledwie mogła to znieść. Zaciśnęła dłonie, z całego serca pragnąc mieć już wszystko poza sobą.

Wyszli na przestronny plac, jedno z ładniejszych miejsc w Bantry. Dziś niespokojne morze targało łupinami żaglówek, a otwarte łódki podskakiwały pod uderzeniami wiatru. Corinne zatrzęsała się lekko.

— O Boże, co za niepogoda.

Elizabeth, widząc, że żadne z rodziców nie patrzy jej w oczy, zawiązała płaszcz i zauważyła bezbarwnie:

— Mamo, tato nie ociągajmy się. I tak nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

W odpowiedzi ojciec wyjął z kieszeni niewielką kopertę.

— To dla ciebie i... i Neeleya — oświadczył uroczyście. Nie otwieraj teraz. Później będzie wystarczająco dużo czasu.

Widząc jego grobową minę, miała ochotę rzucić mu się na szyję, błagając, żeby zapomniał o tym okropnym dniu i zabrał ją do domu. Zamiast tego włożyła podarunek do torebki.

— Dziękuję, tatusiu — powiedziała cicho. — Nie zasłużyłam na to.

— Zimno mi, St John.

Wzrok Corinne tkwił w morzu, jakby i ta scena rodzinna nie miała z nią nic wspólnego. Elizabeth pociągnęła matkę za ramię, ściągając na powrót do rzeczywistości.

— Dziękuję i tobie, mamo, za wszystko.

W oczach Corinne widać było przez moment olbrzymie rozczarowanie, które zniknęło jednak równie szybko jak się pojawiło.

— Nie ma za co, Beth. Życzę ci wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia — dodała oficjalnym tonem. — Będziemy w kontakcie, dobrze?

Złożyła na policzku córki krótki pocałunek, zostawiając po sobie uczucie chłodu i nikły zapach różanego popiołu. Odwróciła się i wyciągnęła rękę do Neeleya.

— Gratuluję, Neeleyu. Przykro mi, że okoliczności waszego ślubu nie były nieco bardziej... obiecujące...

Odsunęła się.

— Dbaj o nią, Neeleyu — rzucił ojciec, po czym odwrócił się i szybkim krokiem poszedł do samochodu.

Corinne popatrzyła za nim przez chwilę i wyciągnęła rękę do księdza, a potem do zakłopotanego drużby stojącego za Neeleyem:

— Do widzenia, ojciec. Dziękuję za wszystko. Do widzenia, panie...

— Harrington — podpowiedział i potrząsnął jej rękę z zapalem.

Przez moment Corinne zawahała się, niepewna, jak dalej postąpić.

— Do widzenia, mamó — odezwała się Elizabeth, całując ją w policzek.

— Bądź grzeczna, Beth...

Widząc, jak odchodzi, dumnie wyprostowana, Elizabeth siłą powstrzymała się, by nie pobiec za nią. Pierwszy raz od lat miała ochotę rzucić się w matczyne ramiona i płakać jak dziecko.

Ida pożegnała się jako ostatnia. Uśmiechała się i ścisnęła Elizabeth. W ostatniej chwili zawróciła od samochodu, podbiegła i znów zarzuciła przyjaciółce ręce na szyję.

— Jesteś durną kretynką, wiesz? — płakała. — Dlaczego po prostu nie wsiadłaś na statek? Na pewno dałoby się coś załatwić.

Elizabeth uściskała ją.

— Doprawdy? Daj spokój, Ida. Wiesz równie dobrze jak ja, że byłam w pułapce.

— Przepraszam, że nazwałam cię głupią. Wiesz, że nie to miałam na myśli. Nie jesteś głupia, Beth. Masz dużo więcej odwagi niż ja.

— Przestań, Ido...

Elizabeth nie mogła wydobyć głosu. Pamiętała, jak często klóciły się przez ostatnie dwa tygodnie, mimo szczerego oddania i wsparcia Idy. Uścisnęła ją mocno.

— Słuchaj, nie mogę już tego znieść, więc pożegnajmy się teraz, dobrze? Do zobaczenia wkrótce. Przecież nie jadę na koniec świata.

Puściła Idę i nie oglądając się już, usadowiła się w bryczce obok Neeleya.

— Ruszajmy — szepnęła woźnicy.

Wielki dodge ruszył z rykiem silnika, opuścił rynek Bantry, a Elizabeth natężyła ostatnią resztkę sił, by patrzeć tylko na północ.

## ROZDZIAŁ 6

W noc poślubną Elizabeth i Neeley siedzieli przy kolacji jak obcy ludzie, z trudem utrzymując zdawkową konwersację. Wbrew krótkiemu przeblyskowi zrozumienia w kościele i mimo największych wysiłków Elizabeth nie umiała pojąć obecnej sytuacji. Mimo że potrawy były smaczne i pożywne, nie mogła jeść.

Prócz nich na sali siedziały jeszcze trzy osoby. Z ich konwersacji dało się wywnioskować, że są przedstawicielami irlandzko–angielskiej szlachty lub może gośćmi z Anglii i przyjechali tu na sezon łowiecki. W porównaniu z ich ożywioną i głośnie rozmową stolik nowożeńców zdawał się miejscem cichym i pełnym napięcia.

Hotel szczyił się posiadaniem prądnicy, ale jasne oświetlenie podkreślało tylko panującą w nim pustkę. Jadalnia ciągnęła się wzdłuż frontu hotelu. Przez okna dobiegał ściszony ryk morza, złowieszczy kontrpunkt do swobodnego zachowania gości przy drugim stoliku.

Elizabeth starała się rozluźnić za wszelką cenę. Wpatrywała się w staroświecki wzór na dywanie, zapamiętując skomplikowane linie i zawijasy, jakby ktoś miał ją z tego odpytać.

W końcu odłożyła nóż i widelec. Uśmiechnęła się smutno na wspomnienie Maeve, starej gosposi, która jak najlepsza niania uczyła ją manier i zachowania przy stole. Tęskniła za nią tak samo jak za z rodzicami.

Spojrzała na męża. Teraz albo nigdy. Muszą przełamać lody, bo szansa może się więcej nie powtórzyć. Ponieważ nie wyglądało na to, żeby on miał zacząć, musiała spróbować sama. Wzięła głęboki wdech, wstrzymała powietrze i policzyła do trzech.

— Musimy porozmawiać, Neeleyu. Dzisiaj nie mieliśmy zbyt okazji... ani nigdy wcześniej.

Dzielnie wytrzymał jej spojrzenie.

— Tak. Jesteśmy małżeństwem w oczach Boga i ludzi. Musimy umieć rozmawiać jak chrześcijanie.

— Albo jak muzułmanie!

Uśmiechnął się, co ją bardzo ucieszyło. Nowo poślubiony mąż nie miał może wykształcenia, ale nie brakowało mu inteligencji. Wiedziała już, że nie interesował się książkami ani kulturą, ale uważała, że wynika to z mieszkania na odludziu i braku możliwości obcowania z rzeczami, które dla niej były nieodłączną częścią życia.

— Słuchaj, Neeleyu — powiedziała pochylając się nad talerzem — chcę być z tobą szczerą. Okropnie boję się dzisiejszej nocy.

Spojrzał na nią przeciągle.

— Mowa!

Jego odpowiedź wydała się Elizabeth tak zaskakująca i zabawna, że roześmiała się głośno. Neeley uśmiechnął się niepewnie.

— Co w tym wesołego?

— Przepraszam — wyjąkała. — Po prostu to słowo i sposób, w jaki je powiedziałeś...

— „Mowa”? — wyglądał na szczerze zdumionego.

— Powiedziałeś to tak szybko, że zabrzmiało jak „krowa” i rozśmieszyło mnie. To wszystko.

Przepraszam.

Śmiech złagodził trochę napięcie. Zmierzyli się wzrokiem.

— Myślisz, że się uda? — spytała Elizabeth łagodnie.

— Znaczą, dzisiejsza noc?

— Dzisiaj też, ale chodzi mi o całe to małżeństwo.

Wyczuła, że nabrał pewności siebie.

— Ma równie dobre szanse jak każde inne.

— Niezbyt udany początek.

— Dlaczego?

— Pewnie wszyscy wiedzą? To znaczy w Lahersheen.

— O czym wiedzą? Że będziesz miała dziecko?

— Że musiałam wyjść za mąż.

Elizabeth wciąż nie traktowała tej rzeczy w środku jako swego dziecka.

— To tylko nasza sprawa.

— Nikt nie będzie się wtrącał? W takim małym mieście?

— Słuchaj, dziewczyno. To nie miejskie plotki. Na Béara podchodzimy do tego inaczej.

— Nie ma plotek?

— Nic, co by nam miało przeszkadzać.

Popatrzyła na niego z szacunkiem. To już nie był małomówny wieśniak, którego spotkała miesiąc temu ani niezdarny pan młody w przyciasnym garniturze.

Zadał jej pytanie tak szybko, że musiała prosić o powtórzenie.

— Czy przeszkadza ci mój wiek?

Zaskoczył ją, ale przyznała szczerze:

— To duża różnica.

— Taa, ale jestem młody duchem, zobaczysz!

Uśmiechnął się zuchowato. Elizabeth czuła, że nadrabia miną; bał się nocy poślubnej tak samo jak ona. Owszem, dochował się czworga dzieci, ale nie dorównywał jej wiedzą o miłości cielesnej. Pojęła nagle, jak szybko dorosła przez romans z Gallaherem.

— Z pewnością jesteś tak młody, na jakiego wyglądasz, Neeleyu — powiedziała miękko.

— Nie musimy... dzisiaj, znaczy... — urwał speszony.

Zesztywniała.

— Jak uważasz.

Przestraszył się, że Elizabeth zrozumie przez to, że nie przypadła mu do gustu.

— Och, nie, nie miałem na myśli...

— Wiem, co chciałeś powiedzieć, dziękuję za komplement.

Byli mężem i żoną, pewnych rzeczy nie dało się uniknąć.

— Po prostu chodźmy do łóżka i zobaczmy, co się stanie, Neeleyu.

Przyjrzała mu się uważnie szukając pozytywnych stron wyglądu. Miał krzywy nos, ogorzałą skórę, wąską twarz i połamane paznokcie. Z pewnością nie wygrałby żadnego konkursu piękności, ale uznała, że nie jest również odpychający; miał pełne, wyraziste usta i jasne oczy, a kiedy zdjął marynarkę i poluzował krawat, dostrzegła szerokie bary i silne ramiona.

— Chodź — powiedziała, odsuwając krzesło.

Wyszedł za nią z jadalni i przepuścił w drzwiach do pokoju. Kiedy tylko przekroczyła próg, jej pewność siebie znikła. Pokój wyglądał inaczej niż wtedy, gdy przynieśli tu bagaże. Teraz ściany się zbiegły, a sufit obniżył. Łóżko niczym liniowiec w kanale nabrało monstrualnych rozmiarów.

Podeszła do okna, żeby trochę się uspokoić. Odsunęła zasłonę i zapatrzyła się na nabrzeża miasta. Dochodziło dopiero wpół do ósmej, ale lutowa pogoda nie zachęcała do spacerów. Chmury rozproszyły się nieco. Po drugiej stronie hotelowej drogi łódki i jachty, spokojne jak gondole, kiwały się na zatoce rozświetlonej oszronionym księżycem. Na zachodzie kredowe góry Béara garbiły się nad swymi sekretami, a wyspa Garnish wyrastała z wody jak ciemne mauzoleum.

Elizabeth gorąco pragnęła włączyć się w ten wszechgarniający spokój.

— Cudowna noc — rzuciła przez ramię, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, puściła zasłonę. Wzięła głęboki oddech i odwróciła się do męża.

Neeley siedział na łóżku i patrzył na nią.

— Chcesz odpuścić na dzisiejszą noc? — spytał słabym głosem. — Mogę spać na fotelu, jeśli sobie życzysz.

Pomysł pójścia spać o ósmej trzydzieści, na dodatek w fotelu, wydał jej się absurdalny. Na końcu języka miała, że równie dobrze mogą „załatwić to” teraz. Podeszła do niego powoli i położyła mu ręce na ramionach. Przez materiał koszuli poczuła, jak wstrząsają nim dreszcze, ale nie umiała określić, czy przyczyną jest zdenerwowanie, czy pożądanie. Położyła sobie jego ręce na biodrach. Nie poruszył nimi przez kilka sekund, a później ukrył twarz na jej brzuchu.

Czuć było od niego lekki zapach potu. Poglaskała go. Po matczynemu ułożyła zdumiewająco delikatne włosy na łysiejącej głowie. Czuła, że teraz wszystko leży w jej rękach i odpowiedzialność niemal ją przytłoczyła. Czyżby tylko sześć miesięcy minęło od dnia, kiedy w ramionach George’a Gallahera tańczyła cudownego walca na trawie w Durrow? Tamtą Elizabeth dzieliło całe życie od kobiety prowadzącej teraz powolnego gawota.

Jedwab pod jego dłońmi, bezwładnymi jak dwie szynki, stał się gorący i wilgotny. Ostrożnie zdjęła jego ręce i odpięła spódnice, pozwalając jej z szelestem opaść na ziemię. Siedział nieruchomo, z ramionami zawieszonymi w powietrzu. Spojrzał na nią z taką miną, że odskoczyła zaniepokojona.

— Co się stało?

— Nic.

— Coś się dzieje, Neeleyu, widzę przecież.

— Nic, nic.

Był roztrzęsiony. Usiadła obok niego na łóżku.

— Coś się musiało stać, Neeleyu. Czemu się tak zdenerwowałeś?

— Bez przyczyny.

Widać było, że walczy z sobą. Może to wspomnienie pierwszej żony, pochowanej ledwie przed dziesięcioma miesiącami? Czyżby zupełnie opacznie pojęła sytuację? Może jemu wcale nie zależy na seksie, jeszcze za wcześnie?

— Czy chodzi o Agnes? — zapytała bez namysłu. — Czy to ci przeszkadza?

W odpowiedzi zerwał się i ku jej przerażeniu wybiegł z pokoju. Z osłupieniem wpatrywała się w drewniane drzwi, a ich trzask rozbrzmiewał echem w jej głowie. Płonęły jej policzki. Jakaż była głupia wyobrażając sobie Bóg wie co na temat swej przedwczesnej dojrzałości. Przez przygodę z Gallaherem sądziła, że wszystkim mężczyznom, szczególnie tym starszym, zależy na seksie. Przecież mogła się domyślić, że Neeley Scollard żeni się z nią, bo potrzebna mu darmowa gosposia i opiekunka do czworga dzieci.

Nie dbając, że pogniecie kostium, wyciągnęła się na łóżku. Do upokorzenia dołączyła tęsknota za domem i samotność tak wielka, że nie mogła płakać. Pomyśleć, że nie pożegnała się nawet porządnie z Idą, Maeve, rodzicami.

Wyobraziła ich sobie. Na pewno siedzą teraz w kuchni po dwóch stronach pieca, a Bella leży między nimi w koszyku, ona zaś wraz z mężem, którego nawet nie zna, i który jej nie pragnie, jedzie na koniec świata.

Leżała bez ruchu przez dziesięć minut, wreszcie rozebrała się i założyła jedną z nocnych koszul, które dostała od matki w wyprawie. Swego czasu nie chciała żadnych „kompletów bielizny” czy innego zwracania głowy, ale teraz z wdzięcznością cieszyła się jej chłodem i świeżym zapachem. Zgasła światło i wsunęła się pod kołdrę. Zwinęła się w kłębek na samym skraju łóżka i starała się nie myśleć już o swym przykrym położeniu.

Nie drgnęła nawet, kiedy pół godziny później usłyszała, jak Neeley wchodzi do pokoju. Mimo że nie zapalił światła, zacisnęła mocno oczy i udawała, że śpi. Rozebrał się po ciemku i poczuła, jak odchyła kołdrę. Materac ugiął się pod jego ciężarem.

Wszystkie nerwy i mięśnie Elizabeth naprężyły się i zabrakło jej tchu. Leżała sztywna jak sopel lodu i nagle poczuła na ramieniu jego rękę.

— Przepraszam, że się tak zachowałem.

— Nie szkodzi — powiedziała nieswoim głosem.

— To dlatego, że...

— Nie ma sprawy, Neeleyu, wyjaśnimy to sobie rano.

— Nie! Chcę, żebyś wiedziała!

Pociągnął ją szorstko i ustąpiła trochę.

— Nie mogłem... wiesz... nie mogłem się pogodzić z... głos zamarł mu w ciemnościach.

Odwróciła się do niego. Ledwie mogła go dojrzeć, ale wyczuła w jego oddechu zapach whisky.

— Z czym, Neeleyu? — zapytała również szeptem.

— Z dzieciakiem tego faceta!

Wybuch ją przeraził. Neeley najwyraźniej oczekiwał, że zacznie się z nim kłócić lub bronić. Kiedy nie zrobiła nic, pocałował ją niezdarnie w policzek.

— Już dobrze. Już wszystko dobrze — szeptał chrapliwie.

Zanim zrozumiała, co się dzieje, złapał ją i siłą odwrócił do siebie. Później podciągnął nową koszulę nocną i przycisnął jej brzuch do swojego. Był zupełnie nagi.

Odruchowo próbowała się bronić, ale nie dała mu rady. Zwalił się na nią całym ciężarem. Łóżko ugięło się pod nimi i Elizabeth zdawało się, że zaraz zostanie zmiażdżona.

— Neeleyu, Neeleyu, proszę cię! — krzyknęła. — Nie mogę oddychać!

— Przepraszam — sapnął.

Uniósł się trochę, ale kiedy chciała się wydostać, wziął penisa w rękę i wepchnął jej między nogi.

Elizabeth zamknęła oczy i poddała się. Jej przerażenie zmalowało. Poczuła, że im mniej się będzie opierać, tym prędzej to się skończy. Rozchyliła nogi i wprowadziła go.

W dwie minuty było po wszystkim. Zsunął się z niej i położył na plecach, ciężko dysząc. Serce Elizabeth waliło jak młotem. Nie chcąc, by zauważył i obraził się, ostrożnie opuściła koszulę i wygładzała ją na brzuchu, tak jakby dzięki temu mogła nie tylko wyprostować zgniecienia, ale także zmyć to, co z nią zrobił.

— Dobranoc, Elizabeth, do zobaczenia jutro. — Neeley odwrócił się na bok i po trzydziestu sekundach dało się słyszeć równy, głęboki oddech.

Elizabeth odwróciła głowę, szukając pocieszenia w miękkości poduszki.

— O Boże — szepnęła w zwichrzone włosy zakrywające jej twarz.

Następnego ranka Neeley był niezwykle pojednawczy. Słowem nie wspomniał o zeszłej nocy, jakby się w ogóle nie zdarzyła i nie tknąwszy żony nawet palcem wyskoczył z łóżka, ubrał się i wyszedł, obiecując przynieść herbatę.

Elizabeth słała się na nogach. Od paru godzin potrzebowała iść do toalety, ale nie śmiała drgnąć, żeby nie ściągnąć go znów na siebie. Spała bardzo niespokojnie. Raz zbudziła się i myśląc, że leży obok Gallahera przytuliła się do jego szerokich pleców. Natychmiast pojęła pomyłkę i skuliła się po swojej stronie: plecy Neeleya, choć twarde i muskularne, były dwa razy węższe i w żadnym razie nie tak przyjemne.

Kiedy tylko zniknął, wstała i pobiegła do łazienki. Później wróciła i udawała, że śpi. Spod przymkniętych oczu dojrzała, że Neeley przyniósł nie tylko herbatę, ale też talerz grzanek. Stał nad nią:



— Obudź się, Elizabeth. Proszę, przyniosłem małe śniadanie.

Udała, że dopiero teraz otwiera oczy. Ziewała i przeciągała się przesadnie.

— Dobrze spałaś?

— Tak.

Ziewnęła znowu, żeby ukryć kłamstwo i wzięła od niego tacę. Nalewała herbatę, a jej mąż podszedł do okna.

— Pada — oznajmił. — Szkoda.

Przyglądała się jego plecom. Dziś zdawał jej się jeszcze bardziej obcy, niż gdy się poznali. Groteskowe współżycie ostatniej nocy nie tylko nie stworzyło między nimi żadnej zażyłości, ale odstręczyło ją fizycznie. Teraz z trudem przyjdzie jej go dotknąć, a co dopiero dopuścić do siebie.

Z drugiej strony instynkt podpowiadał jej, że w gruncie rzeczy Neeley to dobry człowiek. W nocy postanowiła, że zaciśnie zęby i spełni tak zwany małżeński obowiązek. W jej sytuacji w zasadzie nie pozostawało nic innego.

Może po urodzeniu dziecka... Ostatnia noc zaowocowała także pewną myślą, która jak trujący jad sączyła jej się do mózgu i za nic nie dała się odepchnąć. Pojawiła się znów, gdy popijała herbatę, ale mąż wrócił od okna i przysiadł obok niej na łóżku. Siłą woli powstrzymała wzdrygnięcie, kiedy dotknął jej ramienia.

— Zrobimy to jeszcze raz? — szepnął nieśmiało, choć z pewną dumą.

Serce podjechało jej do gardła. Chciała grać na zwłokę, zmusić go do nazwania rzeczy po imieniu.

— Co zrobimy?

— No wiesz.

Zarumienił się i zabrał rękę. Nie patrzył jej w oczy. Przyglądała mu się z uwagą, jednocześnie gardząc sobą i ciesząc się z zemsty.

— Nie, Neeleyu, obawiam się, że nie wiem.

Triumf trwał krótko. Neeley wstał gwałtownie, przeszedł przez pokój i zajął się upychaniem w torbie skarpetek, które rozrzucił poprzedniej nocy. Natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Pozwoliła sobie na zbyt wiele.

— Neeleyu — zawołała. — Przepraszam. Oczywiście, że wiem, o co ci chodzi. Tylko że...

— Ja też wiem — uciął upokorzony.

— Nie, nie wiesz. Chodź do mnie.

Przerażona wyciągnęła rękę. Teraz nie było odwrotu. Zawahał się i podszedł wolno do łóżka. Elizabeth odstawiła tacę i pogładziła miejsce koło siebie.

Patrzył podejrzliwie, ale zrobił, co kazała.

— Przepraszam, jestem cała w nerwach, prawie nie spałam tej nocy. Nie gniewaj się.

Wzięła głęboki oddech i nadstawiła usta do pocałunku. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, ale trwała tak z uniesioną twarzą.

— Jesteś piękna. Uwielbiam twoje włosy — wymamrotał w końcu i pospiesznie pocałował ją w czoło.

Nie otworzyła oczu ani nie oddała pocałunku. Splotła mu rękę na szyi i wtuliła w niego twarz. Świadomie przywołała obraz George'a Gallahera. To jego serce biło tuż przy jej uchu i jego ręce ugniatały jej plecy. Przez cały czas stosunku mocno trzymała się tego wyobrażenia i jakoś udało jej się wytrzymać.

\* \* \*

Późnym popołudniem po raz pierwszy ujrzała swój nowy dom.

Ostatnia część podróży, z Castletownberehaven, była koszmarna. Mimo że owinęła się grubym pledem, przemokła do suchej nitki. Trzęsa się i miała nudności. Bryczka dowiozła ich tylko do miasta, gdzie czekał na nich zaprzężony w osiołka wózek, należący do jednego z sąsiadów Neeleya.

Deszcz, który zaczął padać tego ranka i nie przestał ani na chwilę, lał się strumieniami przez całe dziesięć mil do Lahersheen; przesłonił górskie szczyty, przesuwając się całymi płachtami przez doliny, w nieprzewidywalnych wirach zacinął to z tej, to z tamtej strony, przynosząc zapach fal i morskiej piany. Jego siła wzrastała z każdą chwilą.

W tym miejscu półwysep miał ledwie milę szerokości i Atlantyk z trzech stron atakował skalistą okolicę. Przyzwyczajoną do bujnej roślinności północnego i wschodniego Cork Elizabeth zaskoczył zupełny brak drzew i naga ziemia; nigdy przedtem nie widziała równie nieprzyjemnego krajobrazu.

Za zakrętem jej wrażenie jeszcze się umocniło: kilka celtyckich krzyży stało wysoko nad stromą drogą niczym czterookie potwory zagradzające przejście. Nagle, jak szare cienie na tle ciemnego nieba pojawiły się kamienie nagrobne. Elizabeth ledwie powstrzymała krzyk i z przerażeniem pociągnęła męża za płaszcz.

— Dokąd jedziemy? Wieziesz mnie na cmentarz?

— To Kilcatherine — odkrzyknął. — Już niedaleko.

Osiólek parł z trudem naprzód, a Elizabeth skuliła się pod ociekającymi wodą okryciami. Okazało się, że podobnie jak w innych częściach Irlandii nakładano drogi, by ominąć uroczyska, tak tutaj budowniczowie okrążyli półkolem cmentarz Kilcatherine. Irracjonalny strach nie opuścił jej jednak, kiedy jechali między krzyżami a kawałkiem lądu, spadającym wśród księżycowych skał wprost do Atlantyku. Cała okolica zdawała się opisywać jej przyszłe życie. Samotne krzyże, sterczące groźnie w tym opuszczonym miejscu nad morską kipiela, zdawały się wspominać czasy dużo dawniejsze, złowieszcze i pogańskie.

Nagle, kiedy mijali ostatni krzyż, Elizabeth poczuła delikatne, króciutkie trzepotanie tuż pod klatką piersiową. Za drugim razem zrozumiała, co się dzieje: dziecko zaczęło kopać. Uczucie było tak niesamowite i intymne, że mimo zimna i strachu ogarnęła ją radość. Słowa „Magnificat” przebiegły jej przez głowę. Tamta kobieta dwa tysiące lat temu również poczuła tę niezwykłą zapowiedź życia. Wtem gwałtowny podmuch uderzył ją w twarz; poczuła się próżna i głupia. Przez resztę podróży myślała tylko o tym, żeby przetrwać.

Niemal rozpląkała się z ulgi, kiedy kręta droga dobiegła końca. Neeley, podniecony i ciekawy jej reakcji, przekrzykiwał bębnienie deszczu:

— Patrz, Elizabeth! To tutaj, dojeżdżamy.

Osiólek zjechał z drogi na wąską, błotnistą ścieżkę wiodącą do bramy. Mrużąc oczy przed deszczem Elizabeth przypatrywała się tyłom domu: mały, piętrowy budynek miał front od południa, podczas gdy oni nadjeżdżali z północnego zachodu. Z małymi okienkami i dachem krytym łupkową dachówką przypominał wiele innych mijanych po drodze. Odróżniały go jedynie świeżo pomalowane ściany. Neeley jakby czytał jej w myślach.

— Zrobiłem to na twoją cześć, Elizabeth.

— Rozumiem — odrzekła słabo.

Niewiele ją obchodziło prócz tego, że dom ma dach i cztery ściany.

— Zaraz wejdziemy i cię wysuszymy — ciągnął. — Dzieciaki na pewno umierają z ciekawości. A ty chyba masz ochotę na herbatę.

Elizabeth przytaknęła, choć herbata była ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby jej do głowy. Strugi słonawej wody paliły jej twarz i zdawało się, że nigdy nie odzyska dawnej cery. Potrzeba ucieczki przed deszczem tłumiała nawet tremę przed spotkaniem z dziećmi Neeleya.

Półżywa wydostała się z wózka, kiedy tylko zatrzymał się na nierównym, błotnistym podwórku. Szare strumienie deszczu wciąż jeszcze splukiwały plamy świeżej farby.

Neeley wziął ją za ramię i kopniakami oganiał się od karesów czarno-białego collie. Weszli do ciepłej i przyjemnej kuchni.

Na początku Elizabeth, zajęta zdejmowaniem mokrego ubrania i ocieraniem oczu, nie zauważyła kilkorga dzieci przypatrujących jej się z uwagą. Wreszcie spostrzegła je i zamarła, pozwalając wodzie spływać na kamienną podłogę.

— Dzień dobry — powiedziała.

— Dzień dobry — odpowiedziało jedno z młodszych dzieci, po czym wsadziło sobie palec do buzi i zawstydzone spuściło oczy.

Reszta, łącznie z najmłodszą, trzymaną na rękach przez przysadzistą kobietę o kręconych włosach, w milczeniu patrzyła na Elizabeth wielkimi oczami. Były bose, ale ubrane schludnie i czysto. Trzy starsze ostrzyżono na pazia, równo z uszami, a w proste, gęste włosy wpleciono im kraciaste wstążki, najmniejszej loki spływały do ramion.

Gdy nowa rodzina mierzyła ją wzrokiem, Elizabeth zdała sobie sprawę, jak dziwacznie musi wyglądać z błyszczącymi oczami, świecącym nosem i włosami w strąkach. Kobieta z dzieckiem na ręku wystąpiła naprzód.

— Witaj — powiedziała. — Jestem Tilly Harrington. Serdecznie witamy.

Miała jasne, spokojne oczy i z bliska robiła wrażenie młodszej, niż wskazywałyby na to jej tusza i uczesanie. Elizabeth oceniła jej wiek na trzydzieści lat i z miejsca ją polubiła.

— Niech cię Pan Bóg ma w swojej opiece, biedne stworzenie — ciągnęła Tilly. — Paskudna pogoda. Zawsze najgorzej wieje z północnego wschodu. Chodź bliżej ognia i rozgrzej się, zanim zamarznieś na śmierć. Mary! Kathleen! komenderowała starszymi dziewczynkami — migiem ustawcie filiżanki na stole!

Dzieci zabrały się do pracy, a Elizabeth dała się poprowadzić do ognia, z którego unosił się zapach torfowego dymu. Potrząsnęła głową i kropelki wody zaskwierczały w płomieniach. Z ulgą usadowiła się na małym krzeselku, które wyglądało na najlepsze w całym domu.

— Dziękuję, pani Harrington — powiedziała, a potem dodała przez grzeczność: — Czy jest pani krewną drużby Neeleya? On także nazywał się Harrington.

Kobieta posadziła sobie dziecko na biodrze i zawiesiła imbryk nad ogniem na wielkim haku zwisającym z komina.

— Niech cię Pan Bóg ma w swojej opiece! — odparła chichocząc. — Wszyscy tutaj nazywają się Harrington. Harrington lub McCarthy. Pewnie jesteśmy jakąś dziesiątą wodą po kisielu, ale nie ma między nami bliskiego pokrewieństwa, to znaczy powinowactwa. Ja pochodzę z Harringtonów Sullivanów, a on z Harringtonów Danlych, z Urhan. A właściciel wózka, którym przyjechaliście jest z Harringtonów Cain, z Ardgroom Inward. Nic się nie przejmuj, szybko się w tym połapiesz.

Znów się zaśmiała i energicznie roznieciła ogień wielkim czarnym pogrzebaczem.

Imbryk zaczął gwizdać. Kobieta zajmowała się ogniem, a za plecami Elizabeth dwie dziewczynki pobrzękiwały naczyniami ustawiając je na stole. Zakręciło jej się w głowie. Jej schludny, miejski dom i cywilizowane miejskie krajobrazy są odległe o dziesiątki lat. Teraz, na wpół rozczarowana, na wpół zaciekawiona, czuła się tak, jakby weszła w ilustrację do książki z ubiegłego wieku.

Neeley skończył rozpakowywać bagaże i wszedł do środka.

— Gdzie twoje maniery? — huknął na beczynn timer siedzącą w kącie dziewczynkę, która patrzyła na Elizabeth z otwartą buzią. — Nie gap się tak. Chodźcie tu wszystkie i powiedzcie dzień dobry waszej nowej mamusi.

Nie przypominał teraz zupełnie nieśmiałego prostaka, ale dzieci nie wydawały się zaskoczone. Najmłodsze zakwiliło tylko i wtuliło główkę w biust pani Harrington, starsze zaś otoczyły Elizabeth. Najwyższa popatrzyła na siostry i na jej znak wszystkie wzięły oddech i wyszeptały:

— Serdecznie witamy, mamusiu.

Było jasne, że to przedtem ćwiczyły, i Elizabeth bardzo się wzruszyła.

— Jak się macie — rzekła z uśmiechem. — Mam na imię Elizabeth. A wy?

— Ja jestem Mary, mam osiem lat — odpowiedziała najstarsza — a to moje siostry. Kathleen ma siedem lat, a Margaret pięć i pół...

— Pięć i trzy czwarte — poprawiła Margaret.

— A to Goretti, najmłodsza. To nasz dzidziuś. Ma rok.

Mary wskazała na dziecko, które wspinało się po plecach pani Harrington, żeby mieć lepszy widok.

Elizabeth poczuła, że ktoś ją ciągnie za rękaw.

— Jesteś z Cork?

— Tak, Goretti — uśmiechnęła się znowu. — Byłaś tam kiedyś?

— Mam na imię Margaret — powiedziało dziecko stanowczym tonem. — Widziałas Mikołaja?

— Przepraszam cię ogromnie, oczywiście, że masz na imię Margaret. Przepraszam, niedługo się nauczę.

Mary dała siostrze szturchańca.

— Mikołaj nie mieszka w Cork. Przecież ci mówiłam, że mieszka na biegunie północnym.

Zjawił się Neeley i zapędził wszystkie do stołu.

— No, wystarczy, zostawcie mamusię w spokoju. Herbata już gotowa? Co tak długo?

Pani Harrington umieściła dziecko w drewnianym kojcu wielkości dużej tacy i z trudem wyprostowała plecy.

— Pożegnam się już, Neeleyu. Herbata stoi na płycie, a w kredensie jest świeży chleb i trochę bekonu. Wpadnę jutro zobaczyć, jak wam idzie. Serdecznie witamy w Béara, Elizabeth. Wkrótce przywykniesz do nas i my przywyknjemy do ciebie. Do zobaczenia jutro. Na razie, Neeleyu. Na razie, dziewczynki.

Włożyła płaszcz, wbiła nogi w kalosze, pomocowała się przez moment z drzwiami i zniknęła wśród szalejących żywiołów.

Elizabeth została sama z nową rodziną.

## ROZDZIAŁ 7

Przez następne lata Elizabeth i Tilly stały się dobrymi przyjaciółkami.

W lutym 1944 Tilly zaproponowała, że powinny wybrać się razem do Glengarriff, obejrzeć sztukę w wykonaniu trupy objazdowej Liffleya. Elizabeth nie okazała entuzjazmu. Choć odległość od miasta nie przekraczała trzydziestu mil, na samą myśl o podróży robiło jej się słabo.

W Irlandii nie odczuwano zbyt wielu skutków wojny toczącej się w Europie, ale trzeba było znosić wiele niedogodności, szczególnie w rejonach tak odległych jak Béara. O wynajęciu samochodu nie było co marzyć z powodu racjonowania benzyny, a Elizabeth wcale nie uśmiechała się podróż parowcem „Księżniczka Béara” z Castletownbere po wzburzonym, lutowym morzu albo pół dnia przeprawy przez górskie przełęcze rozklekotanym autobusem.

Sześć lat cięż, porodów i poronień w spartańskich warunkach i surowym klimacie dawało o sobie znać. Sześcioletni Francey, syn George’a Gallahera, miły i greczny jako niemowlę, teraz przysparzał jej tyle roboty, że nawet wzięcie na ręce najmłodszej córki wymagało wysiłku. Elizabeth była stale przemęczona.

— Nie mogę — powiedziała stanowczo. — Dzięki za propozycję, ale naprawdę nie mogę. Na pewno znajdziesz kogoś, kto z tobą pojedzie.

Tilly nie dawała się łatwo zbyć.

— Daj spokój, dobrze ci to zrobi. Spójrz na siebie, Lizzie. Masz dwadzieścia sześć lat i nie odchodzisz od własnego kominka, chyba że na mszę. To nienormalne. Mam rację, Neeleyu? Ty masz swój futbol i karty, a ona nie ma nic prócz książek i dzieci. Chyba nie chcesz, żeby żona ci się za wcześnie zestarzała, co?

— Jasne, że nie mam nic przeciw temu, ale kto się wszystkim zajmie? — Neeley nie chciał wyjść przed sąsiadką na dusigrosza.

— Niemowlę już odstawione od piersi, prawda? — odparowała Tilly. — Starsze mogą się zająć młodszymi. Poza tym przecież ty tu będziesz, no nie?

— Ale nie możemy sobie na to pozwolić — poparła go Elizabeth.

Pragnęła, żeby Neeley zabronił jej jechać. Oszczędność stała się jej drugą naturą. Farma nie przynosiła wielkich dochodów, a poza jedną „dotacją” na dobudowanie łazienki i zmywalni z bieżącą wodą, nie zgadzała się przyjmować więcej pieniędzy od rodziców.

— Kto mówi o płaceniu! To ja stawiam, głuptasie. Przecież ciągle mam pełno amerykańskich pieniędzy.

Sześć miesięcy temu Tilly odziedziczyła pewną sumę po krewnych z Butte w Montanie, z czego w poprzednie Boże Narodzenie skorzystali po trochu wszyscy sąsiedzi.

— A poza tym, Lizzie, chcę zobaczyć to przedstawienie i mam ochotę na twoje towarzystwo, więc nie bądź taką egoistką.

Elizabeth poddała się. Tilly ma rację. Nie można wciąż tylko pracować, a ona od roku nie odwiedziła nawet Cork. Gdyby nie książki i czasopisma przysyłane przez oddaną Maeve, już zupełnie straciłaby kontakt ze światem, pochłonięta codziennymi obowiązkami, dziećmi i wiązaniem końca z końcem.

Tilly nalegała, żeby z wycieczki zrobić prawdziwe wakacje, więc oprócz zapłacenia za sztukę i autobus, zafundowała im także dwie noce w domu gościnnym: „takim z porządną jadalnią, Lizzie. Zachowajmy się raz jak snobki”. Następnego dnia miały wsiąść w pociąg z Bantry do Cork, spotkać się z rodzicami Elizabeth i zostać u nich na noc.

Zarażona ogólnym podnieceniem Elizabeth siedziała w sali ratusza w Glengarriff, bardzo zadowolona, że dała się namówić. Spojrzała w program: wybrano dwie sztuki, pasujące nastrojem do Wielkiego Postu. Znała quasi-religijny „Znak krzyża”, ale „Mszalna skała” musiała powstać całkiem niedawno.

Rozejrzała się: choć wszystkie miejsca już zajęto i nawet pod ścianami stało pełno ludzi, wciąż napływali nowi widzowie. Czasami plamy barw — chusteczka na głowie lub kolorowy kołnierzyk — ożywiały ciemne, wojenne ubrania, choć w zasadzie tak u kobiet, jak u mężczyzn dominowały surowe brązy, beże, czernie i szarości. Spojrzała na własny strój, równie skromny, a może nawet jeszcze bardziej znoszony niż inne i nagle zatęskniła za tęczowymi kolorami i ulotnymi zapachami panińskich sukienek. Bieda i ciężkie warunki od początku małżeństwa sprawiły, że się zaniedbała. Dopiero teraz zauważyła jak bardzo.

Pięć minut później uniosła się kurtyna. Scena przedstawiała kuchnię, w której na bujanym fotelu koło kominka siedziała drobna, jasnowłosa dziewczyna chora na suchoty. Przed nią stał ksiądz.

— Ta dziewczyna to wypisz wymaluj ty — szepnęła Tilly, dając jej kuksańca.

Elizabeth ledwie ją słyszała. Nie patrzyła na aktorkę, lecz na mężczyznę grającego księdza. To był on. Bez żadnych wątpliwości.

— Nie uważasz? — szeptała podniecona Tilly. — Co, może nie mam racji?

Nagle zauważyła wyraz twarzy Elizabeth.

— Coś się stało, Lizzie?

— Nie.

Elizabeth czuła, że krew ucieka jej z twarzy. Bardzo pobieżnie przyjrzała się plakatowi na zewnątrz, ale na pewno zwróciłyby uwagę na nazwisko Gallahera. Owszem, mogliby się trafić dwaj aktorzy o podobnej posturze, ale ta przystojna twarz o jastrzębim profilu i lwia grzywa... Nie, nie dałoby się go z nikim pomylić.

— Dziwnie wyglądasz, na pewno nic ci nie jest?

— Cii...

— Ludzie zaczęli się oglądać.

— Wszystko w porządku, Tilly, po prostu jestem trochę zmęczona. Długa podróż...

Zatroskaną twarz Tilly dzieliło od niej najwyżej parę centymetrów. Elizabeth okropnie spieszyło, że zwraca na siebie uwagę. Próbowwała się uśmiechnąć, a potem skupiła wzrok na scenie i udawała, że przedstawienie całkowicie ją pochłonęło. Nie rozumiała ani słowa, mogliby równie dobrze mówić w języku suahili.

Czy to możliwe, żeby był tutaj? Przecież miał jechać do Hollywood...

Siedziała sztywno, obserwując przebieg bogobojnej sztuki. Gdyby wcześniej znała tytuł, z pewnością bardziej stanowczo odmówiłaby szczodrej propozycji Tilly. Dawno minęły czasy, kiedy „Magnificat” wzbudzało w niej wzniosłe uczucia.

Czy cieszyła się z widoku George’a Gallahera w stroju księdza Soggartha Aroona? Wszystkie uczucia, które do tej pory udawało się trzymać na wodzy, zawrzały w niej teraz. Wpatrywała się w niego niczym królik w zapalone reflektory. Inni aktorzy stali się niewidzialni a ona czuła, jak ciało jej drży od tętniącej adrenaliny.

Zdążyła już uwierzyć, że nigdy więcej nie dozna podobnie elektryzujących uczuć, że zginęły bezpowrotnie, przygniecione regularnym współżyciem z Neeleyem.

Neeley. Musi pamiętać o Neeleyu.

Wyobraziła sobie jego wąską, poważną twarz, plecy, na których sile można polegać i niezdarne ręce, wzbudzające macierzyńskie uczucia. Ich pożycie układało się jak należy, nie miała prawa

oczekiwać nic więcej ponad spełnianie małżeńskiego obowiązku. Czasami Neeley się złościł i z trudnością przychodziło mu panowanie nad sobą, ale nigdy nie traktował jej brutalnie.

Tak — mówiła sobie — poszczęściło mi się. Mogłam trafić dużo gorzej.

Samooskarżenie, że zwyczajnie tchórzy, pojawiło się podstępnie jak przyczajona hiena.

Kiedy George zszedł ze sceny, automatycznie przyłączyła się do oklasków.

Miała nadzieję, że nigdy go nie spotka.

Modliła się, by go spotkać...

Zrobiłaby wszystko, żeby do tego doprowadzić...

Nie wolno jej, jest mężatką...

Rozbiegane gorączkowo myśli zawsze wracały do niezaprzeczalnego faktu, że bez względu na okoliczności, nie oglądając się na wszystkie postanowienia z ostatnich pięciu czy sześciu lat, chciała znowu dotknąć George'a Gallahera.

Grzeszysz pożądaniem — mówiło jej sumienie.

On i tak nawet na ciebie nie spojrzy — zasyczała dawna, niepewna siebie Elizabeth. — A nawet jeśli spojrzy, to cię przyłapią...

Tilly pociągnęła ją za rękaw.

— Na pewno nic ci nie jest? Cała się trzęsiesz.

Elizabeth spojrzała na nią.

— Przepraszam, Tilly — wyszeptała. — Nie martw się, proszę, czuję się świetnie.

Tilly nie dała się przekonać.

— Możemy wyjść.

— Cii... — syknął mężczyzna z rzędu przed nimi odwracając się i marszcząc brwi.

Tilly pokazała mu język. Zamarł z wrażenia, a potem znów skupił się na przedstawieniu.

— Stary piernik — warknęła Tilly.

Położyła rękę na ramieniu Elizabeth.

— Jesteś pewna? — powtórzyła, lecz w tym momencie ponowne wejście Gallahera na scenę odwróciło jej uwagę. O mój Boże, jaki przystojny!

Przyłączyła się do paru osób wznoszących okrzyki „dobry ksiądz!”

Hollywood nie wypaliło? Widziała Kalifornię tylko na czarno-białych filmach, ale w swych fantazjach, podpartych zdjęciami z kolorowych magazynów, zawsze wyobrażała sobie George'a pływającego w turkusowych basenach, biegnącego na jej spotkanie po złotej plaży lub turlającego się z nią po białych, puszystych dywanach.

Wiedziała, że jej marzenia to kicz, ale kiedy południowo-zachodnie sztormy siekły dom w Lahersheen, a Neeley leżał na niej sapiąc i dysząc, obrazy roześmianego i opalonego George'a rozgrzewały i dawały nadzieję. W jej wyobraźni George był tak czuły, cierpliwy i delikatny, że jakoś znosiła niezdarne i monotonne stosunki z mężem.

Teraz chodził po scenie i podążała za nim połowa serc niewieściej części widowni, ale mało ją to obeszło. Siedziała na drewnianym krześle, pod oknem zaciągniętym gęstymi, brązowymi zasłonami (Irlandia była neutralna, więc rząd nie narzucał oficjalnie zaciemnienia), wśród zapachu zleżalej wełny i starej gabardyny. Czuła, jak robi jej się ciepło między nogami, na piersiach i karku.

Zacisnęła ręce na siedzeniu.

To przejdzie — wmawiała sobie.

Nie przeszło. Pod koniec przedstawienia była już w takim stanie, że nie mogła pojąć, dlaczego Tilly wszystkiego się z miejsca nie domyśliła. Usilnie starała się ukryć zmieszanie, więc odpowiadała na komentarze i potakiwała, kiedy przyjaciółka wynosiła pod niebiosa postawę i urodę Gallahera.

Sprzedawano ostatnie bilety na loterię. Elizabeth zobaczyła, jak George przeciska się w stronę jej rzędu, ale siedząc z brzegu nie miała się gdzie ukryć. Podchodził coraz bliżej, więc w końcu wdała się z Tilly w gorączkową konwersację, tak niespójną i bezładną, że usłyszała w końcu:

— Co się dzieje, Lizzie? Wyglądasz jak kurczak przypiekany na rożnie.

Elizabeth wiedziała, że się płacze, ale nie mogła przestać.

— Nic takiego, naprawdę. Tak bardzo podobała mi się sztuka, że chyba pomieszało mi się trochę w głowie. Wiesz, że niewiele wychodzę. To wszystko przez ciebie. Pytasz, więc ci mówię. To wszystko twoja wina, wiesz...

Urwała, czując, że George stoi tuż za nią.

— Jezu! — jęknęła Tilly, pojmując nareszcie.

— Losy dla szanownych pań? — dźwięczny głos brzmiał miękko, lecz obojętnie.

Nie odpowiedziały, ale Elizabeth musiała się odwrócić i spojrzeć na niego.

— Elizabeth! — powiedział trochę zbyt teatralnie, ale uśmiech miał szczery i serdeczny. — Coś takiego, po tylu latach.

— Tak — szepnęła Elizabeth.

Nie pozostało w niej nic z żony i umęczonej matki. Znów miała dziewiętnaście lat. Ukryła lewą rękę z obrączką i natychmiast zrobiło jej się wstyd, ale George chyba niczego nie zauważył.

— Jak się miewasz, Elizabeth — dopytywał się, jakby spotkał starą przyjaciółkę. — Możemy się później spotkać czy bardzo się spieszysz?

Odniosła wrażenie, że pod jego spojrzeniem ubranie spływa z niej jak stara farba, zostawiając ją bezbronną, jak w dniu, w którym się poznali.

— Czemu... czemu nie? — wyjąkała próbując zdobyć się na uśmiech.

— Cudownie. A teraz: czy mogę zaproponować paniom kupno losów na loterię? Elizabeth? Madame?

Skłonił się i uśmiechnął do Tilly, która z oczami jak spodki wyciągnęła z portfela szylingowy banknot.

— Kupię za nas obie.

— Wszystkie? Co za hojność. Mam nadzieję, że dopisze paniom szczęście. Więc do zobaczenia później, tak, Elizabeth?

Odliczył garść ponumerowanych biletów, część różowych, część białych. Później pochylił się nad nią podając losy dla pary z poprzedniego rzędu. Poczula zapach jego potu i przez wycięcie togi dojrzała pasek przytrzymujący kostium. Niewiele brakowało, a rzuciłaby mu się na szyję.

Podczas loterii Tilly wygrała czwartą nagrodę, serwis do herbaty ozdobiony ogromną ilością róż. Rozpromieniona wyszła na środek sali, by odebrać go z rąk dyrektora trupy.

George natychmiast pojawił się koło Elizabeth.

— Spotkamy się na zewnątrz za dziesięć minut?

— Przyjdę z przyjaciółką.

— Czekam niecierpliwie.

Odwrócił się, by przyjąć gratulacje od pani z rzędu naprzeciwko. Wiele osób chciało uścisnąć mu dłoń, więc przemierzał drogę do wyjścia niczym zwycięski władca.

— Czyż to nie wspaniałe? Nigdy w życiu nic nie wygrałam — wołała Tilly wracając.

Elizabeth zajrzała do pudła z porcelaną, ale widziała tylko czerwono-białą mgłę.

— Cudownie.

— Tak, mamy szczęście — mówiła Tilly oglądając filizanki pod światło.

Wygrana odciągnęła jej uwagę od innych spraw; entuzjastycznie oklaskiwała zdobywców pozostałych nagród łącznie z piętnastą, czyli półkoronówką.



Kiedy wszystko się skończyło i zbierały się do wyjścia, Elizabeth poczuła rękę Tilly na ramieniu:

— No dobrze, to on, prawda?

— Co masz na myśli?

— Ten wysoki aktor. To ojciec Franceya.

Tilly nie pytała, tylko stwierdziła fakt. Elizabeth była pewna, że i tak odpowiedź wypisaną ma na twarzy.

— Ja... ja — znów zaczęła się jąkać.

Tilly nie dała sobie mydlić oczu.

— Nawet nie próbuj przeczyć, Lizzie — powiedziała rzeczowo. — Widać to jak na dłoni, a poza tym Francey przypomina go jak dwie krople wody.

— Nigdy bym nie przyjechała...

Elizabeth wcale nie była pewna swoich słów, ale Tilly przyjęła je za dobrą monetę.

— Jasne, że nie, dziewczyno. Ani mi to przez myśl nie przeszło.

— Nie wiem, co teraz robić.

Elizabeth strasznie chciała, żeby Tilly lub ktokolwiek wziął sprawy w swoje ręce. Wszyscy ludzie opuścili już ich rząd, ale Tilly wciąż nie puszczała jej ramienia.

— Jedno ci powiem — oznajmiła poważnie.

Elizabeth zadrżała, a Tilly uśmiechnęła się przewrotnie.

— Nie wygoniłabym go z łóżka. Masz bardzo dobry gust.

Elizabeth przyjrzała się jej przyjaznej, dobrze znanej twarzy. Kręcone włosy sterczały spod beretu jak stalowe druty. Przez sam fakt, że nie musi dłużej trzymać niczego w sekrecie, poczuła ulgę.

— Przepraszam cię. Nie planowałam tego, Bóg mi świadkiem, ale muszę z nim pomówić. Raczej, chcę z nim porozmawiać. Umówiłam się z nim na dworze. Tilly pogłaskała ją po ramieniu.

— Mnie to nie przeszkadza, złotko. Tylko nie dopuść, żeby niektórzy ludzie za dużo sobie myśleli — skinęła głową w stronę reszty towarzystwa z Castletownbere, która z tyłu holu omawiała plany na wieczór.

— Tilly, jesteś cudowna. To nie zajmie długo.

— Spokojnie, Lizzie — Tilly zawahała się. — Ja wezmę wspaniałą, długą kąpiel i zjem małą kolację. Gospodyni powiedziała, że zostawi dla nas coś na zimno w jadalni — urwała zakłopotana i spuściła głowę.

Wzruszona Elizabeth zrozumiała: właśnie otrzymała ciche przyzwolenie. Ucałowała Tilly w oba policzki.

— Dzięki — szepnęła.

Tilly dotknęła pocałowanych miejsc i uważnie spojrzała Elizabeth w oczy.

— Bądź ostrożna, proszę.

— Obiecuję. Do zobaczenia.

Gwiazdy lśniły jak sople lodu, nadając miastu atmosferę świąt Bożego Narodzenia. Dookoła pełno było wesołych, podnieconych ludzi, którzy zjechali z najodleglejszych krańców Cork i Kerry. Tłoczyli się wokół sali parafialnej, urządając owacje i wybuchając śmiechem. Przystępując z nogi na nogę i rozcierając zmarznięte dłonie, witali sąsiadów i odnawiali stare znajomości, jakby nie widzieli się od wieków.

Widzowie zjechali do Glengarriff w najprzeróżniejszy sposób: czekając na George'a, Elizabeth naliczyła trzy traktory, zabytkową betoniarkę, osiem prywatnych samochodów i tyleż powozów, z których kilka miało na dachach umocowane wielkie butle z gazem. Większość pojazdów napędzana była siłą ludzką lub zwierzęcą. Tuzin rowerów opierało się o ściany domów i sklepów,

wózki zaprzężone w osiołki i kucyki przystanąły po obu stronach drogi, a ich „napęd” trzymał nosy wetknięte w worki z owsem. Pewien przedsiębiorczy obywatel uruchomił nawet karete: z jedwabnymi zasłonkami dawno rozprawiły się mole, a równie wiekowy rumak zwiesił smętnie głowę w uprzęży.

Elizabeth udzielił się ten pogodny nastrój, choć nie miała zbyt wielu powodów do radości.

Tłum zaczął się rozpraszać; część zniknęła za drzwiami pobliskich pubów. Wreszcie pojawiła się imponująca sylwetka Gallahera okrytego wspaniałym płaszczem, z narzutką przypominającą minioną epokę.

— Elizabeth!

— Teraz stój spokojnie — wymamrotała do siebie i wzięła głęboki oddech. — Witaj, George.

Czuła, że zwracają na siebie uwagę ludzi stojących na ulicy.

Niech patrzą — pomyślała — przecież nie robimy nic złego. Jeszcze — dodało sumienie.

— Nie mogę długo zostać. Obiecałam Tilly... — urwała.

— Może chociaż spacer? Taka piękna noc. Nic ci się nie stanie. Dobrzy mieszkańcy tego dopilnują — dodał z przekornym uśmieszkiem.

Zachichotała. Znowu czuła się lekka; dobrze pamiętała ten stan, choć sądziła, że już nigdy go nie doświadczy.

— W porządku. Ale na krótko, bo zaraz zmarznę.

Czując świdrujące spojrzenia przechodniów, nie rozglądała się, tylko pozwoliła wziąć się pod ramię i poprowadzić. George dostosował swe długie kroki do jej możliwości. Szli ramię w ramię ulicami miasta i Elizabeth czuła, że szybuje bez żadnego wysiłku. Znowu działała na nią jego fizyczna bliskość: ogarniało ją ciepło, a mróz szczypał tylko policzki i oczy.

Oczekując ukradkowego dotknięcia, takiego jak w dniu, kiedy się poznali, usiłowała się przygotować.

— Powiedz mi więc — powiedziała lekko — co porabiałeś? Myślałam, że pojechałeś do Hollywood.

— Hollywood? — zdumiał się, ale zaraz dodał. — Ach, nie. Nic z tego nie wyszło.

— Naprawdę wtedy pojechałeś?

— Cóż, zobowiązania, wiesz...

— To znaczy twoja żona?

— Tak, żona. Tak — powtórzył. — Rodzina i tak dalej.

Elizabeth dziwił jego ton, ale się nie dopytywała.

— Jak to się stało, że grasz teraz w tym zespole? Co z panem Mellorsem i resztą grupy? Ciągle jeszcze działają?

— Nie słyszałem o nich od lat — odparł zdawkowo. — I zanim zadasz więcej pytań muszę ci wyjaśnić, że nie rozstałem się z panem Mellorsem w najlepszej komitywie.

Elizabeth nie chciała wtykać nosa w nie swoje sprawy.

— Rozumiem. A co robiłeś od tamtej pory?

Spojrzał na nią zagadkowo.

— Trochę tego, trochę owego. Słyszałaś o Iwanie Eliovskim, rosyjskim siłaczu?

— Co?

— *Moi*, w cyrku.

— Nie wyobrażam sobie siebie...

— A Kondor, wytatuowany olbrzym z Amazonii?

— George!

— To także ja. Aktorstwo to już nie to samo co kiedyś. Raz grałem nawet wielbłąda, górną część, w pantomimie w Newcastle.

Elizabeth słuchała z uwagą. Nawet ona rozumiała, że te role oznaczały upadek, który z trudem przychodziło jej pogodzić z od dawna hołubionymi marzeniami.

— Więc jak znalazłeś się tutaj, z tą trupą? Nie widziałam twojego nazwiska na plakacie przy wejściu.

— No cóż... widziałas. Teraz nazywam się George Stone.

— Dlaczego? Czego brakowało Gallaherowi?

— To długa historia, moja droga, i stanowczo zbyt nudna na taką piękną noc. Powiedzmy, że trochę się martwiłem, że pan Mellors oczerni mnie w branży w wyniku naszego małego... ym, nieporozumienia — odchrząknął. — Ta trupa jest całkiem niezła. I, jak bez wątplenia wiesz, jako cudzoziemiec zostałem tu uwięziony na czas tego, co gdzie indziej nazywa się wojną, a wy określacie uroczo mianem „zagrożenia”. Gdyby się kto pytał, to muszę przyznać, że nie ma lepszego miejsca na ugrzęźnięcie, szczególnie teraz, gdy trupy takie jak nasza nie muszą obawiać się konkurencji z zagranicy. Trochę większy przydział herbaty, jedna lub dwie pomarańcze i nie pozostawałoby już nic do życzenia. Tak, ogólnie rzecz biorąc, sprawy ułożyły się całkiem pomyślnie.

Dobrnęli do skraju miasta i bez słowa zatrzymali się obok małego portu naprzeciwko hotelu Eccles, który z powodu częściowego zaciemnienia przypominał statek widmo wspinający się na falę.

Odwrócili się plecami do hotelu i patrzyli w morze. Blisko horyzontu, za kilkoma małymi wysepkami, para łodzi rybackich przypominających zabawki kołysała się na wodzie połyskującej pod gwiazdami. Nadchodził przypływ. Małe czołowe fale szemrały tak cicho, że Elizabeth słyszała skrzypienie pokładów łódek przycumowanych do niewielkiego pomostu.

Usłyszała także zbliżające się kroki i obejrzała się nerwowo. Wracający do Lahersheen, Castletownbere i okolicznych miejscowości podróżowaliby w przeciwnym kierunku, niemniej odetchnęła z ulgą dopiero, gdy przekonała się, że nie nadchodzi nikt znajomy. Przez sześć lat w północnym Cork miała okazję zauważyć, że plotki szybko się rozchodzą. Nie chcąc psuć sobie przyjemności, znów odwróciła się ku morzu.

Miała dziwne uczucie, że świat podzielił się na dwie połowy, a George i ona zawisli między nimi. Zdawało jej się, że następną parę minut zdecyduje o jej życiu. George ujął ją pod brodę.

— Tyle o mnie. Opowiadaj o sobie. Tak się cieszę, że nie ścięłaś włosów. Zresztą wyglądasz cudownie jak zawsze. Może trochę zeszczupłałaś.

Wiedziała, że z dawnej Elizabeth został tylko cień.

— Bardzo schudłam.

— Daj spokój, cóż za skromność. Kwitniesz.

Mimo zmieszania, jakie powodowała jego bliskość, Elizabeth poczuła, jak ogarnia ją fala wątpliwości: czy rzeczywiście kochała tego człowieka? We wspomnieniach rycerskość George'a błyszczała jak diament, ale teraz zdawała się matowa jak meduza zbyt długo leżąca na piasku.

Stłumiła te odczucia.

— Ty też nie wyglądasz najgorzej, George.

— Dzięki, stary Szkot dobrze się trzyma. Wszystko dzięki owsiance.

Elizabeth złapała go za słowo:

— Daj spokój, nie jesteś jeszcze taki stary.

— Czterdzieści sześć lat — lamentował.

— Elizabeth nie wiedziała, co powiedzieć. Z pewnością się omylił. Przecież czterdzieści sześć lat miał sześć lat temu...

Przez zaskoczenie przygarnął ją do siebie i pocałował tak mocno, że zabrakło jej powietrza.

— Nie zapomniałaś, mam nadzieję.

— Nie — odrzekła, ale kiedy nachylił się po raz drugi, odepchnęła go.

Pocałunek George'a Gallahera nie poruszył jej tak, jak wciąż na nowo wyobrażała to sobie w marzeniach. Szczerze mówiąc, jej ciało pozostało obojętne. Cokolwiek czuła do niego, dawno umarło; od sześciu lat oszukiwała się tylko.

Twarz nad nią nie była już tak przystojna, nie emanowała też dawnym urokiem, uśmiech wydawał się głupi. Postarała się zebrać myśli.

— Nie widzieliśmy się od tak dawna, George — rzuciła.

Skłonił się, co uznała za afektowane.

— Milady. Być może wolałaby pani znaleźć miejsce nieco bardziej przytulne?

Wciąż zdumiona odkryciem, że to co brała za miłość wcale nią nie było, Elizabeth czuła, że musi raz na zawsze zakończyć sprawy między nimi. Nie chciała jednak tak łatwo pozbywać się marzeń, przez tyle lat podtrzymujących ją na duchu.

— Nie o to chodzi... — zawahała się.

Zdała sobie sprawę, że drugi raz bawi się obrączką. Tilly pewnie już się zastanawia, co ją zatrzymało.

— George, czy kochałeś mnie, gdy byliśmy razem?

Spuścił głowę.

— Kochałem? Oczywiście, że cię kochałem.

— George, pytam poważnie, dla mnie to nie zabawa.

— Kto mówi, że dla mnie tak?

— Powiedz prawdę, proszę cię, George. Miałam tylko dziewiętnaście lat.

— Cii — położył jej palec na ustach. — Oczywiście, że cię kochałem, ale wiesz, że mi nie było wolno.

Z rosnącym niesmakiem Elizabeth patrzyła na tył jego pochylonej głowy.

— Mów szczerze, George. Dlatego, że masz żonę? O to ci chodzi?

Wyprostował się.

— Oczywiście. A przy okazji, właśnie chciałem cię zapytać o to samo.

Nie wyjaśniony, rosnący gniew zmienił jej słowa w zapalone strzały.

— Tak — powiedziała szorstko. — Jestem zamężna. Mój mąż ma na imię Neeley. Neeley Scollard. Czyli ja nazywam się teraz Elizabeth Scollard.

— Rozumiem.

Pogłaskał jej rękę i wsadził ją sobie do kieszeni.

— Pewnie ci zimno?

— Nic mi nie jest.

Przypatrywała mu się uważnie, rozważając, czy go nie odepchnąć. Zdawało jej się, że jeszcze ciągle istnieje szansa; jeśli tylko wytrwa stojąc cierpliwie, rozbroi ich oboje, ocali coś z ruin. George odwrócił się.

— Coś takiego, Elizabeth. Więc oto my, dwoje małżonków, wybraliśmy się na rodzinny spacer.

Jego słowa zawierały coś więcej niż odrzucenie; banał tak wielki, że wprost obraźliwy. Runęły ostatnie resztki misternie skleconej wieży fantazji. Wspaniałe iluzje legły w gruzach, raniąc jej dumę. Wystrzeliła następną strzałę.

— Jak się miewa twoja żona. Czy ona ma jakieś imię?

Mimo ciemności dostrzegła, że uśmiechnął się krzywo.

— To nie ta pogodna Elizabeth, którą znałem. Czyżby ta nowa, zamężna, nie znalazła szczęścia?

Jeszcze udawało jej się powstrzymać rosnący gniew.

— Nie — przyznała uczciwie. — Nie uważam się za nieszczęśliwą, ale najszczęśliwsza też nie jestem. Jakoś sobie radzę. Oboje dajemy sobie radę.

— Mnie też się udawało.

Forma, jakiej użył, i coś nieuchwytnego sprawiło, że klapki zaskoczyły w umyśle Elizabeth i pojęła nagle.

— Nie jesteś żonaty, prawda?

— Czemu tak uważasz?

Zorientował się za późno. Elizabeth wiedziała, że odgadła trafnie i poraził ją ogrom własnej naiwności. Przez następnych kilka sekund wszystkie sny i marzenia stopiły się w jedną masę. Zanim zdołała się opamiętać, uderzyła go w twarz z całej siły.

Ogłupiały złapał się za policzek.

— Co, do...

— Uważam też, że ukrywanie swojego wieku to beznadziejna dziecinada.

Obserwowanie, jak George usiłuje dojść do siebie, dało jej drobną satysfakcję. Nie pozwoliła mu na to, dodając:

— A przy okazji, jest jeszcze coś, co chciałam ci powiedzieć.

— Tak?

— Po prostu nie było cię w okolicy, rozumiesz...

Na wszelki wypadek odsunął się od niej.

— O co chodzi, Elizabeth?

— Nazywa się Francey. Zmarszczył się, zdziwiony.

— Kto?

— Francey Scollard, mój syn.

— Uroczo.

— Podoba ci się?

— A czy to ma jakieś znaczenie?

— Nie, sądzę, że niewielkie.

Elizabeth przyczaiła się jak kotka.

— Co za ulga...

— Tyle tylko, że to również twój syn.

Zamurowało go i widok ten sprawił jej osobliwą przyjemność.

— Co... — wyszeptał.

— Chyba słyszałeś.

Przejechał samochód napędzany gazem i na moment ogarnęła ich fala ciepłego powietrza. Elizabeth złagodniała, świadoma, że odegrała się za wszystkie poniżenia i złość. Poczekala, aż samochód zniknie za zakrętem na wzgórzu.

— Przepraszam, George — powiedziała nawet na niego nie spojrzawszy.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do hotelu i Tilly. Do normalnego życia. Cały ten czas... Sześć lat...

Łzy prawie ją oślepiły, ale szła coraz szybciej. Minęła półtropikalne krzewy, rosnące w klimacie ciepłych prądów zatoki i zakochaną parę ściskającą się w cieniu żywopłotu z fuksji.

George ją dogonił.

— Elizabeth! Co chcesz, żebym zrobił?

Widziała, że błaga o przebaczenie, ale chwilowy odruch współczucia ustąpił już miejsca odrazie. Zwolniła kroku.

— Nie martw się. Niczego od ciebie nie oczekuję. Mój mąż wie wszystko o pochodzeniu Franceya.

— Ale skoro to mój syn, to czy nie powinienem...

Stała jak wryta.

— Czego nie powinienes? Co byś wtedy zrobił? Postąpiłbyś choć trochę inaczej?

Był tak wstrząśnięty, że Elizabeth niemal się roztkliwiła.

— George, nie zostałeś stworzony do ojcostwa. Właściwie do niewielu rzeczy się nadajesz, prawda? A jeśli już jesteśmy... nie, jeśli jestem szczerą, to ci coś powiem. Taki z ciebie komediant i nieudacznik, nawet jako aktor. Czy ktoś ci kiedykolwiek powiedział, że nie masz za grosz talentu? Za to jesteś urodzonym kochankiem. Trzymaj się tego i nic ci nie grozi. Muszę przyznać, że uprawianie z tobą seksu — celowo użyła mocnego określenia — to coś fantastycznego. Jeżeli aktorstwo kiedyś ci się znudzi, z pewnością uda ci się utrzymywać z sypiania z kobietami. Lepiej niech pan uchyli przed tym kapelusza, panie Gallaher.

Złapał ją w ramiona.

— Elizabeth, musisz dać mi trochę czasu. To taki szok!

— Czasu na co? Na wymyślenie jeszcze jednej żony? Następnej wytwornej sceny?

Uwolniła się.

— Zachowaj to na występ, George. Albo jeszcze lepiej, wykorzystaj przy następnej nieszczęsnej kurewce, jaka ci się nawinie.

Elizabeth rzadko przeklinała, ale ten epitet sprawił jej przyjemność. Odchodząc pośpiesznie, nie zauważyła jednej rzeczy: za plecami George'a Gallahera dwoje kochanków, mieszkańców Derryconna, miasteczka nieopodal Lahersheen, odskoczyło od siebie i stanęło z rozdziawionymi ustami.

## ROZDZIAŁ 8

— To oburzające! — powiedział mężczyzna siedzący w przedziale z Elizabeth i Tilly i zaczął kichać. Popiół wpadający przez szparę w spaczonym oknie pokrywał wszystko różowawym nalotem.

— To znaczy... to znaczy... aaa–psik — kichnął znowu, zasłoniwszy chusteczką usta i nos.

Elizabeth odczekała, aż opadnie chmura popiołu kłębiąca się za oknem, i opuściła szybę. Pociąg zatrzymywał się powoli wśród chaszczy na zupełnym pustkowiu. O tej porze roku nie wypasano jeszcze bydła, ale dało się zauważyć kilka owiec z jagniętami. Kiedy lokomotywa sapnęła nieruchomiejąc, kasztanka za pobliskim żywoplotem uniosła ogon i pogalopowała w popłochu na drugi koniec zmarzniętego pastwiska. Tuż za nią biegł źrebak, wierzgając kopytami z radości. Zwierzęta z parującymi bokami stanęły na szczycie wybiegu, przypatrując się najeźdźcy, który śmiał zakłócić spokój na ich terytorium.

Elizabeth z przyjemnością oddychała zimnym powietrzem. Nie tylko ona wyglądała przez okno.

— Znowu poszli szukać torfu — przekazywano sobie wiadomość z ust do ust przez całą długość pociągu.

Odkąd opuścili Cork, już drugi raz zabrakło paliwa i załoga musiała szukać czegoś w zamian. Palacz wykorzystał postój na wyrzucenie sterty popiołu, który teraz, lekki i przenikający jak talk, unosił się nad wagonami. Elizabeth, kaszląc, usiadła na miejscu. Nie jeździła pociągiem od sześciu lat, więc nie miała okazji przywyknąć do podróżowania skokami. Gdyby nie fakt, że bardzo spieszyło jej się do domu, uznałaby to może za zabawne.

— Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Wciśnięta w kąty Tilly robiła na drutach. Jako bezdzietna czterdziestolatka znajdowała upodobanie w produkowaniu czapek, swetrów, skarpet, szalików i rękawic dla niezliczonej ilości siostrzeńców i siostrzenic. Dzieła jej rąk chroniły przed zimnem nawet małych Scollardów.

— Wszystko przez Chamberlaina — powiedziała z satysfakcją. — On nas wpakował w ten cały bałagan.

Tilly podobnie jak wielu jej ziomków, dobrze pamiętających głód i ciężkie warunki życia, całą winą obarczali Anglików. Choć Elizabeth nie sądziła, by przyjaciółka posunęła się do pobłażliwego traktowania inwazji Hitlera na Polskę, to podejrzewała ją o przewrotne sprzyjanie Niemcom tylko dlatego, że mogliby dać nauczkę zniechęconemu wrogowi.

Nie miała ochoty wdawać się w polityczne dyskusje.

— Nie sądzisz, że lepiej byłoby poszukać innego środka transportu?

Pociąg miał już takie opóźnienie, że nie pozostał nawet cień szansy na złapanie autobusu.

— Wszystko w rękach Boga.

— W tym tempie nie dotrzemy do domu przed północą.

Tilly policzyła oczka.

— Nic na to nie poradzisz, prawda? Mój Boże, co za jędzą z tej Idy!

— Rzeczywiście — przytaknęła Elizabeth z uśmiechem.

Ida Healy, obecnie Lavin, którą od własnego zamążpójścia spotkała ledwie dwa razy, złożyła poprzedniego wieczora wizytę jej rodzicom. Choć jej niespożytej energii przytarto trochę rogów, małżeństwo niewiele ją zmieniło; nawet w obecności Tilly nie przestawała strofować Elizabeth za wszystko, od zapadniętych policzków i niemodnie długich włosów aż po fakt, że Elizabeth, wieloletnia przyjaciółka, nie uznała za stosowne pojawić się na jej ślubie minionego lata.

— Znasz przyczyny, Ido — protestowała Elizabeth. — Właśnie spodziewałam się dziecka.

— O, jeszcze jedno — odparowała Ida. — Kiedy masz zamiar nalać oleju do głowy temu twojemu mężowi? Nie możesz być wiecznie w ciąży albo ronić, Beth. To niezdrowo.

Dowiedziawszy się, że Elizabeth zaszła w ciążę w trzy miesiące po urodzeniu Franceya, Ida przeżyła wstrząs. Zagroziła, że osobiście przyjedzie do West Cork, żeby przemówić Neeleyowi do rozumu.

Tilly stanęła w jej obronie.

— Dajże spokój biednej dziewczynie. Potrzebuje zwyczajnie trochę witamin, to wszystko. Prawda, Lizzie?

— To po prostu nie w porządku, Tilly.

— Jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Tak to już jest! — zażartowała Tilly, czym zarówno rozbroiła Idę, jak i usprawiedliwiła własną bezdzietność.

Ida również nie miała jeszcze dzieci, ale zupełnie się tym nie martwiła. Obie z Tilly spierały się o to od momentu poznania, więc Elizabeth odetchnęła z ulgą słysząc, jak się teraz przekomarzają i żartują. Bała się trochę, że Tilly wygada się o spotkaniu George'a Gallahera, ale okazała się dyskretna. W istocie, poza pytającym spojrzeniem, jakie rzuciła, gdy Elizabeth weszła do ich pokoju w zajeździe w Glengarriff, nie okazała najmniejszego zainteresowania sprawą, za co Elizabeth była jej ogromnie wdzięczna.

Kichający pasażer podniósł się i wyszedł. Elizabeth popatrzyła za nim. Gorąco pragnęła porozmawiać z Tilly.

— Słuchaj — zaczęła, ale w tym momencie inny mężczyzna wsadził głowę do przedziału.

— Tak myślałem, że to wy!

— Witaj, Mossie.

— Witaj.

Elizabeth nie okazała entuzjazmu. Mossie Breac Sheehan, kawaler mieszkający ze stryjeczną babką na paru akrach słonawych nieużytków, był ich sąsiadem z Lahersheen.

Jego dwa pola, nadające się tylko dla kóz albo jednej czy dwóch owiec, stykały się z polami Scollardów, więc Elizabeth często spotykała go w — trakcie codziennych zajęć. Uchodził za przyzwoitego i doceniano jego obowiązkowość. Elizabeth zawsze traktowała go uprzejmie, ale coś w jego spojrzeniu sprawiało, że czuła się nieswojo. Nie działo się nic szczególnego, tylko czasami, gdy spotykali się na drodze czy polu, zdawało jej się, że jego wzrok mówi: „znam cię”. W takich chwilach nawiedzało ją niemiłe uczucie, że Mossie to cicha woda i nie można go nie doceniać.

— Wracacie z miasta?

Wszedł do przedziału i usiadł obok Elizabeth.

— Tak, Mossie, odwiedziliśmy rodziców Elizabeth.

— Słyszałem, że byliście w Glengarriff poprzedniego wieczora — powiedział tonem, który zaalarmował Elizabeth.

Tilly zdawała się niczego nie dostrzegać.

— I owszem, rozrywałyśmy się. Ostatnie rozrywkowe dziewczęta, rojaletki z Lahersheen.

Gwoździem programu miodowego miesiąca Tilly było przedstawienie słynnego Teatru Royal i wspomnianie o tym nigdy jej nie nudziło.

— Neeley nie pojechał? — Mossie zwrócił się już otwarcie do Elizabeth i znów stworzył wrażenie, że jego słowa mają podwójne dno.

Nie umiała wyczuć, czy rzeczywiście coś wie, czy to tylko swoisty sposób konwersacji.

— A ty wracasz z Cork, Mossie?

— Tak, musiałem kupić parę drobiazgów, ostrze do kosy i takie tam — odrzekł przyglądając się swoim nierównym, choć czystym paznokciom. — Pewnie dostałbym to u Harringtona w



Castletownbere albo nawet w Bantry, ale jak ciotka zobaczyła, że zbieram się do drogi, to zażyczyła sobie kilku rzeczy od Casha.

Krzywy uśmiezek potęgował jego sarkazm.

Elizabeth nie odpowiadała; wyglądała przez okno. Zwrócił się więc do Tilly. W trakcie ich zdawkowej rozmowy Elizabeth zastanawiała się: skoro Mossie wracał teraz z Cork, przyjechał najpóźniej wczorajszego wieczora. Niemożliwe, żeby cokolwiek o niej słyszał, prawda? Woląta nie dociekać.

Konwersacja utknęła w martwym punkcie i Tilly skupiła się na robótce. Mossie pojął aluzję i wstał.

— Na razie.

— Do zobaczenia w domu.

Elizabeth wysiliła się na przyjazny ton. Kiedy wyszedł, wzniosła oczy ku niebu:

— Boże, chroń Irlandię.

— Lizzie! — zawołała Tilly. — Mossie to niezły kawał chłopca. Co masz przeciwko niemu?

— Pewnie ma nawet własne zęby. — Elizabeth nie zdążyła ugryźć się w język.

W przeciwieństwie do wielu okolicznych mężczyzn, Mossie rzeczywiście dbał o siebie.

— Masz rację, nie powinnam być tak złośliwa.

— Wiele dziewcząt w Béara miało na niego chrapkę swego czasu. A i teraz chętna by się znalazła, w końcu on ma dopiero trzydzieści cztery lata.

— Nie wiem, o co mi chodzi, Tilly. Czasami gapi się tak na mnie.

Tilly posłała jej bystre spojrzenie.

— Wiesz, jacy oni wszyscy są drażliwi na punkcie ziemi.

— Przecież ja nie mam z tym nic wspólnego — broniła się Elizabeth. Ponieważ pochodziła z miasta, bardzo długo nie rozumiała obsesyjnej pasji, z jaką ludzie z Béara podchodzili do spraw nabywania i posiadania ziemi, choćby najbiedniejszych i nieurodzajnych skrawków.

Niebawem po przyjeździe do Lahersheen usłyszała o krwawym zatargu między rodzinami Neeleya i Mossiego. Łączyło ich jakieś dalekie pokrewieństwo i kiedyś, w połowie ubiegłego wieku, prapradziadek Neeleya odziedziczył ziemię, do której rościł sobie prawa prapradziadek Mossiego. Sprawy pogorszył fakt, że dziadek Mossiego, brat jego ciotki, był alkoholikiem i sprzedawał po kawałku co lepsze działki na obrzeżach, a potem także środek i miedzę. Okroił w ten sposób dziedzictwo Mossiego do obecnego kształtu.

— Nie powinnaś się z niego naśmiewać, Lizzie. Parę lat temu doznał wielkiego zawodu.

Nowa porcja popiołu dostała się przez spaczzone okno i teraz Tilly zaczęła kichać.

— Doprawdy? — spytała Elizabeth bez zainteresowania.

Kiedy przyjechała na Béara, naśmiewała się z określania w ten sposób zerwanych zaręczyn. Nie miała ochoty wypytywać i własne problemy szybko wyparły jej z głowy miłosne niepowodzenia Mossiego.

— Tilly?

— Hmm? — mruknęła Tilly unosząc głowę znad robótki.

— Bardzo chciałabym ci o czymś powiedzieć. Chyba należą ci się wyjaśnienia co do zeszłego wieczora.

Tilly zrobiła się czujna.

— Nie masz obowiązku mówić mi niczego, skarbie. Cokolwiek by to było, to pewnie i tak nie mój interes.

— Może i nie, ale mimo to chcę ci powiedzieć. Nie mam komu się zwierzyć.

— Skoro tak, to masz, nawiń to ze mną w międzyczasie.

Rzuciła jej na kolana motek niebieskiej wełny.

Elizabeth zobaczyła, że klacz ze źrebakiem przygalopowała z powrotem do żywopłotu przy torach. Gotowa rzucić się w każdej chwili do ucieczki, stała z wyprostowaną szyją i strzygła uszami, malec zaś tulił się do jej boku wytrzeszczając ciekawe oczy na znieruchomiały pociąg. Elizabeth rozciągnęła motek na rękach, a Tilly zaczęła nawijać, rytmicznie jak metronom.

— Między nami wszystko skończone, Tilly — powiedziała po paru minutach. — Od zeszłej nocy wiem to na pewno.

— Lizzie, nie musisz...

— Proszę cię, nie miałam okazji z nikim porozmawiać.

— Nawet z Idą?

— Ida wyraziła głębokie oburzenie.

Na wspomnienie kłamstw Gallahera i własnej naiwnej wiary w słowa równie tandetne jak nagrody na loterii, Elizabeth znów ogarnęło upokorzenie. Wbiła wzrok w wełnę.

— Narobiłam niezłego bigosu, prawda? Kochałam go przez tyle czasu, albo przynajmniej tak sobie wmawiałam. Tilly, najgorzej boli odkrycie, że on „wcale nie był tego wart. Okazało się, że przypomina lichy, blaszany zegarek. Okłamał mnie w najważniejszych sprawach. Jedno wielkie oszustwo, od początku do końca. Och, Tilly, jakaż byłam głupia.

— Daj spokój. Głupota to ostatnia rzecz, o jaką możesz się oskarżać.

Elizabeth poczerwieniała.

— Widzę teraz, jakie to było szalone. Na samą myśl...

— Słuchaj, nie mów już nic więcej. Denerwujesz się.

— On wcale nie pragnął mnie — ciągnęła niezrażona. — Nigdy mnie nie chciał, po fakcie pewnie nawet o mnie nie wspomniał. Każda by się nadała. Akurat ja znalazłam się pod ręką. Najgorsze, że sprawiło mi to tyle przyjemności. Och, Tilly, czuję się taka zbrukana...

Bardziej zła niż zdenerwowana odgarnęła ramieniem włosy z czoła.

— Widzisz, skarbie — mówiła Tilly pospiesznie — nie powinnaś uważać tego za brudne. Kiedy przydarza się taka namiętność, to ani Bóg, ani człowiek cię nie powstrzyma.

Elizabeth znieruchomiała. Nie spodziewała się takiej reakcji.

— Niewiele ludzi by się z tobą zgodziło.

— Więcej, niż ci się zdaje. Zdziwiłabyś się, Lizzie. Tylko ci, którym nie wyszło, usiłują przeszkodzić szczęściu innych ludzi. Ci, którzy wiedzą, tylko się cieszą.

Ton Tilly zaniepokoił Elizabeth.

— Co usiłujesz przez to powiedzieć?

— Pewnie cię to zdziwi. Wiem, że za dużo ważę i wyglądam jak pokraka, ale nie zawsze tak było.

— Och, Tilly...

— Nie lituj się nade mną. Mój mąż to dobry człowiek i nie żałuję, że za niego wyszłam. Ale byłam... — zawahała się — zakochana tak jak ty, mając jeszcze mniej lat niż ty teraz.

Elizabeth zadumała się; nigdy nie przyszło jej do głowy, że ta kobieta może mieć jakąkolwiek inną twarz niż ta, którą pokazuje na co dzień: ustatkowanej gospodyni, dobrej sąsiadki i niezastąpionej przyjaciółki. Choć w Lahersheen Tilly była najbliższą jej osobą, zwykle odgrywała rolę doradczyni i ich przyjaźń nigdy nie przekraczała pewnych barier. Zdawało się, że dopiero teraz nadeszła właściwa pora.

— I co się stało? — zapytała miękko.

— Wyjechał do Butte, w Montanie. Zginął w kopalni osiemnaście miesięcy temu.

Tilly nie odrywała oczu od niemal gotowego kłębka. Spadek! Porażona Elizabeth otworzyła szeroko oczy.

— Ależ, Tilly, sądziłam, że te pieniądze dostałaś od krewnego...

— Tak uważa całe Lahersheen. Wszyscy w okolicy mają tam krewnych.

— Dlaczego za niego nie wyszłaś, nie wyjechaliście razem?

— Taki mieliśmy zamiar, ale wpędził tam w kłopoty pewną dziewczynę. Musiał się z nią ożenić.

Elizabeth zaniemówiła. Poczula, jak ostatni zwój wełny zsuwa jej się z rąk. Tilly wetknęła koniec nitki do kłębka i schowała do torby z robótką.

— Widzę, że cię to zaskoczyło, złotko. Chodziło mi tylko o to, żeby ci pokazać, jak nie należy sądzić po pozorach. Więc nie obwiniaj się za swoje uczucia, bo od początku świata mężczyźni i kobiety umierali i zabijali się za to, co ty czułaś do tego faceta.

Elizabeth otworzyła usta ze zdziwienia.

— Zaskakujesz mnie...

— Jasne. Stara dobra Tilly, kto by przypuszczał. O to ci chodzi?

— N... nie...

Tilly złożyła ręce i rozsiadła się wygodnie.

— Oczywiście, że tak. W porządku. Wiem, co Kościół i ograniczone dewotki mówią na ten temat, i z wybrankiem można nie najlepiej trafić — widząc wyraz twarzy Elizabeth poprawiła się — w rzeczy samej, kiepsko trafiłaś, ale nie umniejsza to dobrych stron tego, co się stało. Słuchaj, czemu twoim zdaniem Kościół tak bardzo obawia się seksu? Bo gdyby irlandzkie kobiety śmiały wyrazić, co czują do swoich mężów, cały kraj mógłby obrócić się w perzynę. Oczywiście, pozwoliliśmy mężczyznom rządzić państwem i naszym życiem. Jedyna ich nadzieja w tym, że zabronią nam się jednoczyć. I będą trzymali pod sobą, w całym tego słowa znaczeniu.

Wepchnęła niesforne włosy pod beret i uśmiechnęła się przewrotnie do oszołomionej Elizabeth.

— Oto moja historia, kochanie. Mogłabym równie dobrze znajdować się w twojej sytuacji, gdyby rzeczy potoczyły się inaczej, to znaczy gdyby to mnie wpędził w kłopoty. A przy okazji powinnaś wiedzieć, że nie brakowało po temu okazji...

Szczęka Elizabeth opadła jeszcze niżej, a Tilly uśmiechnęła się szeroko.

— Tak czy inaczej, gdybyś pytała, czy wstydzę się albo żałuję tego, co robiłam z moim ukochanym odpowiedź brzmi: nie. Żałuję tylko tego, że umarł.

— Czy Mick wie o tym? — Elizabeth odzyskała głos.

— Jasne, ale nigdy o tym nie rozmawiamy. Zresztą niewiele rozmawiamy. Dostatecznie nam dobrze tak jak jest i nie wchodzimy sobie w drogę.

Zawahała się i dodała innym tonem:

— Jeżeli mogę ci coś radzić, nie wspominaj Neeleyowi, co zdarzyło się w Glengarriff. Ciesz się, że przytrafiło ci się takie doświadczenie, bo to znak, że masz więcej szczęścia niż większość ludzi.

Elizabeth skinęła wolno głową. Pod żadnym pozorem nie miała zamiaru wspominać o niczym mężowi.

Tamtej nocy, leżąc w łóżku wspominała bezustannie wszystkie zdarzenia, dochodząc za każdym razem do wniosku, że jeszcze wciąż można coś ocalić, ułożyć sobie życie z Neeleyem. Do tej pory zawsze tracił w porównaniu z George'em Gallaherem, teraz musiała przyznać ze wstydem, że w rzeczywistości wypadł dużo lepiej: był stały, wierny, dbał o dom.

Nauczyła się znosić jego napady pijaństwa i zmienne nastroje, które przemijały równie szybko, jak się zjawiały. Teraz świetnie umiała przewidywać i unikać konfliktów, co wychodziło na dobre i jej, i dzieciom.

Na swój własny sposób Neeley okazywał wiele cierpliwości, nawet czułości po jej kilku poronieniach, których nawet położna nie umiała wytłumaczyć inaczej jak zrzędzeniem opatrzości.

Dotąd traktowała życie u boku Neeleya jak szkołę przetrwania, masochistyczną karę za brak umiarkowania w przyjemnościach. Teraz doszła do wniosku, że niesłusznie oskarżała męża o brak ogłady czy wykształcenia; to również nie jego wina, że nie dorównywał George'owi wrażliwością i doświadczeniem. Stwierdziła, że potępiała go za bycie sobą, czyli w istocie dobrym, a może nawet lepszym mężem niż większość mężczyzn w Irlandii.

Obiektywnie jej życie nie układało się najgorzej. Miała troje zdrowych dzieci, a dziewczynki Neeleya dobrze się chowały.

— Muszę wrócić do domu i nagrodzić Neeleyowi cały ten czas. Zasluguje na więcej, niż dostał.

— Moim zdaniem Neeley najmniej tutaj ucierpiał.

W zapale zadośćuczynienia Elizabeth nie chciała tego słuchać. Zawstydzona wstała i podeszła do okna. Pusta, górzysta okolica połyskiwała jasnym seledynem pod ostrym zimowym słońcem. Szron stopił się już, zostawiając tylko kilka srebrzystych śladów na trawie, pokrzywach i jeżynach w zacienionych miejscach tuż koło żywopłotów. Na przekór wojnie w Europie, irlandzka łagodna zima prezentowała się od najlepszej strony.

— Skoro już rozmawiamy — za plecami Elizabeth rozległ się pełen wahania głos Tilly — chciałam cię jeszcze o coś spytać.

— Jasne.

Odwróciła się.

— Przerwij mi proszę, jeśli uznasz, że to nie mój interes.

— Jesteś moją prawdziwą przyjaciółką i mogę sobie jedynie życzyć, bym mogła ci dorównać. Pytaj.

— Po prostu byłam ciekawa... — zawahała się. — No, dobrze. Ciekawiło mnie, czy z Neeleyem ostatnio wszystko w porządku.

— W jakim sensie? Ze zdrowiem?

Elizabeth zmarszczyła brwi. Czyżby Tilly o czymś słyszała?

— No tak, ze zdrowiem, w pewnym sensie można to tak nazwać.

— Co za tajemnice, Tilly, co masz na myśli?

— Słuchaj, zamierzałam spytać cię o to od dawna, ale jakoś nigdy nie mogłam się zdobyć. Zdarzyło się już ze dwa razy, że ludzie poważnie się o niego martwili.

— Chodzi ci o picie?

— Wiadomo, wszyscy piją. Nie, raczej o to, że raz czy dwa, wiesz, na przykład kiedy zmarła Agnes, Neeley trochę się... no cóż, nie wszystko miał w porządku z nerwami. A picie, rzecz jasna, nie pomagało.

Spuściła głowę.

— Przepraszam cię, Lizzie, ale Mick powiedział mi, że widział go raz pijącego samotnie w Castleclough i wydawało mu się, że znowu bardzo się zamknął w sobie. Pomyślałam więc, że zapytam. Mick i ja bardzo się o was troszczymy.

Elizabeth zamyśliła się. Zdarzyło się już, że Neeley stawał się niezwykle cichy, ale kładła to na karb zmagania z niewdzięczną farmą.

— Czemu teraz mi o tym mówisz?

— Do tej pory nie miałyśmy okazji — odrzekła z prostotą — a poza tym sądziłam, że lepiej cię ostrzec, zanim pobiegiesz mu powiedzieć o spotkaniu z George'em. Właśnie dlatego uważam, że nie powinnaś. Nigdy nie wiadomo, jak zareaguje ktoś taki jak on.

— Dzięki, Tilly. Moim zdaniem z Neeleyem wszystko w porządku.

\* \* \*

Dotarli do domu niemal o ósmej. Kiedy pociąg wreszcie wtoczył się na stację, autobus z Bantry dawno odjechał. Uczynny robotnik budowlany z Agriole dysponował ciężarówką napędzaną domową mieszanką paliwa, która śmierdziała nieludzko, ale za to było jej pod dostatkiem. Za równowartość butelki whisky podrzucił je aż do Castletownbere. Stamtąd do Ballycrovane pojechały wózkiem zaprzężonym w osiołka.

Zapadła gęsta mgła i osiołek włókł się krętą drogą w ślimaczym tempie.

— Na piechotę pójdzie szybciej — orzekła obładowana pakunkami Tilly, kiedy rozpoczęły ostatni odcinek podróży.

Zapadała mgła. Zbyt zmęczone, by rozmawiać, ze skupieniem trzymały się ścieżki. Bezwiednie zrównały kroki, które brzmiały teraz jak werbel na tle pomruku niewidocznego morza. Kiedy dotarli do cmentarza Kilcatherine, Elizabeth przełożyła paczki do jednej ręki, a drugą wsunęła Tilly pod ramię; choćby nie wiem ile razy przechodziła tędy lub towarzyszyła pogrzebom, zawsze czuła się nieswojo.

Legenda głosiła, że istnieje podziemne przejście od jednego z grobów aż na wybrzeże, ale jej lęk powodowała raczej bliskość Głowy Kilcatherine. Ta niewielka rzeźba, ledwie trzydzieści centymetrów w najszerszym miejscu, znajdowała się nad jednym z wejść do zrujnowanej kaplicy. Wystawiona na działanie wielu wieków pogody Béara, miała ledwie widoczne zarysy oczu, nosa i otwartych ust. Wielu ludzi twierdziło, że pochodziła jeszcze z czasów przedchrześcijańskich, inni łączyli ją z kultem węża, ale tak naprawdę nikt nie był pewien. Głowa miała ogromny wpływ na zabobonną duszę Elizabeth.

Pierwszy raz dojrzała ją niedługo po przybyciu, brzemienna z Franceyem, kiedy uczestniczyła w pogrzebie pewnej kobiety z sąsiedztwa. Wiosenne słońce bawiło się w chowanego, a silny wiatr gonił chmury tak, że światło i cień padały na cmentarz niczym kości do gry. Ksiądz zaintonował różaniec nad otwartym grobem, a coś sprawiło, że Elizabeth spojrzała w stronę kaplicy. W tym momencie ostre światło ożywiło Głowę, wydobywając jej rysy jasno i wyraźnie. Zdawało się, że wpatruje się wprost w Elizabeth. Trwało to może dwie sekundy, potem światło zgasło, odsyłając Głowę z powrotem w niebyt. Wstrząśnięta Elizabeth chwyciła się ramienia Neeleya.

Zjawisko nie powtórzyło się nigdy więcej, ale Elizabeth nie potrafiła uwolnić się od strachu, mimo że pod innymi względami Głowa mogła wydawać się całkiem przyjazna. Wieki ostrej pogody sprawiły, że pod pewnym kątem przypominała niewinną, mięciutką owieczkę.

— Wszystko w porządku, Lizzie? — głos Tilly brzmiał nienaturalnie nisko.

— Świetnie — przytaknęła z zapalem, tak jakby samą energią mogła przepędzić uczucie zagrożenia.

— Już niedaleko do domu.

Przystanęły koło ścieżki prowadzącej na farmę Tilly, by się pożegnać.

— Tilly, jak ja ci się odwdzięczę? Nie powiesz nikomu, że go spotkałam?

Uściskała ją.

— Lizzie! Zdawało mi się, żeśmy się zrozumiwały.

— Przepraszam. Zobaczymy się jutro?

Od domu dzieliło ją jeszcze pół mili. Poszła na skróty przez pole i właśnie dochodziła do dziury w żywopłocie, kiedy rzuciła się ku niej mała postać.

— Mamusiu!

— Francey, co tu robisz sam? Powinieneś dawno spać!

— Czekałem na ciebie. Tam jest okropnie. Tata strasznie się wścieka. Posłał wszystkich do łóżek już po herbacie. I uderzył mnie kijem. To nie w porządku.

Serce jej się ścisnęło. Nie znosiła bicia dzieci, choć musiała przyznać, że Neeley niezbyt często uciekał się do używania dyscypliny wiszącej na haku za drzwiami; żeby powstrzymać psoty lub impertynencje wystarczała groźba.

Rodzicielska solidarność zmuszała Elizabeth do popierania męża.

— Pewnie byłeś bardzo niegrzeczny, Franceyu.

— Nieprawda... nic nie zrobiłem. Nikt nie broił. Przywiozłaś mi prezent?

Złapał za jeden z pakunków.

— Zaraz, zaraz. Trochę cierpliwości. Więc wszyscy leżycie w łózkach?

— Dzidzia nie śpi, tylko płacze. Tam jest okropnie. Musiałem wyjść.

Elizabeth uśmiechnęła się pobłaźliwie. Czasami Francey wyrażał się jak stary malutki i zawsze umiał ją wzruszać jak nikt inny. Ciągłe myszkował wśród paczek, próbując wymacać, co jest w środku.

— Franceyu! — zaprotestowała. — Zabierz ręce i zaczekaj, aż wejdziemy do środka.

Szli polem i mgła tłumiła jej głos.

— A w ogóle, to jak wyszedłeś z domu?

— Przez okno! — odpowiedział z szerokim akcentem Neeleya, lecz uśmiechem George'a. Bardzo go fizycznie przypominał; już przewyższał wzrostem wszystkich chłopców w okolicy. Pomyślała, że mając przy sobie Franceya, nigdy nie uwolni się całkowicie od jego ojca.

— No cóż, obawiam się, że będziemy musieli wsadzić cię z powrotem przez okno, prawda? Wracaj, któredy wyszedłeś i do zobaczenia jutro rano.

Żartobliwie szturchnęła go pakunkiem.

— Kiedy ja chcę wiedzieć, co mi przywiozłaś!

— Franceyu Scollardzie, oświadczam ci, że nic nie dostaniesz, jeśli w tej chwili nie wrócisz do łóżka.

— To niesprawiedliwe — zaprotestował, ale widząc, że matka nie żartuje, rozpląnął się we mgle.

— Odczekała, aż jego kroki ucichły za rogiem i podeszła do kuchennego wejścia. Wciąż uśmiechnięta, pchnęła drzwi. Przez sekundę czy dwie jej oczy przywykły do ciemności; jedyne światło padało z uchylonych drzwiczek węglowej kuchni.

— Czemu tu tak ciemno? To ty, Neeleyu?

Zauważyła postać na krześle męża. Nie odpowiadał, ale uwagę Elizabeth pochłonał płacz dziecka i bijący od niego ostry zapach. Abigail umieszczona w starym kojcu po drugiej stronie kuchni stała na rozkraczonych nóżkach. Pielucha zwisała tak nisko, że pewnie nie zmieniano jej od bardzo dawna.

— Neeleyu! — zawołała Elizabeth upuszczając paczki i biegnąc do dziecka. — Biedne maleństwo.

Kiedy ją podnosiła, zauważyła butelkę koło krzesła męża. Nie wiedziała, ile wypił, ale i tak ścisnęło jej się serce; Neeley po najmniejszej dawce stawał się nieobliczalny. Nic dziwnego, że tak się złościł na Franceya.

Szybko zapaliła olejną lampę i zajęła się dzieckiem, głaszcząc i uspokajając, aż płacz przeszedł w cichą czkawkę.

— Już dobrze, Abigail — mówiła kołysząc córkę w ramionach. — Nie lepiej tak? Neeleyu, trzeba ją nakarmić.

— Ladacznica! — powiedział niespodziewanie wciąż gapiąc się przed siebie.

Elizabeth niemal upuściła dziecko.

— Co? — szepnęła.

— Dobrze słyszałaś — ciągnął niskim, jadowitym głosem. — Ladacznica! Dziwka! Kurwa!

Elizabeth ostrożnie ułożyła córkę w kołysce i przykryła kołderką. Musi się mieć na baczości. Ile on wie?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — powiedziała spokojnie, choć czuła, że krew odpływa jej z twarzy.

— Owszem, rozumiesz — spojrzał w jej stronę. — Ty i ten... ten cholerny aktorzyzna. Zrobiłaś z siebie przedstawienie na całe Glengarriff. Nie mogłaś trzymać się od niego z daleka, co? Zostawiłaś mnie w domu, wszystko pewnie z góry ukartowane! Założę się, że Tilly Harrington też maczała w tym palce! Pewnie całe Lahersheen! — mówił coraz głośniejszym głosem, niemal plując.

Elizabeth poczuła się pewniej.

— W dalszym ciągu nie wiem...

Zerwał się z krzesła.

— Gównu mnie obchodzi, co wiesz, a czego nie. Wszyscy o tym gadają. W całym mieście, na każdym skrzyżowaniu do Castletown.

Przez moment wydawało się, że ją uderzy. Zamiast tego złapał butelkę, pociągnął z niej i wrzucił ją do ognia.

— Neeley, nie...

Elizabeth podbiegła, żeby ją wyciągnąć, ale było za późno. Mała kuchnia zadrżała, gdy z odgłosem podobnym do strzału butelka stanęła w jasnynie płomieniach. Na szczęście Neeley rzucił ją z taką siłą, że wylądowała w głębi paleniska, więc większość szkła poszła kominem, by po chwili nieszkodliwie opaść w popiół. Kilka odłamków poleciało w ich stronę i choć uchylili się instynktownie, jeden z nich trafił Neeleya w prawy policzek, ledwie mijając oko.

Abigail rozplakała się i Elizabeth pełna najgorszych przeczuć rzuciła się do kołyski. Ku jej uldze mała tylko najadła się strachu.

Pozostałe dzieci przybiegły do kuchni. Stłoczyły się na środku, dziewczynki w nocnych koszulach, a Francey w dziennym ubraniu.

— Co się stało? — spytała Mary, wodząc wzrokiem od Elizabeth do Neeleya. — Tato, ty krwawisz!

Oniemiały Neeley dotknął policzka, spojrzał na ubrudzoną krwią rękę.

— Zobacz, co przez ciebie zrobiłem... — wyjął chusteczkę i zataczając się trochę, przytknął ją do twarzy.

Elizabeth wzięła się w garść.

— Dziewczynki, przynieście jodynę...

— Nie ruszać się! — wrzasnął Neeley na dzieci, potem odwrócił się do Elizabeth: — Nie będziesz mnie tu polewać żadną jodyną. Nawet nie próbuj do mnie podchodzić, ty suko! Ladacznico! Zapytajcie waszej kochanej mamusi — zwrócił się do dzieci wskazując na nią palcem — co przedwczoraj wieczorem robiła w Glengarriff. No, zapytajcie!

Złapał najbliższą stojącą dziewczynkę za kark i pchnął w stronę żony potrząsając gwałtownie.

— Spytaj!!

Goretti, najbardziej nieśmiała ze wszystkich, zaczęła płakać.

— Tatusiu, to boli! Puść mnie!

— Zostaw ją — krzyknęli Francey i Mary jednym głosem.

— Jak śmiecie odzywać się tak do waszego ojca!

Neeley puścił Goretti, podszedł do drzwi i złapał dyscyplinę wiszącą na pętli ze sznurka. Nie udało mu się jej zdjąć, chociaż szarpał na wszystkie sposoby. Dzieci zaczęły płakać.

— Neeleyu, zostaw to.

Elizabeth złapała go za marynarkę, ale upadła, gdy uderzył pięścią na oślep. Dalej mocował się z pętlą.

— Szybko, Francey, dziewczynki. Do łóżek! — wrzasnęła Elizabeth, kiedy Neeleyowi udało się wreszcie wyrwać dyscyplinę razem z gwoździem.

Uciekli z płaczem do sypialni. Ojciec zatoczył się i odwrócił wymachując kijem z przyczepionym haczykiem.

— Jezu Chryste! — rycząc runął za nimi. — Wracajcie tu natychmiast!

Elizabeth wyprzedziła go i zasłoniła sobą drzwi sypialni.

— Neeleyu, w tej chwili przestań!

Miał twarz groteskowo wykrzywioną złością. Uniósł kij, jakby chciał ją uderzyć. Elizabeth zamknęła oczy i czekała na cios. Śmierdziało od niego bimbrem. Nagle poczuła, że się odwrócił. Otworzywszy oczy zobaczyła, jak potykając się idzie przez kuchnię w stronę wyjścia.

Opuściła ręce, dopiero kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi. Łkania siedmiorga dzieci wstrząsały domem, a Elizabeth, osłabła po walce, zbierała siły. Odetchnęła głęboko parę razy; nie wolno jej teraz tracić głowy.

Wzięła na ręce Abigail i poszła do dzieciennego pokoju. Płacz wzmógł się na moment. Przekonawszy się, że to nie Neeley, Goretti podbiegła do niej i ukryła twarz w jej spódnicy.

— Gdzie Francey i Johanna?

— Pod spodem. — Margaret, która też już doszła do siebie, wskazała na łóżko w głębi pokoju.

— Masz, zaopiekuj się Abbie.

Elizabeth wręczyła jej dzidziusia i z kurczowo wczepioną Goretti uniosła pościel i zajrzała pod łóżko.

Trzymając się w ramionach, twarzami do siebie, Francey z siostrą skulili się w najodleglejszym kącie, trzęsąc się jak myszy w pułapce. Elizabeth niemal się załamała. Goretti trzymała ją wpół, więc z trudem udało jej się nachylić i złapać syna za kapotę.

— Johanno, Franceyu, już w porządku, możecie wyjść...

— Idź sobie — wrzasnął przywierając mocniej do siostry — zostaw nas!

Elizabeth zrozumiała, że wziął ją za Neeleya.

— To ja, mamusia — zawołała. — Już po wszystkim, wyjdź stamtąd, kochanie.

Obejrzał się i mimo ciemności zauważyła jego wielkie oczy w bladej buzi.

— No chodź, kochanie, już wszystko dobrze.

Wygramolili się spod łóżka. Reszta dzieci też uspokajała się powoli, nawet Goretti rozluźniła uchwyt.

— Chodźcie wszyscy do kuchni.

Kierowała się instynktem; chociaż przyzwyczaiła się już do wybuchów Neeleya, taka burza zdarzyła się po raz pierwszy i nie miała pojęcia, kiedy i czy w ogóle wróci. Na wszelki wypadek trzeba było przedtem uspokoić dzieci i wysłać je do łóżek.

Niemowlę wciąż płakało. Dzieci zbiły się w kupkę, niepewne, co robić. Elizabeth dorzuciła do kuchenki parę patyków i trochę torfu z koszyka.

— Czy ktoś zajmie się butelką dla Abbie? Mary? Chyba dobrze by nam zrobiło trochę ciepłego mleka. Ile zostało?

— Pół kubka — poinformowała praktyczna Margaret.

— No cóż. Nie wystarczy dla wszystkich. Trzeba będzie rozcieńczyć je wodą. Franceyu, potrzebuję jeszcze torfu. Kathleen, napełnij imbryk, Goretti, przynieś filiżanki, a ty, Margaret zamieć podłogę, dobrze? Upewnij się, że nie zostało szkło. Uważaj...

Rozbiegli się wypełniając polecenia. Do kuchni wrócił ład. Dziecko dostało butelkę i ssało u matki na rękach. Mleko podgrzało się i Elizabeth napełniła kubki stojące na stole. Dużo by dała za filiżankę mocnej, dobrej herbaty, ale ostatnio używana porcja suszyła się na gazetach i Elizabeth nie miała siły zajmować się tym teraz. Nalała więc również dla siebie i wbrew oszczędności



zapaliła pozostałe dwie lampy: jedną na szafce, drugą na kominku. Chciała mieć jak najwięcej światła.

Zapadła cisza, uderzająca po awanturze, która przetoczyła się przez dom kilka minut temu. Wszyscy przyjęli ją z wdzięcznością, słychać było tylko cichy trzask ognia i siorbanie mleka. Mimo to Elizabeth widziała, że dzieci są napięte i czujne. Nadsluchiwały, czy Neeley nie wraca.

— Mamusiu, co to znaczy ladacznica? — spytała Margaret, która pierwsza skończyła mleko.

Elizabeth przygotowała się na to pytanie.

— To nieładne słowo, skarbie. Mężczyźni mówią tak, kiedy się denerwują. Ale wcale tak nie uważają.

Margaret zamilkła, a po chwili zapytała znów:

— A czemu on się na ciebie złości?

— Nie twoja sprawa — ofuknęła ją Mary, odstawiając głośno kubek.

— Tatuś i nasza prawdziwa mamusia nigdy się nie kłócili — dodała Kathleen, która jako jedyna z czterech córek Neeleya, okazywała niezadowolenie z ponownego ożenku ojca.

Elizabeth próbowała rozluźnić atmosferę.

— To nadzwyczajne, Kitty. Większość ludzi się sprzecza. Nawet rodzina królewska.

Kathleen najbardziej interesowała się strojami, fantazjami i legendami, a między kartkami modlitewnika starannie przechowywała wyciętą z gazety fotografię dwu małych księżniczek. Silny nacjonalizm Neeleya oszczędzał jakoś brytyjską rodzinę królewską, zwłaszcza w opinii jego córek.

— Kiedy on wróci? — spytał Francey.

Elizabeth zawahała się.

— Niedługo — spojrzała po twarzach i wysiliła się na niefrasobliwy ton. — Skończone? Pospieszcie się i myk do łóżek, bo tata znów się będzie gniewał. Trzeba się otulić i spać.

— A co ze zmywaniem? — zapytała Margaret.

Dziewczynki zajmowały się tym na zmianę. Elizabeth wstała i wzięła dziecko od Mary.

— W porządku, Maggie, sama to zrobię. A teraz sio! Uciekajcie.

Kiedy poszli, zgasła dwie lampy, usiadła przy kuchni i znów wetknęła Abbie butelkę do ust. Wolną ręką głaskała jej nie ścinane dotąd czarne loczki, opadające na ramionka. Obie córki miały ciemną cerę jak Neeley, tylko Francey odziedziczył po niej karnację blondynki, co mimo fiołkowych oczu i wysokiego wzrostu, odrobinę zmniejszało jego podobieństwo do ojca.

Abigail ssła spokojnie, wpatrując się w matkę. Od narodzin Franceya trzymanie małego, ciepłego ciała w zagięciu ramienia i zadowolone odgłosy ssania sprawiały, że Elizabeth czuła się spokojna i na swoim miejscu. Dziś jednak niepokój nie pozwalał jej się cieszyć.

Neeley powiedział, że obmawiano ją na każdym skrzyżowaniu. Mossie Breac? Ale przecież mogłaby przysiąc, że nie było go wśród widzów przedstawienia. Ktoś ją zauważył. Co teraz robić?

Rozejrzała się po znajomej kuchni. Wszystkie kąty i przedmioty — szklany wazon, fotografia pierwszej żony Neeleya w złoczonej ramce — połyskiwały w świetle lampy. Kamienną podłogę zamieciono do czysta, a krzesła stały porządnie dookoła stołu. Gdyby nie brudne kubki i ślad po zerwanym haczyku, nikt nie domyśliłby się, że pięć minut temu cokolwiek tu się stało.

Czy powinna wyjaśnić coś Neeleyowi? Odrzuciła tę myśl, gdy tylko się pojawiła. Nie ma sensu wdawać się w wyjaśnienia z pijanym mężczyzną.

Dziecko dopiło i ziewnęło. Elizabeth zawtórowała mu: cała awantura ją wycieńczyła i skończyła się już sztuczna energia, napędzana strachem. Nie mogła się skupić. Postanowiła, że najlepiej pójść teraz do łóżka i udawać, że śpi. Naczynia poczekają do jutra.

— Chodź, skarbie.

Podniosła się z krzesła. Włożyła śpiącą Abigail do kołyski, utuliła ją i właśnie miała zgasić lampę, kiedy usłyszała za sobą jakiś ruch.

— Co...

Odwróciła się. Francey ciągnął się za loki, co zwykle robił w momentach rozterki.

— Nie mogę zasnąć, mamusiu.

Elizabeth nie miała siły go besztać.

— Nie starałeś się, Francey. Leżałeś ledwie parę minut. Chodź, otulę cię.

— Nienawidzę go, mamusiu — wypalił, zanim zdążyła ująć go za rękę.

Elizabeth nachyliła się do niego.

— Wcale nie. Nie nienawidzisz nikogo. Nienawiść to grzech, wielki grzech. Będziesz musiał powiedzieć o tym księdzu przy pierwszej spowiedzi.

— Nieważne. Naprawdę go nienawidzę — mówił z niezwykłą pasją, a oczy napełniły mu się łzami.

— Chodź do mnie, kochanie.

Podprowadziła go do krzesła i posadziła sobie na kolanie. Przytulił się, ale dalej ciągnął się za włosy.

— Tatusz ma dużo kłopotów, Francey. Rano wszystko dojdzie do ładu.

Milczał przez moment. Nagle puścił włosy i powiedział:

— Znajdę sobie innego tatusia.

Przekonanie i pewność w jego głosie sprawiły, że serce podskoczyło jej do gardła. Spojrzała mu prosto w oczy.

— Gdzie będziesz szukać? — próbowała zdobyć się na żartobliwy ton.

— Znajdę. On nie jest już moim tatusiem.

— Ależ jest.

— Nie!

Zsunął jej się z kolan i stanął z rękami na biodrach, czekając, aż jeszcze raz mu zaprzeczy. Elizabeth nie wiedziała, co robić. Odkąd nauczył się mówić, przejawiał niezachwianą wiarę we własne przekonania. Tym razem znalazł się niebezpiecznie blisko prawdy, ale ostatnie burzliwe czterdzieści osiem godzin całkowicie wyczerpało Elizabeth; nie miała siły na kłótnie i przekonywania.

— Porozmawiamy o tym rano.

Z wysiłkiem wstała z krzesła i wzięła go za rękę. Pozwolił się zaprowadzić do łóżka, na miejsce obok Johnny, i kiedy otulała go kołdrą, spojrzał na nią oczami George'a Gallahera.

— Nie zmienię zdania! — rzucił scenicznym szeptem.

Pięćioipółletnia stanowczość przeraziła Elizabeth. Ucałowała go.

— Dobrze, kochanie. Jutro porozmawiamy.

Francey zacisnął oczy, odwrócił się na drugi bok i zasnął niemal natychmiast. Elizabeth precisnęła się między łózkami i na moment oparła się o stertę ubrań wiszących na ścianie. Słuchając harmonijnych oddechów, uświadomiła sobie, że niedługo Abigail opuści kołyskę przy kominku i dołączy do swych sióstr i brata. Uśmiechnęła się słabo na myśl, co matka powiedziała by na jeszcze jedną osobkę wciśniętą w te trzy małe łóżka.

To, jak mieszkali, nie budziło zdziwienia w sąsiedztwie. Siedmioro dzieci uchodziło za niewielką liczbę. Nawet dziesięcioro nie stanowiłoby nic godnego uwagi według standardów Béara, gdzie i dwudziestoosobowe rodziny nie należały do rzadkości. Elizabeth przywykła już do ciasnoty, ale Corinne ogarnęło przerażenie, kiedy odkryła warunki życia w Lahersheen. Sześcioro–siedmioro dzieci w jednym pokoju tak bardzo odbiegało od jej norm, że aż zaniemówiła.

— Śpijcie dobrze... — szepnęła Elizabeth.

Wyszła, delikatnie zamykając drzwi. Uśpione twarzyczki (przez sen nawet najstarsza wyglądała dziecinnie) przywróciły jej spokój.

Kiedy się położyła, myśli zaczęły galopować jej przez głowę. Zdawało się, że nie będzie mogła usnąć, ale nie doceniła własnego wyczerpania. Po chwili zapadła w głęboki sen.

## ROZDZIAŁ 9

Po jakimś czasie poczuła, jak ktoś porusza kołdry.

— Neeley? — szepnęła.

Bełkocząc wszedł do łóżka i z miejsca zwałił się na nią. Otrzeźwiała. Zamknęła oczy i celowo nie pozwalała sobie o nim myśleć, skupiając się na liście rzeczy do zrobienia jutro. Obudzić dzieci, wysłać do szkoły, sprzątnąć kuchnię, zacząć chleb, nakarmić kury, odcedzić mleko...

Nagle dosłyszała, co Neeley mruczy w rytm ruchów.

— Dziwka, suka, kurwa, jesteś moja, moja do cholery, dziwka, suka, kurwa...

Wstrząśnięta, zamarła na kilka sekund, ale potem nadludzkim wysiłkiem udało jej się go zrzucić. Ześliznęła się na podłogę i trzęsąc się cała, stanęła przed nim.

— Nie wolno ci używać takiego języka w mojej obecności. Jestem twoją żoną, Neeleyu Scollard! Twoją żoną. Słyszysz? Nie pozwalam ci się tak traktować!

Sprężyny skrzyknęły, kiedy usiadł.

— Akurat masz dużo do gadania.

— Słyszałeś, Neeleyu?

Wiedziała, że dzieci śpią za ścianą, ale nie była w stanie zniżyć głosu.

— Jeżeli chcesz o tym rozmawiać — porozmawiajmy, ale pamiętaj, że wątpliwości przemawiają na moją korzyść. Ani jedno ze słów, jakimi mnie obrzuciłeś, nie odnosi się do mnie. Powtarzam: jestem twoją żoną! I absolutnie nie mam zamiaru zgadzać się na to, co robisz. Odchodzę jutro rano. Zabieram ze sobą swoje dzieci.

Nie dbając już, czy słyhać ją w dzieciennym pokoju, wybiegła z sypialni ściągając szlafrok z haczyka na drzwiach. Sądziła, że Neeley pójdzie za nią, więc gdy usłyszała kroki odwróciła się, żeby stawić mu czoło. Zobaczyła Franceya. Stał niepewnie w drzwiach ciągnąc się za jasne loki.

— Pić mi się chce, mamusiu.

— Mi też.

Za jego plecami stała Goretti. Ile usłyszeli?

Zawiązała szlafrok. Weszła do zmywalni i napełniła dwie szklanki wodą. Patrzyła na nich, gdy pili. Goretti skupiła się na szklance, ale Francey nie odrywał oczu od matki. Domyśliła się, że słyszał wszystko, a w każdym razie dostatecznie dużo, żeby się wystraszyć.

— Z powrotem do łóżka!

Odebrała od nich szklanki i postawiła na stole. Goretti nie podnosząc wzroku wzięła Franceya za rękę i zaprowadziła do sypialni. Ten gest przypieczętował los Elizabeth. Jak mogłaby rozbić rodzinę? Czy wolno pozbawiać matki Goretti i jej rodzone siostry?

Dorzuciła do ognia i skuliła się na krześle. Nikt więcej nie zakłócił spokoju kuchni; przez resztę nocy drzemała na siedząco. O poranku, wiedząc, że nie uda jej się dłużej spać, wstawiła czajnik i przecierając zaczerwienione oczy podeszła do okna. Mgła podniosła się, zostawiając tylko cienką smugę na szczytach wzgórz po drugiej stronie zatoki Coulagh. Morze było szare i gładkie jak skóra fok, a choć słońce nie wyszło jeszcze znad gór na wschodzie Lahersheen, zimowa aura nabrała odcienia różu.

Musiała spać dłużej, niż jej się zdawało; pora budzenia dzieci do szkoły dawno już minęła.

Neeley i jego pierwsza żona nie wierzyli w rozpoczynanie nauki przed szóstym rokiem życia, dlatego edukacja piętnastoletniej Mary miała ukończyć się dopiero w czerwcu. Dziesięć miesięcy młodsza Kathleen stanowiła wyjątek od reguły: przejawiała tyle nieokiełznanej energii i wścibstwa, że posłano ją do szkoły razem ze starszą siostrą.

Elizabeth nie widziała w tym obyczaju nic zdrożnego, więc także Francey kończący w maju sześć lat, miał zacząć naukę od września, pewnie razem z nieodłączną Johanną.

Szykowanie zajęło ponad godzinę: wyciąganie śpiochów z łóżek, nalewanie owsianki, wiązanie fartuszków, czesanie i sprawdzanie tornistrów. Kiedy wyprawiła starsze dziewczynki i przyszła kolej na młodszą trójkę, w progu sypialni stanął ubrany Neeley. Bez słowa przemierzył kuchnię, zdjął czapkę z kołka i zniknął, trzaskając drzwiami. Jak grom z jasnego nieba przypomniały się Elizabeth słowa George'a Gallahera o tym, że miłość między mężczyzną o kobietą to rzecz dozwolona i że nie ma nic zdrożnego w przyjemności.

Ha — pomyślała gorzko. — Jakież to przyjemności doświadczyłam zeszłej nocy z własnym mężem.

Tilly nie żartowała, mówiąc o tym, co stałoby się z krajem, gdyby irlandzkie kobiety głośno wyznały, co naprawdę myślą. Rozejrzała się po kuchni. Szorstkie ściany ożyły, naciskając na nią złośliwie jak wymówka za własnowolną harówkę.

Musi stąd wyjść, choćby na chwilę.

Płonąc nową energią popędziła zdumionego Franceya i Johannę. Kiedy tylko nakarmiła i przewinęła dziecko, ubrała całą trójkę do wyjścia.

— Dokąd idziemy? — zapytał Francey, przypatrując jej się z uwagą.

— Z wizytą do Harringtonów.

— O tej porze?

Słyszając jego dorosły ton niemal zaczęła krzyczeć, opanowała się jednak.

— O tej porze, panie mądralo. Pospiesz się.

Wsadziła na siłę małe nóżki Johanny do kaloszy. Wyjęła Abigail z kojca, owinęła w kocyk i popędziła przed sobą starszą dwójkę. Musieli podbiegać, żeby dotrzymać jej kroku, kiedy gnana furią pędziła przez zmaltretowane zimą pole do domu Harringtonów. Tilly otworzyła drzwi poprawiając kołnierz szlafroka.

— O Boże, wcześniej wyszłicie! Wchodźcie, wchodźcie. Nic złego się nie stało, mam nadzieję?

— Nie... tak... nie... och, Tilly!

Elizabeth ścisnęła Abigail tak mocno, że zaskoczona dziecko aż pisnęło.

— Usiądź, zrobię ci herbaty. Nie jest taka stara, używana tylko dwa razy! Jedliście śniadanie?  
— zwróciła się do dzieci.

Francey i Johanna potaknęli z powagą.

— No, skoro tak, to zobaczymy, co się tu znajdzie...

Sięgnęła po blaszane pudełko stojące na najwyższej półce. Wręczyła każdemu po ciastku, a potem przedarła na pół kawał brązowego papieru pakowego i wyjęła dwa ołówki.

— Teraz siadźcie i nie chcę was słyszeć, dopóki nie zobaczę dwóch przyzwoitych rysunków.

Żując energicznie zabrali się do roboty, a Tilly zajęła się herbatą.

Elizabeth chodziła w tę i z powrotem po małej kuchni.

— Boże, ależ masz krzepę — powiedziała Tilly, gdy herbata była gotowa. — Chodź do pokoju i powiedz mi, co cię gryzie. A wy bądźcie grzeczni.

Zaprowadziła Elizabeth do rzadko używanego saloniku. Panował tam zaduch, aż Tilly kichnęła:

— Trzeba trochę przewietrzyć. Daj, ja zajmę się dzieckiem, a ty pij, póki ciepłe.

Elizabeth ujęła w dłonie gorącą filiżankę i zapatrzyła się w cienki napar, po którego wierzchu pływało trochę fusów, niczym oka na rosole.

— Co się dzieje, Lizzie?

Frustracja wzbierająca w Elizabeth nie pozwoliła jej wydobyć słowa. Upiła łyk: nie najgorzej. Napój rozgrzewał i miał nawet posmak herbaty.

— Przepraszam, Tilly, nie powinnam tu przychodzić. Tilly podniosła się i podeszła do okna.

— Co za dzień. Nikt by mi nie uwierzył, że od wczoraj...

— Nie zniosę tego dłużej! — zawołała Elizabeth przyciskając filiżankę do piersi. — Nie wytrzymam nawet jednej minuty.

— To moja wina, nie powinnam cię była zabierać do Glengarriff.

Patrząc w pełne współczucia oczy przyjaciółki Elizabeth poczuła się naprawdę podle.

— Neeley słyszał jakieś plotki. Jeszcze zanim wróciłyśmy. Tilly, ludzie obgadali mnie i rozpuszczali pogłoski. Wszystko na nic. A ja jak ostatnia idiotka planowałam zacząć z nim wszystko od nowa. Jestem taka głupia! I te dzieci. Nie mogę nic zrobić, żeby ich nie zranić. Czuję się osaczona. Postawiła kubek na podłodze.

— Neeley słyszał? Co słyszał?

— Jakie to ma znaczenie? Skądś wie, że spotkałam George'a. To mu wystarcza.

— Rozmawiałaś z nim?

Wspomnienie zeszłej nocy pogłębiło jej gniew.

— Nie dał mi szansy. Nie pozwolił mi.

Abigail, czując emocje matki, zaczęła popłakiwać. Elizabeth wzięła ją na ręce.

— Przepraszam, że cię tym obarczam.

— Co mogę zrobić?

— Chyba nic, dziękuję, że pytasz. To nie twój kłopot. To tylko mój problem i tylko ja mogę go rozwiązać. Czuję, że muszę zacząć działać albo oszaleję. I nie mówię tego w przenośni. Boję się, że naprawdę mogłabym postradać zmysły.

— Najlepiej byłoby, żebyś zniknęła stąd na kilka dni. Może pojedziesz do Cork?

Wizja przestronnego wygodnego domu w Blackrock przemknęła jej przez głowę. Później przypomniała sobie także wymowne i bolesne milczenie matki.

— Ależ dopiero co wróciłam. Zresztą ucieczka niczego nie rozwiąże. Jak wrócę do domu wszystko dalej tu będzie.

— Lizzie, jesteś młoda, to minie...

Elizabeth chciała na nią nakrzyczeć, ale wiedziała, że przyjaciółka jest tak samo bezradna jak ona.

— Może — powiedziała cicho — może pojedę do Cork na kilka dni. Szkopuł w tym, że nie zniosłabym wypytywania. Ani żeby ktoś na mnie patrzył.

Z trudem znosiła nawet przyjazne spojrzenia Tilly. Minęła ją i odsunęła koronkową zasłonę.

— Masz rację, taki piękny dzień.

Dom Harringtonów znajdował się blisko wybrzeża i z okna rozciągał się widok na morze i góry po drugiej stronie zatoki Coulagh. Spokojna obecność skał, wody i lądu zdawała się ofiarować udręczonej duszy Elizabeth zarówno naganę, jak pociechę.

Elizabeth przywykła już do gwałtownych zmian pogody na Béara. Takie nieokreślone dni nie należały do rzadkości: nawet w środku lata zdarzały się okresy dokuczliwego zimna i sztormy przypominające najsrozsze zimy, zaś czasem październikowe lub lutowe poranki wstawały tak jasne i pogodne, że przywodziły na myśl wiosnę na południu Francji.

— Nie obraż się Tilly, ale potrzebuję teraz trochę побыć sama. Jeżeli to nie za dużo, to chciałabym cię prosić o zajęcie się moją trójką przez jakąś godzinę, a ja poszłabym na spacer, dobrze? Tylko godzina, obiecuję. Mam nadzieję, że mnie to uspokoi.

— Oczywiście.

Elizabeth krzyknęła do widzenia dzieciom wciąż zajętych rysunkami i wyszła.

Na dworze było cieplej niż w domu. Para wron zakrakała głośno, szybując wysoko, kiedy Elizabeth szła szybko pod górę, płosząc króliki, jaskółki i szpaki. Farma Tilly i jej własne gospodarstwo zostały daleko z tyłu. Po lewej stronie w odległości ćwierci mili dojrzała postać

Mossiego Sheeha na. Przewracał torf na skrawku swego pola nad Derryvegil. Podniósł głowę, więc mu pomachała i poszła dalej, nie czekając na reakcję.

Zadyszana dotarła do grani Knockameala, gdzie wzniesiono mały kamienny kopiec dla upamiętnienia czegoś, o czym nikt już nie mógł sobie przypomnieć. Wiedziała, że po irlandzku Lahersheen nazywa się Lathair Oisin, czyli miejsce Oisina, mitycznego bohatera. Może ten kopczyk ustawiono w miejscu, w którym lubił odpoczywać?

Ładne mi przytulne schronienie w zimną noc — pomyślała Elizabeth bez większej uwagi i dołożyła na szczycie jeszcze jeden kawałek skały.

Już czuła się lepiej. Usiadła teraz obok kopca, żeby podumać i uspokoić oddech.

Dzień był wyjątkowo przejrzysty i ze swego miejsca miała widok na wiele mil dookoła. Na południowym wschodzie góry Miskish, a za nimi Cahas, na północy szerokie ujście rzeki Kenmare, płynącej między Béara i błękitnym, zamglonym Iveragh, na południu spokojne wody zatoki Bantry.

Wokoło rozciągały się pola i grunty uprawne Lahersheen, Derryconna i innych wsi i miasteczek tej części półwyspu. Nabywane stopniowo niewielkie poletka Neeleya były bezładnie rozrzucone w pobliżu domu jak fragmenty układanki, większość wyciągnięta w stronę niskiego, brązowego szczytu Knocknasheeg albo wyższego Knockameala, na którym teraz siedziała.

Wysoko nad jej głową krążył sokół, jeden z pary, która gnieździła się na klifie nieopodal grobu na Kilcatherine Point. Nie wypasano jeszcze bydła, ale na pastwiskach aż roilo się od skrzydeł i ogonów. Paprocie u jej stóp tętniły życiem. Radosny ruch odbijał się tak silnie od jej własnej szarej i smętnej egzystencji, że prawie rozpląkała się z żalu nad sobą.

Elizabeth kochała swoje dzieci, wszystkie bez wyjątku, także te z poprzedniego małżeństwa Neeleya, ale w tej chwili myślała tylko o tym, że traci bezcenny czas, jaki przypadł jej w udziale na tej pięknej, pełnej światła planecie. Czuła, że nie żyje naprawdę, tylko jak chrząszcz albo kret zagrzebuje się w swojej ciemnej kuchni, zapyziałej sypialni i na błotnistym podwórzu. Jej letnie dni wypełniała bezustanna praca na farmie, a zimy — walka o przetrwanie.

Dni takie jak ten przemijały prawie nie zauważone. Nawet jeśli szła na spacer w to piękne miejsce, oczy zawsze miała utkwione w ziemi, śledząc kroki dziecka. Kiedy dochodziła do szczytu, zmęczenie i troska o powrót do domu nie pozwalały jej rozejrzeć się dookoła. Zgodnie ze zwyczajem mówiła „jaki piękny dzień”, ale naprawdę nigdy tej urody nie zgłębiała.

Rzuciła się na wznak w gęste, drapiące poszycie z janowców, karłowatych traw i zasuszonych, kruchych paproci.

— Mam dwadzieścia sześć lat! — zawołała w niebo. — Dopiero dwadzieścia sześć. Co się ze mną stanie?

Leżała tak i zdawało jej się, że powolny prąd niesie ją przez znieruchomiałe przestworza. Nagle strumień powietrza znów zawinął się wokół jej szyi, pod nasadą włosów. Coś miało się wydarzyć.

Usłyszała ruch z prawej strony Podciągnęła nogi i usiadła. Mógł to być lis, borsuk albo nawet szczur. Często śmiano się z jej strachu przed gryzoniami.

Odczekała kilka sekund i nie słysząc nic więcej, uspokoiła się nieco. Wtem rzucił jej się w oczy odblask światła w odległym o siedem metrów krzewie.

— Hej! — krzyknęła, żeby wystraszyć cokolwiek to było. — Hej, hej!

— Pani Scollard?

Młody człowiek ze złamaną strzelbą na ramieniu przedzierał się przez chaszczki. Elizabeth знаła go: to Daniel McCarthy z Lissacarrig, osiemnasto- czy dziewiętnastolatek, w którym durzyła się Mary. W okolicy nazywano go Daniel Carrig, żeby odróżnić go od innego Dana McCarthy'ego.

— Daniel?

Zaskoczenie natychmiast ustąpiło miejsca zakłopotaniu. Chłopak z pewnością słyszał ją wykrzykującą w niebo jak wariatka.

— Polowałem na króliki.

Podszedł parę kroków, żeby pokazać jej zdobycz. Nie okazywał zmieszania. Może jej nie słyszał? Wstała i wygładziła spódnicę.

— Piękny dzień, prawda, proszę pani?

Nie spieszył się z odejściem. Rzucił króliki na ziemię i stał patrząc na nią. Czowała się nieswojo, jakby to on był dorosłym, a ona dzieckiem.

— Rzeczywiście. Chyba już pójdę.

— Ale dopiero co pani przyszła.

Spoglądając ponad wzgórzem dojrzała połysk jeziora Fada.

— Tak. Widzisz, nie sądziłam, że będę miała towarzystwo.

— Zawsze tu przychodzę. Świetne miejsce na króliki. Rzuciła mu krótkie spojrzenie. Naśmiewał się z niej?

— Nie słyszałam strzałów.

— Te upolowałem z pół godziny temu. Teraz odpoczywałem, cieszyłem się dniem.

Jego zachowanie zdawało się niezwykle. Elizabeth wkrótce po przyjeździe na Béara zauważyła, że tutejsi ludzie nie mówią dużo, ale cechuje ich spora pewność siebie. Nie tylko dorośli przejawiali tę cechę, nie zbywało na niej także dzieciom i młodzieży.

— Ja też. To znaczy też cieszyłam się dniem. Zastanawiała się, co by tu powiedzieć, ale ubiegł ją:

— Można stąd dojrzeć dach pani domu.

Skinął głową w jego kierunku.

— Tak — odrzekła sucho.

— Przyjemny — zauważył siadając.

— Tak sądzisz? — zawahała się, ale również usiadła. Skoro rozmowa przebiega tak naturalnie, nie ma powodu odchodzić.

— Nie wiesz, która godzina, Danielu?

Zmrużył oczy patrząc na słońce.

— Dziesiąta albo wpół do jedenastej. Nie mam zegarka.

— Ja też nie.

Uśmiechnęła się do niego. Oparła się na rękach i wystawiła twarz na ciepłe promienie. Nic nie mówił, więc zamknęła oczy i wsłuchiwała się w symfonię świergotów i treli z głośnym solem skowronka wprost nad jej głową. Powietrze przepełniał niski, uparty pomruk morza przypominający echo w przepastnej jaskini.

Elizabeth rozluźniła się i odesłała od siebie wszystkie troski. Po paru minutach zapomniała nawet, że nie jest sama.

— Słyszałem. Słyszałem, kiedy pani mówiła, że ma dopiero dwadzieścia sześć lat.

Ocknęła się. Zobaczyła, że patrzy na nią z niezmierną powagą. Miał brązowe oczy i kiedy Elizabeth zajrzała w nie, poczuła niemal oparzenie.

— Przepraszam, Danielu — powiedziała cicho, spoglądając przed siebie i o dziwo bez zmieszania. — Mówiłam ci już, że nie spodziewałam się świadków.

Świadomość, że ktoś, nawet ten dziwny chłopiec, ujrział ogrom jej rozpacz, przyniosła jej dziwną ulgę.

— Ile masz lat? — zapytała.

— Dziewiętnaście i pół.

— Cudowny wiek. Chciałabym znów tyle mieć.



Zdała sobie sprawę, że mówi jak staruszka.

— W tym wieku byłam już mężatką.

Znów zabrzmiało nie tak, zupełnie, jakby żalowała małżeństwa.

— Ach, co tam ja! — z powrotem wystawiła twarz do słońca.

— Ma pani piękne włosy — stwierdził po chwili — koloru miodu.

Spojrzała na niego wstrząśnięta.

— Ty też, Danielu. — Jego gęste, kręcone włosy wpadały w czerń.

— Dziękuję.

Beznamiętnie przyjął komplement i nie spuszczał z niej oka.

— Zna pani irlandzki?

— Trochę.

Nie wyniosła wiele ze szkoły, niemniej kiedy starzy ludzie na Béara używali w potocznej mowie irlandzkich słów i zwrotów, zwykle rozumiała lub chociaż domyślała się, o co chodzi.

— Wobec tego powinna pani wiedzieć, że ta góra to „wzgórze dzikiego miodu”. Naprawdę nazywa się Knockamealafin, *Cnoc na meala fiaine*, tyle że nikomu nie chce się tego porządnie wymawiać.

Temat rozmowy nawet jej się podobał.

— Aha. Sporo tu dziwnych nazw. Wiem, co znaczy Lahersheen, ale na przykład Derryconnla?

— „Dąb świec”, nie wiem dokładnie, o który dąb chodzi. Pierwszy raz zauważyłem pani włosy — ciągnął jak najbardziej naturalną rzecz na świecie — podczas mszy, kiedy zsunął się pani z głowy szal. Stała pani na końcu rzędu, a ja ze dwa rzędy dalej, po przeciwnej stronie.

Elizabeth zdawało się, że zadrgało między nimi powietrze.

— Kiedy to było?

— Z rok temu. Trochę mniej, w marcu.

Przyjrzała mu się.

— Aha. Jednak chyba już pójdę.

— Jasne.

Nie uciekał wzrokiem, tylko leżał wyciągnięty w trawie obok swojej strzelby wyglądającej niewinnie jak gałązka leszczyny. Wstała i znów wygładziła spódnice. Rozejrzała się.

— Przepięknie tu. Powinam częściej przychodzić.

— Tak, rzeczywiście, pięknie.

— Mówisz, że często tu bywasz?

Próbowała zebrać myśli rozproszone przez tego dziwnego chłopca.

— Na tych wzgórzach wszędzie są króliki. Strzelam je przez całą drogę do Derryvegill i w dół do jeziora Fada. W nocy czasami przychodzę na lisy.

— Aha — powtórzyła. — No to idę.

Popatrzyła w stronę domu.

— Więc na razie.

Zaległa niezręczna cisza. Choć Elizabeth nie odwróciła głowy, a Daniel nie ruszył się z miejsca, poczuła dotyk jego warg na ustach.

— Do widzenia, Danielu.

Zbiegła w dół stoku.

Co się dzieje? Chyba naprawdę traci zmysły. To tylko chłopiec, chłopiec. Ale miał w sobie jakąś głębię, słodycz...

— Przestań — mówiła sobie. — Przestań w tej chwili.

Zanim doszła do domu Tilly, uspokoiła się nieco. Niemal wmówiła sobie, że całe zajście miało miejsce wyłącznie w jej wyobraźni. W tej chwili para srok przeleciała tak blisko, że dojrzała połyskliwy niebieskawy odcień ich skrzydeł.

Dwoje do szczęścia.

— Przestań!

Ale nie umiała zapobiec temu, że czuła się lekko jak bańka powietrza.

Tilly z miejsca zauważyła zmianę.

— Boże, częściej powinnaś chodzić na spacer. Nawet nabrałaś rumieńców, niech cię Bóg ma w swojej opiece.

— Na powietrzu nic nie wydaje się takie złe, prawda? — zaśmiała się biorąc na ręce niemowlę.

— Chodź, kochanie.

Zakręciła duże koło. Uradowana Abigail śmiała się i machała tłustymi rączkami i nóżkami. Starsze dzieci podeszły z rysunkami w rękach.

— Zobacz mamusiu, zobacz.

Mrowiły się wokół i ciągnęły ją za spódnicę. Oparłszy Abbie na udzie uważnie przestudiowała rysunki.

— Dajcie zobaczyć. Och, co za cuda!

Johanna nie odbiegła od dziecinnych wzorów: kryty dachówką dom z kłębami dymu wydobywającymi się z komina, krowy jak z patyków, psy i koty na polu. Rysunek Franceya był bardziej złożony. Dom wtłoczył w prawy dolny róg i wyprowadził z niego kilka linii, które niczym macki prowadziły do ludzkiej sylwetki pośrodku. Postać miała ręce wzniesione do walki, usta otwarte do krzyku a długie, przerzedzone włosy sterzczały sztywno na okrągłej głowie.

— Co to jest — spytała Elizabeth zaintrygowana.

— To potwór domowy.

— Przeróżający. A kim on jest?

— Nikim.

Elizabeth przyjrzała mu się.

— Jesteś pewien?

— Tak. Możemy iść do domu?

Elizabeth czuła się zbyt radośnie, żeby wdawać się w dalsze dociekania. Zebrała dzieci, podziękowała Tilly i poszła.

Kiedy przechodzili przez bruzdę, nagle posadziła Abigail na suchym skrawku ziemi.

— Chodźcie — zawołała. — Zabawmy się w „Baloniku mój malutki”.

— Dlaczego? — spytał Francey nieufnie, nie przyzwyczajony do dziwnych nastrojów matki.

— Bo jest piękny dzień i mam na to ochotę.

Złapała Johannę i Franceya za ręce i otoczyli zdumioną Abigail tańcząc i śpiewając.

— Przebrał miarę no i trach!

Upadli na ziemię. Dzieci zanosły się śmiechem widząc matkę z zadartymi nogami. Kiedy się podnosili, Elizabeth rzuciła okiem na szczyt Knockameala. Małeńka figurka odcinała się na tle nieba. Przejrzyste powietrze pozwalało nawet dojrzeć ramię złamanej strzelby.

— Idziemy. — Podniosła Abigail. — Trzeba wracać do domu.

Francey ujął się pod boki.

— Oj, mamusiu. Ja chcę jeszcze. Przecież sama powiedziałaś!

— Powiedziałaś — zawtórowała Johanna.

— Wiem, skarby, ale zmieniłam zdanie. Ruszyła szybko w stronę domu.

Dała starszej dwójce wczesny obiad i właśnie karmiła małą, kiedy wrócił Neeley. Wszyscy zastygli i zapanowała cisza. Podszedł do krzesła Elizabeth i wetknął jej mały pakunek zawinięty w brązowy papier.

— Proszę.

— Co to jest?

Zaskoczona wzięła twardą paczuszkę.

— Otwórz i zobacz — powiedział niecierpliwie, odwrócił się na pięcie i poszedł do zlewu umyć ręce. Elizabeth wsadziła dziecko do kojca i dała butelkę. Rozerwała papier: w środku znalazła dwie małe tabliczki czekolady Cadbury.

Zawsze lubiła łakocie, ale w czasie wojny czekolada stała się rzadsza od platyny.

— Skąd to masz, Neeleyu? — zawołała zdumiona.

— To prezent.

Zważyła paczkę w dłoni.

Za późno — pomyślała.

\* \* \*

Tamtej nocy miała sen tak przyjemny i żywy, że pozostawił po sobie wrażenie na cały następny dzień. Mimo wysiłku nie umiała przypomnieć sobie szczegółów. Czuła się tak, jakby tulił ją najdroższy przyjaciel.

Następnej nocy, w zawieszeniu między snem a jawą, obrazy powróciły: patrzyła w okno sypialni, które nagle pojaśniało. Przyciągnęła je i owinęła dookoła siebie. Nie odczuwając strachu, przeszła przez nie i wkroczyła w okolicę wysadzaną drogimi kamieniami. Błysk precyzyjnie wyszlifowanych krawędzi zapierał dech w piersiach.

Góry połyskiwały agatami i ametystami, pod nimi morze z pereł i szmaragdów na tle wypolerowanych skał gagatowych. Na niebie, jasnym jak szafirowy brylant, sąsiednie domy białły pod diamentowobiałym słońcem, a pola Béara rozciągały się jak bilardowe stoły wysadzone jadeitami zamiast zwykłych kamieni i ostów. Z żywopłotów wykwitwały kwiaty z rubinów, bursztynu i akwamarynu, a wstęgi z opali pokrywały drogi i ścieżki.

Wolna i lekka jak ptaki trzepoczące nad jej głową Elizabeth błędziła po zaczarowanym świecie, w którym nawet krowy i cielęta stworzyła kochająca i radosna ręka.

Czując, że ktoś ją wzywa, poszła na cmentarz Kilcatherine, który w niczym nie przypominał tego z jej lęków. Teraz była to otwarta przestrzeń, ostre krawędzie krzyży złagodzone kwiatami i wstęgami na podobieństwo palm wielkanocnych. Nieznani ludzie, wyżsi i piękniejsi niż zwykli zjadacze chleba, wykonywali pod nimi ceremonialny taniec.

Kobiety nosiły suknie do ziemi, w różnych pastelowych odcieniach, które powiewały za nimi, mężczyźni mieli na sobie srebrnoszare szaty. Borsuki, lisy i króliki bawiły się u ich stóp. Ludzi i zwierzęta przystrajały dębowe liście. Wszyscy uśmiechali się do niej tak serdecznie i szczerze, że ich miłość zdawała się materialna; miała smak i zapach miodu.

Jedna z kobiet, w połyskliwym turkusowym odzieniu, wręczyła Elizabeth jakiś przedmiot. Była to Głowa Kilcatherine, ale nie budziła lęku: przypominała jabłko królewskie o zmiennej konsystencji i barwie: raz wyglądała jak dym, raz jak płynne złoto, a przerażające do tej pory rysy stały się łagodne i dobrotliwe. Elizabeth rozumiała, że powinna zaufać kuli i jeśli to zrobi, otoczy ją nieskończona opieka.

W tym momencie musiała się obudzić, bo nie pamiętała już więcej. Rozpamiętywanie szczegółów ogrzało ją i dało tak wielkie poczucie spełnienia, że aż odwróciła się i delikatnie pocałowała śpiącego Neeleya w policzek.

Tamtego pamiętnego dnia Neeley szczególnie starał się załagodzić sytuację. Podziękowała mu za czekoladę, starannie ukrywając, co naprawdę czuje. Wtedy wyznał, że odwiedził notariusza w Castletownbere i sporządził testament.

— Wszystko należy do ciebie, Lizzie, co do grosza.

Kwestia dziedziczenia własności Neeleya nigdy nie przysła jej na myśl, jednak wzruszyła się.

— Dziękuję, Neeleyu. Gdyby miało się zdarzyć najgorsze, nie martw się, zaopiekuję się wszystkimi.

Zakłopotany wyszedł z pokoju. Elizabeth przestraszyła się, że może zbyt lekko potraktowała jego gest.

Ostrożnie, żeby go nie zbudzić, ułożyła się do snu.

Kiedy wygrzewała się dziś na słońcu, resztki wstydu z powodu oszołomienia Gallaherem rozplynęły się jak pajęczyna. W nocy odkryła, że myśli o nim z głębokim przywiązaniem, zupełnie jakby był jednym z jej dzieci.

Jednak tuż przed zaśnięciem pojawił się inny obraz: Daniel Carrig leżący na wznak wśród janowców na Knockameala.

\* \* \*

Neeley nigdy więcej nie wspomniał o George'u Gallaherze ani o tym, co mogło lub nie mogło wydarzyć się w Glengarriff. Przez kilka dni Elizabeth obserwowała każdy jego gest, ale wspólne życie wróciło powoli do dawnej rutyny.

Zaszła jednak olbrzymia zmiana.

Choć Elizabeth nadal tolerowała współzycie z Neeleyem, nigdy więcej nie pozwoliła mu się dotknąć, jeśli cokolwiek wypił. Z początku zżymał się trochę, ale ostatecznie się poddał.

Zmieniło się jeszcze coś. Wrażenia ze snu o Kilcatherine przywarły do Elizabeth jak uporczywa morska mgiełka. W trakcie codziennych zajęć łapała się na tym, że śni na jawie. Wbrew najszczerzym chęciom i wysiłkom nie umiała przegnać z myśli Daniela Carriga McCarthy'ego.

Dwa tygodnie po spotkaniu na szczycie Knockameala dosłownie wpadła na niego. Wychodząc z poczty w Ardgroom oglądała się przez ramię, żegnając się z kierowniczką. Wpadła na kogoś w drzwiach.

— Przepraszam — powiedziała i spojrzała w górę. — Ach, to ty...

Poczuła, że krew nabiega jej do twarzy i wyraźnie zdawała sobie sprawę, że kierowniczką się jej przygląda.

— Dzień dobry pani — odparł nie zmieszany. — Nieciekawa dziś pogoda.

— Tak.

Jego ubranie pachniało mieszanką świeżego powietrza i mocnego tytoniu.

— Później może się przejaśnić.

Jego spokój zbił ją z tropu. Odsunął się, żeby zrobić jej przejście.

— Dziękuję, Danielu.

Ruszyła szybkim krokiem, żeby uciec stamtąd jak najszybciej.

Zajście trwało najwyżej dziesięć sekund, ale przez całą drogę do domu nie opuszczał jej zapach jego ubrania ani wyraz oczu. Złapała się na tym, że próbuje obliczyć jego wzrost. Przy jej stu siedemdziesięciu dwóch centymetrach musiał mieć co najmniej metr osiemdziesiąt.

Przerażały ją własne myśli. Przy zbyt stromym podejździe zsiadła z roweru i oparłszy się o kierownicę, pchała z całej siły.

Posuwasz się za daleko. Co robisz? Do czego zmierzasz?

Pokonała wzniesienie w rekordowym tempie. Zjeżdżając w dół dołożyła starań, żeby wymazać z pamięci Daniela Carriga McCarthy'ego.

Następnego dnia rozwieszała upraną bieliznę na polu po wschodniej stronie domu. Poczła nagle, jak unoszą jej się włosy na karku. Odwróciła się i popatrzyła na szczyt Knockameala. Sylwetka chłopca odcinała się wyraźnie na tle nieba. Powieszona prześcieradła powiewały na lekkim wietrze, a oni patrzyli na siebie. Jak w zwolnionym tempie, Elizabeth zmusiła się do podniesienia następnej poszewki na poduszkę z kosza u stóp. Kiedy ponownie spojrzała na górę, chłopca już tam nie było.

Pogoda się pogorszyła i Elizabeth nie zobaczyła go przez następnych parę tygodni. Usilnie starała się odegnać jego urokliwy wpływ. Wypucowała dom od piwnicy po strych, wyczyściła szafki i wypastowała węglową kuchenkę. Jak tarczę trzymała przy sobie dzieci: młodszym czytała na dobranoc, starszym pomagała w lekcjach. W stosunku do Neeleya stała się uważna i kochająca. Posunęła się do tego, że pewnej nocy zainicjowała stosunek.

Kilku sąsiadów wpadło na karty. Wieczór był udany, ale kiedy zegnała gości, nadal czuła się pełna energii. Odwlokła pójście do łóżka, mówiąc, że musi odetchnąć świeżym powietrzem.

— Przestało wreszcie padać — powiedziała do Neeleya. Od paru dni nie byłam na dworze. Idź spać, za parę minut wrócę.

Jałówka muczła w zagrodzie, a Elizabeth w towarzystwie zaskoczonego Rekxa, który niezmiernie się ucieszył, że ktoś wybiera się na nocny obchód, przeszła przez podwórze i wspięła się po szczelinie w kamiennym murze. Poszła na pole na zboczu wzgórza, grzęznąc w błocie.

Od cudownego dnia na szczycie Knockameala Elizabeth postanowiła lepiej wykorzystywać możliwości każdego dnia. Ledwie pół godziny temu twarde jak gwoździe krople deszczu wbijały się w glinę. Burza przeszła jednak na wschód, pozostawiając okolicę spokojną i cichą. Chociaż w powietrzu wisiała groźba następnych burz, w tej krótkiej, magicznej przerwie idąca pod górę Elizabeth czuła łaskoczące pobudzenie, jakby wchłaniała świetlistość morza i nieba.

Cały czas powstrzymywała się od rzucania spojrzeń na Knockameala.

Zawołała Rekxa biegnącego zygzakiem daleko w przód. Zawrócił i oblizał ją, kiedy wytargała go za uszy, a potem pędem puścił się dalej.

Nie mogła się dłużej oprzeć. Srebrnoszary szczyt świecił pustką.

Ależ z ciebie idiotka!

Była zła za własną głupotę i słabość, bo niby co miała zamiar zrobić, gdyby go tam zobaczyła. Zawróciła i szybkim krokiem schodziła w stronę domu. Kiedy dotarła do muru, rozległo się echo pojedynczego wystrzału.

Odwróciła się, ale góra była tak samo pusta jak przed chwilą. Nocą dźwięk mógł mieć; Daniel pewnie był gdzie indziej, a tam polował jakiś inny sąsiad, żeby mieć co dołożyć do rodzinnego garnka.

Chociaż wyteżęła wzrok, nie dojrzała żadnego ruchu, błysków albo światła pochodni. Na ledwie zarysowanych górach, nie tylko na Knockameala, lecz także na Knocknasheeg i Tooreennamna, i wszystkich innych, trwał niezmacony spokój.

Zbeształa się ponownie.

Kobieto, na miłość boską! Cóż z ciebie za żalosna figura, najpierw ponizaszesz się z oszustem i kłamcą, który niemal rujnuje pół twego życia, a teraz, kiedy ledwie się z tego wykaraskałaś, co robisz? Zadurzasz się w chłopcu, dziesiętnastoletnim dzieciaku.

Zrobiło jej się zimno i odzyskała dech. Fantazje o Danielu McCarthym muszą pozostać fantazjami.

Elizabeth wyprostowała się i przeciągle spojrzała na dom. Zostawiła uchylone drzwi, żeby przewietrzyć kuchnię, pełną dymu z papierosów. Teraz rąb żółtego światła padał na podwórze,

połyskując w kałużach stojących między kamieniami. Tam było jej miejsce, tam powinna wrócić, zamiast włóczyć się nocą po wzgórzach jak zbłąkana owca.

Zdeterminowana przeszła przez podwórko, uciszając po drodze jałówkę ryczącą ze swego więzienia.

Zamknęła za sobą drzwi i poszła do sypialni. Neeley leżał już w łóżku, odwrócony plecami. Pomyślała ze wstydem, że strasznie go zaniedbała. Nic dziwnego, że nazwał ją ladacznicą, pod wieloma względami miał rację.

Rozebrała się szybko i wśliznęła do łóżka.

— Neeleyu? — dotknęła jego ramienia.

— Tak? — nie odwrócił się.

— Chodź do mnie.

— Co?

Zesztywniał ze zdziwienia.

— Słyszałaś, powiedziałam, żebyś do mnie przyszedł.

Odwrócił się i zrobił ruch, jakby chciał się na niej położyć.

— Zaczekaj, Neeleyu, zaczekaj trochę — powstrzymała go. — Przytul mnie najpierw.

Objął ją i ścisnął tak, że ledwie mogła oddychać.

— To miłe — szepnęła mu w ramię. — Czujesz mnie, naprawdę mnie czujesz?

Skinął głową.

— Więc pocałuj mnie, delikatnie.

Tulił ją, głaskał po włosach i całował mocno, z prawdziwą czułością. Elizabeth zdała sobie sprawę, że to najbardziej znaczący uścisk podczas całego ich małżeństwa.

— Czy to nie przyjemne? — wymamrotała, kiedy zwinęli się wygodnie po długim pocałunku.

— Tak.

Pocałował ją znowu.

— Właśnie tak lubię — szepnęła powoli i delikatnie. Mamy dużo czasu, nie musimy łapać pociągu.

— Jasne, że nie — całował ją zachwycony.

Po chwili, zyskując pewność siebie, odpowiedziała mu z większą namiętnością. Wzięła w zęby jego dolną wargę i ugryzła delikatnie. W tym momencie przegrała bitwę. Rzucił się na nią jak ogier, podciągnął jej nocną koszulę, gładząc i ugniatając jej piersi, brzuch i uda z taką siłą, że czuła, jakby zdierał z niej skórę. Z całej siły pragnęła go pohamować, ponownie z sobą zestroić.

— Neeleyu, Neeleyu... Delikatnie...

Przez moment wydawało się, że jej wysiłki odniosły skutek. Przestał ją ugniatać i znów mocno przytulił.

— Lizzie, och, Lizzie!

Ale za moment, nim zdołała go powstrzymać, wszedł w nią po swojemu i w parę sekund było po wszystkim.

Kiedy się z niej zsunął, zabrał ze sobą całą jej dobrą wolę i chęć naprawienia czegokolwiek między nimi. W to miejsce wyrósł gniew tak wielki i głęboki, że Elizabeth wołała się nie odzywać. Mógłby równie dobrze cisnąć nią o podłogę.

Jej część łóżka znajdowała się od okna. Odwróciła się od Neeleya wpatrując się w spokojne szare światło sączące się przez nie zaciągnięte zasłony, na którego tle drewniana rama okna odcinała się wyraźnym czarnym krzyżem. Na zewnątrz tętniło tajemnicze, pulsujące życie zwierząt, ryb, janowców, głogów, robactwa, planet i toczących się wiecznie wód.

Neeley przytulił się do jej pleców i objął ją ramieniem.

— To było miłe — szepnął. — Zupełnie mnie zaskoczyłaś. Jesteś pełna niespodzianek, Lizzie.

Elizabeth pojęła, że jego ignorancja jest całkowita i nieuleczalna, co trochę złagodziło jej gniew. — Tak — odrzekła cicho. — Dobranoc, Neeleyu.

Jego ramię zwiotczało i zasnął.

Wykradła się z łóżka i na palcach poszła do łazienki wziąć prysznic, jak zwykle po stosunku. Jeśli modliła się ostatnio, to tylko o to, żeby nie zejść znów w ciążę. Przez ostatnie parę lat poszczęściło jej się. Poronienia, choć kłopotliwe i denerwujące, przyjmowała z ulgą, zaś Abbie urodziła się, kiedy Francey i Johanna osiągnęli wiek, w którym dawała już sobie z nimi radę.

Wyjrzała przez małe okno łazienki na eteryczny, srebrny krajobraz i modlitwy zamarły w jej sercu. Nieudane uwiedzenie męża nappełniło ją wstydem za własną hipokryzję, wiedziała bowiem dobrze, że nie ma co liczyć na udaną fizyczną miłość z Neeleyem Scollardem.

Daniel McCarthy.

Potrzebowała usprawiedliwienia.

## ROZDZIAŁ 10

### 161

Następnego dnia zobaczyła Daniela przy bramie. Niosła właśnie wiadro z karmą dla kur i stanęła tak gwałtownie, że idący tuż za nią Francey nie zdążył się zatrzymać. Korytko upadło i trochę pokarmu wysypało się na ziemię.

— Przyniosłem pani łososia — zawołał Daniel, kładąc na kolumnie przy bramie paczkę zawiniętą w brązowy papier.

Był niespokojny i Elizabeth również ścisnęło w żołądku.

— Dziękuję. Może wejdiesz?

— Nie ma za co. Dzięki za zaproszenie, ale nie chcę przeszkadzać. Przeszedłem tylko to zostawić.

— Dziękuję — powtórzyła, zabierając wilgotny i dziwnie ciężki pakunek. — Jaka duża. Przecież moglibyście to sami zjeść. Czemu pomyślałeś o nas?

Nie śmiała spojrzeć na niego.

— Złowiłem go w Cascade dziś rano. My nie lubimy łososi.

Elizabeth wydało się nagle, że słońce mocniej przypieka.

— Serdecznie zapraszam cię do środka — starała się mówić naturalnie. — Dopiero co wyjęłam chleb z pieca. I mamy maślankę. Neeley pojechał do Castletown — dodała i odważyła się podnieść wzrok. — Będzie mu przykro, że go nie zastałeś.

Patrzyli na siebie. Francey rozładował sytuację. Podbiegł do bramy i wpadł między nich.

— Cześć! — przywitał Daniela z szerokim uśmiechem. Daniel chrząknął.

— Cześć! Ty jesteś Francey?

— Jak się nazywasz?

— Daniel McCarthy.

Elizabeth otworzyła szeroko bramę.

— Wejść chociaż na parę minut. Franceyu, biegnij nalać nam trochę maślanki.

Żeby wziąć się w garść, pozbierała rozrzucony pokarm dla kur i dużo staranniej niż zwykle umyła korytko. Czuła cały czas obecność Daniela, chociaż stanął dalej, niż nakazywała to zwykła sąsiedzka etykieta.

Kiedy mijała go, idąc w stronę drzwi, wyciągnął rękę, jakby chciał ją zatrzymać.

— O co chodzi? — szepnęła.

Milczał przez chwilę, zbierając myśli. Słysząc było, jak Francey w kuchni szczęka garnkami. W końcu przemówił:

— Nie przyszedłem tylko po to, żeby przynieść łososia. Chciałbym o coś zapytać. Pewnie to dziwnie zabrzmiało...

Serce Elizabeth zaczęło bić jeszcze szybciej, czuła, jak pulsuje jej szyja.

— Lepiej, żebyśmy rozmawiali w środku.

Francey ponownie ją uratował. Kiedy kroił chleb, usiadł przy stole obok Daniela.

— Masz braci? — zapytał.

— Czterech.

— A ja żadnego — westchnął — same baby.

Daniel, jeszcze spokojniejszy niż zwykle, wcale się nie roześmiał.

— To ma swoje zalety. Gdzie one teraz są?



— Część w szkole, Johanna śpi, a tam leży dzidzia. — Francey z lekceważeniem machnął ręką w stronę kojca, z którego Abigail przyglądała się gościowi ciekawie. — Ale bardzo chciałbym mieć brata.

— Dlaczego?

— Żeby mieć z kim grać w piłkę.

— A tata nie gra z tobą w piłkę?

— To nie jest mój tata — powiedział Francey lekko, jakby nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia.

Elizabeth położyła przed nimi dwie pajdy posmarowanego masłem chleba.

— Masz, Franceyu. Weź swoją kromkę i zmykaj bawić się na podwórko. Taki piękny dzień. Powinieneś więcej przebywać na powietrzu.

— Ale tam nie ma nic do roboty, mamusiu — zaproponował.

Spojrzała na niego takim wzrokiem, że natychmiast wziął chleb i wyleciał jak z procy.

— Smakuje ci maślanka? — wymyśliła wreszcie temat do rozmowy.

— Bardzo dobra, proszę pani.

Upił trochę.

— Jeszcze raz dziękuję za łososia.

Ręce aż ją świerbiły, żeby dotknąć jego dłoni. Zauważyła, że ma obgryzione paznokcie.

Równocześnie odwrócili się do Abigail, która nagle głośno zakwiliła. Elizabeth rzuciła się, żeby wytrzeć jej zaślinioną buzię rąbkiem fartucha.

— Śliczna dziewczynka.

— Wiem.

— Francey też.

— Niechcący słusznie odgadł.

Wróciła do stołu. Miała wrażenie, że na nowo podejmuje przerwana rozmowę.

— Jak pewnie wiesz, Neeley nie jest jego ojcem.

— Tak.

— Nie wiem, skąd Francey wytrzasnął ten pomysł, nie sędzę, żeby ktoś mu powiedział. Chyba że słyszał plotki.

— Nie można złościć się na plotkarzy. Chłopcy wystający na rogach ulic nie mają zbyt wiele tematów do rozmowy.

— Nie mam nic przeciw temu. Może więc Francey coś usłyszał.

Daniel opróżnił szklankę i postawił ją na stole.

— Proszę pani, jest coś, o co chciałbym zapytać. Nie wiem, czy mi wolno. Pewnie w ogóle nie powinienem tu przychodzić...

Napięcie Elizabeth osiągnęło szczyt. Aż podskoczyła, kiedy Abigail wyrzuciła z kojca kawałek alfabetu wyciętego z drewna. Daniel wyciągnął rękę i musnął wierzch jej dłoni.

— Nie mogłem spać zeszłej nocy — powiedział.

— Ja też nie.

Miejsce, którego dotknął paliło.

— Poszłam w stronę góry. Nie było cię tam.

Zastanowił się nad jej słowami, wpatrując się w stół.

— Jak pani sądzi, co się dzieje?

Przepelniało ją upojenie.

— Nie wiem — odrzekła, ale pod wpływem impulsu dodała zaraz: — To nie dokładnie tak. Chcę być z tobą szczerą, Danielu. Wydaje mi się, że na prawdziwą odpowiedź nie jestem jeszcze gotowa.

— A ja tak — rzucił śmiało. — Myślę, że na Knockameala coś się między nami wydarzyło.

— A co, jak sądzisz?

Z trudem przełknęła ślinę.

— Polubiła mnie pani.

Wyczuła, że nie zadał pytania, tylko stwierdził fakt.

— Tak, zgadza się — odrzekła przytrzymując się stołu. Masz rację. Podobasz mi się. Pociągasz mnie w bardzo zasadniczy sposób.

Spojrzała mu prosto w oczy. Zauważyła, że dziwnie zeszywniała mu górna warga.

— Czy to może przytrafić się tak nagle?

— Na to wygląda. Przykro mi, jeśli cię to szokuje. Teraz celowo nie odwracała wzroku.

— Jest pani mężatką.

Ku jej uldze, nie wydawał się wstrząśnięty.

— Tak i mam na imię Elizabeth.

— Trudno mi będzie... tak wcześnie...

— Przyzwyczaisz się.

— Jesteś ciekawa, czy cię lubię?

Nawet w odległości paru metrów czuła, jak ręce drżą mu z napięcia.

— Jestem w tobie zakochany po uszy. Od dawna.

Chociaż krew uderzyła jej do głowy rozbawiło ją to dziecinne określenie.

— Po uszy? — powtórzyła, nie ważąc się oddychać.

Prawidłowo odczytawszy jej reakcję, uśmiechnął się szczerze i otwarcie.

— Czy to w porządku?

— Nie tylko w porządku, ale po prostu cudownie.

— Nachylił się i przez moment sądziła, że ją pocałuje, ale on porwał się od stołu i odrzucił głowę do tyłu. Zwycięskim gestem wznosił zaciśnięte pięści i jak baletmistrz zakręcił się na palcach. Potem popędził, tratując leżące na ziemi klocki i wyciągnął z kojca zaskoczone dziecko. Uniósł je wysoko nad głowę i zatańczył szalonego walca.

Oślupiała Abigail z początku nie reagowała, ale potem zaczęła piszczeć ze strachu. Daniel zatrzymał się momentalnie.

— Przepraszam, dziecino, przepraszam, przepraszam.

Oddał ją matce.

— Przepraszam panią, nie chciałem jej wystraszyć.

— Nie szkodzi.

Śmiała się, porwana jego radością.

— Nic jej nie będzie, nie przywykła po prostu do tego, żeby trzymał ją mężczyzna.

— Jest urocza.

Głaskał dziecko po rączce, by później przenieść błyszczący wzrok na Elizabeth:

— Ty też.

— Wystarczy na jeden dzień.

Cała się w środku trzęsła z podniecenia.

— Słuchaj, muszę się zastanowić. Wszystko stało się tak nagle... Lepiej, żebyś już poszedł...

— Dziękuję za chleb i maślanekę.

— A ja dziękuję za rybę.

Uśmiechnęli się do siebie.

— Wiesz, nie przyspieszajmy niczego — powiedziała.

— Nigdy bym nie śmiał.

— To znaczy... zaczekajmy i zobaczymy, co się stanie.

— Oczywiście. Nie pocałuję cię teraz, ale nie mogę się doczekać.

Oczy mu błyszczały. Elizabeth zdawało się, że słyszy kroki Neeleya i cofnęła się szybko. Zdziwiło ją, że wcale nie czuje wyrzutów sumienia.

— Mówię poważnie, Danielu. Pomijając fakt, że to bardzo niebezpieczne, mam dziwne przeświadczenie, że nie powinniśmy niczego popędzać. Jeżeli spotkamy się gdzieś na drodze...

— ...albo na górze...

— Aha, albo na górze...

— Możesz być tego pewna — zapewnił gorączkowo. — Spotkamy się bez wątpienia.

Na progu odwrócił się jeszcze raz.

— Nie mogę się doczekać.

— Cii...

Żołądek podjechał jej do gardła.

\* \* \*

Przyzwyczajona do brania czynnego udziału w biegu wydarzeń, Elizabeth z trudem pozwalała iść rzeczom swoją koleją. Czuła, że nie wolno niczego przyspieszać, musi słuchać wewnętrznego głosu, który niedwuznacznie domagał się cierpliwości. Mimo silnej pokusy, tej wiosny nie poszła więcej na szczyt Knockameala. Nie próbowała też manipulować codziennymi zajęciami, żeby „przypadkiem” spotykać Daniela.

Dokuczalo jej czasem, że go nie widuje, nie wie, gdzie jest ani co robi. Nie wiedziała nawet, czy o niej myśli. Fizyczne opętanie przejawiało się brakiem snu, podobnie jak podczas romansu z George'em Gallaherem.

Karmiąc kury, marzyła o Danielu. Pragnęła zanurzyć palce w jego ciemnych, gęstych włosach, czuć jego skórę. Przerabiając spodnie męża na Franceya albo naprawiając koszyk dziurawych skarpet, nie widziała własnych rąk, lecz ręce Daniela i wyobrażała sobie, jak dotyka jej nagich pleców.

Mimo solennych postanowień i faktu, że jako mężatka nie miała prawa do takich lęków, z upływem czasu bała się coraz bardziej, że Daniel spotkał odpowiednią dziewczynę, albo nawet opuścił okolicę; mając starszego brata, nie mógł liczyć na odziedziczenie rodzinnej farmy.

Któregoś razu usłyszała rozmowę Mary, najstarszej córki Neeleya, i jej koleżanki. Wynikało z niej, że Daniel zatrudnił się u Puxleyów, w kopalni miedzi w Allihies. Przestała się martwić: jeśli ktoś codziennie jeździ do pracy do odległego Allihies, nie starcza mu z pewnością czasu na włóczęgę po drogach ani snucie się ze strzelbą po Knockameala.

Spotkali się ponownie dwunastego maja.

Zażębiona Mary nie poszła do szkoły, więc Elizabeth korzystając z tego, że ma z kim zostawić dziecko pojechała na pocztę w Ardgroom, gdzie ostatnio się spotkali. Znow był piątek, zgadzała się również pora dnia, ale czekało ją rozczarowanie.

Kupiła niepotrzebne znaczki i wróciła do domu. Właśnie podjeżdżała pod ostatnie wzniesienie, kiedy usłyszała wesole okrzyki Franceya. Nie był sam: grał w piłkę z Danielem.

Staął jej przed oczami sen o okolicy z drogocennych kamieni i wszystkie towarzyszące mu uczucia. Żeby się nimi nacieszyć, wcisnęła hamulec i powoli zjechała ze wzgórza pod bramę farmy.

— Mamusiu, mamusiu!

Droga okalała pole i Francey dostrzegł ją z daleka.

— Spójrz na mnie!

Jak mały derwisz rzucił się na piłkę i potoczył się z nią, śmiejąc się na cały głos.

Daniel patrzył na niego, a potem odwrócił się w kierunku stojącej pod żywopłotem Elizabeth. Zanim weszła na podwórko i odstawiła rower, zdążyła się już opanować. Francey pobiegł na drugi koniec pola i podbijał piłkę najwyżej, jak potrafił.

— Danny, Danny! — krzyczał podnieconym, cienkim głosem. — Zaraz wbiję ci gola. Patrz!

Elizabeth wspięła się przez dziurę w murze i podeszła do Daniela. Czula trawę pod stopami i dotyk ubrania na skórze. Daniel nie drgnął.

— Danny! — niecierpliwił się Francey. — Patrz! Patrz, Danny!

— Patrzymy obydwój.

— Wcale nie.

— Właśnie, że tak.

Daniel posłał jej promienny uśmiech i pobiegł do chłopca. Wprawnie odebrał mu piłkę i zaczął nią zonglować w powietrzu. Francey popędził za nim w dół zbocza.

Obydwaj równocześnie dopadli Elizabeth. Daniel nadal bawił się piłką, a Francey przypadł jej do kolan.

— Danny powiedział, że nauczę się grać w prawdziwą piłkę nożną. Mówił, że zabierze mnie do Reen i będę mógł grać z innymi chłopcami. I powiedział, że kiedyś zabierze mnie na prawdziwy mecz do Eyeries albo Urhan.

Farmerzy w parafii chętnie użyczali swoich nieużytków na boiska.

— Nie miałbyś nic przeciw temu?

— Nie — odparł miękko. — Bardzo bym chciał.

Elizabeth napotkała jego pałający wzrok, który mówił jasno, że pragnąłby czegoś jeszcze. Biorąc syna za rękę, z trudem powstrzymała się, żeby nie skakać jak dziecko. Rozejrzała się, czy w pobliżu nie widać Neeleya, który dziś rano poszedł przewracać torf na należącym do nich kawałku bagna niedaleko Derryvegill, ale nigdzie go nie dojrzała.

— Pracujesz w kopalni?

— Tak, na razie. Czekam na coś lepszego. Od jesieni mam obiecane miejsce na kutrze w Ballycrovane.

Niemal w każdej wiosce w okolicy można by znaleźć dwie lub trzy załogi statków rybackich, każda po osiemnastu ludzi. O pewnych porach roku łowili makrele przy skalistym wybrzeżu.

— Przeszedłem także z tego powodu, że tamtego dnia na górze widział nas Mossie Breac.

Przez moment ogarnęło ją poczucie winy, ale stłumiła je szybko. Przecież siedzieli tylko na słońcu.

— Nie miał nic do zobaczenia, prawda?

— Więc sądzisz, że wszystko w porządku?

Nie przejęła się wcale. Nic ją nie obchodziło, co Mossie albo Neeley słyszeli lub widzieli. Miała ochotę śpiewać, wziąć Daniela za rękę, bawić się w „Baloniku mój malutki” tak jak z dziećmi.

— Tak, wszystko w porządku, nie mamy się czego wstydzić.

Szli przez pole, a Francey biegał zygzakami, niezdarnie kopiąc piłkę.

— Czemu dziś nie pracujesz?

— Pojechałem rano, ale nie potrzebowali mnie.

— Nigdy nie przyszło ci do głowy stąd wyjechać?

Rodzina McCarthych również miała wielu krewnych w Butte.

— Zastanawiałem się nad tym, ale teraz nie pojedę. Idzie twój mąż.

Podniósł kamień i nachylił się, żeby oskrobać but z błota. Elizabeth zobaczyła, jak Neeley wyłania się zza domu. Zatrzymał się, żeby umyć ręce pod pompą i spojrzął w ich kierunku.

— Hej, Neeleyu! — zawołała.

Nie odpowiedział. Wytarł dłonie i wszedł do środka. Daniel przepuścił Elizabeth i Franceya przez dziurę w murze.

— Lepiej już pójde. Mozesz zatrzymać piłkę. Przyda ci się do treningu.

— Świetnie, dzięki!

Francey popędził przez podwórze.

— Cudowny zapach — powiedział Daniel zupełnie innym tonem. Wskazał na grządkę wonnych laków i groszków, które Elizabeth zasadziła koło drzwi kuchni.

— Ładne, prawda? Wejdiesz? — zapytała niepewnie, bo obecność Neeleya zdawała się niebezpieczna.

Rzucił okiem na półprzymknięte drzwi.

— Nie, muszę iść. Przyjdiesz na tańce do Jimmy’ego Deeneya? Ty i twój mąż?

Wiedziała o tańcach, wszyscy mówili o nich od miesiący. Jimmy Deeney, miejscowy, który dorobił się w Ameryce, kupił działkę na rozstaju dróg w stronę Castleclough. Podarował również pieniądze na budowę sali.

Hojność miała dość bezpośredni związek ze zbliżającymi się wyborami, również z tego powodu wielkie otwarcie zaplanowane początkowo na czerwiec przeniesiono pospiesznie na wcześniejszy termin. Wszyscy parafianie dostali darmowe zaproszenia. Wielu sąsiadów Scollardów się tam wybierało, więc zapowiadał się wspaniały wieczór. Jak dotąd Elizabeth nie żywiła wielkiej nadziei na udział. Neeley nie uznawał innych form życia towarzyskiego niż spotkania karciane, które urządzano kolejno w zaprzyjaźnionych domach. Daniel spostrzegł jej zmieszanie.

— Nie martw się. Może innym razem. Podjęła decyzję.

— Przyjdziemy.

— Mogę więc prosić o taniec?

— Oczywiście.

— Jestem bardzo dobrym tancerzem.

— Ja też nie narzekam — zaśmiała się. Zdziwiała, jak młodo czuła się w jego towarzystwie, niemal w równym wieku. I tak beztroska...

— Chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć.

— Co?

— Mówiłem ci, że mam dziewiętnaście i pół roku, ale niewiele brakuje mi do dwudziestu.

— Staruszek!

Uśmiechnął się radośnie. Miał w sobie taką mieszankę chłopczości i dojrzałości, że wzbudzał też macierzyńskie uczucia. Odprowadziła go do bramy i żeby się nie zdradzić, odwróciła się natychmiast, jak tylko wsiadł na rower.

W tym momencie zobaczyła Mossiego Sheehana idącego w stronę Ardgroom.

Ten zawsze wyrasta gdzie go nie posieją — pomyślała z irytacją.

Przypomniało jej się ostrzeżenie Daniela i podteksty, których dopatrywała się podczas spotkania w pociągu. Przestraszyła się trochę. Co on widział? Po chwili pokręciła głową i przypisała swe odczucia nadwrażliwości. Wy tłumaczyła sobie po raz kolejny, że nie ma nic do ukrycia.

— Witaj, Mossie — zawołała wesoło.

Teraz poczekała, aż odwzajemni jej gest. Nawet jeśli zauważył jej spotkanie z Danielem, nie dał tego po sobie znać.

— Piękny dzień! — dodała i odeszła od bramy, żeby nie pomyślał, że zachęca go do rozmowy.

Bała się, że Neeleyowi rzuci się w oczy jej nadzwyczajna radość, zamiast do domu poszła więc do obórki, w której zamknięto chore ciele. Zwierzę trzęsło się w kącie. Elizabeth przyniosła mu

parę żdźbeł trawy i zaczęła je głaskać. Wtem poczuła za sobą cień: to Neeley wpatrywał się w nią z opuszczonymi rękami.

— Nie chcę, żeby ten facet się tu szwendał — powiedział opryskliwie.

— Czemu? — zdumiała się. — Przecież nie dała Neeleyowi żadnych powodów do podejrzeń.

— Przyszedł pograć w piłkę z małym — dodała ostrożnie.

— Nie o dziecko się martwię.

— Więc o co?

Poczuła, że trawa w jej ręku robi się gorąca.

— Nie życzę sobie, żeby takie szczeniaki tutaj węszyły.

Odwrócił się i wyszedł. Elizabeth rzuciła trawę na ziemię i pobiegła za nim.

— Neeleyu — zawołała z rosnącą paniką. — Boisz się o Mary? Jeśli tak...

— Może tak, może nie.

Odszedł od niej i zniknął za domem.

\* \* \*

Minął tydzień. Wstał już piątkowy poranek, a Elizabeth wciąż nie poruszyła tematu tańców w Castleclough. Mając nadzieję, że go udobrucha, poprzedniej nocy znów zainicjowała współzycie. Rezultat pozostał bez zmian. Kiedy stoczył się z niej, czuła do siebie taką odrazę, że nie mogła zdobyć się na dalsze udawanie czułości. Neeley zasnął, zanim wymyśliła neutralny sposób rozpoczęcia rozmowy. Czuła się jak prostytutka.

— Mick i Tilly Harrington pytali, czy idziemy dziś na tańce — powiedziała podając mu śniadanie.

Dzieci jeszcze nie wstały i siedzieli w kuchni sami.

— Nie idę na żadne tańce. Wiesz, że nie tańczę, Lizzie.

Wydało jej się, że dostrzegła rysę w jego uporze.

— Och, Neeleyu. To nic nie kosztuje i przecież nie proszę o wiele.

— A co z Glengarriff?

Elizabeth szybko uniknęła konfrontacji. Podeszła do niego od tyłu i otoczyła mu szyję ramionami. Nienawidząc własnego fałszu, pocałowała go w ucho.

— To już minęło, Neeley. Nie jesteśmy teraz szczęśliwi?

— Pomyślę o tym. Pocałowała go znowu.

— Ale jeśli pójdziemy, to nie będziemy późno wracać.

— Jasne. Oczywiście, że nie.

Wiedziała, że się udało. O resztę zatroszczy się na miejscu.

Od początku małżeństwa wzięli udział w ledwie dwóch czy trzech publicznych wydarzeniach, nie licząc mszy i niedzielnych popołudni u sąsiadów. Elizabeth bała się okazywać za dużo radości, żeby mąż się nie rozmyślił. Tego popołudnia wyprasowała najlepszą sukienkę z błękitnego muślinu — podarunek od Corinne — a potem starannie umyła i wyszczotkowała włosy. Ich połysk dało się dostrzec nawet w małym lusterku w sypialni. Była gotowa na godzinę przed wyjściem.

Neeley przez cały czas narzekał i grzebał się tak, że miała ochotę krzyknąć, ale wiedziała, że jeśli się znecierpliwi, może dać mu powód do zmiany decyzji. Wreszcie udzielili Mary ostatnich wskazówek i ruszyli.

Nastał spokojny wieczór; ciepły i suchy, jak przystało na pełnię lata. Kiedy zajechali na rowerach do Micka i Tilly, Elizabeth z całych sił powstrzymywała radość, żeby Neeley nie zorientował się, że za tańcami kryje się coś więcej.

Po drodze dołączyły do nich jeszcze dwa małżeństwa Harringtonów w dwukółce zaprzężonej w oślicę, para McCarthych w powoziku, jadący konno kawaler o nazwisku Leahy i dwóch O'Sullivanów na rowerach. W połowie drogi pojawił się także Mossie.

— Piękna sukienka. Do twarzy ci w błękitcie — powiedział zrównując się z Elizabeth.

— Dziękuję.

Zmusiła się do uśmiechu. Sam Mossie w śnieżnobiałej koszuli i ciemnym garniturze prezentował się szczególnie korzystnie. Miała mu to właśnie powiedzieć, ale powstrzymała się, nie chcąc podtrzymywać rozmowy. On jednak ciągnął niezrażony:

— Tak, pasuje do twoich włosów.

— Miło, że tak uważasz.

Nie dając mu dojść do słowa, zwolniła i zaczekała na Tilly.

— Ma rację. To prześliczna sukienka.

— Podziękowania należą się mojej matce.

Patrzyła, jak Mossie przyspiesza, żeby dopędzić główny peloton. Co ją tak drażniło w tym człowieku? Elizabeth wyczuwała coś więcej niż zadawniony spór o ziemię, ale teraz nie miała ochoty w to wnikać.

— Chciałabym, żeby przestał się na mnie gapić.

— Słuchaj, dziewczyno — odrzekła Tilly. — Przeglądałaś ty się ostatnio w lusterku? Jesteś tu jak motyl pośród chrząszczy. Nie tylko Mossie wypatruje za tobą oczy.

— No cóż...

Zaambarasowana Elizabeth zmieniła temat. Resztę podróży poświęciła przypuszczeniom na temat tańców. Zanim dojechali na miejsce, ich grupa rozrosła się do ponad dwunastu osób. Towarzystwo zrobiło się roześmiane i rozgadane. Potańcówka zapowiadała się ciekawie: z wyjątkiem wesel i czuwania przy zmarłych rzadko udawało się zgromadzić tyle par małżeńskich. Młode mężatki z Béara szybko zachodziły w ciążę, co kładło kres zabawom.

Elizabeth tak się rozgadała, że Tilly spoglądała na nią raz po raz. Kiedy pchały rowery pod strome wzniesienie zapytała:

— Co się dziś z tobą dzieje, Lizzie?

— Nic. Czemu?

— Nie mydl mi oczu. Rozmawiasz z Tilly.

— Naprawdę nic. Kiedy ostatni raz byłyśmy na tańcach? Wieki temu. Nie tańczyłam od ostatniej okazji u Harringtonów, a i to w kuchni! To pierwsza potańcówka, odkąd przyjechałam na Béara. Okropnie się cieszę, to wszystko.

— Hmm... — mruknęła nie przekonana Tilly.

Elizabeth wołała nie przeciągać rozmowy.

— Chodź, w tym tempie nigdy nie dojedziemy.

Chociaż nie doszły jeszcze do szczytu wzniesienia, wsiadła na rower i napała na pedały. Skoro już teraz tak łatwo ją przejrzeć, trzeba zdobyć się na szczególną ostrożność.

Dojrzeli salę. Bez wątpienia tańce Jimmy'ego Deeneya dorównały popularnością targowi w Boże Narodzenie. Castleclough, a właściwie parę domów i sklepo-bar przy rozstajach w samym sercu parafii, zawdzięczało swoją nazwę imponującej, choć zrujnowanej budowli, którą w połowie ubiegłego wieku zbudował pewien ekscentryczny Anglik. Dom czekał na kupca ponad dwadzieścia lat i powoli zapadł się w sobie.

Początek potańcówki zaplanowano na dziewiątą, ale wybiło już wpół do dziesiątej i nic się nie działo. Drzwi sali otwarto na oścież, a spora grupka mężczyzn i chłopców stała pod olbrzymim plakatem z podobizną Jimmy'ego Deeneya i napisem:

## GŁOSUJCIE NA DEENEYA, NUMER JEDEN

Elizabeth zajrzała do środka. W sali był tylko człowiek skręcający bębny na niewielkim podeście, a po lewej dwóch innych przykrywało sukнем stół. Irlandzko-amerykański darczyńca zafundował także barek z wodą mineralną, luksus, o jakim w parafii Eyeries nikt dotąd nie słyszał.

Pub po drugiej stronie drogi także nie narzekał na brak gości. Rej wodził sam Jimmy Deeney, metr osiemdziesiąt pięć, ubrany w biały garnitur i zieloną koszulę. Zamiast krawata nosił rzemyk spięty pod szyją połyskującym niebieskim węzłem. Obok niego amerykańska pulchna żona patrzyła w dal, jakby chciała już mieć wszystko za sobą. Elizabeth nie przyglądała się Jankesom uważniej, bo w grupie dziewcząt i chłopców w drugim kącie baru stał Daniel.

Odwrócił się, zupełnie jakby wyczuł jej obecność. Elizabeth natychmiast spuściła wzrok. Przyjęła propozycję drinka od Micka Harringtona.

— Poproszę dżin z tonikiem, jeśli można.

Jeden z mężczyzn klepnął Neeleya po ramieniu.

— O kurczę, twoja pani ma kosztowne zachcianki.

— Nie szkodzi, Lizzie.

Zakłopotany mąż Tilly poszedł złożyć zamówienie, a Elizabeth zignorowała komentarze na temat swoich wielkomięjskich gustów. Odwróciła się tyłem do Daniela, ale sama jego bliskość sprawiła, że koloryt miejsca, suknie kobiet, żółta whisky w szklankach i stłumiona czerwień i błękit na męskich krawatach stopiła się w jedną całość. W tym stanie pierwszy tonik uderzył jej prosto do słabej głowy. Paplała z Tilly i innymi kobietami, czując się lekka jak bańka powietrza.

Choć zdobyła parę przyjaciółek, w zasadzie nie udało jej się wejść do towarzystwa. Choćby nie wiem jak próbowała, nic nie mogło zatrzeć różnic między nimi. Nigdy nie usłyszała z niczyich ust złego słowa, Franceya zaakceptowano na równi z innymi dziećmi, nie miało też znaczenia, że różniła się wyglądem: jasnowłosa i wyższa niż inne kobiety, górowała nad nimi niczym gniada klacz nad stadem owiec.

Chodziło o coś więcej: zdawało się, że Elizabeth postrzega świat pod innym kątem. Teraz jednak, rozglądając się po nich, żartując i rozmawiając, przypomniała sobie, jak w pociągu Tilly zaskoczyła ją swoją opowieścią i przypisała sobie całą winę za pozostawanie na uboczu. Postanowiła stać się lepszą sąsiadką.

Wszyscy siedzieli stłoczeni tak ciasno, że z trudnością przychodziło podnieść kieliszek. Zrobiło się gorąco i po paru minutach Elizabeth ściągnęła biały sweter. Poczula na sobie wiele męskich spojrzeń, ale zupełnie się tym nie przejęła.

— Neeleyu, nasza kolej — zawołała na męża.

— Jezu, jesteś dziś w świetnej formie, Lizzie.

Twarz Micka ociekała potem i dobrymi chęciami.

— Czemu nie, Mick — zaśmiała się. — Nieczęsto zdarza się wieczór w tak doborowym towarzystwie.

— Oho! — zauważył ktoś. — Teraz leżysz, Mick.

— Ostrożnie, Neeleyu, lepiej miej oko na tego faceta! — dołączył się inny.

Elizabeth po raz pierwszy w życiu cieszyła się, że skupia na sobie powszechną uwagę.

Czemu nie — myślała. — Jestem młoda i mam wolny wieczór.

Nie przestraszyła jej nawet posępna twarz Neeleya.

Cały czas czuła obecność Daniela Carriga, choć wciąż siedziała do niego plecami. Wiedziała, kiedy na nią patrzył, a kiedy nie, zupełnie jakby wyrobiła sobie w ramieniu dodatkowy zmysł. Dzięki temu poczula również obecność Mossiego Breaca, który trzymał się nieco na uboczu. Pomyślała, że lepiej mieć go na oku.



— Mossie, chodź, przyłącz się do nas! — zawołała go.

— Dzięki, ale już idę.

— Opróżnił szklankę i postawił ją na drewnianym kontuarze, ciągnącym się wzdłuż ścian pubu. Potem utorował sobie drogę do wyjścia.

Elizabeth wachlowała się. Zrobiło się luźniej, bo coraz więcej ludzi szło w stronę sali.

— Tak lepiej — powiedziała przyjmując trzeciego drinka od następnego mężczyzny z grupy. Mało go nie rozlała, kiedy grupa wyrostków zaczęła przepychać się do wyjścia. Był wśród nich Daniel.

— Dobry wieczór pani Scollard — powiedział przechodząc. — Mick, Tilly, John, Betty, Neeley — uwzględnił wszystkich znajomych.

Wymienienie jej imienia w pierwszej kolejności spieszyło Elizabeth tak, że nie śmiała spojrzeć na męża.

— Jak się masz, Danny. Idziecie na drugą stronę?

— Trzeba zobaczyć, co się święci.

— Młodym to dobrze — skomentował Mick.

— Przynajmniej niektórym — dodał inny mężczyzna.

— Zgadza się — uśmiechnął się Daniel. — Do zobaczenia w środku.

W czasie tej wymiany zdań Elizabeth utkwiała wzrok w podłodze, ale nie mogła się powstrzymać, by za nim nie popatrzeć.

W tym momencie napotkała wzrok Tilly.

## ROZDZIAŁ 11

Po jakimś czasie ruszyli do sali. Niewiele par tańczyło, bo orkiestra złożona z miejscowych muzyków grała właśnie jakiś wolny kawałek.

— Zapraszamy, panie i panowie, zapraszamy, chłopcy i dziewczęta! Chodźcie na środek!

Ponaglania wodzireja nie napotkały dużego odzewu. Mężczyźni stali w grupkach dyskutując i paląc rac jonowane papierosy, kobiety zaś wedle zwyczaju zgromadziły się osobno w drugiej części sali.

Budynek był nowiutki i pachniał farbą. Przyozdabiały go lampiony i papierowe łańcuchy, a muzyka i gwar stwarzały radosną atmosferę.

— Panie i panowie, na miłość boską, to potańcówka nie targ! Widzę, że przyjechali O'Sullivanowie z Lahersheen, może teraz coś się zacznie dziać.

Wodzirej i wokalista w jednej osobie, niski, łysiejący tłuścioch z Derryconnla znał wszystkich w parafii.

— Raymondzie, Martho — błagał — nie róbcie zawodu panu Deeneyowi, po tylu dobrodziejstwach. Dajcie przykład! Wiem, że wszystkie panie palą się do tańca. Zatem: biały walc!

Cienkim falsetem zaczął śpiewać własną wersję „Czerwonych żagli”. Elizabeth bezwiednie odszukała Daniela. Jego kędzierzawa głowa królowała wśród grupki młodzieży na samym końcu sali obok barku z wodą mineralną.

— Nie masz nic przeciw temu, żebym poprosiła Micka do tańca? — zwróciła się do Tilly.

— Ja? Też coś! Prędeż twoje palce u nóg — odrzekła, uśmiechając się pobłaźliwie.

Elizabeth potraktowała ostatnie zdanie jako żart, gdyż zdarzyło jej się już przedtem tańczyć z Mickiem podczas tutejszych przyjęć i znała jego umiejętności.

Narzuciła na ramiona sweter i zapięła pod szyją, tak jakby mógł ją ochronić podczas niebezpiecznej przeprawy na drugą stronę sali do grupy mężczyzn. Pod ostrzałem spojrzeń podeszła do dobrodusznego Micka Harringtona. Przyjął jej zaproszenie i poprowadził przez parkiet w rytm „Czerwonych żagli”. Nie rozmawiali.

Przyłączyły się do nich tylko cztery inne pary, więc by zapomnieć o wystawieniu na publiczny widok, Elizabeth skupiła się mocno na tym, co robi. Kiedy mijała grupę Daniela, odwróciła głowę. Czuła dotyk sukienki na udach. Cieszyła się bardzo, że zachowała na tę okazję jedyną parę nylonów.

Melodia skończyła się i Mick puścił jej rękę.

— Szkoda, że częściej nie tańczymy, Lizzie. Jesteś taka lekka.

— Tilly też.

— Tak — powiedział z czułym uśmiechem. — Nie wychodzimy już równie często jak dawniej. Nie ma nawet tańców na rozstajach. Cholerna wojna.

— Wiń Chamberlaina!

Roześmiał się i odprowadził ją do grupy kobiet.

— Dobrze, panie i panowie! Co za wstyd! — gorączkował się wodzirej. — Zagramy teraz walca Limerick. Jeśli to was nie rozrusza, to nic nie da rady!

— Wspaniale! — zawołała Elizabeth łapiąc pod ramię Tilly i kobietę po lewej.

Kapela grała w kółko osiem pierwszych taktów, czekając aż na parkiecie ustawi się równa liczba mężczyzn i kobiet w dwóch rzędach.

— Dużo lepiej! — zawołał wodzirej. — Zaczynamy.

Elizabeth zobaczyła, że nawet Neeley dołączył do tańczących. Zrobiło jej się go żal. Większość ludzi z Béara miała w sobie wrodzony dryg do tańca, ale on beznadziejnie odstawał, choć widać było, że się bardzo stara. Nie miał za grosz poczucia rytmu i ciągle mylił kroki.

Na końcu rzędu mężczyzn Daniel Carrig poruszał się z gracją łabędzia.

Przy zmianie partnerów Elizabeth znalazła się twarzą w twarz z Mossiem; tańczył równie dobrze jak inni, może tylko przyciskał ją mocniej, niż miała na to ochotę. Z ulgą uwolniła się od niego przy następnej figurze.

Po skończonym walcu stanęła koło Neeleya i wzięła go za rękę.

— Teraz zagrają „Wiążkę żyta”.

Wyrwał jej rękę.

— Idę na drugą stronę jeszcze się napić.

— Ach, Neeleyu, no chodź... to łatwy krok — przekonywała, zrozpaczona.

Za nic nie chciała, żeby się teraz wstawił.

— Słuchaj, przyszedłem tu, nie? Czego jeszcze chcesz? No, nie rób przedstawienia.

Elizabeth spostrzegła, że stoją samotnie na środku parkietu i już budzą zainteresowanie. Poddała się.

— Dobrze, rób jak uważasz.

Odwróciła się, ale zanim doszła do gromadki kobiet, kapela rozpoczęła następną melodię i wyrósł przed nią Mossie.

— Lizzie?

Nie miała wyjścia, musiała przyjąć jego ramię. Znaleźli się o dwie pary za Danielem i rudowłosą dziewczyną z Ballycrovane. Młodzi śmieli się do rozpuku i Elizabeth poczuła nieoczekiwane ukłucie zazdrości.

A czegoż się spodziewałaś? — pomyślała, kiedy Mossie wirował z nią po parkiecie.

Była przecież dojrzałą mężatką, a ten młody chłopak nie miał żadnych zobowiązań. To zrozumiałe, że przyjaźni się z rówieśnikami. Widok szczęśliwej dwójki bolał tak mocno, że wyparowała z niej cała niedawna radość. Może coś źle rozumiała? Może się wygłupiła? Co może zdarzyć się między nią a tym chłopcem, jeszcze niemal dzieckiem? Prawie się załamała. Z trudem oderwała wzrok od pleców Daniela i skupiła się na własnym partnerze.

— Dobrze się bawisz? — spytała lekko.

— Bardzo. Jesteś cudowna.

— Dziękuję — odpowiedziała najgrzeczniej, jak potrafiła.

Wiele by dała, żeby Mossie przestał wreszcie prawić jej komplementy. Zauważyła, że Neeley wrócił i wdał się w rozmowę z paroma mężczyznami przy drzwiach.

Dobry znak — pomyślała. — W tak krótkim czasie mógł wypić co najwyżej jedną kolejkę.

Zacisnęła zęby i udała, że pochłania ją to, co robi. Miała nadzieję, że w ten sposób odwraca od siebie podejrzenia, że przyszła tu po coś więcej niż odrobina rozrywki dla wiejskiej gospodyni. Tańczyli w milczeniu.

— Było wspaniale — powiedziała, gdy orkiestra przestała grać.

— Może zatańczysz ze mną jeszcze raz?

Nie udało jej się dokładnie odczytać wyrazu jego twarzy, ale zrobiło jej się nieswojo. Poczuła, że się poci.

— Jasne, Mossie — powiedziała i odruchowo przebiegła wzrokiem po sali.

— Tam stoi — zauważył miękko, robiąc nieznaczny ruch głową.

— Kto?

Mossie uśmiechnął się słabo i odszedł. Zaczerwieniona po uszy patrzyła, jak jego szerokie plecy znikają w tłumie. Orkiestra zaczęła następny kawałek i Willie Bad Harrington, przyjemny czterdziestolatek, poprosił ją do tańca.

Przez następną godzinę Mossie trzymał się od niej z daleka. Nie odpoczywała ani chwili. Jednak nawet wśród masy podskakujących ciał wciąż żywo odczuwała obecność Daniela.

Wpół do dwunastej zrobiło się tak tłoczno, że zanikł podział na damską i męską część sali. Po pewnym wyczerpującym fokstrocie zgrzana i spragniona Elizabeth przemknęła do „swoich”.

— Napiłabym się wody mineralnej — oznajmiła w przestrzeń. — Gdzie Neeley?

— Przyniosę ci — odezwał się Mossie.

Zanim zdążyła odmówić, poszedł w stronę barku. Przedał się przez tłum i udało mu się wpełznąć poza kolejną. Zrezygnowana, ruszyła za nim.

— Dziękuję — wysiliła całą swą uprzejmość.

Nie musiała z nim rozmawiać, bo w tym momencie kapela znów zaczęła grać. Ledwie upiła łyk, kiedy poczuła na ramieniu lekki dotyk Daniela.

— Czy mogę prosić panią do tańca?

— Mogę ci to zostawić, Mossie? Zaraz wrócę.

Pospiesznie podała mu butelkę i poszła na parkiet.

Orkiestra zmagala się z dziwnym opracowaniem „Księżycowej serenady”, gdzie partię saksofonu wykonywał akordeon. Elizabeth nie zwróciłaby pewnie uwagi, nawet gdyby grano na afrykańskich bębnach. Mossie, Neeley i cały świat przestali istnieć, gdy znalazła się w ramionach Daniela. Ręka podtrzymująca ją w talii wydawała się nieoddzielną częścią jej ciała, druga zaś, lekka jak pajęczyna, prowadziła oboje po obrzeżach tłumy.

Trzymali się od siebie na przyzwyczajoną odległość i starannie unikali patrzenia sobie w oczy. W zamkniętym obiegu złączonych rąk przebiegał prąd, mimo to Elizabeth czuła się tak niewinnie, jakby trzymała w objęciach niemowlę. Ściany, papierowe łańcuchy, lampiony, zapach nóg i potu: wszystko uleciało. Sunęli przez muzykę, jakby okrywała ich niewidoczna bańka powietrza. Zapamiętała się w tym uczuciu szybowania tak bardzo, że kiedy inna para wpadła na nich, Elizabeth zdawało się, że ktoś zdzielił ją siekierą.

— Przepraszam — powiedziała, nie odwracając się nawet, żeby zobaczyć kto to był.

Zamknęła oczy, starając się odbudować bańkę i świadomie przeżywać każdy moment i namacalną obecność Daniela, która świeciła i grzała ją jak ognisko.

Piosenka skończyła się i jakby coś umarło. Elizabeth pozostało głębokie, jasne przeświadczenie, że to, co iskrzyło się między nią a Danielem, to nie sama miłość i wyższe uczucia, lecz także wzajemne opętanie seksem. Pojęła też, że się temu nie oprze, co ją przekornie uspokoiło.

— Zatańczysz ze mną jeszcze, Elizabeth? — spytał niskim, nagłym głosem.

— Tak.

Odeszła do grupy sąsiadów z Lahersheen i Derryconna. Tancerze podochocili się i parkiet nie pustoszał już po każdym tańcu, a kobiety rozmawiały i śmiały się z mężczyznami.

Tilly odciągnęła ją na bok.

— Błagam cię, Lizzie, uważaj — syknęła, prawie nie poruszając wargami.

— A, znalazła się nasza zguba — zupełnie innym tonem zwróciła się do kogoś za plecami Elizabeth. — Gdzie się podziewałeś, Korneliuszu Scollard? Wszyscyśmy cię szukali. O, jest i Mossie z twoją lemoniadą, Lizzie.

Złapała Elizabeth za ramię i odwróciła ją twarzą w jego stronę.

— Zapomniałaś o swojej wodzie — powiedział spokojnie.

Elizabeth uśmiechnęła się. Nie da mu się zwieść. Musi strzec siebie i Daniela.

— Dziękuję, przepraszam, że kazałam ci czekać.

Była uosobieniem niewinności. Tilly ponownie złapała ją pod ramię.

— Panowie wybaczą, Lizzie i ja właśnie szłyśmy się odświeżyć.

Elizabeth dała się wyciągnąć z sali. Weszły do toalety po drugiej stronie drogi i Tilly zamknęła drzwi. Chwyliła przyjaciółkę za rękę i potrząsnęła mocno.

— Co ty sobie myślisz? Masz fioła, czy co?

— Tylko tańczyliśmy — odrzekła Elizabeth niewzruszona.

— Słuchaj, dziewczyno, można tańczyć i tańczyć. Wszyscy się na was gapili.

— Nie robiliśmy nic złego.

— Kochanie, świeciłaś jak choinka na Boże Narodzenie. W życiu czegoś takiego nie widziałam. Jeżeli musiałaś z nim tańczyć, czemu przynajmniej nie trzymaliście się w środku tłumu?

W maleńkiej toalecie Elizabeth garbiła się pod ciężarem rąk Tilly, a muszla wbijała jej się w nogi.

— Tilly, plecy mnie bołą.

Tilly zwolniła nieco nacisk.

— Proszę cię — błagała — opamiętaj się trochę. To po prostu nie... — zawahała się szukając odpowiedniego słowa nie wypada.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

— Tilly, nie chcę być niegrzeczna, ale to naprawdę nie twoja sprawa. Panuję nad sytuacją.

Tilly wzięła głęboki oddech.

— Może to nie fair, ale chcę, żebyś dobrze zrozumiała. Czy swego czasu nie byłaś równie pewna z tym George'em jak—mu—tam? I co się z nim stało? Masz męża, masz rodzinę...

— Wiem.

— Jak twoim zdaniem zareaguje Neeley? Nawet Mossie zorientował się, w czym rzecz.

Elizabeth czuła się jak jacht w pogodny, letni dzień.

— Nie martw się, Tilly — powiedziała. — Nic złego się nie zdarzy. Myśmy tylko tańczyli. Jeden jedyny raz.

— Proszę, nie tańcz z nim więcej. Błagam cię, nie dzisiaj. Tańcz sobie innym razem, ale dziś już nie.

— Obiecałam mu.

Tilly bezradnie wzruszyła ramionami.

— Jesteś pełnoletnia, cóż ja ci mogę powiedzieć. Ale ostatni raz proszę, żebyś to przemyślała. Co masz do stracenia: jeden trzyminutowy taniec? Lizzie...

— Tańczenie w publicznym miejscu to nie grzech. Nawet kanonik by to przyznał. Na pewno widziałaś, że przyszedł.

Ten ksiądz stał się postrachem okolicy. Znany był nie tylko z tego, że siekł laską krzaki, żeby przepędzać zakochane pary, ale również z nagłych nalotów na miejsca potańcówek. Jeżeli wyczuł najmniejsze cielesne podteksty, potrafił rozgonić towarzystwo w dziewięćdziesiąt sekund.

— Gdybyśmy tańczyli blisko siebie albo coś takiego, to z pewnością by nas powstrzymał.

— Zrobiłam, co w mojej mocy — westchnęła Tilly. — Niech Bóg ma cię w swej opiece.

Otworzyła drzwi. Przeszły na drugą stronę drogi i wepchnęły się do środka. Ściany parowały.

Pierwsza część potańcówki minęła dla Elizabeth jak we mgle, ale teraz czuła się rozbudzona i rześka. Podczas ich krótkiej nieobecności atmosfera rozgrzała się jeszcze bardziej, jednak kanonik, który ustawił się w połowie drogi do budynku, żeby mieć wszystko na oku, nie mógł się do niczego przyczepić: „Oblężenie Ennis” było zbyt szybkie i skoczne na myślenie o grzechu.

Młodzi ludzie trzymali się blisko estrady; kręcili się i wygłupiali we własnym gronie. Kobiety odgarniały włosy z czoła, a złani potem farmerzy, robotnicy i rybacy rozluźniali krawaty i rzucali

marynarki na stertę w kącie. Elizabeth wypatrzyła Neeleya. Stał z boku sam i wyglądał na zagubionego. Podreptała do niego i pociągnęła go za rękaw. Musiała krzyczeć, żeby usłyszał ją w zgiełku.

— Zatańczysz ze mną?

Serce jej się ścisnęło, kiedy się odwrócił. Był czerwony i miał lekko mętny wzrok. Może jeszcze nie całkiem się upił, ale niewiele mu brakowało. Mimo to zgodził się z nią zatańczyć i przyłączyli się do najbliższej grupy.

Po chwili, widząc, jak bardzo go to męczy, znów pociągnęła go za ramię.

— Chodź, będziemy tańczyć po swojemu.

Przeszli do kąta i zwolnili, stosownie do możliwości Neeleya. Wdzięczność malująca się na jego twarzy przypawiła ją o gorsze wyrzuty sumienia, niż gdyby przyłapał ją w objęciach Daniela.

— Kocham cię — zdradzieckie słowa wymknęły jej się mimo woli.

Spojrzał na nią z takim zaskoczeniem, że poczuła się jeszcze podlej. Żeby pokryć zmieszanie uściskała go. Cofnął się zmieszany.

— Wszyscy patrzą.

Muzyka umilkła i kapela poszła na przerwę. Wodzirej oznajmił, że sam Jimmy Deeney chce wygłosić kilka słów. Dobroczyńca z Castleclough przeszedł przez salę wśród oklasków i wiwatów niczym Cezar wkraczający do Rzymu. W tym momencie przed Elizabeth pojawił się Mossie Breac.

— Wypijesz teraz swoją wodę? Bo jak nie, to może kto inny się skusi...

— Przepraszam, zupełnie zapomniałam.

Wzięła butelkę i odwróciła się, patrząc na triumfalny pochód Jimmy'ego. Przyszły polityk zaczął przemawiać. Elizabeth pociągnęła łyk nieprzyjemnie ciepłego płynu i obejrzała się, ale Mossiego już nie było. Dostrzegła za to, jak Daniel przepycha się do wyjścia. Już się zbierał?

W tej chwili pragnęła tańca z nim bardziej niż czegokolwiek na świecie. Potrzeba przerastała troskę o małżeństwo i reputację. Gdyby nie pilnowała jej bystrooka Tilly, pewnie od razu wymknęłaby się za nim.

Ręka Tilly na ramieniu ciążyła jak lejce. Kiedy Janke zebrał oklaski za jakieś celne stwierdzenie, Tilly syknęła jej do ucha:

— Lizzie, zastanów się! Trochę zdrowego rozsądku i doczekasz się następnego spotkania. Jutro też jest dzień.

Nie miała wyjścia, bo Jimmy Deeney ogłosiwszy loterię, z której pieniądze przeznaczono na nowy dach kaplicy, zeskoczył z estrady, a wszyscy zaczęli się pchać do sprzedawców losów.

Szósty zmysł jej nie zawiódł. Odwróciła się w samą porę, żeby zobaczyć, jak Neeley również zmierza do wyjścia, pewnie po to, by złożyć jeszcze jedną wizytę w pubie. Uspokoila się. Cokolwiek miało się wydarzyć, stanie się bez względu na przeciwności.

Rozpoczęła się loteria. Nikomu z Lahersheen nie udało się wygrać żadnej z niewielkich nagród: funta, dziesięciu szylingów ani pół korony. Usatysfakcjonowana kapela wróciła na miejsca, a Mossie znów poprosił Elizabeth do tańca.

Zgodziła się, próbując ukryć niechęć. Zobaczyła, że Neeley wrócił do sali i rozgląda się za nią. Przypomniały jej się ostrzeżenia Tilly, ale wtem ją olśniło: użyje Mossiego jako zasłony dymnej...

Wokalista wczuwał się w piosenkę Judy Garland „Sprawiłeś, że cię kocham” i wiele par tańczyło pod czujnym okiem kanonika. Elizabeth, chociaż nikt nie mógłby posądzać jej o flirtowanie z Mossiem, rozluźniła się i uśmiechnęła tak, jakby w życiu nie bawiła się lepiej.

Przez chwilę nie reagował, po czym nieznacznie zacieśnił uścisk wokół jej talii. Po minucie czuła przez cienką sukienkę każdy palec jego prawej dłoni. Przeraziła się, że chyba zabrnęła za daleko.

— Och, Mossie... — odezwała się nieswojo i strząsnęła jego rękę.

Natychmiast, dużo za szybko, poluzował uścisk i rzucił okiem ponad jej ramieniem. Zrozumiała, że popełniła duży błąd taktyczny. Skupili się na tańcu i odsunęli od siebie natychmiast, kiedy melodia się skończyła, a wodzirej ogłosił parę informacji. Elizabeth stała z uniesioną wysoko głową, starając się pokryć zmieszanie.

— Wielkie dzięki — powiedziała. — Było wspaniale.

— Proszę bardzo. Nie wątpię.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Danielem Carrigiem.

— Daniel! — usiłowała wyglądać na zaskoczoną.

— Czy zechce pani zarezerwować dla mnie następny taniec?

— Oczywiście, czemu nie...

Neeley znalazł się przy niej dwoma susami.

— Nie ma więcej tańczenia. Idziemy do domu.

Próbował chwycić ją za ramię, ale usunęła się.

— Och, Neeleyu! — rzuciła sztucznie lekkim tonem. — Jeszcze tylko dwa ostatnie. Jest wczesnie, zobacz, nikt jeszcze nie ucieka, a poza tym nie skończyłam tańczyć z Mossiem...

— Powiedziałem, do domu.

— Nie szkodzi... Przepraszam. Neeleyu, Mossie... — zakłopotany Daniel zaczął się cofać.

Elizabeth zamarła. Sytuacja uległa zmianie: teraz nie tylko musiała zatańczyć z Danielem, ale także zmanifestować swoją długo tłumioną niezależność. Nikt nie będzie rozkazywać jej w ten sposób. Zatrzymała chłopca ruchem ręki.

— Zaczekaj chwilę. Jeszcze dwa tańce — zwróciła się do Neeleya spokojnie — i pójdziemy do domu.

Wodzirej wciąż gadał. Neeley i Elizabeth patrzyli na siebie, a Daniel stał czerwony jak burak. Sąsiedzi zauważyli, że coś się dzieje i zapadła cisza. Tilly przyszła z pomocą.

— Nikomu to nie zaszkodzi, prawda Neeleyu? — zawołała.

— Wszyscy zatańczymy ostatni raz i wrócimy razem, no nie, Mick?

Dała mężowi sójkę w bok.

— Jasne.

Widać było, że czuje się równie niezręcznie jak pozostali.

Wodzirej skończył wreszcie i perkusista uderzył w werbel. Elizabeth i Neeley wciąż mierzyli się wzrokiem.

— Powiedziałem, teraz — rzucił niskim, grobowym głosem.

— Kto by się nimi przejmował. Chodź, zatańczę z tobą, Danny!

Tilly złapała go za rękę i popchnęła przed sobą na parkiet, zostawiając Scollardów stojących naprzeciw siebie jak koguty szykujące się do walki.

Elizabeth bardziej poczuła niż zobaczyła ich odejście. Wiedziała, że obecna chwila stanowi przełom i nie wolno skapitulować.

— Nie powinieneś był tego robić, Neeleyu.

— Idziesz czy mam pójść sam?

Zacisnęły mu się szczęki.

— Nie idę.

Czuła w środku wielką ciszę, zupełnie jakby krew przestała krążyć. Gapił się na nią jeszcze przez chwilę.

— Dobra, zobaczymy się później.

Odwrócił się i wyszedł. W miejscu, które opuścił, na podłodze, Elizabeth zauważyła guzik od szelek. Wpatrywała się w niego i zalała ją fala czarnego, oleistego gniewu. Otrząsnęła się. Zobaczyła, że Mossie stoi w pobliżu i nie odrywa od niej wzroku. Wyciągnęła do niego rękę.

— Tańczymy?

Mossie popatrzył za znikającym Neeleyem, po czym odciągnął ją od tłumu gapiów.

— Uspokój się, przejdzie mu.

Złość wzięła górę nad opanowaniem.

— Czasami mam ochotę go zabić. Co on sobie wyobraża?

Mężczyzna obserwujący zajście podążył za nimi i poklepał Mossiego po ramieniu.

— Dawaj, Mossie! Masz teraz swoje pięć minut, wjeżdżaj na linie jak Eroll Flynn!

— Zamknij się!

Odwrócił się do niego z morderczą miną. Potem puścił rękę Elizabeth.

— Może to nie najlepszy pomysł — powiedział.

— Proszę cię. To dla mnie bardzo ważne, żebyśmy skończyli ten taniec.

— Ujęła jego dłoń.

Cały czas rozglądała się za Danielem.

— Chyba nie chcę w tym brać udziału — ciągnął tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Publiczne upokorzenie, jakiego doznała, sprawiło, że teraz ofuknęła go bardziej niż zamierzała:

— Nie wiem, o czym mówisz.

Nie rozmawiali więcej. Orkiestra gładko przeszła do walca, Elizabeth nie puściła Mossiego, lecz z determinacją prowadziła w stronę Tilly i Daniela. Nie opierał się, tylko sztywny jak kij utkwiał wzrok w punkcie ponad jej ramieniem. Dotarli do drugiej pary.

— Tilly? — odezwała się Elizabeth uwalniając jego rękę. Miałabyś coś przeciwko zamianie partnerów?

Tilly spróbowała po raz ostatni.

— W zasadzie tak, świetnie się z Dannym bawimy, prawda?

Ale Elizabeth już znalazła się w jego ramionach i oboje natychmiast zapomnieli o wszystkim. Tilly musiała się poddać.

— Chodź, Mossie — rzuciła z dobrze udanym animuszem. — Dawno już nie płąsaliśmy razem.

Już po paru krokach w objęciach Daniela, gniew Elizabeth rozpuścił się, a jego miejsce zajęło całkowite zespolenie. Zamknęła oczy. Walc przeszedł w wolnego fokstrotę. Miała uczucie, że nie tańczy, lecz wspina się po spirali pożądania. Trzy minuty później iluzja prysła. Ktoś pociągnął ją z całej siły za ramię. Daniel puścił jej rękę i Elizabeth stanęła oko w oko z rozwścieżonym Neeleyem. Tańczący rozstąpili się przed nim.

— Neeley! Zdawało mi się, że miałeś iść do domu.

— Idę, ale z tobą. Teraz — syknął ściskając ją coraz mocniej.

Elizabeth zdjęła rękę z ramienia Daniela.

— To boli, Neeleyu — powiedziała cicho.

— Powiedziałem chodź!

Pociągnął ją z taką siłą, że się zachwiała i byłaby upadła, gdyby Daniel jej nie podtrzymał. Ten gest dopełnił miary i Neeley wolną ręką zamachnął się na niego. Chłopiec odsunął się zręcznie, a drugi, błyskawiczny cios trafił go nieszkodliwie w pierś. Stojący w pobliżu mężczyźni ruszyli, by rozdzielić walczących, Daniel jednak cofnął się już poza zasięg Neeleya i choć nie zaciskał pięści, rękę trzymał lekko uniesione, gotowy do walki.

Muzyka płynęła nieprzerwanie. Purpurowa Elizabeth bezskutecznie usiłowała uwolnić się z uścisku. Nikt nie wiedział, jak zareagować na ten niemy pojedynek.



Kątem oka dostrzegła ruch Daniela w jej stronę. Przerazona, że sytuacja wymknie jej się całkowicie spod kontroli, odzyskała siły.

— Puść mnie! — krzyknęła tak głośno, że przestraszony Neeley ją uwolnił.

Zziębnięta i niepomiernie obserwowanych ją gapiów stanęła blisko niego.

— Pójdę z tobą do domu, Neeleyu, i tam porozmawiamy.

Zwróciła się do Daniela:

— Przepraszam za to, co się stało.

Wyszła nie oglądając się za siebie.

\* \* \*

Zanim przyszedł Neeley, leżała w łóżku już od pół godziny. Była trzeźwa i czujna, a na toalecie zostawiła zapaloną lampę.

Wiedziała, że cokolwiek wydarzy się przez następne kilka minut, ma ogromne znaczenie i zależy od tego jej dalsze życie. Nie chodziło tylko o Daniela Carriga, lecz o coś dużo bardziej złożonego. Elizabeth czuła, że albo wywalczy teraz niezależność dla swojej duszy, albo skaze ją na powolną śmierć.

Słyszając, jak Neeley rozbija się w kuchni pojęła, że sporo wypił. Wbrew dotychczasowemu lękowi uspokoiła się. Kiedy wszedł do sypialni zwiesiła nogi z łóżka i usiadła.

Nachylił się w drzwiach, by rozwiązać sznurowadła. Przyjrzała mu się. Znać było, że jego gniew osłabł. Nie upił się aż tak, żeby się awanturować, ale i tak trudno przewidzieć, co strzeli mu do głowy. Musiała mieć się na baczności.

— Zanim się rozbierzesz albo coś powiesz, chcę z tobą pomówić. Usiądź koło mnie.

Pogłaskała miejsce na łóżku. Wyprostował się i zacisnął wargi, ale zrobił, jak prosiła. Sprężyny zajęczały pod jego ciężarem.

— Neeleyu — zaczęła. — Jeżeli kiedykolwiek się to powtórzy, jeśli jeszcze raz upokorzysz mnie publicznie, odejdę od ciebie.

— Jeśli co się powtórzy? — zapytał zaczepnie, chociaż bez przekonania.

Widać było, że się wstydzi.

— Wiesz, o co mi chodzi — powiedziała spokojnie. — Tańczyłam z sąsiadem na publicznej potańcówce pod okiem kanonika, to wszystko. Nie było w tym absolutnie nic zdrożnego.

— Robiłaś z siebie przedstawienie. I ze mnie.

Echo słów Tilly zatrzymało ją na chwilę, ale potem uchwyciła się okazji. Wnioskując, że Neeley mówił o Mossiem, ciągnęła opanowanym głosem:

— Nie. Tańczyłam tylko z naszym dobrym sąsiadem. Jak wszyscy inni.

— Nie pozwolę, żeby moja żona robiła z siebie widowisko — powtórzył uparcie. — Wystarczyło mi, że musiałem wysłuchiwać każdego, kto mówił o twoim zachowaniu w Glengarriff...

Przypominanie pocałunku z kimś, kto nie miał już dla niej żadnego znaczenia, wydał jej się czymś tak nie na miejscu, że się rozżłościła.

— Czy przestaniemy już wreszcie wracać do Glengarriff? — krzyknęła. — Cokolwiek słyszałeś, było mocno przesadzone. I nie miało... nie ma znaczenia.

— Widziałas się z tym facetem czy nie?

— Tak.

— Sama?

Wzięła głęboki oddech.

— Przez kilka minut, na ulicy, na oczach całego miasta. Nie zapominaj, że to ojciec Franceya. Nie mogłam go po prostu zignorować.

— Czy... uprawialiście seks?

— Co?

Roześmiała się z niedowierzaniem i zrobiło jej się go żal. Potem jednak przypomniała sobie, jak się dzisiaj zachował.

— Powiedziałam ci, że cały czas mieliśmy świadków.

— To mnie najbardziej u ciebie martwi. Nie dbasz zupełnie, co ktoś może myśleć. Nie masz poczucia... poczucia...

— Czego?

Jej cierpliwość miała się na wyczerpaniu, ale Neeley nie dostrzegł niebezpieczeństwa.

— Przyzwoitości. Jesteś zamężna, Lizzie.

Po raz drugi wstrząsnęło nią, że dokładnie powtórzył słowa Tilly, ale zdała sobie sprawę, że tak wyraziliby to wszyscy. Sytuacja stała się jasna.

Mężatka, czyli własność.

— Nie jestem niczyją własnością — wybuchnęła.

— Co?

— Słyszałeś, nie jestem niczyją własnością.

— Nigdy tak nie twierdziłem. Powiedziałem tylko, że jesteś zamężna.

Zupełnie nie pojął jej słów, więc wyłożyła mu jaśniej:

— Jestem kobietą, Neeleyu. Człowiekiem, nie krową czy owcą. Mogłeś się ze mną ożenić, ale to nie znaczy, że mnie posiadasz tak jak domowe zwierzęta.

— Kto powiedział...

— Wypełniam wszystkie znojne obowiązki, jakie małżeństwo mi narzuca. I dochowuję ci wierności. Ale nikt nie będzie mi mówił, z kim mogę tańczyć, a z kim nie.

Poderwała się z łóżka i zaczęła krążyć po maleńkiej sypialni.

— Nie pozwolę, żeby rozkazywano mi, kiedy mam wracać do domu. Nie pozwolę, żebyś traktował mnie tak przy ludziach, jak to dziś zrobiłeś. Przedstawienie, mówisz? Przedstawienie? Kto zrobił dzisiaj z siebie przedstawienie? Chyba jednak nie ja.

Wstał.

— A co się dzieje między tobą i tym szczeniakiem od McCarthych? Niech ci się nie zdaje, że nie wiem, że on tu węszy. Myślisz, że was nie widziałem? Tańczyliśmy, psiakrew! Rzuciłaś się na niego jak dziwka.

Drżąc, stanęła przed nim.

— Mówiłam ci, żebyś nie używał w stosunku do mnie tego słowa.

Spoliczkowała go z całej siły. Zaskoczony, wolno przyłożył dłoń do twarzy. Potem złapał ją i potrząsnął, jakby była terierem ze szcurem w pysku.

Zaklekotały jej zęby i wrzasnęła ze strachu i bólu. Jej rozpuszczone, długie włosy wleciały mu do oczu. Rycząc jak zraniony byk puścił jej ramię, złapał za loki i zawinął sobie wokół dłoni. Myślała, że wyrwie je razem ze skalpem.

Wydawało się, że zmusi ją, by uklękła, ale mimo nieznośnego bólu nie chciała się poddać. Zobaczyła, jak sięga po nożyce leżące na toalecie i myślała, że chce ją zadźgać.

— Nie, Neeleyu! — krzyknęła. — Proszę cię, nie rób tego. Nie!

— Ja cię do wszystkich diabłów oduczę puszczania...

Ciachnął pasmo włosów, które trzymał w ręku. Wrzasnęła jeszcze głośniej.

Drzwi otworzyły się z traskiem i do pokoju wszedł Francey, a tuż za nim Margaret i Goretti. Błyskawicznie ocenił sytuację, skoczył Neeleyowi na plecy i wczepił mu się w kołnierz.

Rozwścieczony Neeley odepchnął Elizabeth. Upadła uderzając w żelazną poręcz łóżka. Całe powietrze uciekło jej z płuc i zwała się na pościel jak szmaciana lalka.

Rzucając się jak byk w zagrodzie Neeley usiłował pozbyć się Franceya, ale nie mógł go dosięgnąć. Pod ciężarem chłopca guziki od koszuli odpadały jeden po drugim. Francey trzymał go mocno, kopiąc z całych sił.

Okrzyki Franceya, rzęzenie Elizabeth i ryki Neeleya wypełniały cały dom. Przebudzone dziewczynki pochowały się w najciemniejszych kątach, łkając histerycznie, niemowlę krzyczało w kołysce. Tylko Mary stała bez ruchu w drzwiach sypialni rodziców, trzymając się framugi, tak jakby inaczej zawalił się cały budynek.

Wreszcie Neeley z całym impetem rzucił się tyłem na ścianę. Nawet wśród ogólnego zamieszania, uderzenie głowy chłopca o kamienny mur zabrzmiało jak wystrzał. Francey zwiotczał i upadł bezwładnie na ziemię.

Uwolniony Neeley odwrócił się. Przerażony tym, co zrobił, ruszył, żeby podnieść chłopca, ale uprzedziła go Mary. Wzięła przyrodniego brata w ramiona i położyła na łóżku obok Elizabeth. Próbowwała powiedzieć, że trzeba wezwać doktora, ale ze strachu nie mogła wydobyć głosu. Jęknęła tylko.

Elizabeth kaszlała, próbując odzyskać dech i zapomnieć o bólu i włosach, które unosiły się w pokoju jak złote babie lato.

Z żeńskiej drużyny skautowskiej wyniosła podstawową znajomość pierwszej pomocy i teraz poszukała pulsu na szyi Franceya: był powolny, ale stały. Spuchła mu jedna powieka, a krew sączyła się spod włosów tuż nad skronią i kącika warg.

— Biegnij do Harringtonów, Mary — krzyknęła. — Powiedz, że potrzebujemy zaprzęzonego konia. Zaraz przyjdę z Franceyem.

— Pozwól...

Neeley zbliżył się blady jak trup, ale nie dała mu dotknąć syna.

— Ani się waż — szepnęła. — Jeszcze ci mało?

Dziewczynki przestały już płakać, krzyczało tylko dziecko w kuchni.

— Kathleen, zajmij się Abbie — zarządziła Elizabeth, po czym zawinęła Franceya w koc. Wsunęła buty na nogi, na rzuciła szal na nocną koszulę i wybiegła w noc, unosząc bezwładne ciało.

Biegła ścieżką widząc przed sobą sylwetkę pędzącej Mary. Bała się, że Harringtonowie nie wrócili jeszcze z potańcówki, więc na widok światelka w oknie odetchnęła z ulgą.

## ROZDZIAŁ 12

— Dobry Boże, Lizzie!

Tilly cofnęła się od drzwi z ręką przy ustach. Elizabeth niejasno zdała sobie sprawę, jak dziwnie musi wyglądać w szalu narzuconym na nocną koszulę i wyciętym pękiem włosów.

— Nie ma czasu — przerwała. — Koń zaprzężony?

Tilly skinęła głową.

— Słuchaj, jesteś wykończona. Daj, ja go poniosę.

Elizabeth nie puściła jednak.

— Tilly, obiecuję, że nigdy więcej o nic cię nie poproszę, ale czy teraz mogłabyś pójść z Mickiem do mojego domu? Bóg raczy wiedzieć, co zrobi Neeley, boję się o dzieci.

— Mick zawiezie cię do doktora...

Szły przez podwórze w stronę stajni i Tilly musiała biec, żeby dotrzymać jej kroku. Widać już było Micka ściągającego lejce. Elizabeth potknęła się na kamieniu i głowa chłopca zsunęła jej się z ramienia. Podtrzymała go i wyprostowała się.

— Nie trzeba. Proszę cię Tilly, boję się, że coś się tam może stać. Mary pojedzie ze mną.

Mary od razu wdrapała się na wózek i wzięła od Elizabeth bezwładnego Franceya.

— Przynajmniej pozwól, że dam wam parę płaszczy. Mary przeziębii się na śmierć i Francey też.

Elizabeth zebrała lejce i cmoknęła na konia, a Tilly pobiegła w stronę domu. Dopadła wózka, kiedy Elizabeth skręcała z bramy na drogę, i rzuciła na nich stertę płaszczy i koców.

— Nie martw się, zajmiemy się wszystkim. Niech Bóg ma cię w swojej opiece. Będziemy się modlić.

Elizabeth nie usłyszała ostatnich słów. Zacięła konia batem. Nie kierował nią strach, lecz instynkt: musiała znaleźć pomoc dla syna.

Nie miała wiele doświadczenia w powożeniu, ale знаła tego konia z kilku poprzednich wypraw z Tilly. Jechała tak szybko, jak pozwalała jej kręta droga. Doktor mieszkał w odległym o dziesięć mil Castletownberehaven, ale Elizabeth liczyła na to, że kanonik, posiadacz samochodu, nie opuścił jeszcze Castleclough.

Balsamiczny wieczór przemienił się w łagodną, jasną noc.

— Wszystko z nim w porządku? Sprawdź, czy oddycha.

Mary siedziała na podłodze wozu, opierając się plecami o drewniane siedzenie. Zawinawszy się w jeden z kocy Tilly mocno tuliła brata do siebie. Nachyliła ucho do jego ust.

— Tak, oddycha.

— Naprzód koniku! — rzuciła Elizabeth.

Koń zastrzygł uchem i przyspieszył kroku. Dwukrotnie przejeżdżali obok ludzi wracających z potańcówki, ale Elizabeth nie zwracała uwagi na to, kogo mijają ani jakie robi wrażenie. Nic ją to nie obchodziło.

Ku jej nieopisanej uldze riley kanonika stał jeszcze naprzeciwko sali tanecznej a on sam dyskutował nieopodal z Jimmym Deeneyem i jego żoną. Wszyscy troje odwrócili się do nadjeżdżającego wózka. Zignorowała ich zdumione spojrzenia. Kazała Mary nie ruszać się z miejsca, a sama dopadła do nich wielkimi krokami.

— Przepraszam za kłopot, księżo kanoniku, ale mieliśmy w domu mały wypadek i koniecznie muszę zawieźć syna do lekarza w Castletown.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegła do wózka i wspięła się po Franceya. Ksiądz i Jimmy podążyli za nią i pomogli zdjąć chłopca. Deeney wziął go na ręce, a kanonik pobiegł do samochodu

i zaczął kręcić korbą. Elizabeth nie spytała nawet, czy Mary może im towarzyszyć, tylko wepchnęła ją przed sobą na siedzenie. Silnik zbudził się do życia. Deeney obiecał, że zajmie się koniem.

Później zimno robiło jej się na myśl, jak okropnie musiała wyglądać i jak rozstawiła po kątach straszliwego kanonika. Za nic nie mogła sobie przypomnieć ostatniego etapu szaleńczej podróży do Castletownberehaven. Mary, oddając sprawiedliwość księdzu opowiadała potem, że gnał niczym opętany, ścinając zakręty i trąbiąc na cienie pojawiające się w słabym blasku reflektorów.

Dla skulonej na tylnym siedzeniu Elizabeth, świat skurczył się do jednego punktu. Trzymała syna przy piersi i starała się przekazać mu swoją własną wolę życia. W pewnej chwili drgnęły mu powieki, ale nie reagował na głos i szybko znów stracił przytomność.

Doktor, w pizamie i szlafroku, natychmiast zaniósł Franceya do gabinetu.

— Poważna rana — powiedział. — Założę szwy, ale trzeba pojechać do szpitala na prześwietlenie, może być złamanie. Co się stało?

Elizabeth, świadoma obecności kanonika, odrzekła, że chłopiec pośliznął się na podłodze i uderzył głową w kamienną podłogę.

— Rozumiem — powiedział z namysłem.

Wiedziała, że nie uwierzył w ani jedno słowo. Otuliła się szalem.

— Którą częścią głowy uderzył?

— Chyba tyłem.

— Aha, chwileczkę...

Zniknął za zasłonką i przyniósł tackę z instrumentami. Elizabeth odwróciła oczy, kiedy lekarz golił okolice rany i nakładał szwy.

— Będzie się trzymać. Stan jest zadowalający. Niech się pani nie martwi. Ubiorę się i wyprowadzę samochód. Pewnie potrzebuje pani okrycia, zaraz zawołam żonę...

Zwrócił się do kanonika siedzącego pod drzwiami gabinetu.

— Jedziemy do Cork. Może ksiądz odwiedzić córkę pani Scollard do Lahersheen?

— Oczywiście. Jeżeli nie jesteśmy już potrzebni, to pojedziemy od razu. Proszę się nie martwić, pani Scollard. Dzieci to wytrzymałe stworzenia. Bóg czuwa nad pani synem.

— Nie wiem, jak mam dziękować...

— Głupstwo — przerwał jej. — Chodź, Mary. Może żona doktora dałaby pani także kapelusz?

Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, co stało się z jej włosami. Nie przejęła się jednak.

— Jeszcze raz dziękuję, księżę kanoniku. A ty, Mary, zachowałeś się wspaniale, jestem z ciebie dumna.

Oczy dziewczynki nabiegły łzami, ale się opanowała. Mimo koca Tilly zarzuconego na ramiona cała się trzęsła.

— Jedź, kochanie, i nic się nie bój. Tilly i Mick są na miejscu. Nic więcej się nie stanie.

— Tak mi przykro, Lizzie — szepnęła Mary po raz pierwszy nie nazywając jej mamusią. — Twoje piękne włosy, Francey...

— Dzielna dziewczynka. Kocham cię. Kocham was wszystkich. Jedź z kanonikiem. Wkrótce się zobaczymy.

Mary uściskała ją, a potem w ślad za duchownym opuściła gabinet.

Parę minut później, w za małym ubraniu i chustce okrywającej oszpecone włosy, szła do samochodu za doktorem niosącym Franceya. Głowa chłopca spoczywała w konstrukcji z bandaży i desek. Lekarz położył go na tylnym siedzeniu. Elizabeth wcisnęła się koło syna. Chciała trzymać go za rękę, ale nie mogąc dosięgnąć, zadowolili się chudziutką łydką.

Przez długą, koszmarną podróż doktor zatrzymywał się parę razy, żeby badać Franceya, który na krótki moment znów otworzył oczy.

Od Cork dzieliło ich jeszcze sto mil. Godziny mijały, a Elizabeth walczyła z narastającą paniką. Cały czas mówiła do syna, jakby siłą woli mogła zmusić go do życia. Pewna, że lekarz nie słyszy jej przez ryk silnika, opowiadała mu o piłce nożnej, o własnym dzieciństwie w Cork, o nadziejach, jakie żywili wobec niej rodzice, o Idzie Healy i innych przyjaciółkach ze szkolnych lat.

Oparła czoło o jego gołą nóżkę i obiecywała, że zapewni mu bezpieczeństwo, że Neeley Scollard nigdy więcej nie tknie żadnego z nich palcem. Opowiedziała mu swój niezwykły sen, opisując kolory i uczucia. Kreśliła przed nim wizję cudownej planety, którą musi zobaczyć i poznać. Wyjawiała mu nawet radosny moment poczęcia i urodę jego prawdziwego ojca.

Przypomniały jej się słowa franciszkanina: „Będiesz dzielna. Dziecko da ci odwagę...” Wtedy ciąża stanowiła dla niej źródło lęku, a nie radości...

Z czołem wspartym o woskową skórę syna modliła się jedynymi słowami, które zdawały się na miejscu: „Wielbi dusza moja Pana...”

Uniosła głowę i spojrzała na niego. W ciemności samochodu blada buzia i głowa w białych bandażach wyglądała jak nie z tego świata.

Dokonała olbrzymiego aktu wiary w upór duszy Franceya i swojej własnej. Wpatrując się w niego, budowała most, przez który pragnęła go przenieść. Wyszepiała następne słowa modlitwy.

— Franceyu, Franceyu nie odchodź, zmierzasz donikąd, zostań ze mną. ...*I rozradował się duch mój w Bogu Zbawicielu moim, bo wejrzał na uniżoność służebnicy swojej. Oto bowiem błogosławioną zwać mnie będą wszystkie pokolenia...*

Po raz pierwszy od strasznych wydarzeń w domu łzy napłynęły jej do oczu, ale zmusiła się, żeby patrzeć na syna:

— Słyszysz mnie, skarbie? ...*Bo wielkie rzeczy uczynił mi wszechmocny i święte jest imię jego. A miłosierdzie jego z pokolenia w pokolenie...*

Załamana się i nie mogła już dalej mówić. Skupiony na kierownicy doktor usłyszał jej łkania.

— Wszystko w porządku? — zawołał przez ramię.

— T-tak — wyjąkała.

— Już niedługo, ze dwadzieścia minut. Co z nim? Jakież zmiany?

— Nie sędzę, panie doktorze.

Kiedy wreszcie zatrzymali się przed szpitalem miłosierdzia, Elizabeth trzęsła się z napięcia i zmęczenia. Z ulgą oddała syna w ręce pielęgniarek. Chciała podążyć za nimi, ale jedna z siostr powstrzymała ją.

— Badanie potrwa kilka minut, wtedy będzie pani mogła do niego pójść.

Zaprowadziła ją do małej poczekalni.

— Biedactwo! Zaraz przyniosę pani coś ciepłego do picia.

Herbata zajęłaby za dużo czasu, ale mam odrobinę irela. Może być?

Zostawiła ją samą. Elizabeth opadła na ławkę. Teraz, kiedy przejęto od niej kontrolę, z całą wyrazistością wróciły do niej wszystkie wydarzenia w domu. Siostra wracająca z tacą zastała ją skuloną, z drżącymi ramionami. Usiadła obok.

— Niech się pani nie martwi. Przychodziło tu wielu, cali we krwi, a następnego dnia siedzą na łóżku i domagają się śniadania. Dzieci są niespożyte, proszę mi wierzyć.

Otoczyła Elizabeth ramieniem, strącając jej niechcący chustkę.

— Jezus Maria, Józefie święty! Co pani zrobiła z włosami?

— Nic.

Elizabeth szybko naciągnęła chustę. Młoda siostra nie pytała więcej. Napełniła dwa kubki irelem i bez pytania dodała cukru i mleka.

— Mam teraz przerwę. Każdy pretekst jest dobry.

— Co oni mu robią? — spytała Elizabeth popijając ciepły płyn, który, według jej smaku, mógł być zarówno owocowym winem, jak grzaną whisky.

— Zdaje się, że zdjęcie rentgenowskie. Założę się, że wszystko będzie w porządku. Wygląda na kawał zdrowego dzieciaka. Ile ma lat? Z osiem?

— Nie, za parę dni skończy sześć.

— Duży jak na swój wiek, prawda pani Scollard? — powiedziała, nie patrząc na nią. — Wiem, że to nie moja sprawa, ale czasami dobrze się wygadać.

Elizabeth zawahała się. Bardzo chciała zrzucić z siebie ten ciężar, ale powstrzymała ją duma. W żadnym razie nie może nikogo wtajemniczać.

— Dziękuję, siostrze, ale nic mi nie jest. Martwię się o syna.

Pielęgniarka przyjrzała jej się uważnie i zaproponowała ostrożnie:

— Chciałaby pani, żebym doprowadziła jej do ładu włosy? W domu strzygłam wszystkie dzieci.

Elizabeth zrozumiała, że wygląda bardzo źle i rzuca się w oczy.

— Dziękuję — powiedziała po prostu.

Siostra wyszła i po chwili przyniosła ręcznik, nożyce i torebkę, z której wyjęła grzebień. Zamknęła drzwi od środka.

— To niczyj interes. Proszę usiąść bokiem na ławce.

Elizabeth usłuchała i w parę minut było po wszystkim.

— Nie mam lusterka, ale może mi pani wierzyć, że teraz wygląda przyzwoicie. Jakie piękne włosy.

Przypomniał jej się komplement Daniela i niemal się rozpląkała. Nie zdawała sobie sprawy, ile znaczyły dla niej włosy zapuszczane od dzieciństwa.

— Odrosną — pocieszyła ją pielęgniarka zamiatając podłogę. — Niech pani stosuje dużo olejku z dorszowych wątróbek. Lepiej otworzę już drzwi. Dobrze się pani czuje?

— Tak, dziękuję siostrze.

— Nie ma za co. Od tego tu jestem. Może coś jeszcze? Chciałaby pani zobaczyć się z kapelanem?

— Nie — odparła z trochę za dużym naciskiem, więc poprawiła się natychmiast: — Nie teraz.

— W porządku. Pójdę zobaczyć, co dzieje się z pani synem. Ma na imię Francis?

— Francey.

— Zaraz wracam.

Uśmiechnęła się ciepło.

Elizabeth w roztargnieniu dopiła wystygniętego iredla. Za drzwiami słyszała przytłumione dźwięki: szum spuszczonej wody i szelest habitów. Szpital prowadziły zakonnice, co dało się zauważyć nawet w poczekalni; krucyfik, obrazy Najświętszego Serca i Matki Boskiej z Lourdes, błyszczące podłogi i równo ustawione ławki dawały poczucie spokoju i ładu.

Zamknęła oczy i postanowiła zachować spokój. Histeria nic nie pomoże. Kiedy Francey się ocknie, będzie jej potrzebował.

Drzwi się otworzyły i weszła młoda pielęgniarka w towarzystwie doktora z Castletownbere. Z niepokojem spojrzała lekarzowi w oczy i zatoczyła się na ławkę, kiedy oznajmił, że Francey odzyskał przytomność.

— Dobre wieści, pani Scollard. Chłopiec jest tylko nieco rozkojarzony, co nie ma w tej chwili większego znaczenia. Zobaczmy, jak się sprawy potoczą. Za chwilę może pani do niego iść.

Minęła jednak cała godzina, zanim Elizabeth ze ściśniętym sercem usiadła przy łóżku syna. Zdjęcia wykazały pęknięcie czaszki, więc częściowo ogoloną głowę unieruchomiono mu w czymś w rodzaju metalowej klatki. Nic nie pozostało z jego wielkości i siły: wydawał się teraz bezbronny

i maleńki. Miał zawroty głowy, na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Pielęgniarki zaglądały do niego co dziesięć minut.

Kiedy ocknął się ponownie, słońce zaglądało już przez okna, a na oddziale krzątano się podając śniadanie.

— Mamusiu? — przemówił po raz pierwszy od wypadku.

Wzięła go za rękę.

— Jestem tu, skarbie. Wszystko dobrze. Leżysz w szpitalu w Cork, ale szybko wydobrzejesz.

Próbował usiąść, ale klatka powstrzymała go. Elizabeth dojrzała w jego oczach panikę i przysiadła na łóżku, żeby go pocieszyć.

— Uderzyłeś się w głowę, skarbie, i nie wolno ci się ruszać, póki się nie zagoi.

— Chcę do domu.

Oczy wezbrały mu łzami, a jego strach udzielił się matce.

— Teraz nie możesz. Musisz tu zostać i wyzdrowieć.

— Chcę do domu, mamusiu! — krzyknął z narastającą paniką i z bolesną siłą zacisnął jej rękę na szyi.

— Musisz być dzielny. Jak Robin Hood. On na pewno też się bał, ale nie chciał tego okazać swojej wesołej kompanii...

Słowa nie odniosły skutku i malec zaczął rozziewając płakać. Podbiegła jedna z pielęgniarek.

— Cicho, Franceyu — powiedziała. — Przeszkadzasz innym chorym, oni też muszą wydobrzeć. Chcesz mleka?

Nie udało się go przekupić ani prośbą, ani groźbą. Płacz przeszedł w histerię i mimo krępujących go opatrunków, chłopiec zaczął się rzucać. Siostry przestraszyły się, że robi sobie krzywdę.

Zakonnica podeszła do łóżka.

— Niech pani lepiej wyjdzie, pani Scollard — rzekła stanowczo. — Uspokoi się, jak nie będzie pani widział. Damy sobie radę.

— Nie mogę go zostawić!

Wstrząśnięta Elizabeth sama znajdowała się na granicy histerii.

— Proszę mi wierzyć, tak będzie lepiej. Siostra próbowała ująć ją za ramię.

— Nie pójdę!

Kiedy Francey zorientował się o co chodzi, wyciągnął rękę.

— Nie odchodź, mamusiu, proszę nie zostawiaj mnie! Boję się! Boję się, mamusiu.

— Proszę iść, pani Scollard. Nic mu się nie stanie.

Zakonnica wzmocniła uścisk i wyprowadziła ją z oddziału. Elizabeth dostrzegła jeszcze przez ramię, jak młoda pielęgniarka przytrzymuje wrzeszczącego Franceya.

— Mamusiu! Mamusiu!

Krzyki towarzyszyły jej na korytarzu i nie umilkły, nawet kiedy siostra wprowadziła ją do małego biura i zamknęła drzwi.

Elizabeth, łkając, opadła na krzesło.

— Pani Scollard! — zawołała zakonnica przykucając obok. — Za chwilę wszystko się uspokoii. Nic mu nie będzie. Proszę.

Wyjęła z habitu białą chusteczkę.

— Niech pani grzecznie wydmucha nos i weźmie się w garść.

— Nie mogę... się powstrzymać.

Czuła się, jakby znów miała piętnaście lat i wróciła do szkoły. Posłusznie wykonała polecenie.

Siostra pogłaskała ją po rękę, a potem uściśnęła za ramię.



— Proszę posłuchać. Nie mówiłam? Już się uspokoił. Wiem, że pani ciężko, ale on wydobrzejże szybciej, niż się pani spodziewa.

Elizabeth wstrzymała oddech. Rzeczywiście, krzyki umilkły i znów dochodziły do niej tylko zwykłe dźwięki szpitalne. Zakonnica podniosła się.

— No już. Ciężka noc za panią. Co teraz? Czy ma pani dokąd pójść?

Elizabeth nasłuchiwała.

— Pani Scollard? — ponagliła ją.

— Nie zastanawiałam się nad tym. Nad niczym... — odpowiedziała wreszcie.

— Doktor Troy musiał wracać do Castletownbere, ale prosił, żeby zadzwonić do niego, jeśli mógłby w czymś pomóc. Moim zdaniem potrzeba pani przede wszystkim snu. Czy ma pani jakichś krewnych w mieście?

— Rodziców.

Poczucie, że ktoś się nią zajmuje, przyniosło ulgę.

— Mają telefon?

— Tak.

— No to załatwione. Jaki numer?

Po minucie rozmawiała z zaspanym ojcem, który odrzekł, że przyjedzie po nią za piętnaście minut. Nie wdawała się w wyjaśnienia.

Siostra rzuciła jej jeszcze parę słów pociechy i poszła do swoich zajęć. Elizabeth przemierzała niespokojnie mały pokój, z trudem powstrzymując się, żeby nie wrócić do Franceya. Otworzyła cicho drzwi i wyjrzała na korytarz. Nikogo. Pospiesznie przemknęła pod drzwi oddziału. Stała. Może zakonnica miała rację? Może jej widok zdenerwowałby go na nowo? Zerknęła ostrożnie przez szybę.

Francey leżał w środku rzędu na drugim końcu sali. Przez metalową konstrukcję na głowie nie dało się dojrzeć jego twarzy, ale widziała, jak szarpie za pościel, która spowijała go jak mumię.

Odeszła powoli ze ściśniętym sercem.

Czekała na ojca przy głównym wejściu.

— Elizabeth! — zawołał, idąc ku niej spieszenie. — Co zastraszne zdarzenie. Jak to się stało?

Przytulił ją, ale potem odsunął i przyjrzał się uważnie.

— A tobie co się stało? Okropnie wyglądasz. I obcięłaś włosy.

— Umieram ze zmęczenia, tato. Później wszystko ci wyjaśnię.

— Nie miała siły mówić, zresztą nie zdecydowała jeszcze, jak i ile wyjawić rodzicom. Pierwszy raz poczuła wdzięczność za flegmatyczne usposobienie ojca. St John nie pytał o nic więcej i w milczeniu zabrał ją do domu.

\* \* \*

Sześć godzin później obudziła się w swojej sypialni na strychu. Słońce padało wprost na łóżko i przez parę chwil Elizabeth wygrzewała się w nim, wyspana i wypoczęta. Wtem przypomniała sobie, dlaczego się tu znalazła i skoczyła na równe nogi. Ze wstydem spojrzała na wymięte ubranie doktorowej; idąc spać nie miała już siły się rozebrać. Nie zdąży oddać go do prania: musi odwiedzić Franceya, a potem jak najszybciej wracać do Lahersheen.

Kiedy spała, ktoś przygotował dla niej ręczniki, przybory toaletowe i czyste rzeczy: sukienkę, bluzkę, sweter i bieliznę. Okazało się, że wszystko nosi jeszcze metki od Casha. Najwyraźniej matka zrobiła dla niej zakupy. Ten gest trochę ją rozkleił. Poszła szybko do łazienki, żeby zmyć z siebie wszystkie przeszłe i przyszłe okropności.

Przebrała się. Tylko spódnica okazała się trochę za luźna, wszystko inne pasowało znakomicie. Corinne nie straciła gustu.

Zastała matkę w salonie, siedzącą na krześle przy oknie, o dziwo, w całkowitej ciszy; zwykle przez cały dzień grało radio. Elizabeth zauważyła, że i teraz nie zostało wyłączone, więc widocznie Corinne przykręciła głoś.

— Dzień dobry, mamó.

Przeszła przez pokój i ucałowała pachnący policzek.

— Dziękuję za ubranie. Leży doskonale, jak zwykle trafiłaś w dziesiątkę.

Corinne spojrzała na nią pytająco.

— Elizabeth! Co się dzieje?

— Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić.

Pożałowała, że nie ugryzła się w język. Zwykła samodzielność zniknęła i Elizabeth gorąco zapragnęła matczynej opieki. Ale szansa umknęła.

Corinne nie odwracała niebieskich oczu.

— Przynajmniej powiedz, co stało się Franceyowi. W końcu to mój wnuk.

— Upadł i uderzył się w głowę.

— Tyle wiem od ojca. W jaki sposób upadł?

— No wiesz, poślizgnął się...

— W środku nocy? A, przy okazji, skąd wzięłaś to okropne ubranie, Beth?

— Tak, w środku nocy. To okropne, jak mówisz, ubranie pożyczyła mi uprzejma żona doktora Troya.

Corinne wstała z krzesła.

— Rozumiem. Nie wierzę w to, co mówisz o Franceyu.

Podeszła do radia, stojącego na narożnym stoliku. Pokręciła gałką i ciche, zagłuszone świstami dźwięki walca Straussa wypełniły pokój.

— Może się mylę, ale brzmi to bardzo podejrzanie. Nie chodzi tylko o Franceya. Ty także strasznie wyglądasz. Nie tylko ta wołająca o pomstę do nieba fryzura, ale twoja twarz... Wyglądasz, jakbyś wróciła z wojny. Czemu nie powiesz mi prawdy?

— Bo sama mnie tam wysłałaś!

Elizabeth zasłoniła ręką usta, ale nie dało się już niczego cofnąć.

— Rozumiem.

Patrzyły na siebie, a powietrze zgęstniało od wzajemnej niechęci. Elizabeth zrobiło się zimno.

— Przepraszam, mamó...

Próbowała coś naprawić, ale Corinne powstrzymała ją ruchem ręki.

— Nie trudź się, Beth. Nigdy cię nie rozumiałam i pewnie już nie zrozumiem.

Zmęczenie i stres popchnęły Elizabeth do długo odkładanej konfrontacji.

— To nie ma nic wspólnego ze zrozumieniem, nie sądzisz? — wybuchnęła. — Ale skoro już rozmawiamy, do czego nigdy przedtem nie doszło, chcę, żebyś dowiedziała się, co myślę o tym małżeństwie, które dla mnie zgotowaliście.

— Zrobiliśmy to dla...

— Nieprawda, mamó — przerwała jej. — Nie zrobiliście tego dla mojego dobra. Zrobiliście to dla siebie. Dla twoich wieczorków brydżowych i dla znajomych taty.

Corinne bawiła się perłami przy szyi.

— To nie tak...

— Proszę, mamó, nie traktuj mnie przynajmniej jak głupiej.

— Czy kiedykolwiek odmawialiśmy ci czegoś. Beth?

— W sensie materialnym zapewne nie.

Postąpiła krok do przodu, zaciskając pięści. Słowa padały z jej ust niczym kamienie.

— Ale nie daliście mi jednej rzeczy, której potrzebowałam bardziej niż czegokolwiek. Niepodzielnej uwagi. Mamo! Dziwisz się, że wpadłam w ramiona pierwszego napotkanego mężczyzny, który okazał mi sympatię?

Corinne cofnęła się z pałającą twarzą.

— To nie w porządku!

— Może i nie, ale czy to w porządku, że mając dwadzieścia sześć lat jestem matką siedmiorga dzieci?

— Ja... ja... — próbowała krzyknąć Corinne.

Widok jej cierpienia uśmierzył trochę gniew Elizabeth. Za długo czekała jednak na tę chwilę, by teraz pozwolić matce się wymknąć.

— Mimo wszystkich wad Neeleya — mówiła starając się panować nad głosem — jako rodzic nie dorastasz mu do pięt.

Matka usiadła ciężko na krześle. Zwinęła ręce na podolku i wyprostowała się.

— Posunęłaś się za daleko.

— Tak? — krzyknęła z furią Elizabeth. — Doprawdy? Trochę odwagi, mamo. Jestem twoim jedynym dzieckiem ale skazałaś mnie na wygnanie, żeby nie stawić czoła znajomym.

— Beth, Beth...

Zakryła twarz dłońmi, na których Elizabeth po raz pierwszy dojrzała starcze zmiany. Zrobiło jej się żal matki, bo z pewnością ciężko przeżywała utratę młodości.

— Muszę iść, mamo. Muszę zobaczyć się z Franceyem i natychmiast wracam do Lahersheen. Nie wiem, co na mnie czeka, ale jadę, bo tam są moje dzieci i jego dzieci, które kocham równie mocno. Wszystkie mnie potrzebują, teraz może bardziej niż kiedykolwiek.

Zawahała się między litością a potrzebą dokończenia tego, co zaczęła.

— Masz rację, że nie wierzysz w moje kłamstwa co do zeszłej nocy.

Corinne podniosła głowę i wyglądała tak żałośnie, że Elizabeth trudno było mówić. Nie mogła jednak przerwać.

— Przykro mi, że cię ranię, ale od tak dawna chciałam ci o tym powiedzieć... Jeszcze tylko jedna rzecz i zostawię cię w spokoju. Niech ci się nie zdaje, że nie ponosisz odpowiedzialności za to, co Neeley zrobił twojemu wnukowi i, przypadkowo, mnie.

Corinne wzięła długi, drżący oddech. Chciała coś powiedzieć, ale Elizabeth podbiegła i przytrzymała jej ramiona.

— Nie trudź się, mamo. Już wszystko z siebie wyrzuciłam i teraz wydaje mi się, że to ja stchórzyłam. Powinłam była zdobyć się na to wcześniej.

Nie triumfowała. Widząc łzy płynące po upudrowanej twarzy matki, poczuła się pusta i bardzo smutna. Pukiel jasnych włosów wymknął się z francuskiego warkocza Corinne i Elizabeth wsadziła go na miejsce.

— Przepraszam, mamo, naprawdę mi przykro.

Obydwie wiedziały, że te przeprosiny dotyczą czegoś więcej niż ostatnich paru minut.

— Och, Beth...

Wyglądało, że chce objąć córkę za szyję, ale nie udało jej się przewyciężyć odwiecznej rezerwy. Opuściła bezwładnie ręce.

— Już dobrze, mamo. Rozumiem.

Elizabeth pocałowała ją w policzek i poszła w stronę drzwi. Emocje opadły.

— Bardzo dziękuję za ubrania. Nie tylko te, które mam na sobie, ale wszystkie, jakie przysyłałaś dla mnie i dzieci. I za pieniądze, które dostałam od ciebie i taty na remont domu. Nie myśl, że nie jestem za to wdzięczna. Pewnie na swój własny sposób zrobiłaś, co mogłaś.

Corinne siedziała na środku słonecznego pokoju niczym ładnie ubrany manekin, porzucony przez dekoratora wystaw.

— Przykro mi — powtórzyła Elizabeth, zanim wyszła — ale nie pieniędzy od ciebie potrzebowałam.

\* \* \*

Wieczorem ojciec odwiózł ją na Béara. Wstrząsy, które przeszła, sprawiały jej niemal fizyczny ból. Do wyrzutów sumienia za atak na matkę i rozpacz z powodu opuszczenia Franceya dołączył także strach przed tym, co czeka ją w domu.

Wydawało się, że St John wyczuwa ten nastrój, bo przez całą drogę nie zadawał kluczowych pytań i nie wciągał jej w poważne rozmowy, za co była bardzo wdzięczna. Choć nie miała wątpliwości, że Corinne z niczego mu się nie zwierzyła, zastanawiała się czasem, ile się domyślał. Niemniej taktowna cisza znaczyła więcej od zaspokojenia ciekawości. Miała inne kłopoty.

Zajechali dobrze po zapadnięciu zmroku. Dom spowijały ciemności, co zwiększyło jej niepokój.

Pchnęła drzwi. Nad kominkiem pełzało światełko parafinowej lampy, Neeley spał obok wygasłej kuchni. Nie było śladu dziecka.

Dwoma krokami przemierzyła kuchnię.

— Neeley! Neeley! — wołała potrząsając go za ramię. Gdzie Abigail?

— Co...

Podniósł na nią nieprzytomne przekrwione oczy. Zauważyła, że się nie golił.

— Pytam, gdzie Abigail? — powtórzyła szorstko.

— U Harringtonów... — zaczął i w tej chwili dojrzał sylwetkę St Johna.

Zerwał się na nogi.

— Pan Sullivan!

— Wejdz, tato. Rozłóżysz wersalkę? — rzuciła pytanie w przestrzeń ponad głową Neeleya. — Tata zostaje na noc.

Na widok męża jej gniew zapłonął jak słomiana strzecha.

— Gdzie dzieci? — zajrzała do ich pokoju i przekonała się, że śpią spokojnie.

Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Nie chciała, żeby dziewczynki usłyszały, co ma do powiedzenia. Odwróciła się do Neeleya, trzęsąc się ze złości. Nie dbała już, ile ojciec wie.

— Nie masz zamiaru zapytać o Franceya?

Podkręciła płomień lampy.

— Witam, panie Sullivan. Jak on się ma? Jest w samochodzie?

— Mógł umrzeć — powiedziała obcesowo.

Ojca zatkało, a ona stanęła naprzeciw męża.

— Ma pękniętą czaszkę, oto jak się ma. Założyli mu na głowę metalowe urządzenie i teraz nie może się ruszać.

Płomień lampy poruszył się w przeciągu, rzucając cień na przerażone oczy Neeleya.

— Beth, z pewnością...

Ojciec wystąpił do przodu.

— Tato — przerwała mu. — To sprawa między mną a Neeleyem.

Zniknął przymus ukrywania domowych kłopotów, a obecność ojca jeszcze ją ośmieliła. Patrząc mężowi prosto w oczy, mówiła do ojca:

— Na pewno domyśliłeś się, że zeszłej nocy nic nie stało się przez przypadek. To Neeley złamał Franceyowi czaszkę. I jeszcze jedno: to on zabawił się w fryzjera.

Zniżyła głowę, jak tygrysica czająca się na sarnę.

— Jeszcze nie podjęłam decyzji, czy zawiadomię policję. To będzie zależało od tego, jak będzie się czuł Francey.

Wiedziała dobrze, że policja rzadko wtrąca się do rodzinnych sprzeczek, ale miała ochotę nastraszyć go i zapewnić ochronę reszcie dzieci.

Nie oczekiwała jednak tak drastycznej reakcji. Neeley wydał z siebie ni to ryk, ni szloch i złapał za parafinową lampę, pierwszą rzecz, jaka nawinęła mu się pod rękę. Podniósł ją i cisnął o przeciwległą ścianę. Klosz rozprysnął się na setki kawałków, a rozlana parafina zapaliła się, płynąc rowkami kamiennej podłogi jak niebiesko-żółta rzeka.

St John zdarł z siebie marynarkę. Rzucił ją na płomień i zdeptał, po czym podniósł lampę i postawił ją na krześle. Swąd spalenizny rozszedł się po kuchni.

Po sekundzie Neeley wybiegł z kuchni trzaskając drzwiami. Elizabeth i ojciec popatrzyli na trzęsącą się framugę.

— Od jak dawna tak to wygląda? — spytał St John spokojnym głosem.

Elizabeth wzięła się za zmiatanie szklanych okruchów. Znowu czuła się pusta i wyczerpana. Ogarniało ją niewyobrażalne zmęczenie.

— Szczerze mówiąc, tato, nie tak znowu długo. Nie chcę przesadzać. Ostatnio zrobił się bardzo wybuchowy.

— Rzeczywiście celowo zranił Franceya?

Elizabeth wyczuła formalny, prawniczy ton.

— Tak. Ale w trakcie kłótni.

— Kłócił się z tobą?

— Tak. Francey skoczył mu na plecy. Pewnie chciał mnie bronić. Rozumiesz, że działo się dużo rzeczy naraz. Neeley nie mógł go strząsnąć i z rozmysłem rzucił się tyłem na ścianę.

— I obciął ci włosy?

— Tak.

— Możesz go zaskarżyć, Beth, bez dwóch zdań. Jeśli potrzebujesz świadków, to osobiście widziałem...

— Proszę, tato, jutro. Nie mam już siły myśleć.

Oparła się o szcztokę.

— Gdybym wiedział... gdybyśmy wiedzieli... — mówił uderzając dłonią w zwiniętą pięść.

— Trochę na to za późno — odrzekła, starając się ukryć gorycz.

Tak czy inaczej, nie miało to już znaczenia. Nieważne, że martwi się o Franceya, nieistotne, że Neeley znowu może wrócić pijany. Najważniejsze, żeby natychmiast pójść spać. Kolana się pod nią ugięły.

Ojciec spostrzegł to.

— Zaprowadzę cię do łóżka, Beth.

Otoczył ją ramieniem.

— Zrobisz coś dla mnie, tato? — zapytała wsuwając się w ubranie pod kołdrę.

— Co tylko zechcesz.

— Zostań w tym pokoju.

Zasnęła, zanim usłyszała odpowiedź. Nie zobaczyła, jak ojciec schował głowę w dłoniach i zapłakał jak dziecko.

## ROZDZIAŁ 13

Neeley wybiegł z domu. Bezwiednie ruszył w dół stoku, w stronę odległych o pół mili rozstajów. Szedł bardzo szybko i ciężko dyszał. Stał jak wryty, usłyszawszy głosy dwóch sąsiadów rozmawiających przy furtce. Zawrócił na pięcie i minawszy dom ruszył pod górę. W miejscu, w którym droga skręcała w stronę morza, zszedł na ścieżkę wijącą się po niższym zboczu Knockameala.

Niebo było usiane gwiazdami. Księżyc, dwa dni przed pełnią, zawisł nisko nad górami, jakby wstydził się swego nieokreślonego kształtu. Neeley nie dostrzegał jego uroku, wiedział tylko, że światło razi go w oczy. Nie zwalnając kroku podniósł kamień i dołożył go na szczycie mijanego kopca.

Kilka minut później przysiadł na płaskiej skale, żeby złapać oddech. Lekki wiaterek przyniósł stłumiony huk morza, ale Neeley nie zauważył ani tego, ani oddalonego naszczekiwania psów i pisku królików padających ofiarą nocnych drapieżców. Sam Neeley zastawiał tu czasem sidła, kiedy brakowało mu pieniędzy, a własne bydło nie nadawało się jeszcze do uboju.

Siedział z rękami wspartymi o kolana, pogrążony w rozpacz i równie nieruchomy jak kamienny stos. Ze swego miejsca nie widział domu, jedynie światło w oknie nauczyciela w Derryconnla, ponad dwie mile stąd.

Wtem, mimo zmartwienia, wprawne ucho wychwyciło obce dźwięki. Wyprostował się. Znowu dobiegł go suchy, metaliczny odgłos, tak cichy, że nikt, kto się tu nie wychował, nie zwróciłby na niego uwagi.

— Kto tam? — zapytał ostro.

Cisza.

— Kto tam?! — powtórzył wstając.

Po północnej stronie, nad jego głową pojawiła się wysoka sylwetka, odcinająca się wyraźnie na tle nieba, a światło księżyca odbiło się od lufy strzelby.

\* \* \*

Kilka minut później St John drzemiący na krześle, ustawionym u wezglowia córki, wyprostował się nagle. Ktoś strzelał? Dźwięk nie powtórzył się jednak.

St John spojrzał na bladą buzię śpiącej Beth i podszedł cichutko do łóżka. Poprawił zsuniętą kołdrę, otulając jej plecy i tył ostrzyżonej głowy.

\* \* \*

Mossie Sheehan, który nocą zastawiał sidła na Knockameala, stał nad zakrwawionym ciałem Neeleya Scollarda. Koło zdruzgotanej czaszki leżała strzelba.

Mossie schylał się właśnie nad pułapką po drugiej stronie wzgórza, kiedy usłyszał podniesione głosy. Poznał Neeleya i ruszył w jego kierunku, sądząc, że sąsiad może potrzebować pomocy. Podszedł na szczyt wzniesienia w samą porę, żeby usłyszeć i zobaczyć, co się stało.

Patrzył teraz na ciemną sylwetkę, zmykającą w dół zbocza niczym szczuty zając. Postać dobiegła do drogi i zniknęła za zakrętem.

Mossie pochylił się nad ciałem.

Na widok wyszczerzonych zębów i ciemnej, lepkiej masy, która jeszcze przed chwilą była ludzkim mózgiem, zrobiło mu się niedobrze. Zwymiotował za najbliższym krzakiem.

\* \* \*

Elizabeth budziła się powoli. Zalewające sypialnię światło słoneczne grzało tak mocno, że odrzuciła kołdrę. Spojrzała, że spała w ubraniu, a odwróciwszy głowę ujrzała przyczynę przebudzenia: Mary i Kathleen stały w drzwiach, patrząc na nią niepewnie.

— W kuchni jest dziadek Sullivan — powiedziała Kathleen. — Gdzie tata?

— Dziś niedziela — wtrąciła Mary. — Mam kazać wszystkim przygotować się do kościoła? Gdzie Francey? Jak się czuje?

Elizabeth uniosła się na łokciach. Dobrze spała, ale trochę kręciło jej się w głowie i dotarło do niej, że nie jadła nic solidnego od ponad dwudziestu czterech godzin.

— Przynieście mi kubek mleka i kromkę chleba, dobrze? — poprosiła opadając na poduszki. — Francey musiał zostać w szpitalu. Ma pękniętą czaszkę, ale wszystko będzie dobrze. Dziadek Sullivan przywiózł mnie wczoraj i zrobiło się zbyt późno, żeby od razu wracał.

— Gdzie tata? — powtórzyła Kathleen.

— Nie wiem, Kitty. Dopiero się obudziłam.

— A co z mszą? — zapytała Mary.

Żeby dostać się do kościoła, mieszkańcy Lahersheen musieli pokonać wzgórze do Ballycrovane, przepłynąć się łódką na drugą stronę zatoki Coulagh i iść jeszcze spory kawał. Elizabeth nie miała na to siły. Nie zniosłaby też współczujących spojrzeń i pytań, a potem szeptów za plecami. Nie wątpiła, że cała parafia wie już o wypadku Franceya z najdrobniejszymi szczegółami, barwniejszymi często od faktów. Z pewnością nieobecność na nabożeństwie nie przejdzie bez echa, ale niewiele ją to obeszło.

— Bóg wybaczy nam ten jeden raz — odrzekła przeciągając się. — Co z chlebem i mlekiem?

Dziewczynki poszły do kuchni, a ona odwróciła głowę do okna. Gdzie się podział Neeley? Czy wrócił w nocy, a potem znów wyszedł? Jeśli tak, to gdzie spał? Jego poduszka była gładka. W drzwiach zamajaczyła pulchna postać ojca.

— Dzień dobry. Odpoczęłaś trochę?

— Dzięki tatusiu. Wygodnie ci się spało na kanapie?

— Spałem tutaj — odpowiedział wskazując na kuchenne krzesło, stojące przy łóżku. — Prosiłaś mnie o to, pamiętasz?

Elizabeth przeraziła się. Znów próbowała się podnieść. Nie pamiętała takiej prośby.

— Tatusiu! Pewnie nie spałeś ani chwili!

— Nic mi nie będzie.

St John podszedł do łóżka i delikatnie ułożył ją z powrotem.

— Poleż jeszcze. Dziewczynki wszystkim się zajęły. Są cudowne, wiesz? To wspaniale o tobie świadczy.

— Sądzę, że także o ich matce — powiedziała, w ostatniej chwili powstrzymując się od dodania do tej listy imienia Neeleya. — Czy on jest w kuchni? — zapytała ostrożnie.

St John spuścił oczy.

— Chyba w ogóle nie wrócił, Beth. Na pewno bym go słyszał.

W tym momencie do sypialni przydreptała Johanna w nocnej koszuli. Wsunęła się do matki i z kciukiem w buzi przyglądała się nieśmiało dziadkowi. Elizabeth gładziła ją po głowce.

— Chcesz iść na mszę, tato? My nie idziemy, nie zniosłabym tego.

— Nie sądzę — odparł, sadwiąc się na krzesło.

St John był podporą bractwa kawalerów świętego Columbanusa w Cork, więc opuszczenie mszy stanowiło w jego wypadku rzecz niesłychaną. Elizabeth doceniła ten gest: chciał zostać w domu, na wypadek następnych kłopotów. Pomyślała, że rodzina to w życiu bardzo ważne. Dziewczynki przyniosły posiłek i nawet chleb wypieczony z ciemnej, wojennej mąki smakował nadzwyczajnie. Margaret wetknęła głowę do sypialni.

— Jest niedziela i dochodzi południe, a mamusia leży w łóżku w ubraniu? O, dzień dobry, dziadku Sullivan! Co się dzieje? Francey przyjechał z wami? Gdzie tatuś?

— Przyłącz się do nas, Maggie. Francey wydobrzeje, ale musiałam go zostawić w szpitalu. Jak tylko wszystko się uspokoi, to wrócę do niego.

Ziewnęła.

— Nie dam rady pójść dzisiaj na mszę. Odpoczniemy wszyscy.

Dopijając mleko, pomyślała, że z całego serca pragnie, aby jej słowa okazały się prorocze. Margaret usadowiła się na łóżku między siostrami.

— No i dobrze — powiedziała ściskając kolana.

Do pokoju weszła Goretti, przecierając zaspane oczy.

— Co się dzieje?

— Dziś odpoczywamy i nie idziemy na mszę — oznajmiła Margaret.

— Przecież to śmiertelny grzech — przeraziła się Goretti.

— Dzisiaj nie — odrzekła Elizabeth i wyciągnęła do niej rękę.

Goretti wspięła się na łóżko i po małej przepychance wszystkie dziewczynki usadowiły się wokół matki jak stadko szczeniąt.

Z kaplicy w Eyeries, wioski odległej o dwie mile, jeśli liczyć w linii prostej przez zatokę, doszedł dźwięk dzwonów wzywających na mszę, słodki i jasny jak brzęk łyżeczki w porcelanowej filiżance.

— Chyba wieje dziś wiatr od południa — zauważyła Elizabeth.

— No i co z tego — odpaliła Kathleen, rozpychając siostry łokciami.

— Zamknij się, Kitty — zgromiły ją dwie z nich.

Zapanował spokój, ale Elizabeth czuła wyraźnie, że beztroska zaraz się skończy. Będzie musiała opuścić przytulne gniazdko i stawić czoło kłopotom. Im dłużej myślała o wczorajszej scysji z Neeleyem, tym bardziej się bała. Lepiej szybko go znaleźć i ugłaskać, tak żeby mogła bezpiecznie zostawić z nim dziewczynki i wrócić do Franceya.

Nie chciała mącić ciszy. Ojciec stał bez ruchu przy oknie, wpatrując się w zalany słońcem krajobraz. Nawet gadatliwa Margaret uległa urokowi chwili i wsłuchiwała się w bicie odległych dzwonów. Za moment odezwała się jednak:

— Ładnie ci w takich włosach, mamusiu.

Mówiąc rozglądała się po siostrach, gotowa stłumić w zarodku czyjekolwiek odmienne zdanie.

Elizabeth pomyślała, że ojciec miał rację: to wspaniałe dziewczęta. Dochowanie lojalności musiało im ostatnio przychodzić z wielkim trudem.

— Dziękuję, Maggie — powiedziała cicho. — Nie bardzo się z tobą zgadzam, ale zobaczymy. Poza tym i tak odrosną... Co to?

Ktoś zapukał do drzwi.

— To pewnie pani Harrington z Abbie — odparła Mary, idąc otworzyć. — Powiedziała, że przyprowadzi ją z samego rana.

Za moment wróciła, blada jak kreda.

— Mamusiu, to do ciebie.

— Kto?



Elizabeth zwiesiła nogi z łóżka. Miała okropnie wygniecione ubranie. Mary nie odpowiedziała. Elizabeth serce podeszło do gardła. Francey. W nocy coś stało się z Franceyem. Naciągnęła sweter i pobiegła do kuchni.

W drzwiach zobaczyła sierżanta Guardy\* i księdza z parafii Eyeries. Zesztywniała. Ksiądz powinien teraz odprawiać mszę.

— Chodzi o Franceya, tak? — krzyknęła. — O, Boże!

Nogi ugięły się pod nią, ale przytrzymała się stołu. Sierżant zdjął czapkę i zrobił krok naprzód, chcąc ją podtrzymać. Ksiądz postąpił za nim.

— Czy możemy wejść, Lizzie? Nie przyszedliśmy z powodu Franceya, ale obawiam się, że będziesz teraz musiała być bardzo dzielna. Mamy złe wieści.

Wziął Elizabeth za rękę i podprowadził do krzesła przy kominku. Próbował zmusić ją, by usiadła, ale napotkał niemy opór.

Wodziła wzrokiem od księdza do sierżanta, którego nigdy przedtem nie widziała. Obaj wyglądali równie poważnie.

— Chodzi o twego męża. O Neeleya.

Nie zrozumiała. O Neeleya? Najważniejsze, że to nie Francey, z nim wszystko w porządku. Westchnęła z ulgą.

— Dziękuję ojcu. Czy nie powinien ojciec odprawiać teraz mszy? Słyszeliśmy dzwon...

Jej reakcja zaskoczyła księdza.

— Słyszałaś, Lizzy? Przyszedliśmy z powodu nieszczęsnego Neeleya.

Elizabeth usłyszała krzyk jednej z dziewczynek i zobaczyła, że St John idzie w jej kierunku. Ten człowiek powiedział „nieszczęsny Neeley”...

— Co się stało? — spytała podnosząc do ust zaciśniętą pięść.

— Znalaziono pani męża na wzgórzach — odezwał się po raz pierwszy sierżant. — On nie żyje.

Dziewczynki zbiły się w gromadkę i zaczęły szlochać. Johanna podbiegła do matki i ukryła buzię w jej spódnicy.

— Niezmiernie mi przykro, proszę pani — wymamrotał sierżant.

— Usiądź, Lizzie, zostanę tu przez chwilę.

Ksiądz znów próbował nakłonić ją, by usiadła.

— Nie, dziękuję, ojcie.

Nie mogła zebrać myśli. Czuła się jak Alicja w krainie czarów: to malała, to rosła... Wszystkie meble spotworniały nagle, a dźwięki nie pasowały jej zupełnie do obrazu.

— Słucham? — zapytała, zdając sobie sprawę, że ksiądz coś powiedział.

— Czy czegoś potrzebujesz. Lizzie? — powtórzył. — Czegokolwiek?

— Nie — szepnęła. — Dziękuję, nic mi nie trzeba.

— Jak to się stało? — zapytał St John. — Jestem jej ojcem...

— Miło mi pana poznać — odrzekł sierżant. — Nazywam się Clancy. Zwykle stacjonuję w Cork, ale przysłano mnie tutaj w zastępstwie sierżanta, który złamał nogę.

Uścisnęła sobie rękę.

— Nie jesteśmy jeszcze pewni — ciągnął. — Znalaziono go o ósmej rano. Obok niego leżała strzelba.

— Rozumiem. Gdzie on się teraz znajduje? — spytał St John.

— Zabiorą go do Cork, konieczna będzie sekcja i dochodzenie. Najpilniejsza rzecz teraz to identyfikacja.

Rzucił okiem na Elizabeth.

---

\* irlandzka policja (przyp. tłum.)

— Bardzo mi przykro, ale ktoś musi pojechać z nami do Castletownbere, żeby... — zawiesił głos.

— Ja to zrobię — wtrącił St John. — Córka powinna zostać z dziećmi.

Elizabeth czuła, że ksiądz przez cały czas uważnie jej się przygląda. Miała wrażenie, że zamknęto ją w ciasnym pomieszczeniu. Wszystko wydawało się nie na miejscu: ta rozmowa, łkania dziewczynek, nawet niezwykła obecność ojca w Lahersheen. Sierżant zapytał ją o coś.

— Słucham?

— Przyjdę innym razem — powtórzył. — Rozumiem całkowicie, w jak ciężkiej znalazła się pani sytuacji, ale niestety muszę zadać kilka pytań.

— Oczywiście — odpowiedział za nią ojciec.

Ksiądz wciąż na nią patrzył.

— Czy nie sądzi pan — zwrócił się do St Johna — że trzeba posłać po doktora?

— Nie — odezwała się Elizabeth. — Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

— Może powinnaś się czegoś napić? Macie w domu trochę brandy?

Potrząsnęła głową. Owszem, Neeley trzyma gdzieś bimber, to znaczy trzymał, ale z pewnością nie miała ochoty na alkohol.

— Chciałbym pomóc — ciągnął ksiądz. — Trzeba kogoś zawiadomić? Mogę skorzystać z telefonu w zakrystii.

— Dziękuję, ojcze — włączył się St John. — Sądzę, że należałoby zadzwonić do matki Beth. Z pewnością zechce przyjechać. Proszę jej powiedzieć, żeby wynajęła dorożkę. Wyjadę po nią samochodem do miasta.

— Oczywiście, panie...

— Sullivan. St John Sullivan.

Wyciągnął z kieszeni nieodłączny notatnik i zanotował numer domowego telefonu.

— A krewni Neeleya w Anglii i Ameryce? — zapytał ksiądz.

Elizabeth uwolniła się z objęć Johanny i wyjęła z kredensu poślódką listę. Spod niej wysunął się na podłogę los na wczorajszą loterię.

Poczuła, jak włosy stają jej dęba na głowie.

Daniel.

Zauważyła, że ksiądz stoi tuż obok.

— Czy to ta? — upewnił się, wyjmując jej papier z ręki.

— Tak — szepnęła.

Pogłaskał ją po ramieniu.

— Zajmę się tym. Po drodze wstąpię do Harringtonów. Dam im znać, że możesz potrzebować pomocy.

— Dziękuję ojcu.

Z całych sił próbowała wrócić do rzeczywistości, pojąć, co naprawdę się wydarzyło, ale bez powodzenia. Twarz księdza nie przypominała jej nic prócz księżycy w pełni.

— A Ida Healy, Beth? Pewnie ją też chciałabyś powiadomić? — przypomniał sobie ojciec.

Skinęła głową, widząc, jak dopisuje numer telefonu rodziców Idy.

Ksiądz i sierżant zabierali się do wyjścia, kiedy do kuchni wpadła Tilly z Abigail w ramionach.

— Przybiegłam, jak tylko usłyszałam. Och, Lizzie...

Urwała, widząc obecnych.

— Witam, ojcze. Panie sierżancie... Dzień dobry, panie Sullivan. Nie przypuszczałam, że spotkamy się tak niebawem i w takich okolicznościach.

Elizabeth zdobyła się na to, żeby zrobić krok do przodu i wziąć dziecko, które nagle wydało jej się czymś solidnym i znaczącym, czego można było się trzymać. Sądziła, że powinna ogarnąć ją rozpacz, ale czuła tylko otępienie i samotność.

Coś jej groziło, zupełnie, jakby druty wysokiego napięcia wplątały jej się we włosy.

\* \* \*

Późnym popołudniem wszyscy w okolicy wiedzieli, że przy ciele Neeleya Scollarda znaleziono strzelbę Daniela McCarthy'ego. Mówiono też, że Daniel zniknął.

Poinformowanie Elizabeth przypadło w udziale Tilly.

Ksiądz wystarał się o dodatkowy przydział benzyny dla St Johna, więc ojciec pojechał załatwić kilka spraw. W każdej chwili spodziewano się przyjazdu matki, z czego Elizabeth nie cieszyła się zbyt, pamiętając, jak się rozstały.

Koło piątej miała uczucie, że tonie w powodzi osób przychodzących składać kondolencje. Wydawało jej się, że świat wypełniają twarze, oczy i wargi szepczące niezrozumiałe wyrazy. Od niej oczekiwano tylko, że będzie siedzieć i potakiwać, cicha i bierna stosownie do sytuacji.

Tilly i dwie inne sąsiadki zajęły się gotowaniem, zmywaniem i podawaniem do stołu, tak żeby nikt z gości nie został zaniedbany. Pomagały im blade i uroczyście dziewczynki, które po pierwszym wybuchu histerycznego płaczu nie bardzo wiedziały, jak się zachować. Tylko Kathleen zamknęła się w sypialni. Mary, Tilly a nawet Elizabeth starały się ją pocieszać, ale nikomu nie udało się poruszyć dziewczynki zastygłej na łóżku z twarzą w poduszce.

Kwadrans po piątej Elizabeth poszła ponownie do dziecinnego pokoju, bo kobiety w kuchni nie pozwalały jej nawet kiwnąć palcem. Wiedziała, że Kathleen nie pozwoli się dotknąć, więc siedziała przy niej bez ruchu.

Usłyszała kroki i obejrzała się. W drzwiach stanęła Tilly i widać było, że przynosi nowe wieści.

— Co znowu? — szepnęła Elizabeth.

— Chodź, Lizzie, muszę porozmawiać z tobą na osobności.

Kobiety w kuchni zamilkły, kiedy przyjaciółki wychodziły na podwórze. Podeszły aż do bramy i dopiero tutaj, daleko od czyichkolwiek uszu Tilly odwróciła się ku niej.

— Muszę ci powiedzieć, zanim zrobi to ktoś inny.

Elizabeth stała bez ruchu.

— To Daniel Carrig — ciągnęła Tilly bez ogródek. Uciekł, ale Guarda już go szuka. Neeley został zastrzelony z jego broni. Sprawy mają się bardzo źle, Lizzie.

Elizabeth cofnęła się parę kroków i popatrzyła w morze. Czerwone i fioletowe fuksy na żywopłocie, śpiew skowronka nad głową i szum fal wydawały się tak nie na miejscu... Wszystko znów się rozmyło. Tilly dotknęła jej ramienia.

— Słyszałaś, co mówiłam?

— Tak. Czy wiesz, gdzie on teraz jest?

Tym razem cofnęła się Tilly.

— Nie, na Boga!

Przez chwilę wpatrywała się twardo w Elizabeth, a potem wzięła oddech i dodała cicho:

— Nie sądzę, żebyś miała ochotę ci powiedzieć, nawet gdybym wiedziała. Słuchaj, wiem, co czujesz, ale na miłość boską nie pogarszaj sprawy.

— Wiem, że masz szlachetne intencje — odrzekła Elizabeth, a w jej głosie zabrzmiała nuta pożegnania.

— Nie mów tak! — zawołała Tilly. — Proszę cię, posłuchaj mnie choć raz. Gdybyś mnie posłuchała tamtej nocy...

Elizabeth uniosła dłoń.

— Bardzo mi przykro, Tilly. Naprawdę. Ale nie chcę nic więcej słyszeć.

— Lizzie! — powtórzyła Tilly, łapiąc ją za rękaw.

Od Knockameala dało się słyszeć kukułkę. Elizabeth spojrzała w tamtą stronę.

— Bardzo się cieszę, że dowiedziałam się tego od ciebie.

Uściskała ją. Poczucie wyobcowania zniknęło nagle.

— Tilly, jesteś wspaniałą przyjaciółką, jedyną prawdziwą, jaką tu mam.

— Co zamierzasz zrobić?

Tilly miała ściągniętą twarz i stała sztywno jak deska.

— Nie wiem. Na razie nic.

Elizabeth doszła do siebie.

— Powiem ci jeszcze jedno. Guarda wie o awanturze podczas potańcówki. Awantura, pamiętasz? — powtórzyła widząc, że w pierwszej chwili Elizabeth nie pojęła, o co chodzi. Między tobą a Neeleyem, kiedy Daniel poprosił cię do tańca.

Elizabeth patrzyła na nią pustym wzrokiem, wreszcie skinęła głową.

— Dzięki, że mi powiedziałaś. Muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę: zajmiesz się wszystkim, kiedy pojedę do Franceya?

Obecne problemy skutecznie przesłoniły dawniejsze wydarzenia. Dopiero późno w nocy zdała sobie sprawę, jakiego znaczenia nabrała tamta kłótnia wobec śmierci Neeleya i ucieczki Daniela.

\* \* \*

Pogrzeb odbył się dopiero w środę. Elizabeth, znękana milczeniem Kathleen i pełna obaw o stan Franceya, miała ochotę zapaść się pod ziemię. Czuła się jak hipokrytka. Od czasu do czasu, szczególnie podczas długich, bezsennych nocy, próbowała rozbudzić w sobie prawdziwą żalobę, ale nie mogła zdobyć się na nic głębszego poza żalem, że Neeley zakończył życie w taki sposób. Żeby wzmocnić rozpacz, próbowała wyobrazić sobie jego ostatnie chwile, przerażenie, świadomość nadchodzącej śmierci, ale myśl zawsze w końcu uciekała w inną stronę.

Nie wierzyła, że Daniel McCarthy z zimną krwią zamordował jej męża. W tonie nieustannie składanych kondolencji wyczuwała skrywane podniecenie i nie miała wątpliwości, że nikt jej przekonania nie podziela.

Matka na szczęście już wyjechała. Przez cały krótki pobyt jej blada, pełna wyrzutu twarz doskwierała Elizabeth do żywego. We wtorek rano nie wytrzymała i na tysięczny raz zadane pytanie: „Czy mogłabym dla ciebie coś zrobić?” odparła:

— W zasadzie tak, mam. Wróc do Cork i zajmij się Franceyem. Bardzo się o niego martwię, pewnie czuje się strasznie opuszczony.

Wyraz bezgranicznej ulgi na twarzy matki niemal ją rozśmieszył.

— Na pewno?

— Tak, mam, oddałabyś mi prawdziwą przysługę. Nie wspominaj mu tylko o Neeleyu, zostaw to mnie.

Godzinę później Corinne zapakowała do samochodu wszystkie swoje pudła, torby i wstążki. Mąż miał ją odwieźć do Castletownbere, a stamtąd wynająć dla niej powóz do Cork. Sam postanowił zostać.

Teraz, w środę po południu, stał jak mała, solidna skała obok córki na nabrzeżu portowym Castletownbere, tuż obok przycumowanej „Księżniczki Béara”. Wnoszeniu trumny na statek towarzyszyły tylko piski mew i skrzyp pokładu. Dzień był jasny i pogodny, a pałająca tarcza

słoneczna i błękitne morze naigrawało się z ciemnych ubrań żałobników, owiniętych głów, długich rękawów i ciasnych krawatów.

Elizabeth trzymała w ramionach Abigail, mając z jednej strony resztę dziewczynek, a z drugiej Idę z mężem. Za nimi ciągnęła grupa krewnych Neeleya; mimo nieobecności emigrantów, którym restrykcje wojenne nie pozwoliły na powrót, liczyła ponad sześćdziesiąt osób. Wraz z nimi przybyło równie liczne zgromadzenie krewnych jego pierwszej żony.

Wielki tłum, wypełniający całą główną ulicę miasteczka, ściągnął z całego półwyspu. Oprócz mieszkańców Eyeries, Ballycrovane, Ardgroom, Kilcatherine, Lahersheen i Derryconna przyjechali też ludzie z Wysp Berę, Rossmackowen, Urhan, Garnish, Allihies, a nawet z odległego Dursey. Tak duże zgromadzenie nie świadczyło wcale o nadzwyczajnej popularności Neeleya Scollarda, lecz dowodziło, jak zwarty był lud, w którym śmierć jednego członka — szczególnie w takich okolicznościach — stanowiła cios dla wszystkich.

Kanonik w fioletowej stule ruszył wzdłuż nabrzeża na spotkanie konduktu. Po drodze nie oszczędził nikomu święconej wody.

Nagle cały kształt trumny i jej wypolerowane, metalowe uchwyty wydały się Elizabeth czymś groteskowym i odpychającym. Nie miała ochoty znajdować się w pobliżu. Odruchowo zacisnęła ramiona, aż niezadowolona Abigail zaczęła kwilić.

— Chodź, Beth, jestem koło ciebie — szepnęła Ida, a z drugiej strony ojciec ujął ją za łokieć.

Elizabeth zamknęła oczy i pozwoliła się prowadzić.

Stojąc nad otwartym grobem uniosła głowę i popatrzyła w stronę zrujnowanej kapliczki. Nie mogła dojrzeć Głowy, ale nagle stanął jej przed oczami złoto-mglisty obraz ze snu. Podobnie jak wtedy, obecność pogańskiej Głowy wpłynęła na nią kojąco.

\* \* \*

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Wreszcie późnym wieczorem dom zaczął pustoszeć. W dusznej kuchni pozostał St John, starsze dziewczynki, Harringtonowie i Ida. Elizabeth z trudem podniosła się z krzesła.

— Idę spać. Ledwie trzymam się na nogach. Nie macie nic przeciw temu?

— Idź — odparła Ida, a Tilly przytaknęła. — My tu posprzątamy.

— Mick i Mossie oporządzili już zwierzęta — dodała Tilly. — Możesz się dobrze wyspać.

Od śmierci Neeleya Mick Harrington i inni mężczyźni z sąsiedztwa doglądali gospodarstwa. Scollardowie trzymali na własne potrzeby tylko jedną krowę, którą kolejno zajmowały się starsze dziewczynki.

— Ty też już lepiej odpocznij — powiedziała Elizabeth do Tilly.

Mimo zmęczenia wciąż czuła na sobie baczny wzrok przyjaciółki i zaczęło jej to niezmiernie ciążyć. Uśmiechnęła się do obu kobiet.

— Naprawdę nie wiem, co bym bez was zrobiła. I bez ciebie, tatusiu — dodała i uściskała go.

— Przyjdę tu zaraz z rana — powiedziała Ida, która wraz z St Johnem nocowała u Harringtonów.

— Dzięki. Dziewczynki, pora spać.

Mary i Margaret skinęły głowami, ale siedząca w najdalszym końcu kuchni Kathleen nawet nie zareagowała. Przez cały dzień nie pozwoliła nikomu się pocieszać, płacząc bez ustanku, póki nie zabrakło jej łez. Elizabeth nie miała siły na rozmowy, więc poszła do siebie.

Sądziła, że od razu zaśnie, ale kiedy tylko się położyła, wydarzenia ostatnich pięciu dni zaczęły wirować jej przed oczyma: niesamowity fizyczny kontakt z Danielem na zabawie, dotyk muszli klozetowej podczas dyskusji z Tilly, dziki rajd samochodem kanonika, metalowa konstrukcja na

głowie Franceya, błyszcząca trumna Neeleya, długa droga na cmentarz i nie kończące się dni w zatłoczonej kuchni.

Najgorsze okazały się twarze: nieprzytomna Franceya, Neeleya ściągnięta nienawiścią, gorzkie spojrzenia matki, a później, w Lahersheen, pełne uwagi oczy Tilly. Ojciec i Ida współczuli jej, ale sąsiedzi gapili się na nią, jak na rzadki okaz na wystawie dziwolągów. Elizabeth skuliła się po swojej stronie łóżka i próbowała zapomnieć. Po chwili fizyczne zmęczenie wzięło górę i zapadła w sen.

Po jakimś czasie coś ją obudziło. Przez chwilę wracała do rzeczywistości, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Czowała, że tonie. Miała bezwładne nogi, jakby unosiła się tuż pod powierzchnią wody. Nad jej głową fale rozbijały się o coś z cichym, regularnym stukiem.

Potrząsnęła głową z wysiłkiem i obudziła się wreszcie. Była w swoim pokoju, ale dźwięk dobiegał naprawdę. Ktoś delikatnie pukał w okno.

Usiadła z walącym sercem. Zobaczyła sylwetkę Daniela.

Nie wiedząc czemu spojrzała na zegarek: dochodziło wpół do piątej. Wskoczyła z łóżka i w tym samym momencie postać znikła. Przeraziwszy się, że może nie zdążyć, dopadła do okna, starając się robić jak najmniej hałasu. Przez moment walczyła z oporną, zardzewiałą ramą, której skrzywienie mogło obudzić cały dom. Dostrzegła, że Daniel zniknął za żywopłotem przy oborze i zaczęła dziko machać, żeby na nią zaczekał. Porwała płaszcz z kołką i zajrzała do kuchni. Świeciła tam tylko lampka przed Najświętszym Sercem, więc bosonoga Elizabeth przemknęła bezszelestnie, zaglądając po drodze do kojca Abigail.

Na dworze powitało ją nieruchome, ostre powietrze. Przycichł nawet szum morza i biegnąca Elizabeth słyszała własny ciężki oddech.

Daniel zrobił krok naprzód i na jego widok serce jej zamarło. Włosy miał w nieładzie, policzki zarośnięte, a mimo ciemności pod oczami można było dostrzec głębokie cienie.

— Danielu... — szepnęła. — Co ci się stało? Gdzie byłeś?

Rozłożył bezradnie ręce.

— Muszę z tobą porozmawiać, wyjaśnić...

— Nie tutaj. Lepiej wyjdźmy z podwórka.

Złapała go za rękę i pociągnęła do dziury w murze. Skaleczyła się w palec, ale nie chciała tracić czasu. W każdej chwili któraś z dziewczynek może się obudzić i zauważyć jej nieobecność.

— Chodź szybko — ponaglała.

Zatrzymali się w pozbawionych dachu ruinach szopy, która niegdyś służyła za mieszkanie pradziadkom Neeleya. Elizabeth dyszała, jej krwawiący palec pulsował, a gołe stopy boleśnie ranił każdy cierń. Ujęła Daniela za obie ręce.

— Mów! — zawołała. — Powiedz, co się stało i gdzie byłeś. Tak się o ciebie martwiłam. To bardzo ryzykowne, że tu przyszedłeś.

Daniel zawahał się.

— Ja... musiałem się z tobą zobaczyć. Bałem się, że im uwierzysz.

— W co uwierzę? Że zabiłeś człowieka? Że jesteś mordercą?

— To było straszne...

— Danielu, proszę cię...

Niemal bezwiednie przyciągnęła go do siebie i całując wlewała w niego całe swe pożądanie i tęsknotę. Przytulił ją.

— Przepraszam, przepraszam cię, nie powinnam była tego robić — odsunęła się od niego, z trudem łapiąc oddech.

— Ja nie... — zaczął, idąc ku niej z wyciągniętymi ramionami.

Powstrzymała go.

— Wiesz, że to nie jest właściwe miejsce. I nie mamy wiele czasu. Proszę cię, powiedz mi, co się wydarzyło tam tej nocy.

Cofnął się i oparł plecami o ścianę.

— Chodziłem po wzgórzach ze strzelbą...

Głos mu się załamał. Elizabeth czekała cierpliwie, jakby jego słowa miały zaważyć na jej życiu. Przez myśl przeleciało jej miejscowe powiedzonko: lepiej umrzeć niż stracić honor.

Zupełnie jakby czytał w jej myślach, Daniel wyprostował się i nabrał pewności siebie.

— Nie mam się czego wstydzić, Elizabeth. W niczym nie zawiniłem.

— Powiedz mi prawdę.

— Chodziłem ze strzelbą — powtórzył — i nie wiedziałem, że kogoś tam spotkam. Wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś zakłada wnyki, ale sądziłem, że to Mossie Breac. On tam często przychodzi. Dopiero kiedy wyszedłem na szczyt wzgórza, spostrzegłem, że to Neel... twój mąż.

— Co robił?

— Stał. Dwa razy zawołał: „kto tam”, może trzy razy, nie pamiętam. Kiedy mnie zobaczył, strasznie się wściekł.

Elizabeth zrobiło się zimno.

— Co zrobił?

— Zaczął mnie wyzywać...

— Proszę cię, Danielu... Wiem, jaki potrafił być Neeley. Po prostu mów, co się wydarzyło.

— Najgorsze, że miał najświętsze prawo... — zaczął Daniel z uniesieniem.

— Nie miał prawa! — zaprzeczyła tak gorąco, że zadziwiła samą siebie.

Daniel zamilkł na chwilę.

— Tak czy inaczej — podjął — wyzywał mnie. Podszedł i popchnął mnie, aż upadłem.

Zaczął krążyć po kamiennej podłodze.

— Nic mi się nie stało, ale nie chciałem pozwolić mi wstać.

Zamachnął się na mnie, więc osłoniłem rękami głowę. Oczywiście ciągle trzymałem strzelbę. Zatrzymał się i oparł czołem o ścianę.

— Później pamiętam, że Neeley szarpał za broń. Zaczęliśmy się szamotać. Ciągle leżałem na ziemi, a on mnie kopał i próbował odebrać mi strzelbę. Cały czas wrzeszczał...

Znów głos mu się załamał i tym razem Elizabeth stanęła za nim i otoczyła go ramionami.

— Nie denerwuj się, błagam. Nie mogę tego znieść.

— Nie mogę się powstrzymać — niemal płakał. — Nie chciałem go zabić, Bóg mi świadkiem, po prostu tak się wydarzyło.

— Jak to się stało? Dokończ, musisz dokończyć.

Odwróciła go w swoją stronę. Zaczynało świtać i dojrzała, że łzy spływały mu po twarzy.

— Powiedz — namawiała i pociągnawszy go ze sobą na ziemię utuliła w ramionach.

Wtulił się w nią, drżąc cały, a ona głaskała go po włosach i delikatnie muskała wargami skronie.

— Udało mi się podnieść na kolana — podjął po minucie i wyrwałem mu strzelbę, ale nie wiem, jak to się stało, przysięgam na Boga, pewnie obsunęła mi się ręka. Zahaczyłem za spust, a lufa mierzyła mi prosto w twarz. O Boże...

Nie próbował już nawet tłumić szlochu.

— Przepraszam, tak mi przykro. Zachowuję się jak dzieciak. Nie powinienem...

— Cicho, cicho kochanie. Już po wszystkim.

Kołysała go, póki się nie uspokoił. Uświadomiła sobie, że robi się coraz jaśniej. Pozbawioną dachu szopę porastało dzikie wino i inne pnącza, więc ze swego miejsca Elizabeth widziała tylko mały trójkącik nieba, połyskujący jak macica perłowa. Daniel dochodził do siebie. Z oddali

dobiegł ich głos kukułki, pewnie nawet tej samej co dzień wcześniej. Jaskółki, gawrony i sroki także rozpoczęły poranny harmider. Elizabeth wiedziała, że powinna już wracać.

Z trudem zebrała myśli. Musi istnieć jakieś wyjście. Daniel zamilkł i odsunął się.

— Przepraszam, nie powinienem był przychodzić.

— Nonsens.

— Po prostu wyjadę stąd. Mój brat z pewnością mi pomoże.

— Ja ci pomogę — odparła kładąc mu rękę na dłoni, ale jej pewność siebie nie miała żadnego pokrycia.

Spojrzał na nią.

— Nie chcę cię w to mieszać. To mój problem.

Mimo śladu łez na twarzy wrócił już do siebie.

— Mój także.

Podniósł się. W świetle poranka wydawał się dojrzały niż w rzeczywistości.

— Popeliłem błęd. Nie trzeba było uciekać. Ty nie masz z tym nic wspólnego.

— Tak, nie powinieneś być uciekać. Pójdziemy na policję.

Jego marynarce brakowało rękawa, a kołnierz sterczał niesymetrycznie. Elizabeth miała wielką ochotę uładzić na nim ubranie, umyć i uczesać mu włosy i zgolić zarost. Hola! — powstrzymała się — nie jesteś jego matką.

— Nie uwierzą mi — w jego głosie oprócz wątpliwości zabrzmiała też nadzieja.

— Nie martw się. Przekonam ich. To był wypadek, Danielu. Dowiedziemy tego.

— Ale wszystko wygląda tak beznadziejnie. Z powodu tej burdy na tańcach i...

Wzięła głęboki oddech.

— Posłuchaj i wbij to sobie do głowy. Nie robiliśmy nic złego. Tańczyliśmy.

Stali bez ruchu, bo nawet w tym surowym, zimnym miejscu wspomnienie tamtego wieczora zapłonęło między nimi jak błyskawica. Elizabeth zauważyła, że wraca mu pewność siebie.

— Słyszałem o twoich włosach. I o Franceyu. Jak on się miewa?

Macierzyńskie uczucia wobec Daniela zniknęły, teraz poczuła się nawet młodsza od niego.

— Wszystko będzie dobrze. Muszę wrócić do niego jak najprędzej. Jest taki mały. Pewnie bardzo się boi.

— Ucałuj go ode mnie.

— Oczywiście.

— Ładnie ci w krótkich włosach.

— Dziękuję — odrzekła, zauważając równocześnie świeżą bliznę na jego skroni. — Odrośną.

— Nadal są bardzo piękne.

Oboje wiedzieli, że włosy to tylko pretekst.

— Byłeś w domu?

— Nie.

— Kto wie, gdzie jesteś?

— Tylko najstarszy brat. Pracuje w kopalni i wiedziałem, o której wraca, więc czekałem na niego w żywopłocie.

— Gdzie spałeś?

— Niedaleko grotty w Clanderry stoi na wpół zatopiona łódź. Nawet dość wygodna.

— Jesteś głodny?

— Jak zawsze!

Po raz pierwszy uśmiechnął się, krzyżując jej intencje. Ucałowała go szybko.

— Słuchaj, nie ma czasu na zabawy.

— Bawimy się w coś?



— Oboje wiemy, że coś się między nami dzieje. Przynajmniej ja wiem.

— Ja też.

— Czyli to już wyjaśniliśmy. To, co się stało... i cały czas się dzieje... jest dziwne i niewygodne. Nawet bardzo niekonwencjonalne, ale jeśli o mnie chodzi, to szczerą prawdą i nie zamierzam temu przeczyć.

— Elizabeth...

Próbował wziąć ją w ramiona, ale go powstrzymała.

— Nie! Nie ma czasu. Najpierw trzeba wszystko załatwić, rozumiesz? Została nam najwyżej minuta.

— Więc to się dzieje naprawdę?

Tym razem uśmiechnął się tak szeroko, że twarz zapłonęła mu niczym świeca. Z nastolatka błyskawicznie przemienił się w pewnego siebie młodego człowieka. Ogarniające ich elektryczne napięcie nabrało takich rozmiarów, że Elizabeth czuła, jak jego ramiona pulsują jej pod palcami. Odsunęła się z wysiłkiem, ale poszedł za nią. Próbowała się bronić ale nie usłuchał i wziął ją w ramiona.

— *A chroi* — szepnął po irlandzku. — *Mo chroi ghlegheal...*

Czułe słowa i delikatne pocałunki obezwładniły ją; nogi miała jak z waty. Gdzieś z zakamarków pamięci wyłonił się obraz George'a.

— Nie! Musimy być ostrożni!

Uwolniła się.

— Wiem...

— Dziś pochowałam swego męża... to znaczy wczoraj.

Zawracając potknęła się o krzew jagód. Daniel chciał podać jej rękę, ale nie pozwoliła.

— Mamy kłopoty, musimy czekać...

— Wiem...

Objął ją jednak i pocałował, aż zawrzała w niej krew.

## ROZDZIAŁ 14

— Gdzie byłaś?

Oskarżycielska twarz Kathleen płonęła w mrocznej kuchni.

— Kitty! Już wstałaś? Jeszcze bardzo wcześnie.

Zaskoczona w drzwiach Elizabeth próbowała szybko dojść do siebie. Wiedziała, że wygląda okropnie z włosami sterczącymi na wszystkie strony, podrapanymi, zabłoconymi nogami i w nocnej koszuli, poplamionej, podartej przez krzewy. Miała nadzieję, że chociaż na jej wargach nie widać śladów pocałunków.

— Gdzie byłaś? — powtórzyła Kathleen.

— Nie mogłam spać i poszłam na spacer.

To kłamstwo nie przekonało nawet jej samej.

— Abbie się rozchorowała. Płakała za tobą.

Kathleen z nie ukrywaną pogardą odwróciła się na pięcie i wróciła do wspólnej sypialni. Dziecko wyglądało na całkiem zadowolone. Siedziało w kojcu i bawiło się drewnianymi klockami.

— Chodź tu, Abbie.

Elizabeth wzięła ją na rękę.

— Mama!

Mała uśmiechnęła się i pogłaskała matkę po policzku. Elizabeth przytuliła ją mocno, po czym wzięła butelkę, którą Kathleen zaczęła podgrzewać. Upuściła kilka kropel na nadgarstek a potem usiadła na krześle i wsunęła dziecku smoczek do buzi. Abigail zrobiła się już dość ciężka, ale jej ciepłe ciało zawsze uspokajało Elizabeth.

— Masz, Abigail, moje małe duże dziecko.

Mała piła łapczywie, patrząc na matkę szeroko otwartymi oczami. Elizabeth zbierała myśli. Umówili się z Danielem po zmroku, w tej samej zrujnowanej szopie. W dzień Elizabeth miała pójść na policję i zobaczyć, jak się rzeczy mają. Patrzyła na skupioną twarzyczkę Abbie i próbowała wmówić sobie, że policja uwierzy w jej wersję wypadków.

I co wtedy?

Czy rzeczywiście kochała Daniela Carriga McCarthy'ego? Dostatecznie mocno, żeby znów oddalić się od rodziców, niepokoić dzieci i bulwersować całą okolicę? Czy we dwoje byli dość mocni, aby stawić czoło całemu światu?

Od chwili gdy napotkała jego wzrok na szczycie Knockameala, uświadomiła sobie, że nie może ufać własnym namiętnościom. Czy teraz uda jej się przekonać samą siebie, że trzeba się powstrzymać? Znała odpowiedź, jeszcze zanim zadała to pytanie. Fakt, że związek z Danielem jeżył się od trudności i społecznych zakazów, nie robił na niej wrażenia. Prędzej wytrzyma nagonkę całego Ballycrovane, niż oprze się sile, która pcha ją ku niemu.

— Trzeba po prostu czekać, prawda, skarbie? — zwróciła się na głos do Abigail, która skończyła jeść i teraz próbowała się zsunąć na podłogę.

Raczkowała już od jakiegoś czasu i Neeley skonstruował dla niej chodzik, drewnianą ramę bez kółek, która ograniczała trochę jej ruchy i nie pozwalała wyjść z kuchni ani dotknąć gorącego paleniska. Także dla pozostałych dzieci robił takie urządzenia, zużywały się jednak szybko i kończyły jako opał. Wsadzając małą do jej ruchomego więzienia, Elizabeth po raz pierwszy poczuła prawdziwą żalobę po mężu. Mimo wszystkich wad naprawdę dbał o dzieci.

Abigail ciągnęła hałaśliwie swój chodzik po kuchni.

Jakim ojczymem byłby Daniel? — zastanowiła się, ale zaraz się powstrzymała. — Wolnego, nie wybiegaj za daleko naprzód.

Elizabeth poszła do łazienki. Umyła się i ubrała starannie, tak żeby zrobić dobre wrażenie na sierżancie. Niezawodna Corinne zaopatrzyła ją w cały żałobny zestaw: spódnice, swetry i sukienki z lekkich materiałów o nienagannym kroju. Elizabeth wybrała jedną z nich, założyła swe jedyne pończochy i wyjściowe buty, zaś na szyi zapięła krzyżyk na złotym łańcuszku, prezent od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny.

Przyjrzała się uważnie swemu odbiciu w lustrze. Była bardzo blada i pod oczami miała fioletowe cienie, ale poza tym wyglądała dość elegancko, to wszystko, na co ją stać. Spojrzała na zegarek. Ojciec i Ida powinni pojawić się lada chwila. Miała nadzieję, że St John nie będzie dociekał, dlaczego zażyczyła sobie nagle jechać na posterunek. Istotnie nie zadał ani jednego pytania.

Sierżant przyjął ich niezwykle uprzejmie i nie okazał zdziwienia, kiedy Elizabeth poprosiła o rozmowę w cztery oczy.

St John odsunął się.

— Nie spiesz się, Beth — powiedział poważnym tonem. Zaczekam w pubie naprzeciwko.

Ojciec wyszedł, policjant zaś zatrzymał się przy drzwiach i Elizabeth odniosła nieprzyjemne wrażenie, że lustruje ją od stóp do głów.

— Miałaby pani ochotę na filiżankę herbaty?

— Nie, dziękuję — odrzekła, starając się wykrzesać całą pewność siebie.

Teraz sytuacja nie wyglądała już tak prosto, jak jej się przedtem zdawało. Rozejrzała się po pokoju. Prosty, drewniany stolik, cztery krzesła i szafka na papiery stanowiły całe umeblowanie, a jedyną ozdobą był ścienny kalendarz. Serce zaczęło jej bić szybciej.

— Śmiało — zachęcił sierżant.

Zamknął drzwi, przysunął jej krzesło i usiadł naprzeciwko.

— Daje sobie pani radę? Pani mąż miał wczoraj bardzo piękne pożegnanie.

Mówił poważnie i uprzejmie, ale Elizabeth wciąż odnosiła wrażenie, że przygląda jej się baczniej, niż można by oczekiwać.

— Tak — zgodziła się. — Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc. Mamy wspaniałych sąsiadów.

— Jeżeli i ja mógłbym czymś służyć, proszę się nie wahać...

— Naturalnie.

— Śledztwo zajmie od dwóch do ośmiu tygodni. Jeśli miałaby pani jakieś pytania co do procedury, z przyjemnością odpowiem.

Jego nieskazitelna uprzejmość zaczęła ją drażnić.

— Dziękuję — odrzekła niepewnie — ale nie dlatego tu przyszedłam.

— Słucham.

— Właściwie... chciałabym porozmawiać o wydarzeniach tamtej nocy.

— Tak?

Uśmiechnął się zachęcająco, ale jak jej się zdawało, nienaturalnie.

— Czy miałaby pani coś przeciw, gdybym robił notatki? — ciągnął, wyjmując notatnik z kieszeni na piersi.

Nie przewidziała tego.

— Czy to konieczne? — spytała zaniepokojona.

— Tylko gwoli podparcia pamięci, rozumie pani. Oczywiście, chcielibyśmy wyjaśnić, co się wtedy stało, więc jeśli mogłaby pani w czymś pomóc...

— Skoro tak...

Była przekonana, że sierżant wie znacznie więcej, niż chce przyznać, ale nie miała już odwrotu. Szukała słów.

— Słucham, pani Scollard — ponaglił.

— Nie wiem, od czego zacząć.

Usiłując wziąć się w garść, popatrzyła na kalendarz. Pod bieżącym tygodniem wyrysowano kosz kwiatów. Czwartek. Mamy dziś czwartek. Przyczepiła się do tego faktu.

— Niech pani pozwoli, że jej pomogę. Kiedy zastrzelono pani męża, leżała pani w łóżku.

— Tak. W domu przebywał także mój ojciec. Tego dnia przyjechaliśmy z Cork i nie spałam całą poprzednią noc.

Czuła, że mówi za szybko.

— Byłam bardzo zmęczona — dodała, starając się zwolnić.

— Słyszała pani strzał?

— Nie. O wszystkim dowiedziałam się dopiero od księdza, ale sądzę, że mój ojciec słyszał...

— Tak, wiemy...

Zapisał coś w notatniku, a Elizabeth zebrała się na odwagę.

— Proszę posłuchać, panie sierżancie. Przyszłam tu, żeby powiedzieć, że nie wierzę, iż Daniel McCarthy umyślnie zabił mego męża.

— O? Nie sądzę, żebym wspomniał nazwisko Daniela McCarthy'ego.

Przerwał notowanie i rzucił jej ostre spojrzenie. Wyprostowała się.

— Wiem, co mówi się w sąsiedztwie. Wszystkie psy o tym szczekają.

— Rozumiem.

— To był wypadek.

— Skąd ta pewność?

— Znam Daniela Carriga. Nigdy celowo nie skrzywdziłby człowieka. Jako wdowa po Neeleyu Scollardzie, wyrażam przekonanie, że Daniel nie zabił mego męża.

Bezruch sierżanta zdenerwował ją na nowo i nie mogła opanować potoku słów.

— Moim zdaniem wybuchła między nimi kłótnia. Daniel chodził tam ze strzelbą... często tam przychodzi, bo poluje na króliki. Ale naprawdę to był wypadek, daję panu słowo.

— Wie pani, jak wszystko się odbyło?

Próbowała pokonać go wzrokiem.

— Wydaje mi się, że tak.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie było pani przy tym.

— Pana także nie ani nikogo innego.

— Wolno spytać, na jakiej podstawie wyciąga pani te wnioski?

— Obserwacja natury ludzkiej — wyszeptwała, a potem dodała głośnie: — Nie sądzi pan, że to całkiem możliwe, iż wybuchła między nimi sprzeczka i strzelba przypadkowo wypaliła?

— Dość przekonujące... — zawiesił głos, żeby tym dobitniej podkreślić nie wypowiedziany podtekst.

Elizabeth skoczyła na równe nogi.

— Co pan ma na myśli?

— Proszę mi wybaczyć, pani Scollard, ale dopóki młody człowiek się nie ujawni, możemy tylko spekulować. Być może już się ujawnił?

— Słucham?

— Proszę mi wybaczyć, ale jaki ma pani w tym interes?

— Wydaje mi się, że to oczywiste.

Serce waliło jej jak młotem. Sierżant uniósł brwi.

— Doprawdy?

— Chodzi mi o sprawiedliwość.

— Czy wie pani, gdzie on teraz przebywa?

Niespodziewane pytanie odebrało jej dech. Czuła jego bystry wzrok i zrozumiała, że nie ma co apelować do jego wyższych uczuć.

— Nie — odrzekła cicho.

— Jest pani pewna? Wiem, że poniosła pani ciężką stratę, ale chyba zdaje sobie pani sprawę, że jeśli zna miejsce jego pobytu, powinna nas poinformować? Milczenie stawia panią w doprawdy niezręcznej sytuacji.

— Nie wiem, gdzie on jest.

Sierżant zniżył głos.

— Nie chciałbym wydać się niedelikatny, ale krążą historie o poprzednich scysjach między tym młodym człowiekiem a pani mężem. Dotyczą pani i potańcówki w Castleclough, jak sądzę? Mąż był od pani dużo starszy, prawda?

Nie mógł zasugerować tego jaśniej.

— Jeszcze raz pozwolę sobie poprosić panią o pomoc w odnalezieniu Daniela McCarthy'ego.

Wpatrywała się w jego nienawistną, gładką twarz. Jakaż była naiwna! W jego oczach wszystko układało się w spisek młodej żony i jej kochanka, mający na celu usunięcie starego i niewygodnego męża.

Godność, godność; rytm starego werbla przyszedł jej z pomocą. Wolno rozkurczyła zaciśnięte pięści, opuściła ręce i wyprostowała się. Nie bała się już. Gra toczyła się o dużą stawkę, o głowę Daniela, i nie miała zamiaru poddać się bez walki.

— Przepraszam, że zabrałam pański czas — powiedziała cicho. — Widzę jasno, że zmarnowałam także swój i popełniłam błąd przychodząc tutaj. Powinnam odgadnąć, że skoro jest pan nowy w tej okolicy i nie zna Daniela, z łatwością posądzi go pan o zamordowanie mojego męża. Mogę tylko z całym przekonaniem powtórzyć, że tego nie zrobił.

Nie odpowiedział i nie odrywał od niej bladoniebieskich oczu.

— Pójdę już.

Podniosła wysoko głowę, jak królowa wobec ambasadora z bardzo podrzędnej kolonii. Otworzył przed nią drzwi.

— Dziękuję za wizytę.

— Żałuję, że ją złożyłam.

Przytrzymał uchylone drzwi tak, że nie mogłaby wyjść bez przepychania.

— Jeszcze jedno — dodał. — Jestem przekonany, że rozumie pani, jakie znaczenie miałyby fakt pojawienia się tu Daniela McCarthy'ego z własnej woli.

— Nie mam na to wpływu, sierżancie. I niech mi będzie wolno dodać, że gdyby zależało to ode mnie, przyjsście tutaj byłoby ostatnią rzeczą, jaką bym mu radziła.

Sierżant zignorował jej ironię.

— Niemniej, proszę pani, zapewniam, że leży to w jego własnym interesie. Możemy go znaleźć.

— Doprawdy?

— Nie planuje pani opuszczenia półwyspu w najbliższym czasie?

Zdenerwowanie ustąpiło miejsca zimnej wściekłości wobec jawnej impertynencji.

— Jeśli chodzi o ścisłość, panie sierżancie, mam taki zamiar. Jadę do Cork, w odwiedzinę do chorego syna. Czy to dozwolone?

— Ależ naturalnie, jakże niedelikatnie z mojej strony.

Uśmiechnął się przepaszająco.

— Rzecz jasna, że wybiera się pani do Cork. Jak długo zamierza tam pani zostać?

— To zależy od stanu mego syna. Teraz proszę mi wybaczyć. Ojciec na mnie czeka.

— Jeśli zmieni pani zdanie i postanowi poinformować nas o miejscu pobytu tego młodego człowieka... Zapewniam, że tak czy inaczej to tylko kwestia czasu... — urwał i otworzył drzwi na oścież. — Jeszcze raz, moje kondolencje, szanowna pani. Nie wątpię, że pozostaniemy w kontakcie.

Trzęsąc się, Elizabeth wyszła z baraku. Zdawało jej się, że w tak piękny majowy poranek jej czarne ubranie z długim rękawem zwraca powszechną uwagę. Ze spuszczoną głową przeszła na drugą stronę ulicy. Na jej widok ojciec odstawił nie dopitego drinka, wziął ją pod ramię i zaprowadził do samochodu.

— Załatwiłaś swoje sprawy?

Elizabeth nie miała zamiaru z niczego mu się zwierzać, ale bezpośrednio pytanie wytrąciło ją z równowagi.

— Tak, tato. Właściwie nie... Co za paskudne położenie!

— Poczekaj, aż zapalę i wszystko mi opowiesz.

— Nie chcę cię w nic mieszać — odrzekła, kiedy sunęli wolno przez wioskę. — To mój własny kłopot, jestem już dorosła.

Na przekór własnym słowom, okropnie pragnęła się komuś zwierzyć.

— Jak uważasz, Beth. Nie mów, jeśli nie masz ochoty.

— Może cię to zaszokować.

— Od tylu lat pracuję jako prawnik, że niewiele mnie już zaskakuje.

Poukładała wszystko w pamięci, żeby przedstawić sytuację jak najdokładniej.

— Rozmowa z sierżantem poszła bardzo źle, tato.

— O! A na pierwszy rzut oka wydawał się taki bystry.

— Jest bystry, może nawet za bardzo. W tym problem. To ja wszystko zagmatwałam.

Rzucił jej krótkie spojrzenie i skupił się na prowadzeniu. Wyjeżdżając zza zakrętu nacisnął mocno hamulce.

— Cholera! Przeklęte zwierzęta.

Owca i dwa spore jagnięta niemal wpadły mu pod koła.

— Właściciela powinno się podać do sądu. Nic ci nie jest, Beth?

— Nie — odpowiedziała nieprzytomnie.

Tak mocno skupiła się na swoich sprawach, że prawie nic nie zauważyła.

— Co za okropny kraj! Na pewno nic ci nie jest?

Obecna cierpliwość i czułość ojca była dla Elizabeth pewną nowością. Silny niepokój, jakiego doświadczyła po rozmowie z sierżantem, ustąpił już i dalsze zwierzenia wydawały jej się czymś sztucznym i nieszczerym. Powiedziała więc tylko, że czuje się całkiem dobrze i pogłaskała ojca po ramieniu. Nie odzywali się już do siebie aż do Ballycrovane.

Na Béara samochód wciąż stanowił atrakcję, więc żeby odgrodzić się od ciekawych spojrzeń sąsiadów, Elizabeth nie otwierała oczu aż do samej bramy.

— Nie chcę się wtrącać, ale czy na pewno nie mógłbym ci w czymś pomóc? — spytał ponownie ojciec, zanim wyłączył silnik.

— Bardzo możliwe, tato, ale nie teraz. Możemy nie mieć więcej okazji, więc pozwól, że teraz ci powiem, jak bardzo jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Ku jej przerażeniu cały poczerwieniał.

— Ależ Beth, jestem twoim ojcem!

Zmieszana, szybko wysiadła z samochodu.

— Zostanę jeszcze przez chwilę na dworze, jeśli pozwolisz. Chcę zaczerpnąć trochę powietrza.

— Oczywiście, tato.

Z zaciśniętym gardłem patrzyła, jak odchodził. Miał zbyt dobrze skrojony garnitur, za bardzo wypolerowane buty i za mocno zaciśniętą czapkę na to, żeby żyć w Lahersheen. W tej chwili kochała go z całego serca, choć jej miłość miała w sobie odrobinę żalu. Teraz, kiedy był przy niej, tęskniła za nim może nawet bardziej niż przez te wszystkie lata.

W domu panowała cisza i ład. Abigail spała w kołysce, a dziewcząt nigdzie nie było widać.

— Gdzie wszyscy? — zwróciła się Elizabeth do Idy i Tilly siedzących przy stole.

— Wysłałam je do siebie. Mick zabierze je na długą przejażdżkę powozem; taki piękny dzień. Tu nie mają nic do roboty, tylko się smuć, więc pomyślałam, że przyda im się odrobina rozrywki. Nie gniewasz się, mam nadzieję?

— Gniewać się? — powtórzyła Elizabeth zrzucając trzewiki. — Ależ jestem ci ogromnie wdzięczna.

Nagle wydało jej się, że ostatnio ciągle komuś dziękuje.

— Sądzę, że powinnaś wysłać je jutro do szkoły.

— Zrobię tak, ale będą musiały same sobie radzić.

Opadła na krzesło i przyjęła kubek maślanki.

— Przepraszam, że znów cię o to proszę, ale czy mogłabyś zająć się maluchami? Z samego rana jadę z ojcem i Idą do Cork. Francey pewnie już bardzo się denerwuje.

— Zostanę — powiedziała Ida bez namysłu. — Ty powinnaś jechać, ale Tilly przydałby się ktoś do pomocy, a nic pilnego na mnie nie czeka. Zostanę z tobą, póki nie staniesz na nogach.

— Naprawdę, Ido...

— Nie ma o czym mówić. Daj sobie pomoc choć raz w życiu. Jeżeli nie dla siebie to przynajmniej dla dzieci.

Ogłuszona Elizabeth patrzyła na przyjaciółki, te same, których rad nie chciała słuchać. Żadna z nich nie powiedziała: „a nie mówiłam”, obydwie pozostały oddane i lojalne. Wierne do końca. Nawet Corinne, którą tak haniebnie ostatnio potraktowała, nie przestała okazywać jej uczucia. Oto rodzina, którą zdradza przez swój egoizm i folgowanie namiętnościom.

Ale co z Danielem? To przez nią znalazł się w takiej sytuacji, lecz mimo to także pozostał jej wierny i o nic jej nie obwinał.

Wszystkim swoim bliskim nie przynosiła nic prócz kłopotów. Nie zasługiwała na miłość. Piła maślanek długimi łykami, żeby pokryć zmieszanie.

— Chyba obie wiecie, co do was czuję — wykrztusiła wreszcie.

— Cicho bądź, ty stara jędo! — zawołała Tilly z szerokim uśmiechem. — Bez wątpienia Pan zesłał cię, żeby wystawić nas na próbę.

— Tak — zgodziła się Ida. — Po cóż innego Tilly i ja żyjemy na tej ziemi, jeśli nie w celu wysługiwania się księżniczce Elizabeth Sullivan?

— Mówię serio.

— Jasne, wiemy — odparła Ida. — My też cię kochamy, prawda Tilly?

Dała jej tak potężną sójkę w bok, że ta aż podskoczyła.

— Hej! To bolało!

— Przepraszam.

Nie zrażona Ida wzięła się pod boki i zwróciła się do Elizabeth:

— Kończ już to mleko i lepiej idź się trochę przespać, zanim dzieci wrócą i znów wsiądą nam na głowę.

Brak snu i wyczerpanie z całego tygodnia dopadło ją wreszcie i Elizabeth zasnęła jak kamień, ledwie przyłożywszy głowę do poduszki. Obudziła ją Ida, delikatnie trącając w ramię.

— Beth! Przyniosłam ci talerz gorącej zupy.

— Która godzina?

— Ósma wieczór. Nie chciałam, żebyś spała za długo, bo znów obudziłabyś się w środku nocy. Usiądź i jedz.

Elizabeth usiadła posłusznie, a Ida poprawiła jej poduszki i podała drewnianą tacę.

— Dziewczynki! — zawołała Elizabeth, przypomniawszy sobie nagle, co się ostatnio działo.

— Uspokój się, Wszystko działa jak w zegarku. Całe towarzystwo jest już po herbacie, a Tilly zabrała Abigail do siebie. Znalazłam bimber i dałam trochę twojemu tacie do posiłku, ucieszył się jak dziecko. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu?

Elizabeth uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Wstanę natychmiast, jak skończę jeść. Och, Ida, co ja bym bez ciebie poczęła?

— Do usług, Wasza Królewska Mość.

Ida złożyła jej ukłon i wróciła do kuchni.

Elizabeth zakłuło sumienie. Przyjaciółki okazały się tak dalece taktowne, że nawet nie zapytały, po co jeździła na posterunek. Co pomyślałaby Ida, gdyby się dowiedziała, że za parę godzin Elizabeth ma spotkanie ze zbiegiem podejrzanym o zabójstwo jej męża?

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wyjawić całej prawdy, ale najpierw wydało jej się, że postąpiłaby nieuczciwie, zaś potem szczerze przyznała się sobie samej, że nie uczyni tego z obawy przed perswazjami.

Niebo już pociemniało, ale pozostało jej jeszcze wiele godzin. Skończyła zupę, narzuciła szlafrok i poszła do kuchni.

Ida zmywała naczynia. Światło z otwartych szeroko drzwi padało na siwiejącą głowę ojca, zaś Margaret i Mary siedziały na ławeczce pod oknem. Obie miały zatroskane miny i zmięte chustki w rękach. Twarz siedzącej nieopodal Kathleen wyrażała dla odmiany zaciętość i upór. Na widok macochy wstała i próbowała wrócić do sypialni.

— Zostań, Kitty — powstrzymała ją Elizabeth. — Chciałabym zamienić słowo z wami wszystkimi.

— O czym? — zapytała Kathleen niegrzecznie, unikając jej wzroku.

— O planach na najbliższe kilka dni.

St John podniósł się.

— Przepraszę was. Umówiłem się z Mickiem Harringtonem na jednego. Niedługo wrócę.

— Nie spiesz się, tato. Dzięki, że pozwoliłeś mi się wyspać.

— Pewnie będziesz już spała, kiedy wrócę. Chciałbym wyjechać z samego rana, dobrze?

— Tak.

St John zdjął czapkę z kołka i wyszedł. Kathleen niechętnie usiadła przy stole.

— Słuchajcie, dziewczynki. Jak wiecie, muszę jechać jutro do Cork zobaczyć się z Franceyem.

— Jutro jego urodziny! — wyrwała się Margaret.

Elizabeth zupełnie umknęło to z pamięci.

— Nie zapomniałam — skłamała szybko — i także dlatego powinnam jechać. Nie powinien spędzać urodzin w szpitalu, zupełnie sam. Wiecie, że przechodzimy teraz trudne chwile...

— Czy mogę wyjść? — przerwała Kathleen, odsuwając krzesło.

Elizabeth wydało się, że jeśli teraz jej nie pozyska, straci ją na zawsze.

— Chciałam rozmawiać z wami trzema. Proszę usiądź, Kitty.

— Nie życzę sobie, żeby nazywano mnie Kitty! — zawołała z pasją. — Mam prawie piętnaście lat i moje imię brzmi Kathleen. Słyszycie?

Powiodła dookoła błyszczącym wzrokiem, po czym pomknęła do sypialni, zatraskując za sobą drzwi. Mary chciała pójść za nią, ale Elizabeth ją powstrzymała.

— Dajmy jej spokój. Dojdzie do siebie.

— To pewnie dlatego, że tatuś mówił na nią Kitty — stwierdziła Margaret.



— Pewnie tak — zgodziła się Elizabeth i musiała przyznać, że rozmowa bez uszczypliwych uwag Kathleen była dużo łatwiejsza.

Dziewczynki ze spokojem słuchały jej poleceń i instrukcji na nadchodzące dni, aż wreszcie Margaret postawiła pytanie, które od dawna musiało wszystkim leżeć na sercu.

— Co się z nami stanie? Trzeba sprzedać farmę?

— Nie wiem — przyznała Elizabeth uczciwie. — Wasz ojciec sporządził testament i o ile wiem, zostawił gospodarstwo mnie. Nie wiem jednak, czy dałybyśmy radę same tu pracować. Na razie nie znam odpowiedzi. Prawnik z Castletown uporządkuje dla nas parę spraw, a poza tym dziadek Sullivan też jest prawnikiem, więc jak tylko wróci do biura, z pewnością nam pomoże.

— Wyjdiesz znowu za mąż?

— Zamknij się! — huknęła Mary na siostrę, ściskając mocno jej ramię.

Nieoczekiwane pytanie ogłuszyło Elizabeth.

— Co masz na myśli, Maggie?

— Słyszałyśmy plotki...

— Nie zwracaj na nią uwagi, mamusiu! — przerwała jej Mary. — Nic nie słyszałyśmy. Wiesz, że ona nic nie robi, tylko wystaje po podwórkach i plotkuje z sąsiadkami.

— No to jak? — ciągnęła nie zrażona Margaret, pożerając macochę wzrokiem.

Elizabeth zrobiła się czujna jak szczuty zajac.

— Oczywiście, że nie — broniła się.

— To dlaczego tak mówią?

— A co takiego mówią?

— Nic — wtrąciła znów Mary, za wszelką cenę nie chcąc dopuścić do konfrontacji. — Jeszcze jedno słowo, Margaret Scollard, i chyba cię zleję.

— Nie szkodzi, Mary, daj jej spokój. Ja też powinnam wiedzieć, co o mnie plotkują.

— Nie mogę tego słuchać — zawołała Mary i wybiegła z kuchni.

Elizabeth upewniła się, że wciąż zajęta naczyniami Ida niczego nie słyszy, po czym oparła brodę na dłoniach i popatrzyła uważnie na Margaret.

— A teraz, Maggie, powtórz mi, co słyszałaś.

Pobita własną bronią dziewczynka wystraszyła się trochę.

— Nic takiego, a poza tym i tak im nie wierzę.

— W co nie wierzysz?

— Mamusiu, słyszałam tylko jedno...

— Co?

Elizabeth zaczęła się niecierpliwić.

— Mówią: jak się żenisz z ptakiem, to nie dziw się, że fruwa — wymamrotała niewyraźnie.

— Aha. Cieszę się, że wiesz, że to tylko plotki, Maggie.

— Kitty mi powtórzyła — ciągnęła sploniona. — Powiedziała, że wszyscy tak mówią i że jesteś kobietą z półświatka.

Elizabeth mimo woli uśmiechnęła się na takie określenie, ale sytuacja wyglądała poważnie.

— Myślisz, że tak jest naprawdę? Czy wiesz, co to znaczy?

— Mniej więcej. To wtedy, kiedy ma się dziecko nie wychodząc za mąż. Albo kiedy się ma i męża, i przyjaciela — paplała Margaret bez przerwy. — Ona powiedziała jeszcze coś: że nawet miedziana kołatka świeci na brudnych drzwiach. I że dlatego tatuś obciął... ci... — urwała.

Mała była tak wstrząśnięta, że wzruszona Elizabeth przykucnęła koło niej i otoczyła ją ramionami.

— No, Maggie kochanie, nie płacz.

— Nie mogę się powstrzymać. Nie wiem, co robić. Powiedz mi...

— Nic, skarbie. Musimy przez to przejść, razem. Lepiej chyba, żebyś się wyplakała. Biedactwo. Margaret uspokoiła się po chwili, a w drzwiach stanęła Ida.

— Nic jej nie jest? — spytała zatroskana.

— Wszystko w porządku. Potrzebuje tego. Wszyscy potrzebujemy czasu.

— Tak — potwierdziła Ida takim tonem, że Elizabeth zamarła.

Czyżby Ida również słyszała plotki?

— Może pójdziesz położyć się w moim łóżku, Maggie? — zwróciła się do małej, kiedy szloch niemal ucichł.

— Dobrze — odparła, wstając ociężale.

— Ja już skończyłam, ale może chcesz, żebym jeszcze została?

— Nie, dzięki. Naprawdę, nie umiem nawet wyrazić, jaka jestem ci wdzięczna.

Elizabeth pragnęła zostać sama. Od zmroku dzieliło ją jeszcze sporo czasu, ale za wszelką cenę chciała zniknąć wszystkim z oczu.

— Pewnie zaraz wrócę do łóżka — ciągnęła nie patrząc Idzie w oczy.

— Wiesz, że wcześniej wyjeżdżamy. Idź do Harringtonów; ojca też tam wyślę, jak tylko wróci.

Przez najbliższe półtorej godziny ustawiała i przestawiała naczynia w kredensie i szorowała kuchenny stół z taką zaciekłością, że stwardniały jej ręce. Na myśl o Danielu szybko posmarowała je kremem. Słyszała, jak cichnie ruch w dziecinnej sypialni i właśnie zabierała się do prasowania dawno wyprasowanych ubrań, kiedy wrócił ojciec. Wyprawiła go do Harringtonów i stanęła pośrodku nieskazitelnie czystej kuchni. Na dworze wciąż nie chciało się ściemnić. Wzięła kilka głębokich wdechów i poszła zajrzeć do dzieci.

— Cześć, mamusiu — przywitała ją Goretti, unosząc się na łóżku.

Elizabeth przyłożyła palec do ust.

— Cicho, kochanie. Wszystko w porządku?

— Tak, tylko nie chce mi się spać.

— Zamknij mocno oczy i niedługo zrobi się nowy dzień. Pomodliłaś się?

— Tak. Kiedy tatuś wróci z nieba?

— Porozmawiamy rano. Teraz zamknij oczka jak grzeczna dziewczynka.

Kiedy indziej być może wyjęłaby małą z łóżka i porozmawiała, ale teraz zauważyła, że nareszcie zapadł zmrok. Rzuciła okiem na Kathleen pochrapującą obok Mary. Trzeba będzie sprawić się po cichu i bardzo szybko...

— Dobranoc, Goretti, pchły na noc.

— Karaluchy pod poduchy — odpowiedziało dziecko wtulając twarz w poduszkę.

Elizabeth podeszła do kuchennych drzwi i wyjrzała na podwórze. Nigdy nie sądziła, że przyjdzie jej przeklinać magiczną jasność letnich wieczorów na Béara. Zwiodły ją ciemności panujące w domu; mimo godziny jedenastej, na dworze wciąż było widno.

Nie mogła się już powstrzymać i pobiegła przez podwórko w stronę górnego pola. Dostrzegła ruch w okolicy zrujnowanego budynku i zwolniła, wyężając wzrok. Jeśli to nie Daniel, to lepiej, żeby nie widziano jej idącej w tamtą stronę. Ale to był on. Wyglądał lepiej niż rano: doprowadził do ładu włosy, a nawet udało mu się ogolić.

— Danielu!

Pocałowała go szybko i wciągnęła do środka.

— Musimy uważać. Sierżant cię szuka.

— Co się stało?

W milczeniu słuchał relacji z porannego spotkania; pod koniec wyglądał tak, jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

— Nie pozostaje mi nic innego jak się zgłosić.

— Tak mi przykro. To moja wina.

Ze złością zerwała ze ściany garść dzikiego wina i zmięła je w dłoni.

— Zrobiłaś, co mogłaś.

— Nie chodzi mi tylko o dzisiejszy dzień. Nie powinnam była... — nie mogła zebrać myśli.

— Czego?

— Powinnam mieć więcej samokontroli. I więcej rozsądku.

— Żałujesz, że spotkaliśmy się wtedy na Knockameala?

— Oczywiście, że nie!

Miała wielką ochotę rzucić mu się na szyję, ale zamiast tego, nie zwracając uwagi na osty, usiadła na ziemi i ukryła twarz w dłoniach. Przykląkł przy niej i pokrył jej ręce drobnymi pocałunkami.

— Nie płacz!

— Danielu, musisz się ratować. Musisz uciekać. Dostanę pieniądze od ojca, obiecał, że mi pomoże...

— Powiedziałaś mu o mnie?

— Jeszcze nie, ale pomoże, na pewno... Ma bardzo wpływowych przyjaciół. Mógłbyś jechać do Ameryki.

Ożywiona pomysłem skoczyła na równe nogi.

— Tak. Do Ameryki i to nie do Montany, bo każdy stąd ma kogoś w Montanie, tylko do Nowego Jorku albo Bostonu. Może nawet Chicago...

— Nie zamierzam uciekać.

Jego poważny ton podziałał na nią jak kubek zimnej wody. Chłopak stał z bezwładnie spuszczonej rękami.

— Musisz, oni cię wtrącają do więzienia. Mogą cię nawet i powiesić.

— Nie zrobią tego. Jestem niewinny. Nie mógłbym uciec. Raz uciekłem i zobacz, co z tego wynikło. Poza tym nigdy nie wziąłbym od ciebie pieniędzy.

— Pieniądze nic nie znaczą. To tylko papier i metalowe krążki. W Ameryce zarobiłbyś krocie i wtedy mógłbyś nam zwrócić.

— Nie.

Próbowała go jeszcze przekonywać, ale nic nie wskórała. Poddała się w końcu i położyła mu głowę na ramieniu, a on oparł na niej brodę. Stali tak przez moment.

— Jak udało ci się ogolić? — zapytała bez związku.

— Brat...

— Czy on by ci pomógł?

— Z pewnością, gdyby tylko potrafił, ale niewiele może.

Elizabeth czuła nierówne bicie jego serca. Nagle wyobraziła sobie, że wymiar sprawiedliwości mógłby to serce zatrzymać na zawsze, a potem pojawił się przed nią obraz Daniela na szubienicy. Ledwie powstrzymała krzyk.

— Jestem bardzo zmęczony.

Rozluźnił uścisk, ale przywarła do niego i ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

— Biedactwo. Słuchaj, w domu wszyscy śpią. Chodź ze mną, dam ci coś do jedzenia.

— Nie. Nie chcę mieszać w to twojej rodziny.

— Nie sądzisz, że i tak jesteśmy zamieszani? Chodź, to rozkaz — nalegała. — Pójdę przodem i upewnię się, że wszystko w porządku.

Wyszła ostrożnie. Nagle z lewej strony usłyszała syk i kątem oka dojrzała jakiś ruch. Tym razem krzyknęła ze strachu. Z resztek komina wysunęła się sowa i bezszelestnie poszybowała w stronę otwartego pola. Za parę sekund nie było po niej śladu.

— Widziałeś? — zapytała z bijącym sercem.

— To tylko sowa. Nie ma ich tu wiele.

— Sądysz, że to znak?

— Nie wierzę w znaki. Sowa to sowa.

Poczucie zagrożenia nie chciało jej opuścić. Uważnie rozejrzała się wokół, lecz przekonawszy się, że nikogo nie ma, wzięła Daniela za rękę.

— Chodź szybko — szepnęła.

Pospiesznie przemierzyli pole, a przy żywopłocie Daniel znów wziął ją w ramiona.

— Długo możemy nie mieć takiej szansy — powiedział cicho.

Elizabeth nie chciała dopuścić do siebie tej myśli lub co gorsza przypuścić, że nie zobaczą się już nigdy.

— Jutro jadę do Franceya do Cork.

— A ja rano pójdę na policję — odrzekł zdecydowanie i nachylił się, żeby ją pocałować.

— Miło mi to słyszeć! — rozległ się głos za nimi i zza żywopłotu wyszedł sierżant w towarzystwie młodego policjanta.

## ROZDZIAŁ 15

W ciągu następnych paru dni Elizabeth parę razy myślała, że nie przeżyje. Przychodziła do Franceya dwa razy dziennie, ale wrzaski, jakimi kończyły się te wizyty, doprowadzały ją do rozpacz. Jakby tego było mało, wciąż zamartwiała się o Daniela.

Tuż przed wyjazdem do Cork, w kilka godzin po aresztowaniu, pobiegła do Harringtonów. Ida jeszcze nie wstała, ale Tilly siedziała już w kuchni z Abigail.

— Elizabeth! — zawołała. — Spodziewałam się ciebie dopiero za parę dni.

Zmieszana Elizabeth wzięła dziecko na rękę.

— Stało coś się okropnego i nie ma czasu na owijanie w bawełnę. Muszę się odwołać do naszej przyjaźni i prosić cię o pewną przysługę, której pewnie nie zaaprobujesz. Powiedz tak albo nie, chociaż jeśli odmówisz, to nie wiem, co zrobić. W tobie cała moja nadzieja.

Elizabeth starała się objaśnić wszystko prosto i beznamiętnie, a Tilly słuchała bez słowa.

— Wierzysz, że mówię prawdę? Czy wierzysz Danielowi?

— Tak.

Jednoznaczna odpowiedź przyniosła Elizabeth taką ulgę, że odstawiła dziecko i uściskała przyjaciółkę.

— Nigdy ci się nie odwdzięczę.

— Co mam zrobić?

— Chciałabym, żebyś co jakiś czas chodziła na pocztę w Ergdroom albo Eyerics i dzwoniła do mnie z nowinami.

— Cała parafia będzie o tym trąbić.

— Już mnie to nie obchodzi.

— Tilly wahała się i Elizabeth zdała sobie sprawę, że prosi o rzecz niemożliwą. Choćby Tilly nie wiem jak pragnęła jej pomóc, musi brać pod uwagę własną pozycję społeczną, męża, krewnych. Nie potrzebowała nic mówić, żeby Elizabeth zrozumiała, w jak trudnym znalazła się położeniu. W porównaniu z osiadłym tu z dziada pradziada Neeleyem, zawsze pozostanie obca.

— Nie ma sprawy — powiedziała w końcu, ponownie ściskając przyjaciółkę. — Przepraszam, Tilly. Zrobię to w inny sposób, rozumiem, nie powinnam była prosić. Nie gniewaj się, nie przemyślałam wszystkiego dokładnie. Dobrze przynajmniej, że nam wierzysz.

— Tak. I obiecuję, że znajdę jakiś sposób, żeby przekazywać ci wiadomości.

— Wiem. Patrz, tak naprawdę nie przyszło mi do głowy, że będę chyba bliżej niego niż ty. Przecież zabrali go do Limerick albo Dublina.

Nie mogła wymówić słowa: więzienie. Ponownie podniosła Abigail.

— Pocałuj mamusię.

Żegnając się z Tilly jeszcze raz poprosiła ją o wybaczenie. Odwróciła się w drzwiach.

— Wszystko się ułoży i pewnego dnia ci się odwdzięczę.

Na pulchnej twarzy Tilly pojawił się rumieniec.

— Dajże już spokój.

Przez następny tydzień do Elizabeth docierały tylko strzępy wiadomości. Drugiego dnia Tilly, kochana Tilly, dostała się w jakiś sposób do prywatnego telefonu lekarza z Castletownbere. Zapewniwszy, że Ida świetnie daje sobie radę, powiadomiła ją, że tuż po aresztowaniu postawiono Daniela przed sędzią pokoju na specjalnym posiedzeniu w Eyerics, oskarżając o morderstwo. Policja zabrała go do więzienia w Limerick, a za tydzień, w Bantry, mają mieć miejsce dalsze

przesłuchania. Nikt nie wiedział, na kiedy planowano proces. Rodzina Daniela znalazła się na językach wszystkich mieszkańców półwyspu.

— Co mówią? — spytała Elizabeth z lękiem.

— Nie martw się, kotku. Masz tu wielu przyjaciół. Mick i ja bronimy Daniela, jak możemy.

— To znaczy, że wszyscy inni uważają go za winnego?

— Trzymajmy się prawdy. Oliwa sprawiedliwa.

Dzięki swoim kontaktom ojciec Elizabeth dowiedział się jeszcze więcej. Policja, przesłuchawszy połowę parafii, zbiera dowody i za miesiąc przekaże je prokuratorowi okręgowemu. Do tej pory Daniel pozostanie w areszcie.

— Ty także będziesz zeznawać, Beth. Kiedy tylko poczujesz się na siłach, zawiozę cię na Union Quay.

Mówiąc to, nie patrzył jej w oczy, a Elizabeth za wszelką cenę starała się nie zdradzić prawdziwych uczuć.

— Jeszcze nie, nie zniósłabym...

— Wobec tego kiedy indziej...

Siedzieli w kuchni, a w zmywalni Maeve szczękała garnkami. Z głębi domu dochodziły ciche dźwięki pianina: to Corinne znów udzielała lekcji. St John nabrał zwyczaju przychodzenia na lunch do domu. Panowała ciepła, rodzinna atmosfera i mogło się zdawać, że ostatnie wypadki w Lahersheen nigdy się nie zdarzyły.

— Na pewno nie masz mi nic do powiedzenia, Beth? Jak tamtego dnia, kiedy wracaliśmy z posterunku?

Elizabeth nabrała do niego wielkiego zaufania i rzeczywiście od jakiegoś czasu bardzo chciała się zwierzyć. Zdawała sobie jednak sprawę, że ojciec nigdy nie pojmie ani nie zaakceptuje jej obsesji na punkcie Daniela, a kolejny wyskok tylko go przygnębi.

— Nie, tato. Chyba nie.

Spojrzał na zegarek i wstał od stołu.

— Jak chcesz. W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

— Dzięki.

Dzień za dniem upływał jej w rytmie szpitalnych odwiedzin. Corinne sugerowała odnowienie starych przyjaźni, ale Elizabeth wołała nie kończyć się spacerów po uliczkach i wzgórzach Cork. Chodziła aż do zupełnego wyczerpania. Uległa matce tylko w jednym: poszła do fryzjera, ale wynik zupełnie jej nie interesował.

Na przekór kłopotom, pogoda dopisywała jak rzadko i Elizabeth często gryzła się myślą, że Daniel ogląda ten piękny świat tylko przez małe, zakratowane okienko.

Ósmego dnia ojciec zawiadomił ją przez telefon, że pierwsze przesłuchanie przed sądem w Bantry nie zabrało dwóch minut.

Elizabeth wróciła właśnie z porannej wizyty u syna. Przez moment trzymała w ręku słuchawkę, a potem bez płaszcza i kapelusza wyleciała na dwór. Wsiadła do pierwszego lepszego autobusu i dojechała do Patrick Street. W kinie po drugiej stronie ulicy grano po raz kolejny „Dla mnie i mojej dziewczyny” z Judy Garland i Gene Kelly. Elizabeth od lat nie chodziła do kina, ale ten film widziała jeszcze z matką. Pomyślała, że w ten sposób zabije ze dwie godziny.

Po czterdziestu minutach wypadła z kina roztrzęsiona jak osika. Po raz pierwszy zobaczyła kronikę wojenną i wiadomości z Europy i Krymu. Czterdziestu siedmiu więźniów zastrzelono przy próbie ucieczki z niemieckiego obozu, armia sowiecka odzyskała Sewastopol, a alianci odnieśli wielkie zwycięstwo pod Monte Cassino i ciągnęli na Rzym. Na Béara starannie czytano gazety, ale Elizabeth rzadko zwracała na nie uwagę. Miała niewielkie potrzeby, nie odczuwała braku tytoniu,

a „zagrożenie” nie znaczyło dla niej więcej niż brak pomarańczy i czekolady oraz pozbawiona smaku, używana herbata.

Wielu młodych z sąsiedztwa przyłączyło się do Lokalnych Sił Obronnych lub Marynarki, w czym nie najmniejszą rolę odgrywał przywilej noszenia munduru, który rwał oczy dziewcząt podczas potańcówek. Dopóki w zeszłym roku nie zawieszono komunikacji między Irlandią i Wielką Brytanią, do parafii wracał niekiedy jakiś młodzieniec na przepustce z Francji lub Anglii. Dla Neeleya ich mundury koloru khaki stanowiły kamień obrazy i choć Elizabeth nie dbała o to wcale, rodzina Scollardów nigdy z nimi nie przestawała.

Widok błota, ran, trumien, zniszczeń wojennych i wyczerpanych żołnierzy wywarł na niej głębokie wrażenie i w jednej chwili zmniejszył jej własne problemy. Chłopcy w mundurach przypominali jej Daniela i tęsknota stała się nie do zniesienia. Wiedziała, że może go tym wpędzić w jeszcze większe kłopoty, ale za wszelką cenę musiała się z nim skontaktować i dać mu znać, że nie jest sam.

Postanowiła do niego napisać. Pomysł wydawał jej się tym lepszy, że jeśli przeczyta go więzienna cenzura, można tą drogą dać świadectwo prawdzie. Czym prędzej wróciła do domu i resztę popołudnia poświęciła na staranne opracowanie listu. Starła się utrzymać w swobodnym stylu, a jednocześnie przedstawić jasno wszystkie fakty. Począwszy od spotkania na Knockameala aż do aresztowania opisała swoją wersję zdarzeń, nie omijając zajścia na potańcówce Jimmy’ego Deeneya w Castleclough, podarowanego łososia i meczu z Franceyem. Nie wspomniała tylko o pieszczotach.

*...pewnie cię ciekawi, Danielu*

pisала w podsumowaniu, w dalszym ciągu na użytek władz więziennych

*dlatego tak rozwodzę się nad szczegółami. Chcę ci przez to wykazać, że w razie procesu nie masz się o co martwić. Wystarczy, że powiesz prawdę, a z pewnością ci uwierzą. Jak wiesz, mój mąż nie był złym człowiekiem, i chociaż, jak każdy, miał swoje wady (w całej parafii wiadomo, że czasem ponosiły go nerwy i nie powinien odzywać się tak do ciebie w Castleclough tamtego wieczora) bez wątpienia pierwszy zaświadczyłby na twoją korzyść, gdyby wiedział, że przez ten wypadek zostaniesz fałszywie oskarżony o morderstwo.*

*Mam nadzieję, że jesteś zdrow i nie zamartwiasz się. Od Tilly Harrington wiem, że cała parafia dużo o tym mówi, to zrozumiałe, ale też wielu ludzi zna prawdę. Niedługo będzie po wszystkim.*

Zatrzymała się, żując skuwkę długopisu. Chciała dopisać coś, co miałyby dla nich dwojga sekretne znaczenie. Po namyśle dodała:

*Miej odwagę i ufność. Niebawem wrócisz do rodziny i wszystkich nas na Knockameala.*

Nagle przypomniała sobie, że na tym miejscu zginął Neeley, więc podarła stronę i zmieniła zakończenie:

*Niedługo wrócisz do rodziny i wszystkich na Béara, którzy cały czas myślą o tobie.*

*Niech cię Bóg błogosławi.*

*Twoja szczerze oddana przyjaciółka*

*Elizabeth Scollard*

Wiedziała, że nie brzmi to najlepiej, ale liczyła na jego domyślność. Przez całą drogę na pocztę przyciskała list do siebie, chcąc wlać w niego całą swą wiarę i siłę przekonywania.

Tego dnia dostała też pomyślne wiadomości: pojutrze mogła zabrać Franceya do domu. Pozostało jej już zatem tylko złożyć zeznania na posterunku Gardy. Ojciec poszedł z nią i dzięki jego reputacji i poważaniu, jakim się cieszył, cała procedura przebiegła niezwykle sprawnie. Młody oficer spisujący zeznania zrobił wrażenie zakłopotanego, a dobrze przygotowana Elizabeth sprawnie streściła wszystko, co wiedziała na temat zajść, dodając także własną wersję zdarzeń. Przyznała, że opiera swój sąd na dwóch rozmowach z oskarżonym.

Oficer bez żadnych komentarzy odczytał zeznanie i dał jej do podpisania.

Ojciec nie okazał po sobie zaskoczenia, ale po drodze do szpitala zapytał:

— Elizabeth, czy mam przez to rozumieć, że pisałaś do niego?

— Tak — przyznała zaskoczona. — Skąd wiesz?

— To nieistotne. Słuchaj, chyba nadszedł czas, żebyś powiedziała mi prawdę. W przeciwnym razie jak mam ci pomóc?

Elizabeth milczała przez chwilę. Nerwowym ruchem chciała zgarnąć włosy z czoła, ale zdała sobie sprawę, że ręka szuka na próżno.

Zatrzymał się i patrzył na rzekę. Podniósł mały kamyczek.

— Czekam, Beth.

— No dobrze. Kochamy się, tato, Daniel i ja.

Wiedziała dobrze, że słowo „miłość” nigdy między nimi nie padło, a nawet nijak się miało do jej zauroczenia.

— Już to kiedyś słyszałem — zauważył St John gorzko.

— Przepraszam, tato, ale tak się rzeczy mają. Jeżeli z tego powodu nie chcesz mieć ze mną więcej do czynienia, to zupełnie cię rozumiem.

— Jak daleko zaszliście?

— Nie tam, gdzie sądzisz. Jeżeli masz na myśli fizyczne zbliżenie, to do niego nie doszło. Oboje wiemy, że to nie na miejscu.

— To już jakiś postęp. Powinnaś była wcześniej mi powiedzieć.

Poczerwieniał cały. Elizabeth gorąco pragnęła zaoszczędzić mu tej rozmowy, nie nadwerężyć równowagi, którą zyskali wreszcie po tylu latach. Nie umiała ubrać w słowa tych uczuć, więc wyjąkała tylko:

— Przepraszam, tatusiu. Nie mogłam.

— Zostaw to mnie — powiedział niejasno i ujął ją pod ramię.

Nie śmiała pytać o nic więcej.

Francey czekał już na nich. Był ubrany i ogoloną głowę owinięto mu ściśle bandażem.

— Przynieśliście mi prezent? — zapytał, gdy tylko ich zobaczył. Pielęgniarki i starsi pacjenci na oddziale rozpieszczali go okropnie i zanosilo się na to, że trudno go przyjdzie opanować. Elizabeth westchnęła.

— Nie. Bądź grzeczny.

Pojechali taksówką do domu, gdzie Maeve zajęła się nim gorliwie napychając go szarlotką z bitą śmietaną i szklankami soku z czarnych porzeczek, które zbierała w przydomowym ogródku.

— Ależ on się rozchoruje! — zawołała Corinne, obserwując kolejne porcje znikające w jego buzi.

— Wcale nie, babciu — odparł z pełnymi ustami. — Już jezdę duży i to uwelbam.

— Na miłość boską, Francey, mów przyzwoicie.

— Mówię przyzwoicie — zaproponował, dokładając następną łyżkę bitej śmietany. — Wszyscy tak mówią.

W drzwiach stanął ojciec.

— Beth, można na słówko?

— Mamo, zajmiesz się nim? — zapytała Elizabeth wstając od stołu.

— Tak, moja droga. Nie marudź za długo, dobrze?

Elizabeth miała na końcu języka, że niebawem wyjadą na dobre. Mimo obecnego zawieszenia broni matka strasznie działała jej na nerwy. Odpowiedziała jednak słodkim tonem:

— Postaram się.



Ojciec zaprowadził ją do gabinetu. Zamknął drzwi i usiadł za ogromnym biurkiem. Elizabeth poczuła się jak klientka wezwana na konsultację i trochę się zdenerwowała.

— Co się stało, tato?

Ojciec odczekał, aż usadowiła się wygodnie i złączywszy dłonie, spojrzał na nią surowo.

— Nie pytaj, jak tego dokonałem, ale jeśli chcesz, możesz odwiedzić młodego McCarthy'ego przed wyjazdem. Nie wiem tylko, skąd uda mi się wytrzasnąć benzynę na podróż do Limerick, moje źródła już się wyczerpały. Trzeba będzie pojechać autobusem albo wynająć powóz.

Elizabeth oniemiała. Ton, jakim to mówił, równie dobrze nadawał się do oznajmienia, że właśnie skazano ją wraz z kochankiem na galery. W końcu podskoczyła z radości i chciała rzucić mu się na szyję.

— Tato!

— Opanuj się.

— Tak, tato.

Usiadła z powrotem jak oblana zimną wodą.

— Dziś wieczorem, o wpół do siódmej. Teraz dochodzi pierwsza. Weźmiemy taksówkę.

— Dziękuję.

— Ostrzegam cię, że widzenie będzie krótkie i pod ścisłą kontrolą. I kosztowało majątek — dodał z westchnieniem.

— Przykro mi.

— Pewnie lepiej nie wspominać o tym matce.

— Oczywiście.

Oczekiwanie mieszało się z lękiem, bo nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać. Jej wyobrażenia na temat więzień pochodziły wyłącznie z książek z czasów królowej Wiktorii.

Wróciła do kuchni i wyjaśniła matce, że w związku ze śledztwem musi iść z ojcem do biura.

— Czeka nas sporo pracy, Corinne — dodał ojciec. — Pewnie zjemy w Oyster. Nie czekaj na nas, bo raczej nie wrócimy przed północą.

Francey zerwał się na równe nogi.

— Mogę iść z wami?

Corinne rozpromieniła się.

— Co za wspaniały pomysł.

— Nie, kochanie — przerwała Elizabeth pospiesznie. — Dziadek i ja mamy do omówienia sprawy dla dorosłych.

— Na pewno spodoba mu się zabawa z maszynami do pisania. Nie moglibyście go zabrać?

Elizabeth mało nie zazgrzytała zębami.

— Wiesz, jeśli jesteś zajęta, to poproszę Maeve, żeby miała na niego oko.

Matka wstała z westchnieniem.

— Nie trzeba. Chodź Francey, nauczę cię grać grę.

\* \* \*

Grube mury i nierówna podłoga więzienia zrobiły na niej przygnębiające wrażenie. Oboje z ojcem czekali na Daniela w niewielkim pokoiku, siedząc za dużym, topornym stołem. Po drugiej stronie stało krzesło, a pod ścianą żelazny stołek, pewnie dla strażnika. Przez małe, zakratowane okienko wpadało słabe światło, a nad głową paliła się słaba, niczym nie osłonięta żarówka.

Krzesło Elizabeth miało nierówne nogi albo stało na jakimś wyrzuceniu; cały czas bała się, że straci równowagę.

— To oburzające. Powiedzieli wpół do siódmej, a już jest za dziesięć.

— Cierpliwości. Robią ci uprzejmość, nie zapominaj o tym.  
Pomieszczenie śmierdziało środkami odkażającymi i gotowaną kapustą.

— Brr, jak oni mogą wytrzymać taki fetor.

— Ostrzegalem cię.

Z każdą chwilą denerwowała się coraz bardziej. Wreszcie drzwi się otworzyły i na progu stanął Daniel. Po jego twarzy przewinęło się kolejno przygnębienie, zaskoczenie i radość.

— Elizabeth!

Wydawało się, że ma ochotę do niej podbiec, aż uniosła się z miejsca, ale jedno spojrzenie na towarzyszącego strażnika szybko ostudziło jego zapał. Nagle Elizabeth niemal straciła dech: Daniel nosił kajdany.

— Jestem ojcem pani Scollard, panie McCarthy — odezwał się St John oficjalnym tonem. — Tak się składa, że jestem również prawnikiem.

Dźwięk własnego nazwiska uderzył ją niemile. Wyglądało na to, że wbrew początkowej wielkoduszności ojciec nie ma zamiaru niczego ułatwiać. Nachyliła się tak, żeby stracić go z oczu.

— Jak się miewasz?

— Dobrze, proszę pani.

Elizabeth poczuła, że zaraz się rozplacze, ale zamiast tego wezbrała w niej złość. Miała za złe ojcu jego niewrażliwość, Neeleyowi to, że umarł, a policji i wszystkim ludziom fakt, że postawili ją i Daniela w obecnej sytuacji.

— Czy on może usiąść? — zwróciła się do strażnika.

— Idź — skierował go na wolne krzesło. Spróbowała się opanować.

— Dostałem pani list — odezwał się chłopiec; skute ręce trzymał pod stołem i rzucał niepewne spojrzenia na St Johna.

— Cieszę się. Znów do ciebie napiszę, jak tylko przyjadę do domu.

— Kiedy pani wraca?

— Jutro.

Zapadła cisza. Gniew Elizabeth przeminął tak szybko, jak się pojawił. Poczula się słaba i bardzo smutna.

Och, Danielu — wołała w myślach. — Jedź ze mną. Powiedz, że wszystko to tylko sen i wracamy razem...

— Jak się ma Francey?

— Jak złoto. Pielęgniarki strasznie go rozpuściły i głowę ma jeszcze w bandażach, ale wyjdzie z tego.

— Proszę mu powtórzyć, że o niego pytałem...

— Oczywiście.

— W końcu nigdy nie zabrałem go na mecz.

— Nic straconego.

Chyba lepiej zrobiłaby nie przychodząc tu wcale. Te kajdany i palące spojrzenia ojca i strażnika... Kątem oka zauważyła, że strażnik właśnie popatrzył na zegarek. Chyba jeszcze czas się nie kończył? Wzięła się w garść.

— Zaufaj mi — zwróciła się do Daniela. — Wiem, że teraz sprawy wyglądają niewesoło, ale obiecuję, że wszystko się ułoży. Obiecuję Danielu.

Wzięła głęboki oddech i podjęła decyzję. Nie ma czasu na subtelne rozróżnianie między fizycznym pożądaniem i miłością. Można to odłożyć na potem.

— Kocham cię z całego serca — szepnęła. — Nie mieliśmy okazji sobie o tym powiedzieć i przyznaję, że to straszne miejsce niezbyt się do tego nadaje, ale nic innego nie pozostało.

Czuła, że ojciec sztynnieje.

Daniel również nachylił się w jej stronę.

— Elizabeth... — zaczął.

— Cii, jeszcze nie skończyłam. Nie mamy wiele czasu, więc chcę, żebyś na zawsze zapamiętał ten moment. Kocham cię, Danielu McCarthy — powtórzyła z naciskiem.

Zanim zdążył odpowiedzieć, strażnik podniósł się i położył mu rękę na ramieniu.

— Czas minął, synu.

Daniel próbował go odtrącić, ale Elizabeth szybko wstała z miejsca.

— W porządku. Idź z nim. Wszystko będzie dobrze.

Daniel, o głowę wyższy od strażnika, pozwolił zaprowadzić się do drzwi, ale odwrócił się jeszcze raz i uśmiechnął się promiennie. Wyglądał jak płonąca pochodnia.

— Kocham cię, Elizabeth.

— Danielu...

Zrobiła parę kroków w jego stronę, ale strażnik pociągnął mocniej.

— Cokolwiek się wydarzy, kocham cię, *ghléghéal*.

Wyszedł i przez moment Elizabeth próbowała usłyszeć jego kroki zza zatrzaśniętych drzwi, ale dobiegł do niej jedynie szcęk otwieranych krat. Z zamkniętymi oczami rzuciła się ojcu w ramiona. Zawahał się przez chwilę, wreszcie pogłaskał ją po głowie.

— Wszystko będzie w porządku — powtórzył jak echo.

\* \* \*

Wrócili do rozmowy o Danielu dopiero następnego dnia, w drodze do Lahersheen. Elizabeth strasznie się bała, że ojciec potępi jej zachowanie podczas widzenia, więc obecność rozbrykanego Franceya była jej bardzo na rękę. Niestety, kiedy przejeżdżali przez góry w okolicach Glengarriff mały zasnął.

— Zastanawiałem się, Beth... — odezwał się St John odchrząknąwszy.

Serce zabiło jej mocniej.

— Tak?

— Martwię się o ciebie.

— Nie trzeba, tato. Wiem, o co ci chodzi...

— Naprawdę?

Zwolnił trochę na ostrym zakręcie.

— Czy rzeczywiście wierzysz w jego wersję wypadków?

— Tak — przyświadczyła energicznie. — Będziesz mógł nam pomóc?

— Obawiam się, że przed sądem jego słowa zostaną przeciwstawione dochodzeniu policji, a z tego, co pamiętam, okoliczności bardzo go obciążają.

— Tak, ale to nie dowód na morderstwo z zimną krwią, tato. Daniel nie zamordował Neeleya. To był wypadek.

St John rzucił jej przeciągłe spojrzenie.

— Ile ten chłopak ma lat?

— Dwadzieścia.

— Może to nie moja sprawa, ale czy to odrobinę nie za mało?

— Faktycznie, to nie twoja sprawa.

— Licz się ze słowami. Jeżeli chcesz mojej pomocy, to powściągnij język.

— Och, tato, przepraszam — powiedziała szybko, widząc, że posunęła się za daleko. — Naprawdę możesz coś zrobić?

— Niczego nie obiecuję, ale porozmawiam z paroma kolegami. Przydzielono mu już obrońcę, więc chodzi tu również o etykę zawodową.

— Gdyby miał po swojej stronie kogoś takiego jak ty... Zrobiłbyś to?

— Zobaczymy. Nawet w najgorszym przypadku z pewnością uda nam się uzyskać zmianę oskarżenia na zabójstwo, niemniej mogą uznać go za winnego. Wtedy można apelować o zmniejszenie wyroku.

— Ale on jest niewinny, tato!

— Elizabeth — powtórzył ojciec cierpliwie — prawo zajmuje się faktami i dowodami. Jedyny jak dotąd dowód, strzelba, świadczy przeciw niemu. Poza tym kłótnia na tańcach, przy wielu świadkach, ta niefortunna ucieczka i twoje... hmm, zainteresowanie jego osobą...

Serce Elizabeth zamarło wobec takiego ujęcia sprawy.

— Tato!

— Nie załamuj się. Widziałem już w sądzie mnóstwo dziwnych zdarzeń. W tej chwili nie mam wielu zleceń, więc pojedę spotkać się z nim za parę dni, dobrze?

Nie dodał już nic więcej, ale kiedy następnego dnia wracał do Cork, opuścił na odjezdnym szybę i powiedział:

— Proszę cię, Elizabeth, nie rób więcej żadnych głupstw. Dla własnego dobra, jeśli inne powody nie przychodzą ci do głowy. Nie sądź, żebyśmy z matką znieśli coś nowego.

\* \* \*

Tydzień później Elizabeth zastanawiała się, jak ojciec zareagowałby na jej nowy pomysł. Usłyszała rozmowę Tilly z jej kuzynką z Eyeries na temat wróżki — Angielki mieszkającej w Caherkeem po drugiej stronie zatoki. Wyczerpana kilkoma dniami łez i lęku uchwyciła się przepowiedni jak tratwy ratunkowej.

— Pewna jesteś? — spytała Tilly z niedowierzaniem. — Wiesz, że z tarotem trzeba uważać.

— A ja sądzą, że to świetny pomysł, pani Leahy to wspaniała kobieta — zawołała kuzynka, gorąca zwolenniczka kart.

Elizabeth słyszała już o Alison Charlton Leahy, która jeszcze przed wojną przyjechała na Béara na wakacje. Zakochawszy się w okolicy i jednym z mieszkańców, pozostała na zawsze. Ponieważ była protestantką i nie zgodziła się zmienić wiary, jej ślub odbył się za specjalną dyspensą.

Nie była jedyną wróżką w okolicy. Na Béara ściągano dużo obcokrajowców o mistycznych charakterach, zainteresowanych okultyzmem i zjawiskami paranormalnymi. Kościół nie patrzył na nich przychylnym okiem, sprzeciwiał się nawet Cyganom i wróżbitom ustawiającym swe budki podczas targów. Niewiele jednak dało się poradzić, gdyż podobnie jak pani Leahy większość z nich nie była katolikami, kończyło się więc jedynie na pogrózkach. Pani Leahy cieszyła się reputacją najlepszej wróżki na półwyspie i nigdy nie brakowało jej klientów.

Tak więc pewnego wietrznego dnia Elizabeth znalazła się w ciepłej, przytulnej kuchni Angielki.

— Czyż to nie wspaniale — mówiła rozpromieniona pani Leahy — wygląda na to, że wojna niedługo się skończy.

Elizabeth uśmiechnęła się grzecznie. Całe Béara z napięciem śledziło postępy inwazji alianckiej, która rozpoczęła się w zeszłym tygodniu.

Kilka minut później obserwowała, jak gospodyni rozkłada karty. Uderzyło ją, jak bardzo powierzchowność pani Leahy odbiega od obiegowych wyobrażeń na temat wyglądu wróżki: była szczupłą, choć grubokoścista, miała płowe włosy, rozmyte niebieskie oczy i olbrzymie dłonie i stopy. Nosiła kalosze. Z pewnością nie pasowałyby do taboru cygańskiego. Rozłożyła karty na zwykłym kuchennym stole, na którym jedyny symbol sztuki stanowiła dymiąca czarka z

kadzidłem. Elizabeth denerwowała się coraz bardziej, nie tylko w oczekiwaniu na przepowiednię, lecz także dlatego, że pewnie już pół parafii wiedziało o jej wizycie; stojący przed furtką wózek i koń Harringtonów nie pozostawiał żadnych wątpliwości, a nie mogła przyplnąć łodzią ze względu na pogodę. Towarzyszyła jej Tilly.

— Kiedy są twoje urodziny?

— Osiemnastego sierpnia.

— Ach, Lew, to wiele wyjaśnia. Musisz znów się skupić, jak wtedy gdy tasowałaś i wybierałaś karty. To dwustronny proces, więc twoje pytania i komentarze mają wpływ na interpretację. Im jesteś szersza, tym lepiej. Rozumiesz?

Elizabeth ścisnęło w dołku. Trzykrotne przekładanie kart lewą ręką i podobne zabiegi zawstydzają ją okropnie. Wróżka podchodziła do sprawy poważnie, więc i ona z uwagą zaczęła przyglądać się kartom. Niektóre wyobrażały postacie ludzkie i jedna z nich, w samym środku, nosiła rysunek mężczyzny powieszonoego za nogę. Natychmiast przyszedł jej do głowy Daniel.

— Nie należy wyjaśniać kart poza kontekstem, moja droga — odezwała się pani Leahy, jakby czytała jej w myślach. — Wisielec niekoniecznie oznacza to, co nam się zdaje. Wszystko zależy od tego, gdzie się znajduje i co go otacza. W wielu wypadkach symbolizuje pogodzenie się z trudną sytuacją i poświęcenie, niesamolubny gest. Niemniej tę kartę nazywamy „niegodną”, więc zapewne poświęcenie, którego dokonałaś lub dokonasz, nie stało się całkiem z twojej woli.

Wybiegamy jednak za dużo naprzód. Nie chcę omawiać kart pojedynczo. Kiedy do niej dojdziemy, wszystko będzie jasne. Najważniejsze, że ten układ, choć znamionuje kłopoty (któż z nas ich nie ma) daje w rezultacie bardzo pozytywny obraz, więc nie powinnaś się martwić.

Elizabeth skinęła głową, a wróżka przyjrzała się jej bacznie.

— Muszę przyznać, że wiem, kim jesteś. To twój mąż został zastrzelony. Dlatego tu przysłaś?

— No... — zaczęła, ale pani Leahy ubiegła ją.

— Tak, wszystko tu widać. Wieża oznacza, że dotknęła cię wielka strata i twoje życie nagle się zmieniło. Ale ta karta oznacza również, że w ten sposób zakończyła się sytuacja, która i tak nie mogła dłużej się ciągnąć. Tylko ty wiesz, jak powinnaś ją wykorzystać. Widzisz, ja mogę tylko sugerować ci drogi. Karty powiedzą, co się dzieje i co może się zdarzyć, dadzą zarys możliwości, ale tak naprawdę tylko od ciebie zależą twoje przyszłe losy. Pamiętaj, sama wybrałaś karty, coś pchnęło cię co takich, a nie innych wyborów. Dlatego proszę, żebyś skupiła się i wybierała tylko te, które do ciebie mówią. Niezależnie od znaczenia kart i mojej interpretacji w dalszym ciągu masz wolną wolę i nie wolno ci o tym zapominać.

Rzeczowy ton kobiety uspokoił Elizabeth powoli. Po chwili fascynacja całkowicie wyparła strach. Przyjechała tu bez zapowiedzi i wydawało się mało prawdopodobne, żeby wróżka przeprowadzała jakiś szczegółowy wywiad na temat każdego mieszkańca półwyspu, zatem jej słowa musiały pochodzić z nadprzyrodzonego źródła. Zapewne słyszała o pierwszej miłości i nieślubnym dziecku — wiedzieli o tym wszyscy, ale wydawało się, że orientuje się równie dobrze w niezbyt szczęśliwym małżeństwie z Neeleyem.

Opisała także sytuację z Danielem, określając ją jako niezwykłą i głęboką więź fizyczną, napotykaną liczne przeszkody.

— Jak to się rozwinie?

— Nie sądz, że unikam twego pytania, ale jeszcze trochę na nie za wcześnie.

— Rozumiem.

Wróżka ponownie przyjrzała się kartom.

— Tak — mruknęła. — Cztery Monety, to niedobrze, Rycerz pucharów, Księżyc... tak, Kapłanka... Co powiedziałaś na powtórny ożenek? — zapytała nagle.

Elizabeth uradowała się. To przerastało nawet jej nadzieje. Zatem wszystko zmierza ku dobremu.

— Niczego bardziej nie pragnę — zaczęła z zapałem, ale pani Leahy powstrzymała ją gestem.

— Znosi się na trudności i długie oczekiwanie. Tak, oczekiwanie.

Oczywiście! Oficjalnie nosiła przecież żałobę i nie powinna brać ślubu przed upływem roku. Jakby zgadując jej myśli, wróżka znów skinęła dłonią, jakby czemuś przeczyła.

— Istnieje wiele przeszkód, zupełnie nieoczekiwanych. Da się je przewyciężyć, to zależy od ciebie. Karty mówią, że masz teraz olbrzymią siłę i odwagę. Także mądrość, ale powinnaś się strzec, bo czyha niebezpieczeństwo, którego możesz nawet nie zauważyć, aż będzie za późno. Oprócz jawnych przeszkód czeka cię wiele ukrytych. To niezmiernie ważne: wciąż musisz mieć oczy otwarte. Nie zdarza ci się czasem rzucać w coś na oślep?

— Tak — przyświadczyła z uśmiechem.

— Widzisz tę kartę? To ty, Królowa kijów, a ta tutaj, Cesarzowa, udziela ci rad, których powinnaś słuchać. Troszczy się o ciebie, jest starsza niż ty, może twoja matka?

Elizabeth uśmiechnęła się słabo.

— Raczej nie — odrzekła i od razu pomyślała o Tilly.

Pani Leahy przyglądała jej się bacznie.

— No cóż, uważaj na słowa tej kobiety.

— Ile pozostało czasu do tego małżeństwa? — spytała Elizabeth; Daniel interesował ją dużo bardziej niż Tilly.

— Zapytałam, jak się do tego odnosisz, bo wygląda, że wyjdiesz za mąż dwukrotnie, z czego raz ze względów majątkowych.

— Dwa razy? To znaczy moje poprzednie małżeństwo i jeszcze jedno?

— Nie, obydwu w przyszłości. Jedno z rozsądku. Nie zapominaj, że we wszystkim masz wolny wybór, ja wiem tylko to, co mówią karty.

— Które... które z nich zawrę z powodu majątku?

— Pierwsze. W pewnym sensie pierwsze przyniesie korzyść drugiemu.

— Czy to znaczy, że wyjdę za mąż dla pieniędzy?

— Będziesz miała taką okazję — poprawiła ją pani Leahy i ponownie spojrzała w karty. — Bez wątplenia z rozsądku, nie umiem powiedzieć, czy dla pieniędzy czy nie, ale z pewnością transakcja handlowa odegra tu swoją rolę.

Przewierciła Elizabeth wzrokiem.

— Może to już się dzieje, moja droga? Czy nie dlatego tu przysłaś? Nie możesz się zdecydować?

Wstrząśnięta Elizabeth nie mogła wydobyć głosu. Oparła się na krzesło i próbowała zebrać myśli.

— Nie — szepnęła w końcu — nic takiego nie przyszło mi do głowy.

Czy rzeczywiście tak było? Czyż nie miała nadziei, że zostanie żoną Daniela Carriga? Dotarło do niej coś jeszcze: skoro w kartach tak wyraźnie widać ślub, znaczy, że Daniela wkrótce uwolnią z więzienia. Nie cieszyła się długo: w jaki sposób związek z nim można nazwać małżeństwem z rozsądku? A wychodząc za niego, czemu miałyby pragnąć wyjść za mąż po raz wtóry? Chyba że on też umrze...

Pani Leahy patrzyła na nią ze współczuciem.

— Pozwól, że powtórzę raz jeszcze: ogólny obraz dobrze rokuje. Przebrniesz przez wszystkie trudności, nawet, obawiam się, tragedie, ale w końcu zwyciężysz. Karty bardzo wyraźnie pokazują miłość. Nie uda ci się jej zniszczyć, nawet jeśli spróbujesz. Powiedziałabym wręcz, że już teraz znalazła się na swoim miejscu.

— Dlaczego miałabym ją niszczyć?

— Tylko ty znasz odpowiedź. O, widzę także podróż przez wielką, ciemną wodę — dodała jowialnie.

Elizabeth gapiała się na nią. Coś ją drażniło i to dużo mocniej, niż się spodziewała. Dotąd czytanie z kart stawiała nie wyżej od wróżenia z fusów, które czasami urzędzała Tilly w ramach towarzyskich rozrywek. Nie oczekiwała, że uwierzy tej kobiecie ani że przepowiednie będą tak szczegółowe. Zaśmiała się nerwowo.

— Ciemna, głęboka woda? To pewnie przeprawa łodzią do Lahersheen?

Pani Leahy nie zareagowała nawet na kiepski żart.

— Zadowolili cię moja kabała? Chcesz, żebym rozłożyła jeszcze raz? Bez dodatkowej opłaty.

— Nie, dziękuję.

— No dobrze, moja droga. Czekaj na mnie tuzin wygłodniałych kurcząt.

Wstała i zdmuchnęła kadzidło.

— Przyjemnie stawiać karty komuś tak szczeremu i otwartemu. Pewnie to twój pierwszy raz?

— Tak.

— Cóż, teraz pewnie wiesz, że nic w życiu nie dzieje się przypadkowo. Ludzie tacy jak ja nigdy się nie dziwią, spotykając niektórych po raz pierwszy. Pytający rzadko się do tego przyznają, ale zwykle przychodzą wtedy, kiedy naprawdę są na to gotowi. W twojej aurze zachodzą teraz niezwykle zmiany i nie przypadkiem zjawiałaś się u mnie po poradę.

Elizabeth zapłaciła i zawołała z poczekalni Tilly. Pani Leahy odprowadziła je do drzwi. Zimny powiew wiatru wdarł się do ciepłej kuchni.

— Pamiętaj, moja droga, dałam ci tylko garść informacji. Traktuj je jak mapę, ale to od ciebie zależy, którą pójdiesz drogą.

## ROZDZIAŁ 16

Jeszcze tego samego wieczora część przepowiedni stała się rzeczywistością.

Elizabeth sprzątała właśnie po herbacie, kiedy do kuchni wpadł Francey.

— Mamusiu, ktoś chce się z ciebie widzieć.

— Z tobą — poprawiła odruchowo. — I załóż z powrotem czapkę.

Francey sam zdjął sobie bandaż, ale Elizabeth upierała się, żeby nakrywał wygolone miejsce. Wytarła ręce o fartuch i wyszła na podwórze.

Deszcz już się skończył, ale wciąż wiało i panował wcale nie czerwcowy chłód. Na środku podwórka stał Mossie Breac, trzymając w ręku czapkę.

— Mossie! — przywitała go z uśmiechem.

Wciąż niepokoiły ją jego uważne spojrzenia, ale od śmierci Neeleya pomagał jej tak bardzo, że nie chciała okazać się niewdzięczna.

— Dobry wieczór, Lizzie. Przepraszam, że ci przeszkadzam...

Był zakłopotany jak nigdy.

— Ależ nic nie szkodzi. Może wejdiesz? W kuchni co prawda pełno dzieci...

W przeciwieństwie do większości sąsiadów Scollardowie nie mieli bawialni i kuchnia ciągnęła się przez całą długość domu.

— Nie, dzięki. Zaszedłem tylko powiedzieć, że torf na twojej działce jest znakomity.

Miał na sobie codzienne ubranie, a jednak zdawało się, że uwiera go kołnierzyk i krawat. Elizabeth nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Mossie od dawna pracował na torfowisku opuszczonym przez Neeleya. Może teraz spodziewał się zapłaty? W tej okolicy sąsiedzi często pomagali sobie wzajemnie i o pieniądzach nikt nie wspominał, ale może istniała zwyczajowa, znana tylko głowom rodziny forma wdzięczności, o której nie słyszała?

— Dziękuję, Mossie. Doprawdy nie wiem, jak mam ci się odwdziżyć. Neeley z pewnością życzyłby sobie, żebym ci to w jakiś sposób wynagrodziła. Czy poczułbyś się bardzo dotknięty, gdybym zaproponowała ci zapłatę za twoje trudy?

— W życiu nie przyszłoby mi to do głowy! — zawołał oburzony.

Elizabeth czym prędzej zaczęła tuszować nietakt.

— Nie bierz tego do serca. Nie jestem jeszcze wprawiona, musisz mi wiele wybaczyć.

Powiew wiatru porwał do góry jej spódnicę, ale złapała ją w ostatniej chwili.

— Słuchaj, bardzo dziś zimno. Zapraszam do środka choćby na herbatę. Dostaliśmy nowy przydział.

Przez chwilę wyglądało na to, że odmówi, ale zmienił zdanie.

— Tak, dziękuję.

Elizabeth usadziła Mossiego przy ogniu na „lepszym” krześle. Musiała stamtąd wyprosić Kathleen, która od śmierci ojca zaanektowała je dla siebie, całymi dniami siedząc i czytając wszystko, co wpadło jej w ręce. Reszta dziewczynek odrabiała lekcje, więc Elizabeth przesunęła je tylko na koniec stołu, żeby móc ukroić kromkę chleba ze świeżego bochenka. Odruchowo rzuciła okiem w stronę kojca Abigail, ale uświadomiła sobie, że przeniosła go do swojej sypialni.

Szukając tematu do rozmowy, przypomniała sobie o stryjecznej babce Mossiego, którą ledwo знаła.

— Jak się miewa Bel?

— Wspaniale, tak dobrze, jak tylko można sobie życzyć.

Znów pociągnął się za krawat.



— Mówią, że wojna niedługo się skończy.

— Tak słyszałem.

Brnąc w zdawkową konwersację podała herbatę; wydawało się, że esencja naciąga znacznie wolniej niż zwykle.

— Ty nie pijesz?

— Nie, dopiero co skończyliśmy.

Upił łyk.

— Jak cudownie kosztować prawdziwej herbaty. Rozmowa się urwała. Któreś z dzieci przesunęło ze zgrzytem krzesło, prócz tego dało się słyszeć skrzypienie piór o papier. Zamknięte drzwi tłumiły nawet bębnienie deszczu. Cisza ciążyła jak zimowy płaszcz.

— Przepraszam, Mossie, dołożę tylko do ognia.

Kiedy wróciła, Mossie skończył pić i wstał.

— Pójdę już.

— W porządku, jeszcze raz bardzo dziękuję.

Miała nadzieję, że ulga w jej głosie nie rzuca się zbyt w oczy. W drzwiach Mossie odwrócił się ponownie.

— Czy wybierasz się dokądś dziś wieczorem?

— Nie, dlaczego?

Pod jego nieodgadzionym spojrzeniem czuła się nieswojo.

— Pewien mój znajomy chciałby z tobą porozmawiać.

— Tak? Kto?

— Nie znasz go. Czy nie byłoby za późno, gdybyśmy przyszli około dziesiątej?

W pierwszej chwili chciała odmówić, ale przypomniała sobie, że tarot nakazywał jej czujność.

— Dobrze, Mossie. Nie powiesz mi, kto to jest?

Uśmiechnął się zagadkowo.

— Wszystko w swoim czasie.

Elizabeth posprzątała, położyła spać Franceya i młodsze dziewczynki, i zasiadła do pisania wieczornego listu do Daniela. Odkąd o jej związku dowiedział się ojciec, a pewnie i matka, przestała obawiać się więziennej cenzury. Kilka minut przed dziesiątą zapaliła lampę i usiadła w lśniącej czystości kuchni czekając na gości. Po chwili nadeszli.

Mężczyzna towarzyszący Mossiemu był niski, nie więcej niż metr pięćdziesiąt, wąski w ramionach i chudy jak szczapa. Miał włosy pociągnięte brylantyną, granatowy garnitur i wypolerowane brązowe buty. Dwoił się i troił, zwinny jak fryga.

— Johnny Thade Sheenan, mój kuzyn z Lacknaheeny koło Adrigole — przedstawił go Mossie.

— Miło mi poznać. Wejdźcie proszę. Może coś do picia? — spytała stawiając imbryk na ogniu.

— Właściwie przynieśliśmy coś dla ciebie — odparł Mossie wyciągając butelkę whisky z jednej, a portwajnu z drugiej kieszeni odświętnego ubrania. — Napijesz się?

Elizabeth zrozumiała, że chodzi o ubicie jakiegoś interesu. Mossie doglądał żywego inwentarza Scollardów od śmierci Neeleya, może teraz chciałby je kupić? Od dawna wiedziała, że wino na Béara szybko rozwiązuje języki, więc zapewne dla nikogo w parafii testament Neeleya nie był tajemnicą.

Idąc po kieliszki, pomyślała, że jeśli Mossie kupi bydło, będzie też potrzebował łąki. Już wcześniej brała pod uwagę dzierzawę, która przyniosłaby stały dochód. Nie mogła przecież wечно liczyć na pomoc sąsiadów, a sama niezbyt paliła się do opieki nad siódmką dzieci i dobrym tuzinem zwierząt.

Nie wolno jej okazać zbyt zainteresowania.

Co powiedziałby Daniel? Może sam chciałby uprawiać tę ziemię?

— Proszę bardzo — powiedziała stawiając szklanki na stole.

Mossie z rewerencją zajął się mieszaniem portwajnu z whisky, przyglądając się każdej szklance pod światło.

— Twoje zdrowie, Lizzie.

— Amen — zapał Johnny Thade. — *Go mberimid beo ar an am seo aris.*

— Panowie...

Wypili i usiedli za stołem.

— Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje, droga pani — kuzyn Mossiego przerwał ciszę.

— Dziękuję — odrzekła pociągając następny łyk.

Drink rozgrzewał ją i o dziwo nawet dobrze smakował.

— Niewielu dziś wartościowych mężczyzn — ciągnął Johnny Thade, strzelając oczami.

— To prawda. No cóż, Mossie, co ci leży na sercu?

— Mój kuzyn chce ci poczynić propozycję.

— Słucham.

Johnny Thade cofnął trochę krzesło i odchrząknął, jakby przystępował do konkursu recytatorskiego.

— Kiedy nadmieniałem, że niewielu dziś wartościowych mężczyzn — zaczął wypinając pierś — miałem na myśli pewien wyjątek od tej reguły. Otóż obecny tu mój kuzyn, Maurice Breac Sheehan z pewnością się do nich zalicza.

— Zgadza się.

Zaintrygowana Elizabeth rzuciła okiem na Mossiego, ale trzymał wzrok wbity w szklankę.

— Jak Béara długie i szerokie ze świecą trzeba by szukać drugiego bardziej uczciwego, szacownego i szczodrego człowieka. Ponieważ Mossie się nie przechwala, nie wie pani zapewne, że mój kuzyn może się także poszczycić olbrzymią wiedzą. Szkolny nauczyciel zawsze mówił, że Maurice Sheehan to najlepszy uczeń na Béara. Nauczyciel wspominał nawet o uniwersytecie w Oxfordzie albo Sorbonie i gdyby tylko los zrządził inaczej...

Dał się poznać jako spolegliwy opiekun zarówno rodziny, jak i obcych. Oszczędny, lecz nie skąpy. Proszę zapytać kóregokolwiek z sąsiadów. Skąpstwo to urąganie prawom natury.

Opróżnił szklankę, a zaintrygowana Elizabeth — jakież to wszystko ma związek z bydłem i dzierzawą? — napełniła ją jeszcze raz. Johnny podjął na nowo:

— Możemy dostarczyć świadectwo, że Maurice Sheehan nie cierpi na żadną zaraźliwą chorobę. Od pokoleń Sheehanowie stanowili zdrowy i plenny ród.

Pojęła wreszcie. To propozycja małżeństwa. Mało brakowało, a wybuchnęłyby śmiechem.

— Przepraszam, że ci przerwę — wpadła mu w słowo — ale czy mam rozumieć, że pełnisz rolę swata Mossiego?

— Nie jest to mój zawód — odparł z godnością — i nie otrzymałem od niego żadnego wynagrodzenia.

Emanował dumą i cały drżał z podniecenia.

— Bóg was sobie zesłał. Słyszałem, że jest pani w potrzebie, a obecny tu mój kuzyn także je ma. Została pani sama z piękną farmą bez męskiej ręki, a Mossie to prawy człowiek bez dobrej ziemi i dobrej kobiety, która ulżyłaby jego samotnym nocom. Jak pani wie, między rodzinami trwał spór o te pola i oto nadeszła długo wyczekiwana sposobność naprawienia krzywd. Czyż można wyrazić to jaśniej?

Uderzył dłońmi w stół i zagłębił się w opisie dalszych zalet Mossiego: przyzwoitych oszczędności, które jutro może przynieść z poczty, wprawy w pracy na farmie i siły fizycznej.

Elizabeth nie śmiała rzucić okiem na obiekt tych pochwał, choć czuła, że Mossie wciąż nie oderwał wzroku od własnej whisky.

— Mossie to człowiek nieskazitelnego charakteru, umiarkowany w paleniu i piciu, bez zarzutu pod względem moralnym. Nigdy żaden ksiądz ani ojciec nie miał okazji interweniować, z jego powodu żadna dziewczyna nie musiała wyjeżdżać z okolicy ani iść do klasztoru. Choć dodać należy, nawet jeśli zabrzmi to niedelikatnie, że nie przyczyniły się do tego jakiegokolwiek usterki przyrodzenia. Wszystko działa bez zarzutu; rozumie pani zapewne, co mam na myśli.

Urwał na chwilę, żeby dać wybrzmieć niezwykłemu stwierdzeniu. Później rozparł się i ponownie uderzył dłońmi w stół, jak sędzia, który doprowadził sprawę do jednoznacznego końca.

— Co pani na to? Czy udało nam się stworzyć parę?

Elizabeth miała dosyć. Odsunęła krzesło i wstając zakorkowała butelkę.

— Bardzo mi przykro, ale muszę panów rozczarować. Nie zamierzam w tej chwili powtórnie wychodzić za mąż.

Johnny Thade również porwał się na nogi.

— Ależ oczywiście. Prosimy tylko o pewne wskazówki co do intencji, domyśla się pani, o co chodzi. Obecnie naszym celem są jedynie zaręczyny. To zrozumiałe, że nie ołtarz w głowie, kiedy nawet pierwsze kwiaty nie rozkwitły jeszcze na grobie zmarłego męża. Niemniej ani prawo ludzkie, ani boskie nie wyklucza szczerzej obietnicy, mój kuzyn zaś skłonny jest czekać tyle, ile potrzeba.

— Przykro mi, ale odpowiedź brzmi nie. Dziękuję za wizytę i doprawdy doceniam propozycję, ale nie chcę marnować waszego ani swojego czasu. — Siłą zmuszała się do uprzejmości. Podała butelkę Mossiemu.

— Zatrzymaj ją, Lizzie — odezwał się dopiero drugi raz tego wieczora.

Wciąż unikał jej spojrzenia i zdradzał dużo większe napięcie, niż pasowałoby odrzuconemu zalotnikowi. Można by wręcz pomyśleć, że spodziewał się odmowy. Kuzyn także zachował zimną krew.

— Tak, proszę zachować napitek i być może porozmawiamy raz jeszcze. Teraz, kiedy wiadomo już, w czym rzecz...

— Nie sędzę — zaprzeczyła Elizabeth pospiesznie. — Dziękuję za zainteresowanie, ale tak jak wspomniałam, nie interesuje mnie powtarzane zamążpójście.

— Oczywiście, nie teraz — niski człowieczek nie poddawał się łatwo. — Czy możemy jednak umówić się na ponowne spotkanie w przyszłości. Pierwsze lody zostały przełamane.

— Nigdy nie było żadnych lodów. Dziękuję za odwiedziny.

Jej ton podziałał wreszcie na mówcę.

— Nic złego się nie stało?

— Nie, doprawdy nic. Odprowadziła ich do drzwi.

— Przyjdę rano, Lizzie — odezwał się Mossie spojrzawszy jej prosto w oczy. — Bydło...

Nie dokończył, odwrócił się i wyszedł. Elizabeth miała wrażenie, że chciał powiedzieć co innego i że to jeszcze nie koniec. Pomyślała też, że Mossie pewnie nie będzie ostatni. Wielu mężczyzn w okolicy z przyjemnością położyłoby łapę na trzydziestu pięciu akrach urodzajnej ziemi. Gdyby nie przyszłość dzieci Elizabeth wołałaby, żeby Neeley nie zapisywał jej farmy.

Długo nie mogła zasnąć. Przed oczami miała podobną do gнома twarz Johnny'ego, jego wesółkowate oczy i poważne spojrzenie Alison Leahy. Przypomniała sobie jej słowa: trudności, opóźnienia, małżeństwo z rozsądku, ukryte niebezpieczeństwo...

Propozycji zamążpójścia z powodów finansowych właśnie odmówiła. Czyż wróżka nie podkreślała wielokrotnie, że ma wolną wolę i sama powinna dokonywać wyboru? Z pewnością nie miała ochoty wychodzić za Mossiego Sheehana.

Ale słyszała także, że pierwsze małżeństwo przysłuży się jej związkowi z Danielem...

Pogoda bardzo się poprawiła. Kiedy Mossie pojawił się następnego ranka, Francey i Johanna bawili się na polu, a najmłodsze dziecko smacznie spało. Niewyspana i wściekła Elizabeth ledwie powstrzymała się, żeby nie powiedzieć mu czegoś do słuchu. Automatycznie zaproponowała, żeby usiadł, ale odmówił. Napięty i dziwnie blady stał w drzwiach na szeroko rozstawionych nogach.

— Muszę ci coś powiedzieć. Prosiłem cię o rękę i oboje wiemy, że zrobiłem to jak należy.

Wpatrywał się w jakiś punkt nad jej ramieniem.

— Proszę raz jeszcze. Wyjdiesz za mnie, Lizzie? Od dawna jesteś mi droga.

Elizabeth poczuła, że krew ścina jej się w żyłach.

— Przykro mi, Mossie — powiedziała najspokojniej jak potrafiła — ale odpowiedź nadal brzmi nie. Bez dwóch zdań jestem ci ogromnie wdzięczna za pomoc, jaką mi okazałeś od śmierci Neeleya i twoja propozycja bardzo mi pochlebia...

— Pomyślisz o tym?

Nie chciała być okrutna, ale z drugiej strony, po co dawać mu fałszywą nadzieję.

— Nie sądzę. Przykro mi.

Spojrzał na nią i w jego oczach przez moment dojrzała błysk urazy, który szybko zniknął. Mossie zastygł i wydawało się, że nagle urósł. Ten człowiek nie prosił już o nic.

— Przepraszam cię teraz...

— Jeśli pozwolisz — przerwał jej bezbarwnym głosem — mógłbym cię przekonać.

— Już ci powiedziałam...

— Może przedstawię to innymi słowami i myślę, że lepiej, żebyś mnie wysłuchała.

Elizabeth próbowała odzyskać przewagę.

— Obawiam się, że muszę cię prosić, żebyś wyszedł. Co mam powiedzieć, żebyś zrozumiał, że nie znaczy nie?

— Na twoim miejscu posłuchałbym.

Przeszedł koło niej i usiadł przy kominku.

— Jeszcze raz daję ci szansę, żebyś się zgodziła. Czas gra ciągle na naszą korzyść.

Elizabeth przestraszyła się. Nie знаła go takim. Dotąd traktowała go obojętnie jak innych kawalerów i stare panny zmuszonych do samotnej egzystencji w zapadłych zakątkach Irlandii, ale teraz uznała swą pomyłkę. Mossiego nie dało się lekceważyć.

— Nigdy nie przekonasz mnie do poślubienia kogoś... takiego jak ty.

Natychmiast pożałowała swych słów.

— Ach, tak?

Krzesło zaskrzypiało, ale Mossie nie ruszył się z miejsca. Krew nabiegła mu do twarzy.

— Takiego jak ja? Nie zawsze byłeś taka wybredna, panno adwokatówna z Cork.

— Wynoś się.

— Chciałem postąpić rozsądnie, jak należy, ale to nie dla ciebie, co? Z twoimi fumami, powiewnymi sukienkami i pończochami z jedwabiu nie zamierzasz mieć do czynienia z kimś takim jak ja? Wieśniacy to niższa klasa, prawda? Oczywiście z jednym wyjątkiem. A może z dwoma? A może istnieje więcej tych wyjątków, o których tacy jak ja nie mają pojęcia?

Porażona prawdziwością jego słów Elizabeth usiadła. Mossie pochylił się nisko na swoim krześle i obserwował ją spod krzaczystych brwi.

— Moja rodzina wypruwała sobie żyły na ziemi, którą ty teraz nazywasz swoją. Ludzie tacy jak ty nie zdają sobie sprawy, co znaczy życie na kilku skrawkach skał i nieużytków. I na tej ciepłej farmie, która naprawdę należy do mnie, ty masz sobie rządzić, mimo że nie odróżniasz żarnowca od ostrokrzewu. Wszystko obróci się w ruinę tylko dlatego, że nie będzie ci się chciało pobrudzić rączek pracą.

Trząśnięty całym.

— To wszystko działo się dawno temu... — zaczęła.

— Ta farma to moja krew! Moja krew... — powtórzył ciszej. — Nie oczekiwałem, że zrozumiesz.

Elizabeth zebrała się na odwagę.

— Chcesz ożenić się z ziemią nie ze mną.

— Doprawdy? — zapytał cicho, znów wpatrując się w przestrzeń.

— Dla mnie to całkiem oczywiste i uważam to za powód godny pogardy. Sądzisz, że żyjemy w średniowieczu?

— Wiedziałem, że ktoś taki jak ty nigdy nie pojmie, co dla nas znaczy ziemia. Ale kiedy dochodzi co do czego, każdy ma swoje słabe punkty.

Przygwoździł ją wzrokiem i na próżno próbowała go przetrzymać.

— Na przykład ty, Lizzie. Twoją achillesową piętą jest płęć przeciwna, prawda?

Porwała się z krzesła i rzuciła na niego, ale złapał ją za nadgarstki. Nie wstał nawet, a mimo to trzymał ją mocno jak w kleszczach. Elizabeth zdała sobie sprawę, że zaprzeczanie na nic się nie zda. Z trudem łapała oddech, ale postanowiła zachować reszki godności.

— Masz prawo do swoich opinii, ale pozwól, że zwrócę ci uwagę, że nie obrałeś najlepszej metody na przekonanie mnie do małżeństwa. Z pewnością rozumiesz, że teraz nie wyszłabym za ciebie, nawet gdyby od tego zależało moje życie. I puść mnie, z łaski swojej. To boli.

— Może jednak zmienisz zdanie, gdy wysłuchasz mnie do końca.

Wypuścił ją powoli i spojrzał na własne ręce, jakby widział je po raz pierwszy.

— Nie chciałem takiego obrotu spraw, ale trudno.

Westchnął i zaczął rzeczowym tonem:

— Teraz usiądź i posłuchaj, bo to, co mam do powiedzenia, może ci się przydać.

Rozcierając nadgarstki Elizabeth właśnie zamierzała krzyknąć, że nie zamierza stosować się do jego poleceń, kiedy dodał:

— Danny'emu McCarthy'emu też.

Ciężko opadła na krzesło. Próbowała powiedzieć „słucham” lodowatym tonem, ale nie wydobyła z siebie głosu. Mossie odczekał chwilę.

— Byłem tamtej nocy na Knockameala. Widziałem, co się stało.

Opisał jej wszystko pokrótce. Elizabeth myślała, że serce rozsadzi jej piersi.

— Ależ dokładnie to samo powiedział Daniel na policji! — zawołała. — Czemu wspominasz o tym dopiero teraz? Mogłeś zaoszczędzić mu tylu cierpień.

— Może — odparł spokojnie, ale czuła, że w środku jest napięty jak struna.

— Musimy zaraz jechać do Castletown, możemy wziąć wózek Harringtonów... — urwała widząc wyraz twarzy Mossiego. — Chodzi ci o coś jeszcze?

— Owszem i nie ma sensu owijać niczego w bawełnę. Pójdę na policję i powiem o wszystkim, jeżeli zgodzi się za mnie wyjść. A jak nie, to nie.

Elizabeth nie wierzyła własnym uszom.

— To niesłychane! Sama pójdę na policję. Już oni zmuszą cię do wyznań.

— Doprawdy? A pamiętasz potańcówkę Jimmy'ego Deeneya? Posłużyłaś się mną wtedy jak marionetką... — potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić nieprzyjemne wspomnienia. — Ale to nieważne. W mojej obecności zagroziłaś mężowi, że go zabijesz. Nie tylko ja słyszałem. Może nie zwróciłaś uwagi, ale blisko nas stał również pewien człowiek, mój daleki kuzyn. Rzecz jasna wszyscy obecni wiedzieli, że groziłaś Neeleyowi tylko dlatego, że nie pozwolił ci się rzucić na Danny'ego McCarthy'ego.

Elizabeth czuła się jak zwierzę złapane w sidła.

— No i jak to wygląda? — ciągnął bezlitośnie. — Grozisz mu śmiercią, bo nie daje ci tańczyć z twoim lubym i niedługo potem...

Zawiesił głos.

— Jak myślisz, komu uwierzy policja? Tobie i Danny'emu czy mnie, mojemu kuzynowi i połowie parafii?

Wstał.

— Przemyśl to sobie. Moja noga nie postanie w tym domu, póki nie otrzymam odpowiedzi. Ale nie martw się o farmę — dodał niemal niedbale. — Nie zniósłbym, gdybyś ją zapuściła. Zajmę się bydłem.

Wziął czapkę i poszedł do wyjścia. Stał w otwartych drzwiach, przesłaniając światło słoneczne, ale na jego twarz padał cień.

— Niech pani pamięta, pani Scollard, że próbowałem załatwić to po ludzku.

— A prawo? — szepnęła. — Gdybym pozwała cię do sądu i składałbyś zeznanie pod przysięgą...

— Dziwię ci się, Elizabeth. Zabawni prawnicy i zabawne prawo, zostawione nam przez Anglików. Tu nie miasto. Mieszkając tutaj, niczego się nie nauczyłaś? Potrzeba nie zna prawa. Tu chodzi o ziemię.

Oddychała z trudem.

— Ale gdybym zgodziła się zeszłej nocy, nic byś mi nie powiedział. Pozwoliłbyś Danielowi zgnić w więzieniu albo dałbyś go powiesić.

Starannie nałożył czapkę.

— Być może, ale nigdy nie dowiedziałabyś się tego. Chciałem, żebyś wyszła za mnie dla mnie samego, nie z powodu Daniela. Nigdy nic nie wiadomo, mielibyśmy równie dobre szanse jak większość ludzi... Ale to już zupełnie inna historia i nic się nie da zrobić. Ta ziemia zawsze należała do mojej rodziny — dorzucił ledwie słyszalnie. — Tak więc, nie zapomnij przysłać mi odpowiedzi.

Po jego wyjściu Elizabeth w pierwszej chwili chciała biec do Tilly Harrington, powstrzymała się jednak. Trzeba wszystko przemyśleć.

Sympatia Mossiego zaskoczyła ją. Jak mogła tego wcześniej nie dostrzec? Z drugiej strony: ile w tym uczucia do niej, a ile chęci posiadania farmy? Mossie miał rację: nie miała ziemi we krwi tak jak on i nie rozumiała namiętności, jaką rolnicy żywili do swoich farm.

Czy to dla tych trzydziestu pięciu akrów gotów był popełnić krzywoprzysięstwo?

Z góry znała odpowiedź. W dodatku Mossie uważał, że ziemia prawnie mu się należy.

Elizabeth przemierzała kuchnię, starając się wejść w tok jego rozumowania. Porównała jego obsesję ze swoją własną przywołując obraz Daniela, jego kręconych włosów, prostych pleców; wyraźnie poczuła smak jego ust i dotyk skóry. Tak, kiedy chodziło o pożądanie, przeszkody moralne i rozsądek przestawały istnieć. Jeżeli uczucie Mossiego do ziemi jest równie silne, to nic go nie powstrzyma.

A może wykorzystać jego uczucie? Doprowadzić do zeznań na korzyść Daniela, a potem wykręcić się od małżeństwa?

Od razu przypomniała sobie jednak, jak podle się czuła, namawiając Neeleya podstępem do pójścia na tańce. Nie, nie zniosłaby tego uczucia po raz wtóry.

Ale... Chodziło przecież o Daniela. Skoro Mossie może pójść na całość, to czemu ona miałaby mieć skrupuły?

Zastygła pośrodku kuchni. Nie mogłaby po prostu dać mu tej ziemi? Wiedziała jednak, że nie zdobyłaby się na pokrzywdzenie dzieci Neeleya.

Zatem może sprzedaż?

Mossiego jednak nigdy nie będzie na to stać.

A gdyby za symboliczną kwotę? No dobrze, a z czego mają żyć i dzieci, i ona sama?

Mogłaby zaproponować spisanie ugody, że w zamian za uwolnienie Daniela zapewni mu wejście w posiadanie ziemi w każdy inny sposób prócz małżeństwa. Albo puścić mu wszystko w dożywotnią dzierżawę.

Nie, to beznadziejne. Posiadanie i własność, oto co pociąga Mossiego.

A gdyby sama poszła na policję i opowiedziała im wszystko? Miała mizerne szanse, jeśli Mossie rzeczywiście zaprzeczy, tak jak zagroził.

Przez resztę dnia łamała sobie głowę i rozstawiała dzieci po kątach. Do herbaty obrażona Kathleen wyniosła się do sypialni, Francey, Goretti i Johanna zbili się w smętną gromadkę w kącie kuchni, Margaret zaś ukryła się za stołem zeszytów z pracą domową. Nawet ugodowa Mary pociągała nosem.

Elizabeth właśnie miała robić im nowe wyrzuty o lenistwo, kiedy ogarnęło ją poczucie winy. Dzieci nie zasłużyły sobie na takie traktowanie. Co więcej, przechodząc ciężkie chwile potrzebowały jej wsparcia i miłości.

— Przepraszam — zawołała.

— Nie szkodzi, mamusiu — odpowiedziała Margaret rzucając pozostałym nerwowe spojrzenia — rozumiemy.

— Mam pomysł!

Szybko wyciągnęła z kredensu resztkę racjonowanego cukru i wrzuciła go na patelnię.

— Czeka nas jeszcze wiele trudnych chwil. Do diabła z nimi, zrobimy sobie karmelu.

Dzieci otoczyły ją gromadą. Nie jadły karmelu od zeszytych świąt Bożego Narodzenia. Elizabeth zrobiła także duży pudding: ta tradycja rodzinna zawsze jej pomagała pozbyć się złych myśli. Za wszelką cenę starała się zadośćuczynić dzieciom za poprzednie zachowanie. Nawet Kathleen zawołano do stołu.

— Czym teraz zastąpimy cukier? — zapytała Margaret wpatrując się w dymiący półmisek.

Elizabeth nabrała pełną łyżkę słodkiego puddingu.

— Ta wojna nie może trwać wiecznie. Pewnie skończy się do świąt, wszyscy tak mówią.

— Tak — upierała się Margaret — ale co zrobimy do końca tygodnia?

— Co byście powiedzieli na kilka uli? Pamiętacie, zeszłego lata dostałam parę od pewnego człowieka z Derryconna. Pewnie i teraz nam pomoże. Gdybyśmy mieli własny miód, nie potrzebowalibyśmy więcej cukru.

Odwróciła w ten sposób ich uwagę i wszyscy włączyli się do dyskusji. Elizabeth patrzyła na nich, czując, jak wielką odpowiedzialność ponosi za tę gromadkę. Wszelkie próby wydostania się z sideł, jakie zastawił na nią Mossie, wydały jej się egoistyczne. Ta farma to ich miejsce na ziemi, ich bezpieczeństwo i baza, której nie wolno ich pozbawiać. Nie zniosłaby dodawania im cierpień.

Była w pułapce, podobnie jak wtedy, gdy groziła Neeleyowi odejściem.

Z tą świadomością powrócił jej rozsądek.

\* \* \*

Około ósmej Elizabeth poszła do Mossiego Sheehana. Ścieżka wiodąca pod górę była stroma i nierówna, więc zeszła z roweru i zostawiła go w bruzdzie. Zatrzymała się na moment, żeby zebrać myśli. W kieszeni swetra niosła dwa arkusze papieru, które miały jej dopomóc w planowaniu przyszłości i uwolnieniu Daniela.

W ciągu ostatnich paru dni na Béara rozkwitły fuksje, więc zaniedbane żywopłoty po obu stronach ścieżki wypełniły się kwieciami, a w trawie pojawiały się pasma czerwieni i fioleto.

Elizabeth nie widziała ich, bezmyślnie zrywała i mięła ledwie rozkwitłe pączki. Cierń zranił ją w palec i cienki strumyczek krwi popłynął na zgniecione płatki. Elizabeth powtarzała w myśli cały plan. Nie może dać się zbić z tropu i musi wyrażać się jasno.

Wypuściła z ręki kwiaty, possała zraniony palec i ruszyła w drogę.

Dom Mossiego przypominał jej własny: miał dwa piętra i wyglądał bardzo solidnie. Maleńkie podwórko utrzymywano we wzorowej czystości, a pod ścianami pyszniły się wypielęgnowane grządki margerytek, bratków i winorośli. Górna połowa drzwi była uchylona.

Zgarbiona i powykręcana reumatyzmem ciotka Bel niemal natychmiast odpowiedziała na pukanie.

— Dobry wieczór — powiedziała Elizabeth. — Czy zastałam Mossiego? Nie wiem, czy mnie pani pamięta, jestem Elizabeth Scollard.

— Oczywiście, że pamiętam, wejdź proszę.

Zdjęła haczyk i wpuściła ją do środka.

— Mamy, dzięki Bogu, piękny wieczór. Moje kondolencje, Lizzie. Nie mogłam niestety przyjść do kościoła, ale posłałam Mossiego. Pięknie pożegnaliście Neeleya.

— To prawda. Pani zajmuje się ogrodem? — Elizabeth czym prędzej zmieniła temat.

— Odkąd nabawiłam się reumatyzmu, zostawiłam to Mossiemu. Dobry chłopiec.

Akurat — pomyślała Elizabeth, ale milczała; w końcu biedna Bel nic tu nie zawiniła.

— Tak — ciągnęła staruszka. — Mossie zawsze miał złote ręce. Wszystko u niego rośnie jak na drożdżach.

— Rzeczywiście. Jest w domu?

— Kręci się gdzieś w pobliżu razem z Johnnym Thadem.

Bel z trudem otworzyła okno.

— Mossie! — zawołała cienkim, chrypliwym głosem. — Zaraz przyjdzie. Napijesz się czegoś?

— Dziękuję, ale wpadłam tylko na moment, muszę zamienić z Mossiem dwa słowa i czym prędzej wracać do dzieci.

— Biedne maleństwa, bez ojca.

Bel z trudem usiadła na krześle.

— Wyjdę mu na spotkanie.

— Dobrze. Wybacz, że nie wstaję, żeby cię odprowadzić.

— Niech Bóg ma panią w swojej opiece.

Zadowolona, że udało jej się uciec, Elizabeth zastanowiła się, co też Mossie zamierzał zrobić ze swoją ciotką. Czy obiecał, że zabierze ją ze sobą? Przecież ona na pewno nie dałaby sobie sama rady.

Spotkanie z Bel umocniło ją jeszcze bardziej w postanowieniach. Zobaczyła Mossiego idącego szybko przez pole i ucieszyła się, że nie ma przy nim Johnny'ego.

— Nie sądziłem, że tak szybko się zobaczymy — powiedział, wskazując przepaszająco na robocze ubranie. — Próbowałem osuszyć rów.

— Nie szkodzi. Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?

— Dom jest niewielki...

— Wystarczy na dworze. Może tam? — wskazała na starą ogrodową ławkę koło szopy.

— Czy zastanowiłaś się nad moją propozycją? — zapytał, gdy tylko usiedli.

Elizabeth czuła, że Mossie się denerwuje. Żeby go pognębić, zwlekała przez chwilę z odpowiedzią, dla kurażu ściskając w kieszeni kartki.

— To ja mam dla ciebie propozycję.

— Zawsze jestem otwarty na rozmowy — odrzekł enigmatycznie.



Elizabeth nie zwracała na niego uwagi. Wyciągnęła papiery i rozprostowała jeden z nich. Zauważyła, że chroniącą ich od wiatru ścianę pokrywało dzikie wino i róże. Zadumała się, jak bardzo otoczenie nie pasuje do tego, co ma zamiar powiedzieć.

— Chcę ci coś przeczytać.

Rzuciła na niego okiem, ciekawa jak zareaguje, ale zachował kamienny spokój.

— Przemysślałam wszystko dokładnie i moja propozycja jest ostateczna. Rozumiesz?

Skinął lekko.

Elizabeth podniosła kartkę z kolan

*Do wiadomości wszystkich obecnych. Niniejszym udzielam pozwolenia Maurice'owi Sheehanowi na dowolne dysponowanie farmą na zasadzie współdzierżawy za uczciwą cenę, co motywuję faktem, że ani ja, ani moje dzieci nie posiadamy innych dochodów.*

*Po upływie piętnastu lat, kiedy najmłodsze z moich dzieci opuści szkołę i uzyska samodzielność, sporządzę testament, w którym zapiszę mu całą ziemię i zostanie jej właścicielem do końca życia. Po jego śmierci jednak farma wróci do rodziny Neeleya. Obydwa testamenty zostaną sporządzone równocześnie przez prawnika, którego wybiorę, konkretnie mego ojca.*

Czy wszystko jasne?

— Najzupełniej.

— Zgadzasz się?

— Nie.

Choć Elizabeth właściwie oczekiwała takiej odpowiedzi i na tę okoliczność przygotowała drugą kartkę, próbowała udąć gniew.

— Dlaczego?

— W twoim dokumencie nie ma nic na temat małżeństwa.

— Sądziłam, że chodzi ci o ziemię...

— Również o to.

Mierzyli się spojrzeniami i po raz kolejny Elizabeth musiała przyznać, że nie doceniła Mossiego.

— Ta ziemia należy do mojej rodziny — powiedział Mossie cicho, kiedy spuściła wzrok.

— Nie jestem dodatkiem do trzydziestu pięciu akrów.

— Ta ziemia należy do mojej rodziny.

Nie patrząc na niego rozwinęła drugą kartkę i zaczęła czytać formalnym tonem.

*Wyjdę za ciebie pod pewnymi warunkami. Ze zrozumiałych względów musisz odczekać okres żałoby, czyli co najmniej rok.*

Wzięła głęboki oddech i dokument zadrżał lekko w jej ręku.

*Drugi warunek: wyrazisz zgodę, że będziemy małżeństwem wyłącznie w sensie formalnym. Nie będziemy razem mieszkać; każde z nas pozostanie w swym dotychczasowym domu.*

*Po trzecie: nigdy i nikomu nie powiesz, dlaczego zgodziłam się na to małżeństwo. W tej sytuacji, rzecz jasna, ludzie mogą snuć domysły, ale musisz się z tym pogodzić i nigdy nie wolno ci złamać milczenia. Ja natomiast pozostawiam sobie prawo poinformowania niewielkiej liczby osób, według własnego uznania, niemniej gwarantuję, że uczynię to tylko wówczas, gdy zainteresowana osoba uroczyście zobowiąże się do dochowania tajemnicy.*

*Ponadto nie wolno ci ogłosić naszych zaręczyn aż do zapowiedzi, co stanie się nie prędzej niż rok i jeden tydzień od uwolnienia Daniela McCarthy'ego z więzienia. Po czwarte, nie będzie ci wolno wtrącać się do sposobu, w jaki żyję. W zamian za to zrzekam się ziemi na twoją korzyść, pod warunkiem, że dzieci Neeleya zawsze będą miały dach nad głową. Odtąd aż do ogłoszenia zapowiedzi masz prawo zarządzać gospodarką według uznania, na zasadzie dzierżawy, tak jak to wyszczególniłam w poprzednim dokumencie.*

— Jeżeli złamiesz któryś z warunków — którykolwiek, Mossie, na przykład jeśli odkryję, że włóczę się za mną po polach — nigdy, przysięgam, nie zobaczysz nawet cała ziemi. Oczywiście podpisanie dokumentu zależy od tego, czy jutro rano pójdziesz na posterunek i oczyścisz imię Daniela z wszelkich zarzutów.

Wielka pszczoła przeleciała tuż koło twarzy Mossiego, ale nawet nie mrugnął.

— Rok i tydzień? — powtórzył cicho. — Rzeczywiście jesteś córką prawnika. A jaką mam gwarancję, że nie zmienisz zdania w chwili, gdy chłopak wyjdzie z więzienia?

— Żadnej. Tylko moje słowo i te papiery. Sądzę jednak, że wobec prawa mają one jakąś wagę. Zostaną podpisane przeze mnie i świadków.

— Świadców? Przecież nikt nie miał się o tym dowiedzieć?

— Poświadczymy jedynie nasze podpisy.

— Ja nie mogę nikomu powiedzieć, ale ty tak?

— Osoby, które miałam na myśli to na przykład mój ojciec albo...

— Danny McCarthy — dokończył.

— Zaznaczyłam, że nie poinformuję nikogo, kto, moim zdaniem, nie ma do tego prawa. Jeżeli nie dość jasno wyraziłam się w dokumencie, jestem gotowa poczynić zmiany według twojego życzenia. Czy z twojej strony są osoby, które mają prawo lub powinny wiedzieć?

— A jak sądzisz, Elizabeth? Myślisz, że mam ochotę afiszować się z tym, że zmuszam kogoś do małżeństwa?

Fakt, że poczuwał się do winy, sprawił jej dziką przyjemność.

— Dokumenty zostaną podpisane po twojej wizycie na posterunku.

Uśmiechnął się krzywo.

— Potem? Myślisz, że urwałem się z choinki? Podpiszę go, zanim zrobię choćby jeden krok w stronę baraków. Prócz tego jeszcze jeden, w którym zagwarantujesz, że wyjdiesz za mnie po roku. Oficjalny dokument zaręczynowy.

Elizabeth dobrze знаła konsekwencje: jeżeli zmieniłaby zdanie, Mossie wytoczyłby jej sprawę o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa i mając taki dokument z pewnością by wygrał.

Zwinęła obydwa papiery i wsadziła z powrotem do kieszeni.

— Powiedziałam już, że moje warunki są ostateczne.

Niestety, Mossie dorównywał jej determinacją, a wizja Daniela na stryczku zmusiła ją do pójścia na kompromis.

— Dobrze — wybuchnęła. — Podpiszę twój cholerny dokument, ale nigdy więcej nie próbuj ze mną rozmawiać.

— Będę musiał, jeśli zgodnie z twoją propozycją mam przez ponad rok pracować na twojej ziemi.

— I przedtem żądam, żeby policzyć i spisać wszystkie narzędzia, każdą motykę i pług, żeby nie dać ci okazji do oszukania mnie albo moich dzieci.

— Nie masz o mnie zbyt dobrego mniemania.

— Co? — Elizabeth aż roześmiała się z niedowierzania. — Ciekawe, co ty byś myślał na moim miejscu. Szantaż to niehonorowe zajęcie.

— A cudzołóstwo?

Zdenerwowała się, ale nie chciała się poddać.

— Nie masz nawet pojęcia...

— Doprawdy? Teraz też nie?

— Nie chodziło mi o...

— Owszem, chodziło, ale to bez znaczenia. Cel, do którego dążę, jest dużo ważniejszy niż parę uścisków na sianie czy na szczycie Knockameala. Neeley by mnie zrozumiał.

— Zaakceptowałyby szantaż?

— Myślę, że w tych okolicznościach, tak.

Elizabeth popatrzyła na jego stwardniałe od pracy ręce i pomyślała, że pewnie miał rację. Ona nie rozumiała i nigdy nie zrozumie. Ale nie ma zamiaru się poddać.

— Sam kiedyś przyznałeś, że w interesach nie znasz skrupułów.

— Myślę, Lizzie, że nie ustępujesz mi pod tym względem. Kto z kim przestaje, takim się staje.

Wstała i spojrzała na niego z pogardą.

— Wszystko, żeby tylko położyć łapę na odrobinie marnej ziemi.

— Zarobię na to własnym potem. Nie ja pierwszy i nie ja ostatni zrobię na Béara *cliambahain isteach*.

Elizabeth знаła to wyrażenie: oznaczało wżenienie się w ziemię.

— Skończmy już — powiedziała szorstko. — Napisz swój dokument i zaraz go podpiszę. Musi zawierać klauzulę, w której unieważniamy wszystko, jeśli nie pójdziesz na policję.

— Dobre stosunki opierają się na zaufaniu.

Widząc jego ironiczny uśmiech, Elizabeth niemal go podziwiała. Z pewnością nie oddawała dotąd sprawiedliwości bystrej inteligencji Mossiego.

— Gdzie twój kuzyn?

— Przy rowie.

— Zawołaj go. Potrzebujemy jego i twojej ciotki, żeby poświadczyli moją umowę. Harringtonowie mogą poświadczyc twoją, nie kładą się spać przed dwunastą.

— Wedle rozkazu, Wasza Królewska Mość. Nie będą zadawali pytań?

— Zobaczą jedynie podpisy. Czy poza tym wtrącanie się do interesów sąsiadów leży w tutejszych zwyczajach? O ile wiem, nie.

Mossiemu wpadło coś do oka.

— Dopilnowałaś wszystkiego, prawda, Elizabeth? Zanim zakończymy nasze interesy, chcę cię zapewnić, że ziemia Neeleya dostała się w dobre ręce. I nie potrzebujesz na to żadnych papierów.

— Powiedz mi jedną rzecz. — Elizabeth starała się nadać swemu tonowi jak najwięcej jadu. — Po prostu pali mnie ciekawość. Dlaczego czekałeś tak długo z ujawnieniem tego, co stało się tamtej nocy?

— Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział.

— Spróbuj.

— Jeszcze nie.

Odszedł, zostawiając ją w kompletnym zamęciu: nie wiedziała, czy wściekać się na jego pewność siebie, czy bać swej sytuacji, czy cieszyć z uwolnienia Daniela.

\* \* \*

Mossie zaś, gdy tylko zniknął jej z oczu, oparł się ciężko o kamienną ścianę, zakrył rękami twarz i zapłakał.

## ROZDZIAŁ 17

Wydawało się, że następne osiemnaście godzin nigdy się nie skończy. Już drugą noc z rzędu Elizabeth ledwie spała i rano poruszała się tylko siłą przyzwyczajenia. Tilly wpadła z wizytą kwadrans po jedenastej.

— Pewnie nie warto nawet pytać, co się dzieje?

— To co zwykle — odparła Elizabeth waląc szczotką o kamienną podłogę.

— Kto to taki?

— Kto?

— Ten, którego zabijasz za pomocą szczotki?

Elizabeth odstawiła szczotkę do kąta.

— Przepraszam, Tilly. Jestem nie w humorze. Źle sypiam. Pewnie właśnie wszystko wychodzi na wierzch. Masz jakieś wieści?

— O czym?

— O Danielu na przykład.

— Tutaj dzieje się coś dziwnego.

— Też coś! Zawsze coś ci się zwiduje. Chciałabym, żeby wszyscy zostawili mnie w spokoju.

— To się da zrobić — odrzekła Tilly powoli.

— No, nie chodzi mi o ciebie. — Elizabeth natychmiast spokorniała. — Nie gniewaj się.

— Co ja z tobą mam. Chcesz porozmawiać? Czy ta Leahy cię zdenerwowała? Coś się z tobą stało, odkąd... O! Dzień dobry, sierzancie.

— Dzień dobry, pani. Witam, pani Scollard. — Stał na progu, trzymając w ręku czapkę. Elizabeth nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

— Proszę wejść.

Jego wysoka postać wypełniła maleńką kuchnię i wydawało się, że zabiera cały tlen.

— To nie zajmie długo, pani Harrington.

Tilly pojęła aluzję i natychmiast poderwała się z krzesła.

— Wróć za jakiś czas, Lizzie.

Policjant wyjął z kieszeni notes.

— Mogę usiąść?

— Proszę bardzo.

Zajęła miejsce naprzeciwko i patrzyła, jak sierżant flegmatycznie przewraca kartki. Wreszcie uniósł wzrok.

— Sądzę, że domyśla się pani celu mej wizyty — powiedział nagle, jakby chciał ją zaskoczyć. Elizabeth miała się na baczności.

— Zapewne ma to jakiś związek ze śmiercią męża?

— W pewnym sensie.

— Czy coś się stało?

— Na to wygląda. Wydaje się, że przybył nam świadek.

Jego zimne niebieskie oczy i ton głosu strasznie Elizabeth denerwował.

— Naprawdę? To wspaniałe wieści. Kto to taki?

Siedziała sztywno, jakby najmniejszy ruch mógł połamać jej kręgosłup.

— Jeden z pani sąsiadów, Maurice Sheehan.

— Mossie? Tak, to dobry człowiek. Pomaga mi przy bydle i w innych pracach.

— Wygląda na to, że widział całe zajście. A przynajmniej tak twierdzi.

— To wspaniale, sierzancie — powtórzyła Elizabeth z mocą.

— Jedno, co mnie dziwi, to że przyszedł z tym dopiero teraz, kilka tygodni po zdarzeniu. Dokładnie... — zerknął w notatki — po dwudziestu sześciu dniach. Dlaczego tyle mu to zajęło?

— Nie mam pojęcia. Dlaczego mnie pan o to pyta?

— Nie wydaje się to pani dziwne?

— Nie pochodzę z tych stron, jak pan wie, i ciągle dowiaduję się nowych rzeczy, jeśli chodzi o tutejsze zwyczaje. Może zrobił to ze strachu?

— Ze strachu przed czym?

— Może myślał, że w ten sposób sam stanie się podejrzany?

Elizabeth zwinęła ręce na podołku i czekała.

— Być może.

Sierzant wsadził notes do kieszeni na piersi i wstał.

— No cóż, pójdę już.

— Bardzo dziękuję, że przyszedł pan mnie poinformować.

Podniosła się również, żeby odprowadzić go do drzwi. Nagle sierżant zatrzymał się i wbił w nią stalowe spojrzenie.

— Czy interesuje panią w ogóle, co Maurice Sheehan miał do powiedzenia?

Za późno pojęła, że wpadła w pułapkę.

— Oczywiście. Co mówił? Co w ogóle tam robił?

— Wydaje się, że pół wsi włóczy się nocą po górach — stwierdził sucho.

— Z pewnością nie. Wiem, że Mossie... Maurice zastawia tam wnyki, kilku innych mężczyzn strzela króliki i lisy...

Policjantowi zdziżyły się gierki:

— Cóż, pani Scollard — przerwał jej — wygląda na to, że wersja Maurice'a Sheehana przypomina pani opis. Pani i tego młodego człowieka, oczywiście. W zasadzie mamy do czynienia z niezwykle zgodnością zeznań...

— To świetne nowiny, jak już panu mówiłam, nigdy nie wydawało mi się prawdopodobne, że mój mąż został zamordowany.

— Tak — przyznał wolno sierżant — rzeczywiście tak się pani wyraziła. W każdym razie Maurice Sheehan wystąpi w charakterze świadka na procesie i powtórzy swe zeznania pod przysięgą.

— Dziękuję Bogu.

Miała nadzieję, że ulga i zaskoczenie w jej głosie zabrzmiały we właściwych proporcjach. Udała, że musi poprawić ogień i odwróciła się tyłem.

— Przepraszam na chwilę, właśnie piekę chleb. Na kiedy zaplanowano rozprawę? Jeżeli to możliwe, chciałabym w niej uczestniczyć.

— Oczywiście. Materiał dowodowy znajduje się już w rękach prokuratora. W tej chwili oskarżenie dotyczy zabójstwa. Z powodu nowych danych i ponieważ nie ma potrzeby zwoływać ławy przysięgłych, sprawa zostanie rozpatrzona na najbliższym posiedzeniu w Bantry albo nawet w następnym wtorek w Ballyfree. Dwudziestego.

— Co to oznacza? Czy Daniela... Danny'ego McCarthy'ego wypuszczą na wolność?

— Wszystko w rękach sądu. W końcu od strzelby McCarthy'ego zginął człowiek.

— Ale skoro to był wypadek...

— Do obowiązków policji należy zebranie dowodów, zaś decyzję podejmuje sąd.

Elizabeth nie chciała ujawniać nic więcej.

— Dziękuję za powiadomienie — powiedziała, prostując się i patrząc w przestrzeń.

— To naturalne, że interesuje się pani sprawą. Prawdopodobnie sama zostanie pani powołana na świadka.

— Kiedy wraca sierżant Coyle? — spróbowała mu dociąć.

— O ile wiem, dochodzi do siebie, ale noga była złamana w trzech miejscach i rekonwalescencja zajmie jeszcze parę miesięcy.

— Brakuje go nam.

— Nie wątpię.

Elizabeth trzymała się dzielnie, póki nie zamknęły się za nim drzwi, po czym oparła się bezsilnie o ścianę. Przez całą wizytę bezwiednie wstrzymywała oddech i dopiero teraz mogła dać ujście napięciu. Po chwili otrząsnęło ją walenie do drzwi.

— Wpuść nas, mamusi!

Na progu stała Johanna i Francey z pytającym wyrazem twarzy.

— Zamknęłaś się przed nami!

— Ależ skąd! Chodźcie, aniołki — i porwała ich w ramiona.

— Widzieliśmy policjanta. Co się stało? — pytał Francey wyrrywając się z objęć.

— Sierżant wpadł z wizytą. Wszystko w porządku.

— Zaaresztują nas? — zaciękała się Johanna.

— Nie, oczywiście, że nas nie zaaresztują. A teraz: kto ma chęć na bułeczkę z porzeczkami?

— Ja! Ja! — krzyczeli jedno przez drugie i równocześnie dało się słyszeć wołanie Abigail z kojca.

Do obiadu wieść o zeznaniach Mossiego obiegła okolicę.

— Czy to prawda? — zawołała zdyszana Tilly wpadając z impetem do kuchni Elizabeth.

— Niby co?

— Nie denerwuj mnie, dobrze wiesz, o co chodzi. Przyszedł sierżant tu, prawda?

— Sama widziałaś. Jeżeli chodzi ci o Mossiego — tak, to prawda.

— Więc Daniel z tego wyjdzie?

— Gdyby to zależało od Clanceya, nie byłabym taka pewna. Cóż to za okropny człowiek, Tilly.

— Do diabła z nim. Teraz, kiedy Mossie ma zeznawać jako świadek...

— Tak, tak. Ale jeśli dotąd się nie modliłaś, to lepiej zacznij. Rozprawa może się odbyć nawet w najbliższy wtorek.

— Wyklęczę sobie kolana! — przyrzekła Tilly. — Czy to nie paskudny taki–nie–taki?

— Sierżant?

— Nie, Mossie. Dlaczego dotąd zwlekał?

— Ze strachu... Ludzie nie lubią policji.

— Może. Ale mimo wszystko...

\* \* \*

Tilly ciągnęła spekulacje, a Elizabeth zastanawiała się, co też powie jej przyjaciółka na wieść o zaręczynach. Nie miała jeszcze odwagi przyznać się do niczego. Wszystko w swoim czasie. Kto wie, co może się zdarzyć, zanim ogłoszą zapowiedzi.

W następny wtorek Elizabeth w towarzystwie lojalnych Harringtonów płynęła „Księżniczką Béara” do Ballyfree. Pierwsze kroki skierowali do ratusza. Dowiedzieli się, że rozprawę zaplanowano na popołudniową sesję, a ponieważ była dopiero pora lunchu, w sali sądowej zobaczyli tylko sędziego, który przerwał w połowie zdania mowę młodego prawnika i odroczył posiedzenie do drugiej. Mick spytał jeszcze jednego ze strażników, który z kolei zasięgnął języka u

urzędniczki: nastąpiło opóźnienie i sprawa Daniela miała rozpocząć się nie wcześniej niż o trzeciej.

Poszli do restauracji w pobliskim hotelu, gdzie czekał już na nich ojciec Elizabeth. St John nie został oficjalnym obrońcą Daniela, ale służył mu radą i doświadczeniem. Od czasu kiedy dowiedział się o oświadczeniu Mossiego, użył swych wpływów w prokuraturze, żeby upewnić się, że Elizabeth nie zostanie wezwana na świadka bez naglącej potrzeby.

— Wszystko pójdzie dobrze — mówił popijając zupę Windsor. — Cieszę się, że trafiliśmy na sędziego Eagera. Nie ma oczywiście żadnych gwarancji...

Elizabeth nie mogła nic przelknąć i bawiła się kawałkiem zbyt mocno wysmażonej baraniny. Tilly i Mick podtrzymywali rozmowę.

— W „Independent” pełno dziś zdjęć V-1. Mówią na nie ślepograty i co najgorsze toto samo potrafi latać. Wstrząsające.

St John z zapalem śledził wydarzenia wojenne i chętnie podjął temat, Elizabeth zaś wyłączyła się zupełnie. W drugim końcu sali zauważyła rodziców Daniela. Czy powinna do nich podejść? Co miałyby powiedzieć? Spotkała ich raz czy dwa, podobno przyszli nawet na pogrzeb Neeleya, ale od aresztowania Daniela nie widziała ich więcej.

Spod spuszczonej powiek zerkała, jak jedli w milczeniu i ostrożnie, jakby bali się cokolwiek zabrudzić. Wyglądali na zagubionych. Elizabeth poczuła wyrzuty sumienia: niezależnie od wyroku spadnie na nich spleta postępowania sądowego. Nie mogła tego znieść.

— Nie jestem głodna — powiedziała odkładając z brzękiem sztućce. — Wyjdę na dwór odetchnąć świeżym powietrzem.

— Pójsz z tobą? — spytała Tilly podnosząc się z krzesła.

— Nie, zjedz spokojnie. Chcę przez chwilę pobyć sama i zebrać myśli.

Opuuszczając jadalnię, zauważyła, że rodzice Daniela odprowadzili ją wzrokiem. Nie miała wątpliwości, co o niej myślą.

Oprócz comiesięcznych targów bydła Ballyfree słynęło z ruin małego zamku, niegdyś pomniejszej siedziby klanu O’Sullivanów. Budowla ze ślepych oknami zwróconymi w stronę morza górowała nad miastem.

Większość sklepów zamknięto na przerwę obiadową i po kilku minutach chodzenia tam i z powrotem po rynku Elizabeth skierowała się na ścieżkę wiodącą do ruin. W połowie drogi musiała precyzyjnie się koło bujnego krzaka czarnego bzu, który wyrósł pośrodku drogi. Piła kiedyś wino z jego jagód, wiedziała też, że zbieranie tych kwiatów przynosi pecha. A co by się stało, gdyby zerwała jeden niechący? Śmiejąc się z samej siebie, ostrożnie przedostała się przez ścianę kremowego kwiecica.

Przed zamkiem pasło się parę krów. Na kamienistej ziemi pełno było odchodów, które w cieniu ruin nigdy nie wysychały. Elizabeth nie chciała zniszczyć sobie butów i właśnie szykowała się do powrotu, kiedy nisko w dolinie dojrzała samochód i towarzyszący mu motocykl skręcające na rynek. Z tej odległości nie mogła dostrzec żadnych napisów, ale serce powiedziało jej, że to policja z Limerick przywiozła Daniela. Pojazdy skręciły w stronę gmachu sądu i zniknęły jej z oczu.

W tym momencie dotarło do niej naprawdę wielkie znaczenie następnych paru godzin. Odległy ledwie o paręset jardów Daniel może jeszcze dziś odzyskać wolność. Albo w zależności od sędziego, według słów ojca, może stanąć przed perspektywą wieloletniego więzienia w Limerick; Elizabeth zdrzała na samo wspomnienie tego okropnego miejsca. Poza tym sprawa może zostać odroczone — nigdy nic nie wiadomo.

Nie dbając o ubranie, usiadła na kępcie trawy. Instykt mówił jej, że powinna biec i wymusić widzenie z Danielem, a zamiast tego siedzi tu i podziwia widoki. Pomyślała, że na pewno spodobałoby mu się to miejsce, samotne i pełne przestrzeni.

Widziała stąd okolicę na wiele mil dookoła. Krajobraz wydawał się dużo przyjemniejszy niż w Lahersheen. Nie widziała zbyt wielu ludzi. Krowy pasły się na zielono–żółtych łąkach, pooddzielanych żywopłotami. Na wybiegu po lewej stronie zobaczyła parę koni, które w cieniu wiązów oganiały się od much, a na pastwisku osiołek z zamkniętymi oczami beztrząsco ocierał się o furtkę.

Między wzgórzem a miastem ciągnęła się piaszczysta plaża: kilkoro dzieci kąpało się w morzu, a dorośli grali gumową piłką w grę zwaną „osiołkiem”. Zażęknęła do takiej normalności, zapominając przez chwilę o swych kłopotach.

— Znow się nad sobą użalamy? — powiedziała na głos i zawstydzona rozejrzała się, czy nie ma nikogo w pobliżu.

Nie doczekała się odpowiedzi, krowy nadal spokojnie przeżuwały trawę.

Wstała i bardzo powoli ruszyła w drogę powrotną. Dotarła do hotelu za dwadzieścia druga. Ojciec i Harringtonowie czekali na nią w hallu, McCarthych zaś nie było nigdzie widać.

— W zasadzie możemy już iść — stwierdził St John zapinając guzik marynarki i podnosząc teczkę.

Niezależnie od pogody ojciec zawsze nosił trzyczęściowy garnitur, staromodną koszulę z wysokim kołnierzykiem i starannie zawiązany krawat. Ta jednostajność złościła kiedyś Elizabeth, ale teraz wydała jej się światłem latarni morskiej, wskazującej drogę podczas mgły. Pocałowała go w policzek.

— Bez względu na to, co się dziś stanie, chciałabym ci podziękować, tato.

Zaskoczony i zakłopotany potarł pocałowane miejsce.

— Tak. No cóż, jeśli chcemy znaleźć dobre miejsca na widowni, to lepiej już chodźmy.

W sali sądowej mieściło się najwyżej czterdzieści pięć osób, w tym policjanci. Przyszło już sporo ludzi.

— Niedługo zaczną — powiedziała Tilly do Elizabeth, ściskając ją za rękę.

Usiedli na drewnianej ławie dla publiczności.

Elizabeth bywała już przedtem w sądzie, przed laty ojciec zabierał ją czasem ze sobą, ale nigdy nie widziała jeszcze tak zaniedbanego pomieszczenia. Ściany były zawilgłe, meble zdekompletowane, a do tego śmierdziało kocimi odchodami.

Na przedzie, po drugiej stronie wąskiego przejścia, siedziała rodzina McCarthych: rodzice, siostry, bracia i inni krewni. Elizabeth cieszyła się, że znalazła się za nimi i modliła się, żeby rodzice Daniela przypadkiem się nie oglądali.

— Proszę wstać, sąd idzie!

Tuż po drugiej wkroczyli sędziowie. Zebrani uciszyli się, a miodny prawnik na nowo podjął mowę, której nie dano mu dokończyć przed obiadem.

Elizabeth prawie nic nie rozumiała z jego niewyraźnego wywodu. Ciągle kręciła się na miejscu, czekając, kiedy wprowadzą Daniela.

Za którymś razem napotkała spojrzenie sierżanta Clanceya. Ominęła go wzrokiem podobnie jak rząd policjantów i świadków stojących pod ścianą, nie wyłączając Mossiego.

Bieżąca sprawa wlokła się niemiłosiernie. Elizabeth lustrowała uważnie sędziego, próbując się domyślić, jak ustosunkuje się do Daniela. Wyglądał na sześćdziesiąt lat i kiedy się irtypował (co zdarzało się dość często), bawił się oprawką okularów. Żaden z adwokatów nie śmiał z nim zadzierać. Z drugiej strony bardzo łagodnie odnosił się do podsądnej, leciwej wdowy oskarżonej o naruszenie sąsiedzkiego prawa do drogi.

Elizabeth odwróciła się ponownie i zobaczyła Daniela. Kiedy ją dojrzał, twarz mu pojaśniała, a Elizabeth przygryzła wargi, żeby nie odpowiedzieć mu szerokim uśmiechem.



Świeżo ogolona twarz i czyste ubranie podkreślały jego ziemistą cerę. Więzienne strzyżenie uwydatniło wystające kości policzkowe i zarys skroni; sporo stracił na wadze. Posadzono go na ławce między policjantem i umundurowanym oficerem, do którego był przykuty kajdankami.

Elizabeth co chwila odwracała się i posyłała mu krzepiące uśmiechy. Chciała przekazać mu całą swoją siłę.

Wreszcie wywołano jego nazwisko. Było dziesięć po trzeciej.

Atmosfera sali uległa wyraźnej zmianie, kiedy Daniel przeszedł do przodu i stanął na zabytkowym podeście z poręczami, przypominającym ambonę. Sąd okręgowy w Ballyfree zajmował się sprawami różnego typu, ale ta nabrała szczególnego rozgłosu, gdyż mówiło się o zbrodni w afekcie. Wiele osób doskonale się bawiło, Elizabeth zaś okropnie się zdenerwowała.

Daniel złożył przysięgę. Stał prosto, ale głos miał słaby i zachrypnięty. Elizabeth zacisnęła pięści, a Tilly uniosła nieznacznie kciuki do góry.

Oskarżyciel wstał i poprosił o rozmowę z sędzią. Zaproszono też obrońcę Daniela.

Konsultacje ciągnęły się bez końca. Elizabeth nie udało się nic usłyszeć i miała ochotę wrzeszczeć.

Po chwili prokurator posiłkowy odprowadzany przez spojrzenia wszystkich zebranych podszedł do Mossiego i szepnął mu coś na ucho. Mossie po namyśle skinął głową i chciał się podnieść, ale adwokat posadził go z powrotem.

Elizabeth myślała, że oszaleje.

Z trudem odzyskała głos i nachyliła się do ojca, żeby zapytać, co się dzieje.

— Cii — St John przyłożył palec do ust. — Eager to uczciwy człowiek, na razie wszystko idzie nieźle.

Prokurator wrócił do kolegów, a toga powiewała za nim jak wronie skrzydła. Elizabeth rzuciła okiem na Daniela, ale on patrzył przed siebie, w jakiś punkt nad oknem. Wystawienie na publiczny widok musiało być dla niego nie lada upokorzeniem. Rodzina i sąsiedzi siedzieli tak blisko, że mogli śledzić każdy grymas jego twarzy.

Elizabeth nie mogła tego dłużej znieść i zamknęła oczy.

Usłyszała, jak wywołują Mossiego, a potem jego głos powtarzający przysięgę i streszczający dobrze znane wypadki. Nie sprawdziła nawet, która ze stron go przesłuchuje. Serce waliło jej młotem. Z całych sił ścisnęła rękę Tilly.

Później zaczęła odmawiać pierwszą modlitwę jaka przyszła jej na myśl: „Magnificat”. Powtarzała w kółko pierwsze linijki, aż wtopiły się w rytm pulsujących krwią powiek.

*Wielbi dusza moja Pana i rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim, bo wejrzał na unізoność służebnicy swojej. Oto bowiem odtąd błogosławioną zwać mnie będą wszystkie pokolenia... Wielbi dusza moja Pana... Wielbi dusza moja Pana...*

Skupiła się i odsunęła od siebie wszystko poza unізoną prośbą:

*...Bo wielkie rzeczy uczynił mi Wszchemocny i święte jest imię jego, a miłosierdzie jego z pokolenia w pokolenie nad tymi, którzy się go boją. Okazał moc ramieniem swoim i rozproszył pysznych z zamysłów ich serc. Strącił władców z tronów, a wywyższył ponizonych...*

Tilly zaczęła się wiercić i Elizabeth puściła jej ramię. Wydawało jej się, że jeśli tylko potrafi się dostatecznie mocno skupić, uda jej się wpłynąć na bieg wydarzeń.

*...a miłosierdzie jego z pokolenia w pokolenie...*

Dotarł do niej niepewny głos Mossiego, ale podwoiła wysiłek, żeby go odseparować.

Miłosierdzie, miłosierdzie, miłosierdzie... — powtarzała jak mantrę.

Mossie skończył mówić i z kamienną twarzą opuścił miejsce świadka. Elizabeth nie spojrzała nawet na niego.

Przez kilka nie kończących się chwil adwokaci ponownie szeptali przy stole sędziowskim. Wreszcie wrócili na miejsca, a Eager bez pośpiechu zabrał się do przeglądania sterty papierów, których szelest przypominał Elizabeth skrzypienie obluzowanych dachówek pod naporem zimowego wichru.

Sędzia porobił kilka notatek, później napił się wody z karafki i otworzył następną teczkę.

Elizabeth nie śmiała drgnąć, bojąc się, że najmniejszym poruszeniem zakłóci równowagę wszechświata.

Wreszcie sędzia podniósł wzrok na ławę oskarżonych i lekkim tonem, zupełnie jakby ucinął sobie pogawędkę przy obiedzie, oznajmił, że znajduje Daniela winnym zabójstwa i skazuje go na siedem lat więzienia, jednak z uwagi na niezwykle okoliczności wyrok zostaje zawieszony. Nakazał mu dobre sprawowanie i pogratulował oddanych sąsiadów.

Następny.

Elizabeth usłyszała tylko „siedem lat”. Przedmioty i ludzie zmniejszali się i zwiększali z zawrotną szybkością, zupełnie jak wtedy, kiedy zawiadomiono ją o śmierci Neeleya. Zamknęła oczy, ale zaraz potrząsnęła nią Tilly.

— Lizzie! Lizzie! O, mój Boże!

— Co?

— Nie słuchałaś? Och, Lizzie! — reszta słów zginęła, bo Tilly zakryła sobie nagle usta ręką.

Elizabeth rozejrzała się. Ludzie rozmawiali podekscytowani, a sędzia walił młotkiem w stół.

— Cisza! — donośny głos drobnego woźnego pasowałby raczej do dyrektora cyrku.

Elizabeth odważyła się spojrzeć na Daniela. Wyglądał na zagubionego i dezorientowanego. Nie bardzo wiedział, co robić z rękami. Zakołysał się, jakby chciał zrobić krok naprzód, ale stał w miejscu.

— Co się dzieje? — spytała Elizabeth ojca.

— Cieszysz się, Beth?

— Niby z czego?

Sędzia ponownie uderzył młotkiem.

— Cisza na sali! — krzyczał woźny.

Starszy obrońca podszedł do Daniela i uściskał mu rękę.

— Puszczają go wolno? — wyszeptała ogłupiała Elizabeth.

— Cii, porozmawiamy na zewnątrz.

Elizabeth wciąż oglądała się na Daniela i Tilly niemal siłą wyprowadziła ją z sali. Za drzwiami ojciec wdał się w rozmowę ze znajomym prawnikiem, a Mick Harrington odwrócił się tyłem do wiatru i ochraniając płomień dłonią zapalał papierosa.

— Och, Lizzie!

Tilly ni to uścisnęła, ni potrząsnęła przyjaciółką.

— Wpuszczają go? Przecież sędzia dał mu siedem lat.

— W zawieszeniu, gąsko.

— W zawieszeniu? — powtórzyła nie śmiejąc uwierzyć, aż wreszcie wypełniło ją uczucie nadzwyczajnej lekkości. — Jest wolny? Naprawdę wolny?

— Tak!

Tilly rzuciła okiem na męża, który zawsze czuł się nieswojo wobec kobiecej wylewności, więc teraz odszedł w stronę wystawy sklepu z używanymi narzędziami rolniczymi.

— Lizzie — powiedziała Tilly błagalnym tonem — teraz tylko zachowuj spokój, dobrze? Obiecujesz?

Elizabeth nie zdążyła odpowiedzieć, bo na słoneczny rynek wyszedł Daniel w otoczeniu rodziny. Tilly położyła jej ostrzegawczo rękę na ramieniu, ale całkiem niepotrzebnie. Zamiast biec do niego, Elizabeth cofnęła się parę kroków.

Sytuacja ją przerastała. Uwolnienie, tak nagle, choć tak dawno oczekiwane, wytrąciło ją z równowagi.

W świetle dnia bladość Daniela jeszcze się uwydatniła. Mrużył oczy i na gratulacje odpowiadał słabym uśmiechem. Pozwalał, żeby potrząsano jego ręką, jakby nie należała do niego. Odwrócił się do matki, drobnej kobieciny w niemodnym brązowym kostiumie, i otoczył ją ramionami. Elizabeth cofnęła się jeszcze bardziej.

Pani McCarthy odwzajemniła uścisk, stając na palcach i pokazując podeszwy nowiutkich butów.

Elizabeth pomyślała, że nie ma prawa przynosić wstydu tej dobrej kobiecie i jej rodzinie. Jednocześnie uzmysłowiła sobie, że między nią i Corinne moment takiej czułości nigdy by się nie zdarzył.

Zauważyła, że Daniel szuka jej wzrokiem i w tej samej chwili dostrzegła Mossiego, który wyszedł z budynku i ruszył w stronę McCarthy'ch. W połowie drogi zmienił jednak zamiar i stanął.

Pewnie wątpi, czy ciepło go powitają — pomyślała Elizabeth z goryczą, a potem odwróciła się i wzięła Tilly pod rękę.

— Chodźmy, proszę.

— A co z twoim ojcem? — zaprotestowała Tilly, choć dała się pociągnąć w stronę męża.

— Znajdzie nas. Muszę po prostu stąd zniknąć.

— Nie pojmuje cię, Lizzie Scollard — syknęła Tilly. — Jesteś dla mnie chodzącą zagadką. Nawet święty straciłby przy tobie cierpliwość.

— Wiem — odszepnęła Elizabeth. — Później ci wytłumaczę. Poza tym robię przecież tylko to, co kazałaś. Powiedziałaś, żebym zachowała spokój, więc słucham się ciebie. Na pewno umierasz z pragnienia — zwróciła się do Micka. — Pozwólcie, że zaproszę was na drinka.

Sama nie rozumiała jeszcze przyczyn swej nagłej paniki. Nie chciała publicznie przyznawać się do uczuć wobec Daniela, żeby nie dać Mossiemu satysfakcji, ale chodziło też o co innego. Czuła, że pierwsze spotkanie z Danielem powinno odbyć się bez świadków, a poza tym scena między nim a matką wstrząsnęła nią do głębi. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że jej miłość do Daniela może mieć wpływ także na innych ludzi, którzy w niczym nie zawinili i których życie pełne było lojalności i poświęcenia. Musiała to przemyśleć, zanim bez pamięci rzuci się w jego objęcia.

Los chciał inaczej.

St John znalazł ich w hotelowym barze i siedzieli we czwórkę popijając drinki, kiedy grupa McCarthy'ch tłumnie weszła do środka.

Siedząca pod ścianą Elizabeth najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Tilly zauważyła jej zmieszanie, obejrzała się, a potem zmarszczyła brwi, jakby chciała powiedzieć: „Weź się w garść”.

Ojciec tłumaczył Mickowi zawilości procesu, a Elizabeth pochyliła się nisko nad stołem.

Bar był ciemny i pełen ludzi, więc jak dotąd nikt jej nie zauważył. Elizabeth śledziła ich spod oka. Ojciec Daniela poszedł złożyć zamówienie, a towarzystwo rozsiadło się na narożnej ławie i paru stołkach tuż przy drzwiach, co uniemożliwiałoby wyjście po cichu.

Daniel siedział tyłem do sali, ale jeden z jego braci zauważył Elizabeth. Obwieścił nowinę pozostałym i w jednej chwili zapadła cisza. Daniel wstał i ruszył w jej kierunku.

Elizabeth wydawało się, że idzie nienaturalnie wolno, jakby płynął pod wodą, a otaczający ją gwar dobiega z oddali i rozmywa się. Panika, wątpliwości i przemyślenia ustąpiły wyczekiwaniu. Ojciec dojrzał wyraz jej twarzy i odwrócił się, a Mick Harrington spuścił głowę.

— Witaj Danielu.

Chciała wstać, ale nie ruszyła się z miejsca.

— Tak się cieszę, że przyszedłaś, Elizabeth — powiedział z prostotą, a potem zwrócił się do jej ojca: — Panie Sullivan, nie wiem, jak mam panu dziękować. Obrońca wspominał mi o pańskiej uprzejmości.

— Sprawiedliwości stało się zadość — odrzekł St John chrząkając.

— Czy mogę zamienić z tobą dwa słowa? — Daniel zwrócił się do Elizabeth.

— Oczywiście.

— Czuła, że dla niej wciąż jest za wcześnie, nie miała siły, by stawić czoło niechęci, której spodziewała się ze strony rodziny McCarthych.

— Wracasz do domu parowcem?

— Rodzice wynajęli powóz, pojedę z nimi.

Wpatrywał się w nią intensywnie ciemnymi oczami, które wyraźnie odcinały się od bladej cery, a ona do reszty traciła rozsądek.

— Wobec tego wpadnij do mnie dziś wieczorem. Zaprosiłam też Tilly i Micka.

Tilly usłyszała o tym po raz pierwszy i poruszyła się gwałtownie na krześle, ale Elizabeth nie zwracała uwagi.

— Wszyscy cieszymy się z takiego zakończenia sprawy — ciągnęła Elizabeth, czując, że jej słowa są zupełnie nie na miejscu, zupełnie, jakby cieszyła się ze śmierci męża.

— Dziękuję i do zobaczenia. Jeszcze raz dziękuję, panie Sullivan, moja rodzina i ja jesteśmy panu ogromnie wdzięczni.

Wyglądał tak, jakby chciał się uklonić, a potem wrócił do swoich.

— Powinniśmy już iść, jeśli nie chcemy spóźnić się na statek, a tata pewnie też ma zamiar niedługo zbierać się do drogi.

Statek odchodził dopiero za godzinę, ale Elizabeth zdawało się, że w grupie łatwiej przemknie się koło McCarthych. Tilly, Mick i ojciec w milczeniu kończyli pić, ale ona nie mogła niczego przełknąć. Była zrozpaczona. Daniel z pewnością pomyślał, że się na niego gniewa. Znowu wszystko pogmatwała. Bardzo chciała już wyjść.

W drodze do drzwi przepuściła wszystkich przodem, a sama szła z dumnie podniesioną głową. Nie wytrzymała i w ostatniej chwili odwróciła głowę w prawo, jakby w barze dostrzegła nagle coś niezwykle zajmującego.

Bezpieczna na zalanej słońcem ulicy natychmiast przeklęła swoje tchórzostwo. Powinna zaraz wrócić, stanąć przed rodzicami Daniela i powiedzieć cokolwiek, co przełamałoby pierwsze lody.

Nie dając sobie już ani chwili do namysłu skłamała, że zostawiła coś w restauracji i weszła z powrotem do hotelu.

W hallu natknęła się na starszego brata Daniela. Szedł do toalety, ale zawrócił na jej widok. Jego oczy, tak podobne do oczu Daniela, wyrażały niebywałą pogardę.

— Pani Scollard? Być może nie do mnie należy oznajmienie pani tego, ale moi rodzice i ja bylibyśmy wdzięczni, gdyby na razie dała pani spokój Danielowi — odezwał się uprzejmie, lecz zimno, po czym odwrócił się i odszedł.

Elizabeth skamieniała. Nigdy więcej nie odważy się spotkać z rodziną McCarthych.

Na statku wydawało jej się, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z sierżantem Clanceyem.

— Gratuluję pani — powiedział cicho, a jego mina dowodziła, że do końca życia będzie uważał Daniela za mordercę. W domu czekała aż do północy, ale Daniel nie przyszedł.

## ROZDZIAŁ 18

W nocy dął północno-wschodni wiatr, a od rana deszcz siekł ukośnymi falami maleńkie okna. Było niespokojnie. Elizabeth przez dziesięć minut zastanawiała się, czy w taką pogodę wysyłać dzieci do szkoły. Pomyślała jednak, że płatałyby jej się tylko pod nogami przez cały dzień. Przypomniała sobie słowa Neeleya, że ich dom zawsze najbardziej cierpi od wiatru z północy, więc gdzie indziej było z pewnością spokojniej. Poza tym na Béara zatrzymywano dzieci w domu tylko w czasie trzęsienia ziemi.

Wstała. Czowała się zmęczona i miała zaczerwienione oczy. Dopilnowała, żeby dziewczynki włożyły kalosze i nieprzemakalne płaszcze. Kiedy wychodziły, dostrzegła postać wjeżdżającą pod górę na rowerze.

— To Danny! — Francey rozpoznał go natychmiast i pobiegł poszukać piłki.

Chociaż przed paroma godzinami oczekiwała go tak niecierpliwie, teraz wpadła w panikę. Czowała się strasznie winna wobec jego rodziny, a równocześnie niezwykle siła ciągnęła ją do niego, zupełnie jakby była rybą na haczyku.

Na razie udała, że go nie widzi i wróciła do kuchni.

Francey usiłował się ubrać w płaszcz przeciwdeszczowy, za duży o kilka numerów.

— Co robisz? — zapytała ostro. Nawet nie podniósł głowy.

— Idę grać w piłkę.

— Nie bądź *amadán*. Nigdzie nie pójdziesz w taką pogodę.

— Czemu? — Elizabeth okropnie nie podobały się tony, które przybierał od powrotu ze szpitala.

— Bo ja tak mówię.

Podbiegła do niego i pociągnęła za płaszcz. Opierał się, więc dała mu klapsa. Rozplakał się, chociaż nie bolało.

Elizabeth mogłaby policzyć na palcach jednej ręki, ile razy uderzyła syna. Nie znosiła przemocy, więc teraz też natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Co gorsza Johanna, dotąd bawiąca się spokojnie w kącie, zaczęła współczująco pociągać nosem. Elizabeth nie wiedziała, co robić: Daniel był tuż-tuż. Miała ochotę pocieszyć Franceya, ale nie chciała okazać się niekonsekwentna.

Kiedy rozległo się pukanie, pobiegła otworzyć, wciąż niepewna, czy zapraszać go do środka. Nie chciała, by widział ją w takim stanie. Przez uchylone drzwi wpadł silny powiew i przez chwilę oboje z Danielem walczyli o całość zawiasów. Daniel wszedł do kuchni, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Stał na środku niczym ociekająca wodą foka.

— Witaj! — powiedziała schrypniętym głosem.

Woda ściekała mu na oczy, ale stał nieruchomo. Był bardzo blady, a spod wystrzyżonych włosów wyzierał pasek nie opalonej skóry, białej jak u noworodka.

Elizabeth jasno zdała sobie sprawę ze swego wyglądu: kapci na bosych nogach, niedbale przyczesanych włosów i starego, brązowego swetra na równie znoszonej letniej sukience. Okropnie się speszyła.

— Usiądź. I zdejmij te mokre rzeczy.

Odwróciła się, żeby pokryć zmieszanie. Podeszła do chlipiącego syna i uściskała go tak czule, że ze zdziwienia przestał płakać.

Daniel stał bez ruchu z peleryną w rękach.

— Daj, rozwieszę to. Chcesz, żeby ci dać ręcznik do wytarcia włosów?

— Tak, poproszę — odezwał się wreszcie.

— Przynies ręcznik z łazienki, Francey.

Chłopiec wybiegł, a Elizabeth patrzyła za nim z takim przejęciem, jakby oczekiwała, że wróci ze Świętym Graalem. Johannie udzielił się nastrój matki i wlepiła w gościa wielkie oczy.

Daniel wycierał się, a Elizabeth przygotowując herbatę, dla uspokojenia odliczała od pięćdziesięciu do jednego. Dotarła do dziesięciu.

— Już lepiej. Usiądź przy stole. Woda zaraz się zagotuje.

Francey natychmiast zaczął rozmowę o futbolu, używając wyrażen, które podsłuchał u dorosłych.

— Sio, daj Danielowi spokój — przegoniła go Elizabeth, idąc z imbrykiem mocnej herbaty z ostatniego przydziału. — Idź pobawić się z siostrą.

— Eee, to tylko dziewczyna. Chcę zostać i porozmawiać z Dannym — marudził, ale odszedł w końcu, kiedy Daniel obiecał, że jeśli tylko pogoda się poprawi, to pod koniec tygodnia rozegra z nim mecz.

— Nie przyszedłeś wczoraj? — zapytała, choć bardzo chciała się powstrzymać.

— Późno wróciliśmy do domu, a potem przyszło mnóstwo sąsiadów. Wszyscy byli bardzo dobrzy dla taty i mamy.

— Tak, moi sąsiedzi też okazali dużo serca.

Pod jego wzrokiem zrobiło jej się gorąco i przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

Daniel dolał sobie mleka do herbaty i patrzył na nią znad parującego kubka.

— Proszę cię, nie! — zawołała cicho i obejrzała się, czy dzieci jej nie słyszą, ale pochłaniała je całkowicie budowa pociągu.

— Nie co? — nie odwrócił wzroku.

— Nie patrz na mnie w ten sposób.

— Jaki?

— Takimi oczami.

— A niby jak mam patrzeć? Kiedy się znów spotkamy?

— Przecież widzimy się teraz.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Niedługo — szepnęła, czując, jak dreszcz przebiega przez całe jej ciało.

— Dziś w nocy.

Nie, nie jest gotowa, musi wszystko przemyśleć, jego rodzina... Na przekór tym myślom usłyszała własny głos:

— Gdzie?

— W ruinach na polu?

— Nie — przypomniała sobie Mossiego, a potem przebiegła myślą wszystkie możliwe miejsca, w których nikt im nie przeszkodzi. Głowa Kilcatherine ze snu!

— Spotkamy się na cmentarzu. Po zmroku nikt tam nie chodzi.

Zmieszanie zniknęło.

— Dziś mamy najdłuższy dzień. Nie ściemni się do późna.

— Wyrzyj za okno. O wpół do dziesiątej będzie po wszystkim.

\* \* \*

Jak zwykle na Béara do południa nie zostało po burzy ani śladu, można by myśleć, że nigdy się nie zdarzyła.

Ciągnąc za sobą przeciwdeszczowe płaszcze, dziewczynki wróciły ze szkoły na bosaka. Elizabeth właśnie rozwieszała pranie. Takiego słońca nie powstydzilyby się nawet wyspy na Morzu Egejskim.

Długi dzień przeszedł w nie kończące się godziny wieczoru, a o ósmej wpadła Tilly Harrington.

— A, to ty — przywitała ją podminowana Elizabeth.

— A kogo się spodziewałaś? Gracie Fields?

„Nasza Gracie” miała wielbicieli nawet w tak zapadłym zakątku Europy. Ze swego spadku bez dna Tilly nie tylko sprawiła sobie pierwsze na półwyspie radio, lecz także gramofon i niewielką kolekcję płyt, co uczyniło jej dom najpopularniejszym w parafii.

— Przepraszam. Co ja wygaduję — westchnęła Elizabeth i wróciła do zmiatania czystego podwórka.

— Hmm... Jak ci leci?

Tilly przysiadła na ławce obok beczki z deszczówką.

— Świetnie.

— Widziałam, że wpadł Daniel.

Elizabeth miała na końcu języka, że w tej okolicy mysz nie prześliznie się bez wiedzy Tilly, ale dała spokój.

— Jakies wieści?

Tilly albo celowo robiła jej na złość, albo jej własne poczucie winy doprowadziło ją do przewrażliwienia.

— Nic specjalnego. Późno wrócili z Ballyfree i mieli sporo gości. Dlatego nie przyszedł.

Tilly patrzyła na pole na wzgórzu.

— Aha. O, tam jest Mossie. Jak się masz, Mossie! — zawołała na cały głos.

— Dobry wieczór, Tilly — odkrzyknął prostując obolałe plecy — piękna pogoda.

— Nie ściągaj go tu, na miłość boską — syknęła Elizabeth, ale Mossie wrócił do naprawiania furtki.

— A cóż ci biedny Mossie zawinił. Co cię gryzie? Myślisz, że nie wiem? To świetny pracownik, trafiło ci się jak ślepej kurze. On tu wszystko poustawia. Nie żeby Neeley był gorszy, Boże broń — przeżegnała się — ale Mossie ma dużo zapału. Dobrze wybrałaś.

Tilly myślała, że dokument podpisany przez Sheehana i jej przyjaciółkę dotyczył dzierżawy.

Słońce chyliło się ku zachodowi, ale wciąż było skwarno.

— Więc kiedy masz się z nim spotkać?

— Z Mossiem?

— Nie udawaj niewiniątka, Elizabeth Sullivan. Mówię o Dannym.

Przez chwilę Elizabeth miała ochotę wyznać prawdę, Tilly z pewnością na to zasługiwała, ale potem pomyślała, że rozmowa o tym wyjątkowym wydarzeniu tylko je zepsuje.

— Nie umawialiśmy się dokładnie. Chcemy zaczekać i zobaczyć, jak wszystko się ułoży.

Tilly nawet nie mrugnęła okiem.

— Yhm. Ale bądź ostrożna. Tutaj nawet rowy mają uszy.

— Myślisz, że o tym nie wiem? Możemy zmienić temat?

Usiadła obok Tilly na ławce i wystawiła twarz do słońca.

Chciała się uspokoić, posłuchać kojącego brzęczenia pszczół i równego stukotu młotka. Gdzieś w oddali jakiś mężczyzna nawoływał psa, a na którymś z pól grano w piłkę. Starsze dziewczynki po odrobieniu lekcji zgodziły się bawić z Franceyem i choć odeszli od domu o dobre ćwierć mili, ich krzyki unosiły się w nieruchomym powietrzu.

— Miło posłuchać młodych głosów, prawda?

W tonie Tilly zabrzmiał smutek. Elizabeth zmartwiła się. Cóż to za świat, jeśli taka kobieta jak Tilly, która palec dałaby sobie uciąć, żeby mieć dzieci, nigdy się swojego nie doczekała, a ona ma siedmioro; żadne nie planowane ani nie oczekiwane z radością.

Szybko zagłuszyła własne myśli: przecież nie wyobraża sobie życia bez któregośkolwiek z nich. Potem przyszło jej do głowy inne pytanie:

Co ze mnie za człowiek: ledwie pochowany mąż, a ja już przebieram między zalotnikami. I kogo wybrałam? Chłopca młodszego ode mnie o sześć lat. Tysiące, miliony kobiet potrafiły opanować seksualne żądze, tylko nie ja... I to nieszczęście, które sprowadziłam na rodzinę Daniela...

Spokój wieczoru zniknął przygnieciony wyrzutami sumienia. Mossie Sheehan utrafił w sedno, pewnie Neeley też: bez wątplenia, była ładacznica.

Elizabeth zatrzęsała się na wspomnienie schadzki w Kilcatherine. Jak daleko może zajść ludzka perfidia? Przecież właściwie planowała kochać się przy świeżym grobie męża.

— Co się dzieje, Lizzie? — spytała Tilly zaalarmowana wyrazem jej twarzy.

— Nic — wymamrotała, usiłując opanować dreszcze.

— Cała się trzęsiesz. Może masz temperaturę?

— Mam siebie dosyć.

Tak czy inaczej, o wpół do dwunastej biegła polami w stronę cmentarza. Na zachodzie wciąż różowiały i złociły się resztki minionego dnia i choć księżyc nie świecił, nie zrobiło się całkiem ciemno. Nawet króliki nie wróciły jeszcze do swoich nor.

Jak złodziej kryła się w cieniu kamiennych murów i żywopłotów. Wieczorem powiedziała Mary, że pewnie nie uda jej się zasnąć i pójdzie na spacer. Dzieci marudziły wyjątkowo i odciągały porę snu tak długo, że miała ochotę je pozabijać. Kiedy wreszcie zasnęły, Elizabeth, niczym panna młoda, zaczęła szykować się do spotkania. Pomyślała, że jak spadać, to z wysokiego konia.

Rowek między piersiami natarła wodą kolońską i założyła jedwabną bieliznę, dar Corinne. Miała na sobie żałobną sukienkę, ale włosy, przykryte czarną chustką, lśniły umyte i wyszczotkowane.

Omijała domy i obejścia szerokim łukiem. Dotarła wreszcie na miejsce, z którego rozciągał się widok na cały niewielki cmentarz. Nad szczytem Knocknasheeog zawisła samotna gwiazda, a z różanego morza wyrastała czarna Skala Byka, Elizabeth jednak lustrowała tylko otwartą przestrzeń przed sobą. Rowy mają uszy! Wypatrywała jakiegoś ruchu, a nade wszystko Mossiego Sheehana.

Panował spokój, a gładkie wody zatoki Coulagh połyskiwały jak łuska makreli. Nawet celtyckie krzyże nie wzbudzały niepokoju.

Elizabeth wygładziła sukienkę na biodrach, czując wyraźnie dotyk jedwabiu na skórze.

Nagle zaniepokoiła się. A jeśli ktoś go zauważył? Trzeba było ustalić jakiś sygnał... Chociaż z drugiej strony wszyscy wiedzieli, że często włóczy się nocą po okolicy. Zresztą szukanie samotności jest zupełnie zrozumiałe po ostatnich przejściach...

Dość — skarciła się i świdrując wzrokiem cienie ruszyła przez otwarte pole przed murem cmentarnym.

Na użytek domniemanych świadków podeszła do grobu Neeleya. Świeżo ruszoną ziemię pokrywała sieć rybacka, na wypadek wiatru przytrzymywana sztucznymi kwiatami, przysłanymi przez krewnych Neeleya z Ameryki. Elizabeth nie znosiła takich wieńców (miała gust po matce) z ich krzykliwymi kolorami i przerysowanymi kształtami. Przykucnęła, udając, że poprawia jeden z nich i nadstawiła ucha. Szum morza brzmiał jak ciche westchnienie.

Nagle usłyszała gorzki głos Neeleya:

— Nie uda ci się!



Porwała się na nogi spodziewając się zobaczyć go przed sobą. Potem nachyliła się i wyciągnęła buteleczkę święconej wody, stojącą obok nagrobka. Wytrząsnęła sobie kilka kropel na rękę i przeżegnała się szybko.

Uciekając z cmentarza natknęła się na Daniela. Podbiegł do niej i porwał w ramiona.

— Myślałem, że już nigdy nie zrobi się ciemno — mówił, całując ją gorączkowo po twarzy i szyi.

— Ja też. Tak się bałam, że nie przyjdiesz.

Czuła się wygłodniała jak po długim poście. Nikt nie powinien ich zobaczyć. Przerazało ją wspomnienie głosu Neeleya.

— Nie tutaj, nie tutaj — jęknęła uwalniając się z objęć.

Wziął ją na ręce i ściągnął chustkę z włosów. Całując jej wrażliwe uszy i podbródek przeszedł przez cmentarz do zachodniej bramy. Była zamknięta, więc pomógł Elizabeth wspiąć się na mur. Niechący dotknął jej nagiego uda. Zamknął na nim ręce i okrył pocałunkami wnętrze kolana. Stłumiła okrzyk rozkoszy.

— Nie tutaj, proszę — powtarzała.

Po drugiej stronie muru wzięła go za rękę i przez rów i pole za cmentarzem poprowadziła do małego zagłębienia. Żeby ich dostrzec, trzeba by stanąć tuż nad nimi.

Odwróciła się do niego i pozwoliła wziąć się w ramiona. Upadli na miękką trawę, wciąż wilgotną po porannej burzy.

— Elizabeth, nie masz pojęcia, jak długo na to czekałem.

Gwałtownym ruchem przesunął ręką po jej biodrach i pośladkach.

Pomogła mu zsuwając ubranie i robiąc dostęp do nagiego brzucha i wnętrza ud. Wyciągnęła mu z paska koszulę i dotykała gładkich, umięśnionych pleców.

Daniel wodził dłońmi po jej ciele, obsypując pocałunkami szyję i rowek między piersiami, raz po raz muskając jej usta. Jego niewprawne wargi były słodkie i twarde, a język zbyt śmiały, ale pragnęła go tak mocno, że nie broniła niczego.

Zastygł ciężko łapiąc oddech.

— Jeszcze nigdy... nigdy...

— Wiem. To nic.

Szybko zdjęła bieliznę i całowała, rozpinając mu guziki koszuli i spodni. Nie ruszał się, ale drżał coraz mocniej.

— O Boże — jęknął, gdy wyswobodziła go wreszcie i pociągnęła ku sobie.

— Jedna rzecz: musisz być gotów wyjść ze mnie, kiedy ci powiem.

— Co tylko zechcesz. Och, Elizabeth...

Wśliznął się do środka i wypełnił bez reszty. Ogarnął ją spazm i przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje. Poruszył się w niej raz i drugi, aż poczuła, jak dreszcz rozkoszy przesywa jego ciało. Wyrzuciła go z siebie w ostatnim momencie: zeszywniał cały i krzyknął jak zranione zwierzę.

Tuliła go ciesząc się z tej nagłości. Kiedy ukrył twarz na jej ramieniu pocałowała go w szyję.

— Przepraszam, Elizabeth, strasznie cię przepraszam...

— Za co? Nie trzeba, kochanie.

Pogłaskała go po głowie tuż pod nasadą włosów.

— Za nic nie musisz przepraszać. Jesteś cudowny. Mój najdroższy mężczyzna.

Ponad jego ramieniem widziała gwiazdy pojawiające się na ciemnym niebie jedna po drugiej. Po raz pierwszy zauważyła, że mają kolor i to nie lodowobiały, lecz wszystkie odcienie różu, czerwieni, żółci i zieleni. Niektóre świeciły równo, inne pulsowały, drżały, a nawet tańczyły. Elizabeth zdawało się, że kosmiczny jubiler rozrzucił garść żywych diamentów po bezkresnym, niebieskim aksamicie.

Daniel uspokajał się, a Elizabeth wróciła do rzeczywistości. A gdyby tak ktoś nadszedł? Może któreś z dzieci nagle zachorowało?

Wyczuł jej zmianę nastroju i uniósł się na łokciu.

— Dobrze się sprawiłem? — szepnął.

— Doskonale, moje najdroższe kochanie, byłeś cudowny. W czasie małżeństwa często przeklinała George’a Gallahera za to, że tak dobrze nauczył ją miłości; sądziła, że lepiej byłoby nie wiedzieć, co traci. Teraz jednak podziękowała mu z całego serca. Nigdy nie zapomniała tego, co powiedział wtedy: Przyjemność to rzecz dozwolona. Mężczyźnie i kobiecie wolno się kochać...

Pocałowała Daniela jeszcze raz i powtórzyła za George’em:

— Będzie coraz lepiej, zobaczysz.

Odwzajemnił pocałunek i chciał zacząć wszystko od nowa, ale powstrzymała go.

— Muszę wracać, skarbie. Zostawiłam dzieci bez opieki.

— Kiedy się zobaczymy?

— Na pewno nie w ten sposób, to zbyt niebezpieczne, ale wymyślę coś, zobaczysz.

— Dziś mam urodziny — powiedział nieśmiało. — Dałaś mi najpiękniejszy prezent.

— Och, Danielu! Nie wiedziałam... Twoje urodziny wypadają w najdłuższym dniu roku?

— Dwudziestego drugiego. Chyba już po północy.

— Wszystkiego najlepszego, moje najdroższe kochanie.

Wstali i poprawiali ubrania. Elizabeth śmiało objęła rolę nauczycielki, niemniej zawstydziła się szukając w trawie jedwabnych majtek. Zakłopotana odwróciła się tyłem. Wyobraziła sobie reakcję matki, gdyby zobaczyła, jak używa swej ślubnej wyprawy. Zawiązała rękawy swetra wokół talii, żeby zakryć poplamioną sukienkę. Uniosła głowę i zobaczyła, że Daniel patrzy na nią płonącymi oczami. Przerwał upychanie koszuli w spodnie i rozłożył szeroko ręce.

— Kocham cię, kocham cię! To najcudowniejsza noc w moim życiu.

Elizabeth rozejrzała się, czy nikogo nie ma w pobliżu, potem ściągnęła mu ręce w dół.

— Danielu, jesteśmy w trudnej sytuacji, ale wydaje mi się, że idziemy we właściwym kierunku. Nie, nie chodzi mi o przekradanie się po rowach, to nie w porządku, ale cała reszta. Co ma być, to będzie. Nie trzeba niczego przyspieszać, prawda?

— Chcę się z tobą ożenić. Wyjdiesz za mnie, Elizabeth? Och...

Zmieszał się widząc jej minę. Położyła mu palec na ustach.

— Jeszcze zdążymy o tym porozmawiać. Poza tym wiesz przecież, że noszę żalobę.

— Nie myślałem, żeby zaraz.

— Przyjdź do mnie jutro po herbacie, pograć w piłkę z Franceyem. Wtedy porozmawiamy.

— Na pewno?

— Oczywiście — zapewniła i pocałowała go z miłością.

Przez moment stali nieruchomo. Elizabeth poczuła ponownie, jak zamyka się wokół nich elektryczny obieg, podobny do tego z potańcówki. Uwolniła się delikatnie.

— Teraz naprawdę muszę iść.

— Do jutra.

Odwróciła się po dwudziestu jardach. Daniel wciąż stał nieruchomo, ale nie mogła już dostrzec jego rysów. Chciał jej pomachać, ale się rozmyślił. Elizabeth przesłała mu jeszcze jeden pocałunek, potem przebiegła po dwóch kamieniach umieszczonych pośrodku rowu melioracyjnego. Zanim schowała się w cieniu krzewów jagodowych, odwróciła się po raz ostatni, ale Daniela już nie było.

Unosiła ze sobą jego zapach, nie tylko na ciele, ale i na duszy. Nie zastanawiała się nad tym jednak, bo coś jej szeptało, że w domu czeka na nią niemiła niespodzianka. Szła szybko, prawie

biegła, choć miała wrażenie, że stoi w miejscu. Niepokoił ją każdy cień i o mało nie krzyknęła, kiedy przemknął obok niej niewielki nietoperz.

To wszystko z poczucia winy — mówiła sobie.

Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła dom, cały i nienaruszony. Zdała sobie sprawę, że oczekiwała co najmniej pożaru albo dzieci szukających jej w panice.

— Dzięki Bogu — westchnęła, po czym dodała ironicznie niezłe z siebie ziółko. Wygłaszasz ludziom kazania o traktowaniu seksu bez wstydu, a sama podchodzisz do tego jak misjonarka.

W zeszłym roku wybrała się z Neeleyem do misji w Castletownbere na słynne w całej okolicy „noce seksu”. Kościół pękał w szwach. Elizabeth przyjechała z czystej ciekawości, ale przeraziła się nie na żarty, kiedy redemptorysta roztoczył przed zebraniem tłumem apokaliptyczne wizje tortur, czekających na rozwiązanych grzeszników. Talent misjonarza okazał się tak wielki, że poczuła ulgę na myśl, że jeśli chodzi o fizyczne przyjemności małżeńskiego pożycia, nie ma sobie zbyt wiele do zarzucenia. Związek z Neeleyem był ze wszech miar cnotliwy i wyzuty z pożądania.

Działo się to wszystko, zanim pojechała z Tilly do Glengariff.

Znajdowała się już tak blisko domu, że przestała się bać. Nagle usłyszała ujadanie Reksa. Co mu się stało? Wbiegła na podwórko w chwili, gdy Reks przeskakiwał przez mur. Poleciał polem, jakby go kto gonił.

— Reks! — nawoływała bezgłośnie.

Nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi i gnał jak strzała. Zobaczyła tylko biały ogon znikający za odległym żywopłotem.

Z kurnika dobiegały dziwne odgłosy i Elizabeth domyśliła się, że sprawcą całego zamieszania musiał być lis. Zajrzała do środka, ale kury nie wyglądały na zaniepokojone. Zaryglowała drzwi i obeszła budynek z latarką sprawdzając, czy nie ma dziur. Nic nie znalazła.

Przeszła na palcach przez kuchnię i prawie potknęła się o kubek stojący na progu. Opierała się na nim notatka:

*Rozmawiałam dziś z nauczycielką i obiecała polecić mnie do pensji przyklasztornej. Chcę zrobić maturę w szkole z internatem w Cork.*

Podpisano po prostu K.

Elizabeth pierwszy raz słyszała o naukowych ambicjach Kathleen. Tak pochłonęły ją własne problemy, że nie wiedziała, co dzieje się w rodzinie. Później zastanowiło ją coś jeszcze. Najwyraźniej kartkę umieszczono pod jej nieobecność. Czy Kathleen ją widziała? Może, co gorsza, słyszała przygotowania i czekała na jej wyjście? Może chciała w ten sposób wyrazić swoją pogardę i dać do zrozumienia, że nie zamierza dłużej przebywać z macochą pod jednym dachem?

Elizabeth nadśłuchiwała przez chwilę, ale w domu panowała cisza. Weszła do sypialni, kiedy usłyszała ciche pukanie. Daniel przyszedł za nią? Znow zapukano.

Wróciła na palcach i uchyliła drzwi. Mossie stał o dwa kroki od niej.

— Dobry wieczór, Elizabeth — powiedział pstrykając w daszek czapki, zupełnie jakby była siódma, a nie pół do pierwszej w nocy. — Wracalem z Knockameala i usłyszałem Reksa, więc pomyślałem, że sprawdzę, czy wszystko w porządku.

— Tak, dziękuję.

— Skoro tak, to na razie. A przy okazji, lepiej, żebyś uważała.

— Na co, jeśli wolno spytać? — prawie zabrakło jej tchu.

Patrzył jej w oczy bez zmruczenia powiek i w świetle gwiazd jego twarz wyglądała na szerszą niż zwykle.

— Podobno w okolicy kręci się lis.

## ROZDZIAŁ 19

Następnego dnia Elizabeth przyłapała Kathleen przy śniadaniu.

— Naprawdę chcesz jechać do Cork? — spytała nalewając jej owsiankę.

Kathleen wbiła wzrok w talerz.

— Nie pisałabym kartki, gdyby tak nie było, prawda?

— Uważaj, co mówisz — zbesztła ją Elizabeth odruchowo i zwróciła się do Mary. — A ty? Też chciałabyś zdać maturę?

— Nie, nie mogę się już doczekać, kiedy skończę szkołę. Ona ma fiola.

— Więc co chciałabyś robić?

— Nie wiem — odparła szczerze zdziwiona pytaniem.

Elizabeth zdała sobie sprawę, że powinna z nimi poważnie porozmawiać o przyszłości. Lata minęły nie wiadomo kiedy i nigdy nie miała okazji zorientować się, jakie plany robił dla córek Neeley. W parafii przyjęło się, że dziewczęta zabijają jakoś czas między ukończeniem szkoły a zamążpójściem. Czasami szły do pracy. Wiele z nich w wieku czternastu lat emigrowało do krewnych w Montanie lub Anglii, ale podczas wojny poniechano tych praktyk.

Elizabeth robiła sobie wyrzuty, że dotąd nie poświęciła sprawie więcej uwagi.

— Porozmawiamy o tym, kiedy wrócisz dziś ze szkoły, dobrze? — powiedziała do Kathleen zaplatając Goretta warkocze.

— Nie ma o czym rozmawiać. Jadę i już.

— Przykro mi o tym wspominać, ale licea kosztują.

— Napisałam do dziadka Sullivana.

— Co? — zdenerwowała się Elizabeth. — Nie masz prawa robić takich rzeczy bez mojej wiedzy, Kitty.

— Doprawdy? Dziadek powiedział, że mogę do niego pisać, kiedy tylko zajdzie potrzeba.

— Kiedy tak mówił?

— Podczas pogrzebu mego ojca — odparła z naciskiem, jasno dając do zrozumienia, wobec kogo czuje się lojalna. — Idziesz, Mary? Wezmę tylko tornister.

Zsunęła się z krzesła i wyszła. Elizabeth z jednej strony miała chęć dobrze ją przetrzepać, ale z drugiej było jej strasznie żal. Wiedziała, że od śmierci Neeleya Kathleen bardzo cierpiała.

— Nie zwracaj na nią uwagi. Przejdzie jej — przeprasza ją westchnęła Mary.

— Co jej przejdzie? Przecież chce jechać?

— Nie to mam na myśli... to znaczy... nieważne. Późno się zrobiło. Pospiesz się, Margaret! — szturchnęła siostrę i z wielkim zapalem zaczęła szcztokować włosy.

Elizabeth wolała nie zadawać dalszych pytań, chociaż czuła, że Mary wie coś więcej o planach Kathleen. Pomyślała, że życie dookoła niej to skomplikowana płatanina uczuć wielu ludzi: jej własne problemy z Danielem, zmartwienia jego rodziców, Mossie, delikatne stosunki z własnym ojcem, a w domu smutek, nadzieje i pragnienia tak różnych od siebie istot.

Popatrzyła na swój dom oczami obcego przybysza: czysty, ciepły, przytulony do zbocza góry. Wygodne miejsce, w którym zdarzenia będą zgodnie z rytmem pór roku i szkoły. Ze zdumieniem odkryła, że to wszystko jest tylko ułudą. Wewnątrz owej solidnej struktury szalały żywioły równie potężne i niebezpieczne jak wichury i burze.

Głos Margaret sprowadził ją na ziemię.

— Ja też chciałabym zrobić maturę — oznajmiła przy drugiej kromce chleba. — Jeżeli ona ma jechać, to ja też. Mówię o tym teraz, mamusiu, żebyś miała czas wszystko przygotować.

— Dobrze, teraz już zmykaj, Maggie, albo będziesz musiała przygotować się na spotkanie z paskiem nauczycielki.

— Zabrała jej talerz i uszczypnęła w policzek.

— Au—a, nie rób tak, mamó! Nie znoszę tego!

Elizabeth pozbyła się ich wreszcie i mogła się zająć młodszą trójką. Odetchnie z ulgą, kiedy Francey i Johanna także pójdą do szkoły. Sama w domu z Abigail — to brzmiało niemal jak wakacje. Poza tym łatwiej przyjdzie jej zorganizować życie poza domem...

Umyła i ubrała dzieci, a potem zaniósła jedzenie kurom. Znów była piękna pogoda, a z ciepłym słońcem powróciły do Elizabeth obrazy z zeszłej nocy. Kątem oka dojrzała metaliczny połysk — to piła Mossiego, który znów pochylał się nad naprawianą furtką.

Elizabeth zrobiło się zimno: a więc tak ma wyglądać jej los. Sheehan otaczał ją podobnie jak kamienny mur ogradzał posiadłość Neeleya. Niezależnie od umowy jego stała obecność nie będzie łatwa ani dla niej, ani dla Daniela. A dzieci?

Elizabeth wyobraziła je sobie takimi jak dziś rano: szorstka Kathleen, ugodowa Mary, rzeczowa Margaret i najmłodsze pełne uległości. Chyba oszalała myśląc, że uda jej się urządzić życie po swojemu.

Poza tym powinna powiedzieć o wszystkim Danielowi. Wróciła do kuchni i z pasją zabrała się za mycie talerzy po owsiance, układając sobie w głowie, jak też to wszystko ma wyglądać.

Pożądała go tak mocno, że nie dopuszczała do siebie myśli o rozstaniu, ale z drugiej strony czy naprawdę wyobrażała sobie dwudziestoletniego chłopaka w roli ojczyma siedmiorga dzieci? I jak ma zamiar wytłumaczyć, że jeśli nie nastąpi jakieś zrzęczenie opatrności, to będzie musiała wyjść za Mossiego Sheehana?

Czy w ogóle chciała teraz wychodzić za mąż?

Wzięła się za sprzątanie, jakby miała za to odpowiadać na sądzie ostatecznym. Po godzinie porządkowania szuflad po podłodze walały się noże, chochle, zwoje sznurka, na wpół wypalone świece, zapalki, ołówki, długopisy, butelki z atramentem, papier i stare listy, klamki i inne bezużyteczne przedmioty, których nikt nie śmiał wyrzucić. Nagle rozległ się za nią głos:

— Witaj, Elizabeth!

Daniel opierał się o framugę i patrzył na nią wzrokiem, który przypominał jej własny sprzed siedmiu lat, kiedy nic na świecie nie liczyło się bardziej od bliskości i seksu z George'em Gallaherem.

Jej wątpliwości zwiędły jak fiołki w ostrych promieniach słońca. Nie miała już ochoty niczego ujawniać.

— Witaj — szepnęła. — Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

— Nie mogłem się doczekać.

Wyglądał świeżo i pewnie. Jego spodnie i koszula miały zaprasowane kanty, a przy szyi sterczał sztywno wykrochmalony kołnierzyk. Elizabeth z chęcią od razu by go rozebrała. Odwróciła się szybko, żeby nie podbiec do niego i nie oddać mu się natychmiast.

— Francey! — zawołała. — Daniel przyszedł pograć z tobą w piłkę. Chodź!

— Jestem w łazience — dobiegła stłumiona odpowiedź.

— Zaraz przyjdzie — powiedziała i chciała przejechać ręką po włosach, ale natrafiła na pustkę; ciągle nie mogła się przyzwyczaić do krótkiej fryzury.

— Nie ma pośpiechu.

— Usiądź — zaproponowała Elizabeth upychając na chybił trafił zawartość szuflad.

— Widziałem Mossiego. Słyszałem, że wydzierzawiłaś mu ziemię.

— Zgadza się — odparła zadowolona, że Daniel nie może dojrzeć kłamstwa na jej twarzy.

— Mam nadzieję, że tylko na rok.

— Dlaczego? — zapytała czując, że nadeszła pora wyjaśnień.

— Tak sobie. O tym będziemy musieli zdecydować we dwójkę.

Jego wesołość raniła jej serce.

— Słuchaj, Danielu... — zaczęła, ale w tej chwili z impetem wpadł Francey.

— Jestem gotów. Ty też? Dokąd pójdziemy? Na dolne pole?

— Gdzie chcesz, *giolla*... — Daniel odebrał chłopcu piłkę i zonglując wybiegł na podwórze.

— Francey następował mu na pięty.

— Ja też, ja też. — Johanna popędziła za nimi ile sił w krótkich nóżkach.

Elizabeth siadła ciężko za stołem i oparła głowę na dłoniach, ale po chwili zapakowała Abigail do drewnianego wózka, który służył po kolei wszystkim dzieciom i ruszyła w stronę farmy Tilly. W połowie drogi zatrzymała się, żeby popatrzeć na mecz na jednej z łąk Harringtonów. Daniel biegł w tę i z powrotem co jakiś czas podając do Franceya. Johanna z rozpostartymi rękami latała za nimi jak mały samolocik. Wystarczało jej zupełnie, że znajduje się w sercu akcji.

Francey kopnął piłkę w stronę Daniela i ten ku radości dzieci zwałił się na ziemię z teatralną przesadą. Francey zaczął się z nim siłować i tarzali się we trójkę po trawie, a cienkie piski mieszały się z odgłosami agonii.

Elizabeth poczuła znowu, że w tym związku ona musi być mocniejszą stroną.

Nie zastała Tilly w domu. Według słów Micka pojechała do Eyeries zobaczyć się z siostrą.

— Nic złego się nie stało, mam nadzieję?

— Ależ skąd — odparł, wycierając ręce w koszulę. — Po prostu zachciało jej się jechać.

— No trudno — westchnęła Elizabeth, podziękowała za zaproszenie na drinka i ruszyła z powrotem. Mecz toczył się dalej, ale tym razem dostrzegli ją i podbiegli do żywopłotu.

— Widziałas nas, mamusiu? — ledwie dyszał Francey. — Było wspaniale, dawno się tak nie bawiłem.

— Oczywiście, że widziałam. Musieli cię nieźle wymęczyć — uśmiechnęła się do Daniela. — Ojej, co się stało z twoją piękną koszulą!

Pognieciona i poplamiona trawą zupełnie nie przypominała tej sprzed pół godziny.

— Nie szkodzi, spierze się.

Także z trudem łapał oddech, ale oczy świeciły mu zdrowiem i doskonałym humorem. Szybko ściągnął koszulę i zakręcił nią parę razy nad głową. Gdyby nie fryzura, przypominałby zuchwałego celtyckiego wojownika, który świętuje zwycięstwo. Musiała przyznać, że ma do tego prawo.

— Chodź do domu — zaprosiła go — to namoczymy ją w wybielaczu.

Daniel ruszył przodem, a Elizabeth nie mogła oderwać wzroku od jego lśniących potem, muskularnych pleców.

Do diabła z przyzwoitością — pomyślała. — Jakaż kobieta trzymałaby się na dystans od zakochanego w niej po uszy chłopca, kiedy słowik tak pięknie śpiewa nad głową, a na twarzy czuje ciepło słońca?

— Pospieszcie się! — zawołała, śmiejąc się jak młoda dziewczyna.

Oparła się o rączkę wózka i pędem minęła furtkę na pole Harringtonów.

— Maruderzy!

Daniel jednym susem przesadził górną poręcz i dopadł do niej, chwytając rączkę wózka. Jego ciężar podwoił prędkość starego wózka. Abigail podskakując na wybojach klaskała w rączki i krzyczała z radości.

— Zaczekajcie na nas!

Francey i Johanna prześliznęli się pod najniższą poręczą i puścili się w pogoń za wózkiem.

Mossie niewzruszony jak policjant na skrzyżowaniu, stał na środku podwórza. Radosny pochód zatrzymał się gwałtownie. Elizabeth w pierwszej chwili chciała po prostu zawrócić na pięcie, ale

potem opanowała ją trudna do opisania wściekłość. Jak Mossie śmiał ingerować znów w jej życie i psuć takie niewinne chwile? Myśl, że niewinne to nie najodpowiedniejsze określenie, zamajaczyła i szybko zgasła.

Elizabeth odsunęła się od Daniela i otworzyła bramę.

— Wprowadź wózek do środka, dobrze? — poprosiła, a potem przetykając ślinę, żeby odzyskać panowanie nad głosem, podeszła do Mossiego.

— Słucham — odezwała się zimnym tonem i syknęła cicho, żeby Daniel nie mógł jej słyszeć: — Zdaje się, że mieliśmy umowę.

— Oczywiście, właśnie dlatego tu jestem — odpowiedział spokojnie. — Przyszedłem spytać, co zrobić z tymi wołami. W przyszłym tygodniu odbywa się targ w Castletown, ale może wołałabyś, żebym ja je kupił.

— Elizabeth świdrowała go wzrokiem. Słyszała, jak Daniel rygluje bramę i pcha wózek przez kamienne podwórko. Nagle zobaczyła niezwykłą zmianę na twarzy Mossiego, patrzącego na chłopca. Aż zamrugła, ale widok nie zniknął: jego rysy wyraźnie złagodniały. Mossie celowo chciał wyglądać na głupszego niż w rzeczywistości. Nawet się uśmiechnął.

— Jak się masz, Danny. Nie mieliśmy wtedy okazji porozmawiać...

Daniel zatrzymał wózek i przechylił głowę, niezbyt pewien, jak zareagować.

— U mnie wszystko w porządku. Chciałbym cię o coś spytać.

— Wał śmiało.

— Dlaczego tak długo zwlekałeś z powiedzeniem policji prawdy?

Elizabeth zrobiło się zimno.

— Prawdę mówiąc, Danny, sam zadaję sobie to pytanie. Coś się we mnie zablokowało.

— Chcesz przez to powiedzieć, że nie pamiętałeś? — dociekał Daniel sceptycznie.

— Tak, przyszedłem do Lizzie, jak tylko sobie przypomniałem.

Jego dwulicowość plus fakt, że nazwał ją zdrobniałym imieniem spotęgowała jeszcze furię Elizabeth. Teraz obydwaj szukali w jej twarzy potwierdzenia. Zdecydowała, że skoro nie czuje się na siłach wyjawic całej prawdy, lepiej powstrzymać się od rozmowy. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

Mossie milczał grzecznie, więc chcąc nie chcąc, musiała udzielić Danielowi półprawdziwych wyjaśnień.

— Dzięki, Mossie, lepiej późno niż wcale — podsumował Daniel powoli i widać było, że nie wierzy w ani jedno słowo.

— Nie ma za co. Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło.

Odchrząknął

— To co z tymi wołami?

— Dam ci znać jutro.

Bojąc się, że straci panowanie nad sobą, popchnęła wózek w stronę szopy. Odpięła Abigail i kiedy wróciła, Mossiego już nie było. Daniel zrównał się z nią, kiedy szła przez podwórze do domu.

— Masz zamiar sprzedać mu bydło?

— Pewnie tak. Wszystko, byle tylko się odczepił.

— Czy on naprawdę miał jakieś opory psychiczne?

— Nie zwracajmy sobie głowy takimi jak on — Elizabeth znów nie skorzystała z szansy udzielenia wyjaśnień.

Wsadziła Abigail do kojca i dała parę starych pokrywek do zabawy. Hałasy przeszkadzały w rozmowie, ale nie martwiła się tym.

— Daj mi koszulę.

— Dałbym ci dużo więcej niż koszulę.

Upewnił się, czy w pobliżu nie ma dzieci i próbował wziąć Elizabeth w ramiona, ale odsunęła się stanowczo.

— Danielu, nie teraz. Mówiłam ci wczoraj, że musimy być ostrożni i dyskretni.

— Więc kiedy? Kocham cię, Elizabeth.

Widziała, że jej odmowa nie zmniejszyła pewności siebie malującej się w jego oczach. Jej własna odwaga właściwie przestała istnieć po spotkaniu z Mossiem. Zdawało jej się, że wisi na monstrialnej huśtawce, którą Mossie wprawia w ruch. Musi ją zatrzymać.

— Niedługo, niedługo kochanie.

Pocałowała delikatnie jego ciepłą, słonawą skórę, tuż nad sutkiem. Rozwiesiła na krzaku upraną koszulę.

— Jak tylko będzie można, obiecuję.

Daniel naciskał, żeby spotkali się znów na Kilcatherine.

— Nie mogę, przykro mi, naprawdę nie mogę.

— Ale ja cię kocham.

— Skoro tak, to udowodnij to okazując mi trochę cierpliwości. Mam siedmioro dzieci, Danielu. Siedmioro!

— Przepraszam, zapomniałem, że potrzebny ci tu mężczyzna. Dobrze, dobrze — wycofał się widząc jej ostrzegawcze spojrzenie — już się zamykam.

Podniósł piłkę porzuconą na środku podwórza i odbił nią parę razy o ścianę.

— Przyjdę jutro o świcie. Och, Elizabeth...

Wskazującym palcem nakreślił delikatną linię na jej gardle, od podbródka aż do klatki piersiowej.

— Nie mogę się doczekać... żeby znów zagrać w futbol, oczywiście — dokończył nie dając jej dojść do słowa.

Podbił piłkę głową i zawołał:

— Francey! Johanna! Wychodźcie, gdziekolwiek jesteście!

\* \* \*

Po południu, jeszcze zanim dziewczynki wróciły ze szkoły, Francey wpadł do kuchni krzyżąc, że pod górę wjeżdża ciężarówka. W tej części parafii samochody należały do rzadkości, więc zaciekawiona Elizabeth podeszła do drzwi. Dojrzała tylko zardzewiały dach, niegdyś pewnie zielony, w tumanach kurzu przesuwany się nad żywopłotami niczym szeroka gąsienica. Od razu poczuła, że wehikuł napędzany gazem.

Dzieci z całej okolicy towarzyszyły wydarzeniu; ich podniecone krzyki słyhać było nawet przez warkot przeciążonego motoru. Elizabeth uznała, że pewnie jakiś rybak kupił sobie ciężarówkę i jechał teraz wybrzeżem do Cleanderry albo do portu w Ardgroom, jednak ku jej zdumieniu pojazd skręcił na wydeptaną trawę przed podjazdem i mało nie staranował bramy.

Kurz opadł i dojrzała dwie postaci w szoferce. Otworzyły się drzwi kierowcy i powitalny uśmiech zamarł Elizabeth na ustach.

— Witaj, Elizabeth! — powiedział George Gallaher, otrzepując ubranie z pyłu. — Piękny dzień.

Elizabeth nie mogłaby wydobyć z siebie głosu, nawet gdyby ofiarowano jej milion funtów. Na szczęście z drugiej strony wysiadła drobna blondynka. Stała koło George'a; ledwie sięgała mu do ramienia.

— Nie poznałaś jeszcze Hazel, prawda? To Hazel Slye. Jest aktorką.



Nie musiał wyjaśniać, bo słysząc imię dziewczyny Elizabeth przypomniała sobie natychmiast, że widziała ją na scenie w Glengarriff.

Hazel nosiła krótko obcięte włosy, a jej owalną twarz wyróżniały oczy: jedno brązowe a drugie niebieskie.

— Ba... bardzo mi przyjemnie panią poznać — wyjąkała Elizabeth, wyciągając do niej rękę.

— Dzień dobry, pani Scollard — odrzekła dziewczyna poważnie. — Cieszę się, że panią spotkałam. George wiele mi o pani opowiadał.

— Doprawdy? — prawie się roześmiała.

Wobec wszystkich kłopotów, przybycie tej komicznie niedobranej pary przepelniło miarę. Zdała sobie sprawę, że znad żywoplotów obserwuje ją niezliczona ilość oczu.

— Może wejdziecie do środka? Przejeżdżaliście tędy?

Znów niemal się roześmiała. Myśl, że ktokolwiek, a już szczególnie takich dwoje mogłoby po prostu przejeżdżać przez Lahersheen, pasowała do farsy. Nagle przypomniała sobie o Franceyu.

— Dziękuję, z przyjemnością. Przywieźliśmy ci mały prezent: trochę herbaty, cukru i rodzynków.

— Jak miło, tędy proszę — pierwsza weszła do domu, nie odwróciwszy się nawet, żeby zobaczyć, jak George zareaguje na widok syna.

Ilość herbaty przewyższała miesięczną rację, ale Elizabeth nie zamierzała rozplýwać się nad hojnością przybyłych. Zajęła się przygotowaniem zaimprovizowanego posiłku.

Dziewczyna starała się podtrzymać konwersację. Huśtała Abigail na kolanie, a nawet bawiła się z nią na podłodze.

Francey prawie się nie odzywał. Stał z Johanną w drzwiach dziecięcej sypialni, nie spuszczać z oka gości. Elizabeth nie miała o to pretensji; nawet jeśli nie wiedział, kim jest George, z pewnością nigdy w życiu nie widział nikogo równie niezwykłego.

George wypełniał swoją osobą całą kuchnię i ciągle się uśmiechał. Miał na sobie zieloną marynarkę i spodnie koloru khaki.

Elizabeth odezwała się dopiero podając jedzenie.

— Proszę bardzo. Wybaczenie, że tak niewiele, ale nie spodziewaliśmy się nikogo.

— Ogromnie pani dziękujemy — powiedziała dziewczyna, podnosząc się z podłogi.

Nosiła dziwne ubranie: wąską, czarną spódnice i obcisłą złotą bluzkę w tygrysie cętki. Farbowane blond włosy podtrzymywała żółtą opaską. Przypominała rysia, którego Elizabeth widziała kiedyś w dublińskim zoo. Mimo mocnego makijażu nie wyglądała na starszą od Mary lub Kathleen. Najwyraźniej z wiekiem wdzięk George'a Gallahera robił się coraz bardziej niebezpieczny.

— Nie ma za co, Hazel. Mów mi po imieniu.

— Jasne!

Trójkątna buzia rozciągnęła się w uśmiechu pokazując przy okazji braki w uzębieniu.

Kiedy Elizabeth nalewała herbatę, Francey podkradł się do stołu i bezwstydnie gapił się wprost na George'a.

— Nie bądź niegrzeczny — skarciła go Elizabeth odruchowo.

Modliła się w duchu, żeby żaden z sąsiadów nie wpadł z „przypadkową” wizytą. Mimo różnicy w kolorze włosów, bez wątplenia każdy zauważyłby podobieństwo między Franceyem i George'em.

— A więc to jest twój syn? — spytał Gallaher retorycznie.

Elizabeth rozlała trochę herbaty na ceratę i szybko starła ją fartuchem.

— Zgadza się.

— Wybacz, ale zapomniałem jak mu na imię.

— Francey Scollard — odpowiedział chłopiec natychmiast. — A ty?

— George. Przywiozłem dla ciebie prezent.

— Prezent? — powtórzył chłopiec marszcząc brwi. — Dlaczego?

— Franceyu! — zawołała Elizabeth. — Gdzie twoje maniery.

— Masz też prezent dla Johnny? — ciągnął nie zrażony.

Elizabeth zrozumiała, że niewiele wskóra. Raz wbiwszy sobie coś do głowy, Francey przejawiał niesłuchanie silną wolę; podobnie jak wtedy, gdy oznajmił, że Neeley nie jest jego ojcem. Hazel uratowała sytuację.

— Ja przywiozłam prezent dla twojej siostry — powiedziała, ściągając z ręki posrebrzany naramiennik.

Francey obejrzał go dokładnie, po czym zwrócił się do Johnny, niczym bogaty, wyrozumiwały wuj:

— To wąż. Tu ma dwoje oczu — wskazał na dwa zielone kamyczki. — Johanna dziękuje.

Jego pewność siebie zrobiła na George'u wielkie wrażenie.

— To dla ciebie, rozpakuj ostrożnie.

— Dziękuję. — Francey przyjął ciężki, drewniany pojemnik w kształcie pudełka na cygara, spięty metalowymi klamkami.

Zblazowany wyraz zniknął z twarzy chłopca w jednej chwili. Na podściółce z aksamitu spoczywał model lokomotywy parowej, precyzyjny do najdrobniejszego detalu.

— Resztę mam w ciężarówce. Wagony, tory, nawet miniaturową stację. Bawiłem się tym, kiedy byłem mały.

Francey podniósł oczy.

— Ale dlaczego? — powtórzył.

— Jestem... twoim wujkiem — odparł George — a wujowie zawsze przywożą prezenty.

Chłopiec marszczył się coraz bardziej.

— Czyim jesteś bratem?

— No cóż — zawahał się George i Elizabeth po raz pierwszy zobaczyła, że również jego można zbić z tropu. — Może nie bratem, tylko raczej kuzynem. Jednym z kuzynów twojej matki z Anglii, to znaczy ze Szkocji.

— A jak masz na nazwisko?

— Gallaher.

Chłopiec przyglądał mu się przez chwilę.

— Mogę zobaczyć resztę pociągu? — zapytał, choć Elizabeth wiedziała dobrze, że temat pokrewieństwa nie został jeszcze wyczerpany.

— Oczywiście — odpowiedział George z ulgą w głosie i wstał. — Chodź przyniesiemy ją razem.

— Cudowne dzieci, Elizabeth — stwierdziła Hazel, kiedy George, Francey i Johanna zniknęli na zalanym słońcem podwórzu.

Elizabeth usiadła na krześle opuszczonym przez Gallahera.

— Dlaczego teraz? I jak żeście nas znaleźli?

— W jednej z gazet opisali proces i George rozpoznał twoje nazwisko. Ciągle powtarzał, że ma syna... Bardzo mi przykro z powodu twego męża, to musiało być okropne.

— Nadal jest.

Wbrew popolitemu, dublińskiemu akcentowi, dziewczyna dawała się lubić.

— Powiedziałam mu — tu Hazel machnęła ręką w stronę drzwi — że w takim okresie z pewnością nie zechcesz mieć z nim nic do czynienia, ale nie słuchał.

— Czy ty... jesteś jego dziewczyną?

— W pewnym sensie. Znasz George'a — no cóż, z pewnością go znasz. Mężczyźni!

Uśmiechnęła się szeroko i wzniosła kolorowe oczy ku niebu. Podobała się Elizabeth coraz bardziej.

— Co robicie w tej okolicy?

— W przyszły poniedziałek zaczynamy sezon w Killarney, z własną trupą. George dorobił się trochę szmalu, chyba jego stary kopnął w kalendarz w zeszłym roku, i stąd mamy wóz. Może przyjedziesz? Załatwię ci wejściówkę...

Pomysł podróży do Killarney wydawał się jeszcze bardziej zwariowany niż jazda do Glengarriff.

— Nie, dziękuję. To miło, że mnie zapraszasz, ale noszę żalobę.

— O Boże! — zakryła sobie usta dłonią. — Ależ ze mnie idiotka!

— Nic się nie stało. Jakie George ma plany w związku z Franceyem?

— Nie mam zielonego pojęcia. Nie sądzę, żeby poza sprezentowaniem pociągu miał coś szczególnego na myśli. Szczerze mówiąc, Elizabeth, to uważam, że chciał po prostu upewnić się, że zostawi jakieś potomstwo. Chyba się starzeje.

Elizabeth uśmiechnęła się.

— Jego wiek zawsze stanowił dla mnie zagadkę.

— Dla mnie nie. Kazałam mu pokazać świadectwo urodzenia.

— Więc ile ma lat? — Elizabeth prawie bała się pytać.

— Skończy w tym roku czterdzieści pięć.

— Czemu na litość boską powtarzał sześć lat temu, że ma czterdzieści sześć?

— George zawsze chciałby postawić i Panu Bogu świeczkę, i diabłu ogarek. Czterdzieści sześć dobrze brzmiało, ciągle wystarczająco młody, ale już nie na tyle, żeby jakaś naiwna panienska zainteresowała się nim na serio.

— A ty?

Hazel wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Mam siedemnaście lat, ale pracuję w tym biznesie od tak dawna, że czasem zdaje mi się, że jestem starsza od George'a. Tańczę zawodowo od czwartego roku życia, ale teraz chcę przekwalifikować się na aktorkę.

— Więc sądzisz, że George nie zamierza mi robić jakichś problemów?

— Skoro pytasz, to powiem ci szczerze, że teraz ty powinnaś zacząć je robić. Facet ma trochę forsy i moim zdaniem powinien płacić za swoje dziecko!

W kuchni zabrakło nagle światła, bo George i Francey weszli z podwórza.

— Słyszałeś? — zwróciła się Hazel do George'a bez śladu zakłopotania.

— Co?

— Nieważne.

Francey z zapalem kładł pudełka na stole.

— Gdzie mogę to rozłożyć, mamusi?

— Trzeba żeby tata... — urwała zarumieniona. — Przepraszam. Jutro poprosimy Mossiego, żeby wygospodarował ci trochę miejsca w szopie, dobrze?

— Ojej, ale ja chcę teraz...

— Powiedziałam, jutro.

— Pozwól, że ja się tym zajmę, dobrze? — wtrącił George. — Pokaż mi tylko, o które miejsce chodzi.

— Skoro tak...

Nie poznawała George'a. Więc jednak cuda się zdarzają.

Wyszła na podwórze i zobaczyła, że wiele dzieci sąsiadów wciąż wisi na murze. Nie zwracając na nie uwagi, zaprowadziła George'a i Franceya do stajni, która stała pusta od czasu sprzedania osiołka.

— Mogłyby tu zardzewieć, więc pewnie zimą będziesz musiał wnieść to do domu, prawda kuzynie?

Gallaher uśmiechnął się przepaszająco i zdjąwszy marynarkę zabrał się do dzieła. Elizabeth patrzyła na jego barczystą klatkę. Czekwała, czy na ten widok coś drgnie w jej sercu, ale nic się nie stało.

Fizyczne pożądanie zniknęło bez śladu. Owszem, podobał jej się z powodów estetycznych, jak eksponat na wystawie, ale poza tym czuła tylko prawdziwie rodzinną sympatię.

Johanna też przysłała do stajni i Elizabeth wzięła ją na ręce. W milczeniu patrzyły, jak George i Francey otwierają pudełka. Elizabeth nie mogła uwierzyć, że ten skupiony, łagodny mężczyzna i uwodziciel, którego spotkała w lutym, to ta sama osoba. Czyżby pan Gallaher spotkał wreszcie właściwą towarzyszkę?

Wyjrzała przez szparę. Hazel siedziała na ławeczce, ze spódniczką podwiniętą nad gołymi, bladymi kolanami. Miała zamknięte oczy i wygrzewała się na słońcu.

Żadna z niej piękność — pomyślała Elizabeth — ale też jest dużo silniejsza niż na to wygląda. Twarda, ale dowcipna i z pewnością nie daje się nabierać; pewnie George od dawna kogoś takiego potrzebował.

Usłyszała, że dziewczynki wróciły ze szkoły i Hazel przywitała się z nimi.

— Wszystkie twoje? Jesteś chyba za młoda?

— To moje pasierbice. Powiedzcie „dzień dobry”. Ta pani to Hazel Slye, aktorka.

Podczas gdy pozostałe siostry mamrotały słowa powitania, twarz Kathleen rozpromieniła się na moment.

— Aktorka? — powtórzyła, ale zaraz zamilkła, jakby bojąc się, że powie za dużo.

Elizabeth nie zwróciła na to uwagi, uświadomiła sobie bowiem, że zupełnie nie przygotowała dziewcząt na spotkanie z Gallaherem. Były za duże, żeby dać się zwieść historyjkom o cudownie odnalezionym kuzynie ze Szkocji. Lepiej wszystko im wytłumaczyć, zanim George wyjdzie ze stajni.

— Chodźcie dziewczynki. Dajcie spokój pani Slye i pójďte umyć ręce. Wybacz nam na chwilę, Hazel. Zaraz wrócę.

— Kto jest w szopie? — spytała Margaret słysząc głos George'a.

— Powiem wam w środku. Sio do domu

Dziewczynki paplały ożywione: w Lahersheen goście zawsze stanowili wielkie wydarzenie. Elizabeth uderzył dziecięcy dar zapomnienia. Przecież od pogrzebu ich ojca nie minął jeszcze miesiąc, a po dziewczynkach właściwie już niczego nie było widać. Oczywiście Kathleen stanowiła wyjątek. Również teraz nie włączyła się do rozmowy i Elizabeth po raz pierwszy zauważyła, że przerosła nawet starszą siostrę.

Nagle do kuchni wszedł George. Nawet Kathleen nie ukrywała zdumienia, a Elizabeth roześmiała się może, gdyby komizm sytuacji nie przypominał jej o własnym ślepym uwielbieniu i jego niebezpieczeństwach.

— Dzień dobry dziewczęta! — Gallaher przybrał znowu swoją wytrenowaną pozę.

Elizabeth wysunęła się naprzód.

— Dziewczynki, poznajcie George'a Gallahera, przyjaciela panny Slye. To w pewnym sensie mój kuzyn, pochodzi ze Szkocji.

Wszystkie stały jak zahipnotyzowane, a Kathleen podniosła rękę do gardła. Czyżby rozpoznała tę twarz?

— George, to moje pozostałe córki.

Widząc spojrzenie, jakim je zmierzył, poczuła nagle, że powinna ich bronić.

— Spotkałeś już Johannę, Franceya i Abigail. Teraz znasz wszystkich.

— Nie do wiary — odezwał się, roztaczając czar swego niezwyklego uśmiechu — sześć dziewcząt i jedna ładniejsza od drugiej.

Mary i Margaret zachichotały, a Elizabeth zdawało się, że na czole George'a widnieje wypisane słowo „harem”. Trzeba dobrze uważać.

— Szukałeś czegoś, George?

— Tak. Podłoga w stajni jest nierówna, znalazłabyś dla nas kawałek deski albo blachy?

— Pokażę panu. — Kathleen nie dała Elizabeth dojść do głosu.

— Nie. Zostaniesz i skończysz to co masz do zrobienia — wtrąciła Elizabeth kategorycznym tonem. — Chodź, George.

Ujęła go za łokieć i wyprowadziła na dwór, kręcąc głową z niedowierzaniem. W kuchni znów dał się słyszeć gwar rozmów, które nie ucichły, nawet kiedy Elizabeth wróciła.

— Goretta, dotrzyмай towarzystwa pannie Slys. Mam ro botę dla twoich sióstr.

Gestem zaprosiła je do stołu.

— Muszę wam o czymś powiedzieć, ale to ściśle poufne.

To znaczy: tajemnica, jasne? Tylko między nami. Mam do was zaufanie.

Mary i Margaret uroczyście skinęły głowami, a Kathleen zasznurowała wargi. Elizabeth przeszła ją wzrokiem.

— Zrozumiałaś?

— Tak — odparła unosząc brwi.

— George Gallaher nie jest moim krewnym, to ojciec Franceya. Francey nie dorósł jeszcze do tej wiadomości, zgadza się?

— Dlaczego mówisz nam o tym? — spytała Margaret po chwili.

— Macie już dostatecznie dużo lat — Elizabeth usiłowała powiedzieć to jak komplement — a poza tym z pewnością dostrzegłybyście między nimi podobieństwo, a nie życzę sobie żadnych komentarzy.

Kathleen wykręcała warkocz na palcu.

— Dlaczego Francey nie miałby się dowiedzieć?

— Powiedziałam ci już, jest za mały.

Nie miała czasu zastanowić się nad pytaniem Kathleen, bo w drzwiach zamajaczyła sylwetka Hazel.

— Uff, ależ upał. I to ma być Irlandia? Mogłabym prosić o szklankę wody?

— Tak wygląda lato na Béara! — odrzekła Elizabeth ze śmiechem i wstała nalać coś do picia.

Po godzinie wszyscy się zebrali, żeby podziwiać kolejkę Franceya. Było to niemal dzieło sztuki, wykonane przez rzemieślnika rozmiłowanego w swym fachu, precyzyjne w każdym detalu. Wagony miały okna z prawdziwego szkła barwionego na czerwono i zielono, lokomotywa zaś lśniła wykończeniami z blachy. Nawet kluczyk do nakręcania, ściskany w dłoni dumnego Franceya, zdobiły misterne ornamenty.

George ułożył tory w ósemkę i Elizabeth wpatrywała się jak zahipnotyzowana w pociąg przejeżdżający raz za razem koło cieniutkiego szlauchu, który zwisał z maleńkiego zbiornika z wodą i obok peronu z pasażerami z blaszek: pielęgniarki, tragarza, damy z epoki edwardiańskiej i jej męża w szapoklaku, który zatrzymał się obok mikroskopijnej wagi.

Mogłaby tak stać cały dzień, ale poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękaw.

— Mamusiu — szeptła Kathleen, patrząc na nią wielkimi oczyma — muszę z tobą porozmawiać na osobności. To bardzo ważne.

— Teraz?

— Tak.

Weszły do domu.

— Co się stało?

Kathleen wzięła głęboki oddech, a potem zaczęła szybko wyrzucać z siebie słowa. Rozmawiałam z Hazel i powiedziała, że mogłabym, jeśli się zgodzisz, prosić cię, mamusi, pojechać z nimi do Killarney. Zawsze chciałam zostać aktorką...

Zamilkła raptownie. Elizabeth patrzyła w jej proszące oczy. Nigdy dotąd nie widziała jej takiej ani nie udało im się równie szczerze rozmawiać. Czuła, że chodzi o sprawy najwyższej wagi, które trzeba potraktować niezwykle ostrożnie.

— Rozumiem. A co z maturą i szkołą z internatem?

— Omówiłam to już z Hazel, to znaczy panną Slys. Powiedziała, że mogłabym spróbować tego lata. Zaczęłabym od różnych posług i drobnych ról. Jeśli do niczego się nie nadam, to na jesieni wróciłabym do szkoły. Proszę cię! Nigdy się nie dowiem, jeśli nie spróbuję. Błagam, mamusi...

Miała łzy w oczach.

Elizabeth pomyślała, że zaufałyby może Hazel, ale George'owi? Powierzać Kathleen takiemu mężczyźnie?

— Kochanie, masz dopiero czternaście lat. To bardzo niewiele, żeby tak nagle...

— We wrześniu skończę piętnaście, a Hazel zaczynała mając ledwie cztery. Wiem, że udałoby mi się, jeśli tylko dostanę szansę. Taka okazja więcej się nie powtórzy!

Killarney, choć może nie tuż za rogiem, nie leżało przecież na końcu świata, a jeszcze młodsze dziewczęta wysyłano za chlebem do Anglii albo Ameryki, i to do rodzin, których Tiikt nie znał. Patrzyła na rozentuzjasmowaną buzię dziewczynki i wiedziała, że jeśli teraz się nie zgodzi, to nigdy już nie zdobędzie z nią żadnego kontaktu. Czy powinna jednak brać na siebie taką odpowiedzialność?

Wyraz Kathleen zmienił się nagle. Rysy stwardniały, a ufność zamieniła się w podejrzliwość i nienawiść.

— Nie pozwolisz mi jechać?

— Nie powiedziałam tego, Kitty... Kathleen. Myślę tylko.

— Pomyśl więc jeszcze o czymś. Wiem, dlaczego nie chcesz, żeby ktoś dowiedział się, kim jest George. Wcale nie chodzi o Franceya.

— Co?!

— Dobrze wiem, co się święci z Dannym McCarthym — ciągnęła Kathleen patrząc na nią wilkiem. — Ciekawe, jak by się poczuł, gdyby poznał prawdę o swojej bogdane.

— Kathleen!

— Przemyśl to sobie. Pojadę niezależnie od tego, czy się zgodzisz, czy nie. Nie powstrzymasz mnie.

Elizabeth przełknęła ślinę.

— Przykro mi, że sądzisz, że to jedyny sposób załatwienia sprawy. Możesz nie wierzyć, ale miałam zamiar się zgodzić. Na zastanowienie potrzeba czasu.

— Doprawdy? — zapytała agresywnie, ale w jej oczach pojawiła się wątpliwość.

— Owszem.

Elizabeth zastanawiała się, czy można jeszcze coś naprawić. Przypomniała sobie ostrzeżenie pani Leahy przed ukrytymi niebezpieczeństwami.

— Mój związek z Danielem to z pewnością nie twoja sprawa.

— Za to z pewnością sprawa mojego zmarłego ojca! — odpaliła Kathleen. — Nie przejmowałam się nim specjalnie, co?

Elizabeth wytrzymała spojrzenie pasierbicy.

— Mówiliśmy o tobie i Killarney.

— No więc, mogę jechać?

— Tak, na okres próbny.

Znów wydawało się, że dziewczynka wybuchnie łzami. Odrzuciła w tył głowę, a rękę zacisnęła w pięści.

— Dziękuję — szepnęła i wyglądało, jakby chciała uścisnąć macochę, ale zatrzymała się w pół drogi.

W jej oczach nie było już nienawiści, pojawiła się za to radość, jakiej Elizabeth nigdy u niej nie widziała.

Chyba nie tylko Francey okazał się kukułczym jajem — przemknęło jej przez myśl i ponownie zgała się za przeoczenie pewnego etapu w rozwoju dzieci. Nie wiadomo, skąd u Kathleen wziął się taki charakter, ale z pewnością nadawała się do dramatów.

— Powiedziałam: na próbę. I to dopiero, kiedy szkoła się skończy. To tylko parę tygodni — dodała pospiesznie, żeby nie ściągnąć na siebie kolejnego wybuchu — a poza tym, skoro jedziesz na całe lato, potrzebujesz czasu, żeby się przygotować.

— Mogę powiedzieć to Hazel?

— Tak.

A ja zajmę się Georgem — dodała w myśli. Kathleen pobiegła w stronę drzwi i odwróciła się przed wyjściem.

— Mamusiu?

— Słucham.

— Przepraszam za to, co powiedziałam.

Elizabeth skinęła tylko głową. Nie ufała Kathleen i od tej chwili postanowiła zdwoić czujność.

\* \* \*

Kładąc się wieczorem do łóżka, zastanawiała się, ileż innych kobiet ma podobne problemy. Tęskniła za Danielem, ale cieszyła się z drugiej strony, że nie pozwoliła mu dziś przyjść. Czula się zmęczona psychicznie i chyba nie wytrzymałaby więcej żadnych emocji, choćby nie wiem jak przyjemnych.

Upewniła się pod jednym względem: George nie ma złych zamiarów wobec syna. Kilka minut przed odjazdem rozmawiali przez chwilę:

— Chciałem tylko go zobaczyć — wyznał. — Hazel uznała, że to dobry pomysł.

— Hazel? Że też doczekałam tego dnia...

Zawstydził się trochę.

— Wiem, wiem. Przecież sama najlepiej rozumiesz, że ty i ja nigdy nie mieliśmy szans.

Elizabeth nie chciała już dociekać swoich racji.

— Ludzie się zmieniają — powiedziała tylko.

Wyraźnie poweselał.

— Czy mógłbym odwiedzać go od czasu do czasu? Przysyłałbym ci też pieniądze, gdyby tylko coś mi wpadło.

Przypomniawszy sobie słowa Hazel o „paru funciakach”, których dorobił się ostatnio, Elizabeth pomyślała, że Gallaher nie zmienił się ani trochę.

— Jak chcesz. Możesz przyjeżdżać do woli, ale to ja zdecyduję, kiedy powiedzieć mu, kim jesteś. Zgoda?

— Zgoda. I... Elizabeth?

— Co?

— Świetnie dałaś sobie radę.

— Dziękuję. Jeszcze jedno. Powierzam ci Kathleen, George, ale jeśli dojdzie do mnie chociaż najmniejsza wieść, że stosujesz wobec niej swoje stare sztuczki, to osobiście przestawię ci szczękę. Jasne?

— Elizabeth! — zawołał, kładąc rękę na sercu i wykonując subtelne *moue*. — Odrobina zaufania!

— Rozmawiasz z Elizabeth Sullivan. Mała bardzo chce spróbować i nie mam wyjścia, muszę ci zaufać. Ale ona nie ma nawet piętnastu lat i mówię całkiem serio, George. Znajdę cię na końcu świata, nawet w Hollywood albo BBC.

W tym momencie nadeszła Hazel. Odjechali, obiecawszy za dwa tygodnie przysłać po Kathleen ciężarówkę.

Machała im ręką, myśląc, że kiedyś zawróciłby jej w głowie nawet tak niewyszukany komplement jak „świetnie dałaś sobie radę”. Owszem, ludzie się zmieniają.

Dziewczynki były podniecone do granic możliwości, a Kathleen rozkoszowała się nagle zdobytą pozycją. Nawet teraz, dobrze po północy, Elizabeth słyszała ich nieustające szepty z dziecinnego pokoju.

— Wy tam, idźcie spać, bo was jutro nie dobudzę — zawołała bez przekonania, pukając w ścianę. Odpowiedziały jej tłumione chichoty.

Była bardzo zmęczona. Zapadając w sen, pomyślała, że Mossie zachował się bardzo miło, nie zjawiając się przez cały dzień. Wyobraziła sobie jego i Gallahera, jak siedzą w przeciwległych kątach jej własnej kuchni i zupełnie się nie rozumieją.

A gdyby tak Daniel wpadł niespodziewanie? Trzech mężczyzn, piekielny trójkąt. Próbowала wymyślić, o czym by rozmawiali. Różnili się od siebie jak kamień, roślina i zwierzę ze starej zgadywanki. A to dobre! Przez chwilę Elizabeth zabawiała się myślą, który z nich byłby zwierzęciem...

Po raz pierwszy od bardzo dawna zaśmiała się beztrudnie, zupełnie jak dziewczynki w sąsiednim pokoju, po czym wreszcie zapadła w sen.



## ROZDZIAŁ 20

W lecie życie rodzinne Scollardów wróciło do normy. Przez dwa tygodnie po wizycie George'a cały dom zajmował się pakowaniem Kathleen, a później wszyscy z niecierpliwością oczekiwali na listy.

Wydawało się, że Kathleen chwali sobie nowe zajęcie, choć z jej listów wynikało, że głównie biega po sprawunki, naprawia kostiumy, pierze i obsługuje urządzenie imitujące grzmoty piorunów. Dano jej parę małych ról i przez bitych kilka stroniczek opisywała reakcje widowni i pochwały, jakie zebrała od George'a, Hazel i nowej przyjaciółki, Vanessy.

Elizabeth, przyzwyczajona do czytania niezdatnych wypracowań pasierbicy na tematy takie jak „Życie Ha'penny”, nie podejrzewała Kathleen o wielką wyobraźnię i nie mogła się nadziwić żywemu językowi listów. Poza tym jej doniesienia tętniły radością i uniesieniem, jakiego w Lahersheen nigdy nie okazywała.

Sezon w Killarney miał się skończyć z początkiem września i Kathleen zaczęła przebąkiwać o dalszej karierze scenicznej. Elizabeth zmagiała się z własnym sumieniem. Zobowiązała się przecież troszczyć o dzieci, a nie wydawało jej się, żeby życie wędrownych aktorów nadawało się dla niespełna piętnastoletniej panny. Z drugiej strony uparta Kathleen nie pozwoliła sobie dyktować, co ma robić.

Elizabeth nie chciała stawiać sprawy na ostrzu noża, listy zresztą nie bardzo się do tego nadawały, więc zwlekała z decyzją, zbierając informacje o szkołach w Cork. Okazało się, że Kathleen rzeczywiście zwróciła się do St Johna o radę i pomoc, na co przystał bez żadnych oporów.

Nieobecność Kathleen przyniosła także pewne rozluźnienie sytuacji w domu. Stosunki z Danielem oscylowały między radością i głębokim lękiem. Mossie wiecznie kręcący się w pobliżu i długie letnie dni sprawiły, że Elizabeth nie paliła się do pieszczot na otwartym polu ani nawet w ruinach starego domu. Nagabywania Daniela niewiele pomogły. Stogi siana stały zbyt blisko obejść, a dzieci nie chodziły już do szkoły, więc kochankowie nie mogli liczyć na samotność. Musieli zadowalać się ukradkowymi pocałunkami, więc wraz z pożądaniem rosła frustracja.

Sierpień zbliżał się ku końcowi, a Elizabeth wciąż nie odważyła się wyznać Danielowi prawdy o kontrakcie. Jego prośby, żeby przestać się wreszcie ukrywać, zbywała żalobą i perspektywą skandalu, jaki powstałby wokół ich związku z uwagi na okoliczności śmierci Neeleya.

Nie umiała zmusić się do zwierzeń nawet wobec Tilly, bojąc się, że swoimi wyznaniem postawi ją w trudnej sytuacji. Obecność Daniela również nie ułatwiała jej porozumienia z przyjaciółką; poza tym Tilly dała dostatecznie wiele dowodów lojalności i hojności, a rodziny Harrington— nów i Scollardów sąsiedowały i gospodarzyły obok siebie od pokoleń.

Mimo to czuła się dużo lepiej niż podczas całego małżeństwa. Za radą Tilly dokupiła kilka kaczek i gęsi; radziła sobie z nimi całkiem nieźle i miała nadzieję sprzedać je przed Gwiazdką z dobrym zyskiem. Z dużych zwierząt zatrzymała tylko krowę, której dojeniem zajmowały się na zmianę Margaret i Goretti. Sześć sztuk bydła kupił Mossie, resztę sprzedano na targu w Castletown, a pieniądze ulokowała w banku. Prócz tego St John uparł się, żeby założyć jej jeszcze jedno, „awaryjne” konto w Castletownbere.

Elizabeth musiała też przyznać, że pod rządami Mossiego jej farma naprawdę kwitnie. Tilly miała świętą rację: był znakomitym rolnikiem. Pracował od świtu do nocy, przez siedem dni w tygodniu niezależnie od pogody.

Elizabeth przeklinała go za położenie, w jakim ją postawił i z lękiem odliczała każdy kolejny miesiąc do ogłoszenia zaręczyn, ale nie mogła odmówić mu szacunku, choć głośno nigdy się do tego nie przyznała.

Nadal wyobrażała sobie, że czai się na nią za każdym krzakiem i przy spotkaniach nie odzywała się ani słowem, kiwała mu tylko głową. Gdy nie mogła uniknąć rozmowy z nim, ponieważ prace Mossiego znacznie przekraczały zakres zwykłej dzierżawy, okazywała mu najwyższą pogardę. Zimny ton nie robił jednak na nim wrażenia, co doprowadzało ją do wściekłości. Poza tym sprawa Daniela leżała między nimi jak nieruchawa, ale trująca meduza. Mossie nigdy nie zająknął się nawet na ten temat, tak jakby nie obchodziło go nic oprócz ziemi.

Elizabeth wiele by dała, żeby wywołać otwartą kłótnię, ale Mossie nigdy nie pozwolił się sprowokować.

Nazajutrz po jej dwudziestych siódmym urodzinach, wieczorem dziewiętnastego sierpnia, siedziała z Tilly na krzesłach wystawionych przed frontowym wejściem.

— Naprawdę nie rozumiem, dlaczego częściej tu nie przychodzimy — rzuciła Tilly, wpatrzona w kamienne murki i teren opadający falami w stronę zatoki Coulagh.

— Pewnie dlatego, że wolimy mieć na oku wydarzenia w parafii.

Elizabeth czuła się znakomicie. Z pomocą dzieci wypucowała cały dom; prześcieradła, obrusy, ścierki i ściereczki wisiały nieruchomo na sznurach i złociły się w promieniach zachodzącego słońca. Koce, dywany i kapy wisiały na krzewach fuksji, a ręce Elizabeth przyjemnie pachniały mydłem.

— Będę spała jak dziecko — stwierdziła.

— Większość ludzi nienawidzi sprzątanina, ale czasami... jakby to powiedzieć, miło kiedy dom ci odpowiada. Zupełnie jakby mówił „dziękuję”. Wiesz, co mam na myśli?

— Yhm.

Elizabeth nie całkiem podzielała tę opinię. Porządki wydawały jej się czymś monotonnym i okropnie nudnym, ale dziś musiała przyznać, że przyniosły jej szczególną satysfakcję. Czuła się bardzo dzielna.

Przez chwilę siedziały w ciszy, słuchając odległego ryku jakiejś samotnej krowy i dysonansowego brzmienia głosu derkacza.

— Słyszałaś nowiny o Jimmym Deeneyu? — spytała Tilly.

— Nie, ale pewnie zaraz usłyszę.

Elizabeth nie przepadała za tym człowiekiem. Uważała, że jest wulgarny i nie zagłosowała na niego. Zresztą i tak przegrał z kretesem wybory, bo mimo całej hojności nie zaskarbił sobie poparcia nawet w Lahersheen, Derryconna czy Eyeries. Nie tracił jednak nadziei, tylko nadal kokietował i stawiał drinki.

Tilly nie obraziła się na niedbały ton Elizabeth, choć sama popierała Deeneya.

— Wygląda na to, że kupił Castleclough z całym dobrodziejstwem inwentarza.

— Te ruiny? A co on z tym zrobi?

— Słyszałam, że zamierza tam mieszkać, przynajmniej latem. Teraz, kiedy kandyduje do parlamentu, wydaje mu się, że powinien mieć jakąś posiadłość w południowo-zachodnim Cork. Tej jego Jankesce w życiu by się nie śniło osiąść tam na stałe, ale chętnie zostałaby panią na włościach. Mieliby osiemdziesiąt akrów ziemi i spory kawał rzeki, nie wspominając o własnej przystani.

— Przecież nic się tam nie da naprawić!

— Właśnie, że nie. W tym sęk, że nie ma tylko dachu, ale fundamenty zachowały się całkiem nieźle. Co oznacza parę miejsc pracy przez dobrych kilka miesięcy.

Elizabeth nie była pewna, czy Tilly pije do zatrudnienia Daniela i na wszelki wypadek nie podjęła tematu.

— Mówiłam ci, że dostałam kartkę urodzinową od Kathleen? — spytała wystawiając twarz do słońca. — Cuda się dzieją. Ogromnie się zmieniła, przedtem nie powiedziałyby mi nawet, która godzina. Powinna niedługo wrócić do domu. Nie wiem, co z nią począć. Załatwiłam jej szkołę przyklasztorną, ale ona nawet nie chce o tym słyszeć. Nic tylko scena i scena. Co ty na to?

Tilly strzepnęła z kolan biedronkę.

— A jest dobrą aktorką?

— Pojęcia nie mam. Nigdy nie widziałam jej na scenie. Sam pomysł bardzo mnie zaskoczył. Neeley pewnie w grobie się przewraca.

— Więc pojedź i ją obejrzyj. Może wtedy zdecydujesz.

— Aha, a niby jak?

— Jak to jak? Farmą zajmuje się Mossie, a Mary z moją pomocą doskonale dałaby sobie radę. Zresztą przecież nie pojechałabyś na dłużej niż jeden dzień.

Elizabeth bardzo się zapaliła.

— Zgodziłabyś się, Tilly? Złości mnie, że to ty ciągle wyświadczasz mi przysługi.

— Nosił wilk razy kilka. Kiedyś przyjdzie moja kolejka, nie martw się. Poza tym dobrze wiesz, że lubię zajmować się dziećmi.

Ciepło domowego ogniska, którym tak się cieszyła kilka minut temu, szybko wyleciało jej z głowy. Od razu przyszło jej na myśl, że jeśli tylko zaplanuje wszystko starannie i dyskretnie, pojedzie razem z Danielem i zatrzymają się w hotelu.

Rzuciła okiem na Tilly, żeby się upewnić, czy nie dała po sobie niczego znać. Umysł działał pełną parą: zostawi żałobne ubranie, odmłodzi się trochę i podadzą się za parę w trakcie miodowego miesiąca...

— Naprawdę zrobiłabyś to dla mnie?

— Przecież powiedziałam. Jedź i baw się dobrze.

\* \* \*

W ten oto sposób zdenerwowana Elizabeth czekała na Daniela w hallu dworca w Killarney, a w jej torebce spoczywało potwierdzenie listownej rezerwacji z hotelu Great Southern. Według drobiazgowo opracowanego planu, mieli udawać, że przyjechali razem.

Obracając na palcu świeżo wypolerowaną obrączkę, zastanawiała się, co też powiedziałyby George Gallaher, widząc, jak z niewinnej małej dziewczynki zamieniła się w głównego specjalistę od mydlenia oczu opinii publicznej. Na przykład, żeby uniknąć pokazywania się w hotelowej restauracji, przygotowała dla Daniela kanapki. Co więcej, z rozkosznym uczuciem popełnianego występku, zaplanowała całą eskapadę na dni niepełne.

Jeden punkt musiała zostawić przypadkowi: postanowili, że Daniel przyjedzie autostopem, a ponieważ ostatnimi czasy zmotoryzowanych podróżnych było jak na lekarstwo, Elizabeth zadreślała się teraz, że chłopak utknął beznadziejnie na szczycie jakiejś góry. Poza tym umierała ze strachu na myśl, że ktoś znajomy zobaczy ich razem w hotelowym hallu. Bała się też, że jej siedzenie na stacji może się wydać podejrzanym, więc wstała (po raz piąty czy szósty) żeby sprawdzić, czy nie widać Daniela. Odetchnęła z ulgą widząc, jak wyskakuje z motorowej przyczepy. Siłą powstrzymała się, żeby do niego nie podbiec. Powoli, jakby od niechcenia poszła w stronę hotelu.

Daniel wyglądał jak nowy. Miał na sobie najlepszy niedzielny garnitur i dobre buty, a kręcone włosy potraktował obficie brylantyną. Pewnie myślał, że w ten sposób doda sobie lat, ale w efekcie przypominał raczej przerośniętego kandydata do pierwszej komunii.

Elizabeth również ubrała się starannie. Włosy odgarnęła z czoła białą przepaską i zdjęła natychmiast po przyjeździe do Killarney lekki czarny płaszczyk. Miała na sobie żółto-białą, bawełnianą sukienkę, która ujmowała jej lat, choć może niezbyt pasowała do smętnych wzgórz Béara.

Konspiracyjnie ścisnęła Daniel za łokieć.

— Ależ to podobno nasz miesiąc miodowy! — zaprotestował.

— W swoim czasie — syknęła. — Dopiero co się pobraliśmy, więc jesteśmy jeszcze trochę nieśmiali, prawda?

— Przepraszam...

— Nie przepraszaj, tylko bądź czujny — zaczynała się dobrze bawić, zupełnie jak na wagarach.

— Elizabeth...

— Cii...

Wzięła go pod ramię i poprowadziła po schodkach. Sama zajęła się zameldowaniem, dziwiąc się jak łatwo jej idzie, a dopiero kiedy drzwi pokoju zamknęły się za portierem, zauważyła, że przez cały czas wstrzymywała oddech.

Daniel znalazł się przy niej w okamgnieniu.

— Zaczekaj — powstrzymała go zamykając drzwi na klucz, ale już czuła jego ręce na piersiach i pocałunki na szyi.

Kochali się z jeszcze większą pasją niż owej nocy w pobliżu cmentarza. Mimo wyliczeń strach przed ciążą nie pozwolił Elizabeth się rozluźnić i wciąż przebijał nad pożądaniem. Kiedy Daniel osiągnął szczyt, trzymała go w ramionach i muskała jego spocone, gładkie plecy. Wtem poczuła, że jej ciało nadal pracuje. Daniel zauważył to i w sekundę gotów był zacząć wszystko na nowo, ale nie pozwoliła mu.

— Nie, nie teraz. Obejmij mnie, obejmij mnie mocno...

Każdy oddech wydawał się małą eksplozją i przez całe ciało przebiegały rozdwojone języki błyskawic, podobne do tych, które widziała nad szczytem Tooreennamna pewnego upalnego popołudnia. Zaciśnęła nogi na udzie Daniela i wstrząsnęła nią dreszcz drugiego w życiu orgazmu.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, roześmiała się głośno na widok przerażonej miny Daniela. Uśmiechnął się niepewnie.

— Nic ci nie jest? Nieźle mnie wystraszyłaś.

Odprężona, wyciągnęła nogi i rozłożyła ręce, prężąc się rozkosznie.

— Nigdy w życiu nie czułam się lepiej. Jestem cudowna i wspaniała. Ty też. Jesteś fantastycznym mężczyzną.

— Chodź tu — pociągnął ją do siebie.

Drugi raz kochali się wolniej i Elizabeth poczuła, że może polegać na jego ostrożności. Mimo to uważała i tak jak poprzednio wyrzuciła go z siebie w ostatniej chwili.

— Wolałbym, żebyśmy nie musieli tego robić — pożalił się, kiedy złapał oddech.

— Ja też, ale wiesz dobrze, że nie mamy wyjścia.

— Kiedy się pobierzemy, wszystko się zmieni.

Elizabeth zrobiło się zimno i całe pożądanie wyparowało w mgnieniu oka. Wyczuł to i unosząc się na łokciu popatrzył na nią.

— Przepraszam. Wiem, że nie powinienem o tym mówić, zanim poproszę cię o zgodę. Ale przecież tak będzie, prawda?

Mimo że nie powiedziała ani słowa, pewność siebie Daniela ustąpiła miejsca zrozpaczonej wątpliwości. Elizabeth nie mogła tego znieść. Znów miała okazję do wyznania prawdy, ale stchórzyła. Po co psuć taki piękny dzień, może jedyny, jaki było im dane razem spędzić?

— Widzisz, kochanie — powiedziała całując go w powieki — nie mogę w tych okolicznościach rozmawiać ani nawet myśleć o małżeństwie. Cieszymy się po prostu każdym dniem, który przypadł nam w udziale.

— Dobrze — odparł biorąc się w garść — ale ostrzegam cię, Elizabeth, że zostaniesz moją żoną bez dwóch zdań. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Pocałował ją, ale ona już całkowicie pogрузzyła się w troskach.

— Nie teraz. Muszę znaleźć teatr Kitty i kupić bilet.

Oczywiście nie zawiadomiła pasierbicy o przyjeździe.

Z jednej strony nie chciała jej denerwować, a z drugiej pragnęła zachować towarzystwo Daniela w tajemnicy.

— Masz jeszcze dużo czasu.

— Nie — odparła tak lekko, jak tylko potrafiła.

— No dobrze, ale wracaj prędko. Chyba nie chcesz mnie tak zostawić na dłużej, co?

Znów był gotów. Elizabeth zaśmiała się i wyslizgnęła z łóżka.

— Przydałaby ci się raczej jakaś maszyna, ty siłaczu!

Wzięła prysznic i ubrała się. Daniel leżał wciąż na wznak w zmiętej pościeli tak, jak go zostawiła; przypominał wydrę, którą zobaczyła kiedyś na falach jeziora Glenberg.

— Jesteś piękny, Danielu. Kocham cię.

— Ja ciebie też.

Obiecała, że zaraz wróci i przez szeroki, wyłożony dywanem hall wyszła na dwór. Zbierające się chmury groziły deszczem.

Za rogiem dojrzała George'a Gallahera. O pomyłce nie było mowy: kroczył ścieżką z dziewczyną u boku.

Elizabeth przyspieszyła kroku. Dzielilo ją od nich najwyżej parę metrów, kiedy dziewczyna powiedziała coś do George'a i dało się widzieć jej profil. To Kathleen!

Elizabeth stanęła jak wryta, a potem udała, że przypatruje się mijanej wystawie. Satynowe pierzyny, bele ceraty i materiałów na obicia, spodnie robocze, fartuszki, kalosze, nici, ręczniki, obrusy, ścierki, prześcieradła i poszewki — wszystko wirowało jej przez oczami, zbite w różnokolorową masę.

Po minucie odważyła się znów rzucić na nich okiem.

Nic dziwnego, że w pierwszej chwili nie poznała pasierbicy. Włosy upięte w szykowny francuski warkocz, dość mocny makijaż, buty na wysokich obcasach i czerwona obcisła sukienka, ściągnięta w taliu szerokim, białym paskiem: nie, Kathleen zupełnie nie przypominała uczennicy sprzed dwóch miesięcy.

W pierwszej chwili Elizabeth chciała podbiec i natychmiast odciągnąć ją od Gallahera, ale potem pomyślała, że może robi z igły widły. W publicznym pokazywaniu się z własnym szefem nie ma przecież nic nagannego. Poza tym powstrzymało ją jeszcze co innego: jak może rościć sobie prawo do prawienia morałów, skoro w hotelu Great Southern czeka na nią kochanek?

A jednak Kathleen jest niepełnoletnia i nie ma ojca. Elizabeth wpatrywała się w nich uporczywie.

Kathleen i George nie dotykali się, więc Elizabeth postanowiła nie rzucać pochopnych oskarżeń. Teraz jednak tym bardziej nie chciała ujawniać swojej obecności przed przedstawieniem. Odczekała, aż zniknęli za rogiem.

Nie miała trudności ze znalezieniem sali teatralnej. Kupiła bilet i czym prędzej wróciła do Daniela.

Wieczorem nie bardzo umiała zdecydować, co sądzi o talencie scenicznym Kathleen. Dziewczyna grała trzy maleńkie role w przekładzie rosyjskiego dramatu, o którym Elizabeth nigdy nie słyszała. Akcja okazała się tak pogmatwana i rozwlekła, że niejedną raz zatęskniła za niewyszukanym, lecz zabawnym „Connem Shaughraunem”. Kathleen pojawiała się jako pokojówka, potem siostrzenica jednej z pomniejszych postaci, a na końcu (w siwej peruce i pod grubą warstwą makijażu) jako stara, garbata żebraczka. Siostrzenica nie mówiła nic, a tekst pokojówki i staruszki nie zająłby nawet połowy kartki.

Rola służącej dawała najwięcej pola do popisu: niewiele mówiła i robiła, ale za to przewijała się przez wiele scen, dzięki czemu Elizabeth mogła stwierdzić, że choć jej pasierbicy nie brakuje gracji ani pewności siebie, to jednak jej talent, nawet jeśli takowy posiadała, nie należał do tych, które z miejsca rzucają widownię na kolana. Elizabeth wcale nie czuła się przekonana, że powinna pozwolić Kathleen na karierę aktorki.

George, jak zwykle wspaniały, grał mało przekonującą rolę studenta. Według tekstu wieczni studenci nie należeli w Rosji do rzadkości, ale Elizabeth wydawało się, że fragment ten musiano chyba dopisać, żeby jakoś usprawiedliwić wiek Gallahera. Przy każdym wejściu budził nieklamane ożywienie wśród damskiej części widowni, co rozśmieszyłyby może Elizabeth, gdyby sama nie dała się kiedyś nabrać.

Hazel to inna sprawa. Zmieniona nie do poznania przez kaskadę ciemnych loków i bez śladu dublińskiego akcentu, wcieliła się w postać egzaltowanej córki państwa domu, obiektu beznadziejnej miłości studenta. Była naprawdę niezła. Elizabeth zaciekała się, jak długo wytrzyma z tak przeciętną trupą.

Przez większą część sztuki Elizabeth myślała tylko o tym, co robić z Kathleen. Nie doszła do żadnego wniosku.

Kurtyna zapadła i Elizabeth czekała na pasierbicę przy wyjściu dla artystów.

Chmury przesłaniające niebo i zaciemnienie sprawiły, że na ulicy było mroczniej niż zwykle. Elizabeth nie miała nic przeciw temu. Śmierć Neeleya zrobiła z niej osobę sławną w całym Béara, a Killarney dzieliło od Lahersheen tylko sześćdziesiąt mil. Oczywiście, miała prawo oglądać na scenie swoją pasierbicę, ale ze względu na Daniela, im mniej wiedziano o jej obecności, tym lepiej. Nie zauważyła nikogo znajomego, ale dla bezpieczeństwa siedziała na samym końcu sali.

Aktorzy wychodzili śmiejąc się i gadając. Kathleen szła ostatnia.

— Cześć!

Elizabeth wysunęła się z cienia.

— Mamusiu! — zaskoczona Kathleen zasłoniła usta ręką. — Co ty tu robisz?

— Przyjechałam na przedstawienie. Każdemu wolno, prawda?

Uściskała pasierbicę, która po raz pierwszy nie zeszywniała, tylko po chwili wahania odwzajemniła uścisk.

— Elizabeth, jak to miło. — George, nadal w swoim żywiole, teatralnym gestem ucałował jej dłoń. — Hazel już znasz — dodał, po czym przedstawił jej resztę trupy, wraz z Vanessą, która okazała się smukłą kobietą koło trzydziestki.

— Gratuluję państwu, byliście doskonali.

— Mamy teraz małe przyjęcie w pokoju Vanessy — wyrwał się George. — Pójdiesz z nami, prawda?

Niepewnie rzuciła okiem na Kathleen, ale nie dostrzegła nic niepokojącego.

— Dobrze, ale tylko na pół godziny.

Już ponad trzy godziny minęły, odkąd zostawiła Daniela jedzącego kanapki w zmiętej, hotelowej pościeli.

Elizabeth puściła Kathleen z główną grupą (pamiętała dobrze, w jakie zakłopotanie wprawiała ją obecność rodziców, gdy znajdowała się w gronie przyjaciół) a sama przyłączyła się do Hazel, choć przy jej niewielkiej postaci czuła się jak żyrafa. Kiedy szczęśliwie minęli wejście do Great Southern, skorzystała z okazji i zapytała Hazel o zdanie.

— Ma mnóstwo zapału, ale jeszcze za wcześnie, żeby osądzić, czy da sobie radę. Nie jest głupia i na pewno bardzo by się rozwinęła, ale szczerze mówiąc, uważam, że powinna iść do szkoły. Sama bardzo żałuję, że nie mam odpowiedniej edukacji. Odchodzę stąd, słyszałaś już o tym?

— Nie! Kathleen o niczym nie wspomniała. Dokąd?

— Zaoszczędziłam trochę pieniędzy i jadę do Londynu na egzamin do szkoły aktorskiej. Ta amatorszczyzna już mi bokiem wychodzi — powiedziała machając lekceważąco ręką w stronę pozostałych.

— Jak chcesz to zrobić? Myślałam, że nie wolno podróżować.

— Są sposoby i sposobiki — odparła Hazel tajemniczo.

— A co z George'em? Myślałam, że ty i George... — wyrwało się Elizabeth.

— Skurwiel! — rzuciła Hazel z wściekłością. — Nie mogę na niego patrzeć i nie chcę już z nim mieć nic do czynienia. Zostaję do końca sezonu, bo jestem profesjonalistką, inaczej... Wybacz, Elizabeth, ale Gallaher to... eee, nic — urwała nagle.

Podejrzenia wróciły.

— Proszę cię, Hazel — powiedziała, starając się ukryć panikę. — Czy powinnam o czymś wiedzieć?

— Ależ nie — odparta szybko. — Po prostu skurwiel i tyle. Jak wszyscy faceci. Ale ciebie pewnie nie muszę o tym przekonywać.

Zatrzymała się i złapała Elizabeth za ramię.

— Może i nie powinnam ci mówić i nie bierz sobie tego do serca, bo dla niego nie warto, ale... — tu Hazel wzięła głęboki oddech — wiesz, że on wszędzie ma dzieci?

— Co?

— Pewnie trochę przesadziłam — poprawiła się. — Wiem o jeszcze jednym chłopcu oprócz twego syna.

Elizabeth nie w pełni rozumiała, co słyszy, i ze zdziwieniem stwierdziła, że w sumie niewiele ją to obchodzi.

— Skąd się dowiedziałas?

— Jestem z Dublina i nie urwałam się z choinki — odpowiedziała Hazel enigmatycznie. — Skurwiel.

Splunęła do rynsztoka i puściła Elizabeth.

— Zdenerwowałaś się? Niepotrzebnie ci powiedziałam, ale taka jestem zła. Nie mogę usiedzieć z nim w jednym pokoju.

Skrzywiła się z niesmakiem..

— Hazel — Elizabeth zaczęła błagalnym tonem — gdyby działo się coś, o czym powinnam wiedzieć, nie ukrywałabyś tego przede mną, prawda?

— Oczywiście, że nie — odparła, ale wyraz twarzy przeczył jej słowom.

— Nie wierzę ci — Elizabeth uczepiła się jej i nawet w ciemnej ulicy znów ze zdumieniem zauważyła jej dwukolorowe oczy. — Chodzi o Kathleen, prawda? O Kathleen i George'a?

— Elizabeth, nie pytaj mnie o nic związanego z Gallaherem — splunęła znowu. — Przepraszam, nie mogę się powstrzymać. Jak tylko pomyślę... Nie zapominaj, że Kathleen to moja koleżanka i ufa mi...

Nie wypowiedziane zdanie starczyło za całą odpowiedź.

— O Boże, wiedziałam.

Gniew zalewał ją niczym czerwony przyływ. Hazel położyła jej rękę na ramieniu i mocno zacisnęła palce.

— Słuchaj, niczego nie wiesz, a ja niczego nie widziałam, przysięgam na Boga. Może się tylko zadurzyła...

— Ja... ja... — powtarzała Elizabeth bezładnie.

Zatrzymały się przed małą, żelazną furtką.

— To ten dom. Proszę cię, ani słowa. To cała ja — uderzyła się po skroni — trzeba było trzymać gębę na kłódkę.

— W zasadzie nic nie powiedziałaś. Wezmę się w garść. Nie pozwól, żebym została z nim sam na sam albo nie ręczę za siebie. Oczywiście Kathleen nie może tu zostać...

— Mówię ci, że niczego nie widziałam — zawołała Hazel. — Będę ją miała na oku, to jeszcze tylko dwa tygodnie.

— Wobec tego muszę porozmawiać z George'em.

Hazel potrząsnęła ją za ramię.

— Jeśli to zrobisz, to równie dobrze możesz dziś zabrać Kathleen do domu. Pomyśl tylko, ona nigdy by ci tego nie wybaczyła.

Elizabeth przypomniała sobie własne „zauroczenie” i ciągnącą się latami niechęć do rodziców.

— Jesteś pewna, że to tylko zauroczenie?

— Ależ tak. Kathleen to jeszcze dziecko — zapewniała siedemnastoletnia Hazel. — Będę jej pilnować. Obiecuję. Więcej — będę pilnować George'a. Nie uda im się zrobić kroku bez mojej wiedzy.

— Ale jak... nie wiem, czy słusznie postępuję, zostawiając ją tutaj.

— Przyrzekam, zajmę się nią, naprawdę. Teraz uspokój się, na miłość boską, weź głęboki oddech. No, już dobrze.

Elizabeth usłuchała. Po trzecim oddechu rzeczywiście poczuła się lepiej i po chwili była już w stanie wejść do środka. Hazel zapewniła jeszcze raz, że przez następne dwa tygodnie nie spuści Kathleen z oka. Zatrzymała się w progu domu.

— Napiszesz do mnie, gdyby coś się działo?

— Oczywiście.

Żadna z osób w kawalerce Vanessy nie zwróciła najmniejszej uwagi na stan Elizabeth. Przywitano ją ciepło, wręczono kufel piwa i zostawiono własnemu losowi.

Kathleen ulokowała się w kącie i przywitała macochę nerwowym uśmiechem. Była dziwnie cicha i zakłopotana.

I lepiej, żeby tak zostało, skarbie — pomyślała Elizabeth sadowiac się na kanapie.

Dziewczynka nie miała skwaszonej miny, jaką zwykle obnosiła w Lahersheen, ale nie było w niej również radości, którą promieniowały jej listy. Elizabeth stwierdziła z ulgą, że Kathleen nie przejawiała specjalnego zainteresowania George'em, opowiadającym właśnie jedną ze swych historyjek.

Sam George, choć nie wydawał się już tak nieszkodliwy jak podczas wizyty w Lahersheen (ależ się pomyliłam — pomyślała gorzko), cieszył się wzbudzanym zainteresowaniem i nie zwracał uwagi na nikogo w szczególności.

A może tylko udawał? Jednak Elizabeth zaraz przypomniała sobie, że George jest marnym aktorem...

Złapała spojrzenie Kathleen i uniosła szklankę w jej kierunku. Potem odwróciła się, słuchając opowiadania Gallahera i starając się postawić w położeniu pasierbicy. Piętnastolatka, w pierwszej



wymarzonej pracy, zadurzona w mężczyźnie, który niewątpliwie zalicza się do najprzystojniejszych, jakich w życiu spotka, a na dodatek jest dawnym kochankiem macochy. Na domiar złego ta macocha właśnie ją obserwuje: doprawdy niezręczna sytuacja.

Elizabeth spróbowała odsunąć od siebie niepokój. Słyszała nienaturalne modulacje głosów, obserwowała, jak aktorzy dotykają się i obejmują. Ogarnęło ją poczucie *déjà vu*. Ci ludzie niewiele różnili się od trupy Viviana Mellorsa. Dobrze się bawili, ale czy pod swobodą kryła się pewność siebie? Na przykład ilu z tych Rogerów, Hazel i Vaness w rzeczywistości nazywało się po prostu Dotty, Mary albo Sean? O czym to świadczy? Kathleen przynajmniej nie zażyczyła sobie zmiany imienia na Juliet.

Elizabeth po raz kolejny przekonała się, jak bardzo aktorzy różnią się od zwykłych śmiertelników. Choćby Hazel: po wszystkich gromach, jakie rzucała na głowę Gallahera, nie wydawała się ani trochę spięta jego obecnością. Ignorowała go, to prawda, ale niewiele sobie z tego robiła.

Mimo troski o Kathleen, Elizabeth zdawała sobie sprawę z upływu czasu i tego, że Daniel czeka w hotelu. Nie mogła wyjść za wcześnie, więc kiedy korzystając z ogólnego wybuchu śmiechu podniosła się wreszcie, dochodziła północ.

— Muszę już iść. Odprowadzisz mnie do drzwi? — zwróciła się do Kathleen.

Pożegnała się z resztą towarzystwa i wyszła.

— Dzięki, że przyjechałaś.

Stały na ganku i wydawało się, że Kathleen znowu zeszytywniała. Może szykowała się do zwierzeń?

— Nie ma za co. Cieszę się, że cię zobaczyłam na scenie. Byłaś wspaniała.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Porozmawiamy dłużej, kiedy wrócisz do domu pod koniec przyszłego tygodnia, dobrze?

Czuła, że w dziewczynce wzbiera burza uczuć, więc starannie dobierała słowa.

— Potrzebujesz może czegoś? Mogę ci w czymś pomóc, skoro już tu jestem?

— Nie chcę jechać do szkoły — wybuchnęła Kathleen i cała dorosłość niemal legła w gruzach. — Wiem, że chciałam, ale to było tak dawno. Wszystko się zmieniło i teraz już nie chcę.

— Jeszcze kłamka nie zapadła — powiedziała Elizabeth ostrożnie. — Ale to przecież był twój pomysł. Wszyscy dołożyliśmy wielu starań i wydatków. Dziadek Sullivan...

— Wiem, że to mój pomysł i bardzo mi przykro. Ale wolno chyba człowiekowi zmienić zdanie? W końcu to moje życie.

— Może porozmawiasz o tym z Hazel? — zaproponowała Elizabeth łagodnie. — Zresztą ona też uważa, że powinnaś najpierw skończyć szkołę i zdobyć wykształcenie, a dopiero potem myśleć o scenie. Nie przyspieszaj rzeczy. Nie dorastaj za wcześnie, jeśli nie musisz, masz mnóstwo czasu, Kathleen.

Elizabeth miała nadzieję, że pasierbica pojmie te delikatne aluzje, ale przeliczyła się.

— Łatwo jej mówić — rzuciła dziewczyna agresywnie — jedzie do Londynu.

— Tak, powiedziała mi.

Elizabeth czuła, że balansuje na granicy następnej awantury. Jeden nieostrożny ruch i zaprzepaści cały listownie zbudowany związek.

Ganek obrastały róże i Elizabeth skupiła się na nich, żeby nie patrzeć Kathleen w oczy.

— Kathleen, porozmawiamy kiedy wrócisz do domu — powtórzyła spokojnie. — Nie masz nawet piętnastu lat i za wcześnie myśleć o Londynie. Zresztą nie wolno podróżować, więc musisz poczekać do końca wojny.

— Niedługo skończę piętnaście i nigdy w życiu ci nie wybaczę, jeżeli zmusisz mnie do opuszczenia teatru. Kocham teatr, to moje życie.

— Nie przesadzaj.

— Mamusiu, błagam cię. Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne. To sprawa życia i śmierci.

— Zupełnie zrozumiałe, tak to odbierasz. W twoim wieku...

— Ostrzegam cię — znieruchomiała, a potem ciągnęła morderczym tonem — pożałujesz tego. Wiesz, że potrafię do tego doprowadzić.

— Wykopujesz topór wojenny, Kitty.

— I nie nazywaj mnie Kitty!

Elizabeth miała dosyć.

— Dobrze, przepraszam, ale zaskoczyłaś mnie. Teraz nie czas i miejsce na dyskusje. Muszę przemyśleć, czego życzyłby sobie twój ojciec...

— Nie mieszaj w to mego ojca. On nie żyje, dzięki tobie i twojemu... — plująca jadem Kathleen zatrzymała się w porę.

Elizabeth najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała się od ciętej odpowiedzi.

— Dobranoc, Kathleen. Porozmawiamy w przyszłym tygodniu, a jutro do ciebie napiszę.

— Nie czekaj aby na odpowiedź. — Kathleen wróciła do domku i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Elizabeth ruszyła betonowym chodnikiem. Wybuch Kathleen zaskoczył ją nie tylko siłą, ale i gwałtownością. Zupełnie, jakby dziewczynka nie dość, że sprowokowała, ale również dobrze wszystko przećwiczyła, łącznie z rolą samej Elizabeth. Poza tym kwestia szkoły to chyba tylko przykrywka; musiało chodzić o coś więcej.

Zamknęła za sobą furtkę i szła ciemnymi ulicami miasteczka. Nawet fakt, że wracała do Daniela, nie podnosił jej zbyt na duchu. Przez kłótnię z Kathleen wyprawa straciła cały urok.

Nie wątpiła, że jeśli tylko nie pozwoli jej się zostać w teatrze, pasierbica spełni swoje groźby. Jaką zemstę planowała? Elizabeth przebiegła myślą wszystkie możliwości, jedną gorszą od drugiej.

Mimo szczytu sezonu w Killarney na ulicy nie było zbyt wielu ludzi. Po drodze spotkała tylko jedną kobietę z psem i dwóch młodych ludzi pokładających się ze śmiechu pod kamiennym murem, okalającym teren hotelu Great Southern.

Gdy weszła do pokoju, Daniel siedział na własnoręcznie zasłanym łóżku. Umył się i ogolił, a oliwne lampy rzucały przyjemny połysk na jego kędzierzawą głowę. Podniósł oczy znad książki.

— Zaczynałem się martwić, już po północy.

Zupełnie jak dziadek, a nie kochanek — pomyślała Elizabeth i od razu poczuła się lepiej. Rzuciła się na łóżko obok niego.

— Och, co za wieczór. Przytul mnie i nic nie mów.

Odłożył książkę i wziął ją w ramiona, delikatnie, jakby była figurką z porcelany.

— Co się stało?

— Boję się, że wszystko po prostu się na mnie zawali.

— Co? Powiedz mi...

— Ja, ty, dzieci, farma, wszystko.

W milczeniu głaskał ją przez chwilę po głowie.

— To musiało być niezłe przedstawienie.

— Danielu! — roześmiała się i odwróciła, żeby go pocałować.

Znowu zdumiało ją, że choć czasami wyglądał tak młodo, potrafił przejawiać tyle dojrzałości i zrozumienia. Mimo to nie umiała zdradzić mu obaw związanych z Kathleen. Westchnęła. Za wiele komplikacji.

Utulił ją, jakby była małym dzieckiem, które rozbiło sobie kolano.

— Nie martw się. Nie lubię, kiedy się martwisz. Chcę się tobą zaopiekować.

Wtuliła się w niego, a on pocałował ją w czubek głowy.

— Już niedługo przestaniemy się skradać jak złodzieje szeptając jej we włosy — i poślemy do diabła takich ludzi jak Kathleen. Wyślemy do diabła całą parafię. Obiecuję, że kiedy na dobre będziemy razem, nigdy nie pozwolę ci się martwić.

Elizabeth popatrzyła w jego poważną, kochającą twarz.

— Pocałuj mnie — szepnęła.

## ROZDZIAŁ 21

Elizabeth nie musiała długo czekać, żeby dowiedzieć się, co Kathleen miała na myśli. Przylapała ją w swojej sypialni na dzień przed wyjazdem do szkoły przyklasztornej, dwa tygodnie po wizycie w Killarney.

Elizabeth szła odwiedzić Tilly, ale po paru metrach zrobiło jej się zimno. Wciąż nosiła żałobę, ale zaczęła ożywiać ją stopniowo przez kolorowe dodatki. Dziś założyła jasno— fiołkową bluzkę z cienkiej bawełny, która nie chroniła jednak przed chłodną bryzą znad zatoki.

Wróciła po sweter, zaskakując Kathleen z rękami zanurzonymi w drewnianej skrzyneczce, trzymanej pod stertą ubrań na samym dnie komody. Elizabeth trzymała tam świadectwa urodzin i chrztu, biżuterię i inne cenne rzeczy.

Na przykład ręcznie spisana umowę z Mossiem.

— Co robisz?

Ruszyła w kierunku Kathleen, ale dziewczyna była szybsza.

— Danny McCarthy na pewno się tym zainteresuje.

Pomachała dokumentem i schowała go za plecami.

— Oddaj to natychmiast!

Stojąc bez ruchu, Elizabeth włożyła w te słowa całą siłę, w nadziei, że zastraszy Kathleen, ale ta nie dała sobie w kaszę dmuchać.

— Oliwa sprawiedliwa — odparła równie opanowanym tonem. — Zniszczyłaś moje życie, a teraz ja zniszczę ten wygodny układzik z twoim krótko ostrzyżonym chłoptasiem.

Ostatnie słowo wymówiła tak jadowniczo, że Elizabeth z całego serca zapragnęła zdzielić jej bladą, bezczelną twarz.

— Ten papier to nie twój interes — zaczęła, ale Kathleen przerwała jej:

— Czyżby, mamusiu? Mossie Breac ma zostać moim... czym tak dokładnie? Ojczymem? A może po prostu jeszcze jednym fagasem mamusi? Ale, ale, zapomniałam...

Odwróciła się plecami, żeby móc odeprzeć spodziewany atak i odczytała szybko:

— ...stanowimy małżeństwo wyłącznie w sensie formalnym. Nie będziemy razem mieszkać; każde z nas pozostanie w swym dotychczasowym domu...

Stała przodem.

— Nie ma ciupciana dla Mossiego, co?

U kobiet, a szczególnie młodych dziewcząt, używanie tak wulgarnych określeń było czymś nie do pomyślenia, ale Elizabeth zależało już tylko na odzyskaniu dokumentu. Rzuciła się znów w jej stronę, ale Kathleen wywinęła się spod ręki i oparła o ścianę.

— Wszystko przemyślane, co mamusiu? — drwiła. — Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. A może chodzi raczej o ogierka?

Elizabeth złapała ją za ramiona i chciała odciągnąć od ściany, a Kathleen opierała się i kopała.

Elizabeth przeraziła się nagle. Przecież dokładnie w tym samym miejscu Neeley strzaskał głowę Eranceyowi. Cofnęła się i walka ustała.

Dysząc mierzyły się wzrokiem i Elizabeth ze zgrozą patrzyła na ogrom nienawiści w oczach Kathleen.

— Co ja ci takiego zrobiłam?

— To wszystko twoja wina. Gdybyś pozwoliła mi zostać w teatrze, nigdy by do tego nie doszło.

— Wiesz, nie zasługujesz nawet na pogardę — odparła spokojnie, siadając na łóżku. — Rób, co chcesz. Ja cię nie powstrzymam. Mam tylko nadzieję, że zniesiesz konsekwencje.

— Zniosę, już o to się nie martw.

Kathleen wyglądała na zbitą z tropu, ale wzięła się w garść. Dwie kartki poszybowały na podłogę.

— Masz tu swój bezcenny dokument. I tak go nie potrzebuję, wiem o wszystkim od miesiący. Odwróciła się na pięcie i pobiegła do swojej sypialni.

Elizabeth nachyliła się wolno i podniosła z ziemi papiery. Złożyła je w pół i wsadziła do kieszeni. Nadszedł czas, żeby powiedzieć Danielowi prawdę i to szybko, zanim dowie się z innego źródła.

Wiedziała, gdzie go szukać. Praca na kutrze nie wypaliła (w załodze znajdowało się aż sześciu kuzynów Neeleya), ale przyjęto go na próbę do odbudowy zamku w Castleclough.

Założyła sweter i weszła do kuchni.

— Co się stało? — zapytała Mary podnosząc głowę znad rysunku, który kolorowała wraz z Abigail. — Mówiłam jej, że nie powinna wchodzić do twojej sypialni.

— Nie mogę ci teraz wyjaśnić — odrzekła Elizabeth ostro, ale zaraz przeprosiła.

Czuła się winna wobec Mary. Po skończeniu szkoły dziewczyna nie miała ochoty ani na opuszczenie domu, ani na podjęcie pracy. Przez letnie miesiące Elizabeth przyzwyczała się już, że ma w niej bezpłatną gosposię. Zdawała sobie sprawę, że to nie w porządku i że w najbliższym czasie powinna poważnie zająć się jej przyszłością.

— Opowiem ci — obiecała — ale teraz muszę wyjść. Wrócę na herbatę. Gdybyś w międzyczasie rozmawiała z Kathleen to... pamiętaj, że każdy kij ma dwa końce.

Zaintrygowana Mary skinęła tylko głową.

Elizabeth jechała rowerem do Castleclough. Miała przed sobą najtrudniejsze zadanie w życiu i nagle poczuła, że nie docierają do niej żadne emocje. Zupełnie jakby mózg odmówił posłuszeństwa.

Zastanowiła się nad tym, co powiedziała Mary. Jak wygląda sytuacja z jej punktu widzenia?

Trzy poronienia, siedmioro dzieci, w tym jedno nienawidzi jej do gruntu, życie osobiste w zupełnym chaosie, osławiona wdowa, zaręczona z mężczyzną, którego nie kocha, Kochająca innego, z którym nie może się związać. Wszystko tylko dlatego, że siedem lat temu zadurzyła się w łajdaku bez żadnych zasad.

Nie, to nie fair. Nie może obwiniać Gallahera za wszystkie koleje swego losu. To jej własna odpowiedzialność. I nie może nawet powiedzieć, że jej nie ostrzegano: kościół, siostry zakonne, rodzice... Zabrakło jej odrobiny rozsądku i opanowania.

Mimo wszystko, jej życie nie ułożyło się najgorzej. Nie dotknęła jej wojna, miała gdzie mieszkać i co jeść. Żadnych materialnych potrzeb. Dzieci chowały się zdrowo i w niczym nie przypominały sierot i uciekinierów, których widziała czasem na okropnych fotografiach z gazet.

Doświadczyła też wielu radosnych chwil: prawdziwej miłości, trzymania nowo narodzonych dzieci w ramionach, poprawy stosunków z ojcem, a nawet z matką, przyjaźni Tilly, wreszcie najwspanialszego seksu z właściwym partnerem.

Z właściwym partnerem.

Nie wolno się teraz nad tym rozwodzić, w przeciwnym razie nigdy nie zrobi tego, co zamierza.

— Dzień dobry — powitała sąsiada, który prowadził osiołka obładowanego torfem.

W odpowiedzi farmer zdzielił osła po zadzie i uchylił czapki.

— Dzień dobry pani! Piękny dzień, Bóg łaskaw.

— Dziękuję Bogu.

Wjeżdżając pod strome wzniesienie, Elizabeth nacisnęła mocno na pedały. Oto jeszcze jedna dobra strona: tutejsi ludzie w trudny do określenia sposób stali jej się bliscy, Béara zaś stało się prawdziwym domem.

Kontemplując pozytywne aspekty życia, doszła do wniosku, że jeśli przed dziesięciu laty ktoś powiedziałby jej, stuprocentowej mieszczance, że zapaści korzenie w tym dzikim i pięknym zakątku, popukałaby się w głowę. Teraz jednak czuła się związana z tą ziemią dużo bardziej niż z miejscem urodzenia.

Na szczycie pagórka zsiadła z roweru i udając, że układa sobie w głowie, co chce powiedzieć, rozglądała się wkoło. Myśli szybko odbiegły od nieprzyjemnego tematu.

Nastało cudowne popołudnie. W pobliżu nie było żadnych domów. Zielone i złotobrzowe bagna sięgały z jednej strony aż do wzgórz Béara, zaś z drugiej opadały łagodnie w kierunku rzeki Kenmare. O tej porze roku fiołkowe szczyty hrabstwa Kerry złagodniały i połyskiwały w letnim upale. Wydawało się, że unoszą się nad ziemią jak twory wyobraźni artystów i marzycieli.

Wśród barwnych traw, w ostatnich tego roku powiewach babiego lata, Elizabeth ogarnął nagle przemożny żal. Łzy napłynęły jej do oczu.

To samo zdarzyło się dwa tygodnie temu w hotelu Great Southern, kiedy tuż przed świtem leżała w ramionach Daniela. Tamtej nocy kochali się jeszcze dwa razy. Daniel zasnął w końcu, a ona wysunęła się z jego objęć, żeby przyjrzeć mu się w szarzącym świetle nadchodzącego dnia.

Odrzucił głowę do tyłu: nie do końca przymknięte oczy błyszczały, a rozchylone wargi poruszały się w rytm głębokiego oddechu.

Uleciało nagle całe poczucie fizycznego spełnienia, a na jego miejscu pojawiła się pustka. Zupełnie tak, jakby być człowiekiem oznaczało przypominać sobie bezustannie o przemijaniu i śmierci. Każde szczęście nosi w sobie ziarno samozniszczenia.

Piękno natury stało się nie do zniesienia, więc Elizabeth wsiadła z powrotem na rower. Za zakrętem, niczym żagle na zielonym morzu drzew, ukazały się pozbawione dachów wieżyczki zamku Castleclough. Nie ma już pobłażania ani ucieczki w marzenia. Elizabeth zacisnęła usta.

Wokół piętrzyły się sterty liści, pieńków i krzaków wyrwanych z korzeniami. Opony szorowały po świeżo wysypanym żwirze. Przestraszyła się, że może złapać gumę, więc oparła rower o drzewo i ruszyła na piechotę. Słyszała już stuk narzędzi i głosy. Po paruset metrach przeszła pod bramą obrośniętą dzikim winem i dotarła do budynku, pokrywanego właśnie drewnianymi rusztowaniami.

Natychmiast spostrzegła Daniela. Obnażony do pasa zmagął się z długą deską podniesioną ze stosu rzuconego na zaniedbany trawnik.

Stała zakłopotana, póki nie podszedł do niej mężczyzna z Derryconna, którego imienia nie знаła. Wyglądało, że on tu zarządza.

— Czym mogę pani służyć, pani Scollard?

— Przyniosłam wiadomość dla Daniela Carriga. Zastałam go?

Wolała nie patrzeć rozmówcy w oczy. Bała się, że jeśli teraz stchórzy, będzie zgubiona.

— Danny! Chodź tutaj na chwilę!

Daniel obejrzał się i nawet z daleka Elizabeth dojrzała malujące się na jego twarzy zaskoczenie. Inni mężczyźni także odwrócili głowy, więc Elizabeth wyprostowała się dumnie. Uznała, że jedyne, co jej pozostało, to udawać, że jest kimś zupełnie innym.

Trzask upuszczonej deski rozległ się echem wśród panującego milczenia. Czerwony na twarzy Daniel przemierzył podwórze.

— Dzień dobry — wymamrotał. — Czy coś się stało?

— Muszę z tobą pomówić. To nie potrwa długo — dodała, zwróciwszy się do majstra, który natychmiast odszedł, zaganiając robotników do pracy.

— Przepraszam, że nachodzę cię tutaj, ale stało się coś, o czym natychmiast muszę cię powiadomić.

Nie rozglądając się wyprowadziła go za bramę. Kiedy upewniła się, że nikt ich nie widzi, odwróciła się ku niemu.

— Danielu, nie wiem, jak to przyjmiesz... to znaczy, pewnie mogę przypuszczać... Mam ci do powiedzenia straszną rzecz.

— Co?

Zmusiła się, żeby nie zwracać uwagi na strach malujący się w jego oczach.

— Nie mogę za ciebie wyjść. Istnieje ku temu ważna przyczyna. Muszę poślubić kogo innego. Powtarzam: muszę, a nie chcę. Pewnie domyślasz się, co czuję. Naprawdę nie kłamałam...

Urwała widząc, jak krew odpłynęła mu z twarzy.

— Musisz?

Zdała sobie sprawę, że takie określenie oznacza małżeństwo z powodu ciąży. Kto jak kto, ale ona dobrze o tym wie.

— To nie tak — ciągnęła pospiesznie, po czym wzięła głęboki oddech i ze spuszczonej oczami streściła mu całą sprawę. — Widzisz więc, że musiałam cię zawiadomić, zanim zrobiłaby to Kathleen. Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego nie powiedziałam ci wcześniej. To było bardzo samolubne, przyznaję, ale nie chciałam cię stracić za żadne skarby świata.

Wreszcie podniosła wzrok. Reakcja Daniela przeszła jej oczekiwania. Miał nisko spuszczonej głowę, a ręce zwiesił wzdłuż boków jak nieużyteczne przedmioty. Wyglądał jakby nie zostało w nim już nic prócz rozpacz.

Niezłomna postawa Elizabeth legła w gruzach. Zakryła twarz dłońmi.

— Och, Danielu! — zawołała przez łzy. — Tak mi przykro, tak strasznie mi przykro.

Wytarła szybko oczy.

— Przepraszam cię — powtórzyła spokojniej. — Nie masz pojęcia, ile kosztowało mnie trzymanie tego w sekrecie. Powiedz coś...

Ale Daniel stał jak skamieniały. Podniósł wreszcie trupio bladą twarz.

— Załatwię go.

— Nie, na litość boską!

Próbowała złapać go za ramię, ale się opędził.

— Zostaw mnie samego.

— Obiecuj tylko, że przyjdiesz do mnie wieczorem. Porozmawiamy... — błagała.

— Nie ma o czym.

— Danielu, nie mów tak. Nigdy cię takim nie widziałam...

Znów próbowała go objąć, ale się odsunął.

— Proszę cię, nie poniżaj nas obojga.

Odwrócił się i odszedł. Elizabeth wiedziała, że póki życia nie zapomni widoku jego przygarbionych pleców, zaciśniętych pięści i głowy wciśniętej w ramiona.

Odgłosy pracy z niewidocznego domu i śpiewny akcent nawoływań wydawały się całkiem nie na miejscu. Dlaczego takie wydarzenia nie pozostawiają po sobie żadnej reakcji? To nie w porządku, że parę metrów dalej ludzie pracują i śmieją się, jakby zupełnie nic się nie stało.

Trzymała się dzielnie, póki nie doszła do roweru. Kiedy wsiadała, pedał omsknął się na za luźnym łańcuchu i skaleczył ją w nogę. Nic wielkiego się nie stało, ale miara się przepełniła. Opanowanie i sztuczny spokój poszły w drzazgi, a Elizabeth zaniósł się cichym, nieutulonym płaczem, jak porzucone dziecko. Łzy mieszały się ze śliną kapiącą z półotwartych ust.

Stała okragiem nad rowerem i pochyliła się nisko, tak że kierownica wbiła jej się w brzuch. Ból przynosił ulgę, więc nachyliła się jeszcze bardziej, jakby chciała się rozedrzeć w pół. Zaciśnęła dłonie na gumowych rączkach i ugięły się pod nią kolana. Opuściła się tak nisko, że zimna rama miażdżyła jej kość łonową.

Atak był bardzo silny, ale nie trwał długo. Po minucie było po wszystkim. Elizabeth nie miała przy sobie chusteczki i rozglądając się za czymś, dostrzegła stertę liści. Wzięła pełną garść, wydmuchała nos, a oczy i twarz wytarła rękawem.

— Dobrze — powiedziała głośno. — Teraz już chodź. Potrzebujesz wszystkich sił, żeby sprostać temu, co nadchodzi.

Przypomniawszy sobie nauki Hazel, odrzuciła głowę do tyłu, biorąc długi oddech, a po nim drugi i trzeci. Powietrze zadrgało jej w płucach. Stała z zamkniętymi oczami dopóki się nie uspokoiła.

Droga biegła między dwoma rzędami starych drzew. Okolony listowiem skrawek nieba patrzył na Elizabeth jak spokojne oko Cyclopa.

— Chodź już. Nie ma teraz czasu na bzdury.

Oddalała się od bram Castleclough, a chłodny powiew przynosił ulgę piekącym oczom. Łydki paliły, a twarz wykrzywiła się od wysiłku, kiedy jadąc pod górę z całych sił naciskała na pedały starego roweru, spiesząc się, jakby ją kto gonił.

— No, pchaj, już — ponaglała się. — Nie oglądaj się! Nie myśl! Na wszystko przyjdzie czas.

Teraz trzeba działać. Jak tylko wróci do domu, weźmie się za wyczyszczenie kuchenki. Oborze też przydałoby się solidne sprzątanie, odkładane już nazbyt długo. Mogłaby pomalować ściany — od poprzedniego razu zostało trochę farby. Albo zagroda, w której zimą trzymano bydło i gdzie teraz poniewierały się tylko kierznie do masła i wyżymaczki. Może warto by uszyć zasłonki na małeńkie okno, wstawić stolik i parę małych krzeseł; powstałby w ten sposób pokój zabaw dla młodszych dziewczynek, żeby w deszczowe dni nie plątały jej się pod nogami. Poza tym Francey prosił, żeby pomóc mu przy budowaniu następnego tunelu...

Jak już skończy, mogłaby przejrzeć ukochane stare książki, które przywiozła ze sobą. Nigdy nie miała okazji do nich zajrzeć. Przez ostatnie dwa lata przeczytała tylko „Rebekę”, przyslaną przez Maeve w prezencie gwiazdkowym. Miło będzie znów poobcować ze starymi przyjaciółmi...

Dojeżdżając do domu, Elizabeth dojrzała gęsi, które ze zgodnie opuszczonymi głowami przemierzały dolne pole.

— Oto następne zadanie — pomyślała.

Miała wątpliwości, czy szopa, w której trzyma je na noc, zapewnia im dostateczną ochronę przed drapieżnikami. Poprosi Micka Harringtona, żeby rzucił na to okiem.

Kiedy skręcała do bramy, najbliższe trzy tygodnie miała już rozplanowane co do minuty.

Na drżących nogach weszła do domu i opadła na najbliższe krzesło. W powietrzu unosił się zapach pieczonego chleba, a zachodzące słońce odbijało się w filiżankach ustawionych w poprzek stołu: to Mary zaczęła już przygotowania do herbaty. Ułożone równo jajka czekały na ugotowanie, czajnik śpiewał na płycie i podobnie jak w Castleclough, wszystko wydawało się zupełnie zwyczajne, jakby nigdy nie wydarzyło się nic złego.

— Dobrze się czujesz, mamusiu?

Mary przerwała wyskrobywanie masła z maselniczki na talerz i popatrzyła na Elizabeth z troską.

— Tak — odparła skrzekliwie i odchrząknęła. — Świetnie, tylko trochę się zmachałam. Gdzie Kitty?

— Nie wiem. — Mary wzruszyła ramionami. — Dokądś poszła.

— A reszta?

— Gdzieś się tu kręca. Maggie i Goretti bawią się z Abbie w szopie Franceya.

Mary wróciła do pracy.

Elizabeth podniosła się po chwili i zajrzała do dziecinnej sypialni. Walizka Kathleen, otwarta i pusta, leżała na jednym z łóżek, a nowiutkie szkolne mundurki, szlafrok, kaptcie, nocne koszule i



przybory toaletowe walały się bezładnie, porozrzucane po całej podłodze. Elizabeth poczuła, że znów napływają jej łzy do oczu, tym razem ze złości. Wyjeżdżały jutro z samego rana i pakowanie od dawna powinno być skończone. Wróciła do kuchni. Mary za pomocą dwu szpachelek wygładzała masło, nadając mu kształt ciastka. Jej wymierzone ruchy działały kojąco na Elizabeth.

— Pomóc ci? — spytała.

Nie mogła znieść bezczynności.

— Wszystko gotowe.

Skoro nie może się na nic przydać, to może choć zająć myśli czym innym.

— Mary, czy rzeczywiście nie przeszkadza ci praca w domu?

— A cóż innego mogłabym robić? Byłam tępa w szkole i nikt nie dałby mi pracy w aptece.

Najlepsza przyjaciółka Mary, córka sklepikarza z Castleclough, została właśnie ekspedientką w jednej z aptek w Castletownbere.

— Nie oceniaj siebie tak surowo. Wcale nie jesteś tępa. Masz inne zdolności.

— Na przykład jakie?

— Świetnie prowadzisz dom, zajmujesz się dziećmi.

— Czyli masz na myśli zalety służącej?

Nigdy przedtem Elizabeth nie słyszała z ust Mary równie gorzkich słów. Nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, że kochana, niezawodna Mary może czuć się nieszczęśliwa i przybita.

Nie wiedziała, co robić. Dziwnym sposobem życie dzieci przelatywało jej przez palce. Dojrzały i dorosły, zanim się obejrzała.

— Oczywiście, że nie — odparła stanowczo. — Raczej kogoś, z kim przyjemnie mieszkać.

Mary patrzyła na nią niepewnie, wciąż nie wypuszczając z rąk szpachelek do masła.

— Naprawdę, Mary — powtórzyła z naciskiem. — Jesteś cudowna. Mężczyzna, który cię zdobędzie, to prawdziwy szczęściarz.

— Tak, pewnie! To pasuje jak ulał do mnie, najpiękniejszej panny w okolicy!

Odwróciła się. Jej spokojne ruchy znów uspokoiły Elizabeth. Wybuch płaczu i intensywny wysiłek fizyczny wyczerpały ją, nie na tyle jednak, żeby sądziła, że uniknie konsekwencji tego, co narobiła. Może powinna ostrzec Mossiego?

Nie miała sił zmagać się z tym teraz.

Jajka bulgotały w kociołku. Drzwiczki pieca skrzypnęły, kiedy Mary wyjmowała upieczony chleb. Jakaś kura zagdakała, wsadzając głowę do kuchni w poszukiwaniu okruszyn.

Elizabeth czuła się zupełnie odseparowana od zewnętrznego świata. Cierpienie, lęk przed tym, co zrobi Daniel, nawet sam związek z nim wydał się teraz bardzo daleki. Zdominowała ją całkowicie codzienność małego, zwyczajnego świata, w którym ślady noża i niezmywalne plamy z atramentu znaczyły stół niczym kamienie milowe, a każda dziurka w ceracie pokrywającej półeczkę nad kominkiem była dobrym znajomym.

Obserwując Mary, postanowiła, że pomoże jej zabłysnąć i nabrać pewności siebie. W przeciwieństwie do Margaret i Kathleen Mary nie miała za grosz próżności. Zadowalała się noszeniem w kółko tych samych ubrań i butów, nigdy nie narzekała na fryzurę ani nie domagała się szminki. A przecież miała słodką twarzyczkę o kształcie serca i piękny uśmiech. Elizabeth oskarżyła się, że z jej winy ta cudowna dziewczyna znalazła się niebezpiecznie blisko roli wiecznego popychadła. Zbyt łatwo przychodziło na niej polegać.

— Zawołać ich?

— Sama to zrobię, jeśli chcesz.

— Nie, dość się już napracowałam.

Elizabeth wstała na przekór bolącym mięśniom.

\* \* \*

Około ósmej cała rodzina poważnie zaniepokoiła się zniknięciem Kathleen. Z początku Elizabeth potraktowała jej nieobecność na herbacie jako kolejny kaprys, ale wiedzona przecuciem przejrzała jej rzeczy, stwierdzając brak portfela i kosmetyczki, prezentu od Hazel Slye. Zrozumiała wtedy, że Kathleen uciekła i to nie zabrawszy żadnych ubrań.

Najpierw Elizabeth zirytowała się okropnie, później zrobiło jej się żal samej siebie: musi teraz wybierać się na posterunek w Castletown, mieć do czynienia z policją. Znow wzbudzi plotki. Co jeszcze?

Po jakimś czasie przeraziła się, że poważnie zrozpaczona Kathleen zrobiła sobie coś złego.

Usiadła na łóżku obok pięknie wyprasowanego szkolnego mundurka. Oczami wyobraźni zobaczyła ciało Kathleen unoszące się wodami Kenmare albo po zatoce Coulagh twarzą w dół. Otrząsnęła się. Jeśli by pasierbica rzeczywiście planowała samobójstwo, nie zabierałaby ze sobą kosmetyków.

A gdyby jednak? Kathleen miała melodramatyczne usposobienie. Może przed rzuceniem się do rzeki postanowiła zrobić makijaż?

Elizabeth wstała. Nie tylko Kathleen zdradza melodramatyczne zacięcie: przecież nie ma jej raptem od paru godzin, nawet nie zrobiło się jeszcze ciemno.

Jeśli rzeczywiście uciekła, to prawdopodobnie spróbuje dostać się do George'a albo Hazel. Może do jakiejś innej trupy.

Istniała jeszcze jedna możliwość. Kathleen chciała dać jej nauczkę i zabrała kosmetyczkę tylko po to, żeby macocha uznała to za ucieczkę. Ostatnie rozwiązanie najbardziej trafiało Elizabeth do przekonania.

Wróciła do kuchni, gdzie czekały na nią skupione twarzyczki dzieci.

Tylko Abigail zajmowała się zwykłymi dziecięcymi sprawami, budując wieżę z klocków.

— Słuchajcie, nie będziemy się zamartwiać. Kitty wróci. W głębi duszy to rozsądna dziewczyna. Warto się jednak zastanowić, dokąd mogła pójść. Margaret, mam dla ciebie zadanie. Zajrzyj do Harringtonów i zapytaj, czy przypadkiem jej nie widzieli, a jeśli tak, to w którą stronę skręciła.

Margaret, świadoma wagi polecenia, skinęła poważnie głową i podreptała do drzwi. Elizabeth ogarnęła spojrzeniem resztę stadka, po czym zdjęła z kredensu brązowy papier.

— Powiniście się wziąć za okładanie książek. Wy dwoje też — skinęła na Franceya i Johannę, którzy od przyszłego tygodnia zaczynali szkołę i mieli po jednej książce każde.

— Macie tu nożyczki. Mary, pomożesz młodszemu? Jak skończysz, Franceyu, nie zapomnij zamknąć gęsi.

Wszyscy zabrali się do pracy, a Elizabeth wzięła na ręce Abigail i wyszła na podwórze. Postawiła dziecko na kolumience przy bramie. Mała wymachiwała tłustymi rączkami, udając że lata. Elizabeth trzymała ją w pół, ciesząc się bliskim kontaktem z małym ciałkiem.

Podbiegł Reks. Oparł łapy na murze i domagał się pieśszczot. Elizabeth wytargała go za uszy, a on lizał jej rękę. Bolało ją całe ciało.

Nadchodził wrzesień i wieczory zapadały coraz wcześniej. Słońce już prawie zniknęło, a w drugiej części nieba pojawił się księżyc w trzeciej kwadrze. Wyglądał jak niewydarzony dysk uczepiony kremowego cumulusa. Elizabeth pomyślała, że spokój wieczora bardzo się różni od spokojnych poranków. Teraz wszystko zwalnia, w ostatnich lotach ptaków nie ma już tyle zapału. Nawet fale po drugiej stronie zatoki uderzały w Wątluszową Skałę bez zwykłej nagłości.

Elizabeth słyszała przytłumiony gwar z kuchni i chichot Abigail, która zwierzała i rozwierała pulchne kolanka niczym mały akordeon.

To jej własny wybór, dokonany wiele lat temu: jej podstawowym obowiązkiem nie jest folgowanie własnym zachciankom i potrzebom, lecz opieka nad wszystkimi dziećmi Neeleya. Przypomniała sobie, jak właśnie dzieci powstrzymały ją swego czasu od ucieczki.

Poza tym, wybór między obowiązkiem a przyjemnością nie przedstawiał teraz większych trudności. Patrząc na spokojne niebo, Elizabeth stwierdziła, że potrzebuje odpoczynku od emocjonalnej huśtawki. Nie żałowała romansu z Danielem. Los może ich jeszcze kiedyś połączyć, przecież według przepowiedni tarota czekają ją dwa małżeństwa. Teraz nie chciała już żadnych niespodzianek. Nade wszystko potrzebowała spokoju.

Wkrótce zobaczy się z Danielem. Jeśli sam nie przyjdzie, to ona go poszuka, kiedy tylko zbierze trochę sił. Jeśli się nie podda i doprowadzi do rozmowy na osobności, z pewnością uda jej się wszystko wytłumaczyć i przekonać go, że jeśli tylko poniechają walki, czas zadziała na ich korzyść.

Właśnie miała zdjąć Abigail z kolumny, kiedy zobaczyła Margaret pędzącą polem, jakby ją kto gonił. Pewnie niosła nowiny.

Nowiny wyprzedziły ją jednak, bo w tej sekundzie zza zakrętu wyłoniła się sama Kathleen. Szła w towarzystwie Mossiego Sheehana.

Na ich widok Elizabeth równocześnie odczuła ulgę i zawrzała gniewem. Kathleen nie tylko przstraszyła całą rodzinę, ale jeszcze ściąga im Mossiego na głowę. Co ona z nim do diabła robi?

Pomyślała, że Kathleen nieświadoma wizyty macochy u Daniela dalej próbuje jej zaszkodzić. Zacisnęła pięści. No, teraz przynajmniej jest bezpieczna.

Margaret przybiegła pierwsza.

— Wraca. Tilly ją widziała, ale to ja spostrzegłam, że idzie drogą z Mossiem.

— Dziękuję, Maggie, dobra z ciebie dziewczynka. Widzę ich. Zajmiesz się Abbie?

Postawiła dziecko na ziemi. Zdyszana Margaret przyjrzała się Elizabeth uważnie.

— Zanosi się na awanturę?

— Nie wiem — odrzekła Elizabeth przez zaciśnięte zęby. — W tej chwili mam ochotę ją udusić.

— Pewnie jej smutno, że wyjeżdża tak daleko.

— Nie rozumiem, dlaczego tak jej bronisz — powiedziała Elizabeth ostro. — Poza tym nie martwiła się ani trochę, kiedy jechała do Killarney. Weź Abbie do domu.

— Bronię jej dlatego, że to moja siostra — odparła Margaret z godnością. — Chodź, skarbie — zwróciła się zupełnie innym tonem do dziecka.

Wzięła je za rękę i podreptały przez podwórze.

Elizabeth trzymała nerwy na wodzy, czekając na nadchodzących. Widać było, że nie rozmawiają. Kathleen wlokła się parę kroków za Mossiem.

— Gdzie byłeś? — zapytała Elizabeth, kiedy doszli do bramy.

Dziewczyna przybrała pogardliwą pozę i patrzyła na podwórze nad ramieniem macochy.

— Znalazłem ją w Castletown — wtrącił Mossie. — Chciała złapać okazję.

— W stronę domu?

Mossie rzucił spojrzenie Kathleen, jakby nie chciał jej zdradzić, ale odpowiedziała sama.

— Do Cork.

— Wracaj do domu — poleciła jej Elizabeth.

Kathleen przeszła koło niej z wysoko podniesioną głową.

Elizabeth zirytowała się podwójnie, bo zaciągnęła wobec Mossiego dług wdzięczności. Chcąc nie chcąc, musiała połknąć dumę.

— Dziękuję, Mossie — powiedziała sztywno. — Oddałeś mi wielką przysługę.

Drgnęły mu powieki.

— Nie ma za co. Zawsze chętnie ci pomogę.

Elizabeth wiedziała, że powinna zaprosić go do środka, ale nie mogła się na to zdobyć.

— Ona wyjeżdża jutro z samego rana, mamy spore zamieszanie. Nie pogniewasz się, jeśli już wrócę do domu?

— Oczywiście, że nie.

Zasalutował i zabrał się do odejścia.

— Jeszcze raz dziękuję.

Próbowała wmówić sobie, że zasłużył na wszystko, co go czeka, ale sumienie kazało go ostrzec.

— Mossie! — zawołała bez namysłu.

Odwrócił się i przez moment Elizabeth dojrzała w jego oczach niespodziewaną słabość.

— Muszę ci o czymś powiedzieć.

— Tak?

Poprzednie wrażenie musiało być tylko złudą. Wyraz twarzy Mossiego stał się znów zwykły i nieprzenikniony. Elizabeth ciągnęła sztywno i z najgłębszą pogardą:

— Poinformowałam Daniela o naszej umowie.

— Rozumiem. Masz do tego prawo. Czemu mi o tym mówisz?

— Ponieważ... nie przyjął tego zbyt spokojnie.

— Pod jego spokojnym spojrzeniem sytuacja nie wydawała się już tak poważna.

— Jestem tego pewien. Bardzo mi przykro.

— Widzisz, zagroził, że cię załatwi.

Mossie szczerze się roześmiał.

— Musiałby bardzo wczesnie wstać. Wykopałem dla was trochę ziemniaków. Zostawię je na podwórzu.

Przyłożył palce do czapki i odszedł.

Elizabeth zaniemówiła.

\* \* \*

Kathleen nie przysparzała więcej kłopotów, a Elizabeth najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała się od kłótni. Dobrze zrobiła, bo zaskoczona dziewczyna grzecznie wzięła się za przygotowania do wyjazdu.

Elizabeth odczekała, aż spakowana walizka znalazła się w kuchni, a Kathleen w piżamie wybierała się do łóżka. Cicho, w obawie, że reszta dzieci może je usłyszeć, zapytała o przyczynę ucieczki.

— Musiałam i już — odparła i przez moment miała minę przestraszonej sarny, ale zwykła czujność wróciła bardzo szybko.

— Dlaczego musiałaś?

— To moja sprawa.

Elizabeth nie miała siły wdawać się w kolejną utarczkę. Dzięki Bogu, od jutra Kathleen znajdzie się na głowie kogo innego.

— Dobrze, nie wnikam. Powiedz mi tylko, dokąd chciałaś jechać.

— Nigdzie... — zaczęła, ale widząc wyraz twarzy macochy zmieniła zdanie. — Wybierałam się do Cork, prosić dziadka Sullivana o pomoc.

— Pomoc? — zdumiała się Elizabeth.

Rodzice byli ostatnimi ludźmi, u których szukałaby pasierbicy.

— Chciałam jechać do Londynu.

Elizabeth patrzyła na nią w milczeniu. Musiała przyznać, że determinacja Kathleen budziła uznanie.

— Bardzo nas wystraszyłaś. Nie rób tego więcej, obiecujesz? Wiesz co, umówmy się. Mówią, że wojna ma się lada chwila skończyć. Jeżeli za rok wciąż będzie ci tak zależało na teatrze, to porozmawiamy, dobrze?

Jeśli spodziewała się wdzięczności czy zaskoczenia, grubo się zawiodła. Kathleen powiedziała tylko: „Dobrze” i poszła do sypialni. Elizabeth po raz drugi tego wieczoru zupełnie zaniemówiła.

Nawet jeśli dożyję setki, to i tak jej nie zrozumie — pomyślała.

Dziesięć minut później dom ogarnęła cisza. Zbyt zmęczona, żeby myśleć o Kathleen, Danielu czy czymkolwiek poza własną kołdrą i poduszką, Elizabeth zmusiła się, żeby wyjść i sprawdzić, czy gęsi zostały dobrze zamknięte. Wszystko w zupełnym porządku.

Właśnie wchodziła do domu, kiedy przypomniała sobie, że zostawiła na sznurze jedno prześcieradło. Wzdrygnęła się na samą myśl o przejściu jeszcze paru kroków, ale potem zdecydowała, że nie wiadomo, jaka nastanie pogoda.

Powłokła się przez podwórze i przez dziurę w murze przedostała się na pole. Odpięła sztywne prześcieradło i odruchowo spojrzała na szczyt Knockameala.

Stał tam Daniel.

Nawet bez nieodłącznej złamanej strzelby nie było żadnych wątpliwości, że to on.

Minuty mijały, a oni wciąż patrzyli na siebie. Elizabeth chciała krzyknąć, pomachać prześcieradłem, zrobić cokolwiek, żeby przerwać wzrastające napięcie, ale stała jak sparaliżowana.

Nagle zniknął. W ciemnościach nie dostrzegła, czy się odwracał. Po prostu w pewnej chwili rozpląnął się w powietrzu.

## ROZDZIAŁ 22

Elizabeth postanowiła nie zostawać na noc w Cork przy okazji odwożenia Kathleen do szkoły z internatem. Pozwoliła sobie na wynajęcie powozu w obie strony. Woźnica zajechał równo o ósmej.

Rozstanie w klasztorze okazało się bardzo bolesne i zajęło nadspodziewanie dużo czasu. Dziewczyna niemal się załamała. Zarzuciła macosze ręce na szyję i nie chciała puścić.

Elizabeth nigdy nie przypuszczałaby, że pasierbica tak się do niej przywiązała.

Znajdowały się w surowo umeblowanej, dusznej rozmównicy.

— Co się dzieje, Kitty... Kathleen? No już dobrze, kochanie — uspokajała ją. — Ani się obejrzysz, jak wrócisz do domu na święta. Na pewno ci się tu spodoba. Przyzwyczaisz się.

Kathleen nie dało się przekonać i nie pozwalała Elizabeth odejść. Wreszcie jedną z sióstr weszła do pokoju w towarzystwie starszej uczennicy nalegając, żeby Kathleen poszła z nimi obejrzeć teren szkoły.

Elizabeth odprowadziła je do bramy i Kathleen w końcu odeszła. Mimo wysokiego wzrostu wydawała się bardzo mała, kiedy idąc między swymi przewodniczkami, oddalała się korytarzem. Zanim zniknęła za zakrętem, odwróciła się jeszcze raz i pomachała smutno.

Elizabeth wróciła do Lahersheen dopiero po dziewiątej. Mary sprawiła się ze wszystkim. Młodsze dzieci leżały już w łóżkach, a kuchnia lśniła czystością.

— Dziękuję, Mary — powiedziała Elizabeth z wdzięcznością, zrzucając buciki i przyjmując kubek gorącego mleka. Margaret usadowiła się na stołeczku u jej stóp i rękoma objęła kolana.

— Opowiedz nam wszystko mamusiu. Czy mi też by się tam podobało?

— Jeszcze za wcześnie o tym mówić, poczekajmy, jak Kitty da sobie radę. To bardzo duży budynek, olbrzymi...

Pomiędzy kęsami jedzenia odpowiedziała na szczegółowe wypytywania Margaret. Mary słuchała bez większego zainteresowania i Elizabeth po raz kolejny postanowiła poświęcić jej więcej czasu.

Po chwili zagoniła obie do łóżka, ściskając każdą na dobranoc. Przez jakiś czas słyszała jeszcze ich krzątanie, aż wreszcie sama przysnęła na krześle, ukołyszana ciepłem kominka i gorącym mlekiem.

Obudziła się gwałtownie i spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta, czas iść spać. Wstała z krzesła i poczuła nagle, że Daniel musi być gdzieś w pobliżu. Trzema susami przemierzyła kuchnię i wypadła na podwórze ze wzrokiem utkwionym w Knockameala. Zaskoczony Reks szczeknął krótko, po czym przepraszająco pomachał ogonem i pomknął za nią do dziury w murze.

Stał tam jak nieruchoma figurka na tle gwiazdzistego nieba.

Co robić? W panice rozważała wszystkie możliwości: nie mogła krzyknąć, żeby nie obudzić całej okolicy. Może pobiec na górę?

Daniel jednak zniknął, tak samo jak poprzedniej nocy.

Cały następny dzień Elizabeth wracała co chwila na pole pod wzgórzami. Pogoda utrzymała się, więc zrobiła i rozwiesiła następne pranie, jeszcze większe niż dwa tygodnie temu. W południe pojawił się Mossie. Przyniósł kilka główek kapusty i wypytywał o Kathleen. Udzieliła mu chłodnych, zdawkowych odpowiedzi.

Koło czwartej wpadła Tilly na plotki.

— Babie lato to moja ulubiona pora — oznajmiła rozglądając się po słonecznym podwórzu.

— Tak. Napijesz się kawy?

— Przywiozła z Cork butelkę substytutu kawy i po chwili siedziały na ławce z parującymi kubeczkami. Z szopy dochodziły odgłosy jeżdżącego pociągu.

— Aleś naprała! — zauważyła Tilly, gapiąc się na sznury zawieszono bielizną. — Jakie nowiny z Cork?

Nagle Elizabeth postanowiła powiedzieć Tilly o umowie.

— Słuchaj — zaczęła — muszę ci coś wyznać. Przepraszam, że ukrywałam to tak długo... — Najspokojniej, jak potrafiła, zreferowała wszystkie fakty, niczego nie pomijając. — A teraz obawiam się, że szykuje się następna wojna o mnie. Ja chyba przynoszę pecha.

Oczy Tilly zrobiły się okrągłe jak spodki.

— Chyba nie zamierzasz się z tym pogodzić.

— Dałam słowo. Podpisałam dokument, który ty i Mick poświadczyliście.

— Żaden sąd na świecie nie każe ci go przestrzegać. Nie pamiętam, jak to się poprawnie nazywa, kiedy ktoś zmusza cię do zgody na coś wbrew woli.

— Dałam słowo — powtórzyła Elizabeth. — I mówię ci, że ze swoim dokumentem Mossie może oskarżyć mnie o złamanie przyrzeczenia małżeństwa.

— Tak, ale...

— Nie utrudniaj mi jeszcze bardziej. Na razie daję sobie radę, prawda? A przecież nic się nie zmieni. Dzieci przede wszystkim, a sama mówiłaś, że to wyborny farmer. Poza tym nie będziemy mieszkać razem.

Tilly zamilkła na chwilę.

— Niech Bóg ma was wszystkich w opiece — krzyknęła w końcu, zaciskając dłonie na kubku. — Ale musisz powstrzymać Daniela.

— Wiem. Co byś zrobiła na moim miejscu? Pozwoliłabyś, żeby gnął w więzieniu?

Tilly nie odpowiedziała, tylko upiła duży łyk.

Reks wyciągnął się u ich stóp. Elizabeth nachyliła się, żeby pogłaskać jego wielki łeb, co przyjął z radosnym merdaniem. Wyrzuciła z siebie ten ciężar w ciepły i jasny dzień, mając za plecami kwitnące margerytki, które przez chwilę wyglądały jak dekoracja do jakiejś absurdalnej sztuki. Niestety szybko wróciła do rzeczywistości.

Przez kolejne cztery noce wychodziła na pole i patrzyła na Daniela. Nigdy nie zostawał długo, znikając nagle, kiedy tylko ją spostrzegł. Nie miała pojęcia, jak długo stał, obserwując dom.

Piątej nocy położyła dzieci spać i nieco po dziesiątej wyszła z domu, kierując się prosto na ścieżkę wiodącą w stronę góry. Nie miała pojęcia, czy Daniel już przyszedł, bo z drogi nie dało się dojrzeć szczytu.

Noce wciąż były balsamiczne, chociaż dochodziła już połowa września. Drogę oświetlał wielki żółty księżyc, księżyc kochanków, który wydawał się zbyt ciężki, żeby niebo mogło go utrzymać. Elizabeth zgasła latarkę i natychmiast zdała sobie sprawę z nadzwyczajnej ciszy. Pomyślała, że to obecność księżycy tłumi w jej odczuciu wszystkie szумы i szelesty.

Zatrzymała się przy stosie i dołożyła jeden kamień. Rozejrzała się. Widziała już szczyt, ale jego gładkiego konturu nie mąciła ludzka postać. Niemal oczekiwała, że Mossie wstanie zaraz pomiędzy janowców — dziś byłaby gotowa na takie spotkanie.

Zadrzała, choć nie było specjalnie chłodno. Znajdowała się ledwie parędziesiąt metrów nad poziomem dachu swego domu, ale powietrze wydawało się tu dużo ostrzejsze. Otuliła się swetrem i nastawiła uszu.

Z daleka słychać było oddech morza. Nawet ptaki zamilkły, zupełnie jakby cała natura była onieśmielona majestatem księżycy.

Elizabeth uległa nastrojowi i na palcach ruszyła przed siebie przez gęste poszycie. Skąpana w nienasyconym, wiecznym świetle czuła się małeńka i pozbawiona znaczenia, tak jakby wobec

wszechświata jej życie i problemy stały na równi jedynie z insektami, które deptała na każdym kroku.

Stała na szczycie. Powiała delikatna bryza, dotykając jej włosów i wybrzusząc czarną sukienkę. Elizabeth wyprostowała się, żeby ten, kto ma ją dostrzec, nie miał żadnych wątpliwości. Nie dbała, że mógłby zobaczyć ją Mossie albo inny sąsiad.

Po chwili, kiedy wokół nie dało się słyszeć nic prócz szelestu liści, usiadła na skale.

Odkąd mieszkała w Lahersheen, nigdy jeszcze nie przychodziła tu w nocy. Kiedy myślała o stojącym tu Danielu, wyobraźnia podsuwała obrazy jego opowiadań. Sądziła, że góra roi się od królików, lisów, a nawet sów i nietoperzy, a zamiast tętniącego życia znalazła absolutną ciszę i srebrzysty spokój. Może dzisiejsza noc jest wyjątkowa.

Bliźniacze odnogi morza wpływające do zatoki Coulagh i Kenmary lśniły jak fosforyzujące wstęgi na tle pogarbionych grzbietów gór Cork i Kerry.

Nieco bliżej gęste, wyprane z kolorów krzewy kwitnącego janowca ugięły się cicho pod lekkim wietrzykiem.

— Witaj.

Serce podjechało jej do gardła. Nie słyszała jego kroków. W świetle księżyca Daniel wyglądał na dużo starszego.

— Witaj — odrzekła, ale wydało jej się to nieodpowiednim przywitaniem, więc pociągnęła go za rękę i zmusiła, żeby koło niej ukucnął.

— Widziałam cię każdej nocy.

— Wiem, też cię widziałem.

— Czemu nie przyszedłeś?

— Nie byłem gotów.

— Teraz jesteś?

— Nie.

— Więc kiedy...

— Zobaczyłem cię tutaj. Patrzę na ciebie od kwadransa.

Nie wypuszczając jego dłoni Elizabeth zsunęła się ze skały. Klęczała teraz blisko niego.

— Kocham cię — wydało jej się, że słowa brzmią sztucznie, więc powtórzyła z naciskiem — kocham cię.

— Naprawdę, Elizabeth? — spytał po chwili milczenia.

— Wątpisz w to?

— Wychodzisz za mąż za Mossiego.

— Danielu! To nie w porządku. Wiesz, jak do tego doszło i że to nie ma znaczenia. Powiedziałam ci...

— Nie musisz się na to godzić — powtórzył słowa Tilly.

Elizabeth zwiesiła głowę.

— Poda mnie do sądu za złamanie obietnicy małżeństwa, obydwójce podpisaliśmy dokument, który uprawnia go do tego. Mogłabym wszystko stracić. Nie tylko ja, dzieci także.

— Niech tylko spróbuje!

Ręce zacisnęły mu się w pięści. Podniosła błagalny wzrok.

— Nie zniosłabym tego. Nie chcę narażać dzieci na następne problemy.

— Ale mnie możesz narażać, prawda? — stwierdził gorzko.

— Danielu, to do ciebie niepodobne. Wiesz, że zgodziłam się na to, żeby wydobyć cię z więzienia.

Strącił jej rękę i wstał. Elizabeth nie widziała wyrazu jego twarzy, bo stał tyłem do księżyca. Wydał się jej wielki, zawieszony nad jej głową jak skała.



— Wolałbym tkwić w więzieniu do końca życia, niż wyjść na wolność i widzieć, jak wychodzisz za innego.

— Porozmawiajmy, proszę...

— Nie mamy już o czym.

— Daj mi przynajmniej kilka minut. Przecież wiesz, że to małżeństwo będzie tylko na papierze. Nawet nie zamieszkamy razem. A Mossie zagwarantował na piśmie, że nie będzie się mieszał do mojego życia.

— O czym ty mówisz? Że Mossie zgadza się, żebyśmy ty i ja przemykali się pod płotami przez resztę życia? Że mogę cię mieć za jego zezwoleniem? Nie, dziękuję.

Elizabeth miała na końcu języka prorocstwo pani Leahy, ale nie była pewna, jak Daniel odnosi się do tarota. Zresztą nie było na to czasu. Zapewniła go tylko, że sytuacja sama się rozwiąże.

— Zobaczysz, Danielu. Jeśli tylko na mnie poczekaasz...

— Co? — roześmiał się z niedowierzaniem. — A niby jak długo, jeśli wolno spytać? Nie słyszałam, żeby Mossie wybierał się umierać.

— Zaufaj mi, wiem o czymś, czego ty nie wiesz. Obiecuję, że wszystko się ułoży. Miej trochę wiary...

— Dobrze wiesz, że to niemożliwe.

— Obiecasz mi przynajmniej, że nie będziesz się z nim bić?

Próbowała objąć go za szyję, ale odtrącił ją brutalnie.

— Ach, więc o to chodzi?! Teraz jego bronisz? Nic ci nie obiecuję! Mam z nim własne porachunki.

Zamarł i przez chwilę patrzyli na siebie w drwiącym złotym świetle. Elizabeth poczuła, że jej sny i namiętności legły między nimi jak ołów. Nie mogła się poruszyć.

— O Jezu, Elizabeth — jęknął Daniel, zakrywając twarz rękami

— Ciii... — wyciągnęła ku niemu rękę. — Proszę, żadnego więcej okrucieństwa. Zrób to dla mnie.

Kiedy pozwolił się dotknąć, ogarnęło ją poczucie winy, podobne do tego, jakie czuła przymilając się do Neeleya przed pójściem na zabawę. Odsunęła je od siebie i przytuliła Daniela.

— Dobrze — szepnął. — Obiecuję, ale lepiej, żeby nie wchodził mi w drogę.

Pocałowali się i Elizabeth poczuła smak jego łez.

\* \* \*

Wychodziła na pole przez kilka następnych nocy, chociaż nie spodziewała się go więcej zobaczyć na szczycie Knockameala. W końcu przestała. Nie widywała go także w kaplicy w Eyeries, dokąd towarzyszyła dziewczynkom na mszę w każdą niedzielę.

W ciągu następnego miesiąca spotkała go zaledwie dwa razy: raz w Castletownbere, kiedy zawiozła Johannę na wizytę u chirurga. Szła właśnie w stronę sklepu spożywczego McCarthy'ego, kiedy zobaczyła Daniela w towarzystwie dwóch innych mężczyzn w strojach robotników.

Przez chwilę wahała się, czy na niego nie poczekać, ale na jej widok odwrócił się na pięcie i szybko wszedł do pubu O'Donoghue. Wobec tak jawnego afrontu Elizabeth poczerwieniała i prędko ruszyła do sklepu, popychając Johannę przed sobą.

Innym razem, w sobotnie popołudnie, pojechała z Tilly do Eyeries, żeby oddać buty do szewca i po prostu wpadła na Daniela wychodzącego z warsztatu ciesielskiego.

— Przepraszam — powiedziała odruchowo.

— Dzień dobry pani.

Twarz Daniela pozostała bez wyrazu. Na pewno dostrzegł ją wcześniej i zdążył się przygotować. Nosił teraz czapkę, podobnie jak inni robotnicy z zamku Castleclough. Przytknął palce do daszka i odszedł. Mimo luźnego ubrania widać było, że stracił na wadze.

Elizabeth szukała w sobie impulsu, który kazałby jej biec, wskoczyć za nim do przyczepy, którą odwiązywał i powiedzieć, że bez względu na konsekwencje pójdzie do Mossiego i zerwie umowę. Zamiast tego wzięła Tilly pod ramię i ignorując spojrzenia gapiów, których pełno zebrało się w wąskiej uliczce, poprowadziła ją szybko w przeciwnym kierunku.

— Biedny chłopiec — podsumowała Tilly.

— Przecież robię, co mogę, Tilly! — obruszyła się Elizabeth zgrzytając zębami. — Dlaczego mnie nikt nie pożałuje?

— Możesz temu zaradzić — odparowała Tilly. — Nie mówię, że ty i Danny podobacie mi się jako para, ale z pewnością nie pochwalam twego uporu co do Mossiego. Pytałaś swego ojca, co sądzi o tej umowie? Pewnie nie jest nawet warta papieru, na którym ją spisano.

— Nie pytałam. I dosyć mam tego, że wszyscy wtykają nos w moje sprawy.

Elizabeth wsiadła do bryczki. Tilly wgramoliła się obok niej.

— Przepraszam.

— Widzisz, nie złość się na ciebie, tylko na siebie samą.

Co się dzieje? Spotkanie z Danielem nie wywołało w jej ciele żadnej reakcji, co stałoby się jeszcze niecały miesiąc temu. Czy tak bardzo pragnęła się chronić, że jej uczucia zamarły?

— Chodzi o wszystko razem. Już sama nie wiem, co czuję! — zawołała.

Tilly zacisnęła usta i włożyła zakupy pod siedzenie. Cmoknęła na swego perszerona, wyjechała z rzędu zaparkowanych pojazdów i wprawna ręką skierowała go na drogę do domu, w stronę dłuższej części litery L, której kształt przybrało miasteczko Eyerias, wznoszące się nad samym morzem, w jednej z najpiękniejszych części półwyspu.

Elizabeth przytrzymała się siedzenia, kiedy wóz podskakiwał na wybojach.

— Słuchaj — zaczęła Tilly, kiedy koń zwolnił wspinając się pod strome zbocze. — Kazałaś mi wprawdzie pilnować swego nosa i pewnie powinnam tak zrobić, ale wprowadziłaś mnie w swoje sekrety i zależy mi na tobie. Dużo o tym wszystkim myślałam, więc posłuchaj, co myślę.

Elizabeth wiedziała, że to, co usłyszy nie sprawi jej przyjemności, ale Tilly miała rację. Poza tym: należało jej się.

— Nie mogę cię powstrzymać. Mów.

— Sądzę, że już zgasła gwiazda Carriga. Gdyby było inaczej, dawno poszłabyś do ojca i wysłałbyście Mossiego do diabła. Jesteś gorącą kobietą, Lizzie, ale po tylu przejściach wstydzisz się przyznać, że to, co brałaś za prawdziwą miłość to tylko fizyczne pożądanie. Świadomie czy nie, używasz Mossiego jako wymówki.

Tilly ściągnęła konia i zjechała trochę na pobocze, żeby przepuścić wóz z sianem.

— Dzień dobry, Eoin! — zawołała do mężczyzny prowadzącego osiołka.

— Piękny dzień! — odparł, uderzeniem witki wprawiając zwierzę w galop.

Teraz Elizabeth nienawidziła Tilly równie mocno jak Mossiego.

— Wybacz, że nie owijam w bawełnę, ale sama jakoś nie zadajesz sobie pytania: czemu zwyczajnie nie każesz się Mossiemu odpierniczyć?

Już po raz drugi na Béara Elizabeth usłyszała z ust kobiety przekleństwo, tak zwany żołnierski język, pozostałość po armii brytyjskiej. Niechęć do przyjaciółki ustąpiła. Elizabeth pojęła, że tak naprawdę przyczyną jej złości jest nazywanie rzeczy po imieniu. Tilly miała rację. Idąc za podszeptami pożądania, Elizabeth nadawała swoim przeżyciom nie istniejące znaczenie, oszukując samą siebie i zagłuszając wątpliwości co do tego związku. Ot choćby to, czy Daniel rzeczywiście nadawałby się na ojczyma jej dzieci.

— Wybaczysz mi, Tilly?

— Niby co? To twoje życie, dziewczyno, nie szkodzisz nikomu oprócz siebie.

Tilly przepuściła następny pojazd, po czym popędziła konia batem. Wyboje uniemożliwiły dalszą rozmowę, co Elizabeth przyjęła z prawdziwą ulgą.

Dzień był suchy i wietrzny. Z lewej strony na szarych wodach zatoki setki małych spienionych fal ścigały się pod wiatr, uderzając w burty kutrów. Po lekturze „Rebeki” wypalone szczątki posterunku Straży Nadbrzeżnej, widoczne zza zabudowań portu w Ballycrovane, przypominały Elizabeth ruiny Manderley. Dziś jednak nawet nie rzuciła na nie okiem. Przytłoczył ją ogrom własnych wad.

\* \* \*

Przez następny miesiąc dała sobie dużo swobody. Gdy za dnia nawiedzało ją poczucie winy i wstydu, nie załamywała się, ale oddawała wzmożonej aktywności. W nocy często czuła tęsknotę za Danielem, ale to nie wpływało na jej poglądy i postanowienia. Z wolna oswoiła się z myślą, że romans dobiegł końca.

Przynajmniej nie trwało to sześć lat, jak z Gallaherem — pomyślała.

Może w końcu dojrzała? Owszem, cieszyła się z tego, co przypadło jej w udziale, ale postanowiła, że już nigdy więcej nie pozwoli pożądanemu kierować swoim życiem.

Po kilku burzliwych miesiącach osiągnęła wreszcie równowagę. Przy pomocy Mary prace domowe szły równie gładko jak kolejka Franceya. Nigdy dotąd nie pachniało tu taką czystością, a dziewczęta jeszcze nie chodziły do szkoły z równie schludnymi, błyszczącymi warkoczami, równiutko poliniowanymi zeszytami i w pięknie wyprasowanych bluzkach. Nawet Francey i Johanna podporządkowali się ładowi Mary i niezależnie od pogody zawsze zdążali na czas. Po zmywaniu i porannych porządkach Mary i Elizabeth, jak stare kumoszki, siadały nad parującymi filiżankami z najmniej odpychającym napojem z przyznawanych racji. Elizabeth zaczęła z niecierpliwością oczekiwać spokojnych wieczorów, kiedy Mary wyprawiła już Abigail do łóżeczka, a reszta dzieci odrabiała przy stole lekcje, przy świetle dwóch naftowych lamp.

Często przerywała przygotowanie karmy dla kur albo mieszanie ciasta, żeby popatrzeć ukradkiem na jedną jasną i trzy ciemne głowy pochylone nad książkami.

Francey i Johanna siedzieli koło siebie i cały czas się naradzali. Czasem Francey brał siostrę za rękę i pomagał jej kreślić koślawe litery. Leworęczna Goretti siedziała na końcu stołu. Nauczycielka próbowała zmusić ją do pisania prawą ręką, co skończyło się na tym, że w szkole używała prawej, w domu zaś lewej. Margaret musiała mieć przed sobą sporą powierzchnię stołu: nie umiała zabrać się do pracy, zanim ołówki, cyrkiel, linijka, pióro i kałamarz nie stały przed nią w równym rzędzie.

Emocje Elizabeth wciąż dawały o sobie znać, ale w takie wieczory, kiedy deszcz walił o drzwi i okna, a ciepło przytulnej kuchni stawało się prawie namacalne, nawiedzało ją zaskakująco słodkie poczucie zadowolenia. Kiedyś doszła do wniosku, że ustatkowane życie zaczyna jej się podobać, i uznała to za oznakę starzenia się.

Któregoś poniedziałkowego popołudnia, nalewając sobie i Mary słabą, niemal pozbawioną koloru herbatę, pomyślała, że nawet Mossie okazywał się ostatnio dziwnie łaskawy, nie pokazując jej się na oczy od przynajmniej dwóch tygodni.

Musiała uczciwie przyznać, że z prawdziwą przyjemnością patrzyła na swoje ziemie z równo przystrzyżonymi żywopłotami, naciągniętymi siatkami i grządkami warzyw, które Mossie posadził. Wszyscy w parafii uważali Neeleya za dobrego farmera, ale Mossie bezsprzecznie go

przewyższał. Miał wrodzone zdolności. Elizabeth niejednokrotnie przypominała sobie stwierdzenie ciotki Bel, że u Mossiego wszystko rośnie jak na drożdżach.

Tak czy inaczej, z każdym dniem wracały jej siły.

— Zdecydowałam się — powiedziała do Mary pod koniec października. — W następną sobotę pojedziemy do Cork. Odwiedzimy Kitty, a ty pójdziesz do fryzjera i kupimy ci przyzwoite ubranie, należy ci się. Co ty na to?

Mary pojaśniała. Wzięła na kolana Abigail i dała jej kawałek keksu.

— Cudownie, mamusiu. Ale kto się wszystkim zajmie?

— Tilly — odparła Elizabeth stanowczo. — Zawsze się ofiarowała.

Następne pół godziny spędziły na robieniu planów.

\* \* \*

Elizabeth znów postanowiła nie zważać na koszty i wynająć taksówkę. Kierowca zajechał już o szóstej rano, bo Elizabeth chciała mieć jak najwięcej czasu w mieście. Niezawodna Tilly przybyła tuż za samochodem.

— Witaj — szepnęła Elizabeth, nie chcąc budzić dzieci.

— Jedźcie już — odparła ziewając Tilly. — I nie wykup całej ulicy Patryka!

Motor grzmiał na ciemnym podwórku.

— Wygląda zupełnie jak w Boże Narodzenie, prawda? — spytała Mary z czołem przyciśniętym do szyby

Była zbyt podniecona, żeby zasnąć.

Elizabeth wiedziała, o co jej chodzi. Odkąd zamieszkała na Béara, przestała z pietyzmem podchodzić do religii, lecz mimo to wyprawa na mszę wczesnym rankiem pierwszego dnia Bożego Narodzenia miała dla niej posmak rytualnego mistycyzmu.

— Rzeczywiście! Sama nie mogę się już doczekać fryzjera. I zakupów. Żadnych wyprzedaj! Idziemy prosto do Casha.

Mary zachichotała.

— Oj, mamusiu! Biedny tata, gdybyż on widział, jak trwonimy jego pieniądze.

Mary wspomniała o ojcu po raz pierwszy, ale jej słowa zabrzmiały całkiem naturalnie. Obie uśmiechnęły się porozumiewawczo.

W nocy Elizabeth nie spała zbyt dobrze, bojąc się, że nie usłyszy budzika. Teraz przyłożyła głowę do skórzanego oparcia i szybko zasnęła, chociaż samochód trząsał, a silnik wył na górzystych drogach. Obudziła się dopiero za Bantry. Także Mary spała w swoim kącie, z rękami zwiniętymi jak łapki wiewiórki. Miały przed sobą długi dzień. Umówiły się, że po wizycie u fryzjera zadzwonią do domu w Blackrock, po czym pójdą z Corinne i St Johnem na obiad do Oyster. Później zaplanowano zakupy i wizytę u Kathleen.

Rankiem dojechali do centrum Cork i odtąd dzień leciał im jak na skrzydłach. Wbrew obawom Elizabeth nawet obiad w Oyster wypadł nadzwyczaj dobrze. Corinne, chłodna jak zawsze, starała się być miła i rozmowa nie zesłała na żadne nieprzyjemne tematy.

Po pierwszym onieśmieleniu, Mary poczuła się zupełnie swobodnie i bez skrępowania gawędziła z dziadkami. Przez szesnaście lat nosiła włosy proste jak druty i potrzebowała trochę czasu, żeby przyzwyczać się do nowej, krótszej fryzury z lekką ondulacją nad uszami i na skroniach. Jej twarz złagodniała i straciła dziecinny wygląd.

W Cashu poszły na całego. Corinne wybrała się z nimi.

— Żeby służyć ci radą, Beth — wyjaśniała. — Bóg jeden wie, co byś kupiła, gdyby pozostawić cię samej sobie. Mary na pewno nie ma nic przeciw temu, prawda?

Mary przytaknęła ochoczo; cała wycieczka wydawała jej się wyprawą do krainy czarów. Dobrze się stało, bo w środku zakupów zapal Elizabeth wygasł. Kupowanie zawsze cieszyło ją bardziej w teorii niż w praktyce, poprosiła więc matkę, żeby została z Mary, podczas gdy ona pójdzie się trochę przejść. Obiecała, że wróci za pół godziny, żeby zapłacić.

— Za godzinę — poleciła Corinne.

Uciekły ze sklepu Elizabeth znalazła się na ulicy Patryka. Wszystko wydawało się zupełnie inne od ostatniego razu, kiedy Francey leżał w szpitalu. Wówczas przemierzała długie bulwary ogarnięta przemożną wściekłością na męża, teraz zaś nawet gwar sprawiał jej przyjemność.

Nawoływania małych gazeciarzy, pozdrowienia przechodniów, dzwonki rowerów przeciskających się między autobusami, odgłos kopyt i klaksony paru prywatnych samochodów lawirujących wśród tłumu, który nie respektował żadnych przepisów — po dzwoniącej w uszach ciszy Béara ten zgiełk wydał jej się nagle niezwykle podniecający i godzina minęła jak z bicia trząsał.

Kiedy wróciła do sklepu, Mary i Corinne czekały na nią cierpliwie przy kasie, a na podłodze wokół nich piętrzyły się pudełka i paczki.

— A, jesteś nareszcie. Już chcieliśmy położyć na tobie krzyżyk — powiedziała Corinne mrugając do wnuczki.

Po raz nie wiadomo który Elizabeth zauważyła, że zakupy świetnie wpływają na samopoczucie matki.

— Powiedziałaś „za godzinę” — odrzekła z uśmiechem, po czym wyjęła z torebki książeczkę czekową. — Jakie poniosłam straty?

— Wszystko już załatwione.

— Mamo! — Elizabeth była przerażona. — Naprawdę wystarczy nam pieniędzy. Tata...

— Schowaj to — nalegała Corinne, dotykając dłonią w rękawiczce ręki Elizabeth. — Pozwól sobie pomóc, bardzo cię proszę. — Nie dała do zrozumienia, że chodzi o coś więcej niż kupienie ubrań dla Mary.

— Dziękuję, mamo — odparta Elizabeth z prostotą.

Ze zdumieniem zobaczyła łzy w oczach matki, które jednak zniknęły równie szybko, jak się pojawiły.

— Nie ma za co — Corinne opuściła rękę i odwróciła się szybko, żeby podnieść kilka pakunków. — Zanieśmy to teraz do taksówki.

Ruszyła ku wyjściu, a Elizabeth pojęła wreszcie: obecność matki nie była przypadkiem, lecz zadośćuczynieniem.

— Podobają ci się nabytki, Mary? — spytała, obejmując dziewczynkę ramieniem.

— Za dużo. Nigdy nie uda mi się tego wszystkiego nosić, ale upierała się...

— Oczywiście. Może sobie na to pozwolić, więc się nie martw.

Pożegnały Corinne i ruszyły do szkoły świętej Brygidy. Mary siedziała sztywno, patrząc ponad ramieniem kierowcy.

— Mam nadzieję, że Kitty nie martwi się naszym spóźnieniem.

— Siostry wiedzą, że przyjeżdżamy z daleka. Wszystko będzie w porządku.

Wprowadzono je do tej samej rozmównicy, w której siedem tygodni temu Elizabeth rozstała się z Kathleen. Pomieszczenie wydawało się jeszcze czystsze i bardziej nieskazitelne. Elizabeth złapała się na tym, że układa równo z krawędzią stołu nowiutką teczkę rysunkową, prezent dla Kathleen.

Po paru minutach rozległo się pukanie.

Mary pobiegła otworzyć, ale powitalny uśmiech zamarł jej na ustach. Ugięła się pod ciężarem Kathleen, która rzuciła się jej w ramiona, wybuchając płaczem.

Mary instynktownie utuliła siostrę, tak jak zwykła to robić z małą Abigail.

— No już, już. Co się stało? Już dobrze...

Ale jej wysiłki spowodowały tylko nowy atak rozpacz. Rzuciła Elizabeth pytające spojrzenie. Elizabeth wstała, żeby zamknąć drzwi. Nawet biorąc pod uwagę obecny płacz i melodramatyczne usposobienie,

Kathleen wyglądała bardzo źle. Schudła, miała zapadniętą i bladą twarzyczkę, a włosy, choć świeżo umyte, straciły blask i zwisały w smętnych strąkach. Najwyraźniej nie była tu szczęśliwa. Jej cotygodniowe listy, sztywne i przechodzące przez cenzurę siostr, nigdy o tym nie wspominały.

Z drugiej strony: to dopiero siedem tygodni, za wcześnie, żeby coś stanowczo stwierdzać.

Wydawało się, że wśród łkań Kathleen chce coś powiedzieć. Elizabeth spróbowała odsunąć ją od Mary, ale Kathleen wczepiła się w siostrę jak małe zwierzątko. Wreszcie udało się ją zaprowadzić na kanapę.

— Proszę. — Elizabeth wręczyła jej swoją chustkę. — Wytrzymaj nos i powiedz, co się stało.

Całe wieki trwało, zanim Kathleen doszła do siebie. Kilka razy wydmuchała nos, łkanie przeszło w czkawkę. Wreszcie, ściskając palcami chusteczkę wymamrotała, że wszystko w porządku.

Drugą chusteczką Elizabeth wytarła jej twarz, a Mary wzięła ją za rękę.

— Co się dzieje, kochanie? — spytała Elizabeth odgarniając jej włosy z buzi. — Powiedz nam, pomożemy ci jakoś.

— Ja... ja... — znów zaczęła czkać jak małe dziecko.

— W porządku... wszystko w swoim czasie.

Czekała cierpliwie, ale Kathleen nie mogła z siebie wydusić ani słowa. Za każdą próbą od nowa zanosila się płaczem.

— Może powiesz Mary? Może wolisz, żebym tego nie słyszała? Chcesz, żebym wyszła na parę minut?

Elizabeth podniosła głos, żeby Kathleen ją usłyszała. Teraz przestraszyła się już nie na żarty, że chodzi o coś dużo poważniejszego niż tęsknota za domem.

Ze ściągniętą twarzą Kathleen zdobyła się na wysiłek. Popatrzyła na nie zapuchniętymi oczami.

— Ja... chyba jestem w ciąży.

Elizabeth najpierw miała ochotę ją uderzyć, potem zrobiło jej się strasznie żal, wreszcie ogarnął ją dziki gniew na George'a Gallahera.

Jasne, że on. Któż by inny?

Chociaż Hazel zapewniała w listach, że pilnowała Kathleen jak oka w głowie i zaklinała, że nie zaszło między nimi nic niestosownego. Chyba że stało się to jeszcze wcześniej...

Najwyższym wysiłkiem woli zdobyła się na opanowany ton:

— To George Gallaher, prawda? — zapytała, usiłując trzymać gniew na wodzy.

Kathleen nie mogła mówić. Wlepiła w macochę swoje biedne zapłakane oczy i nawet kamień wzruszyłby się na ich widok. Elizabeth objęła ją.

— Już dobrze — szepnęła. — Nawet jeśli rzeczywiście jesteś w ciąży, to jeszcze nie koniec świata. Ludzie z tego wychodzą, popatrz na mnie.

Chciała w ten sposób podtrzymać ją na duchu, ale nie bardzo jej wyszło. Pogłaskała ją po głowie.

— Biedactwo, przez co ty musiałaś przejść...

Kołysała Kathleen w ramionach, a myśli galopowały jedna za drugą. Niezależnie od okoliczności, Kathleen nie miała jeszcze szesnastu lat. Gallaher może pójść za to do więzienia na długie lata. Postanowiła tego dopilnować. Właściwie, gdyby nie rozpacz Kathleen, natychmiast zatelefonowałyby na posterunek.

— Już dobrze — mówiła cichutko, myśląc, że jeśli tylko miałyby przy sobie tasak, George Gallaher nigdy więcej nie mógłby uwodzić dziewic. Nigdy.

Spostrzegła, że Mary wygląda na równie nieszczęśliwą jak jej siostra. Po raz kolejny pokierowała się instynktem.

— Kathleen, posłuchaj. Mam plan — nie miała go jeszcze, ale żywiła nadzieję, że odpowiednie słowa przyjdą same, jeśli tylko uda jej się skupić na sobie uwagę dziewczyny.

— Kitty! — zawołała, mając nadzieję, że znieawidzone zdrobnienie ułatwi jej zadanie.

Zadziało.

— Nie nazywaj mnie Ki... — Kathleen odruchowo podniosła głowę i napotkała spojrzenie macochy. — Przepraszam.

— Mam plan. Nie chcesz go posłuchać? Weź się w garść.

— Chcę umrzeć!

— Jasne, ale najpierw mnie posłuchaj. Jak nie, to ja i Mary zostawimy cię i po prostu pojedziemy do domu. Inni też wymagają opieki.

Spokojny ton zrobił na Kathleen wrażenie.

— Przepraszam, mamusiu.

— W porządku. Teraz trzeba znaleźć wyjście.

— Co wymyśliłaś?

— Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, czy rzeczywiście jesteś w ciąży.

— Jestem, wiem, że jestem. — Kathleen znów zbierało się na płacz.

— Dobrze, dobrze, najpierw musi to potwierdzić lekarz. Po drugie — ciągnęła pospiesznie, chcąc uniknąć protestów — wracasz z nami do domu. Zaraz, natychmiast.

— Mogę? Zabierzecie mnie do domu? — dopytywała się Kathleen z niedowierzaniem.

— A niby dlaczego nie? — spytała Elizabeth i dopiero teraz dotarło do niej, czego tak naprawdę dotyczyły obawy pasierbicy. — Och, Kitty, czy chociaż przez sekundę sądziłaś, że cię opuszczę? Ja?

Jakże źle musiała myśleć o niej jako o macosze. Kathleen po raz pierwszy nie oburzyła się na zdrobnienie.

— Byłam zupełnie zdezorientowana... — szepnęła.

— Czy to najlepsze rozwiązanie? — wtrąciła Mary, o której obecności niemal zapomniano.

— Co masz na myśli?

Mary spuściła zapłakaną buzię.

— Rodzina i tak dalej...

— Chodzi ci o tak zwaną niesławę?

Mary niepewnie potaknęła, a Elizabeth poczuła, że gniew wymyka jej się spod kontroli.

— Posłuchaj, Mary Scollard — zaczęła Elizabeth z naciskiem — i ty też Kathleen. Ta ciąża, jeśli to rzeczywiście ciąża, jest bardzo niefortunna i nic poza tym. Zaszedł przykry wypadek, którego konsekwencji nie da się już uniknąć. Zrozumiałyście?

Dziewczynki patrzyły na nią w milczeniu. Elizabeth stwierdziła, że przynajmniej udało jej się powstrzymać histerię Kathleen.

— Nadal jesteś wspaniałą dziewczyną i fakt, że spotkałaś takiego... — zająknęła się, nie mogąc wymyślić dość mocnego określenia na George'a Gallahera.

— A ty, Mary, pamiętaj, że to twoja siostra. Jesteśmy jedną rodziną. Trzymając się razem, damy sobie radę. Jasne?

Jej złość nie ograniczała się już tylko do Gallahera, lecz obejmowała wszystkich ludzi, którzy odwrócili się od własnych córek. Problem Kathleen odświeżył starą ranę; wściekała się na siebie, rodziców, Mossiego i całą resztę. Nie mogła usiedzieć na miejscu.

— Żeby ich wszystkich zaraza wytępiła!

— Mamusiu!

Dziewczynki nigdy nie słyszały przekleństwa z jej ust. Roztrzęsiona Elizabeth spojrzała na ich twarzyczki. Tilly miała rację, użycie właściwego słowa przynosi ulgę.

— Niech ich zaraza! — powtórzyła łagodniej. — Kto ze Scollardami wojuje, ten od nich zginie, dobrze mówię, dziewczęta?



## ROZDZIAŁ 23

Nastrój Elizabeth nie zmienił się podczas rozmowy z siostrą przełożoną i powrotu do domu. Przez chwilę miała ochotę zadzwonić do rodziców, ale dała spokój. Nie wszystko naraz.

Kierowca taksówki nie okazał zdziwienia dodatkową pasażerką i ilością bagażu. Tilly jednak nie ukrywała zdumienia.

— Kitty! — zawołała wstając z krzesła, kiedy weszły do domu.

W odpowiedzi Kathleen pobiegła do sypialni. Nie odzywała się właściwie przez całą drogę, zresztą nikt nie był skory do rozmowy, a za Agriole zasnęła i spała aż do wjazdu na podwórze.

Elizabeth przyłożyła palec do ust.

— Później ci powiem — po czym zwróciła się do Mary: — Na pewno też jesteś wykończona. Idź do łóżka. Jutro rano też się nie zrywaj, ja się wszystkim zajmę. Wybrniemy, zobaczysz.

Posłała jej krzepiący uśmiech. Kierowca przepchnął się przez drzwi niosąc walizkę Kathleen i resztę pakunków od Woolwortha i Casha.

— Gdzie mam to położyć, psze pani?

Elizabeth wskazała na środek kuchni; już zdążyła zapomnieć o zakupach. Wydawało się, że tych parę cudownych godzin wydarzyło się w innej epoce.

Biedna Mary — pomyślała. — Ależ jej się trafiło.

W tym momencie przypomniała sobie także o bloku rysunkowym dla Kathleen, który bez wątpienia leżał wciąż na stole w rozmównicy.

Dała kierowcy zapłatę i napiwek, po czym popędziła Mary do łóżka.

— Dobrze, mamusiu. Dobranoc. Dobranoc, pani Harrington.

Miała tak żalną minę, że Elizabeth zarzuciła jej rękę na szyję.

— Rozchmurz się, w świetle dnia nic nie wyda ci się już takie straszne, obiecuję.

Mary odeszła nie rzucając nawet okiem na nabytki.

— Co się dzieje? — spytała Tilly, która od ich przybycia zastygła bez ruchu. — Dlaczego Kathleen wróciła?

— To długa historia. Ty pierwsza się o tym dowiesz.

Elizabeth wzięła głęboki oddech. Rewelacje, jakimi przez ostatnich parę lat zaskakiwała przyjaciółkę, nadwerężyłyby nawet cierpliwość psa bernardyna.

— Chyba jest w ciąży.

— Tylko nie to!

Tilly zwała się na krzesło.

— Nie mam jeszcze stuprocentowej pewności, nie byliśmy u lekarza, ale Kathleen nie jest głupia...

— Z kim?

— Zgadnij!

Z sardonicznej miny Elizabeth Tilly domyśliła się prawdy.

— Jezus Maria, Józefie święty! I co z nią teraz zrobisz?

Pytanie zawierało podwójne dno. Przyjrzała się przyjaciółce uważnie, wiele zależało od jej reakcji.

— A co mogę zrobić? — spytała retorycznie. — Jeszcze jedna gęba do wyżywienia.

— Aha, rozumiem. No cóż, Bóg łaskaw...

Przed wyjściem obiecała zawieźć następnego ranka Elizabeth i Kathleen do lekarza.

\* \* \*

Elizabeth nie spała przez większą część nocy. Dobrze słyszała wahanie w głosie Tilly na wieść o tym, że zamierza zatrzymać Kathleen i jej dziecko w domu. Zdała sobie sprawę, że stanęła przed trudnym zadaniem.

Wyprawiwszy dzieci do szkoły, postanowiła, że jedynym wyjściem jest stawić czoło sytuacji. I to szybko. Za parę godzin rozniesie się, że Kathleen Scollard, aktorka i uczennica szkoły klasztornej, nieoczekiwanie wróciła do domu. Nie potrzeba geniusza, żeby domyślić się, w czym rzecz.

Wizyta u doktora przebiegła sprawnie: Kathleen, choć blada i przestraszona, nie stawiała oporu, lekarz zaś nie poczynił żadnych komentarzy na temat nieszczęścia, które spadło na Scollardów. Zaoferował jedynie swoje usługi w „odpowiednim czasie”. Elizabeth podziękowała mu i odprowadziła Kathleen do Tilly czekającej w powozie.

Nie wiało. Siąpił uparty deszcz, charakterystyczny dla listopada. Elizabeth zawinięta w nieprzemakalny płaszcz schroniła się w drzwiach sklepu McCarthyh.

— Zaczekasz jeszcze chwilkę? — zapytała. — Mam do załatwienia jedną sprawę...

Tilly skinęła głową.

— I tak miałam wstąpić do Hanleya po nowe ścierki. Chodź, Kitty.

Elizabeth udała się wprost do kanonika. Jedną z decyzji, które podjęła w środku nocy, dotyczyła tego, żeby nie czekać z niepokojem na nieuniknioną wizytę, kiedy ksiądz dowie się o ciąży. Należało przejąć inicjatywę.

Szła szybko mostem nad zatoką po wschodniej stronie miasta. Żeby pokryć zmieszanie, przywołała na pomoc cały swój gniew na pozbawioną miłosierdzia moralność seksualną, przez którą sama znalazła się na Béara.

Plebania mieściła się w okazałym, dwupiętrowym domu z pięknym widokiem na port. Elizabeth zacisnęła usta i głośno zapukała do drzwi. Nie pozwolił żadnemu ze swych dzieci cierpieć takiego losu, jaki jej przypadł w udziale.

Pięć minut później wciąż tkwiła w poczekalni. Nie mogła usiedzieć na miejscu, zaczęła więc przemierzać lśniące linoleum przed nie używanym kominkiem. Specjalnie omijała wzrokiem pełne wyrzutu spojrzenie Jezusa na obrazie Najświętszego Serca, jedynej ozdoby w pomieszczeniu. Z kolei widok kominka przyniósł jej trochę ulgi: do zwyczaju należało, że przy wizytach wierni obdarowują księży opalem, przynajmniej kawałkiem torfu. Elizabeth cieszyła się, że nic nie przyniosła.

Doprowadziła się do takiego stanu, że gdyby kanonik przywitał ją z uśmiechem, naplułaby mu w twarz. Nie uśmiechał się jednak ani nawet nie wszedł do poczekalni. Stał w drzwiach trzymając klamkę, jakby tylko zajrzał w bieg.

— Jestem niebywale zajęty, pani Scollard — zaznaczył. W czym mogę pomóc?

Jego obcesowość była jej bardzo na rękę.

— Nie sądzę, aby mógł mi ksiądz pomóc. Raczej jest coś, o czym chciałabym księdza powiadomić.

— Tak? — spytał nie wypuszczając klamki.

— Czy znalazłby ksiądz minutę? To nie zajmie więcej.

Westchnął i wreszcie wszedł do pokoju, jednak ani nie usiadł, ani nie zamknął drzwi.

— O co chodzi? — indagował, pobrząkując kluczami w kieszeni sutanny.

Elizabeth stanęła przed nim, opierając się na poręczy mahoniowego krzesła. Już wcześniej postanowiła nie używać określenia „w kłopotliwej sytuacji”, żeby nie dać księdzu psychologicznej furtki. „W kłopotliwej sytuacji” aż prosiło się o pomoc i rozwiązania.

— Moja pasierbica... jedna z nich... zaszła w ciążę.

Kanonik zmierzył ją spojrzeniem, ale go przetrzymała.

— Czemu mi pani o tym mówi? Szuka pani u mnie pomocy?

— Nie, proszę księdza, ale bardzo dziękuję za propozycję — odparła, choć oboje dobrze wiedzieli, że żadna propozycja nie miała miejsca.

— Wobec tego o co chodzi?

— Przyszłam, ponieważ wiem dobrze, że słysząc o tym (co zapewne niebawem nastąpi), pragnąłby nam ksiądz pomóc — podkreśliła nieznacznie ostatnie słowo — wobec czego chciałam zapewnić, że damy sobie radę. Tak czy inaczej: dziękuję.

Zdawała sobie sprawę, że nie brzmi to elegancko, ale czuła, że dopięła swego. Brev kanonika drgnęła.

— Rozumiem.

— Pomyślałam, że najlepiej, jeśli sama dam znać.

— No cóż, dziękuję — odparł sucho.

Autokrata, ale z pewnością nie głupiec — oceniła Elizabeth.

— Nie chcę zajmować więcej czasu. Jeszcze raz ogromnie dziękuję.

Nie czekając na odpowiedź, opuściła plebanię. Wspominając sposób, w jaki omotał ją ksiądz sprowadzony przez rodziców, czuła teraz drobną satysfakcję.

Jeden zero dla mnie — pomyślała.

Poczucie triumfu opuściło ją jednak, kiedy dojrzała żalosalną postać Kathleen.

Tak, wygrała może tę bitwę, ale przed nią jeszcze długa wojna.

\* \* \*

Tego dnia zdecydowała także, że nie mogą bez końca wykorzystywać Harringtonów w kwestii transportu. Poza tym kupno odciągnie choć trochę uwagę rodziny od zaistniałej sytuacji. Przy herbacie oznajmiła, że zamierza poprosić Micka Harringtona o pomoc w wynalezieniu przyzwoitego konia i powozu, czym wywołała żywe zainteresowanie. Nawet Kathleen podniosła głowę znad nie tkniętego posiłku.

— Może poprosić też Mossiego Sheehana? — zasugerowała Margaret.

— Niby po co? — spytała Elizabeth ostro.

— Tak sobie, mamusiu...

— No, może i zwrócę się do niego. — Elizabeth wysiliła się na lekki ton. — Rozmawiasz z nim czasem? — zapytała nalewając kubek mleka dla Abigail.

— Ciągle go spotykam i rozmawiam, oczywiście, przecież inaczej byłoby niegrzecznie. Poza tym go lubię, jest bardzo miły.

— Jakieś nowiny? — ciągnęła Elizabeth, świadoma, że Kathleen nastawiła czujnie uszu.

— Jakie nowiny? Ja mu po prostu mówię dzień dobry. Mogę go zapytać, jak go znowu spotkam?

— O co?

— Mamusiu! O konia!

— A tak... — odparła z niechęcią.

Przysłuchując się rozmowie, postanowiła poprosić Micka o pośpiech. Nie doceniła jednak Margaret.

Następnego popołudnia, kiedy na spółkę z Mary ubijały w szopie masło, Elizabeth usłyszała, jak Mossie woła ją od kuchennych drzwi. Wiedziała, że Kathleen nie otworzy — dziewczyna

przesiadwała samotnie w sypialni i Elizabeth uznała, że lepiej zostawić ją w spokoju — więc wyszła na podwórze.

— Słyszałem, że potrzebujesz kucyka i wózka? — spytał opierając się o drzwi.

— Właściwie konia i powozu... — z niewiadomych przyczyn zirytowało ją, że Mossie zdobył nad nią przewagę. — Czyżbyś miał na zbyciu? — dodała chłodno.

— Wiem, gdzie znaleźć ładnego za przystępną cenę.

— Dziękuję, wezmę to pod uwagę. Mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

Odwróciła się trochę, ale Mossie nie zważał na nieuprzejmość.

— Przyprowadzić go jutro rano? Maggie mówi, że ci spieszno...

— Dziękuję, ale prosiłam Micka, żeby czegoś dla mnie poszukał. Jeśli się nie uda, skontaktuję się z tobą.

— Mick mi go polecił — odpowiedział, zanim zdążyła uciec.

— Jutro mi nie odpowiada — skłamała szybko, żeby odzyskać grunt pod nogami. Strasznie ją irytował. — Poczekajmy z tym do soboty. Decyzję podejmie cała rodzina.

Mossie odsunął się od drzwi.

— Znosi się na deszcz — zauważył. — Zatem do zobaczenia w sobotę.

Elizabeth wróciła do szopy i z wściekłością wyrwała kierznię z rąk Mary. Zabrała się do pracy z taką furią, że masło stwardniało na kamień.

W sobotę podniecenie sięgnęło zenitu. Francey wydeptał ścieżkę między domem, bramą i szczytem wzgórza; koniecznie chciał jako pierwszy zobaczyć nowy nabytek.

Scollardowie nigdy dotąd nie doświadczyli luksusu posiadania innego środka transportu niż dwa zabytkowe rowery i osiołek, przy pomocy którego Neeley zwoził torf. Patrząc na entuzjazm dzieci — nawet Mary i Kathleen dały się wciągnąć — Elizabeth, której zamożny ojciec nabył samochód jako jeden z pierwszych w Cork, po raz kolejny uświadomiła sobie, jak odmienne miała dzieciństwo. Nigdy nie wydawało jej się niczym nadzwyczajnym, że kiedy ona czy matka potrzebowały dokądś pojechać, ojciec wszędzie je zawoził, jeśli tylko nie zatrzymywały go akurat biurowe obowiązki. Nie interesowało jej nawet, czym jeździ i nie zwracała większej uwagi na zmieniane co jakiś czas pojazdy.

Wyszła na dwór słysząc krzyki Franceya. Chłopiec wdrapał się na szczyt obory i machał rękami. Wierna Johanna stała na dole.

— Franceyu, złaż natychmiast! Zabijesz się! — zawołała Elizabeth.

Nie musiała powtarzać. Zsunął się na skraj dachu ze sprawnością młodego szympansa i na mrozącą krew w żyłach sekundę zawisł na rękach, po czym puścił się i wylądował na ziemi, jakby w życiu nic innego nie robił. Nie czekając na matczyne wymówki wypadł przez bramę i popędził drogą na spotkanie Mossiego i nowego konia.

Dziewczynki także wybiegły z domu i zebrały się przy bramie. Elizabeth trzymała się z tyłu. Wiedziała, że złość na Mossiego nie ma sensu, w końcu tylko oddawał jej przysługę. Kolejną przysługę. Nienawidziła go za to. Denerwował ją także fakt, że wbrew jej woli wkupywał się w łaski dzieci.

Ze swego miejsca dojrzała, jak głowa Mossiego przesuwają się nad odartym z liści żywopłotem. Nie był sam. Obok podskakiwała rozpromieniona buzia Franceya. W tej chwili uczuciom Elizabeth niewiele brakowało do zazdrości. Jak Mossie śmiał tak swobodnie traktować jej syna? Miała szczerą ochotę odwołać całą transakcję.

Zrobiła parę kroków w stronę domu, kiedy spostrzegła, że czerwona na twarzy Kathleen czatuje w drzwiach kuchni. Przy zamieszaniu spowodowanym jej ciężą, Elizabeth zupełnie wyleciało z głowy, że dziewczyna wie o umowie. Teraz nie starczy już czasu, żeby kazać jej trzymać język za zębami.

Kawalkada skręciła w bramę.

Dziewczynki cofnęły się, żeby ich przepuścić, a kiedy koń zatrzymał się na środku podwórza, zaraz podeszły i zaczęły go głaskać po nosie i bokach. Żując uzdę, odrzucił głowę w tył i parskał z aprobatą.

Nawet Elizabeth, choć nie bardzo знаła się na koniach, musiała przyznać, że to piękny okaz. Smukły wałach był czarny jak kruk z wyjątkiem białej gwiazdki na czole i trzech skarpet, a jego zimowa sierść błyszczała w bladym świetle słońca.

— Nazywa się Śnieżna Kula — zawołał Francey.

— Niemożliwe! — wyrwało się Elizabeth, choć starała się nie okazywać zbytniego zainteresowania.

Mossie Sheehan zaśmiał się.

— Ależ skąd — zaprzeczył zsiadając z wozu. — Powiedziałem tak tylko chłopcu dla zabawy. Zeźlony Francey zeskoczył na ziemię i stanął przed Mossiem z rękami na biodrach.

— No to jak się nazywa? — dopytywał się.

— Piorun — odparł Mossie i zmierzwił mu włosy.

Ten gest dotknął Elizabeth do żywego.

— Naturalnie muszę zasięgnąć opinii na jego temat — zauważyła lodowato.

— Oczywiście, ale gwarantuję, że za tę cenę nie znajdziesz na Béara nic lepszego.

Pogłaskał konia po lśniącej szyi.

— Jest jeszcze trochę narowisty, ale szybko się usatkuje.

— Kto jest właścicielem?

— Ja. Kupiłem go przedwczoraj od wędrownego druciarza.

Elizabeth chciało się wyć. Z najwyższym wysiłkiem odwróciła się do dziewczynek skupionych wokół konia.

— Poszłaby któraś po Micka Harringtona?

Cisza.

— Margaret, słyszałaś?

— To niesprawiedliwe — zaprotestowała, ale wzrok macochy przywołał ją do porządku.

— A może pojedziemy wszyscy? — podsunął Francey.

— Tak, tak! — podjęły Johanna i Goretti.

— Dobrze, Mossie? — powtarzał Francey, ciągnąc sąsiada za rękaw.

— To zależy od waszej mamy.

— Nie! — ucięła Elizabeth, po czym dodała opanowanym głosem: — Koń nie należy do nas i nie wiadomo, czy możemy sobie na niego pozwolić. Pan Sheehan ma dość wygórowane ceny.

Nie zaszczycając Mossiego jednym spojrzeniem, obeszła powóz od drugiej strony. Był świeżo pomalowany pod kolor końskiej maści, na czarno, z jasnoczerwonymi kołami, dyszlem i pasami po bokach.

— Pociągnąłem go farbą wczoraj wieczorem — Mossie uprzedził jej słowa — więc uważaj na sukienkę, bo spód mógł jeszcze nie wyschnąć.

Zignorowała go, kontynuując to, co, miała nadzieję, przypominało fachowe oględziny. Nie miała pojęcia, czego szukać, kopnęła więc tylko drewniane koło, gdyż widziała kiedyś, jak ojciec sprawdza w ten sposób opony samochodu.

— Zgadza się, to jest koło — zauważył Mossie ironicznie.

Elizabeth miała szczerą ochotę rozbić mu to wszystko na głowie. Nie mogła go jednak wysłać do diabła, zanim wezwany Mick nie wypowie się na temat konia.

— Zawołajcie mnie, kiedy przyjdzie pan Harrington, muszę zajrzeć do pieca.

Weszła do domu, ale zatrzymała się tuż za drzwiami. Przy stole siedziała Kathleen z głową na rękach. Elizabeth podeszła i dotknęła jej ramienia.

— Nie chcesz go zobaczyć?

— Kogo?

Zaskoczona Kathleen miała tak rzewną minę, że gniew Elizabeth natychmiast opadł. Wkrótce jednak twarz dziewczyny skurczyła się i przybrała zwykły pogardliwy wyraz.

— Nowego konia — odpowiedziała ostrożnie.

— Nie interesuje mnie nic, co ma związek z tym facetem.

— Słuchaj, mamy ze sobą do pomówienia — podjęła Elizabeth, siadając obok.

— Nie ma o czym.

— Jest. Ty masz kłopot i ja w pewnym sensie też. Możemy sobie pomóc — ciągnęła z desperacją.

— Jak mogłaś to zrobić? — zawołała Kathleen uderzając dłońmi w stół.

— Co? Zakochać się... tak jak ty?

— To zupełnie...

— Co innego? A niby czemu? Bo mam więcej lat?

— Nie...

— Więc dlaczego?

— Wszystko przekręcasz, jak zwykle.

— Dlatego, że zakochałam się więcej niż raz?

— A co z moim ojcem?

Kathleen zakryła twarz dłońmi. Elizabeth zdawało się, że radosne głosy i stukot kopyt kpią z niej w żywe oczy. Wyciągnęła rękę i odważyła się dotknąć czubka głowy dziewczyny.

— Och, Kathleen...

— Więc?

Z początku chciała odrzucić pieśczętę, ale poddała się.

— Co z nim? — łkała. — Czy w ogóle go kochałaś? Chociaż przez chwilę?

— Biedactwo — powiedziała Elizabeth ze smutkiem. — Kochałam go, na ile tylko było mnie stać. Zawsze uważałam go za dobrego człowieka i wspaniałego tatusia. Musisz o tym pamiętać.

— Mimo że... twoje włosy...

— Tak — odparła stanowczo. — Chodź do mnie słonko.

Przytuliła Kathleen do piersi i pozwoliła jej płakać, ile dusza zapagnie. Usłyszała, że pasierbica mówi coś przez łzy.

— Co, kochanie?

Wyteżyła słuch i wydało jej się, że Kathleen powtarza: kochałam go, kochałam.

— Oczywiście, że go kochałaś. Twój tatuś...

— Nie! — zaprzeczyła Kathleen unosząc głowę. — George'a! Kocham go.

Znów ukryła się w ramionach Elizabeth. Biedna Kathleen. Przed nią jeszcze dużo łez — pomyślała Elizabeth tuląc dziewczynę w ramionach. Pocałowała ją w czubek głowy.

— No już cicho, kochanie. Moje biedactwo... ciii...

Gdyby tylko mogła, bez wahania posłałaby aktora na samo dno piekieł, do najbardziej rozpalonych czeluści przeznaczonych dla degeneratów, którzy nie mają nadziei na odkupienie.

W drzwiach stanęła Margaret.

— Przyszedł pan Harrington — oznajmiła zdyszana, po czym zauważyła siostrę. — Och...

— Zaraz przyjdę.

Kathleen zerwała się natychmiast i poszła do sypialni.

— Co się z nią dzieje? — zaniepokoiła się Margaret i wyglądała teraz na starszą niż swoje trzynaście lat.

O ciąży siostry dowiedziała się już w zaufaniu od Mary.

— Denerwuje się — odparła Elizabeth wstając z krzesła.

Na podwórzu Mick Harrington, obserwowany pilnie przez zafascynowane dzieci, przyglądał się powozowi i koniowi, który zaniepokojony szarpał głową, ciągnął wędzidło i walił kopytami w ziemię. Kiedy Mick zjrzał mu w zęby, położył uszy po sobie i przewracał oczami, ale w końcu się poddał.

Mick przejechał dłońmi po łęgu, po czym odsunął się, żeby ocenić sylwetkę.

— Bardzo w porządku — powiedział Mossiemu, a po chwili zwrócił się do Elizabeth: — Mogłaś trafić dużo gorzej.

Elizabeth natychmiast wyczuła podniecenie, z jakim dzieci przyjęły werdykt. Wiedziała, że nie ma wyjścia i musi wypić piwo, jakiego nawarzyła.

— Ile? — zapytała Mossiego.

— Nie będziemy się kłócić — odparł swobodnie.

— Mick, dobijesz targu w moim imieniu?

Jasno dała do zrozumienia, że Mossie z pewnością oszukałby ją, gdyby tylko mógł. Z twarzy Mossiego wyczytała, że strzał był celny. Żeby go dobić, dodała więc z uśmiechem:

— Ufam ci, daj mu tyle, ile uznasz za stosowne.

Zakłopotany Mick wodził po nich wzrokiem.

— Skoro tak...

— Dziękuję. Czekaam w domu.

Odeszła.

\* \* \*

Mossie nie kłamał mówiąc, że pięcioletni Piorun ma swoje narowy. Przysporzył Elizabeth niemało wysiłku, kiedy wybrali się na pierwszą przejażdżkę, jadąc wolno w stronę Eyeries. Z początku bała się pozwolić mu na cokolwiek więcej niż stęp, czemu bardzo się sprzeciwiał. Ciągnął z całych sił i odwracał głowę usiłując gryźć.

Ramiona rozboleły ją od trzymania lejców i pożałowała przez moment, że odrzuciła propozycję Mossiego, który ofiarował się powozić za pierwszym razem.

Po paru minutach koń uspokoił się trochę. Elizabeth również się odprężyła. Zaczęła się cieszyć wyprawą i radością dzieci, odpowiadać na pełne podziwu pozdrowienia sąsiadów. Tego dnia zaniedbano wszystkie prace domowe. Rodzina pojechała w komplecie, nawet Abigail z oczami jak spodki przyciskała się mocno do Mary. Zabrakło jedynie Kathleen.

Słońce, co chwila przesłaniane przez chmury, wyjrzało nagle, kiedy mijali Kilcatherine Point. Elizabeth widziała, jak smuga światła biegnie wzdłuż morza, pada na zatokę, po czym wspina się po domach Eyeries i małych jak dziecinne zabawki gospodarstwach Urhan, Caherkeem aż do Gorahig i Wątluszowej Skały. Lśnienie ogarnęło kłęby torfowego dymu unoszące się z kominów i zaorane pola, które zaskrzyły się jak kawałki jadeitów na tle złocistobrązowych i szarych gór.

Nadciągnęły następne chmury i obraz zniknął.

— Widziałaś to światło? — spytała, odwracając się do siedzącej obok Margaret.

— Co? — wyglądała na zaskoczoną.

— Słońce tak... nieważne.

Elizabeth stwierdziła, że dziewczynki, ponieważ spędziły tu całe życie, nie zwracają już uwagi na otaczające je piękno.

Brali właśnie ostry zakręt nad portem w Ballycrovane, kiedy Francey krzyknął:

— Tam jest Danny McCarthy. Juhu! Danny! — wołał na cały głos. — Zobacz, mamy nowego konia.

Elizabeth obejrzała się bezwiednie. Daniel i jeden z jego braci stali po kolana w glonach odkrytych przez odpływ. Zbierali je widłami.

Kątem oka zobaczyła, jak Daniel prostuje się i patrzy na drogę.

— Dlaczego Danny McCarthy nie gra już ze mną w piłkę? Przecież obiecał — dopytywał się Francey ciągnąc matkę za rękaw.

— Pewnie ma za dużo pracy. Elizabeth nie odrywała wzroku od drogi.

— No to pójdę go poprosić.

— Poprosić — poprawiła odruchowo. — Słuchaj no, ani mi się waż chodzić do niego i prosić o cokolwiek. Jeśli będzie miał ochotę, to sam przyjdzie. Słyszysz?

— Chcę go tylko poprosić... poprosić — mamrotał pod nosem.

Dała mu spokój. Widok Carriga zdenerwował ją wystarczająco i nie miała ochoty na kłótnie z synem. Popędziła trochę konia na prostym odcinku drogi wzdłuż portu. Zastanowiła się, co czuje do Daniela, ale rana okazała się zbyt świeża, więc skupiła się na powożeniu.

Od Eyeries dzieliła ich tylko niecała mila, ale Elizabeth nie miała jeszcze odwagi wprowadzić konia w rojne uliczki. Zatrzymała Pioruna przy bramie jakiejś farmy i zsiadła, żeby go zawrócić. W drodze do domu dała nawet na chwilę lejce Mary. Kiedy ponownie skręcali w okolicy portu, zeszytniała, ale ani Daniela, ani jego brata nigdzie nie było już widać.

Wróciwszy szczęśliwie do domu, wyprężono konia wspólnymi siłami; wydawało się, że zainteresowanie, jakie wzbudzał, bardzo mu odpowiada.

Elizabeth i Mary zaciągnęły wózek do stojącej pustką obory, a reszta mocowała się z zapięciami i skórzanymi paskami niezwyklej długości.

Boks, obok którego Francey trzymał pociąg, już zawczasu wymoszczono słomą, Tilly zaś dostarczyła niewielki zapas owsa i siana. Franceyowi przypadło w udziale wymycie starego blaszanego wiadra. Piorun czuł się jak u siebie w domu. Po wyjściu Margaret stukał jeszcze chwilę kopytami i opróżnił wiadro wody w półtorej minuty.

Rodzina Scollaratów bezpowrotnie wypadła z sobotniej rutyny, bo przez resztę dnia wszyscy zaznajamiali się z koniem. Nawet Elizabeth co i rusz znajdowała powody, żeby wyjść na podwórze i zajrzeć do stajni.

Kathleen obejmowała Pioruna za szyję i przyciskała czoło do jego czarnego nosa. Koń stał bez ruchu, strzygąc tylko uszami, jakby chciał odczytać jej myśli.

Chwila wyglądała na tak intymną, że Elizabeth wycofała się po cichu. Kathleen usłyszała albo wyczuła ruch za plecami i się odwróciła.

— Wszystko w porządku — uspokoiła ją Elizabeth. — Stój sobie. Jak będziesz gotowa, przyjdź się wykąpać.

Kathleen podeszła jednak do drzwi.

— Mamusiu, kiedy zamierzasz powiedzieć im o mnie?

— Chcesz, żebym to zrobiła? Jesteś pewna, że młodsi powinni wiedzieć?

— Chcę to już mieć za sobą — oświadczyła ponuro.

— Dobrze, porozmawiam z nimi jutro po mszy.

— A po drugie co z tym... Mossiem? Kiedy to się ma stać?

— Za wiele miesięcy. Jeśli w ogóle. Nie martw się. Wolałabym, żebyś na przyszłość pamiętała, że właściwie to nie twoja sprawa. W żadnym wypadku nie powinnaś być...

— Nie zaczynaj znowu!

Elizabeth uważała, że ma po temu wszelkie prawo, ale się powstrzymała.



— Dobrze.

— A co z Dannym? Co mu pozostało?

Elizabeth wydawało się, że znów dostrzega złośliwe ogniki w oczach dziewczyny i prawie się ucieszyła; widok jej przygnębionej buzi w ciągu ostatnich paru dni stawał się trudny do zniesienia.

— To już stanowczo nie twój interes. Nie życzę sobie, żebyś więcej do tego wracała. Jasne? Nie stercz tu za długo dodała trzeźwo. — Zrobiło się bardzo zimno.

Wróciła do domu, żeby dopilnować kąpieli reszty dzieci.

Sprawdziwszy wszystkie drzwi w kurniku, szukała w kieszeni latarki, żeby ostatni raz zajrzeć do Pioruna. Koń znów miał towarzystwo. Tym razem Francey spał w kącie zwinięty w kłębek na wiązce słomy. W ręce na piersi ścisnął parę źdźbeł siana, druga dłoń otworzyła się ukazując lokomotywę-zabawkę.

Mała małpka — pomyślała Elizabeth. — Mógł się tutaj dostać tylko wychodząc przez okno.

Postanowiła dać mu spokój. Przyniosła tylko koc z sypialni i nakryła go troskliwie.

\* \* \*

W następnych tygodniach życie wróciło do normy. Prace na roli dobiegły końca, więc Elizabeth, ku swej wielkiej uldze, widywała Mossiego bardzo rzadko. Z biegiem czasu małżeństwo z nim zupełnie przestało wyglądać na realne. Czuła, że jeśli tylko umiałyby wymazać je z pamięci, nigdy by do niego nie doszło.

Także Tilly napomknęła o tym raz czy dwa, ale widząc, że Elizabeth szybko zmienia temat, nie nalegała.

Całkowicie pochłonęły ją przygotowania do świąt Bożego Narodzenia. Postanowiła, że pierwsze święta bez Neeleya urządzi na tyle wystawnie, na ile tylko pozwala przyzwoitość.

W przeciwieństwie do wielu rodzin w Lahersheen, Scollardowie nie tuczili własnej świni, ale za to w tym roku mieli gęsi. Te dzikie, syczące potwory całkowicie opanowały podwórze i okazały się najgorszą inwestycją, jaką Elizabeth w życiu zrobiła, ponieważ ani nikt z rodziny, ani ona sama nie umieli pozwolić na to, żeby ich ukochanym ptakom spadło z głowy choć jedno piórko.

Z tego powodu Elizabeth zatęskniła za zmarłym mężem, który zawsze zajmował się smutną stroną hodowli. Od jego śmierci kury, kaczki, a teraz i gęsi mogły ze spokojem oczekiwać późnej starości. Na początku grudnia zamówiono więc nie tylko boczek i szynkę, ale także obcą, całkowicie martwą gęś.

Pewnego razu zaprzęgli Pioruna i pojechali na targ aż do Castletown, żeby kupić jagody, rodzyнки i tyle mąki, ile tylko wpadło im w ręce. Elizabeth wydawała pieniądze na prawo i lewo. Sprawiała wszystkim nowe ubrania, nawet Mary, chociaż ta nie zdążyła jeszcze przebrać bogactwa przywiezionego z Cork.

W sklepie żelaznym Harringtona kupiła nowe patelnie, spłaciła kredyt u McCarthy'ego, dostając w gwiazdkowym prezencie zwyczajową butelkę whisky.

Dokupiła także nowych figurek do szopki i najgrubsze świece, jakie były w sprzedaży.

Najbardziej żałowała, że wojenne ograniczenia pozbawią ich pomarańczy, którymi tradycyjnie napełniano skarpety z prezentami. Pod koniec dnia dała każdemu z dzieci po szylingu i odesłała wraz z Mary, żeby w spokoju poszukać dla nich prezentów.

Bardzo się zmęczyła, ale też od dawna nic nie sprawiło jej podobnej przyjemności. Załadowała wszystkich i wszystko i ruszyła do domu. Kiedy Piorun z wysiłkiem wspinał się pod górę za miastem, zdała sobie sprawę, że cały czas podświadomie rozglądała się za Danielem. Nie mogła zdecydować, czy to, że go nie spotkała, rozczarowało ją, czy przyniosło ulgę. Z jednej strony

nauczyła się cieszyć prostym, spokojnym życiem, z drugiej nachodziła ją ostatnio fala ogromnej, fizycznej tęsknoty.

Wydarzenia ostatnich siedmiu miesięcy, licząc od potańcówki Jimmy'ego Deeneya, wciąż chodziły jej po głowie. Gdyby tylko usłuchała wtedy Tilly...

— Poprowadzisz trochę? — spytała, wręczając Mary lejce.

Mimo rękawiczek zmarzły jej dłonie, więc teraz wsunęła je pod pachy.

Dopiero co minęła czwarta, ale na dworze zapadł już zmrok.

— Wszyscy w porządku?

Odwróciła się i przyjrzała swojej gromadce w słabym świetle chybotliwej latarni. Abigail spała, umieszczona wśród miękkich pakunków na podłodze. Francey i Johanna skulili się razem pod jednym kocem, a Goretti i Margaret pod drugim.

I te wszystkie istotki mi ufają... — pomyślała po raz nie wiadomo który.

Usiadła prosto postanawiając cieszyć się teraz każdą chwilą, bo za parę miesięcy piekło rozpełta się na nowo. Urodzi się dziecko i przyjdzie dać na zapowiedzi.

Choć zdaniem Elizabeth ciąży nie było jeszcze widać, biedna Kathleen uważała, że wygląda potwornie i bardzo rzadko wychodziła dalej niż za bramę. Przestała chodzić na msze i Elizabeth na próżno usiłowała jej tłumaczyć, że w ten sposób zwraca tylko na siebie większą uwagę. Dziewczyna uparła się i Elizabeth dała jej spokój.

Dzieci przyjęły wiadomość ze spokojem. Młodsze i tak nie zdawały sobie sprawy, co oznacza niesława, zaś zawsze lojalna Margaret wzięła na siebie obowiązek ponagrania siostry, żeby porządnie jadła. Elizabeth pomyślała, że dziewczynka musi o tym pamiętać z czasów, kiedy jej własna matka zachodziła w ciążę.

Wstał jasny i zimny poranek wigilijny. Elizabeth wygoniła dzieci z łóżek, żeby pomogły jej w ostatnich przygotowaniach.

— Któż nas powstrzyma! — odparowała słysząc, jak Margaret kwestionuje stosowność dekorowania domu gałązkami ostrokrzewu.

Elizabeth lubiła ścinać ostrokrzew. W okolicy było go tak dużo, że Lahersheen mogłoby spokojnie zostać ostrokrzewową stolicą świata. Mroźne powietrze dobrze szczypało w policzki, kiedy znalazła odpowiedni krzak niecałe dwieście metrów od domu.

— Francey! Johanna! — zawołała wróciwszy z zielonym, pełnym jagód bukietem.

Wręczyła każdemu po parze nożyczek, rolkę krepiny i pokazała, jak wycinać łańcuchy. Mary i Margaret obierały górę ziemniaków, z których część przeznaczono dla gęsi, zaś Kathleen i Elizabeth zajęły się resztą warzyw. Cały dom aż furczał. Nawet Abigail dano zajęcie, ponieważ Elizabeth zdecydowała, że w tym roku Dzieciątko Jezus narodzi się zaraz po zapadnięciu zmroku. Zatem tuż po czwartej, przy gorącym dopingu całego rodzeństwa, powierzono pulchnym łapkom gipsową figurkę i za moment Dzieciątko znalazło się bezpiecznie w swoim drewnianym żłobku.

Z powodu żałoby nie przysyłano w tym roku kart świątecznych, więc kiedy listonosz przyniósł ostatnią porcję listów Elizabeth schowała je do kieszeni i natychmiast o nich zapomniała.

O ósmej powietrze parowało od gorącego puddingu, gałązki ostrokrzewu zdobiły każdy obrazek i górną krawędź kredensu, krepinowe łańcuchy zwieszały się przez całą kuchnię, a szopka, w której nie zabrakło blaszanej gwiazdy, spoczywała na małym stoliku w kącie. Przed kominkiem ustawiono najlepsze buty wypucowane do połysku, z półeczki zwisały pończochy, a co najważniejsze na środku stołu królowała przykryta kawałkiem muślinu gęś gotowa do pieczenia.

Ostatnie zadanie tego dnia znów przypadło w udziale Abigail. Wodzona przez Elizabeth zapaliła wszystkie świeczki wetknięte w wypełnione ziemią doniczki, które ustawiono w okiennych wnękach.

— Zuch dziewczynka!

Elizabeth zdmuchnęła papierek i wzięła dziecko na ręce. Wszyscy zebrali się przy oknie, żeby nasłuchiwać dźwięku dzwoneczków przy saniach Świętego Mikołaja jadącego do Irlandii z odległych gwiazd.

Dopiero kiedy wszyscy poszli już do łóżek, Elizabeth przypomniała sobie o poczcie. Zostały jej jeszcze do napełnienia pończochy, ale postanowiła zrobić sobie małą przerwę.

Nalała porcję sherry, postawiła szklankę na stole, przysunęła lampę i usiadła. Miała w ręku pięć kopert: jedna z banku, druga wyglądała na rachunek, odłożyła je na później. Otworzyła list od Idy, która spieszyła donieść, że zostanie matką. Strona po stronie, śmiałym szerokim pismem opowiadała o radości i lęku, zewnętrznych objawach, reakcji męża i bliskich. Elizabeth ogromnie się cieszyła. Ida nigdy nie użalała się nad sobą, ale o dziecku marzyła już od bardzo dawna.

W drugiej kopercie znalazły się dwa listy: jeden od matki, opatrzony dopiskiem ojca z dołączonym czekiem, drugi zaś od gosposi, Maeve, która skrupulatnie pisywała do Elizabeth na początku każdego miesiąca.

List matki był swobodny i ciepły, bardzo starała się okazać sympatię i matczyne uczucia.

Oczywiście — pomyślała Elizabeth. — Corinne nie wie jeszcze o ciąży Kathleen.

Pociągając sherry przyjrzała się czekowi: opiewał na pokaźną sumę. Ojciec myśli pewnie, że mieszkanie w tych okolicach i utrzymywanie tylu osób oznacza niechybną nędzę. Postanowiła, że przy najbliższej wizycie pokaże mu inne domy w Lahersheen, w których liczba dzieci waha się między piętnościorgiem a dwadzieściorgiem. Kilka znajomych rodzin miało ich jeszcze więcej.

Nie poznała pisma na ostatniej kopercie, zostawiła ją na koniec jako świąteczną niespodziankę. Po otwarciu okazało się, że i tu dołączono pieniądze: dwa pięciofuntowe banknoty.

W adresie nadawcy podano tylko Londyn, list zaś, a w zasadzie notatka pochodziła od George'a Gallahera:

*Droga Elizabeth!*

*Mam nadzieję, że mój list zastaje cię w dobrym zdrowiu. Wszystkiego najlepszego z okazji Świąt dla ciebie i Twojej rodziny. Pozwoliłem sobie dołączyć mały podarunek do Rogu Obfitości Franceya.*

*Twój  
George Gallaher*

Niewiele myśląc Elizabeth wrzuciła list do ognia, razem z kopertą i pieniędzmi. Serce waliło jej jak młotem, kiedy patrzyła, jak płomienie liżą banknoty, które kurczą się i zamieniają w popiół. W tej chwili zdała sobie sprawę, że w kwestii George'a chowa głowę w piasek. Dokładnie tak samo jak osiem lat temu pozwala mu się nadal krążyć po świecie w błogiej nieświadomości zniszczeń, które spowodował.

Działanie na rzecz Kathleen przychodziło Elizabeth dużo łatwiej niż we własnym imieniu, postanowiła zatem, że po Nowym Roku powie o wszystkim rodzicom i poprosi ojca o wysłedzenie i pociągnięcie Gallahera do odpowiedzialności. Musi zapłacić za swoją podłość.

Dokończyła sherry jednym łykiem. To dopiero w przyszłym tygodniu. Nie można pozwolić, żeby Gallaher zrujnował czarodziejski nastrój, który z takim trudem stworzyła. Żeby się uspokoić, wyszła na podwórze, by ostatni raz zajrzeć do kurnika. Nie było zimno, więc upewniwszy się, że wszystko w porządku, nie miała wcale ochoty wracać do domu. Przeszła się trochę polem w kierunku wzgórz.

Otoczający ją krajobraz śmiało nadawał się na ilustrację Wigilii na Béara. Stanęła na trawiastym pagórku i wdychała intensywny zapach torfowego dymu, który prostymi słupami bił w niebo nad setek kuchennych palenisk żarzących się dzień i noc. Pomiędzy Lahersheen i drugą stroną zatoki

rozciągała się gładka tafla morza, a drogę dla świętej rodziny oświetlały dziesiątki świec zapalonych w oknach; złote odbicie srebrnych gwiazd. Troski i zmartwienia Elizabeth uleciały. Czowała się wolna, zupełnie jakby unosiła się lekko na delikatnej pajęczynie światła.

Z odległości kilkudziesięciu metrów usłyszała, jak Piorun rusza się w stajni. Wróciła na ziemię. Chciała sprawdzić, czy Francey znowu nie wybrał się z nocną wizytą, na które pozwalał sobie ostatnio coraz częściej.

Koń zarżał cicho na jej widok. W świetle latarki pojawiła się biała gwiazdka na jego czole.

— Wesołych Świąt, koniku — szepnęła i czując się trochę głupio, zamknęła stajnię.

W kuchni dodała trochę wrzątku do puddingu, po czym wzięła się za napelnianie skarpet. Torby z prezentami schowała na stryżku nad kuchnią. Niedostępne pomarańcze zastąpiła jabłkami i orzechami i właśnie miała przejść do zabawek, kiedy wydało jej się, że słyszy pukanie. Znieruchomiała i zamieniła się w słuch: tak, powtórzyło się. Zastanowiła się przez moment czy otwierać: zrobiło się późno, a jutro rano musiała wstać. Pomyślała, że to pewnie Tilly i z westchnieniem poszła do drzwi.

Na progu stanął jednak Daniel.

— Wahałem się, czy przyjść, ale zobaczyłem cię na polu, więc wiedziałem, że na pewno nie śpisz...

— Wejdz — powiedziała słabo.

Daniel to ostatnia osoba, jakiej się spodziewała. Przyjrzała mu się. Odniosła wrażenie, że urósł od ostatniego spotkania. Dzieliło ich tylko kilka centymetrów i Elizabeth znów poczuła wzbudzający lęk, choć zarazem podniecający skurcz żołądka.

— Tęskniłem za tobą.

Jego brązowe oczy błyszczały w świetle lampy. Wyciągnął z kieszeni niewielki pakunek.

— Przyszedłem, żeby ci to dać.

Wzięła, nie patrząc.

— Danielu... nie oczekiwałam, że przyjdiesz. Nie mam nic dla ciebie.

— Otwórz proszę.

Ściągnęła opakowanie i otworzyła pudełko od jubilera.

— O, Boże!

Na białej satynie pysznił się złoty pierścionek wysadzany dwoma ametystami i małym diamentem. Może skromny jak na zaręczyny, ale żeby go kupić, Daniel musiał poświęcić wszystko, co zarobił w Castleclough.

— Przepraszam, że taki mały. Wyjdiesz za mnie?

Żal, wspomnienie miłości, przerażenie — wszystko zważyło się na głowę Elizabeth jak tornado. Była bliska omdlenia. To się nie mogło zdarzyć, nie teraz, kiedy do jej życia nareszcie wrócił ład. Potrzebowała czasu.

— Napijmy się. Za tę noc.

Nie dał się łatwo zbyć.

— Wyjdiesz za mnie? — powtórzył z uporem. Elizabeth wpadła w panikę. Zupełnie ją zaskoczył. Nie wiedziała, co ma zrobić. Uśmiechnęła się słabo, podczas gdy umysł pracował na pełnych obrotach. Nie odwzajemnił uśmiechu i dało się wyczuć, że napięcie ogarnia całe jego ciało. Wyglądał jak dzikie zwierzę, gotujące się do skoku.

— A co z umową między mną a Mossiem? — szepnęła, ale przerwał jej ostro:

— Obiecałem ci, że obejdzie się bez przemocy i dotrzymam słowa. Jeśli zgodzisz się mnie poślubić, sam załatwię tę sprawę. Możesz na mnie polegać.

Miała wrażenie, że przyparł ją do muru. Spojrzała mu prosto w oczy. Stał tak blisko, że czuła zapach dymu torfowego z jego ubrania i włosów. Znowu ogarnęła ją fala pożądania; czuła jej

pulsowanie głęboko w żołądku, ale już nie tak mocno, żeby bez wahania rzucić się w objęcia Daniela. Jak odmówić, nie raniąc jego dumy? A zapewnienia o miłości, jakie słyszał od niej tamtej nocy w Killarney? Miał wszelkie prawo wyzwać ją od najgorszych...

— To piękny pierścionek, Danielu.

Głos jej drżał. Poruszyła pudełkiem, a światło lampy stojącej na kominku padło na drogie kamienie. Wążąc każde słowo, zapytała:

— Czy mogę nad tym pomyśleć?

— Dlaczego? — zapytał bez zmrużenia powiek.

— To w końcu wstrząs...

— Po tym, co zdarzyło się w Killarney?

— Po tym, jak powiedziałam ci o umowie z Mossiem.

Wziął głęboki oddech i zawiesił wzrok na rządzie skarpet nad kominkiem.

— Powiedz mi tylko jedno. Czy ty mnie kochasz?

— Musisz pytać? — zawołała i natychmiast pojęła, że udzieliła złej odpowiedzi.

Nie odrywał od niej wzroku.

— Wobec tego nad czym musisz myśleć?

Cofnęła się pod jego świdrującym spojrzeniem.

— To... nie takie proste.

— A ja sądzę, że wprost przeciwnie. To bardzo proste, Elizabeth. Albo mnie kochasz i wyjdiesz za mnie, albo nie.

Nie umiała z siebie wydusić, że nie chce zostać jego żoną. Nie musiała zresztą nic mówić, odczytał wszystko z jej oczu i wstydliwie spuszczonej twarzy.

— W takim razie — oświadczył tonem, jakiego nigdy przedtem nie słyszała — muszę prosić, żebyś oddała mi pierścionek. Potrzebuję pieniędzy. Wyjeżdżam do Butte, kiedy tylko wydadzą mi pozwolenie.

— Danielu...

— Przepraszam, Elizabeth. Wiem, że nie powinienem był tu przychodzić.

Twarz mu znieruchomiała jak gipsowa maska, tak jakby najmniejsze poruszenie mogło rozkruszyć ją na kawałki. To sztuczne opanowanie wstrząsnęło Elizabeth bardziej, niż gdyby Daniel po prostu się załamał.

Nie zostało jej nic do powiedzenia, więc bez słowa oddała pierścionek. Zatrzasnął pudełko; w cichej kuchni dźwięk zabrzmiał jak wystrzał.

— A papier? — spytała głupio, wyciągając podarte opakowanie.

— Nieważne.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale szybko odwrócił się i poszedł do drzwi. Przez chwilę nie mógł znaleźć zasuwki. Elizabeth podbiegła do niego.

— Nie... nie odchodź w ten sposób.

Machnął bezradnie w stronę zamka, jakby to on ponosił winę za wszystkie niepowodzenia. Dotknęła jego ramienia.

— Danielu?

— Proszę, Elizabeth! — prawie krzyknął, więc się cofnęła. Drzwi puściły wreszcie i Daniel w paru susach wybiegł z podwórza.

Zwolnionymi ruchami zamknęła drzwi. Oparła głowę o zimne drewno i czekała na łzy, które jednak nie nadeszły. Podniosła torbę i wróciła do wkładania prezentów. Przy klamce dzieciennego pokoju rozległ się chrobot, więc popędziła do drzwi: jeżeli to któryś z poszukiwaczy Świętego Mikołaja, trzeba go zawrócić.

W progu stał Francey.

— Wydawało mi się, że słyszałem Mikołaja — powiedział, trąc zaspane oczy i usiłując dojrzeć coś za plecami matki.

— Nie kochanie, jeszcze nie przyjechał. I nie przyjedzie, dopóki nie zaśniesz. Myk do łóżka.

Francey był za mały, żeby zauważyć sztuczne ożywienie w jej głosie, jednak dość duży, by bez trudu objąć ją za szyję.

— Dobranoc, mamusiu.

— Dobranoc, kochanie.

Odsunął się zaniepokojony.

— Płaczesz?

— Oczywiście, że nie — próbowała się zaśmiać, ale całkiem jej nie wyszło. — Pełno tu pary. Dobranoc. I wesołych świąt.

## ROZDZIAŁ 24

W ciągu kilku dni między świętami a Nowym Rokiem Elizabeth zastanawiała się często, czy nie zaprzepaściła przypadkiem szansy na szczęście. Z czasem jednak coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że podjęła właściwą decyzję. Nad jej ogólnym zagubieniem zaczęło dominować, wstydliwie zrazu odrzucane, uczucie ulgi.

Z jednej strony ulgę przynosił jej fakt, że nie narazi już rodziny na więcej burz, z drugiej zaś świadomość, że mimo końcowych przykrości cieszy się, że wyplątała się ze związku z Danielem. Po tym odkryciu szacunek dla samej siebie sięgnął bruku. Nienawidziła się za to, co mu zrobiła. Pod pewnym względem nie postąpiła dużo lepiej od George'a Gallahera. Ogarnął ją taki wstyd, że robiła sobie wyrzuty za całe dotychczasowe życie, począwszy od dnia urodzenia.

Dzieci wyczuwały jej zmienne nastroje, a atmosfera w domu stała się ponura i przyciszona. Nawet Piorun stracił zwykłą *joie de vivre*, a Reks włóczył się po podwórzu z podkulonym ogonem. Pełen zdumionego wyrzutu czekał na jakiś znak od swej pani, że nie wini się go za panującą depresję.

Pogoda także nie pomagała. Styczeń na Béara oznaczał zwykle sztormy i wzburzone morze, ale tym razem, jakby w odpowiedzi na cierpienie Elizabeth, niebo zasnuły szare chmury.

Przez cały tydzień mgła nie podniosła się na więcej niż kilka metrów, tak że od drzwi nie dało się dojrzeć nawet bramy.

Dzień po dniu szarość spowijała ziemię, tłumiąc nawet dźwięki kopyt Pioruna w boksie. Wszystkie dzieci złapały katar i snuły się po domu kaszląc i siąkając nosami.

Pod koniec miesiąca wskazówka barometru uniosła się i dzień świętej Brygidy wstał jasny i piękny. Karmiąc kury w ciepłym blasku słońca, Elizabeth czuła się jak kret wychodzący z nory. Przeciągnęła się i otrząsnęła, jakby zrzucała bryły gliny. Wróciła do domu, otworzyła wszystkie okna i z zapalem wzięła się za czyszczenie i odkurzanie.

Piękna pogoda utrzymała się przez dwa tygodnie. Skrupulatne wypełnianie domowych obowiązków i trzymanie się rytmu zajęć dzieci chodzących do szkoły, pomagało Elizabeth przewycięzać własne smutki, które wreszcie skurczyły się do rozmiarów jabłka uciskającego ją w piersiach. Zdarzały się całe dni, kiedy zapominała o zmartwieniach. Pewnego razu stwierdziła nawet, że wspomnienie Daniela jest raczej słodkie niż bolesne i dalsze zmaganie się ze sobą nie ma sensu.

Potrafiła nawet rozmawiać o tym z Tilly.

Siedziały w kuchni Harringtonów. Tilly zauważyła, że gorący romans z Danielem wziął się w znacznej mierze z kiepskich stosunków z mężem i dużo wcześniej umarłby własną śmiercią, gdyby nie okoliczności zgonu Neeleya. Elizabeth oburzyła się z początku. Wulkan samooskarżeń szykował się do następnego wybuchu.

— Uważasz mnie za potwora?

— Ale gdzie tam.

Tilly cierpliwie robiła na drutach. Zaczęła ostatnio nosić okulary i popatrzyła teraz na Elizabeth znad oprawek.

— Rozmawiasz z Tilly. Mówiliśmy już na ten temat kilka razy i dobrze znasz moje poglądy.

— Wykrztuś to! Choć raz wymów słowo seks.

Tilly z rozwścieczającym spokojem policzyła oczka.

— O co się tak złościysz?

— Nie złościę się.

— Wiesz co, Lizzie Scollard, zdaje mi się, że w gruncie rzeczy jesteś okropnie pruderyjna — oświadczyła z uśmiechem.

— Co? — Elizabeth najpierw zbaraniała, a potem obraziła się na wszelki wypadek: — Jak śmiesz!

— Tilly nie przejęła się ani trochę.

— Owszem. Boisz się przyznać, nawet sama przed sobą. Podobnie jak innym wydaje ci się, że musisz ukrywać najbardziej naturalne potrzeby ciała, a po fakcie sama posłałabyś się do piekła.

Elizabeth prychnęła, ale głupio jej było, że Tilly czyta w niej jak w otwartej książce.

Przy herbacie Margaret opowiadała nowiny ze szkoły i przy okazji wspomniała, że poprzedniego dnia Daniel wyjechał do Butte. Elizabeth nie dała nic po sobie znać. Odczekała, aż wszyscy zajmą się lekcjami i sprzątaniami po posiłku i dopiero wtedy poszła do swej sypialni. Spojrzała w lustro szukając prawdziwej reakcji.

Prawda okazała się bardzo złożona. Smuciła się, że odszedł bez pożegnania, złościła na siebie za to, jak bardzo go zraniła, a skoro już zdecydowała się na całkowitą szczerłość, musiała przyznać, że będzie jej brakować kochanka.

Pani Leahy zapewniała, że wszystko ułoży się po przeciwnościach i opóźnieniach. Jeżeli nie Daniel miał zostać jej trzecim mężem to kto?

\* \* \*

Dwa dni później Mossie przyszedł z wizytą.

— Przepraszam — zaczął uprzejmie, kiedy otworzyła drzwi — chciałem posadzić kilka *scilledins* i pomyślałem, że może potrzebujesz też trochę do domu.

Otworzył worek i pokazał gotowe sadzeniaki kartofli, przekrojone między oczkami.

Elizabeth nie umiała zachować w stosunku do niego arktycznego chłodu; miała zbyt wiele wątpliwości. Z biegiem czasu nienawiść opadła i choć Elizabeth nadal uważała, że nigdy nie wybaczy mu tego, co jej zrobił, z potwora stał się jedynie ułomną ludzką istotą.

— Tak, dziękuję — powiedziała zmęczonym głosem.

Podniósł szybko głowę i Elizabeth ze zdumieniem zobaczyła, jak bardzo go zaskoczyła. Potem zdała sobie sprawę, że chyba po raz pierwszy odezwała się do niego normalnym tonem, bez traktowania z góry, jak to miała w zwyczaju przed podpisaniem kontraktu, ani bez złości i pogardy, jaką okazywała mu później.

— Może wejdiesz? — zaprosiła go do środka.

— Na pewno?

— Nie to nie — zachnęła się.

— Lepiej odłóżmy to na inną okazję.

Elizabeth poczuła się, jakby rzucono jej w twarz wielkoduszny gest. Zesztywniała.

— Tak się składa, że chciałam z tobą porozmawiać.

— Tak?

Znów miał się na baczności.

— Na temat małżeństwa. Nie sądzisz chyba, że powinniśmy przy tym obstawać? Nie jest nam dostatecznie dobrze tak jak teraz?

— Umowa to umowa.

Zamknął worek i zarzucił go sobie na plecy. Wydawało się, jakby nagle urósł.

— Zgadza się, ale chyba nie będziesz używał jej przeciwko mnie. Na przykład gdybym zdecydowała się podać cię do sądu bez trudu udowodniłabym, że podpisałam dokument pod przymusem.



Mossie odwrócił oczy. Chociaż świeciło słońce, wiał silny wiatr i było bardzo zimno. Wyciągnął z kieszeni parę wełnianych rękawiczek bez palców i naciągnął je powoli.

— Umowa to umowa — powtórzył z zainteresowaniem przyglądając się szwom mitenek. — Mamy świadków.

Elizabeth nie chciała się o to spierać dziś i gdyby Mossie skorzystał z zaproszenia, pewnie wcale nie poruszałyby tego tematu. Teraz jednak założyła ręce na piersi.

— Tak, ale nie sądzisz, że zrobisz z siebie pośmiewisko? Wszyscy w parafii przejrzą cię na wylot. To jasne, że chcesz tylko ziemi.

— Nie obchodzi mnie, co ludzie mówią.

Miał półprzymknięte oczy i nie dało się z nich wyczytać więcej niż z marmurowego posągu. Elizabeth zorientowała się, że obrała złą taktykę. Mogła wymyślić coś lepszego niż granie na obawie Mossiego przed opinią publiczną.

Codzienne życie toczyło się swoją koleją, jedynie zbliżający się poród zwiastował burzę. Nafaszerowana mrozącymi krew w żyłach szkolnymi opowieściami, Kathleen panicznie bała się bólu i nawet Elizabeth nie udało się jej uspokoić. Dziewczyna nie mogła spać i coraz częściej spacerowała po kuchni do białego rana.

Rodzice Elizabeth przyjęli wiadomość o ciąży znacznie lepiej, niż przypuszczała. Czytając pierwszy list od matki, pomyślała, że parę lat temu sama chętnie skorzystałaby z odrobiny tej tolerancji i chrześcijańskiego przebaczenia. Lepiej późno niż wcale, stwierdziła potem, wiedząc doskonale, że okazując miłość, rodzice starają się także zadośćuczynić za dawne krzywdy.

St John dwukrotnie pisał w jej imieniu pod londyńskim adresem Gallahera, ścigał go również za pośrednictwem aktorskiego sądu koleżeńkiego. Instrukcje, jakie dostał od Elizabeth, były dosyć proste: gdyby George próbował kontaktować się z którymkolwiek ze Scollardów, zostanie przeciw niemu założona sprawa o ustalenie ojcostwa obojga dzieci. Z początku Elizabeth chciała pozwać go niezależnie od okoliczności, ale po logicznym przemyśleniu zagadnienia uznała, że lepiej, żeby nigdy więcej nie pokazał im się na oczy.

Rodzice nadal nie wiedzieli nic o Mossiem. Elizabeth wciąż liczyła na rozwiązanie *deus ex machina*, ale ponieważ żadne się nie zjawiało, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

Pewnego pięknego dnia poszła do Mossiego, gdy pracował na kartoflisku.

— Byłbyś tak dobry zabrać Pioruna do kowala w Eyeries? Potrzebuje nowych podków — zapytała najmilej, jak potrafiła, wręczając mu kubek herbaty.

Wypił duszkiem.

— Dziękuję — powiedział oddając naczynie. — Coś jeszcze?

— Wiesz, o co chodzi.

Nie odpowiedział.

— Czy nie możemy porozmawiać? Nie mógłbyś chociaż spróbować zobaczyć sprawy z mojego punktu widzenia?

— A ty widzisz mój?

— Oczywiście. Włożyłeś w tę ziemię moc pracy i nie sądz, że tego nie doceniam. Dopilnuję, żebyś został odpowiednio wynagrodzony...

Twarz mu pociemniała.

— Nie o to mi chodzi.

Odwrócił się tyłem i ponownie nachylił się nad sadzeniakami.

W pierwszej chwili chciała się rozgniewać: Mossie doskonale potrafił zbijać ją z tropu, a do tego dawał jej odczuć, kto tu rządzi. Wiedziała jednak, że na kłótni nic nie zyska i trzymała nerwy na wodzy.

— Przepraszam, nie zamierzałam cię obrazić — powiedziała jego plecami.

— Nie szkodzi.

Nie przerwał roboty i Elizabeth nie zostało już nic do dodania. Przynajmniej na razie. Na przyszłość musi być dużo ostrożniejsza.

\* \* \*

Następna okazja zdarzyła się kilka dni później, kiedy Mossie przyprował z Eyeries pięknie podkutego Pioruna.

— Możemy porozmawiać jak dorośli ludzie? — zapytała, pomagając zdjąć uprząż z parsającego konia.

— Strzelaj.

— Ty pierwszy.

Czuła się jak dziecko.

— Znasz moje położenie, nic się nie zmieniło.

Zaprowadził Pioruna do stajni.

— Słuchaj — ciągnęła, idąc za nim — prawo moralne stoi po mojej stronie i dobrze o tym wiesz. Mogłabym podać cię do sądu, ale nie chcę się w to bawić. Nie moglibyśmy zawrzeć jakiejś umowy?

— Ta, którą mamy, zupełnie mi odpowiada.

Wydawało się, że nic nie naruszy jego spokoju. Elizabeth nie wiedziała już, czy go błagać czy kopnąć.

Mossie skończył i odwrócił się do niej.

— Elizabeth...

— Za dużo sobie pozwalasz. Nie zgadzam się, żebyś zwracał się do mnie po imieniu.

Widząc jego spojrzenie, pojęła, że znów popełniła błąd.

— Przepraszam — bąknęła.

— Nie ma się co kłócić — podjął cicho.

— Dobrze więc — syknęła, ledwo hamując się, żeby nie zacząć krzyczeć. — Kiedy zamierzasz przymusić mnie do małżeństwa? I nie myśl sobie, że będę trzymać język za zębami.

— To twój przywilej, choć złamałabyś w ten sposób umowę. Zresztą wiesz, że mało mnie obchodzi cudza opinia. Co do daty, umowa określa, że rok i tydzień po...

— Wiem, co określa! Przystań mi wreszcie wyjeżdżać z tą cholerną umową!

— To był twój pomysł.

— Skoro nie zamierzasz zachować się jak dżentelmen i uwolnić mnie z niej, to chyba im wcześniej z tym skończymy, tym lepiej.

Rzucił jej przeciągłe spojrzenie i ku swej złości Elizabeth poczuła, że czerwieni się, odgadując jego myśli.

— Oczywiście — powiedział bezlitośnie, dowodząc, że się nie myliła — Danny McCarthy zniknął już z horyzontu, co?

— Musisz być taki podły?

W jego oczach zamigotało rozbawienie. Poglądził Pioruna na pożegnanie, doprowadzając Elizabeth do wściekłości.

— Kiedyś jeszcze mi podziękujesz. A teraz, wybacz...

Wyszedł bez jednego spojrzenia.

Elizabeth podniosła garść siana i wytarła konia z taką furją, że aż odskoczył.

\* \* \*

Tej nocy, uspokoiwszy się trochę, postanowiła nie walczyć z przeznaczeniem zapowiedzianym przez tarota. Jeżeli dawać mu wiarę, czeka ją następne, dużo szczęśliwsze małżeństwo i na tym powinna się skupić; umocniła się też w przekonaniu, że nie chodziło o Daniela. Tymczasem może wieść spokojne, ustabilizowane życie na dobrze zadbanej farmie.

W następną sobotę skorzystała ze stacji\* odprawianej w domu sąsiadów, żeby przydybać kurata, dość przyjemnego człowieka. Przez całą mszę zastanawiała się, co powiedzieć. Okazja pojawiła się przy serwowaniu napojów, gdy kurat, obsłużony jako pierwszy, stał samotnie w kącie kuchni.

— Przepraszam ojciec...

Wręczając mu kopertę z „owsianym”, datkiem na utrzymanie księżowskiego konia, Elizabeth poprosiła go o rozmowę na osobności.

— Ależ naturalnie.

Ksiądz odstawił kubek i poszedł z nią do salonu, w którym przed chwilą odprawiał mszę. Elizabeth nie bawiła się w długie wstępy.

— Znajduję się w dość dziwnej sytuacji. Jak ksiądz wie, w czerwcu owdowiałam, ale niedługo wychodzę powtórnie za mąż i chciałabym dać na zapowiedzi. Wiem, że powinnam odczekać przepisowy rok, jednak małżeństwo, o którym mówię, ma być zawarte tylko ze względu na interesy i chciałabym mieć już całą rzecz za sobą.

— Jak zapewne wiesz, moje dziecko, prawo kanoniczne nie zabrania zawierania nowego związku w dowolnym momencie, niemniej tutejsza tradycja nakazuje odczekać...

— Za pozwoleniem, ojciec — przerwała — tradycje niewiele mnie obchodzą. Ślub ma być cichy, żadnych gości. Na dobrą sprawę najlepiej, żeby odbył się wcześniej rano.

Zamilkł na chwilę i dobrze wiedziała, o czym myślał.

— Nie, ojciec, nie spodziewam się dziecka, jeżeli o to chodzi.

— Pani Scollard! Nie zamierzałem...

— Przepraszam za szczerość, ale lubię jasne sytuacje. Nie mam żadnych pretensji, w takich okolicznościach większość ludzi pomyślałaby tak samo.

— No cóż, dobrze. Sama zajmie się pani zaświadczeniami?

— Tak. Dziękuję, ojciec. Szczególnie za niezadawanie pytań.

Przez następne trzy tygodnie, kiedy ogłaszano zapowiedzi, nie pojawiała się w kaplicy. Wiedząc, że znów znalazła się na językach całej parafii, nie wypuszczała się daleko od domu.

Pomyślała, że dzieci mają prawo wiedzieć, co się dzieje, zanim usłyszą plotki, oznajmiła im więc, że zamierza powtórnie wyjść za mąż. Najmłodszy nie zareagował, zdezorientowana Margaret zauważyła: „Mossie jest miły, ale czy nie lepiej nam tak jak teraz?”, Mary pogodziła się z faktem, Kathleen zaś wybuchnęła gniewem. Elizabeth spodziewała się tego i przypomniała, że zważywszy na własną sytuację, niezbyt jej wypada kogokolwiek potępiać.

Ślub odbył się o szóstej rano w drugą sobotę kwietnia. Świadkami zostali Johnny Thade i Tilly, zaś jedynymi gośćmi byli Mick Harrington i oszołomiona ciotka Bel. Mimo namów Tilly Elizabeth nie zgodziła się ani na confetti, ani na kwiaty, gdyż sugerowałyby radosne wydarzenie. Wybrała sobotę, bo nie trzeba było budzić dzieci do szkoły. Wróciła, zanim się kto obejrzał. Scollardowie po raz pierwszy zobaczyli panią Sheehan, kiedy zawołała ich na śniadanie.

Nie ludziła się, że sekretny ślub nie wyjdzie na jaw, z poinformowaniem dzieci postanowiła jednak poczekać na odpowiedni moment.

---

\* msza poprzedzona spowiedzią, odprawiana corocznie w domu któregoś z parafian, obyczaj kultywowany w rolniczych rejonach Irlandii (przyp. tłum.)

Wieczorem kuchnię wypełniła sobotnia krzątanina: Elizabeth i Mary szykowały kolację, Francey czyścił lampę parafinową, Johanna szorowała stół, Goretti glansowała wszystkie buty, a Margaret prasowała. Tylko Kathleen rozpierała się na krześle, pogrążona w lekturze. Choć rodzeństwo szemrało przeciw temu, Elizabeth postanowiła zostawić nieznośną pasierbicę w spokoju; wydawało jej się to lepsze niż wieczne kłótnie i połajanki.

Rozejrzała się i zdecydowała, że nadeszła właściwa chwila. Włożyła garść fasoli do miski z wodą i oznajmiła jak gdyby nigdy nic:

— Mam wam coś do powiedzenia.

Płukała fasolę, jakby na świecie nie było nic ważniejszego.

— Mossie Sheehan i ja pobraliśmy się dziś rano.

Rozpętało się piekło. Wszyscy mówili jednocześnie. Elizabeth podniosła rękę.

— Zaraz, zaraz!

— Powinnaś nam powiedzieć! — Margaret nie dała się uciszyć. — Mogłam zostać druhną!

— Ja też! Ja też! — zawtórowały Goretti i Johanna.

Kathleen ciężko podniosła się z krzesła i ruszyła do sypialni, jasno dając po sobie poznać dezaprobatę.

— Typowe — mruknęła na wypadek, gdyby Elizabeth nie pojęła aluzji.

— A co ty na to, Mary? — zaapelowała o poparcie do najbardziej zaufanej.

— Myślę, że to mamusi życie — odparła i zwróciła się do pozostałych: — Okazaliście się zwykłymi egoistami. Co wam to przeszkadza?

— Jasne, że przeszkadza. Skoro się pobraliście, to czemu on tu nie mieszka?

Elizabeth przygotowała odpowiedź.

— Bel, ciotka Mossiego, jest już stara i nie dałaby sobie sama rady. Musiał zostać, żeby się nią opiekować. Poza tym nie mamy wolnych pokoi, chyba że wszyscy chcecie się przenieść do kuchni.

Widząc, że zaczęli spierać się na ten temat, odetchnęła z ulgą. Chyba poradziła sobie całkiem nieźle.

Życie toczyło się bez większych zmian. Nowy mąż skrupulatnie przestrzegał warunków umowy i choć starannie dbał o farmę, Elizabeth widywała go równie rzadko jak przedtem. Jedyną różnicą polegała na tym, że teraz Elizabeth nosiła nie jedną a dwie obrączki, a kiedy wchodziła do sklepów nieodmiennie witała ją cisza. Nie przejmowała się, wiedząc, że wszystko minie, gdy tylko pojawi się następna sensacja.

Kiedy chodziło o ziemię, zdarzały się i dziwniejsze przypadki; Elizabeth słyszała o pewnym człowieku z Derryconna, który wzenił się *cliamhain isteach* w przytulną farmę, zaś po pięciu latach został odesłany do dziewięćdziesięcioletniej matki, gdyż nie był w stanie spłodzić potomka.

Pod koniec kwietnia Elizabeth znalazła się na skraju wytrzymałości z innych względów: zaczęło się trzy dni przed siedemnastymi urodzinami Mary. Poprzedniego ranka Margaret, Goretti i Johanna obudziły się z bólem brzucha. Krzątając się koło nich cały dzień, Mary i Elizabeth leciały z nóg, a postępująca Kathleen dolewała tylko oliwy do ognia.

Elizabeth zauważyła, że pasierbica usiłuje podnieść z podłogi upuszczony grzebień.

— Chcesz, żeby ci pomóc — zapytała, kiedy grzebień wymknął się Kathleen po raz drugi.

W odpowiedzi usłyszała wybuch płaczu.

— Daj spokój, nie ma się co mazać!

— Brzuch mnie boli — wystękała Kathleen.

Według słów doktora poród miał nastąpić dopiero za miesiąc, w dodatku wydawało się prawdopodobne, że ból ma to samo źródło co w przypadku innych dziewczynek. Elizabeth pomyślała jednak, że w tym stanie wszystkiego można się spodziewać.

— Czy ten ból nasila się i zanika?

— Nie, po prostu jest.

Elizabeth uspokoiła się.

— Usiądź, zagrzeję ci trochę mleka.

— Nie chcę mleka.

— Wobec tego idź się położyć. Jeżeli nie przejdzie za pół godziny, będziemy się zastanawiać.

Jej cierpliwość była na wyczerpaniu.

Kathleen poszła do sypialni, pociągając nosem. Goretti znowu zwymiotowała. Doglądając jej, Elizabeth zdecydowała, że Kathleen powinna jednak zobaczyć się z lekarzem.

— Nie przeszło?

— Nie — odparła i zwinęła się w kłębek.

Pierwszy raz w życiu Elizabeth żałowała, że nie mają w pobliżu telefonu. Najbliższy znajdował się w Eyeries, dobre pół godziny drogi.

Położyła Kathleen rękę na czole, było zimne, więc nie cierpiała raczej na to samo co młodsze siostry.

— Chciałabyś zobaczyć się z położną?

Położna mieszkała w połowie drogi do doktora w Castletownbere.

— Ja muszę zostać, ale Mary mogłaby wziąć Pioruna. Pojechałybyście wolniutko.

— Wszyscy mnie zobaczą!

Cała parafia wiedziała dobrze o ciąży Kathleen, jednak Elizabeth, pamiętając własne poczucie wstydu, rozumiała jej opór.

— Chyba nie należy tego lekceważyć — nalegała. — Jest dość chłodno, więc mogę pożyczyć ci moją narzutkę i nikt nie będzie się na ciebie gapił.

Narzutka z lekkiej wełny od dawna była obiektem zazdrości Kathleen.

— No chodź — ponagliła — od wieków nie wystawiałaś nosa poza cztery ściany. Niezależnie od wszystkiego świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Po kilku minutach wreszcie udało się ją przekonać. Tilly przyszła w momencie, kiedy Elizabeth pomagała Mary zaprzęgać konia.

— Wybieracie się gdzieś?

— Wysłałam Kathleen do położnej. Prr! — usadziła konia, który zdążył odzwyczaić się trochę od uprzęży, więc teraz prychnął i tupął niecierpliwie.

Trudno było sobie z nim poradzić, a Mossie, jak na złość, nie kręcił się nigdzie w pobliżu. Elizabeth pomyślała z irytacją, że dziś chyba wszystko się przeciw niej sprzyściło. Piorun podnosił głowę tak wysoko, że musiała skakać, żeby dosięgnąć uzdy. Tilly przyglądała się scenie na podwórzu.

— Jak leci?

— Nie najlepiej.

Elizabeth udało się wreszcie zapiąć ostatni popręg i koń był gotów. Mary trzymała go za uzdę, a Elizabeth zawołała Kathleen. Dziewczyna wyszła od razu. Wspaniała narzutka nie zakrywała jej kształtów. Elizabeth ucieszyła się w duchu, że w domu nie ma dużych luster. Wraz z Tilly pomogły Kathleen wsiąść, a potem odsunęły się. Mary, która nabrała już sporo wprawy, usiadła na miejscu woźnicy.

— Ależ ma wielki brzuch. Na pewno powinnaś ją puszczać? — spytała Tilly półgłosem.

Mary cmoknęła na konia i wesoło pomachała im ręką na pożegnanie. Piorun żwawo wyjechał przez bramę i ruszył drogą w stronę wzgórz. Elizabeth stwierdziła, że Kathleen wyglądała na ożywioną.

— Nic jej nie będzie — odparła, po czym krzyknęła do Mary: — Pamiętaj, nie spiesz się. Nie ma powodu. Jeśli nie zdążycie wrócić przed herbatą, to wam coś zostawię.

- W czym problem? — dopytywała się Tilly, kiedy ruszyły w stronę domu.  
— A w czym dziś go nie ma? Wejdz, to ci o wszystkim opowiem.

\* \* \*

Choć zwykle nie zdarzało się to o tak wczesnej porze roku, kwiecień okazał się wyjątkowo suchy. Mossie pracował na torfowisku Scollardów nad Derryvegill. Wyjątkowo lubił to zajęcie, poddając się rytmowi: cięcie, obrót, cięcie, obrót, i zostawiając za sobą uporządkowane pasmo grud, które odpadały od krawędzi *sledin* niczym przerośnięte kostki masła.

Nie tylko on pracował na bagnie; jakieś sto metrów dalej, na sąsiednim polu, Mick Harrington też wykorzystywał sprzyjającą pogodę.

Po godzinie zrobił przerwę na łyk mleka z butelki, którą trzymał w kieszeni. Północna bryza z gór Kerry przetoczyła się nad Kenmare i osuszyła Mossiemu pot na czole. Miał na sobie tylko koszulę, więc zatrzęsł się trochę.

Właśnie miał ponownie zanurzyć *sleain* w torfie, kiedy wydało mu się, że słyszy jakiś hałas. Pochylił się na łopacie i wycężył słuch. Dźwięk to natężał się, to zanikał na wietrze, ale bez wątpienia był to kobiecy krzyk. Wydawało się, że dochodzi ze strony jeziora.

— Słyszałeś? — zawołał Mossie do Micka.

— Co?

Mick znajdował się na południowy zachód od Mossiego i wiatr porywał ze sobą jego słowa. — Słuchaj! Obaj nadstawili uszu. Znowu dał się słyszeć krzyk.

— Rany, teraz słyszałem.

Mick wbił *sleain* w ziemię i zaczął biec. Mossie też puścił się pędem w stronę małego wzniesienia przesłaniającego jezioro, kiedy jednak stanął na szczycie, nie dojrzał niczego.

Krzyk zdawał się dobiegać spod stromego, porośniętego trawą klifu, nad którym biegła droga. Klif wznosił się od mokradeł po zachodniej części jeziora Derryvegill. Mossie i Mick zeszli ze wzgórza i ślizgając się na kamieniach i żwirze, skierowali się w stronę drogi. Patrzyli pod nogi, więc dopiero z odległości sześciu metrów Mossie spostrzegł leżącą na krawędzi otwartą damską torebkę. Zawartość rozsypała się dookoła.

— Jezu! — krzyknął, kiedy Mick się z nim zrównał — ktoś spadł!

Wychylili się i zajrzeli w głąb dwunastometrowego obrywu.

— Chryste! — jęknęli równocześnie.

Na dnie leżał połamany powóz i dwie najstarsze Scollardówny. Kathleen krzyczała. Upadek wyrzucił ją z pojazdu i leżała teraz na boku, trzymając się obiema rękami za brzuch. Podwinięta noga zginała się pod nienaturalnym kątem. Spod drewnianych, czarno-czerwonych szczątków wystawał tył głowy Mary. Nie ruszała się.

Nieco dalej Piorun, ciągle u uprząży, wierzgał tylnymi nogami i kręcił szyją, usiłując wstać. Wyglądało na to, że połamał przednie nogi.

Mossie w mig zorientował się w sytuacji.

— Biegnij po pomoc — krzyknął przez ramię, a sam zaczął gorączkowo szukać sposobu spuszczenia się w dół stromej skarpy.

— Wrócę jak najszybciej!

Mick puścił się biegiem w stronę najbliższego domu, odległego o jakieś dwieście metrów.

— I przynieś pistolet — zawołał za nim Mossie, ale nie czekał już na odpowiedź.

Na jego widok Kathleen podniosła jeszcze większy krzyk. Zaczęła czołgać się ku niemu na czworakach, ciągnąc za sobą zgiętą nogę.

Mossie schodził najprędzej, jak potrafił. Raz stracił oparcie i uratował się tylko dzięki temu, że złapał się pęku janowca, który tu i ówdzie wyrastał ze zbocza. Kiedy znajdował się trzy metry nad ziemią, krzak puścił. Mossie zsunął się na ziemię, upadając ciężko na prawe ramię.

Podniósł się natychmiast.

Kathleen była już prawie koło niego, a jej otwarte, krzyczące usta wyglądały na białej twarzy jak ciemnoczerwona blizna. Wielki brzuch taplał się w błocie. Idąc ku niej, Mossie zrozumiał, że dziewczyna chce coś powiedzieć.

— Uspokój się! — krzyknął.

Gardłowe dźwięki przeszły w nieznośnie wysoki pisk. Mimo to Mossie usłyszał słowo „kamienie”. A może „krwawienie”? Złapał ją za ramię.

— Krwawisz? — zawołał.

— Taaak!

Zarzuciła mu ręce na szyję, jakby miała utonąć. Mossiemu wydało się, że widzi czerwoną plamę rozszerzającą się z tyłu ceglastej narzutki. Z wysiłkiem uwolnił się z jej uścisku i złapał ją za nadgarstki.

— Słuchaj, Kathleen!

— To boli! O Jezu! — jęknęła podciągając zdrowe kolano.

— Wydaje mi się, że dziecko wychodzi...

Mossie poluzował chwyt.

— Musisz słuchać. Dziecko tak szybko nie wyjdzie. Trzymaj się, Kathleen, pomoc już idzie. Rozumiesz?

— O Jezu! Jezu! Dziecko! — zawodziła.

— Muszę zobaczyć, co z Mary — próbował ją przekrzyczeć.

— Siedź tu i staraj się być cicho. Pomoc już nadchodzi.

Usadził ją tak, by mogła oprzeć się plecami o skarpę.

— Zaraz do ciebie wrócę.

Mary nadal się nie ruszała, ale leżący na niej wózek trząsał się cały od wierzgania Pioruna.

— Spokojnie, Piorun...

Mossie przykucnął i wsadził zdrowe ramię pod rozwalony bok i spróbował go podźwignąć. Zatrzęsło się i ruszyło trochę, odsłaniając pierś dziewczyny.

Z najwyższym wysiłkiem popchnął znowu. Szyja mu się naprężyła, a oczy wyszły z orbit. Potem napał jeszcze raz i wreszcie ją uwolnił.

Kiedy wstał wydawało mu się, że oślepnie; wszystko zrobiło się czerwone i złote. Przez moment czuł, że zaraz zemdleje. Zwiesił nisko głowę i słabość minęła. Odzyskał wzrok i zauważył, że Mary nadal nie daje znaku życia.

Z duszą na ramieniu przyjrzał się jej uważnie. Bezwiednie odwrócił się też na chwilę w stronę Kathleen, której krzyki osłabły, ale nie ustały; z zamkniętymi oczami i trzymając się za brzuch, kołysała się rytmicznie na boki. Plama na narzutce powiększała się z każdą chwilą.

— O, Jezu — modlił się — proszę cię, ześlij szybko pomoc.

Pochylił się znów nad Mary.

Dziewczyna nie żyła.

— Nie może być, nie może być!

Mossie odruchowo podniósł bezwładną głowę i odgarnął jej włosy z czoła. Miała otwarte oczy, całkiem okrągłe, jakby właśnie doznała szoku. Górny ząb przebił dolną wargę i po brodzie ciekła strużka krwi. Poza tym była nietknięta.

Jej głowa dała się poruszać w dziwny sposób, z czego Mossie wywnioskował, że zginęła skręciwszy kark. Delikatnie ułożył ją z powrotem na ziemi.

Obciągnął jej sukienkę, która podjechała aż do pasa, odsłaniając majtki i nagie uda.

Piorun słabł. Piana na jego pysku mieszała się z krwią. Leżał na boku, ciężko dysząc, a bezużyteczne przednie nogi rozjechały mu się jak u pijanej żyrafy. Mossie wyciągnął rękę, żeby pogłaskać go po nosie. Koń zaskowyczał, szarpnął się i przewrócił oczami.

— Spokojnie, mały. Pomoc nadchodzi...

Mossie zamknął oczy i nogi się pod nim ugięły. Płakał jak dziecko.

Po chwili usłyszał jakiś dźwięk i podniósł głowę. To Mick Harrington, dwóch mężczyzn i jakiś chłopiec biegli, ku niemu przez podmokłą łąkę od strony jeziora.

— Posłaliśmy po doktora — wrzasnął Mick, kiedy dzielił ich jeszcze pięćdziesiąt metrów.

— Tutaj! — zawołał Mossie wskazując na Kathleen — jeszcze nie jest za późno.

Dwóch mężczyzn pobiegło do Kathleen. Każdy mi w rękę wyjęte z zawiasów drzwi, które miały służyć za nosze. Mick pochylił się nad Mary.

— Nie... Już po niej — powiedział podnosząc się. — Zmówiłeś za nią Akt Skruchy?

Mossie przecząco pokręcił głową. Mick przyklęknął przy głowie dziewczyny i wyszeptał jej do ucha modlitwę. Mossie słyszał, jak mężczyźni próbują przekonać Kathleen, by dała się ułożyć na prowizorycznych noszach.

Mały pagórek osłaniał całe miejsce od wiatru ze strony morza. W obliczu katastrofy, krzyków Kathleen, zmagania konia i połamanego wozu panująca w powietrzu cisza wydała się Mossiemu obraźliwa.

— Naładowany? — spytał, wskazując na wiekowy pistolet trzymany w dłoni chłopca, który nie mógł mieć więcej niż trzynaście lat. Poszarzały na buzi chłopak skinął głową.

— Dawaj go.

Mossie odczekał, aż Mick skończył odmawianie Aktu Skruchy. Wydawało się, że Piorun wie, co go czeka. Przestał się rzucać. Spuścił swą piękną głowę, aż spoczęła między uszkodzonymi nogami. Oddychał ciężko i czekał.

Mossie ledwie mógł wycelować, prawie oślepiony przez łzy. Trzęsły mu się ręce.

— Chcesz, żebym ja to zrobił? — spytał Mick cicho.

— Nie! — odpowiedział ostro. — To był mój koń i ja sprowadziłem to nieszczęście na Scollardów.

Wziął głęboki, drżący oddech i wypalił.

\* \* \*

Elizabeth i Tilly plotkowały sobie przy stole, gdy z sypialni rozległo się znajome wołanie.

— Boże — mruknęła — wiem, że one nie mogą na to nic poradzić, ale i święty straciłby cierpliwość.

Ciężko podniosła się z krzesła i wzięwszy kilka sztuk pościeli ze stosu czystej bielizny, poszła zobaczyć, co się stało.

Parę minut później Goretti leżała bezwładnie, a Elizabeth wycierała jej spocone czoło.

— Dziękuję mamusiu.

Margaret, która czuła się już lepiej i leżała czytając, zapytała, kto siedzi w kuchni.

— Tilly — odpowiedziała Elizabeth.

— A mężczyzna?

— Mężczyzna?

— Ten, który siedzi w kuchni — powtórzyła Margaret cierpliwie, jakby mówiła do dziecka opóźnionego w rozwoju.

Wróciwszy do kuchni, Elizabeth istotnie zobaczyła dwóch mężczyzn: Mossiego i kurata.



Mossie stał tyłem, ale odwrócił się, kiedy posłyszał jej kroki. Na widok jego zmienionej twarzy serce jej zamarło.

— Co się stało? — zawołała.

— Przepraszam, Elizabeth, tak bardzo cię przepraszam. Przybiegliśmy za późno... Mick i ja... za późno.

Elizabeth wodziła spojrzeniem między nim a księdzem.

— Co się tu dzieje?

— Obawiam się, że musisz się przygotować na złą wiadomość.

Ksiądz zrobił krok do przodu, jakby chciał jej dotknąć, ale się cofnęła.

— Tilly?

Twarz Tilly była równie blada jak miska w ręku Elizabeth.

— Kathleen jedź do szpitala — powiedziała Tilly, ale nie mogła wykrztusić więcej.

Zmagła się z sobą przez kilka sekund.

— Doszło do wypadku — wydusiła w końcu. — Mary... ona... nie żyje.

Miska wyśliznęła się z rąk Elizabeth i z trzaskiem upadła na ziemię, tłukąc się w drobny mak. Woda rozlała się po kamiennej posadzce.

## ROZDZIAŁ 25

Ze wszystkich dotychczasowych nieszczęść śmierć Mary uderzyła Elizabeth najmocniej. Nie planowana ciąża, śmierć Neeleya, nawet niefortunny związek z Danielem wyglądały po prostu na konsekwencje jej własnych czynów: naturalny bieg rzeczy albo karę, na którą zasłużyła. Ta śmierć jednak była niesprawiedliwa i nie miała najmniejszego sensu.

Najstarsza córka Neeleya przeszła przez swoje krótkie życie, nie zwracając na siebie uwagi i oferując bezpieczną przystań dla otaczających ją niespokojnych duchów. Dopiero teraz Elizabeth uświadomiła sobie, że pod wieloma względami to Mary była równo bijącym sercem jej domu.

Wszystko za późno. Mary nie skorzysta już z tego, że Elizabeth planowała „wkrótce” zająć się jej przyszłością i odpłacić się za niezachwianą lojalność i pomoc, bez której kłopoty dałyby się jej jeszcze bardziej we znaki.

Na razie Elizabeth narzuciła sobie żelazną dyscyplinę i nie uroniła ani jednej łzy. Kiedy przywieziono Mary do domu, podziękowała sąsiadkom, które ofiarowały się umyć ciało; postanowiła sama oddać tę ostatnią przysługę. Nigdy przedtem tego nie robiła, więc doświadczona Tilly została przy niej, żeby udzielać wskazówek.

Elizabeth była wdzięczna za asystę, ale w duszy potraktowała tę chwilę jak ostatnie spotkanie z Mary. Po cichu opowiadała jej o wszystkim, czego nie zdążyła powiedzieć za jej życia. Mówiła, jaka jest śliczna, jak przez ten ostatni okropny rok nie dałaby sobie rady bez jej ofiarności, jak bardzo doceniała jej spokojną miłość i wsparcie, którego doświadczyła od pierwszych dni na Béara. Pomyśleć tylko, że nawet nie podziękowała za chwile, w których Mary lojalnie nie wygłaszała własnych opinii, mimo że nie akceptowała postępowania macochy.

Przycinając paznokcie, wspominała, jak wdzięcznie Mary poruszała się w kuchni, jak cieszyła się z każdego najdrobniejszego osiągnięcia Abigail i jak właściwie stała się drugą matką dla przyrodniego rodzeństwa, nie wyłączając Franceya, z którym nie łączyły jej żadne więzy krwi.

Przypomniała sobie nieśmiałe światełko pełgające w jej oczach, przykrytych teraz miedzianymi monetami, kiedy podniosła się z fotela fryzjera i odwróciła, żeby zobaczyć, co Elizabeth sądzi o nowym uczesaniu.

— O Boże — załamała się w końcu Elizabeth, pochylając się nad woskowo białą twarzyczką dziewczyny. — Nie wiem, co bez ciebie pocznę. Mary, kochana Mary — zaczęła szlochać. — Tak mi cię będzie brak...

Poczuła, jak Tilly obejmuje ją ramieniem.

\* \* \*

Kiedy tama puściła, Elizabeth nie mogła przestać płakać i w końcu Tilly posłała męża po lekarza. Przyjechał i dał Elizabeth coś, po czym spała bez przerwy przez szesnaście godzin.

Doktor przyjechał jeszcze raz dzień przed pogrzebem. Kolejny specyfik sprawił, że odurzona i ogłupiała Elizabeth niemal całkiem straciła kontakt z rzeczywistością. W kościele wydawało jej się, że ludzie na przemian świecą i ciemnieją, przybliżają się i oddalają, jakby tańczyli zwiewnego gawota. Słowa księdza dobiegały do niej z oddali, nie umiała przypomnieć sobie imion osób składających wyrazy współczucia, nawet dzieci wydały się obce.

Na cmentarzu zirytowała ją ciągła bliskość ojca. Cały czas trzymał ją za ramię, chociaż wolałaby iść sama. Nastął piękny dzień. Elizabeth przeszło nawet przez myśl, że dobrze byłoby wybrać się na Knockameala. Odwróciła wzrok od otwartego grobu, który znaczył dla niej równie

niewiele jak zgromadzony tłum i popatrzyła w stronę szczytu, widocznego po północno-wschodniej stronie Knocknasheeg. Przypomniała sobie, jak Daniel Carrig stał na tym miejscu i zobaczyła go znowu. Chciała uwolnić się od ojca, ale powstrzymały ją czyjeś ręce.

Wiedziała, że rodzice przyjechali z Cork, a wraz z nimi także Ida z mężem. W domu słyszała nawet samą siebie jak gratuluje Idzie, która już niedługo spodziewała się dziecka. To miło, że się zjawiała.

Ale gdzie podziła się Mary? Teraz, kiedy trzeba się zająć tyloma gośćmi? Trzy razy w ciągu godziny Elizabeth rozglądała się po zatłoczonej kuchni i pytała o Mary, ale nikt nie umiał nic jej wyjaśnić. Zapytała też o Tilly. Poszła prosto do Micka, ale odpowiedział, że Tilly wyjechała do Cork, do Kathleen rodzącej w szpitalu. Z trudem zrozumiała, o co chodzi. Przecież to Ida spodziewa się dziecka. Dlaczego Kathleen? I czemu w Cork?

Przemyślawszy to zdecydowała, że jej miejsce jest przy Kathleen i poszła do stajni zaprząć Pioruna. Boks stał pusty. Majaczyło jej się coś dotyczącego Pioruna. Jakiś baran wyskoczył tuż przed nim niedaleko Derryvegill... Ale przecież na farmie nie trzymali owiec... już nie...

Zastanawiała się nad tym, kiedy usłyszała kroki za plecami.

Przyszedł Mossie.

— Ktoś ukradł Pioruna — powiedziała surowo, lecz ku jej zdziwieniu Mossie nie odrzekł nic, tylko wziął ją delikatnie za ramię i zaprowadził do domu. Zaparła się w drzwiach. W środku siedzieli tyłu ludzi i nikt z nich nie zajmował się ani dzieckiem Kathleen, ani szukaniem konia.

— Sprowadź policję! — kazała Mossiemu.

— Za chwilę. Niedługo pojedę do miasta.

— Obiecujesz?

— Tak.

Uznała, że może równie dobrze zaufać jemu jak komukolwiek i pozwoliła wprowadzić się do środka.

Doktor był tam znowu. Uczestniczył w pogrzebie? Nie mogła sobie przypomnieć. Wydawało jej się, że ostatnio widuje go bardzo często. Zobaczyła, jak rozmawiał z matką i Mossiem, po czym dał jej coś ciepłego do picia i kazał się położyć na parę minut. Elizabeth rozejrzała się po tłumie zgromadzonym w kuchni. Jak niby ma ich wszystkich nakarmić? Nie wiedziała nawet, czy wystarczy jej racjonowanego jedzenia.

— Ale co z herbatą?

— Jeszcze za wcześnie — odparła matka gładząc ją po ramieniu. — Odpocznij, kochanie, a my się wszystkim zajmiemy.

Elizabeth nie wiedziała, co o tym sądzić. Na pewno był już czas na herbatę. Mimo to poszła posłusznie do sypialni i położyła się. Przez chwilę usiłowała przypomnieć sobie, co ci ludzie tu robią i czemu wysłano ją do łóżka w środku dnia. Pomyślała, że pewnie jest chora tak jak Johanna, Goretti i Margaret. Nie chciało jej się wymiotować, tylko spać. Może jej choroba polega na senności?

Znów poddała się narkotycznemu bezwładowi. Ściszony gwar za drzwiami unosił się i opadał jak morskie fale, póki odpływ nie zamienił wszystkiego w echo.

Ocknęła się w środku nocy i zobaczyła, że jej pokój zalewa jasne światło, równie silne jak z elektrycznych żyrandoli, pod którymi tańczyła w Dublinie z Idą, kiedyś, dawno temu. Światło było złociste i ciepłe, w odcieniu podobne do jej skóry.

Jak miód — pomyślała, a porównanie to w czysty i delikatny sposób przywiodło jej na myśl Daniela Carriga. Leniwie odwróciła głowę. W kącie pokoju stała Mary i to od niej pochodziła poświata. Jej twarz jaśniała jak słońce.

— Witaj Mary — powiedziała zaskoczona Elizabeth.

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się tak słodko, że Elizabeth zapragnęła biec do niej jak dziecko do matki; nie mogła się jednak ruszyć.

Włosy Mary tworzyły jej wokół głowy aureolę. Miała na sobie luźną suknię opadającą miękko na ziemię, uszytą z tysięcy kolorowych rombów o żywych, pulsujących barwach. Mary rozpostarła ręce i materiał się rozpadł: wszystkie romby uniosły się w powietrze i pokój wypełnił się chmurami kolibrów i połyskliwych pryzmatów w powodzi cudownego światła.

Jej nagie ciało połyskiwało jak alabaster. Kiedy maleńkie, świetliste ptaszki wróciły do niej, uniosła twarz w ekstazie. Chowały jej się we włosach, spacerowały po wyciągniętych ramionach i przesłaniały piersi żywymi kolorami. Dwa z nich, kobaltowy i jadeitowy, przysiadły na jej oczach. Przecież to oczy Hazel — gdzie ona jest? Miała pilnować Kathleen — a gdzie Kathleen?

— Gdzie jest Kathleen? — zapytała Elizabeth, ale Mary tylko się uśmiechnęła i potrząsnęła głową. Pełne ptaków włosy zakręciły jej się wokół twarzy jak upstrzone cekinami pióra. Śmiała się radośnie, ale z jej ust nie wydobył się ani jeden dźwięk.

Zamiast tego szepczący, jednostajny akord zaszemrał jak wiatr w drutach telefonicznych. Narastał wraz z trzepotem ptasich skrzydeł, zbijającym się w jeden ton.

Dźwięk przepełnił Elizabeth; wchłaniała go całą skórą, aż zakłuł ją prosto w serce. Płakała z zachwytu. Chciała powiedzieć o tym Mary, zapytać, czy i ona to czuje, ale kiedy odwróciła się do niej, dziewczyna już zniknęła.

Dźwięk brzmiał nadal. Elizabeth czuła, że wznosi się na nim i kołysze jak na wodzie. Ptaki nad jej głową krążyły coraz szybciej, chcąc zabrać ją z łóżka... Wtem jakiś ostry głos wdarł się do środka i jej własne imię zmieniło harmonijne brzmienie w kakofonię.

— Elizabeth! Elizabeth! — wołał ktoś, ściągając ją na ziemię.

— Elizabeth! — okropny dźwięk zabrzmiał głośniejsz i bardziej natarczywie. Powrót wydał jej się szokiem. Chciała znów wyrwać się do kolorów i muzyki, ale głos nie pozwalał.

— Elizabeth! — potrząśnięto ją za ramię.

— Proszę... — wyszeptwała — proszę...

Jednak głos nie dawał za wygraną i wreszcie musiała otworzyć oczy.

Przy łóżku stała matka. Nie było już złocistego światła, tylko zwykła lampka nocna na toalecie.

— Coś ci się śniło, kochanie — powiedziała matka delikatnie. — Masz, doktor kazał, żebyś to zażyła.

Na dłoni trzymała dwie tabletki.

— Nie. — Elizabeth chciała, by zabrzmiało to stanowczo, ale całkiem zaschło jej w ustach i wydała tylko słaby skrzek. — Żadnych pigułek. Pić.

Nie miała siły, żeby mówić całymi zdaniami. Corinne przytknęła jej szklankę do ust i przytrzymała głowę. Pachniała frezjami.

— Nie lepiej trzymać się zaleceń doktora?

— Za dużo. Godzina?

— Trochę po północy. Wszystko dobrze. Ten przemiły pan Sheehan wszystkim się zajął; zatrzymamy się w hotelu „Zatoka Béara” w Castletownbere. Obiecał, że zostanie tutaj przez resztę nocy.

Elizabeth wracała do rzeczywistości szybciej, niżby sobie tego życzyła. Próbowwała unieść się na łokciu, ale wysiłek okazał się za duży.

— Nie na noc — wykrztusiła.

Corinne jej nie zrozumiała.

— Nie musisz się niczym martwić, kochanie. Zatrzymaliśmy się w hotelu, rozumiesz?

— Mossie!

Elizabeth okazywała tak silne wzburzenie, że Corinne sama zaczęła się trząść.

— No, nie denerwuj się kochanie — powiedziała niespokojnie. — On twierdzi, że to żaden problem. Po prostu zamknij oczy i spróbuj znowu zasnąć.

Elizabeth była zbyt ogłupiała i strudzona, żeby dalej się kłócić. Zamknęła oczy. Poczula na czole leciuteńkie muśnięcie warg Corinne.

— Mamo? — ze zdziwienia otworzyła oczy.

— Cii... — Corinne przyłożyła palec do ust. — Dobranoc, skarbie. Do zobaczenia jutro rano. Jeśli Bóg łaskaw, może dostaniemy jakieś dobre wieści od Kathleen ze szpitala.

Elizabeth miała już trochę jaśniejszy umysł, ale koncentracja nadal przychodziła jej z trudnością. Czas rozciągnął się tak, że nie umiała oddzielić przeszłości od chwili obecnej. Dopiero kiedy usłyszała, jak za wychodzącymi rodzicami zatrzasnęły się drzwi, dotarł do niej sens ostatnich słów. Zwlokła się z łóżka i dotarła do drzwi, choć podłoga chwiała się pod jej stopami jak pokład statku płynącego po wzburzonym morzu. Zakręciło jej się w głowie i przytrzymała się framugi.

Mossie przykucnął przed otwartymi drzwiczkami pieca; właśnie dokładał do ognia. Na widok Elizabeth podniósł się i zrobił parę kroków w jej kierunku.

— Nie powinnaś wychodzić z łóżka.

— Co ze szpitalem? — wystękała. — Matka mówiła mi...

Zawroty głowy nasiliły się i Elizabeth przestraszyła się, że zaraz zemdleje; jeszcze nigdy nie czuła się równie podle. Pozwoliła podprowadzić się do krzesła, a Mossie szybko pobiegł do zmywalni i przyniósł jej szklankę wody. Po kilku łykach trochę jej ulżyło.

— Powiedz mi, co z Kathleen.

— Myślałem, że już wiesz.

— Nie — właściwie coś się jej majaczyło, ale nie miała siły budować długich zdań. Cienie pod oczami Mossiego wyglądały w świetle lampy jak głębokie kraterzy.

— Urodziła chłopca.

— Dobrze się czuje?

— Ma złamaną nogę.

— A dziecko?

— Myślę, że też mu nic nie będzie.

Znów zakręciło jej się w głowie.

— Wody... — poprosiła słabo.

Podał jej szklankę i stał blisko.

— Musisz wrócić do łóżka. Bardzo cię proszę.

Dała zaprowadzić się do sypialni.

— Dziękuję — powiedziała, z ulgą układając się w pościeli. Zauważyła, że ma na sobie nocną koszulę i sweter, ale zupełnie nie pamiętała, kiedy je włożyła.

— Dziękuję — powtórzyła.

Próbowała przekonać go, żeby poszedł do domu, że ona i Mary znakomicie dadzą sobie radę, ale zapadła w nieświadomość. Zdobyła się tylko na jedno słowo:

— Domu...

\* \* \*

Kiedy się obudziła, zrobiło się już jasno. Jeszcze przez chwilę odpoczywała i przeciągała się pod ciepłą koldrą. Jej wzrok padł na kąt, w którym stała kołyska Abigail: była pusta.

Gdzie Abbie?

Ogarnęła ją zimna fala żalu, bo tym razem jasno przypomniała sobie o wypadku i jego skutkach. Wspomnienia nie dały jej spokojnie leżeć. Odrzuciła kołdrę i bosą stopą pomacała podłogę.

Choć trochę osłabiona, czuła się całkiem pewnie. Narzuciła szlafrok i poszła do kuchni. Ku swemu przerażeniu zobaczyła, że na krześle koło ognia śpi Mossie. Rzuciła okiem na zegar nad kominkiem: dopiero co minęła szósta. Co Mossie Sheehan robił w jej kuchni o tej porze? Bez wahania potrząsnęła go za ramię.

— Mossie! Obudź się!

Ocknął się z wolna, ale jeszcze przez chwilę nie rozumiał, co się dzieje. Wreszcie zerwał się na równe nogi.

— Która godzina?

— Gdzie Abigail? Nie ma jej w kołysce.

— Twoja przyjaciółka Ida wzięła ją ze sobą do Harringtonów. Jak się czujesz?

— To nie ma nic do rzeczy. Co ty tu robisz?

Skupiła się tylko na tym; gdyby udało jej się skierować wszystkie uczucia w jedną stronę nie musiałaby już myśleć o Mary. Właściwie ucieszyła się, że Mossie nawinął jej się pod rękę.

Mossie odchrząknął.

— Sądziłem, że mogę się na coś przydać.

— Bardzo ci dziękuję, ale od tej pory nie trzeba mi już żadnej pomocy. Świetnie damy sobie radę.

Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale potarł tylko zarośnięty podbródek. Zdjął marynarkę z oparcia krzesła — Elizabeth zauważyła, że miał na sobie wyjściowy garnitur — i poszukał czapki w kieszeni.

— Oszczędzaj się — podsunął miękko.

— To moja sprawa, Mossie, ale jeszcze raz dziękuję za troskę.

Pomyślała, że jeśli Mossie zaraz nie wyjdzie, puszczą jej nadwerężone nerwy i oszaleje. Mossie ruszył ku drzwiom.

— Wpadnę później...

Zanim zdążyła zaprotestować dodał:

— ...żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś do załatwienia. Na przykład gdybyś chciała wysłać wiadomość do Kathleen do Cork.

— Kathleen w Cork? — W zakamarkach pamięci zamajaczyło coś o nowo narodzonego chłopcu.

— Urodziła dziecko?

— Tak, chłopczyka. O ile wiem, wszystko jest w porządku, z wyjątkiem jej nogi oczywiście.

— Czemu nikt mi nie powiedział?

— Mówiliśmy. Sam cię zawiadomiłem wczoraj wieczorem.

Traktował ją z ogromną cierpliwością i Elizabeth uświadomiła sobie, że zachowała się paskudnie. Nie umiała wydusić z siebie przeprosin, ale kiedy otwierał drzwi zawołała:

— Mossie?

— Tak?

— Co się stało z wózkiem — zapytała szybko, chcąc coś naprawić.

— Spaliłem go.

— A... koń? — nie mogła zdobyć się na to, żeby wypowiedzieć jego imię.

— Już załatwione — odparł cicho.

Czuła jak łzy napływają jej do oczu.

— Dziękuję, Mossie. Naprawdę jestem ci ogromnie wdzięczna.

Znów potarł dłonią podbródek, chyba z zakłopotania. Skinął głową.

Kiedy wyszedł, Elizabeth rozejrzała się po kuchni. Wszystko stało na miejscu, zupełnie jakby Mary...

Łkając, opadła na krzesło, na którym przed chwilą drzemał Mossie.

— Mamusiu?

Podniosła głowę i zobaczyła przestraszoną buzię Franceya. Wyjęła chusteczkę z kieszeni szlafroka i wytarła nos.

— Chodź, skarbie.

Podbiegł i wspiął się jej na kolana. Był już za duży i za ciężki, żeby przytulić się tak jak dawniej. Zarzucił jej ręce na szyję i przycisnął policzek do policzka.

— Nie płacz mamusiu — sam też szlochał.

Ukołysała go.

— Już mi lepiej kochanie. Musimy być teraz dzielni. Pomożemy sobie nawzajem.

— Mamusiu, czy Piorun też poszedł do nieba?

— Oczywiście. Mary zabrała go ze sobą.

— I co oni tam robią?

Elizabeth przypomniała sobie fragmenty snu.

— Nie uwierzylbyś, jak tam pięknie — powiedziała wycierając łzy rękawem. — Wszystko ma cudowne kolory jak wielki ogród pełen ptaków, kwiatów i słońca. Piorun ma teraz duże pastwisko i mnóstwo miejsca do galopowania tak szybko, jak tylko potrafi.

— Czy ktoś da mu owsa?

— Tak, ile tylko będzie mógł zjeść.

Francey położył jej głowę na ramieniu i rozmyślał nad tą wizją nieba.

— A jak on się tam dostał?

— Kiedy ktoś umiera... — urwała, bo ścisnęło ją w gardle, ale przełknęła ślinę i ciągnęła dalej:

— Kiedy ktoś umiera, to tak jakby otwierał się małż. Wiesz, że małż w muszli jest całkiem miękki?

— Tak — skinął głową.

— Widzisz, ciało — tu dotknęła jego piersi — to muszla, ale prawdziwa osoba, prawdziwy Francey, znajduje się w środku, podobnie jak mały małż. Śmierć otwiera tę muszlę i uwalnia prawdziwą osobę, żeby mogła iść do nieba. Nie potrzebuje już ciała i zostawia je za sobą, tak jak prawdziwy małż.

— Czy one lecą do góry?

— W pewnym sensie. Trudno to wyjaśnić, ale wyobraź sobie, że kładą się na wietrze i ten wiatr zabiera je daleko do gwiazd.

— Ale skoro Piorun zostawił swoje ciało, to jak może galopować?

— Prawdziwy Piorun może robić wszystko, co zechce. Wiesz przecież, że nawet jeśli biegniesz z całych sił, to i tak nie udaje ci się biec tak prędko, jakbyś chciał, prawda? To dlatego, że twoje ciało nie jest wolne. Piorun już jest, a ponieważ nie potrzebuje już swego ciała, może galopować tak szybko, jak nigdy dotąd. Przez cały wszechświat.

— Pogłaskała jego kędzierzawe włosy.

— Następnym razem, kiedy będziesz patrzył w gwiazdy, to jeśli mocno się skupisz, usłyszysz pewnie galop Pioruna.

— Naprawdę? — oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki. — To jakaś magia?

— Właśnie.

Musiała szybko zmienić temat, bojąc się, że zaraz załamie się na nowo.

— Oddałbyś mi przysługę, kochanie?

— Jaka?

— Strasznie dawno nic nie jadłam, przyniósłbyś mi trochę chleba z masłem?

Zsunął się z kolan i patrzyła, jak z wysuniętym językiem smaruje kromkę. Pojęła, że nie może już sobie pobłażać.

\* \* \*

Kiedy Ida przyniosła Abigail, zastała Elizabeth z suchymi oczami i opanowaną, przynajmniej na pozór, i rezolutną.

— Na pewno dobrze się czujesz?

— Tak. Wszystko przez to, że tak długo spałam — usiłowała ją przekonać.

Ida zaproponowała, że zostanie jeszcze przez parę dni.

— Wszystko stało się tak niedawno. Wiem, że teraz czujesz się w porządku, ale może jeszcze nastąpić reakcja.

— Nie jestem sama. Mam dzieci. Tak czy inaczej musimy spojrzeć prawdzie w oczy, więc równie dobrze możemy zrobić to od razu.

— A co z twoim mężem? Niezbyt się kwapiłaś, żeby mnie poinformować — nagle zesnurowała usta. — Oj, nie chciałam o tym wspominać.

— Widzę, że Mick Harrington za dużo gada. Ido, chciałam utrzymać to w jak najściślejszej tajemnicy. Moi rodzice do tej pory nic nie wiedzą i bardzo cię proszę o dyskrecję.

— W życiu nie słyszałam o równie niesamowitej umowie.

— Ułożyło się całkiem niezłe, naprawdę. On mi nie przeszkadza. W zasadzie widzę, że bez niego zupełnie nie dałabym sobie rady z farmą.

— Ale...

— Proszę cię, Ido...

— Widziała, że Ida szykuje się do dłuższej kłótni, a zupełnie nie ufała swoim nerwom.

— No dobrze, dobrze — Ida wycofała się natychmiast — ale informuj mnie na przyszłość. W końcu jestem twoją najlepszą przyjaciółką.

— Obiecuję. Okoliczności były wyjątkowe.

— Tak przypuszczam — odparła Ida sucho. — Beth, pewnie za wcześnie o tym mówić, ale mam nadzieję, że teraz wszystko się ułoży. Twoich kłopotów wystarczyłoby dla dziesięciu.

— Wiesz, przez sześć lat nic się nie działo...

— Nie powiedziałabym tego o kilku poronieniach.

— Ale to przynajmniej jedna rzecz na raz, więc nie wygląda na wiele.

Sama zdziwiła się słysząc własne słowa; brzmiały bardzo prawdziwie.

— Trzeba się trzymać. Gdybym się chciała poddać, to co by się stało z innymi?

— Wolalabym, żebyś choć raz zrobiła coś dla siebie.

Elizabeth uśmiechnęła się z przymusem.

— Właśnie z tego powodu mam teraz na karku Mossiego.

— Nic z tego nie rozumiem. On jest bardzo miły, Beth, nie wiem, czemu...

— Nie zaczynaj!

Elizabeth znów poczuła, że na jej samokontroli pojawiają się rysy. Szybko zmieniła temat.

— Daj mi znać, jak poszło z twoim dzieckiem. Ida pojęła aluzję.

— Obiecuję. Chciałam ci tylko pomóc.

— Wiem.

Uściskały się i Ida wyszła, obiecawszy przedtem, że odwiedzi Kathleen, kiedy tylko przyjedzie do miasta.

Jak można się było spodziewać, przy śniadaniu tylko Abigail zachowywała się po swojemu: gaworzyła i uderzała w miskę z owsianką, żeby przekonać się, co się stanie. Pozostała trójka



siedziała wpatrzona przed siebie pustym wzrokiem, w milczeniu grzebiąc w talerzach. Elizabeth męczył teraz ciężki ból głowy; jadła z trudem. Popatrzyła na dzieci i zobaczyła, że oczekują jej przewodnictwa.

— Posłuchajcie uważnie — powiedziała tak stanowczo, jak umiała.

Abbie, zagubiona we własnym świecie zanurzyła palce głęboko w ustawioną przed nią papkę, ale pozostali spojrzeli na matkę z uwagą.

— Stało się coś okropnego, ale już się nie odstanie, a my musimy iść naprzód. Wiecie, że istnieje tu przysłowie: śmierć przynosi nowe życie. W naszym przypadku to szczerą prawdą. Wszyscy kochaliśmy Mary — głos jej zadrżał, ale dzielnie ciągnęła — bardzo mocno. Będziemy za nią tęsknić, ale mamy teraz nowe zadanie. Wkrótce przybędzie do nas następne niemowlę, synek Kathleen. Kathleen pewnie będzie musiała zostać jeszcze w szpitalu, bo ma złamaną nogę, więc my wszyscy zajmiemy się jej dzieckiem.

Na chwilę zapadła cisza, którą wreszcie przerwała Margaret.

— Jak mu na imię? — zapytała z lekkim zainteresowaniem.

— Jeszcze nie wiem. To decyzja Kathleen. Ale tym właśnie możemy się dziś zająć. Napiszemy do niej listy. Powiemy, że z radością czekamy na dzidziusia i może też podsunie jakieś imiona? Nikt nie odpowiedział.

— Pewnie bardzo jej smutno samej w szpitalu.

— Czy musimy iść dzisiaj do szkoły? — odezwała się znów Margaret.

— Nie, kochanie. Dzisiaj potrzebujemy być wszyscy razem.

Mimo wszystko propozycja pisania listów okazała się całkiem niezłą, bo kiedy posprzątało po śniadaniu, dzieci usadowiły się przy stole z długopisami i ołówkami. Zaczęły się zwykle kłótnie i smutek szybko wyparował. Elizabeth z podziwem patrzyła, jak szybko doszli do siebie, niemniej postanowiła uważać: wydawało się, że ze śmiercią Neeleya poradzili sobie jakoś, ale z pewnością będą mocno tęsknić za łagodną, codzienną obecnością Mary.

Jeśli chodzi o wymyślanie imion, nie wykazali zbyt dużej inwencji. Johanna jak zwykle zgodziła się z Franceyem. Zaproponowali Charliego. Goretti podsunęła Seana, Margaret zaś nie mogła zdecydować się między Rodneyem, Richardem i Royem. Kiedy Elizabeth wyperswadowała jej, że żadne z imion nie ma wiele wspólnego z Béara ani nawet Irlandią, zdecydowała się na Michaela.

Cały dzień przez kuchnię przewijały się tłumy sąsiadów, oferujących pomoc i usługi albo chcących po prostu zabawić ją rozmową. Przyszli także jej rodzice i ulżyło im wyraźnie, kiedy zobaczyli, że Elizabeth doszła trochę do siebie. Pożegnanie przyszło im bez trudu.

— Wrócimy za dwa tygodnie — obiecał ojciec — żeby zobaczyć, jak wam się wiedzie.

— Tak — przyświadczyła Corinne. — Pójdziemy też do szpitala zobaczyć się z biedną Kathleen. I dzieckiem.

— Dziękuję mamó.

Uściskała ją, nie dbając, czy matka wzdrygnie się czy nie. Uściskała też ojca.

— Tak bym chciał, żeby ta cholerna wojna wreszcie się skończyła — powiedział z irytacją świadcząca o wzruszeniu. — Te trudności z transportem... Chodź, Corinne.

— Wszystko wskazuje, że już niedługo, kochanie...

— Co?

Miał teraz jakiś problem z zegarkiem.

— Wojna, mój drogi, to tylko kwestia tygodni, wszyscy tak mówią — powtórzyła Corinne głaszcząc go po ramieniu urękawiczoną dłonią.

Elizabeth wzruszyła się widząc, jak bardzo starali się wyglądać przed nią na zgodną i zgraną parę.

— Jedźcie — wykrztusiła. — Do zobaczenia za dwa tygodnie.

Pobiegła do domu. Niedługo cieszyła się samotnością, bo już po chwili wpadła z wizytą następna sąsiadka.

Wieczorem, kiedy rodzina nareszcie została sama w kuchni, Elizabeth odniosła wrażenie, że coś jej umknęło. W ogóle nie pamiętała pogrzebu i nagle gorąco zapragnęła iść na grób Mary. Położyła młodszą trójkę i zapytała Margaret, czy nie zajęłaby się gospodarstwem na godzinę lub dłużej. Twarz dziewczynki zdradzała niepewność.

— Dokąd się wybierasz?

Elizabeth ociągała się, ale potrzeba odwiedzenia Mary stała się wręcz paląca.

— Muszę wyjść, tylko na godzinkę. Chciałabym pójść na chwilę na cmentarz.

Margaret zrobiła płaczącą minę, ale opanowała się natychmiast.

— Dobrze.

Idąc przez pole w stronę Kilcatherine zobaczyła, że Mossie kopuje ziemniaki na zagonie warzywnym. Zdała sobie sprawę, że mimo obietnicy nie zajrzał już do niej od ostatniego razu. Czy obraził się za jej niewdzięczność? Nie miała ochoty z nim rozmawiać, ale w końcu wyświadczył jej przysługę i nie wypadało traktować go arogancko. Pewnie powinna się z nim pogodzić. Kiedy tak stała bijąc się z myślami, zauważył ją wreszcie i zdecydował za nią: odłożył szpadel i podszedł w jej kierunku.

— Potrzebujesz czegoś ode mnie?

— Chciałam cię tylko przeprosić za dzisiejszy ranek — powiedziała szybko, żeby się nie rozmyślić. — To bardzo miłe z twojej strony, że zostałeś na noc.

Popatrzył na nią przeciągle.

— Nie ma za co — odparł w końcu.

— Tak, no cóż, dziękuję raz jeszcze.

— Idziesz na grób?

— Czemu nie? — zaczęła się bronić bez potrzeby. — Tak, idę — poprawiła się. — Niewiele pamiętam z tego, co się wczoraj działo.

— Mogę pójść z tobą?

Spojrzała w jego poważną twarz i nie przyszła jej do głowy żadna uprzejma wymówka. Powiedziała więc prawdę.

— Wolałabym sama, jeśli nie masz nic przeciw temu.

— Rozumiem. Dobranoc, Elizabeth.

Odwrócił się i poszedł z powrotem na zagon.

Kiedy doszła do cmentarnego muru, opuściła ją odwaga. Wiedziała, że Margaret czeka na nią niecierpliwie, ale mimo to zatrzymała się przed bramą. Bryza wiała bezustannie znad zatoki Coulagh; owinęła Elizabeth włosy wokół twarzy. Piękna pogoda utrzymywała się już ponad tydzień, ale gdy ciemności spychały światło ku zachodowi, na horyzoncie zbierały się kłębiaste chmury koloru brzoskwini.

Elizabeth zmusiła się, żeby przejść przez bramę. Strach rósł w miarę, jak zbliżała się do grobu, znajdującego się po wschodniej stronie cmentarza, równoległe do rozpadającej się kaplicy. W zapadającym zmroku świeży kopiec, przypominający nie zabliźnioną ranę, stał wyobcowany i ciemny, jakby ktoś odwrócił go na lewą stronę. Kiedy podeszła bliżej, pojęła, że to ona jest tu obca. Mary leży koło swych rodziców, a Elizabeth nie ma do niej żadnych praw i narzuca się zjednoczonej rodzinie. Ta myśl zniweczyła całą misternie zbudowaną samokontrolę. Przez chwilę próbowała z tym walczyć, zmówić pozbawione znaczenia Zdrowaś Mario i Ojcze Nasz.

Nic z tego. Słowa kpiły z rozpacz, samotności i jeszcze jednego uczucia, którego nie mogła nazwać.

Wina.

Winiła się za to, że prosząc ją o powożenie tamtego dnia, wysłała drogą, kochaną Mary na śmierć.

— O Boże, Mary, tak mi przykro, tak mi przykro...

Padła na kolana i zanurzyła ręce w miękkiej glinie aż po nadgarstki, zupełnie jakby mogła w ten sposób dosięgnąć Mary i skierować swoją skruchę wprost do trumny.

— O Boże — łkała, wyciągając garściami glinę i rozsmarowując ją po czole, nosie i brodzie, i niżej po szyi i piersiach.

Podniosła głowę i zobaczyła głowę Kilcatherine, urągowisko żywym, bo kiedy oni odchodzili rzeźba wciąż trwała na swoim miejscu, wieczna i wszechwiedząca.

Elizabeth chciała ją strącić, pogrzebać albo wrzucić do morza. Pamiętała, jak przedmiot ten znalazł się w jej snach i łudził ją, mieniając się kolorami. Zgięła się w pół, oparłszy czoło w glinie. Płakała do Mary, za Mary i za samą siebie. Głośno błagała ją o jeszcze jedną szansę.

Do jej świadomości dotarł nagle męski głos.

— Elizabeth!

Uniosła głowę. Po drugiej stronie grobu stał Mossie.

— Nie szpieguję cię, wierz mi — usprawiedliwił się szybko. — Bałem się tylko, że jeszcze za wcześnie, żebyś przychodziła tu sama.

Elizabeth rzuciła się na niego, drapiąc mu twarz i bijąc pięściami w pierś.

— Ty świni! To wszystko twoja wina.

— Zrobiłem wszystko, żeby ją ocalić, naprawdę. Biegłem tak szybko, jak tylko mogłem.

Nawet nie próbował się uchylić.

— Wynoś się stąd! — wrzasnęła. — Nie chcę cię widzieć ani przy sobie, ani przy niej. Gdybyś nie sprowadził nam tego konia...

— Myślisz, że nie wiem? — zawołał, po czym złapał ją za ramiona i potrząsnął. — Jak ci się zdaje, co ja czuję?

Jakaś część jego bólu przeniknęła Elizabeth. Uwolniła się i odsunęła na drugą stronę grobu, potykając się w glinie.

— O Boże — jęczała, a jej głowa chwiała się jak wahadło zegara. — Wybacz mi Mossie, to nie twoja wina. Moja, tylko moja. To ja wysłałam ją tego dnia, ja... Boże, co mam teraz robić? Co ja zrobić?

Podbiegł do niej i znów przytrzymał jej ramiona.

— Przestań tak się traktować. To nie twoja wina. Proszę cię Elizabeth, nie mogę tego znieść.

Nie odpowiedziała i dalej trzęsła głową jak maszyna. Potrząsnął nią znowu.

— Wysłuchaj mnie. Jeżeli nie chcesz myśleć o sobie, pomyśl o dzieciach. Nie możesz wrócić w takim stanie. Przynajmniej umyj twarz.

Zadziałało i jej głowa wreszcie znieruchomiała. Przez chwilę gapiała się na Mossiego, a potem spuściła wzrok na umazane ręce i zniszczone ubranie.

— Jak mam się umyć?

— Masz — powiedział wyciągając butelkę święconej wody zagrzebanej w glinie pod nagrobkiem Agnes i Neeleya Scollardów.

Odkręcił zakrętkę i podał jej.

— Pan Bóg z pewnością się nie obrazi.

Elizabeth uniosła głowę i wylała na siebie część zawartości butelki, po czym wytarła się rąbkiem swetra.

— Tylko rozmazujesz. Daj, pomogę ci.

Wyciągnął zmiętą chusteczkę.

— Nie martw się, jest czysta.

Zabrał jej butelkę i polał wodą materiał. Elizabeth posłusznie nadstawiła twarz a on wytarł ją delikatnie.

— Teraz ręce.

Wylał trochę wody na wyciągnięte dłonie, po czym oddał jej butelkę.

— Jeszcze trochę zostało, może zrobisz coś z sukienką.

Wiatr przybrał na sile i Elizabeth zaczęła się trząść. Po płaczu miała atak czkawki. Patrzyła na wielkie rdzawe plamy pokrywające przód czarnej sukienki.

— Dziękuję, ale nie zejda tak łatwo.

Wstrząsnęła nią czkawka i butelka wyleciała jej z ręki. Reszta wody wylała się i błyskawicznie wsiąkała w glinę. Ta niezdarność wzburzyła Elizabeth na nowo.

— Widzisz, niczego nie potrafisz dobrze zrobić.

Zakryła twarz rękami.

— Nie mów tak!

Szybko podniósł butelkę, zakręcił i odstawił na miejsce. Potem zrobił coś bardzo dziwnego: złapał obiema rękami za nagrobek i naparł mocno, jakby chciał go przewrócić.

— Lepiej ci? — zapytał przez ramię. Głos brzmiał mu dziwnie, jakby z trudem oddychał.

Elizabeth czknęła.

— Chyba tak.

Stanął na grobie i popatrzył na drogę.

— Nadchodzą Harringtonowie z Derryconnla, chyba nie chcesz, żeby cię ktoś zobaczył w takim stanie.

Elizabeth nie widziała nikogo, ale usłyszała dziewczęcy śmiech. Mossie stanął koło niej.

— Chodź — powiedział łagodnie.

— Dobrze.

Teraz już cała się trzęsa.

— Masz, weź to — zdjął marynarkę i okrył jej ramiona. Choć nie próbował jej nawet dotknąć, miała wrażenie, że prowadzi ją za rękę.

— Do widzenia, Mary — szepnęła bezgłośnie, kiedy wychodzili z cmentarza. Płakała cicho, a łzy przynosiły oczyszczenie.

Mossie nie odezwał się przez całą drogę do domu. Kiedy w zapadających ciemnościach dotarli do bramy, oddała mu marynarkę, a on po prostu odwrócił się i odszedł. Elizabeth nie patrzyła za nim, bo wiszący od paru godzin letni deszcz rozpadał się gwałtownie.

\* \* \*

Dwa dni później Tilly przywiozła dziecko i okazało się, że w kwestii imienia Kathleen nie posłuchała niczyich rad. Tilly oznajmiła, że uczestniczyła w chrzcie, podczas którego nieodwołalnie nadano chłopcu imiona: Desmond Mary Cornelius. Naturalnie w parę minut po przybyciu do domu zrobił się z niego „Dessie”.

Przez cały wieczór dziewczynki i Francey piastowali go na przemian, wznosząc okrzyki zachwytu, kiedy cokolwiek zrobił, na przykład otworzył jasne, niewidzące oczka, ziewnął albo rozprostował rączki, wyglądające jak małe rozgwiazdy. Zaczęły się kłótnie, czyja teraz kolej go nakarmić, przewinąć, podnieść albo włożyć do kołyski ustawionej ponownie koło kominka. Mały nie zapłakał ani razu, bo w ogóle nie dopuszczano go do głosu: jeśli tylko jęknął, natychmiast ktoś biegł się nim zająć.

Dzięki obecności Dessiego Elizabeth z ulgą oderwała się od własnych smutków. Wypłakała się już i ogarnęła ją pusta rezygnacja.

Obawiała się trochę, że Abigail zdenerwuje ktoś przejmujący jej przywileje, tak więc nawet zajmując się małym, poświęcała jej specjalnie dużo troski. Nie przeniosła jej także ze swej sypialni do dziecinnego pokoju, mimo że uprzednio miała taki zamiar.

Abigail jednak, spokojna jak zawsze, w ogóle nie okazywała zazdrości i wyglądało na to, że interesuje się Dessiem tak samo jak reszta. W pewnej chwili Margaret, na którą wypadła kolej zajmowania się dzieckiem, przyniosła je do Abigail siedzącej na matczynych kolanach i z entuzjazmem wepchnęła jej dzidziusia. Elizabeth przestraszyła się, że zaraz go upuści, ale nie chciała jej peszyć.

— Patrz, Abbie! — mówiła wesoło. — To twój nowy braciszek.

Elizabeth nie sprostowała, że Dessie jest w istocie siostrzeńcem Abigail. Skoro nie zauważyła tego zawsze logiczna Margaret, pewnie też nikt inny nie zwróci uwagi. Tego wieczora Dessie został braciszkiem i tak już zostało, nawet po powrocie Kathleen, która wróciła do Lahersheen w miesiąc po wypadku.

Miała złamaną nogę i trzy zębra, więc nie bardzo by mogła zajmować się synkiem, nawet gdyby chciała, o czym Elizabeth wcale nie była przekonana. Kathleen okazywała mniej zainteresowania dzieckiem niż jej rodzeństwo. Elizabeth postanowiła nie zmuszać jej do niczego, kierując się raczej dobrem Dessiego niż jego matki. W ten sposób chłopiec zajął po prostu miejsce najmłodszego w rodzinie i po jakimś czasie Elizabeth musiała napominać samą siebie, że to nie jej dziecko.

Zaczęła się martwić, że Kathleen skrycie burzy się przeciw zbiorowej opiece nad synem. Pewnego wieczora, kiedy Kathleen czytała w łóżku, podczas gdy w kuchni reszta dzieci spierała się, komu przypada nakarmić Dessiego, Elizabeth poszła do sypialni.

— Boli cię? — spytała wskazując na pokaźny gips okrywający nogę dziewczyny od biodra po palce.

— Swędzi.

Kathleen nie podniosła nawet wzroku znad książki, którą okazała się „Rebeka” Elizabeth.

— Potrzebujesz czegoś?

— Powiedz im, żeby byli trochę ciszzej, dobrze?

Tego Elizabeth nie mogła przepuścić.

— Zajmują się twoim synem, Kathleen.

— Pewnie uważasz, że ja powinnam to robić? Że go zaniedbuję, o to chodzi?

Podniosła wreszcie oczy i zmarszczyła brwi.

— Nie powiedziałam tego — odparła cicho Elizabeth. Widzisz, może warto, żebyśmy porozmawiały przez chwilę. Od czasu wypadku właściwie nie było okazji.

Przez moment szykowała się na zwykłą, negatywną reakcję, ale czekało ją zaskoczenie: twarz dziewczyny się rozpogodziła. Kathleen uniosła się na łokciu i wolną ręką uściśnęła Elizabeth, ciągnąc ją ku sobie za szyję.

— A to za co? — spytała zaskoczona Elizabeth zdławionym głosem.

— Chcę ci podziękować, mamusi. W szpitalu miałam dużo czasu na przemyślenie wielu spraw.

— Puściła ją.

— Jak wydobrzeję to... jeśli zechcesz, spróbuję robić to wszystko, w czym pomagała ci Mary. Wiem, że nigdy jej nie dorównam... I zajmę się Dessiem. Niewiele potrafię. Będiesz musiała mnie nauczyć.

— Och, Kitty!

Elizabeth wzruszyła się głęboko. Nie śmiała nadużywać sytuacji, więc nie oddała uścisku. Uśmiechnęła się tylko i postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

— Oczywiście, że cię nauczę. Musimy omówić jeszcze jedno...

— Sprawę George'a — podchwyciła Kathleen bez wyrazu.

— Trzeba, kochanie. Nie musisz nic mówić, wyjaśnię ci swój punkt widzenia, ale to oczywiście także twoja decyzja. — Przerwała na chwilę, przyglądając się pasierbicy uważnie. — Dziadek Sullivan odnalazł go w Anglii. Z początku chciałam z miejsca podać go do sądu...

— Nie! Proszę mamusiu! Ja...

— Dobrze, daj mi skończyć...

Nie chcąc stać Kathleen nad głową, usiadła na sąsiednim łóżku.

— Nie zamierzam wygłaszać żadnych kazań na jego temat, w końcu mnie chyba najmniej wypada.

Znów zawahała się, wiedząc, że stąpa po niepewnym gruncie.

— Chyba zdecydowałam, że to — niemal powiedziała „on” — nie jest warte zachodu i już nie chcę kierować sprawy do sądu. Co ty na to?

Wstrzymała oddech.

— Zgadzam się.

Przerażenie malujące się na twarzy Kathleen chwyciło za serce.

Pewnie zajmie ci to sześć lat, biedactwo. Zupełnie jak mnie — pomyślała Elizabeth.

— Zatem rezygnujemy — podsumowała. — Dessie świetnie się bez niego obejdzie, tak jak Francey...

Kathleen rzuciła jej kpiarskie spojrzenie i uśmiechnęła się. Dziwnie wydoroślała od dnia wypadku.

— Ciekawa z nas rodzina, co?

Elizabeth rozluźniła się.

— Bez wątplenia. Nawet jak na tak niezwykle miejsce, jakim jest Béara.

\* \* \*

Bez względu na wszystkie wydarzenia życie w Lahersheen stopniowo wróciło do normy. Zwykle zmiany pogody, karmienie i opieka nad doborową gromadką, hojność i lojalność Tilly, a nawet sporadyczne wizyty rodziców — wszystko to pomogło Elizabeth pogodzić się z przeszłością.

Stanowczo postanowiła nie dopuścić, żeby śmierć Mary pokryto milczeniem i choć sama cierpiała wspominając o niej, zachęcała dzieci do wyrażania uczuć, z różnym skutkiem. Wszyscy tęsknili za siostrą. Kathleen stanowczo odmówiła jakichkolwiek rozmów na temat wypadku, choć bardzo starała się dotrzymać innych obietnic. Kiedy ktoś wspominał o tym przy niej, umykała do sypialni. Francey najbardziej przeżył utratę Pioruna, zaś młodsze dziewczynki niezbyt umiały wyrazić, co czują.

Z wynurzeń Margaret wynikało, że jej zdaniem wszyscy oczekują, że po nieudanych próbach Kathleen, zajmie miejsce Mary. Elizabeth pojęła to dopiero po chwili.

— Oczywiście że nie, kochanie! — zapewniła ją, usiłując mówić tak głośno, aby usłyszano ją w drugim końcu kuchni, gdzie Goretti i Johanna bawiły się z Dessiem.

— Nawet tak nie myśl. Nikt nie może zastąpić Mary i nikt nawet nie będzie próbować. Jesteś sobą, Maggie, i wcale nie musisz stawać się nikim innym.

Margaret popłakała się z ulgi, niweczając nadzieje macochy.

Karmiąc wieczorem małego, Elizabeth pomyślała, że musi pomagać dzieciom budować wiarę w siebie. Dla Mary ta nauka przyszła za późno, ale może inni na tym skorzystają.

Pomału ból zelżał i odżyło zainteresowanie światem: Elizabeth, podobnie jak pozostali mieszkańcy Lahersheen, zaczęła interesować się wojną, która wygasła już w Europie, lecz tliła się jeszcze na Dalekim Wschodzie. Kupiła radio bezprzewodowe, które czasami trzeszczało i skrzypiało tak, że zupełnie nic nie dało się usłyszeć, ale mimo to stało się znakomitą zabawką dla wszystkich w okolicy.

Po jakimś czasie zebrała się na odwagę i ponownie poszła na cmentarz. Mossie przyniósł jej sadzonki magnolii z ogrodu ciotki Bel. Choć na Kilcatherine nie obsadzano grobów — na zachód od Cork nie istniały kwaciarnie, a od morza wiały zwykle silne wiatry — Elizabeth zasadziła krzew, obsypała go dobrze ziemią i osłoniła murkiem z kamieni. W trakcie pracy mówiła cicho do Mary, opowiadając jej o wszystkich nowinach, o siostrach i Dessiem. Chociaż płakała trochę, nie rozpaczała już tak jak parę tygodni temu.

Raz zdobywszy się na odwagę zaczęła odwiedzać grób dość regularnie, zwykle w czasie, gdy dzieci szły do szkoły, a Tilly zabierała Abigail i Dessiego na godzinę czy dwie.

Farma kwitła. W świetle umowy Mossie nie miał obowiązku dostarczać Elizabeth żadnych płodów rolnych, ale mimo to nadal przynosił jej warzywa. Kupił także prosiaka. Trzymał go we własnym chlewie, a na święta Bożego Narodzenia ofiarował Scollardom porcję bekonu. Elizabeth nie odmówiła. W zamian dawała mu maślanek i nadwyżkę jaj; ciotka Bel nie miała już siły zajmować się własnymi kurami.

Trzymiesięczne dziecko było żywe, zawsze uśmiechnięte i, jak zauważyła Elizabeth, szalenie podobne do Franceya, z wyjątkiem rudobrzązowych włosów. Pewnego wieczora, w połowie czerwca, patrzyła jak Abigail zabawia Dessiego trzęsąc mu nad głową drewnianą kołatką, kiedy w drzwiach zamajaczyła czyjaś postać.

— Jest tu kto? — zawołał Mossie Breac z progu.

— Witaj — odrzekła podnosząc się na nogi.

Rozmowa z Mossiem przychodziła jej teraz dużo łatwiej. Upływ czasu złagodził jej odrazę tak bardzo, że musiałaby ją specjalnie pielęgnować, żeby utrzymała się na dawnym poziomie. Gdyby nie ta przedziwna umowa i okoliczności, w jakich do niej doszło, mogłaby go nawet polubić. Z pewnością uzależniła się od niego.

— Nie chcę wchodzić — powiedział wskazując na robocze ubranie i zabłocone buty. — Słuchaj, to trochę krępujące i nie bardzo wiem, jak to ująć...

Spuścił głowę.

— Używaj jednosylabowych wyrazów. O, przepraszam sumitowała się rozkładając ręce, kiedy spojrzał na nią z wyrzutem — ciężko się pozbyć niektórych nawyków.

— Chodzi o to, że Maggie zaprosiła mnie na dziś na herbatę.

— Nie wierzę! — zawołała Elizabeth bardziej ubawiona niż oburzona. — Kiedy do tego doszło?

— W zeszłym tygodniu. Nie mogłem się zebrać, żeby ci powiedzieć.

— No cóż, skoro cię zaprosiła... — ciągnęła niepewnie.

— Przepraszam, to nie był mój pomysł.

— Oczywiście. W końcu cóż to szkodzi. Przyjdź o szóstej, dobrze?

— Dzięki.

Kiedy wyszedł, Elizabeth nie mogła dociec, czy to, że niechętnie poparła szeroki gest Margaret przyniosło mu ulgę czy raczej wprawiło w jeszcze większe zakłopotanie.

— Gdzie byłaś? — nagabnęła Margaret, gdy ta tylko weszła do kuchni.

— W szopie z pociągami.

Odkąd zabrakło konia, a mimo próśb Franceya nie zanosilo się na to, żeby rychło kupiono następnego, nazywano w ten sposób stajnię.

— Ot tak sobie zaprosiłaś Mossiego na herbatę? — spytała Elizabeth wzięwszy się pod boki.

Dziewczynka odrobinę za szybko zasłoniła ręką usta, co Elizabeth bardzo nie przypadło do gustu.

— Przepraszam, zapomniałam ci powiedzieć.

— Czemu to zrobiłaś, Maggie?

Margaret przekrzywiła głowę zastanawiając się nad odpowiedzią.

— No, słucham!

— Bo chciałam, bo go lubię, jest bardzo miły i ponieważ dziś są jego urodziny. — Miała wszystko dobrze przemyślane. — Poza tym jest w pewnym sensie naszym krewnym, prawda?

Kiedy Margaret denerwowała się albo złościła, mówiła podniesionym głosem.

Tym razem Elizabeth zamurowało.

— Skąd wiesz o jego urodzinach?

— Powiedział mi wieki temu.

— Aha. No to pewnie trzeba upiec ciasto — poddała się Elizabeth najwdzięczniej, jak umiała — a skoro go zaprosiłaś, to zostaniesz i mi pomożesz.

Z biegiem lat porcelanowa zastawa wytlukła się tak, że nie wystarczyłoby jej nawet dla dwóch osób, a co dopiero dla całej rodziny. Margaret uparła się jednak, żeby nakryć stół obrusem i pod filiżankami ustawić zdekompletowane spodki. Nie starczyło czasu na robienie lukru, ale w zamian za to Margaret ubiła całą miskę bitej śmietany i oblała nią placek tak, że przypominał wielką bezę. Zużyła do tego jeszcze więcej cennego, przydziałowego cukru niż na samo ciasto. Później poszła na pole i nazbierała pęk stokrotek, a z pobliskiego żywopłotu zerwała sporą gałązkę dzikiej róży; ustawiła kwiaty pośrodku stołu w garnuszku na mleko.

— Ojej! — Elizabeth odsunęła się od stołu, żeby podziwiać jej dzieło, po czym skomentowała sucho: — Mossie sam nie zrozumie, co się dzieje. Jeszcze pomyśli, że to jego urodziny.

— To są jego urodziny, mamusiu — powiedziała Margaret patrząc niepewnie na macochę.

— Wiem, wiem — wycofała się Elizabeth — nie zwracaj na mnie uwagi.

Spojrzała na zegar: dochodziła szósta, honorowy gość niebawem się pojawi.

Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że się denerwuje. Przekonywała się, że nie ma to wiele wspólnego z samym Mossiem, lecz raczej z faktem, że rzadko kiedy zdarzało jej się zabawiać gości w tym domu. Życie towarzyskie w Lahersheen było dość przypadkowe: ot, sąsiedzi wpadali z nie zapowiedzianą wizytą albo pograć w karty. Z pewnością nie urządzano uroczystych podwieczorków.

Mimo wszystko poszła się przebrać.

\* \* \*

Mossie przyszedł punktualnie, ubrany w dobry garnitur i koszulę tak białą i sztywną, że według oceny Elizabeth wyglądała na zupełnie nową. Przyniósł maleńki bukiet różowych i białych róż.

— Dziękuję za zaproszenie — powiedział podając je Margaret ku jej zachwytowi i zmieszaniu.

Przyniósł także prezent dla Elizabeth: paczkę nie używanych liści herbaty.

— Zaoszczędziliśmy, bo Bel nie pije tego ze względu na reumatyzm.

— Dzięki Mossie — odparta Elizabeth, kładąc paczkę wysoko na kredensie.

Formalność sytuacji onieśmiała ją i nie wiedząc, co robić wyjęła z kołyski Dessiego, który smacznie spał. Dziecko obudziło się natychmiast i posłało wszystkim zgromadzonym błogi uśmiech.



Stali sztywno wokół stołu, jakby czekali na rozkazy. Zasłaniając się niemowłębem jak tarczą, Elizabeth usadziła ich, umieszczając Mossiego między Margaret i Kathleen. Sama zajęła miejsce w końcu stołu.

— Zaczynajmy! — powiedziała szybko.

— A modlitwa dziękczynna? — przypomniała Margaret.

W spojrzeniu Elizabeth znalazła się zatruta strzała, która uśmierciłaby każdego na miejscu.

— Poprowadź, Maggie — zaproponowała słodko.

Margaret zwiesiła głowę i z namaszczeniem złożyła ręce.

— Pobłogosław Panie te hojne dary, którymi nas obdarzyłeś, amen.

Z triumfem rozejrzała się dokoła.

— Amen — powtórzyła Elizabeth obiecując sobie, że natrze później uszu pannie Scollard; w ich domu nie odmawiano zwykle modlitw.

— Amen — zawtórowali wszyscy łącznie z Mossiem.

Posiłek składał się z jajek na twardo, sałatki ziemniaczanej i kawałków boczku. Podawanie talerzy i filiżanek oraz nalewanie mleka i herbaty zajęło dobrych kilka minut. Dzieci zachowywały się nienagannie, a rozmowa stała się sztywna i niespójna, zupełnie niepodobna do zwykłego cichego gwaru.

Elizabeth jadła bardzo mało. Ciągle zasłaniała się Dessiem, żeby ukryć zmieszanie. Nałożyła sobie trochę sałatki i pilnowała, żeby nikomu niczego nie zabrakło. Próbowowała dojść ze sobą do ładu.

To, że przy jej stole znów siedział mężczyzna, nagle wydało jej się czymś szczególnym. Jego niski głos dominował nad „dziękuję”, „proszę” i „bądź łaskaw podać sól”. Jakoś nie zwróciła dotąd uwagi, że jej dom zamieszkiwały same kobiety i dzieci.

Odsunęła od siebie te myśli i ukroiła dla Abigail kawałek jajka.

— Bardzo tu gorąco, nie pogniewasz się jeśli zdejmę marynarkę?

— Ależ proszę.

Kathleen i Margaret pomogły mu się wysupłać. Siedząc w samej koszuli na tle szczupłych, młodych ciał, wydał się nagle krzepki i dziwnie nie na miejscu, jak byk w kurniku. Marynarka maskowała to jakoś, ale teraz szerokie bary i masywna pierś zaprezentowały się w całej okazałości. Na widok jego tężyzny Elizabeth oniemiała i zdenerwowała się jeszcze bardziej.

Odczuła ulgę, kiedy nadeszła pora podania ciasta, nieomylny znak, że posiłek dobiega końca. Zadowolona z wymówki wstała od stołu. Podana Dessiego Kathleen i poszła wyjąć łopatkę do ciasta utrzymaną w pokrytym welwetem pudełku, jedną z niewielu rzeczy, które zabrała z Blackrock przed ślubem, kiedy Corinne pozwoliła jej wziąć, na co tylko ma ochotę. Rzadko jej używała, ale zawsze starannie czyściła i polerowała.

Margaret i Goretti zebrały brudne talerze, a Elizabeth postawiła deser na stole.

— To cudowne, dziękuję — powiedział Mossie na widok kremowego przysmaku. Elizabeth wyczuła, że jest równie niespokojny jak ona.

— Chciałbyś pokroić?

— Ależ nie, raczej ty...

Odniosła wrażenie, że oboje kręcą się wokół siebie jak w staromodnym kadrylu, którego uczyły ją siostry zakonne na pensji w Cork. Mossie już miał zanurzyć ostrze w cieście, kiedy Margaret zawołała:

— Jeszcze nie! Nie zaśpiewaliśmy „Sto lat”!

Elizabeth spojrzała na niego przepraszająco, po czym zamknęła oczy, żeby nie widzieć jego i swojego zmieszania. Zaczęła śpiewać. Nawet Kathleen dołączyła do ich niewprawnego chóru. Pod koniec piosenki Elizabeth otworzyła oczy i przyłapała Margaret z wyrazem twarzy, którego nie

powstydziliby się Lukrecja Borgia. Mina znikła natychmiast, zastąpiona anielską niewinnością, ale Elizabeth przypomniała sobie udany zanik pamięci i zdenerwowanie pasierbicy. Domyśliła się już, o co chodzi: równie niezdarnie jak kiedyś Johnny Thade, Margaret wzięła się za swatanie.

Przez następne parę minut pomagała Mossiemu kroić ciasto, zastanawiając się gorączkowo, o co w tym wszystkim chodzi. Czy Mossie zauważył już te manewry? Nie nałożyła nic dla siebie za to wzięła na kolana Dessiego, żeby Kathleen mogła spokojnie zjeść.

— Mogę odejść od stołu? — zapytała Johanna, kiedy tylko przełknęła ostatni kęs. Tuż za nią pospieszyli Francey i Goretti: zabrali Abigail i pobiegli na podwórko.

Kathleen postukując gipsem pokuśtykała do sypialni. Margaret wyjęła Dessiego z ramion Elizabeth.

— Wezmę dziecko na świeże powietrze.

— A co ze zmywaniem? — spytała Elizabeth, ale dziewczynki już nie było.

Wszystko odbyło się tak sprawnie, że ani chybi Margaret maczała w tym palce.

— Bardzo przepraszam, nie wiem, co oni knują — powiedziała Elizabeth z niesmakiem.

— To chyba jasne.

Wbił wzrok w sufit i znać było, że jego napięcie wzrasta. Na twarzy zaznaczyły mu się głębokie bruzdy.

— No tak, nie miałam pojęcia...

— Pewnie, że nie — odparł spokojnie, po czym na nią spojrział. — Pomogę ci zmywać.

— Nie! Ależ nie — poprawiła się szybko — jesteś gościem. Poza tym wystarczy ich...

— Bardzo bym chciał — przerwał i wzięwszy własny talerz i kubek zaniósł je do zmywalni.

Za sekundę Elizabeth usłyszała, jak Mossie puszcza wodę do zlewu. Oprócz wyrzucenia go siłą nie pozostało jej nic innego jak dokończyć sprzątanie i pozwolić mu działać.

Niech no tylko pójdzie — pomyślała z wściekłością — to pewna dziewczynka gorzko wszystkiego pożałuje.

Jak najwolniej ustawiła talerze naprzeciw wejścia do zmywalni, strzepnęła okruszki, złożyła obrus i długimi, posuwistymi ruchami zamiotła podłogę. Wreszcie musiała tam wejść. Mossie skończył myć i wziął się za wycieranie.

— Nie wiem, gdzie to odstawić...

— Pozwól, że ja...

Odezwali się równocześnie.

— Ty pierwsza...

— Nie, ty pierwszy.

W zmywalni mieściły się spokojnie cztery osoby, ale wydawało się, że śnieżnobiała koszula wypełnia całą przestrzeń.

— Przepraszam — powiedziała Elizabeth, mając uczucie, że musi przepychać się koło niego. Odsunął się przesadnie. Zanurzyła naczynia w mydlinach i wzięła się do szorowania.

— Och, woda wystygła. Lepiej przyniosę trochę z czajnika.

Banał upadł między nimi jak ciężki kamień. Chciała przemknąć się koło Mossiego, ale zagroził jej drogę.

— Elizabeth...

— Co? — szepnęła nie patrząc mu w oczy.

— Nie mogę już tego wytrzymać, chyba oszaleję.

— O co ci chodzi?

— Wiesz o co. Kocham cię. Pokochałem cię, odkąd przyjechałaś do Lahersheen. Przez ostatnie osiem lat nie myślałem o nikim prócz ciebie.

— To żalosne — przerwała mu, ale ze zgrozą poczuła, że poca jej się dłonie, a zdradzieckie serce wyprawia dawne sztuczki. Od Killarney minął prawie rok i nawet jeśli głowa pozostała obojętna, to ciało zaczęło reagować na wszechpotężną tężyznę Mossiego. Podniosła ku niemu oczy.

— To szaleństwo...

— Czyżby?

Dyszał ciężko i Elizabeth poczuła zapach świeżego potu, który wystąpił mu na czoło. Odsuwała się, póki nie dotknęła plecami zimnej ściany.

— Jesteś moim wrogiem. Postąpiłeś podle wobec mnie i mojej rodziny...

— Tylko tak mogłem cię skłonić do małżeństwa.

— Bzdura! Chciałeś, żeby Daniel...

Serce waliło jej jak werbel.

— Oczywiście, że nie, ale musiałem zaryzykować.

— Dlaczego kryłeś się z tym tak długo? — szepnęła.

— Musiałem wszystko przemyśleć i upewnić się, że mnie zaakceptujesz... Naprawdę nie chciałem, żeby to tyle trwało, ciągle to odkładałem. Ciężki z ciebie orzech do zgryzienia, Elizabeth.

— Ja? — zdumiała się.

Zawsze uważała się za cichą myszkę. Jakże inaczej pakowałaby się w tyle kłopotów?

— Tak, ty...

Widząc, że pochyła się nad nią, Elizabeth zdobyła się na rozpaczliwy wysiłek i odepchnęła go obiema rękami.

— Chciałeś tylko ziemi.

— Ziemi też, wyznałem to szczerze, ale na Boga, Elizabeth, pragnąłem też ciebie.

Napierał tak mocno, że nie miała siły utrzymać go z daleka. Czowała, jak wali mu serce. Oparł dłonie na ścianie po obu stronach głowy Elizabeth i pochylił się, wciąż jej nie dotykając. Opuściła ręce i wcisnęła się w mur.

— Puść mnie, Mossie, nie rób tego.

— To silniejsze ode mnie. Marzyłem o tym, odkąd tylko cię ujrzałem. Byłaś wtedy w ciąży. Siedziałaś z zamkniętymi oczami na małym krzeselku na podwórzu, z twarzą wystawioną do słońca. Nie pamiętasz, ale ja tak. Pewnie nawet mnie nie spostrzegłaś. Miałaś rozpuszczone włosy i nosiłaś granatową sukienkę z szerokim białym kołnierzem. Byłaś bosy. Nigdy w życiu nie widziałem piękniejszego stworzenia. Nie mogłem później spać przez wiele nocy, bo zakochałem się w tobie. Całkowicie i na zawsze.

Nie zdejmując rąk ze ściany pochylił się tak, że szeroką pierś dotknął piersi Elizabeth, a udami przycisnął się do jej ud.

— Gdybyś wiedziała, jak cierpiałem widząc cię na Knockameala z Danielem McCarthym...

— Przestań!

— ...jakbym go zdzielił tamtej nocy, kiedy cię całował i ścisnął w ruinach...

— Proszę, Mossie...

— ...i jak umierałem za każdym razem, widząc jak na niego patrzysz.

Elizabeth jęknęła. Próbowwała się wywinąć, ale nie dała mu rady. Mając przygwożdżone ręce, nie mogła zakryć uszu, zamknęła więc przynajmniej oczy. Jego słowa płynęły jak nieokiełznane morze.

— Jak strasznie chciałem cię pocałować, kiedy wycierałem ci twarz na cmentarzu...

— Czemu tego nie zrobiłeś? — spytała głupio i bez namysłu.

Nie odpowiedział, tylko z wygłodniałą namiętnością przyssał się do niej wargami. Odpowiedziała instynktownie.

— Wyjdź za mnie — odezwał się niskim głosem.

Nagły koniec pocałunku i absurdalne słowa rozśmieszyły ją.

— Co?

— Wyjdź za mnie. Tak jak należy, z gośćmi, muzyką i kwiatami. Chcę, żeby cały świat wiedział, że zostałem mężem Elizabeth Sullivan.

Elizabeth usłyszała szmer. W małym okienku za plecami Mossiego sterczały trzy małe twarzyczki, roześmiane od ucha do ucha, Margaret chyba najbardziej. Spróbowała go odepchnąć.

— Obserwują nas — syknęła.

— Już was tu nie ma! — rozkazał i głowy zniknęły wśród wybuchów śmiechu.

— Pewnie o to chodziło!

Otrząsnął się jak pies i odchrząknął parę razy. Pocałował ją lekko i odsunął się.

— Pójdę teraz, Elizabeth, ale wrócę jutro o dziesiątej. Przyjdę też pojutrze i następnego dnia i będę nachodzić cię dopóty, dopóki nie zgodzisz się za mnie wyjść. Jeszcze jeden...

Objął ją i pocałował tak mocno, że kiedy przestał, jej wargi pulsowały w niemym proteście.

— Zatem, do jutra.

Wyszedł szybko, zabierając z krzesła marynarkę. Ogłuszona i zdyszana Elizabeth usłyszała, jak zegnał się z dziećmi. Oparła się o ścianę, nie mogąc zebrać myśli. Była oszołomiona, wzburzona, zmieszana, podniecona, przejęta, smutna... Gdzie podziało się wszystko, co dotąd osiągnęła?

Stała tam nadal, kiedy parę minut później rozpromieniona Margaret zakradła się do drzwi.

— No?

— No co? W to ci graj? — spytała Elizabeth, z wysiłkiem odrywając się od ściany.

Margaret zwinęła się ze śmiechu, a stojące za nią Johanna i Goretti aż objęły się z uciechy, że przyłapały matkę w kompromitującej pozie.

Elizabeth nie miała serca się gniewać; taka radość od dawna nie gościła w ich domu.

— Lepiej chodźcie tu i pomóżcie mi ze zmywaniem, łapserdaki!

\* \* \*

Następnego ranka za pięć dziesiąta jej zmieszanie osiągnęło szczyt. To drżała na wspomnienie pożądania Mossiego, to wściekała się za jego bezczelność. Najspokojniej, jak umiała, spróbowała spojrzeć na to, co zrobił Danielowi, ku swemu zaskoczeniu odkryła, że już potrafi mu to wybaczyć. Twierdził, że pragnął jej mocniej niż czegokolwiek, i któż jak nie ona potrafi zrozumieć, do czego popchnąć noże taka żądza? Potem znowu ogarnęła ją złość. Za kogo on się ma? Ona tutaj rządzi...

Kiedy wreszcie nadszedł, była tak podekscytowana, że nie mogła usiedzieć na miejscu.

— Jak śmiesz! — naskoczyła na niego, zanim nawet zdążył się przywitać. — Jak śmiesz stawiać mnie w takiej sytuacji?

— Jakiej sytuacji? Mówiłem szczerą prawdę.

Znów stał oparty o framugę drzwi.

— Kocham cię od lat. Zapewniam cię, że ani przedtem, ani potem nikt nie będzie cię kochał tak jak ja. Gdzie dzieci?

Zajrzał jej przez ramię do wnętrza domu.

— Wyszły.

Na wszelki wypadek wysłała wcześniej wszystkich łącznie z Abigail na spacer, zapowiadając, że przez godzinę mają jej się nie pokazywać na oczy. Dzień był prześliczny.

Mossie wszedł do środka, objął ją i mocno pocałował.

— Nie rób tego!

Wytarła usta wierzchem dłoni.

Nie zwrócił na to uwagi i usiadł za stołem.

— Znam cię, Elizabeth — powiedział cicho — i nie zapominaj o tym. Nauczyciel wciąż biadał nad tym, że nie poszedłem na uniwersytet, ale w końcu skończyłem studia. Trochę długie, ośmioletnie...

— Nie wiesz o mnie jednej rzeczy...

— A jednak. Chciałem powiedzieć ci o tym w zeszłym roku, ale chyba źle się do tego zabrałem. Spaprałem wszystko, bo twój związek z Danielem McCarthym strasznie mnie gniewał. To wspinały chłopak, Elizabeth, ale nie na twoim poziomie.

— W przeciwieństwie do ciebie jak sądzę?

Ironia spaliła na panewce.

— Pamiętaj, że miałem osiem lat, żeby się przygotować.

— Nie nadaję się do małżeństwa — odparła niemal prosząco.

— Zależy o jakim małżeństwie mówimy. Mnie chodzi o związek równych sobie. Pewnie też byś tego chciała, ale nigdy nie miałaś okazji spróbować. Boisz się, że wychodząc za mnie, znów wpakujesz się w to samo. Pozwól więc, że ci przypomnę: jesteśmy małżeństwem od ponad roku. Czy bardzo wchodziłem ci w drogę?

Patrzyła na niego z otwartymi ustami, co nie zdarzyło się jej jeszcze nigdy w życiu.

— Może dzięki temu zmienisz zdanie...

Szybko wstał od stołu i podniósł ją z podłogi jak lalkę.

— Ile mamy czasu?

Zaskoczył ją za bardzo, by mogła skłamać, zresztą ciało znów zignorowało wszelkie rozkazy umysłu.

— Godzinę — odpowiedziała słabo.

— Powinno wystarczyć.

Zaniósł ją do sypialni i położył na łóżku.

— I nie zapominaj, że to nie grzech, jesteśmy po ślubie!

Roześmiała się. Śmiała się tak, że łzy pociekły jej po twarzy. On również zachichotał, po czym roześmiał się na cały głos.

— Wiesz, co jest najśmieszniejsze ze wszystkiego? — wyjąkała wreszcie, kiedy mogła wydobyć z siebie głos.

— Co? Co?

Próbował ją pocałować czule, ale śmiała się tak, że jej usta odskakiwały jak gumowe piłeczki.

— Że ta kobieta w Cahirkeem powiedziała mi...

— Kobieta w Cahirkeem? — zdziwił się.

— Ta Angielka... — nie mogła się opanować.

— Jaka Angielka? No?

— Pani... — chichot rósł jak napęczniony powietrzem balonik.

— No, spróbuj!

— Pani Charltonowa... pani Charltonowa... a niech to... Leahy...

Balonik pękł i łzy, spłynęły jej po policzkach.

— Ach, ta — zawtórował jej śmiechem. — Co z nią?

— Powiedziała... powiedziała...

— Elizabeth Sullivan, uduszę cię!

— W kartach wyszło jej, że wyjdę za męża dwa razy i myślałam... myślałam...

Miała wrażenie, że ktoś przeciska jej żołądek przez sito. Uciszył ją pocałunkiem. Chichotała jeszcze przez moment, ale uspokajała się w miarę, jak jej ciało zaczęło reagować na pieszczoty.

Rozebrał ją drżącymi rękami, nie dość szybko jak dla niej, więc mu pomogła.

— Jezu, jakaś ty piękna! — szepnął, kiedy leżała naga wśród porozrzucanych ubrań.

Ośmielona, wyciągnęła ku niemu rękę.

Kochał ją mocno i bez wahań, a po pierwszej chwili wstydu wygłodzone ciało Elizabeth po prostu go pożerało. Tak dobrze było trzymać go w ramionach. Jego siła i dotyk masywnej piersi sprawiły, że czuła się kobietą tak bardzo, jak jeszcze nigdy dotąd.

Po chwili opadł bezwładnie. Wziął w palce pasmo jej włosów.

— Na Béara mówimy, że miłość przychodzi po ślubie. Słyszałaś kiedyś o tym?

— Nie, pewnie chodzi ci o naszą słynną umowę.

— Właśnie! No cóż, ja słyszałem i wiedziałem, że jeśli tylko dam ci czas, to przyzwyczaisz się do mnie.

Potał nosem rowek między jej piersiami i uśmiechnął się przewrotnie.

— A wiesz, co w tym wszystkim jest naprawdę zabawne?

— Nie — odparła całując go w czubek głowy — ale obawiam się, że zamierzasz mi powiedzieć.

— Biorę lekcje tańca.